

Ciało i krew

Graham Masterton



calibre 0.9.43

ROZDZIAŁ I

— To tutaj, dzieci - powiedział Terence po niespełna godzinie jazdy. Skręcił swoim poobijanym czarnym mercurym kombi z szosy, wjechał przednimi kołami na nasyp i zgasił silnik.

Emily spojrzała przez boczną szybę na falujące przed burzą pszeniczne pole, fruujące w powietrzu plewy i niebo, teraz ciemniejsze nawet od oczu taty.

— Dlaczego tutaj przyjechaliśmy? - zapytała. - Nie zdążymy na Deep Space Nine.

Miała na sobie o jeden numer za małą żółtą sukienkę w kwiatki; oprawki jej okularów pozlepiane były plastrem Band Aid, a miedziane włosy zaplecione w warkoczyki i związane kokardami.

Obok niej poruszyła się i otworzyła oczy Lisa. Miała dziewięć lat, blond włosy, chude nadgarstki, chude nogi, skarpetki do kostek i skomplikowany aparat na zębach, z powodu którego stale sepleniała. George spał z otwartymi ustami, śliniąc się na podłokietnik. George miał tylko trzy lata i odstające uszy.

— Nadszedł czas, dzieci - oznajmił z dziwnym uśmiechem Terence. — Czas, aby zrobić to, co do nas należy. - Wsiadł z samochodu i otworzywszy tylne drzwi, obszedł go dookoła, waląc dłonią w dach i w maskę. Zniecierpliwiony i niespokojny, nie mógł ustać w miejscu. - Szybciej, dzieci, pośpieszcie się, już czas.

Wysiedli z samochodu. Tato zatrzasnął drzwi i przez chwilę stali na poboczu. Wiatr szumiał i świstał, po asfalcie przelatywały suche grudy ziemi. Nie wiedzieli, co mają robić. Nic wiedzieli, dlaczego się tutaj znaleźli. Ale tato powtarzał im bez przerwy, kiedy jechali, że muszą zostać ocaleni.

— Kocham was, kocham was wszystkich. Wiecie, jak bardzo was kocham? Dlatego właśnie musicie zostać ocaleni.

Tato otworzył bagażnik i wyjął z niego swój stary worek. Dzieci go nie lubiły. To był ten sam stary worek, w którym utopił tego szczeniaka labradora, który urodził się zdeformowany. Ten sam stary worek, w którym regularnie przynosił do domu pokrwawione ciała zastrzelonych przez siebie królików. Ten sam stary worek, który powalany był wszelkiego rodzaju strasznymi plamami i okropnie śmierdział.

— Chodźcie, dzieci, chodźcie tu na górę - ponaglał ich Terence. Wciąż oszołomieni wdrapali się w ślad za nim po osypującym się

ziemnym nasypie. Jakiś pyłek wpadł do oka George'owi, który zatrzymał się, zamrugał i zaczął energicznie pocierać powiekę. Tato zawrócił, odłożył swój worek i zajrzał synkowi do oka.

— Czujesz, gdzie on jest? Spójrz w górę... a teraz w bok. Nie, nic nie widzę, George. Chyba wypadł.

Zaczęli torować sobie razem drogę przez szumiący ocean dojrzewającej pszenicy. Emily trzymając za rękę George'a, Lisa trochę z tyłu. I tato, który przez cały czas mówił do siebie i gestykulował, wyprzedzając ich o parę kroków: nigdy zbyt blisko i nigdy zbyt daleko.

— Jak myślicie, dzieciaki! — zawołał. - Czy to nie jest jeden z tych dni?

Emily spojrzała w górę. Niebo było ciemnobrązowe - naprawdę ciemnobrązowe! — a chmury gnały po nim jak spuszczone z uwięzi ogary. Gnały tak szybko, iż mogło się wydawać, że wiruje wokół nich cały świat; mogło się wydawać, że cały stan Iowa kręci się na olbrzymim trzeszczącym i dudniącym talerzu gramofonu.

— Alouette, urocza Alouette — zaśpiewał Terence, a potem zagwizdał, podskoczył w górę, obrócił się do nich twarzą i zakręcił kilka razy nad głową starym workiem. — Pamiętacie tę piosenkę?

Pamiętasz tę piosenkę, Emily? Kiedy byłaś małym dzieckiem, wprost ją uwielbiałaś. Śpiewałem ci ją przez cały dzień i przez całą noc, przez cały dzień i przez całą noc, i niech mnie kule biją, jeśli kłamię.

Dzieci przebiegły kilka kroków i zatrzymały się. W twarze zaczęły kłuć je krople deszczu.

— Ocal nas — krzyknął Terence, brodząc po kolana w pszenicznych kłosach. - Ocal nas, prosimy, ocal nas, Boże!

— Ocal nas! - zapiął swoim cienkim piskliwym głosikiem George. Wszędzie wokół nich wirował kurz i plewy.

- Ocal nas - zaintonował Terence- Ocal nas, ocal nas. Ocal nas!

- Ocal nas! - krzyczały dzieci. - Ocal nas!

- Ale od czego nas ocal? - zapytał Terence, odwracając się, żeby wbić szeroko otwarte oczy w całą trójkę, lecz jednocześnie ani na chwilę nie przestając posuwać się wielkimi krokami do tyłu. Ocal nas od czego, dzieci? Ocal nas od czego?

— Ocal nas od Pana Wooga-boogah! — krzyknął George.

— O, nie — odparł, potrząsając głową, Terence. - Nie od Pana Wooga-boogah.

— Ocal nas od złej krwi? — próbowała zgadnąć Lisa. Terence dał trzy kolejne kroki do tyłu, nie spuszczać z oczu

Emily. A potem podniósł w górę stary worek i wydał z siebie przenikliwy okrzyk podobny do kwiczenia świni.

— Naturalnie — zawołał. — Ocal nas od złej krwi! Ocal nas od tej złej, złej krwi! Ocal nas od zła,

od ciała i od diabła!

— Ocal nas od zła, od ciała i od diabła! - zapiszczał George. Ocal nas od zła, od ciała i od diabła!

Po przejściu niecałego kilometra natrafili na głęboką bruzdę, przypominającą stare koryto strumienia albo zaorany pas ziemi, mający chronić las przed pożarem. Bruzda zarośnięta była dziewannami, których szerokie liście drżały bezustannie na wietrze; drżały i trzęsły się niczym nerwowe dłonie.

Terence stanął w miejscu i mrużąc oczy przed pyłem i wiatrem zatrzymał gestem dzieci.

Najpierw popatrzył w głąb bruzdy, a potem wygiął plecy w łuk i spojrzał prosto w pędzące niebo.

Chmury sunęły po nim tak szybko, że na krótką chwilę stracił równowagę i o mało się nie wywrócił.

Tak! Zbliżał się huragan, zbliżało się tornado, zbliżała się trąba powietrzna, czuł to wszystkimi porami skóry. Z pewnością nie była to odpowiednia pora, żeby uganiać się i tańczyć po polu.

— O, Boże w niebiosach, ocal nas od tej złej, złej krwi! — krzyknął w niebo.

— Ocal nas! — powtórzyły posłusznie dzieci.

— Ocal nas, Panie! - zawołał.

— Ocal nas - powtórzyły dzieci.

Odbiegł od nich lalka kroków, wymachując workiem. Dzieci stały stłoczone razem na skraju bruzdy, trzymając się wszystkie za ręce i czekając, aż wróci. Terence był bardzo wysoki, chudy i niezgrabny. Miał wyraźnie podniesione do góry jedno ramię i wystającą z jednej strony klatkę piersiową, tak jakby matka upuściła go, kiedy był małym dzieckiem. Jego głowa była również wielka i kanciasta, jak obuch siekiery. Rudawe włosy miał przycięte bardzo krótko, tak że tył głowy wydawał

się pokryty wzorem w gałązkę. Chociaż ubrany był w spraną marynarkę z denimu i workowate sprane dżinsy, jak przystało na robotnika, jego skóra miała niezdrowy biały odcień a pod oczyma widniały fioletowe kręgi, tak jakby był urzędnikiem rachmistrzem albo lalkarzem. Kimś, kto spędza całe dnie za zamkniętymi drzwiami, dużo pali i rzadko rozmawia z ludźmi.

Wrócił do nich, brodząc przez sięgającą do kolan pszenicę, pociągnął nosem, zakaszłał i wytarł

nos wierzchem dłoni.

- Musimy się pomodlić - powiedział. Tembr jego głosu był teraz o wiele niższy, o wiele poważniejszy. — To właśnie musimy teraz zrobić. Musimy się pomodlić. Lisa podniosła lewą dłoń, żeby osłonić twarz od deszczu.

— Strasznie pada, tato. Zimno mi. Chcę wracać do domu.

- Ja też chcę do domu — dodał George.

Emily trzęsała się z zimna, ale nie odezwała się ani słowem. Emily obserwowała uważnie swego ojca powiększonymi przez soczewki okularów oczyma. Od małości słyszała, jak opowiadał o złej krwi, a także o Biblii i o Rzeczach, Których Kobiety Nigdy Nie Powinny Robić. Mówił także o czymś jeszcze, czego właściwie do końca nie rozumiała, ale co zawsze ją przerażało, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego. Mówił o Zielonym Wędrowcu.

Pamiętała, jak krzyczał do mamy: „Usłyszysz kiedyś jego pukanie, Iris, z pewnością usłyszysz!

Ale nigdy, ale to przenigdy nie otwieraj drzwi Zielonemu Wędrowcowi. Nawet w najśmielszych marzeniach nie roj, że otwierasz przed nim drzwi!”

Kiedy była bardzo mała, spytała go niewinnym tonem, kim właściwie jest ten Zielony Wędrowiec. Krew odpłynęła mu wtedy z przerażającą szybkością z twarzy i zaczął się trząść, jakby dostał ataku padaczki. Nie pytała go już potem o Zielonego Wędrowca. Nie miała śmiałości. Ale nadal nawiedzały ją we śnie nie kończące się koszmary o stukających niespodziewanie w środku nocy do drzwi intruzach, o czymś zielonym i niewysłowionym, co chciało się wdrzeć do domu. O gnijącym od środka człowieku, który nadal chodził, z dłońmi, których wierzch porośnięty był mchem zamiast włosami, i ze skrytą za płataniną chwastów twarzą. O Zielonym Wędrowcu.

Czasami, we wczesnych godzinach poranka, kiedy mama spała i mruczała przez sen, Emily widziała swego ojca stojącego bez ruchu na podwórku — widziała go stojącego nago, bladego jak woal i wpatrującego się w parkan, wpatrującego się w alejkę za domem albo być może nie wpatrującego się w nic konkretnego.

Słyszała, jak pani van Dyke z apteki Medicap mówiła, że jej tato jest w dwóch procentach człowiekiem, a w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach valium.

Terence w ogóle nie dokuczał dzieciom nigdy ich nie uderzył i naprawdę bardzo rzadko strofował. Całował je, układał do snu i opowiadał bajki. Wiedziały, że je kocha, i przez większość czasu był bardzo zabawny. Ale nie sposób było wyzbyć się uczucia, że coś jest z nim nie w porządku.

Za często zabawa stawała się zbyt rozpaczliwa, żarty zbyt uporczywe, a łachotki zbyt gwałtowne. I z jakiegoś nieodgadnionego powodu Emily wiedziała, że przyczyną całego zła jest ona: ona i jej rodzeństwo.

Czasami, kiedy Terence wracał wieczorem z pracy, nie można było po prostu do niego podejść.

Chodził po pokoju z twarzą skrytą w dłoniach i złorzeczył Bogu. Złorzeczył również samemu sobie.

— Dlaczego to zrobiłem? — powtarzał bez końca. — Dlaczego to złobiłem? Dlaczego to zrobiłem, chociaż wiedziałem?

Mając osiem lat Emily domyśliła się, co miał na myśli, pytając „dlaczego to zrobiłem?”

Miał na myśli „dlaczego zgodziłem się mieć dzieci?”

Ale po co zadawał sobie bez przerwy to pytanie i o czym takim wiedział — tego nigdy nie odkryła.

Deszcz zmoczył jej okulary. Lisa ścisnęła ją za rękę zimną lepką dłonią, ale Emily nie zwracała na to uwagi. Emily obserwowała swego ojca i ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

Terence odłożył stary worek i zbliżył się do dzieci z lekko roztargnionym, nieobecny wyrazem twarzy.

— Emily? — zapytał. — Musimy się pomodlić.

— Tato, ja chcę do domu — odezwała się Lisa. — Pada deszcz, zrobiło się strasznie i nie chcę przemoknąć.

George tupnął energicznie stopą.

— Doctor Foster! — zapiszczał. — Pojechał do Gloucester! W strumieniach deszczu!

Terence wziął Emily w ramiona i przytulił mocno do siebie.

— Moja kochana — powiedział. — Moja kochana dziewczynka. Nigdy nie zapomnij, jak bardzo cię kochałem.

Nie był wcale pijany. Emily czuła tylko zapach mydła Dial, papierosów i ten słodkawy odór, którym zawsze nasiąkało jego ubranie, zwłaszcza kiedy wracał z pracy. Jak sam mówił, pracował w

„branży spożywczej”. Nie wyjaśnił jej jednak nigdy, co to naprawdę miało znaczyć.

— Ja też cię kocham, tato - powiedziała ostrożnie.

Terence uścisnął ją raz jeszcze, a potem wziął w ramiona Lisę i też mocno przytulił do piersi.

— Lisa, kochanie, gdybyś tylko wiedziała, ile dla mnie znaczysz Gdybyś tylko wiedziała...

Lisa nie odezwała się ani słowem, rzuciła tylko z ukosa szybkie spojrzenie Emily, spojrzenie, po części zaborcze (to mój tato), a po Węści zdumione (po co nas tu w ogóle przywiózł i dlaczego taki jest w nas nagle rozkochany?).

Na koniec Terence przykucnął, zmierzwił włosy George'owi i przyciągnął go do siebie.

— George... czy ty wiesz, co to znaczy dla mężczyzny, kiedy ma własnego syna?

Mały pokiwał głową.

— Wiem — odparł. — Czy możemy już wracać do domu? Terence ponownie zmierzwił jego włosy w geście nieskończonej czułości i George ponownie z irytacją je przygładził. Terence uśmiechnął się, a potem wyprostował. Deszcz szeleścił w pszenicznych kłosach, a wiatr wciąż się wzmagał. Z

pewnością nie była to odpowiednia pora, żeby tańczyć po polu. To w ogóle nie była odpowiednia pora na tańce.

— Musimy się pomodlić — powiedział Terence. Pomódlcie się, dzieci. Nadszedł czas, aby zrobić, co do nas należy. Uklękajcie, podziękujcie Panu Bogu i poproście Go, żeby wybawił was od złej krwi.

— Wpadł do kołuzy, w sam jej środek i nigdy z niej nie wyszedł! - zawołał George.

— Mówi się „kałuzy”, a nie „kołuzy”, George — upomniała go Emily.

— Musimy się pomodlić, dzieci — powtórzył z rosnącym zniecierpliwieniem w głosie Terence.

— Rozumiecie mnie? Uklękajcie, padnijcie na kolana przed Panem Bogiem.

Cała trójka popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Deszcz zacinał coraz mocniej, a on prosił, żeby uklękły w tym błocie?

— Módlcie się! — wrzasnął głośno. — Na litość boską, módlcie się! Lisa uklękła pierwsza.

Potem George. Na końcu Emily. Deszcz padał teraz tak rzęsiście, że prawie nic nie widziała i musiała zdjąć okulary, by wytrzeć je o skraj swojej kusej sukienki. Ziemia była twarda i pokryta grudami, które ocierały jej gołe kolana, ale pomyślała, że im szybciej zrobi to, co kazał tato, tym szybciej będzie po wszystkim, wsiądą z powrotem do samochodu i pojedą do domu na kolację. Mama na pewno upiekła szynkę. W sobotnie popołudnie zawsze piekła szynkę. I zawsze dawała Emily pierwszy plasterek, pociemniały od miodu i pachnący goździkami, a do tego kukurydzę albo dynię.

- Zamknijcie oczy - powiedział Terence i dzieci zamknęły oczy. Emily słyszała smagający pole deszcz. Słyszała zawodzący wiatr i kroki ojca, który chodził w tę i z powrotem, deptając z trzaskiem kłosa.

— Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje — powiedziała najgłośniejszym głosem, jak mogła.

Dołączyła do niej Lisa, a potem George. George nie znał jeszcze zbyt dobrze „Ojcze nasz” i połykał niektóre słowa.

— Zbaw nas od złej krwi, Panie — powiedział Terence.

— Zbaw nas! — powtórzyły dzieci.

Emily słyszała krążącego za ich plecami ojca. Otworzyła oczy i obróciła się, szukając go wzrokiem, ale on natychmiast to zauważył.

— Trzymaj oczy zamknięte, Emily! - krzyknął. - Trzymaj oczy mocno zamknięte, kochanie! I módl się! Bo inaczej nie zostaniesz zbawiona!

Posłusznie zamknęła ponownie oczy. Ale potem dobiegł ją najbardziej drażniący nerwy dźwięk, jaki

słyszała w swoim życiu. Jej ojciec śpiewał — ale nie normalnym głosem, lecz dziwnym świergotliwym falsetem, tak jakby udawał kobietę. Zadrżała z zimna. Miała przemoczoną sukienkę i strasznie chciało jej się do toalety; bała się jednak poruszyć, zanim pozwoli na to ojciec.

— Prowadź, dobre światło... prowadź przez mroki nocy - śpiewał. — Prowadź mnie dalej!

Słyszała, jak za nimi krąży, nie przestaje krążyć.

Nie usłyszała jednak, jak otwiera stary worek, sięga ostrożnie do środka i wyciąga z niego swój największy sierp — sierp, którego używał normalnie do przycinania krzaków jeżyn. Nie widziała, jak przesuwa kciukiem po ostrzu, przecinając opuszkę aż do kości, takie było ostre, i wysysając w zamyśleniu ciekącą ze skaleczenia krew.

— Noc jest ciemna — zaśpiewał — a ja jestem daleko od domu; prowadź mnie dalej!

Krew z przeciętego kciuka pociekła dwoma szybkimi strużkami po jego lewym nadgarstku i w głąb rękawa. Terence podszedł do dzieci ze swoim specjalnie naostrzonym sierpem; na jego twarzy malował się spokój i współczucie. Ocal nas — tłukło mu się w głowie. - Ocal nas od naszej złej krwi.

Wiatr wiał teraz tak zaciekle, że plewy kłuły go w policzki, a w powietrzu wirowały srebrne łądygi perzu. Odsłonięta szyja małego George'a była taka cienka i biała, z pokrywającym ją meszkiem włosów i jednym małym pieprzykiem. Gdyby George żył dostatecznie długo, żeby stać się próżny, z pewnością zoperowałyby sobie te odstające uszy. Ale lepiej było zakończyć to w ten sposób lepiej dla George'a, ponieważ dzięki temu nigdy nie dowie się, co to jest próżność albo zakłopotanie i na zawsze pozostanie czysty.

Błogosławieni, którzy są czystego serca; albowiem oni zobaczą oblicze Pana.

Terence stanął za George'em, trochę z jego prawej strony.

- Ojcze, Ojcze, jesteś w niebie, imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, wola Twoja - szeptał

George.

Terence podniósł sierp, który błysnął srebrzyście w powietrzu A potem zamachnął się i jednym uderzeniem ściał George'owi głowę Głowa potoczyła się w najgęstsze łądygi dziewanny; roślina przestała trzepotać liśćmi i cała zadygotała. Z szyi George'a trysnęła wysoka na metr kolumna jasnoczerwonej krwi, a potem jego ciało upadło do przodu, w błoto.

Terence dał szybki nerwowy krok w lewo i nie czekając ani sekundy rozplątał sierpem szyję Lisy — przecinając warkoczyki, skórę, mięśnie i kręgi — ale nie do końca. Lisa krzyknęła cicho

„och", tak jakby wymierzył jej policzek, nic więcej, a Terence poprawił uchwyt i ciał ponownie, tym razem z góry, prosto w krtań. Głowa spadła jej z ramion i zatrzymała się na ziemi za plecami.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi błękitnymi oczyma; w ustach połyskiwał założony na

zęby aparat. Tryskająca zygzakami z otwartej szyi krew zalała twarz i ręce Terence'a.

Emily usłyszała odgłosy cięcia, szmery i inne hałasy i ośmieliła się otworzyć oczy. Odwróciła się i ujrzała swego ojca, stojącego z podniesioną ręką i twarzą w szkarłatnych plamach. Nie dostrzegła sierpa — ale zobaczyła leżącą na ziemi Lisę. Zobaczyła, że różowa bluzka siostry pochlapana jest krwią. A potem zorientowała się, że George także leży na ziemi.

— Tato? — pisnęła zduszonym głosem.

Tato posłał jej spokojny, pewny siebie, radosny uśmiech.

Wtedy właśnie zrozumiała, że chce ją zabić.

Poczuła, jak ogarnia ją absolutne przerażenie. Powoli i chwiejnie podniosła się z kolan i zaczęła oddalać. Krople deszczu zacinały ją w twarz, kapały z rzęs i spływały po policzkach. Terence zbliżył się do niej z wciąż podniesioną ręką.

— Emily? Emily? — odezwał się miękko, tak jakby śpiewał kołysankę. — Słuchasz mnie, moje dziecko? Kocham cię. Musisz zostać ocalona! Nie możesz pozostawić George'a i Lisy samych.

Musisz zostać ocalona, moja piękna córeczko.

Opuścił rękę, bardzo szybko, i coś otarło się o jej ramię. Poczowała kłujący ból, niczym od ukąszenia pszczoły, ale dopiero kiedy dotknęła bolącego miejsca ręką i poczuła pod palcami ciepły, lepki strumień, zrozumiała, co takiego zrobił jej ojciec. Terence ponownie uniósł rękę i tym razem spojrzawszy w górę zobaczyła sierp.

Chciała do niego przemówić, chciała poprosić, żeby tego nie robił. Była przecież jego Emily, jego Emily! Była pierwszą i najdroższą córeczką taty! Ale nie potrafiła znaleźć słów, żeby mu to wyjaśnić. Miała zbyt zaciśnięte gardło i klatkę piersiową i sparaliżowany strachem umysł.

Zamiast próbować go przekonać, odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

Nie myślała, dokąd biegnie. Wiedziała tylko, że jeśli chce przeżyć, musi biec tak długo, aż ojciec nie zdoła dotrzymać jej kroku.

— Emily! - zawołał za nią. - Emily, wracaj tutaj!

Zniknęła w łanie pszenicy. Kłosa smagały ją po kostkach, deszcz zacinał po twarzy. Słyszała pierzchające we wszystkich kierunkach zwierzęta — myszy, szczury, zbożowe monstra. Normalnie bała się ich, ale nie dzisiaj. Dzisiaj musiała uciekać. Musiała uciekać, choćby przyszło jej przebiec bez zatrzymania całą drogę do domu.

Pędziła, potykała się na kolejnych brzdach. Miała podrapaną twarz, a do sandałów powpadały jej kamyki i grudy ziemi. Wiedziała, że ojciec jest bardzo blisko. Słyszała jego ciężkie chrzęszczące kroki, ścigające ją niczym postać ze złego snu. Niczym Zielony Wędrowiec, który wali bez ustanku

do twoich drzwi. Słyszała, jak Terence łapie kurczowo oddech, woła i prosi:

— Nie możesz zostawić swojego brata i siostry samych, Emily! Oni cię potrzebują!

Była tak przerażona, że prawie zapomniała, jak się biegnie. Kusiło ją, żeby się zatrzymać, paść na kolana i pozwolić tacie zrobić to, co zamierzał. Ale widziała tyle krwi, widziała zaciśnięte pokrwawione palce swojej siostry i wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Lisa jest martwa i George prawdopodobnie także. Miała przerażającą pewność co do tego, że jeśli ojciec ją dogoni, ona zginie również, i dlatego właśnie nie zwalniała kroku.

Za zalanymi deszczem szklami jej okularów widać było wytrzeszczone jak u królika oczy.

Terence nie był specjalnie wysportowany, ale nie był również kimś, kto łatwo daje za wygraną.

Terence nie lubił doznawać bólu, ale ból jest jedynym sposobem uzyskania tego, na czym człowiekowi naprawdę zależy, tak mówił zawsze jego ojciec. Jego ojciec bił go po kłykciach stalową linijką i powtarzał z chytrą satysfakcją w głosie: „Jeśli coś nie zostało okupione cierpieniem, nie jest nic warte”.

Ojciec Terence'a wiedział o cierpieniu wszystko. Ojciec Terence'a ożenił się z matką Terence'a.

A matka Terence'a... tej nocy w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym...

Terence nie mógł sobie pozwolić, żeby o tym myśleć, nie w tej chwili. Kiedy myślał na ten temat, kompletnie go to paraliżowało, unieruchamiało cały jego system nerwowy jakby w lodowatym imadle, A teraz musiał złapać Emily. Musiał! Musiał odpokutować za to, że spłodził swoje dzieci.

Tak, odpokutować za tyle przejawów bezdusznego egoizmu. Musiał uwolnić swoje dzieci, musiał je wyzwolić. Pragnął ich wolności bardziej niż czegokolwiek innego. Myśl o tym, żeby je wyzwolić, płonęła w jego umyśle jasna niczym zapalony magnez, czysta niczym ogień.

Dlatego tak zaciekle ścigał Emily. Była młoda i przestraszona.

Prędko się zmęczy i potknie. Wtedy ją dogoni. Wtedy będzie mógł ją ocalić, tak jak ocalił już Lisę i George'a.

Łapał kurczowo powietrze. Niech będzie pochwalony Pan w niebiosach! Niech będzie pochwalony! Pan! W niebiosach!

Emily zbliżała się do szosy, niedaleko miejsca, w którym stał zaparkowany przy nasypie ich samochód. Popołudnie było tak mroczne, że trudno było powiedzieć, gdzie kończą się pola pszenicy, a gdzie zaczyna niebo. Deszcz uderzał w asfalt pod ostrym kątem, tak że nad szosą unosiła się przypominająca nie kończącą się procesję duchów wodna mgiełka. Daleko, pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt kilometrów na zachód niebo przecinały błyskawice, a w górę wznosiły się gęste czarne zasłony ziemi, dziesiątki ton rolniczego czarnoziemiu wirującego w powietrzu i zasłaniającego słońce.

Emily obróciła się tylko jeden raz, żeby zobaczyć, jak bardzo zbliżył się do niej ojciec. Terence podniósł w górę obie ręce.

— Emily! Emily! — zawołał. — Nie wiesz, co robisz, kochanie! Nie wiesz, jaki cię czeka los!

Nagle zaczepił stopą o kępę trawy, potknął się i padł na jedno kolano. Podnosząc się zobaczył mrugające w oddali światło krótki jasny błysk samochodowych reflektorów. Emily musiała zobaczyć je również, ponieważ zaczęła rozpaczliwie machać chudymi ramionami i przez szum deszczu i ogłuszające wycie wiatru Terence usłyszał jej piskliwe krzyki.

Przyśpieszył kroku i biegł teraz z zaciśniętymi pięściami i skrzywioną z wysiłku twarzą. Serce waliło mu w piersi tak głośno, iż zdawało mu się, że to ktoś gdzieś blisko zajadłe i bezsensownie okłada kijem martwego spaniela.

Boże! Jeśli jej nie dogoni, Emily nie zostanie zbawiona, nie zostanie zbawiona!

Samochód podjeżdżał coraz bliżej; w snopach jego świateł iskrzyły się krople deszczu. To był brązowa półciężarówka El Camino, podskakująca w górę i w dół na nierównej nawierzchni. Emily wrzeszczała teraz wściekle, wymachując ramionami i pędziła tak szybko, jakby ścigał ją sam Szatan, jakby Śmierć we własnej osobie siedziała jej na karku.

Terence wołał za nią świszczącym głosem, kręcąc nad głową sierpem, który świstał i zawodził podobnie jak on. - Emily! Zaczekaj, Emily! Zaczekaj, kochanie!

Ale Emily ześlizgnęła się po osypującym się, błotnistym nasypie i wybiegła na drogę. Kierowca półciężarówki musiał ją zauważyć, ponieważ samochód zwolnił i zatrzymał się; jego wycieraczki nadal wściekle zamiatały przednią szybę. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy.

Terence przeskoczył kilka ostatnich rozpadlin, ześlizgnął się z nasypu i wybiegł zdyszany i spocony na asfalt, zaciskając w dłoni zakrwawiony sierp.

Emily omal nie zderzyła się z przednimi drzwiami. Kierowca, który wysiadł z samochodu, wyciągnął lewą rękę i przyciągnął ją obronnym gestem do siebie.

Wysoki i chudy, miał białe włosy, okulary i szary płócienny płaszcz z rodzaju, który noszą zegarmistrzowie albo szlifierze diamentów. Szare poły płaszcza trzepotały w powietrzu; włosy mężczyzny rozwiewał wiatr. Objął ramieniem Emily i Terence spostrzegł podchodząc bliżej, że na jego twarzy maluje się wyraz bezwzględnej determinacji — niczym na obliczu doktora B. H.

Keeby'ego, dentysty, który pozował do obrazu Granta Wooda „Amerykański gotyk” — choć przecież był to tylko typowy mieszkaniec Iowy — „pocziwy i solidny”. Terence zobaczył również siedzącą na fotelu pasażera żonę kierowcy: chudą i białowłosą, czekającą, jak czynią to wszystkie tego rodzaju kobiety, na wynik tego, co postanowią mężczyźni.

— Niech pan się cofnie! — krzyknął stary. — Słyszysz mnie pan? Niech pan się cofnie!

Terence obejrzał się w udawanym zdziwieniu w prawo, w lewo, a nawet do tyłu. Deszcz zacinał mu prosto w oczy. Ale przez cały czas trzymał nad sobą w żelaznym uścisku zakrwawioną rękojeść sierpa, tak jakby tkwił on przyśrubowany magicznym sposobem w powietrzu i stanowił część jego własnego ciała.

— Nie wiem, kim pan jest, proszę pana, ani co pan chce zrobić powiedział stary. — Ale niech pan się lepiej cofnie.

— To moja córka — zawołał Terence, podchodząc ostrożnie, krok po kroku, coraz bliżej. —

To moja mała córeczka.

Rozłożył szeroko ręce, żeby pokazać, że jest niewinny i nie ma żadnych złych zamiarów.

— Nie chcę wcale wiedzieć, kim pan jest i o co tutaj chodzi odparł stary. — Szeryf się tym zajmie.

— Niech pan nie dotyka mojej córki - ostrzegł Terence.

— Nie ma mowy, proszę pana. Ta mała panienska pojedzie z nami. Terence powoli i zdecydowanie pokręcił głową.

O nie powiedział cicho, tak cicho, że starszy mężczyzna z początku go nie usłyszał. O nie, ta mała panienska musi zostać zbawiona.

Niech pan się cofnie! krzyknął na niego stary, popychając Emily na przednie siedzenie półciężarówki. Ostrzegam pana, niech pan się nie zbliża!

Ale Terence podchodził ostrożnie coraz bliżej i w końcu zatrzymał się zaledwie pół metra od kierowcy. Krople deszczu spływały po jego policzkach i zwisały niczym diamentowe kolczyki z płatków jego uszu. Przyjrzał się staremu, jakby nigdy w życiu nie widział kogoś do niego podobnego.

Mężczyzna chwycił mocno drzwi samochodu i lekko zadrżał, ale odwzajemnił spojrzenie z całą śmiałością, na jaką stać kogoś naprawdę przestraszonego. Terence postukał ostrzem sierpa w drzwi.

— Ta mała panienska jest moją małą panienką, mój panie — powiedział — i jeśli spróbuje mi pan ją odebrać, dopuści się pan porwania. Co więcej, przez pana jej dusza pójdzie prosto do piekła i będzie się przez całą wieczność smażyć w ogniu. Naprawdę chce pan to wzdać na swoje sumienie?

— Abner — zawołała niespokojnie żona kierowcy ze środka samochodu. — Nie chcemy nikogo denerwować i wtrącać się w cudze sprawy.

Terence podniósł sierp i przysunął go staremu do twarzy.

— Zgadza się, Abner — powiedział. — Nie chcemy nikogo denerwować, prawda? — Powoli uniósł

ostrze i zdjął nim kroplę deszczu, która zwisała mężczyźnie z nosa. - Co ty na to, Abner? Co powiedziałbyś na małą darmową operację kosmetyczną? Mógłbym oderżnąć ci ten stary brzydki nochal, zanim zdążyłbyś powiedzieć Jehoszafat.

Zerwał się kolejny podmuch wiatru i półciężarówka zakołysała się na zużytych resorach.

— Nie życzę sobie, żeby pan mi groził — oświadczył stary. Nie powiem, że się pana nie boję, bo to by była nieprawda. Ale córka czy nie córka, nie widzę, jak mógłbym oddać panu tę dziewczynkę. Chyba pan to rozumie. Gdyby coś jej się stało, do końca życia nie dawałoby mi spokoju sumienie.

Terence opuścił sierp w dół.

— Nie dawałoby ci spokoju sumienie? Więc to jest coś, co nazywają plamą nie do wywabienia, tak? Cholerną, nie dającą się wywabić plamą?

Przez moment trwała dziwna cisza; nikt się nie odzywał, słychać było tylko zawodzenie wiatru i bębniący o karoserię półciężarówki deszcz. Rozpadał się cały świat, od Hawkeye Downs aż po Indian Creek. Na północnym zachodzie, nad Marion, chmury rozjaśniła kolejna błyskawica i w powietrzu rozeszła się silna woń ozonu, przypominająca zapach świeżo otwartych grobów.

Terence miał zamiar coś powiedzieć, ale przerwał mu głośny, przenikliwy, skrzypiący odgłos.

Wybałuszył oczy i zerknął przez ramię starego w stronę skrzyni półciężarówki.

- Co to, u diabła, było? - zapytał,

— Nic. Nic takiego.

— Nic z pewnością nie skrzeczy jak wcielony diabeł. Stary wzruszył ramionami.

— To tylko świnię. Dwa wieprze rasy Berkshire, które wiozę do swojego kuzyna w Bertram.

Niech mi pan wierzy, proszę pana: ja nie chcę żadnych kłopotów. Proszę.

Terence wpatrywał się w niego bez jednego mrugnięcia okiem, zupełnie bez ruchu, mimo deszczu, którego krople spływały mu po twarzy. A potem obszedł z uniesionym sierpem samochód i zajrzał do tyłu. Na podściółce z mokrej słomy stały spętane dwa potężne młode wieprzki. Jeden był

różowy w czarne plamy, tak jakby ktoś ochlapał go atramentem, drugi cały różowy. Widząc zbliżającego się Terence'a niespokojnie zachrząkały, a jeden z nich zakwicział i zaczął wściekle kopać i walić w boczną ścianę półciężarówki.

Terence podszedł do samochodu i oparł łokcie o skraj skrzyni, trzymając sierp wysoko, tak żeby wieprze mogły go zobaczyć. Oba znajdowały się teraz w stanie bliskim hysterii, kwicząc, chrząkając i próbując wyzwolić się z więzów.

— Przestraszyłem je, prawda? — zapytał, przez chwilę je obserwując. A potem podszedł z

powrotem do starego, ocierając mokre czoło wierzchem dłoni, w której trzymał sierp.

— Świnie — odezwał się mężczyzna, próbując przekrzyknąć wiatr — dobrze się znają na ludzkim charakterze. Są bożymi stworzeniami, tak samo jak my. Wiedzą, co jest co.

— Słyszałem o tym — odparł Terence. — Słyszałem również, że człowiek, który spojrzy w oko świni, może zobaczyć, jak prędko umrze.

— Proszę pana... — odezwała się ze środka samochodu żona kierowcy. — Pańska córeczka trzęsie się cała z zimna. Proszę, niech pan nam pozwoli odjechać. Nie powiemy nikomu, co się tutaj stało, obiecujemy.

Terence zignorował ją.

— Spójrz świni prosto w oczy, Abner — powiedział.

— Co takiego?

— Spójrz jej w oczy. Zobacysz, kiedy umrzesz.

Abner zawahał się. Wiatr zaczął wiać jeszcze mocniej i nagle tuż nad ich głowami zabrzmiał

potężny odgłos gromu, od którego zadrżał asfalt. Wieprze zakwiczały przerażone. Deszcz jakby zawahał się przez moment, a potem lunął ze zdwojoną siłą i nad drogą ukazało się jeszcze więcej kroczących w procesji duchów.

— Jestem przemoczony do suchej nitki, proszę pana, a cierpię na zapalenie stawów.

— No dalej, Abner powiedział Terence, popychając mężczyznę ostrzem sierpa. Spójrz jej w oczy, mówię ci. Nie potrzebujemy kryształowej kuli ani fusów od herbaty, Abner. Nie potrzebujemy igły.

Stary ostrożnie obrócił głowę do tyłu. Wieprzki przestały już kwiczeć i kopać, ale wciąż były bardzo niespokojne i szarpały krępujące je pęta. Zalatywał od nich ostry zapach uryny i strachu.

— Moja Dorothy mówi prawdę, proszę pana — oświadczył zdławionym głosem stary. — Nie powiemy nikomu ani słowa, przysięgam.

— Spójrz jej w oczy, Abner — powtórzył Terence. Mężczyzna wyciągnął szyję w stronę dwóch wieprzków. Jeden z nich przestał się szarpać i stanął nieruchomo, chodak jego brat wciąż ocierał się o niego bokiem. Podniósł ryj i posłał staremu spojrzenie, w którym było współczucie, smutek, a może zakłopotanie. Ostatecznie, jak powiedział stary, świnie były podobnie jak on bożymi stworzeniami.

Rzęsy wieprza były białe i ostre, ale jego oko przejrzyście czarne. W zaokrąglony sposób odbijały się w nim wszystkie detale — bok półciężarówki, strugi deszczu, pędzące po niebie chmury i chuda postać kulącego ramiona mężczyzny, który szukał we własnym obiadu jakiegoś magicznego znaku, że zostanie mu udzielona łaska.

Odbił się w nim również zakrzywiony błysk sierpa niczym wschodzący na przyspieszonym filmie księżyc w nowiu.

Stary odwrócił głowę na ułamek sekundy, zanim Terence opuścił ostrze, i zdołał jeszcze podnieść rękę, żeby się zasłonić. Sierp uciął mu cztery palce lewej ręki, a potem wbił się w lewą stronę twarzy, odrąbując górną część ucha, większość policzka i gruby szkarłatny kawałek wargi.

Mężczyzna krzyknął i runął ciężko na półciążarówkę. Świnie zakwiczały także i ogarnięte paniką zaczęły kopać i wierzgać. Krew zachlapała tylną szybę i fotel kierowcy. Krzyczała również Emily.

Terence był teraz naprawdę wściekły. Święty dzień przeobraził się w farsę. Dzień zbawienia został zakłócony przez intruzów i bluźnierców, głupich hodowców świń i ich kobiety.

Przewalił się nad nim kolejny grzmot. Stojąc nad rannym mężczyzną, Terence zaczął zadawać mu kolejne uderzenia sierpem.

Stary krzyczał i próbował się podnieść, ale jego zakrwawiona dłoń ześlizgnęła się bezsilnie po mokrych drzwiach, zostawiając na nich rozmyty wodą hieroglif.

Terence obciosywał go w ślepej furii, zadając ukośne uderzenia najpierw z prawej, potem z lewej strony. Mężczyzna nie przestawał wydawać z siebie niskiego, drżącego skowytu; sierp trafił go kolejno w tył głowy, w twarz i wyciągnięte ręce.

Krew tryskała na wszystkie strony. Terence nigdy w życiu nie widział tyle krwi, z wyjątkiem rzeźni. Miał wrażenie, jakby brał w niej prysznic.

Sierp wydawał miły dla ucha siekący dźwięk, niczym wgrzyzające się w jabłko zęby. Terence odrąbał w nadgarstku prawą dłoń mężczyzny, a potem jego lewe przedramię. Odrąbał większą część jego skalpu, tak że włosy starego wisiały teraz w krwawych strzępach nad czołem. Wszędzie dookoła fruwały kawałki dała.

W desperackiej próbie obrony stary zgiął się wpół, przyciskając twarz do zmoczonej deszczem nawierzchni i Terence zaczął go teraz ze straszliwą determinacją siec po plecach i ramionach.

Płócienny płaszcz pociemniał od krwi.

Z tyłu półciążarówki świnie nie przestawały przeraźliwie kwiczeć i ogarnięte śmiertelną paniką kopać w ściany skrzyni.

Terence uniósł w górę sierp, żeby zadać mężczyźnie ostatnie cięcie. W ustach czuł smak krwi i deszczowej wody. Miał zamiar odciąć temu prostakowi głowę od ramion, nawet jeśli oznaczało to, że ten stary dureń zostanie ocalony — jak Lisa i George.

Ale kiedy próbował opuścić sierp w dół, poczuł zaciskające się na jego nadgarstku kościste szpony. W przystępie wściekłości i frustracji obrócił się z twarzą umazaną krwią. Żona rannego, Dorothy, wysiadła w końcu z półciążarówki, zaszła go od tyłu i ogarnięta furia złapała za rękę.

— Przestań! — krzyczała. — Przestań! Przestań! Zabijasz go! To mój mąż! Co on ci takiego zrobił?

Terence uwolnił rękę i spojrzał z podziwem na kobietę. Naprawdę zdumiało go to, że chciała mu przeszkodzić. Była taka krucha, białowłosa i koścista jak przepiórka. Można było pomyśleć, że przewróci się na wietrze i deszczu. Miała na sobie dzinsy i koszulę w czerwoną kratę, a w uszach czerwone plastikowe kolczyki. Była żoną tego wieśniaka; starą żoną jeszcze starszego od niej kmiotka.

— Zabijasz go! — powtórzyła z oczyma pełnymi łez.To mój mąż, ojciec moich dzieci, a ty go zabijasz!

Terence spojrzał w dół. Zgięty wpół mężczyzna klęczał obok niego na asfalcie, przyciskając mocno do piersi kikuty rąk. Skrzypiał niczym zardzewiałe drzwi, eerrggghhh, errrggghhh, i cały się trząsał. Krew kapiała z jego ust i wyciekała szeroką strugą spod całej skulonej sylwetki, mieszając się z deszczem.

— Jeszcze go nie zabiłem - odparł Terence cichym, roztargnionym głosem. - Nie dlatego, żebym nie chciał... tego nie może mi pani zarzucić, Obciałem mu chyba wszystko, co się dało.

Oczywiście oprócz głowy, ale właśnie miałem się do niej zabrać.

— Zostaw go w spokoju - rozkazała kobieta. Zdjęła nalane deszczem okulary, ale ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Terence'a. To mój mąż. Zostaw go w spokoju.

Terence obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i potarł prawy łokieć tak jakby całe to machanie sierpem lekko go nadwerężyło. Świnie uspokoiły się trochę, odkąd przestał dąć, ale kiedy na nie spojrzał, zaczęły ponownie kwiczeć ze strachu.

Odwrócił się z powrotem w stronę starej kobiety, odchylając jednocześnie do tyłu prawą rękę, po czym z całą gracją dobrego tenisisty zamachnął się sierpem, który błysnął w powietrzu, nabierając rozpędu i ciach! — głowa Dorothy spadła z jej ramion, chlustając krwią niczym przewrócone wiadro i uderzyła z głuchym łoskotem o podłogę skrzyni, po czym potoczyła się aż do samej tylnej kłapy i znieruchomiła z szeroko otwartymi oczyma, które wpatrywały się w słomę, tak jakby widziały ją pierwszy raz w życiu.

Jej ciało stało nadal w siekącym deszczu, wyrzucając z siebie wysoką na trzydzieści albo czterdzieści centymetrów pulsującą fontannę krwi, która tryskała z uciętej szyi. Terence nie spuszczał z niej wzroku. Wydawało się niewiarygodne, że zdekapitowane ciało mogło stać aż tak długo: tak jakby wierzyło, że potrafi żyć dalej bez głowy. Oczekiwał prawie, że to coś da krok do przodu albo spróbuje go złapać. Ale potem uderzył nagle ostry szkwał i pod bezgłową postacią ugięły się kolana.

Wykręciła krzywego pirueta i upadła na zakrwawiony asfalt obok swego męża. Przez chwilę drżała jej jedna stopa, obuta w tani płócienny pantofel, ale potem i ona znieruchomiła.

Terence ciachnął ponownie mężczyznę w ramię — bardziej z urazy niż z autentycznej chęci zrobienia mu krzywdy. Stary przyjął kolejne uderzenie bez słowa skargi. Był tak udręczony, że pragnął już tylko

umrzeć.

— Dlaczego mnie nie zabijesz? — zaszlochał. — Dlaczego mnie nie zabijesz?

— Bo i tak jesteś już martwy! — odpowiedział Terence, podnosząc głos, żeby stary usłyszał go przez łoskot burzy. - Wszyscy jesteśmy martwi. Jaka to różnica? Wszyscy jesteśmy wędrowcami, wszyscy. Wszyscy wybraliśmy się w podróż, z której nie ma powrotu.

— Pierdol się — odparł mężczyzna i ze sposobu, w jaki to powiedział, można się było domyślić, że nigdy przedtem, w całym swoim życiu, nie użył brzydkiego słowa, w stosunku do nikogo: ani chłopca, ani mężczyzny. Zawsze trzeźwy, zawsze uczciwy, w każdą niedzielę w kościele.

Takiego właśnie człowieka zasięgnął na śmierć ojciec Emily.

W końcu upadł; a Terence wyprostował się, znużony, roztargniony i niemal znudzony.

- Nie mogłeś zwyczajnie umrzeć? - zwrócił się do trupa. - Nie mogłeś po prostu spokojnie umrzeć? Musiałeś zrobić z tego przedstawienie. Musiałeś przeklinać. Na półtorej minuty przed wejściem do Królestwa Niebieskiego musiałeś przeklinać.

Burza rozszalała się na dobre. Deszcz siekł pola pod ostrym kątem i bębnił po karoserii półciężarówki. Krew, którą przelał Terence, rozpuszczała się w wodzie i spływała, mieszając się z błotem, do rowów.

Trzymając wysoko rękę, żeby osłonić twarz przed deszczem, Terence podszedł na sztywnych nogach do otwartych drzwi samochodu i zajrzał do środka. Otwarte były również drzwi od strony pasażera. Na pochłapanych krwią i deszczem siedzeniach leżały podniszczona beżowa skórzana torebka, plastikowa torba na zakupy i złożona jasnoniebieska robótka — sweter albo dziecinna marynarka. Cokolwiek to było, nigdy nie zostanie skończone. Nigdzie jednak ani śladu Emily. Tylko skrzypiące na wietrze drzwi i spływający po szybie deszcz.

Terence wyprostował się i rozejrzał dookoła, pociągając nosem, mrugając i osłaniając oczy obiema dłońmi. Gęste strugi deszczu sprawiły, że pola pokryła przejrzysta srebrna mgiełka i nie sposób było zobaczyć coś dalej niż na sto metrów.

— Niech to diabli, muszę ją ocalić — szepnął. — Nadszedł ten dzień, dzisiaj jest ten dzień.

Muszę ją ocalić. Nie mogę jej teraz opuścić.

Potykając się co chwila, tak jakby go ktoś uderzył, krążył nerwowo przed półciężarówką.

Deszcz spływał mu za kołnierzyk i kapał z czubka nosa. Sprawdził skraj drogi, szukając śladów stóp, ale padało tak rzęsiście, że rowy i ich obrzeża zamieniły się w spienione bajora brunatnej gliny. Dobry Boże w niebiosach, miał wrażenie, że zaraz utonie. Mokre dzinsy przykleiły mu się do nóg, koszula do pleców. A wiatr wciąż się wznagał. Świnie w tyłu półciężarówki przestały kwiczeć i zaczęły przeraźliwie pojękiwać, tak jak to robią ludzie przekonani, że zaraz umrą.

— Emily! — wołał Terence. — Gdzie jesteś, Emily?

Zmrużył oczy i starał się zobaczyć coś przez deszcz. Z początku nie widział nic. Ale potem —

co to było? Poruszający się w mroku kwiat? Kwiat, krzew czy mała dziewczynka w za ciasnej na nią kwiecistej sukience, uciekająca, ile sił w nogach, mała dziewczynka w zalanych deszczem okularach?

Terence przeciął na ukos asfalt i chlupocząc nogami wybiegł na pole. A potem odgarnął do tyłu włosy grzbietem dłoni, w której trzymał sierp, i przyspieszył kroku. Buty i nogawki dżinsów mia!

ciężkie od błota, ale nie zwalniał tempa. Bolały go nogi i ręce; płuca miał zapchane flegmą. Ale nie bacząc na to, odchylił głowę do tyłu, zacisnął mocno oczy i przysiągł Panu Bogu, że wybawi swoją Emily od tego wszystkiego, wybawi ją, wybawi!

To była pszenica ozima. Wbiegł w nią pod kątem piętnastu albo siedemnastu stopni w stosunku do szosy. Przed sobą, był tego pewien, widział poruszającą się kwiecistą sukienkę i wiedział, że to musi być, że to jest Emily.

Był zbyt zdyszany, żeby zawołać ją po imieniu, ale ponownie zacisnął oczy i odmówił za nią modlitwę, przyrzekając, że ją wybawi, niezależnie, ile to go będzie kosztowało, niezależnie, jak długo będzie musiał biec.

Będzie biegł aż do zachodu słońca, ale ją wybawi. Za ledwie sto metrów przed nim dreptała, zanosząc się płaczem, Emily. Wiedziała, że tato ją ściga, choć nie obejrzała się ani razu. I tak zresztą by go nie zobaczyła. Ulewa była tak gęsta, że dawno już zdjęła z nosa okulary i trzymała je w ręku.

Była kompletnie wyczerpana i przemoczona aż do podkoszulka, ale wiedziała, że nie może się zatrzymać. Nie widziała, jaką śmiercią zginął Abner, i nie widziała, jaką śmiercią zginęła Dorothy, ale słyszała kwik świń i widziała krew, która spryskała tylną szybę półciężarówki; wiedziała więc, że musi uciekać.

Nie wiedziała, dokąd biegnie. Nie wiedziała nawet, gdzie jest. Deszcz zaczął się trochę zmniejszać. Terence czuł, że się zmniejsza, i czuł, że słabnie siła wiatru. Sylwetka Emily była teraz widoczna całkiem wyraźnie; to na pewno ona. Jej sukienka i jej blade zabłocone nogi.

Wydał z siebie stłumiony nosowy okrzyk triumfu. To wszystko wkrótce się skończy i Pan otrzyma swoją ofiarę. Zakręcił nad głową sierpem, który zafurkotał na deszczu; Pan był z nim. Gdyby nie był taki zdyszany, gdyby nie miał tak kompletnie zatkanych płuc i nosa, zawołałby głośno

„Alleluja!” Koniec ze złą krwią.

Teraz dzieliło ich tylko trzydzieści metrów. Błoto było tak gęste, że Emily ledwie przebierała nogami. Biegący za nią ojciec utrzymywał równe tempo; słyszała jego ciężkie kroki, kiedy mijał

kolejne bruzdy. Obróciła się; był teraz tak blisko, że nawet bez okularów widziała jego niewyraźny zarys. Wysoką, rozmazaną postać, przypominającą roztopiony do połowy cień, z zakrzywionym jasnym ostrzem w dłoni.

I wciąż się zbliżał, zaciekle i zdeterminowany. Nie wołał do niej, w ogóle się nie odzywał; kręcił tylko powoli nad głową tym ostrzem i biegł tym równym ciężkim krokiem.

Udało się jej przebiec kolejne sto metrów, a potem to wszystko okazało się ponad jej siły: szok z powodu tego, co się stało, krew, deszcz i kwiczące świny. Potknęła się, upadła w błoto i leżała tam płacząc, zdyszana i kompletnie wyczerpana, tak że tato mógł zwolnić do normalnego kroku i podejść do niej całkiem powoli, z opuszczonym sierpem, ocierając deszcz z twarzy, przemoczony i zasapany, ale wciąż pełen współczucia.

Otworzyła oczy i zobaczyła jego zabłocone buty i zabłocony dół dżinsów, nie miała jednak odwagi spojrzeć wyżej.

Usiadł obok niej, w błocie, i schował głowę między kolana. Miał wrażenie, jakby jego serce zrobione było z kawałka pumeksu i przy każdym uderzeniu ocierało się o żebra. Był mokry od deszczu i mokry od potu, umazany krwią, śmierdzący i ledwo żywy. Ale wiedział, że kiedyś zgrzeszył; że Pan kazał mu teraz zmasać te grzechy; i że wybawienie Emily stanowi ostatni czyn, którego musi dokonać, żeby zasłużyć sobie na niebo.

— Emily? — powiedział w końcu, łapiąc ciężko powietrze. Emily wlepiła w niego w milczeniu oczy, zbyt zdyszana i przerażona, żeby się odezwać.

— Muszę powiedzieć, Emily, że dałaś mi niezłą szkołę, to jedno trzeba ci przyznać.

Odchrząknął, zakasłał i splunął na deszcz.

— Powiem ci, kochanie, że biegnąc tak szybko niemal mnie wykończyłaś. O mały włos, a stanąłbym przed swoim Stwórcą jeszcze przed tobą. — Przez chwilę milczał, próbując złapać powietrze. — Kocham cię, Emily — odezwał się w końcu ponownie. — Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Kocham cię tak samo mocno jak Lisę i George'a. Kocham cię z całej duszy. I dlatego właśnie muszę to zrobić. Nie będziesz mnie winić za to, co musiałem dziś zrobić? Nie będziesz mnie źle sądziła? To wszystko dla twojego dobra, wierz mi, kochanie. To właśnie jest to, co rozumiemy przez pokutę, co rozumiemy przez zmasanie grzechów. To właśnie mamy na myśli, mówiąc: wybac mi, Boże, zgrzeszyłem, zgrzeszyłem naprawdę mocno, a teraz przepraszam cię za to, co zrobiłem, w jedyny sposób, jaki znam.

Emily przełknęła ślinę. Zabolało ją w gardle.

— Nie zabijaj mnie — poprosiła.

Terence pociągnął nosem, zasępił się i potrząsnął głową.

— Proszę, nie zabijaj mnie — powtórzyła. Starła się nie podnosić głosu, tak jak to czyni większość ofiar, które nie chcą sprowokować nierozważnie swoich prześladowców. Deszcz nadal siekł ich po twarzach. Oboje byli tak mokrzy i ubłoceni, że prawie nie różnili się od stogów siana albo usypanych przez buldożer zwalów ziemi. Zlali się w jedno z pejzażem Iowy.

Terence podniósł się na nogi i wytarł ostrze sierpa o zabłocony rękaw.

- Musisz usiąść, kochanie powiedział. Inaczej me uda mi się gładko odjąć ci głowy.

Emily pozostała tam, gdzie była, leżąc na boku w brudzie. Miała otwarte powieki, ale oczy zasnuwała jej mgła i oddychała ciężko przez usta.

Terence pochylił się nad nią i postukał w ramię końcem sierpa.

— Emily - powiedział miękko. - Musisz usiąść.

— Pan Jezus chce, żebym została promyczkiem - odparła matowym głosem.

Terence uśmiechnął się i pokiwał głową. Z nosa zwisała mu cienka nitka śluzu.

— Zgadza się, Emily, jak najbardziej. Pan Jezus chce, żebyś została promyczkiem.

Emily usiadła w końcu, opierając się na jednej ręce. Terence okrążył ją, podskakując niczym marionetka, przepojony poczuciem misji, niepomny na deszcz, niepomny na burzę, myśląc tylko o tym, co może dla niej zrobić. Może ją zbawić. Może ją posłać do nieba, prosto z tego mokrego i smaganego wiatrem pola do nieba, gdzie jest tak ciepło i wszystko skąpane w złocistej poświacie!

- Gotowa jesteś? — zapytał.

Emily wydawała się kompletnie oszołomiona. Była kompletnie oszołomiona. Potrafiła myśleć tylko o mamie, ciepłym łóżku i szynce na kolację. Nogi bolały ją od biegu i zimno jej było w mokrym ubraniu. Miała nadzieję, że umieranie nie będzie bolało.

Terence pochylił się tak, że jego nos znalazł się zaledwie pięć czy sześć centymetrów od jej twarzy.

— Mam zamiar cię ocalić, Emily. To będzie coś wspaniałego! Spotkasz Pana Jezusa, Jana Chrzciciela i wszystkie niebieskie aniołki. Nie będzie już więcej złej krwi, Emily. Nie będzie już więcej złej krwi.

Emily zmrużyła oczy. Wydawało jej się, że za ramieniem taty, daleko we mgle, widzi migające niebieskie światło. Na moment znikło i pomyślała, że to złudzenie albo daleka błyskawica. Ale potem zobaczyła je ponownie, tym razem wyraźniej: niebieskie światło, a potem również czerwone.

— Chodź, kochanie, uporajmy się z tym wreszcie - powiedział Terence. — Jest czas życia i czas umierania; teraz nadszedł dla ciebie czas umierania.

Emily umyślnie odwróciła wzrok od migających świateł. Bała się, że tato może zobaczyć je również i ciachnie ją, zanim uda jej się uciec.

— Czy mogę wyczyścić najpierw okulary? — zapytała. Nie zdołała wymyślić nic innego. Chcę zobaczyć wyraźnie świat, ten jeden ostatni raz.

— Chcesz wyczyścić okulary? - zdziwił się, tak jakby poprosiła o coś całkiem absurdalnego, o skórzane krótkie spodnie, o big maca albo ostatnią przejażdżkę toboganiem po Jones Parku. Ale potem zmienił zdanie. Czemu nie? Dlaczego nie pozwolić jej zobaczyć świata takiego, jaki jest: nędznego, wyludnionego i smaganego burzami. Zadowolona będzie, że go opuszcza. Jasne odparł. Proszę bardzo. Aby tylko nie zajęło ci to całego dnia.

Staął tuż obok niej z zamkniętymi oczyma i podniesioną głową, chcąc jeszcze raz poczuć na twarzy strugi deszczu. Apokalipsa! Oto nadchodzi Królestwo!

Emily siedziała w błocie, uparcie starając się wyczyścić okulary rąbkiem sukienki. Kiedy założyła je na nos, wciąż były mokre, ale zrozumiała, że jest uratowana; Bóg w końcu się nad nią ulitował.

Widziała teraz to, czego nie widział tato: posuwające się powoli przez pole, rozmazane w smugach deszczu, migające błękitno-czerwone światła dwóch policyjnych samochodów.

Zatrzymały się oba nie dalej jak piętnaście metrów od nich. Otworzyły się drzwi i wyskoczyli z nich z pistoletami w dłoniach policjanci.

— Tato? — zapytała nerwowo Emily. Terence z początku jej nie usłyszał.

— Tato? — powtórzyła trochę głośniejsze. Gotowa była rzucić się do ucieczki, gdyby tylko próbował zamachnąć się sierpem.

Terence otworzył oczy. Ramiona miał rozpostarte niczym ukrzyżowany Chrystus.

— Nie ruszaj się! — zawołał jeden z funkcjonariuszy. Terence obrócił się o czterdzieści pięć stopni.

— Nie ruszaj się! — krzyknął powtórnie policjant i Terence zastygł w bezruchu. — Rzuć ten sierp!
— padł kolejny rozkaz.

Przez jedną długą sekundę Emily myślała, że jednak go nie rzuci, że spróbuje ją ciachnąć. Ale potem, nawet na nią nie patrząc, Terence pozwolił, żeby sierp wyslizgnął mu się z palców. Upadł na ziemię, rączką do góry.

— Teraz padnij na twarz! — krzyknął policjant.

Terence powoli ukląkł, a potem położył się z rozpostartymi rękoma na ozimej pszenicy.

Podbiegł do nich młody funkcjonariusz z czarnym wąsikiem. Podniósł Emily z błota i trzymając ją w ramionach potruchtał z powrotem do samochodu. Jego kurtka była mokra, a odznaka uwierała ją w ramię.

— Czy jest poważnie ranna? — usłyszała głos któregoś z policjantów.

— Ma zadraśnięte ramię, to wszystko. Jest prawdopodobnie w szoku. Zawieź ją szybko do centrum medycznego Mercy.

Emily owinięto w koc i ułożono na tylnym siedzeniu. W samochodzie unosił się zapach winylu, środków dezynfekujących i starych cygar. Kiedy posłała ostatnie spojrzenie tacie, wciąż leżał z rozpostartymi rękoma na ziemi. Obok stało dwóch policjantów. W oddali widziała ciemny korkociąg trąby powietrznej i przypomniała sobie, co mówił tato za każdym razem, kiedy widzieli tornado: „To diabeł. wybijający hołubce na dobrej Bożej ziemi”.

Policyjny samochód wjechał z powrotem na szosę i ciągnąc za sobą tuman mżawki ruszył z włączoną syreną w stronę Cedar Rapids.

Kiedy mijali brązową półciężarówkę El Camino, pomachał im niedbale stojący na poboczu zwalisty mężczyzna w mokrym kapeluszu szeryfa i obszernym plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym.

Zza maski samochodu wyszedł z postawionym do góry kołnierzem jego zastępca. Mimo burzy wcale nie zdjął z nosa przeciwsłonecznych okularów ze szklami koloru bursztynu.

— Nie mogę znaleźć jej głowy! — zawołał. Szeryf sprawiał wrażenie poirytowanego.

— Nie zabrał jej chyba ze sobą? Zastępca potrząsnął głową.

— Cholera — zaklął szeryf. — Tego tylko potrzebowałem. Na dodatek w samym środku burzy.

Zastępca pochylił się i zajrzał pod siedzenia. A potem ruszył w stronę tyłu samochodu. Wieprze zakwiczały na niego gniewnie i cofnęły się o krok.

Jezu, ale te świny są drażliwe.

Szeryf także podszedł do półciężarówki. Jeden z wieprzy zaczął wydawać nieprzyjemne odgłosy również pod jego adresem, ale wcale go to nie zraziło.

— Zamknij się, świński ryju — powiedział i zajrzał do środka skrzyni. Jeden z wieprzy nie przestawał kwiczeć, ale drugi posapywał tylko głośno, grzebiąc pyskiem w słomie. Dwie rygienki w metalowej podłodze wypełnione były zabarwioną na czerwono deszczową wodą i to ją właśnie zlizywał chciwie drugi wieprz.

Krew? Skąd, u diabła, wzięła się tutaj krew?

Szeryf przyjrzał się skrzyni samochodu dokładniej i wtedy właśnie zobaczył to, czego szukali: twarz starej kobiety, która spoglądała nań nieśmiało spod słomy, tak jakby złapał ją na zabawie w chowanego.

— Boże wszechmogący - szepnęła i lekko zadrżała. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że stara posyła mu figlarny uśmiech. - Henry! zawołała. - Możesz przestać szukać! Mamy ją!

ROZDZIAŁ II

Kiedy szeryf przybył do domu Pearsonów, pani Pearson wciąż siedziała w kuchni w swoim niebieskim fartuchu w kwiatki. Była szczupłą, całkiem ładną kobietą w wieku trzydziestu sześciu

albo siedmiu lat, z kanciastą twarzą Katherine Hepburn, siwiejącymi blond włosami i zmęczonymi oczyma koloru bławatków, które wyblakły zasuszone między kartkami książki.

W uszach miała srebrne kolczyki z czarnymi onyksami. Rodzaj kolczyków, które mogła kupić przed wielu laty, jako młoda dziewczyna.

Kuchnia była dobrze wyposażona, ale w dziwny sposób staroświecka. Stała w niej pochodząca z lat sześćdziesiątych lodówka Westinghouse'a z wążącymi dwie tony niebiesko-różowymi drzwiami, ekspres do kawy firmy Robbiati z nierdzewnej stali i zastawiona garnkami kremowa kuchenka General Electric naprawdę gigantycznych rozmiarów. Piecyk już wyłączono, ale w kuchni wciąż było ciepło i parno i unosił się zapach pieczonej szynki.

Razem z panią Pearson siedziała Edna Bulowski (stalowe oprawki okularów, owłosiony pieprzyk i brązowe włosy, zaplecione w warkoczyki). Posłała szeryfowi spojrzenie, które oznaczało

„lepiej delikatnie”.

— Pani Pearson... Iris - powiedziała.

Gospodyni uniosła roztargniony wzrok. Znajdowała się najwyraźniej w szoku. Nie płakała, ale obracała bez przerwy w dłoniach chusteczkę i wyglądała, jakby w każdej chwili mogła się zupełnie rozkleić.

— Iris, to jest szeryf Friend. Chce ci zadać kilka pytań.

Szeryf zdjął z głowy zmoczony skautowski kapelusz i umieścił go na stole.

— Dzień dobry, Iris. Możesz mi mówić Luke.

Iris kiwnęła w odpowiedzi słabo głową. Luke odsunął od stołu krzesło.

— Nie pogniewasz się, jeśli usiądę? — zapytał. — Obiecuję, że się pode mną nie złamie. Masz jakąś kawę w tym dzbanku, Edna? Przez ostatnie trzy godziny stałem na drodze numer sto pięćdziesiąt jeden w trakcie istnego oberwania chmury.

Szeryf Friend był potężnym, barczystym mężczyzną, mierzącym grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, z krótko obciętymi brązowymi włosami i szeroką słowiańską twarzą. Na skali swojej łazienkowej wagi zobaczył tego ranka sto trzydzieści osiem kilo — i to po zrzuceniu pięciu kilogramów na specjalnej diecie, podczas której nie wolno mu było jeść „żadnych ciastek, żadnych kartofli i absolutnie żadnych snickersów”. Luke był zawsze duży, nawet jako dziecko; może to wina hormonów, a może kuchni jego matki. Kiedy był chłopcem, rodzina Friendów nigdy nie wstawiała od obiadu, dopóki wszyscy nie zmiotli z talerzy wieprzowych sznycli, farszu i słodkich ziemniaków, po których podawano słodkie biskwity, lody i kremowe ciastka — a wszystko popijane galonami zimnego mleka.

Luke był wielki, ale zadziwiająco zwinny jak na mężczyznę swojej postury. W weekendy chodził przeważnie na lekcje judo, a poza tym kiedy tylko mógł, pływał i ćwiczył do upadłego w New Life

Fitness World przy Trzeciej Alei.

— Iris — powiedział, biorąc panią Pearson za rękę. — Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, jak bardzo nam jest przykro, wszystkim pracownikom biura szeryfa. To straszna tragedia. Taka rzecz nigdy nie powinna się nikomu przydarzyć. A najgorsze jest to, że przytrafiła się właśnie tobie.

— Dziękuję — szepnęła Iris. Oczy biegały jej po całej kuchni. Wszyscy są tacy mili.

— W drodze tutaj zadzwoniłem do szpitala. Emily czuje się dobrze. Nie musieli jej nawet zakładać szwów. Jutro będzie mogła wrócić do domu.

— Dziękuję — powtórzyła, kiwając głową, Iris.

Edna Bulowski podała Luke'owi filiżankę czarnej kawy. Szeryf wyjął z jednej z przeznaczonych na naboje pętli przy pasku tubkę sweetexu i wrzucił do filiżanki pięć pastylek słodzika. Przez chwilę się zastanawiał, a potem dorzucił jeszcze jedną.

— Iris — powiedział. - Wiem, że to jest naprawdę meczące po tym wszystkim, co się dzisiaj stało, ale im szybciej uda mi się odkryć, dlaczego Terence zrobił to, co zrobił, tym lepiej.

Iris potrząsnęła głową.

— Nigdy nie rozumiałam dlaczego - stwierdziła.

Luke energicznie zamieszał swoją kawę.

— Nigdy nie rozumiałaś dlaczego?

— Nie — szepnęła. - Nigdy.

Luke przez chwilę się nad tym zastanawiał.

— Skoro mówisz, że nigdy nie rozumiałaś dlaczego, to zakładam, że ta sytuacja od pewnego czasu się rozwijała... Czy groził kiedyś, że to zrobi?

— Nie — odpowiedziała Iris.

— A więc nigdy przedtem nie groził, że to zrobi? Całkowicie cię to zaskoczyło?

— Nigdy przedtem ani też dzisiaj. Po prostu to zrobił, nic mi nie mówiąc. Zabrał dzieci i pozabijał je, nic mi nawet o tym nie mówiąc.

— Ale powiedziałaś, że nigdy nie rozumiałaś dlaczego. Wzruszyła ramionami. W jej oczach zalśniły łzy.

— Bo nigdy. Całe to gadanie o Biblii i złej krwi. Nie przestawał o tym mówić, nigdy. Nie minął ani jeden dzień, żeby nie wspomniał o złej krwi. Nigdy nie zrozumiałam, co chciał mi przez to

powiedzieć. Prosiłam, żeby wyjaśnił. Nie wyobrażasz sobie, ile razy prosiłam, żeby mi to wyjaśnił.

Ale za każdym razem odpowiadał: „to prywatna sprawa, to wstydliva sprawa i nikt nie powinien o niej wiedzieć”.

Luke pociągnął łyk kawy, a potem ostrożnie odstawił filiżankę na spodeczek.

— Od jak dawna mówił na ten temat?

— Odkąd się pobraliśmy. W ostatni Dzień Pracy minęło dwanaście lat. Przez pierwszych kilka miesięcy wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku. Wszystko szło wspaniale! Ale potem pojechaliśmy na jakiś czas do jego ojca w Des Moines i wtedy się zmienił. Całkowicie, bez żadnego ostrzeżenia. Zaczął się gryźć, zaczął mieć koszmary, zaczął mówić o Biblii. Nie przestawał opowiadać o złej krwi.

— Czy próbowaliście pójść do jakiegoś specjalisty? — zapytał Luke. — No wiesz, psychiatry albo może księdza?

Iris ponownie potrząsnęła głową.

— Mówił, że nic mu nie jest. Mówił, że dopóki nie będziemy mieli dzieci, dopóki nie będziemy kusić losu, nic złego się nie stanie.

— Dopóki nie będziecie mieli dzieci?

— Właśnie.

— Ale wy przecież mieliście dzieci - stwierdził Luke. — Całą trójkę.

Iris spuściła wzrok.

— Tak — powiedziała. - Całą trójkę.

- Dlaczego, skoro tak wyraźnie ostrzegał cię, żeby ich nie mieć?

— Nie wiem. Tak jakoś wyszło. Najpierw zaszłam w ciążę z Emily. Emily to był przypadek.

Powiedziałam Terry'emu, że jeśli naprawdę chce, mogę przerwać, ale on nie chciał o tym słyszeć.

Oznajmił, że dobrze czy źle, to się musiało zdarzyć. Wydawało mi się, że był zadowolony. Naprawdę zadowolony. Ale kiedy urodziłam, zamknął się w swoim pokoju na prawie cztery dni, a jak stamtąd wyszedł, wyglądał okropnie. Prawie jak szkielet. Chudy, zdziczały... no, nie wiem.

— Powiedział ci dlaczego?

— Nie — odparła w zamyśleniu Iris. — Nie... nigdy nie mówił dlaczego. — Spuściła oczy i omiotła nimi podłogę, tak jakby wciąż szukała czegoś, co wypadło jej z rąk: kolczyka albo śrubki ze

srebrnego ekspresu firmy Robbiati. — Byłam oczywiście ciekawa. Ale Terry nie jest człowiekiem, któremu można zadawać zbyt wiele pytań. Nie zrozum mnie źle, ale jest dobrym ojcem. — Przerwała i przez chwilę miętoszyła z całej siły chusteczkę. — Był dobrym ojcem... aż do teraz, aż do dzisiaj.

Dzieci uwielbiały go i on także sprawiał wrażenie, że je uwielbia. Tak myślałam. Naprawdę tak myślałam. W innym wypadku nigdy nie dałabym mu ich zabrać. Trzymałabym je w domu i nigdy nie pozwoliłabym mu ich dotknąć.

Luke obserwował ją przez chwilę z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu. Lubił obserwować ludzi. Mógł często powiedzieć o kimś więcej po pięciu minutach obserwacji niż po pięciu godzinach przesłuchania. Ich gesty; ich niespodziewane uśmiechy. Sposób, w jaki siedzieli sztywno albo w jaki się wiercili. Ludzie, którzy mówią prawdę, nie obgryzają po każdym zdaniu paznokci. Ludzie, którzy mówią prawdę, nie gapią się w sufit. Nigdy.

— Co się tutaj działo, Iris? — zapytał w końcu. — Powiniennem to wiedzieć. Nie musisz martwić się Terryem, tym, że jeśli powiesz, zrobi ci jakąś krzywdę. Złapaliśmy go na gorącym uczynku. Resztę swoich dni spędzi w Fort Madison, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie masz się czego obawiać.

Iris spojrzała na niego tymi wyblakłymi, łamiącymi serce oczyma. Otworzyła usta, tak jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale potem z powrotem je zamknęła.

Luke podniósł się z krzesła, obszedł stół i stanął przy zlewie, wyglądając przez okno. Na jego dolnej połowie zawieszona była zasłotka w pogodną czerwoną kratkę, ale przez górną widział czarne burzowe chmury wiszące nad śródmieściem Cedar Rapids i deszcz, spadający z nieba szarymi żalobnymi całunami. Burza przeszła już nad dzielnicą południowo-zachodnią, ale wciąż padało, a w rynnach bulgotała woda.

— Nie pogniewasz się, jeśli poczęstuję się jednym z tych ciasteczek? — zapytał Iris, otwierając pokrywkę porcelanowego słoja przypominającego kształtem małą beczułkę wypełnioną kwiatami.

Widniał na nim napis: „Czech Village, Cedar Rapids, Iowa”.

Iris nie odpowiedziała, w związku z czym Luke wziął trzy orzechowe ciastka i zaczął je chrupać, stojąc przez cały czas za jej plecami, żeby móc widzieć jej twarz odbijającą się w szybie kuchennego kredensu.

— Bardzo dobre — stwierdził. — Nie powinienem ich jeść, ale mam słabą wolę.

— Ja też — powiedziała matowym głosem Iris.

— Czemu tak sądzisz?

— Chyba zawsze wiedziałam — odparła po krótkiej chwili — że któregoś dnia zrobi coś strasznego. Czulałam, jak to w nim wzbiera.

— Iris — powiedział Luke, obserwując jej odbicie w szybie. To nie jest twoja wina. To nie jest

niczyja wina oprócz Terry'ego, a Terry jest teraz za kratkami. Nie mogłaś nic zrobić. Nie mogłaś.

— Mogłam powiedzieć, żeby nie jechali! — zawołała, zalewając się łzami i obracając na krześle.

— No tak — zgodził się Luke, gładzącą po włosach. — Mogłaś to zrobić, jasne. Ale dlaczego miałabyś to zrobić? Nie było wystarczającego powodu, czyż nie tak?

— Ale był przecież ten jego pokój. Powinłam się domyślić, że któregoś dnia stanie się coś złego. Normalni ludzie nie mają własnego pokoju.

— O czym ty mówisz? — zapytał Luke. — Jaki pokój? Iris otarła oczy.

— Terry miał swój pokój. Na górze, z tyłu domu. Zawsze zamykał go na klucz i nigdy nie pozwolił mi tam wejść.

— Ani razu?

— Ani razu.

Luke przełknął ostatnie ciastko i strzepnął okruszki z koszuli.

— Co twoim zdaniem tam trzyma?

— Nie wiem... próbowałam się domyślić. Z początku sądziłam, że jakieś nieprzyzwoite czasopismo albo coś w tym rodzaju. Ale potem pomyślałam: nie... dobrze nam się ze sobą współżyje, po co miałby się zamykać w pokoju i oglądać świerszczyki? Potem sądziłam, że tam medytuje...

wyzwała się od codziennego życia, próbuje naładować z powrotem swoje baterie, no wiesz. Wreszcie przestałam się zastanawiać, bo nie potrafiłam wyobrazić sobie, co tam takiego trzyma i dlaczego spędza tam tyle czasu. Po prostu przyjęłam do wiadomości fakt, że to robi i że nigdy się nie dowiem.

Luke uniósł pokrywkę największego garnka.

— Kukurydza? Zawsze uwielbiałem kukurydzę. Iris posłała mu krótkie spojrzenie.

— Możesz się poczęstować. Ja nie będę jadła, nie teraz.

— Hmm... nie kuś mnie - odparł. Nie licząc ciasteczek Iris nie jadł nic od samego śniadania.

Ale nie byłby w stanie dotknąć kolacji tej rodziny, podobnie jak nie mógłby wziąć do ust nadgryzionej martwej wrony czy pieczonego szczura. Ta rodzina została porąbana na kawałki przez zły los i szaleństwo, a dwaj najmłodszy jej członkowie nie będą potrzebowali kolacji tam, dokąd poszli.

Podniósł pokrywkę następnego garnka, a potem jeszcze jednego. Dynia, marchewka i czerwona kapusta. Biedna Lisa - pomyślał. Biedny George.

Patrzył, jak lekarz sądowy podnosi z ziemi pokrytą srebrną mgiełką wilgoci i pochłapaną krwią plastikową torbę, w której schowana była głowa George'a. W ciągu swojej czternastoletniej kariery szeryfa Linn County obejrzał wiele paskudnych rzeczy; ale nigdy czegoś tak paskudnego jak to. Od razu kiedy ją zobaczył, wiedział, że ten widok będzie go prześladował w koszmarach prawdopodobnie do końca życia.

— Dziś wieczorem miała być pieczona szynka? - zapytał. Starał się nie dramatyzować i utrzymać rozmowę w spokojnym tonie, nie uchylając się jednocześnie przed stawieniem czoła rzeczywistości.

— Tak, to prawda — odparła z żalem Iris. — W sobotę wieczorem zawsze mamy pieczoną szynkę. To ulubiona potrawa Emily.

Luke pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Nie sądzisz, że powinienem zobaczyć pokój Terry'ego? — zapytał tak swobodnie, jak tylko mógł.

— Co masz na myśli?

— Mam na myśli jego prywatny gabinet. Ten, który zawsze zamyka na klucz.

Iris spojrzała mu prosto w oczy i przygryzła wargę.

— Nie mam klucza. A w ogóle Terry'emu wcale by się to nie spodobało! Mógłby łatwo...

— Mógłby łatwo co, Iris? — zapytał Luke. — Mógłby łatwo wpaść w gniew? Mógłby łatwo stłuc cię na kwaśne jabłko?

— Nigdy nie podniósł na mnie ręki — odparła Iris. - Nigdy mnie nie uderzył.

— Nie — zgodził się Luke. — Nie wydaje mi się, żeby musiał, prawda? — Obszedł z powrotem kuchenny stół i stanął naprzeciwko niej. Daleko na niebie zaświeciła błyskawica i na chwilę przygasły kuchenne światła. — Terry jest za kratkami, Iris - przypomniał jej. — Terry jest za kratkami i prędko zza nich nie wyjdzie. Nie musisz się już go dłużej bać... obiecuję.

Iris zastanawiała się nad tym prawie przez całą minutę, omiatając niespokojnymi oczyma podłogę. A potem nagle podniosła wzrok.

- Dobrze — powiedziała. — Możesz tam zajrzeć. Powinieneś tam zajrzeć. — Wstała i wygładziła fartuch. - Chodźmy.

Tuż za drzwiami czekała Edna. Musiała dać szybko krok do tyłu, kiedy Iris i Luke wyszli na korytarz.

— Sprawdzimy tylko coś na piętrze — rzekł Luke, posyłając jej szeroki uśmiech.

— Na pewno dobrze się czujesz, Iris? — zapytała Edna.

Iris zrobiła minę, która składała się z dziewięciu różnych min jednocześnie. Odrętwienia,

zobojętnienia, bólu, rozpaczy i jeszcze kilku innych uczuć.

— Czuję się dobrze - odparła, chociaż widać było, że to nieprawda.

— Może chce pan porozmawiać z Rickiem Clarkiem z „Gazette”? — zapytała Edna.

Luke potrząsnął głową.

— Powiedz mu, że kocham go jak brata i że zobaczę się z nim za dwadzieścia minut. Chodź, Iris, obejrzymy sobie ten pokój.

Iris wspięła się po stromych, wyłożonych kwiecistym chodnikiem stopniach. Ściany klatki schodowej oklejone były anemicznie beżową tapetą w bambusowe wzory; wisiało na nich sześć albo siedem rodzinnych fotografii. Luke zerknął z nieprzyjemnym uczuciem na zdjęcie George'a w dzieciennym wózku i pomyślał o jego zapakowanej do torby głowie i drobnym, leżącym w błocie ciałku. Nieczęsto marzył o tym, żeby w stanie Iowa wprowadzono karę śmierci, ale z przyjemnością zobaczyłby, jak Terence Pearson płaci za to, co uczynił ze swoim życiem. Najlepiej na gilotynie.

Weszli na górę i minęli na pół otwarte drzwi dzieciennych sypialni. W pokoju George'a Luke zobaczył pomalowanego na biało konia na biegunach i duży nieporadny rysunek domu stojącego w jasnoniebieskim ogrodzie, z jasnoniebieskimi krzewami i jasnoniebieskimi drzewami. Na podłodze w drugim pokoju leżała na plecach z uniesioną jedną nogą lalka Cabbage Patch — dokładnie tam, gdzie upuściła ją Lisa.

Pokój Terrence'a mieścił się po prawej stronie przy samym końcu korytarza. Iris podniosła rękę i zdjęła klucz z futryny.

— Wiedziałaś, gdzie jest klucz? — zapytał zdumiony Luke. Obróciła się.

— Oczywiście. Wcale go nie chowałam.

— Wiedziałaś, gdzie jest klucz, a mimo to nigdy tam nie zajrzałaś? — Terence powiedział, że będzie zawsze wiedział, czy tam byłam. Luke chciał coś powiedzieć, ale potem ugryzł się w język.

Ludzie żyją, jak im się podoba. Nie dalej jak przed kilku tygodniami włamał się do kawalerki w Roman Apartments przy Drugiej Alei, ponieważ sąsiedzi skarżyli się na nieustanne szczekanie i zobaczył drepczącego na czworakach po salonie nagiego mężczyznę z obrozą na szyi, któremu oglądająca telewizję żona rzucała co jakiś czas psie biskwity.

Iris otworzyła drzwi.

— Myślisz, że naprawdę powinniśmy? — zapytała nerwowo.

— Chcesz, żebym wrócił z nakazem? - odparł Luke.

— Nie — odpowiedziała. - Nie musisz tego robić.

Weszli do środka i Iris włączyła światło. Pokój był całkiem mały, dwa na trzy metry. Jedyne okno zasłaniała poszarzała od brudu gęsta koronkowa firanka. Ściana po lewej stronie zastawiona była całą drewnianymi półkami, które ugiwały się pod ciężarem książek niektórych oprawionych w popękana czarna skórę, innych w podartych papierowych obwolotach. W całym pokoju unosił się kwaśny zapach zakurzonych starych książek — i czegoś jeszcze. Czegoś, co przypominało zasuszone bardzo dawno płatki kwiatów.

Prawa ściana obwieszona była gęsto mapami, astrologicznymi diagramami i wycinkami gazet, z których część pożółkła już ze starości. Luke podszedł bliżej i przyjrzał się niektórym z nich.

Większość pochodziła z „Cedar Rapid Gazette” i wychodzącego co tydzień „Marion Times”, ale było tam także kilka z miejsc tak odległych jak Wichita w stanie Kansas i Omaha w Nebrasce.

Luke przeczytał dokładniej parę z nich, spodziewając się odnaleźć relacje o morderstwach, składaniu ofiar z ludzi i tym podobnych rzeczach, ale wszystkie artykuły dotyczyły zbiorów soi, produkcji kukurydzy i hodowli trzody chlewnej. „Rolnicy z East Amana pobili rekord zbiorów soi”.

„Różycyca dziesiątkuje stado w Hawkeye”. „Spada cena brokułów”. Mapy przedstawiały na ogół

Środkowy Zachód z zacieniowanymi fragmentami, wskazującymi rejony, gdzie miały ostatnio miejsce ulewne deszcze i gradobicia, względnie trwała niespodziewana susza.

Dwa astrologiczne diagramy pokryte były gęsto zrobionymi flamastrem znakami. Podkreślony potrójnie znak Panny łączyła gruba kreska ze znakiem Byka. Na dole jednego z diagramów Terence napisał dużymi literami słowa JUŻ NIEDŁUGO!!!

— Wiesz, co to może znaczyć? — zapytał Luke.

Iris stała w progu ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Potrząsnęła nerwowo głową.

— Czy Terry interesował się w jakiś szczególny sposób rolnictwem? Zbiorami?

Pracował w przemyśle spożywczym.

- Zgadza się - odparł Luke. — W Indian Creek Livestock Supplies. Powiedział nam to. A te gwiazdy?

- Gwiazdy? - powtórzyła zbity z tropu Iris. Gwiazdy... no wiesz. Astrologia.

— Z tego, co wiem, nigdy nie interesował się gwiazdami. To znaczy nigdy nie czytał swojego horoskopu ani niczego w tym rodzaju.

Luke przyjrzał się jeszcze raz wycinkom i diagramom. Nie miał najmniejszego pojęcia, co o tym sądzić. Jaki człowiek śledzi relacje o zbiorach soi, stanie pogody i koniunkcjach gwiazd — i to w tak obsesyjnie szczegółowy sposób?

— Nie mówił wiele o swojej pracy — poinformowała go Iris. Twierdził, że nie jest zbyt interesująca.

— W takim razie o czym mówił?

— Mało się w ogóle odzywał, z wyjątkiem tych przemów o złej krwi. Czasami, kiedy był

bardzo zły, potrafił opowiadać o złej krwi całymi godzinami; i o tym, że nie powinniśmy mieć dzieci, bo one przejęły ją po nas. Mówił także o Biblii i o Bogu. W niedzielę zawsze chodziliśmy do kościoła i Terry wypowiadał się na temat kazania, twierdząc na ogół, że było bardzo złe.

Ponownie spuściła wzrok.

— Można chyba powiedzieć, że nie był pogodzony z samym sobą. Nie był chyba zresztą pogodzony z nikim.

Przy oknie stało kupione z drugiej ręki sosnowe biurko, zbyt tanie i poobijane, by można je uznać za antyk, z przysuniętym blisko, pomalowanym na czarno krzesłem z giętego drewna. Na blacie piętrzyły się pootwierane książki, żółte notatniki i kilka tuzinów ołówków — dosłownie kilka tuzinów, cały las ołówków, najprzeróżniejszej długości, lepiej lub gorzej zatemperowanych. Obok leżał duży myśliwski nóż z zardzewiałym ostrzem i obwiązana sznurkiem rękojeścią. Luke podniósł

go, zważył w dłoni i pociągnął palcem po ostrzu. Choć zardzewiała, nóż był prawie nienaturalnie ostry.

Terence najwyraźniej używał go do temperowania ołówków. Pod biurkiem stał kosz na śmieci, prawie do jednej czwartej wypełniony pachnącymi cedrowymi wiórkami.

Używał go także do strugania. Prawy skraj biurka był ponacinany i porysowany, a w rogu wyryto gniewną twarz mężczyzny.

— Wyrycie czegoś takiego musiało mu zabrać mnóstwo czasu zauważył Luke.

— Przesiadywał tutaj całymi godzinami - odparła Iris.

Obok okna wisiał przypięty do ściany, odbity na grubym kartonie duży czarno-biały sztych, o wymiarach mniej więcej pięćdziesiąt na trzydzieści centymetrów. Wielokrotnie składany i rozkładany, pokryty był rudymi plamkami i spłowiały pod wpływem słońca i wilgoci. Przedstawiał dziwnego uśmiechniętego mężczyznę maszerującego przez porośnięte falującą trawą stylizowane pole. Po jednej stronie pola świeciło jasno słońce, po drugiej zbierały się burzowe chmury. Mężczyzna odziany był w opończę sporządzoną w całości z liści wawrzynu i opasaną serpentynami. Na głowie miał stożkową czapkę, również uplecioną z liści, a w ręku trzymał laskę, wyciętą z kwitnącego drzewa.

Sztych wypełniały setki surrealistycznych drobnych detali. W jednym rogu grało w kości kilka czarnych szurów. W drugim naga dziewczyna wbijała rękę królikowi w ucho, zagłębiając ją aż do łokcia. Luke odsunął od ściany dolny skraj sztychu, żeby sprawdzić podpis. „Maszkarnik, K.

Bulstrode fecit", przeczytał.

— Wiesz coś na temat tego obrazka? — zapytał.

— Nie widziałam go nigdy przedtem.

— Nie ma na nim daty. Ale wygląda na dość stary.

— Terry nie interesował się na ogół obrazkami, z wyjątkiem rodzinnych fotografii. Próbowałam powiesić kiedyś w salonie jeden z obrazów mojej matki, ale o mało nie dostał szału.

— Rzeczywiście?

— Nie przedstawiał niczego szczególnego. Po prostu drzewa. Luke wziął do ręki jedną z książek. „Skrajne zjawiska klimatyczne i ich wpływ na działalność rolniczą” doktora Nilsa Thorsona z Uniwersytetu Iowa. I kolejną: „May Day: Kulturalne znaczenie Święta Wiosny” Janacka Hubry'ego. I jeszcze jedną: „Pogańskie rytuały płodności i inne obrzędy ludowe”.

Odłożył książki z powrotem i wziął do ręki notes Terence'a. Strona po stronie zapisany był

drobnym, równym, ścieśnionym maczkiem. Ale wszystko to było w jakimś obcym języku; z licznymi akcentami i znakami diakrytycznymi nad tekstem.

— Terry mówił w jakimś obcym języku? — zapytał Luke.

— Nie do mnie.

— To mi wygląda na czeski. Czy Terry znał czeski?

Iris potrząsnęła głową.

Luke przesunął palcem po grzbietach stojących na półce tomów. Wszystkie tytuły zdradzały te same zainteresowania co książki na biurku. Rolnictwo. Astrologia. Obrzędy ludowe. I religia. Trzy dolne półki wypełnione były Bibliami. Musiało ich tam stać czterdzieści albo pięćdziesiąt, różnego wieku i różnego pochodzenia. Były tam tanie wydania Gideona, które można znaleźć w hotelowych pokojach, ale także obite w czarną skórę tomy z bogatymi złoceniami. Były. Biblie francuskie, Biblie niemieckie, Biblie polskie i Biblie hiszpańskie.

- Religijny facet - stwierdził Luke.

- Chodzimy do kościoła, jeśli to masz na myśli - odparła. Chodziliśmy do kościoła — poprawiła się po chwili.

— Jesteście katolikami?

— Terry tak. Ja nie. Ale chodziliśmy do tego samego kościoła.

— To znaczy którego?

— Niepokalanego Poczęcia. Terry nie lubi raczej ojca Wozniaka... twierdzi, że on zdradza Biblię, cokolwiek by to miało znaczyć. Ale podoba mu się nazwa kościoła, Niepokalane Poczęcie.

Zawsze powtarzał ludziom, że tam właśnie zmierzamy, do Niepokalanego Poczęcia, tak jakby był z tego naprawdę dumny.

— Cóż... fakt, że ktoś jest dumny ze swojego kościoła, nikomu jeszcze nie zaszkodził.

— No nie wiem. Kiedy Terry był z czegoś dumny, to nie było to takie zwykłe. Kiedy Terry był z czegoś dumny, o mało od tego nie pękał.

Luke podniósł w górę notatnik Terence'a.

— Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli to zabiorę, Iris? I polecę przetłumaczyć? Może da nam to pewną wskazówkę, co dzieje się w głowie Terry'ego.

— Proszę bardzo, możesz go zabrać. Mnie jest niepotrzebny. Luke omiół pokój ostatnim spojrzeniem. Próbował wyobrazić sobie, co takiego robił właściwie Terence Pearson, kiedy zamykał się tutaj na klucz, temperował ołówki i zapełniał notes drobnym pismem. Usłyszał odległy pomruk grzmotu i dzwonienie deszczu o szybę, ciche i szybkie, tak jakby na podwórku stał przestraszony ksiądz i spryskiwał ją pośpiesznie święconą wodą.

Zorientował się, że jego uwagę przyciąga z powrotem dziwny uśmiechnięty człowiek na sztychu. Uśmiechał się spod swojej zabawnej liściastej czapki i w jego wyglądzie było coś głęboko zwodniczego. Kim jestem, zdawał się pytać. I dlaczego jestem ubrany niczym ruchomy krzak? Z

jakiegoś powodu Luke nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że czegoś tutaj brakuje — czegoś ważnego, ale też czegoś naprawdę dziwnego — i to sprawiało, że czuł się bardzo nieswojo.

— W porządku, dziękuję — powiedział w końcu i wyszli z pokoju. Iris zamknęła drzwi na klucz i położyła go z powrotem na futrynie.

— Nie będę już musiała widzieć się z Terryem, prawda? — zapytała, kiedy schodzili na dół.

— Możemy cię wezwać, żebyś złożyła zeznanie, kiedy dojdzie do procesu.

— Ale on na pewno nie wyjdzie na wolność? Luke położył jej rękę na ramieniu.

— Wyślą go do Fort Madison, nie ma co do tego wątpliwości. Nikt jeszcze nie wyszedł z Fort Madison.

W holu wciąż czekała na nich Edna Bulowski. Sprawiała wrażenie zmęczonej i podenerwowanej.

— Jak się czujesz, Iris? — zapytała, umyślnie ignorując Luke'a. Chciała mu w ten sposób dać do zrozumienia, że nie powinien przesłuchiwać pani Pearson, która wciąż znajdowała się w szoku.

— Nic mi nie jest — odparła Iris. — Teraz, kiedy dzieci nie wrócą już na noc, będę musiała chyba sprzątnąć kolację...

— Nie musisz teraz nic robić, Iris. Po prostu sobie odpocznij powiedział Luke.

Edna objęła ją ramieniem i zaprowadziła z powrotem do kuchni.

— Nic jej nie będzie? — zapytał szeryf.

— Doktor Mayhew dał jej środek uspokajający. Mniej więcej za pół godziny dam jej następny i kubek ciepłego mleka. Przyjeżdża do niej siostra z Dubuque.

— Dziękuję, Edna — powiedział Luke. Zabrał ze stołu swój kapelusz, a potem wziął za rękę Iris i mocno ją uściskał. — Dziękuję, że ze mną porozmawiałaś, Iris. Doceniam to. Wiem, że to był

najgorszy dzień w twoim życiu i nie ma co do tego dwóch zdań. Mogę tylko powiedzieć jedno: strasznie żal mi Lisy i strasznie żal mi George'a. Ale nie zapomnij uzalić się również nad sobą.

Iris pokiwała bez słowa głową.

Luke skierował się w stronę wyjścia. Edna ruszyła w ślad za nim.

— Rozmawiałam z Rickiem Clarkiem — powiedziała. — Stwierdził, że może go pan kochać jak siostrę, ale nie może czekać ani minuty dłużej. Ma nieprzekraczalny termin. Chce z panem również porozmawiać Joyce Leibold z WMT 600.

— Nareszcie stałem się sławny — stwierdził Luke.

Otworzył drzwi i wyszedł na Vernon Drive. Deszczową noc rozjaśniały czerwono-niebieskie światła i reflektory ekip telewizyjnych KWWL i KCRG. Burza prawie już przeszła, zmierzając w stronę Illinois, i wiał ciepły, suchy wiatr. Tornado wyrządziło trochę szkody w Amana Colonies: zerwany został częściowo dach z domu towarowego i zawalił się komin grzałni. Niedaleko Kalony huragan zabił na polu sześć albo siedem świń, a w okresie największego natężenia burzy zawieszony został na dwie i pół godziny ruch lotniczy na lotnisku w Cedar Rapids. Ale to było wszystko. Kolejne letnie tornado.

Przy drzwiach frontowych Pearsonów trzymał wartę zastępca szeryfa Norman Gorman, niski i krępy facet przypominający budową komodę z okresu francuskiej Restauracji. W bezowocnych, ale nigdy nie kończących się próbach zwiększenia swego wzrostu zaczął trenować z obciążeniem: Luke znalazł go kiedyś w drzwiach własnego gabinetu, wiszącego na rękach, z przyczepionymi do kostek nóg dwoma dwudziestokilowymi ciężarkami. Norman Gorman potrafił żartować na każdy temat z wyjątkiem swego wzrostu.

Mimo że niski, Norman miał namiętne brązowe oczy i gęste czarne wąsy, które bardzo podobały się wszystkim dziewczynom, i nieśmiałym, i wyuzdanym, w związku z czym rzadko skarżył

się na brak damskiego towarzystwa.

— Co z nią? — zapytał, wskazując głową drzwi Pearsonów. Luke poprawił swój mokry zdefasonowany kapelusz.

— Dochodzi do siebie. Ale to wszystko jeszcze do niej tak zupełnie nie dotarło. Będzie z nią gorzej jutro, kiedy przestaną działać środki uspokajające.

— Cholera... jak ktoś mógł to zrobić? — zapytał Norman. — Zabić swoje własne cholerne dzieciaki?

— To wariat — odparł Luke. — Mam tylko nadzieję, że sąd nie uzna go za niepoczytalnego.

— Mogliśmy zastrzelić go tam na miejscu — powiedział Norman. — Mogliśmy położyć go trupem, jak wściekłego królika.

Szybkim krokiem zbliżał się do nich ścieżką Rick Clark, z podniesionym kołnierzem mokrego od deszczu białego trencza.

— Szeryfie? — zapytał. — Może pan powiedzieć, jak to zniosła?

— A jak ty byś zniósł, dupku, gdyby zdekapitowano twoje dzieciaki? — odparł Gorman.

— Norman — powiedział Rick. — Dlaczego twoi rodzice nazwali cię Norman, Norman?

— Bo byli poetami, Rick, oto dlaczego. Chcieli dać mi imię, które rymowałoby się z Gorman.

Podobnie jak twoi starzy chcieli dać ci imię, które rymowałoby się z „pryk”.

Znalazłszy się w swoim gabinecie przy Second Avenue Bridge, Luke zadzwonił do domu.

Słuchawkę podniosła jego sześciolatnia córka, Nancy.

— Daj mi mamę, kochanie.

— Mama jest pod prysznicem. Czy dzisiaj później wrócisz?

— Zgadza się. Wrócę później. Nie wiem, ile później. Co się dzisiaj wydarzyło?

— Nic oprócz tego, że Randy Stahmer zmoczył się w klasie.

— Biedny Randy. Co jeszcze?

— Mama włożyła do prania moje czerwone skarpetki razem z twoją niebieską koszulką polo.

— No to wspaniale. Mam teraz purpurową koszulkę polo.

-- Nie, wcale nie. Mama próbowała ją wybielić i masz teraz wybieloną koszulkę polo.

— Doskonale. Nawet lepiej. Byłaś dzisiaj grzeczna?

— Pani Heslop była zła, bo wyplułam szpinak.

— Wiesz przecież, że powinnaś jeść zielone warzywa. Są bardzo zdrowe. Dzięki nim będziesz miała charyzmę, czy coś w tym rodzaju.

— Nienawidzę szpinaku. Nie chcę go widzieć nigdy więcej w życiu. Nie chcę widzieć niczego, co jest zielone.

Luke pogawędził z Nancy jeszcze chwilę, posłał jej całusa na dobranoc i odłożył słuchawkę.

Ale potem oparł się o chłodny parapet klimatyzowanego okna i przycisnął dłoń do ust, tak jakby wzdragał się odezwać. Oczy miał poważne i zmęczone.

Ten wieczór nie różnił się znowu tak wiele od innych sobotnich wieczorów. W wodach Cedar River, płynącej pod przęsłami Second Avenue, odbijały się jaskrawe śródmiejskie neony i światła zatrzymujących się i ruszających ze skrzyżowania z First Street samochodów.

Choć nie bardzo uświadamiał sobie dlaczego, Luke miał jednak poczucie, że wykonuje tę samą robotę o wiele za długo. Czuł, iż minął ten sam zakręt tyle razy, że nie stać go na nic nowego. Sprawa Pearsona była tak drastyczna i straszna, że wymagała oryginalnego podejścia. Wymagała gniewu.

Luke nie czuł jednak nic poza przytłaczającą świadomością, że przeżył i przepracował w tym mieście prawie całe życie; i że wszystkie te lata właściwie nic mu nie dały.

Powinien być pełen animuszu. Powinien zacierać ręce. Stracili życie Lisa i mały George, stracili życie Abner i Dorothy Loftusowie. Młodzi i starzy; jednakowo niewinni i bezbronni. Dokładnie ci ludzie, których Luke przyrzekł ze szczerego serca ochraniać. Miał wrażenie, jakby zawiódł ich wszystkich.

Miał wrażenie, jakby to on właśnie uciął im głowy — równie skutecznie, jak uczynił to Terence Pearson. Może te morderstwa to była właśnie ta jedna okropność za dużo. W ciągu ostatnich czterech albo pięciu lat pokój i dobrobyt Cedar Rapids zaczęły się załamywać i strzępić niczym wytarty materac, niczym ukochany rodzinny dom, który wymaga gruntownego remontu. Któregoś deszczowego popołudnia w marcu zeszłego roku Luke został wezwany do pierwszej w Cedar Rapids ulicznej strzelaniny. Dzisiaj matki regularnie skarżyły się, że znajdują w swoich ogródkach porzucone brudne strzykawki; i że muszą powtarzać swoim dzieciom, iż kule nie rozróżniają, jak kto się nazywa.

Długo przedtem, zanim nauczyli się dodawania i odejmowania, uczniom młodszych klas wbijano do głowy, żeby padali na ziemię na pierwszy odgłos strzałów. Teraz całkiem często Luke i jego zastępcy musieli interweniować w podmiejskich awanturach, podczas których rozbijano samochody, walczono na pięści i fruwały w powietrzu pociski.

W zeszłym roku myślał, że zobaczył najgorsze kiedy lekarz sądowy wtoczył na wózku ciało siedemnastoletniej Destiny Wright i pokazał mu siedemnaście ran od noża po jednej na każdy przeżyty przez nią rok.

A teraz musiało przydarzyć się to. Rytualna dekapitacja Lisy i George'a Pearsonów i okrutny mord na

osobach Abnera i Dorothy Loftusów. Luke nie wiedział, co robić. Owszem, aresztował

Terence'a Pearsona — i Terence Pearson przyznał się do winy. Ale Luke nadal nie wiedział, co robić.

Wciąż opierał się o parapet, kiedy do środka wszedł Norman Gorman.

— Znalazłem czeskiego tłumacza, szeryfie.

Luke obrócił się i spróbował uśmiechnąć. Trochę zbyt blisko Nor-mana stał trupio blady chudy mężczyzna w podeszłym wieku, z wielkim nosem, zapadniętymi policzkami i błękitnymi żyłkami na czole. Ubrany był w jasnobrązowy garnitur w jodełkę, który wyglądał, jakby nie zdejmował go od osiągnięcia pełnoletności.

— Szeryfie, to jest pan Leos Ponican. Uczy wiedzy o społeczeństwie w Jefferson.

- Cieszę się, że mógł pan nas odwiedzić, panie Ponican powiedział Luke. — Czy zastępca Gorman wyjaśnił, czego od pana oczekujemy?

Pan Ponican kiwnął głową.

- Żeby przetłumaczyć coś z czeskiego, tak?

Luke wziął do ręki i podał mu plik fotokopii z notesu Terence'a. Leos Ponican wyjął z kieszonki marynarki okulary w drucianych oprawkach, założył je na nos i bardzo powoli przejrzał pierwszą stronę.

— No i co? — zapytał po przeszło minucie Luke.

— To będzie bardzo trudne — oświadczył Ponican. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

— Co pan rozumie przez „bardzo trudne”?

— Po pierwsze notatki zostały sporządzone bardzo drobnym pismem.

— Zgadza się, tak. Bardzo drobnym pismem. W gruncie rzeczy gotów jestem nawet przyznać, że bardzo, bardzo drobnym pismem.

Leos Ponican wysunął do przodu dolną wargę i ponownie zaczął czytać pierwszą stronę.

— Po drugie, nie są zbyt... poprawne.

— Nie są zbyt poprawne? To znaczy, roi się w nich od błędów. - Ponican postukał kilka razy palcem w dół kartki. - To nie są normalne notatki. To notatki... szaleńca.

- Ach, rozumiem... notatki szaleńca, W jakim znaczeniu?

- Czy mogę usiąść? - zapytał Ponican.

Luke skinął głową i Norman podsunął starcowi krzesło. Ponican usiadł, położył kartki na kolanach i zaczął czytać, przesuwając palcem po każdym słowie.

— „Przychodzi ze swymi trzema przyjaciółmi zimową porą. Uderzają w drzwi". To znaczy: pukają do drzwi. „Puka i puka, ale kiedy gospodarze pytają głośno: «Kto tam? Kto puka do drzwi?», w ogóle nie odpowiada. On nigdy się nie odzywa. Ale jeśli gospodarze nie otworzą i nie wpuszczą go do środka, będzie pukał do sądnego dnia. Kiedy go w końcu wpuszczą, staje w środku razem ze swymi trzema przyjaciółmi i w ogóle się nie odzywa. Oni również nic nie mówią. Dlatego właśnie nazywają ich..." Nie znam odpowiedniego słowa po angielsku. Oznacza ludzi, którzy nie mówią.

— Niemowy? — zapytał Luke.

— Nie, to nie to. Nie chodzi o niemotę fizjologiczną. Oni przestali się odzywać z własnego wyboru. Nie mówią ku własnej uciechu.

— Ma pan na myśli mimów? — zapytał Norman.

— Nie, raczej nie. Mim próbuje wyjaśnić to, co robi, gestem i ruchem. Ci ludzie natomiast wchodzą do domu i milczą. Niczego nie wyjaśniają.

— Trapiści? — zasugerował Norman.

— Na litość boską — przerwał im Luke. Ale potem przypomniał sobie sztych przypięty do ściany w pokoju Terence'a. Odziany w liście mężczyzna z kpiącym uśmiechem na twarzy. Jak brzmiał

podpis na odwrocie? Maszkarnik. Człowiek w masce, który nigdy się nie odzywa. Który pozostaje niemy.

Chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język i pozwolił Ponicanowi czytać dalej.

— „Siada przy stole. Oczekuje, że poczęstują go winem i czymś jeszcze..." Nie wiem, co to jest. Brzmi to podobnie do *hovesy maso*, co oznacza gulasz. „On i jego przyjaciele wyciągają kości i grają tak długo, aż zgaśnie ogień w kominku. Zdarza się to tylko o określonej porze roku i nie każdego spotyka zaszczyt tej wizyty. On przebywa wiele kilometrów, ale nikt nie widzi go w trakcie podróży.

W niektórych miastach, tych, których jeszcze nie odwiedził, ludzie modlą się, żeby przyszedł. Ale tam, gdzie był, mieszkańcy boją się wymówić jego imię, podobnie jak on nigdy nie wymienia ich".

Leos Ponican odłożył lekko drżącą dłonią kartkę i zdjął okulary.

— Reszta wygląda tak samo. O ludziach, którzy składają wizyty i nic nie mówią. Grają w kości i zostawiają podarki. Zostawiają dużo różnych podarków. Każdy z nich nosi inny kostium. Nie wiem, czy to ma być jakieś opowiadanie, czy coś innego.

- Weźmie pan to do domu i przetłumaczy? - zapytał Luke. Chciałbym poznać całość.

Leos Ponican przerzucił fotokopie, dziewiętnaście pokrytych drobnym pismem kartek.

- To mi zajmie trochę czasu.

- Mógłbym zapłacić panu trochę więcej, jeśli zrobi pan to szybko.

- Cóż... w takim razie dobrze. Być może uda mi się przetłumaczyć to w dwa dni.

- A co pan powie na trzydzieści sześć godzin?

— Zrobię, co w mojej mocy, szeryfie — odparł Leos Ponican, po czym wyszedł, zabierając ze sobą fotokopie. Luke odchylił się do tyłu w swoim westernowym fotelu i położył nogi na biurku.

— Chore majaczenia, nie? — spytał Norman.

— No nie wiem... wydaje mi się, że powinniśmy się wstrzymać z osądem do czasu, kiedy dostaniemy pełny przekład.

— Uważam, że słuszne było twoje pierwsze domniemanie. Pearsonowi brak piątej klepki.

— To naprawdę nie ma większego znaczenia, czy facet jest chory czy zdrowy na umyśle —

odparł Luke. — Zginęły cztery absolutnie niewinne osoby. I zdarzyło się to, na litość boską, tutaj, w Cedar Rapids. To sprawia, że mam wrażenie... no nie wiem, mam wrażenie, jakby zbliżał się koniec świata. Apokalipsa.

Potrząsnął głową.

— Mojemu tacie wydawało się, że piwo, rock'n'roll i obmacywanie się na tylnym siedzeniu samochodu to najgorsze rzeczy, jakie wymyślił Szatan. Czasami prawie się cieszę, że odszedł już z tego świata.

Norman spojrział na zegarek.

— Chcesz porozmawiać teraz z Pearsonem? Luke pokiwał głową.

— Potem będziemy mogli uznać, że na dzisiaj dosyć. Jutro czeka nas bardzo długi dzień.

Terence stał w swojej celi odwrócony plecami do krat. Luke podszedł bliżej i przez chwilę mu się przyglądał. Terence musiał w końcu zdać sobie sprawę z jego obecności, ale nie poruszył się ani nie odezwał. Nawet jego plecy komunikowały, jak bardzo jest spięty.

Areszt mieścił się w podziemiach. Ściany pomalowane były dwoma odcieniami szarej farby, na szaro pomalowano również kraty. W gorącym powietrzu unosił się zapach lizolu, wymiotów i nie mytych nóg. Oprócz Pearsona pod kluczem siedziało trzech pijaków i handlarz cracka, ale noc była jeszcze bardzo wczesna i do rana powinny pozostać tylko miejsca stojące.

— Nie łam mi serca... mojego obolałego, kruchego serca śpiewał jeden z pijaków. Drugi cicho szlochał.

Przy celi Terence'a pełnił specjalną wartę młody czarny funkcjonariusz. Trzy lata temu Luke nie zawracałby sobie głowy specjalną wartą. Ale któregoś razu, zaledwie w pół godziny po aresztowaniu go przez Luke'a, powiesił się na rękawie własnej koszuli pewien podejrzany o morderstwo facet. A mniej niż tydzień później siedemnastoletni aresztant zabił się, wsadziwszy sobie do nozdrzy dwa ołówki, i walnąwszy twarzą w składany stół. Luke nie mógł pozwolić, żeby Terence Pearson wymknął

mu się w podobny sposób.

— Pearson? — rzucił szorstko.

— Przez ostatnie trzy godziny prawie się nie odezwał — oświadczył czarny policjant. —

Poprosił tylko o tabletkę od bólu głowy i zapytał, która godzina.

— Pearson? — powtórzył Luke. — Nazywam się Friend. Jestem szeryfem.

— Wiem — odparł Terence. — Czego pan chce?

— Trochę porozmawiać.

— Naprawdę? Wiem, jakiej pan chce rozmowy. Jednostronnej rozmowy, w której to ja będę mówił. Na przykład o tym, co doprowadza ojca do tego, że zabija własne dzieci.

Luke wzruszył ramionami i odkaszlnął.

To na początek. Terence nadal się nie odwracał.

— Musi pan zrozumieć jedno, szeryfie, inaczej nie zrozumie pan niczego. Ja ich nie zabiłem. Ja je ocaliłem.

- Ocalił je pan? Od czego? Terence chwilę milczał.

— I tak pan tego nie zrozumie - odparł w końcu. - Nic pan z tego nie zrozumie.

— Niech pan mnie wypróbuje.

Terence potrząsnął głową. Luke stał przed celą prawie przez całą minutę, ale on nadal się nie odzywał.

- To najdłuższa jego wypowiedź, odkąd tu siedzi - oznajmił młody czarny policjant. - Zapytał

raz o godzinę, to było o szóstej czterdzieści siedem. I poprosił o tabletkę.

— Jeśli wydawało ci się, że ich ocalasz, Terence - powiedział Luke — musiałeś wierzyć, że ocalasz ich od czegoś gorszego niż ucięcie głowy. Brzmi to chyba logicznie?

Terence nadal nie odpowiadał; ale udręka, jaką odczuwał, była tak wielka, że wydzielał wyraźny zapach, przypominający ostry konopny zapach naciągniętych sznurów.

- Teraz muszę wiedzieć tylko jedno: co może być gorszego od ścięcia głowy.

- Myśli pan, że jestem nienormalny - stwierdził Terence.

— Nie wiem, co myśleć, dopóki nie powiesz mi, od czego chciałeś je ocalić.

- Nie potrafiłby pan nawet sobie wyobrazić...

- A maszkarnik, Pearson? Czy ma z tym coś wspólnego maszkarnik?

Terence wyraźnie się zatrząsł. Jego ręce powoli zacisnęły się w pięści, ale nadal się nie odwracał.

- Daj spokój, Pearson - zachęcił go Luke. - Należę do tych szeryfów, którzy niejedno potrafią zrozumieć. Powiedz mi, co ma z tym wspólnego maszkarnik.

— Był pan w moim gabinecie — powiedział Terence głosem, który przypominał sunący powoli wał ziemi.

— Zgadza się, Pearson. Byłem w twoim gabinecie. I muszę przyznać, że to najbardziej dziwaczny cholerny gabinet, jaki zdarzyło mi się oglądać.

Terence obrócił się na pięcie. Jego kanciasta twarz była szara jak popiół, a oczy okolone szkarłatnymi obwódkami.

— Nie miał pan prawa! Nie miał pan żadnego prawa!

— Uspokój się, Pearson. Zaprosiła mnie tam twoja żona.

— Nie miała prawa! Zakazałem jej tam kiedykolwiek wchodzić! I pan też nie miał żadnego prawa!

— Przeciwnie, miałem wszelkie prawa, jakie sobie tylko życzysz odparł Luke. — Miałem prawo jako policjant i miałem również prawo moralne. Człowiek, który robi to, co ty zrobiłeś, traci niemal wszystko. Traci swoją prywatność, godność, wszystko. Jedyńm przywilejem, który ci pozostał, jest prawo do uczciwego procesu, a tak naprawdę to nawet na to nie zasługujesz.

— Nie miał pan prawa wchodzić do mojego gabinetu — powtórzył Terence. Z ust leciały mu kropelki śliny. — Przysięgam, że jeszcze pan za to zapłaci.

Zapadła długa, dzwoniąca w uszach cisza. Terence, trzęsąc się ze złości, wpatrywał się uporczywie w Luke'a, a Luke odpowiadał mu twardym spojrzeniem, zastanawiając się, co to za facet.

W końcu położył rękę na ramieniu strażnika.

— Pilnujcie go, to zły człowiek - powiedział i wyszedł.

Na zewnątrz czekały na niego na stopniach telewizyjne kamery i prasa. Wieczorny wiatr był ciepły i suchy i Luke musiał przytrzymywać mocno rondo kapelusza, nie chcąc, żeby spadł mu z głowy.

- Nie mam nic do dodania do tego, co powiedziałem wcześniej — oznajmił, stając w blasku halogenów. Terence James Pearson został zatrzymany pod zarzutem wielokrotnego morderstwa pierwszego stopnia. Nie poszukujemy nikogo, kto miałby jakiś związek z tymi konkretnymi morderstwami, chętnie jednak wysłuchamy każdego, kto widział Pearsona i jego dzieci dziś po południu w jakimkolwiek momencie przed dokonaniem przestępstwa. Odbyłem wstępne spotkanie z prokuratorem okręgowym i spotkam się z panem Dillardem ponownie jutro rano. Pearson został poinformowany o przysługujących mu prawach, ale na razie odmówił rozmowy z adwokatem.

Dochodzenie jest kontynuowane, jutro mam zamiar zwołać normalną konferencję prasową. To wszystko, proszę państwa.

— Czy to był rytualny mord, szeryfie? — zapytał jeden z reporterów telewizyjnych.

Luke potrząsnął głową.

— Nie potrafię powiedzieć. Terence Pearson przejawiał pewne niezwykle zainteresowania, które staramy się teraz bliżej poznać. Mogą one, choć nie muszą, mieć związek z dokonanym przestępstwem.

— Co to za niezwykle zainteresowania? Satanizm? Składanie ofiar z ludzi? Czarna magia?

— Wszystko wskazuje na to, że interesowało go rolnictwo, meteorologia i studiowanie Biblii.

To wszystko, co mogę teraz powiedzieć.

Jeden z dziennikarzy parsknął rozbawiony.

— Pokażcie mi choć jednego mieszkańca wschodniej Iowy, którego nie interesuje rolnictwo, meteorologia i studiowanie Biblii!

— Oczywiście. Ale normalni ludzie nie interesują się tymi dziedzinami w taki sposób, w jaki interesował się nimi Terence Pearson.

— Co to znaczy, szeryfie?

— Niech pan nie będzie taki tajemniczy, co to za sposób?

Luke'owi udało się w końcu dotrzeć do miejsca, w którym zaparkowany był jego wielki biały buick park avenue, i wskoczył do środka. Zapalił silnik, ale w tej samej chwili w boczną szybę zastukał mocno, wymawiając jakieś słowa, Rick Clark. Szeryf uchylił okno.

— Streszczaj się, Rick. Jestem wykończony.

— To może być coś ważnego — powiedział Rick. — Rozmawiałem przed chwilą z sąsiadami Pearsonów.

— Tak?

— Podobno znaleźli zeszłej jesieni na trawniku przed domem swojego martwego psa. Bardzo drogiego. Belgijskiego terwurena.

— Co w tym takiego nadzwyczajnego? Psy nie umierają chyba w łóżku?

— Pies miał uciętą głowę.

— Jezus. Dowiedzieli się, kto to zrobił?

— Podejrzewali Pearsona, a to dlatego że niedługo przedtem mieli z nim potworną awanturę.

Wezwali gliniarzy, którzy przesłuchali Pearsona razem z kilkoma innymi. Nie sposób było jednak niczego udowodnić i sprawa została odłożona ad acta.

— O co im poszło?

— Nigdy byś nie uwierzył. Pearsonowi nie podobał się kolor, na jaki pomalowali ogrodzenie z tyłu posesji. — Rick otworzył notatnik. — Dokładne słowa sąsiada brzmiały: „Pearson wrócił z pracy, zobaczył nasz płot, wziął głęboki oddech, i dostał małpiego rozumu. Wrzeszczał na nas jak szaleniec.

Powiedział, że jeśli natychmiast nie przemalujemy płotu, wszystkich nas pozabija”.

— Cholera... Na jaki kolor pomalowali ten płot? Purpurowy w różowe łaty?

— Bynajmniej. Na zielono. Zwykłą zieloną ogrodową farbą.

Zielony płot — rozmyślał Luke jadąc na pomoc do domu szosą numer trzysta osiemdziesiąt. —

Dlaczego Terence'a Pearsona tak rozwścieczył zielony płot?

Przypomniał sobie Nancy, mówiącą mu, jak bardzo nienawidzi szpinaku. Nie chce oglądać niczego, co jest zielone. A potem zaczął rozmyślać o domu Pearsonów. Czy było tam coś zielonego?

Nie było żadnych roślin w doniczkach, to pewne. Nie było zielonych tapet i zielonych dywanów. I co takiego powiedziała Iris? Że Terence nie pozwolił jej powiesić obrazu, który podarowała jej matka... obrazu przedstawiającego drzewa. A te dziecinne obrazki w sypialni George'a

— była na nich trawa, oczywiście, tyle że niebieska.

Powrócił myślami do kolacji Pearsonów. Dynia, kukurydza, włoska kapusta, ale żadnej zieleniny. Która dobra gospodyni z Iowy podaje na kolację pieczoną szynkę bez fasolki, grochu albo choćby półmiska zieleniny?

A potem przypomniał sobie przebierańca, tego uśmiechniętego chytrze mężczyznę w liściastej czapce i liściastej opończy. I im dłużej o nim myślał, im dłużej myślał o dziwnej awersji Terence'a Pearsona do koloru zielonego, tym bardziej robiło mu się nieswojo.

Nastawił radio na KMRY i złapał Toma Jonesa, dokładnie w środku „Green, Green Grass of Home”.

ROZDZIAŁ III

Słońce odbijało się tak mocno od dwupasmowej jezdni, że Nathan nie zauważył wąskiej bocznej drogi i musiał cofnąć się kilkanaście metrów z wyjąłym sprzęgłem.

— Co się stało? — zapytał David, zerkając na szosę spod daszka swojej jasnoczerwonej baseballowej czapki Kernelsów. — Dlaczego nie jedziesz do przodu?

— Nie zauważyłem skrętu, to wszystko.

Nathan dojechał do skrzyżowania i zerknął na odręczną mapkę, którą przesłał mu faksem doktor Matthews.

— Widzisz, pisze tutaj o dużej zielonej stodole i pomalowanym na biało ogrodzeniu... a tam, zobacz, jest znak z napisem REZERWAT PRZYRODNICZY AMANA.

— Nieprawda. Tam jest napisane REZERWA PRZYRODNI AMAN.

Nathan posłał synowi spojrzenie zbolącej dezaprobaty w stylu Oliviera-Hardy'ego.

— Przestań zachowywać się jak trzynastolatek. To wcale do ciebie nie pasuje.

— Mam przecież trzynaście lat. Oczywiście, że to do mnie pasuje.

Dojechanie tutaj zabrało Nathanowi dwadzieścia minut dłużej, niż planował. Najpierw trafili na dobroczynny maraton na Diagonal Drive: tysiące ludzi, truchtających w gimnastycznych strojach i tenisówkach; a potem musiał zjechać z Williams Boulevard przy Edgewood Road, gdzie wypełniona żywymi kurczakami przyczepa złożyła się na kształt scyzoryka z własnym ciągnikiem siodłowym i skutecznie zablokowała jezdnię; objazd zaprowadził go prawie na skraj lotniska.

Ale teraz jechali z otwartymi szybami przez pagórkowate rolnicze tereny okręgu Amana; do samochodu wpadał ciepły powiew letniego wiatru i zapach dojrzałego nawozu, a oni mijali kolejne farmy, pola i silosy, a także stada czekających cierpliwie na wydojenie fryzyjskich krów, które przypominały nie dokończone czarno-białe układanki. Stojący na drabinie mężczyzna przestał

przybijać gonty na dachu swojej stodoły i przysłonił oczy ręką, żeby odprowadzić ich wzrokiem. Ich przejazd był prawdopodobnie najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka przydarzyła mu się przez cały dzień.

— Jezu, spójrz na tę krowę — powiedział David. — Wygląda jak balon.

— Jest pewnie w ciąży.

— Faj! To znaczy, że to zrobiła! Nawet gdybym był bykiem, nigdy nie podnieciłby mnie widok krowy.

— Tak? A co takiego by cię podnieciło?

— Sharon Stone i pani Keppelmeyer. Dokładnie w tej kolejności.

— Ale czemu sądzisz, że Sharon Stone chciałaby to zrobić z bykiem? I czemu sądzisz, że pani Keppelmeyer chciałaby to zrobić z bykiem? Chwileczkę... co ja takiego, do diabła, wygaduję?

Chyba już po raz czwarty tego dnia Nathan dał się wciągnąć w surrealistyczne uczniowskie rozważania Davida. Włączył radio, żeby wysłuchać wiadomości.

— Średni wskaźnik bezrobocia spadł tego lata w całym stanie do czterech i trzech dziesiątych procent, ale w okręgu Clarke utrzymuje się nadal na poziomie jedenastu procent z powodu zamknięcia zakładów mięsnych Jimmy'ego Deana...

Nathana i Davida łączył mocny związek uczuciowy, mimo że bezustannie sobie docinali.

Ludzie poznawali to po tym, jak się stale dotykali i jak o siebie dbali. Byli do siebie podobni w ten charakterystyczny, zauważalny od razu sposób. Nathan —--- szczupły i ciemny, z kręconymi włosami i pociągłą twarzą, która zawsze przypominała ludziom młodego Elliotta Goulda i David — tak samo ciemny i chudy jak szczapa, z kręconymi włosami i pociągłą twarzą, która zawsze przypominała ludziom bardzo młodego Elliotta Goulda.

Podobnie mówili. Posługiwali się tymi samymi gestami: zwłaszcza gdy stukali się w czoło nasadą otwartej dłoni po popełnieniu jakiegoś błędu. Obaj mieli słabość do Cedar Rapids Kernels słabość odwrotnie proporcjonalną do odnoszonych przez drużynę sukcesów i wykupywali sezonowe bilety na stadion Veteran's Memorial. Obaj zajadali się tortami lodowymi, tak jakby produkujące je firma Haagen-Dazs znajdowała się na skraju bankructwa. Co jeszcze? Obaj lubili Arsenia — Nathan ponieważ uważał jego show za dowcipny, David ponieważ oznaczało to, że może oglądać telewizję o tak późnej porze.

Ale tylko najbliżsi przyjaciele wiedzieli o tragedii, która tak bardzo uzależniła ich od siebie i uczyniła z nich lustrzane odbicia. David miał kiedyś brata bliźniaka i kiedy byli mali, wyglądali, wedle słów ich babci, jak „najbardziej urocze i cudowne istoty na świecie, jak promyczki słońca”. Ale przed sześciu laty, pewnego burzowego sierpniowego popołudnia brat Davida, Aaron, wpadł w konwulsje. Ich matka, Susan zostawiła przerażona Davida u sąsiadki i pojechała z Aaronem do centrum medycznego St Luke's.

Kiedy skręcała z szosy numer trzysta osiemdziesiąt w Ósmą Aleję, zablokowały się koła w jej kombi i z szybkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wjechała w ciężarówkę przewożącą rusztowania. W szpitalu nie pozwolono Nathanowi obejrzeć ciała, ale dowiedział się, że dziesięciometrowa rura przebiła przednią szybę kombi i trafiła Susan prosto w twarz. Dwie inne przebiły siedzącego w swoim dziecięcym foteliku Aarona.

Nathan nie potrafił zapomnieć ładnej, brązowookiej, wiecznie rozchichotanej dziewczyny.

David nie potrafił zapomnieć stanowiącego jego drugą połówkę brata. Dlatego właśnie naśladowali się wzajemnie, dokuczali sobie i trzymali się razem.

— ...mimo zbliżającego się głosowania ustawy Zapf-Cady'ego na rynku wieprzowiny nie obserwuje się oznak załamania... przybliżone obroty punktów skupu w stanie Iowa wyniosły dziewięćdziesiąt pięć tysięcy... grubość słoniny na grzbiecie dwadzieścia dwa, dwadzieścia sześć milimetrów... cena żywca wieprzowego spadła od zero siedem do dolara trzydziestu sześciu centów...

maciory bez zmian... knury rzeźne wzrost o dwa pięćdziesiąt do trzech dolarów...

Minęli kilka jezior — ciemnych, ale tak silnie odbijających promienie słońca, że prawie nie mogli na nie patrzeć. Po pomarszczonej bryzą wodzie pływały stada kaczek.

— Zaraz tam będziemy — powiedział Nathan. - Poczekaj, aż zobaczysz tę świnię.

— Mieszkamy przecież w Iowa, tato. Widziałem już miliony świń. Byłem całkiem zaświniony już w wieku trzech lat.

Poczekaj, aż zobaczysz tę jedną.

Czteryście metrów dalej Nathan zobaczył mały znak z odbitymi szablonem literami SIGS i skręcił w lewo, w jednopasmową asfaltową drogę. O karoserię szeleściły i ocierały się długie żdźbła traw, w samochodzie stukały i skrzypiały resory. Nathan musiał jechać tak wolno, że przypomniał mu się wiersz Lawrence'a Ferlinghetti'ego o „pociągu z pomarańczami... toczącym się tak wolno... że wlatywały i wylatywały z niego motyle...”

Wjechali nagle pod szerokie gałęzie dębów i na cztery albo pięć minut znaleźli się w zupełnie innym świecie - chłodnym, aromatycznym, rozświetlonym wyłącznie szmaragdowymi cętkami, kompletnie odizolowanym od reszty planety. Ale potem znowu wyjechali na wyschnięty trawiasty teren, w jaskrawe słońce i objęła ich z powrotem w posiadanie reszta planety.

Pola przecinało pod ostrym kątem ogrodzenie z drutu kolczastego. Samą drogę blokowała wysoka metalowa brama. Stała przed nią pstrokata zbieranina zaparkowanych pod różnymi kątami furgonetek, dżipów i półciężarówek, a także sześć albo siedem wozów patrolowych z biura szeryfa Linn County, z obracającymi się na dachach światłami.

David wyprostował się podniecony.

— Zobacz, tato, zamieszki!

— Zasuń szybę — powiedział Nathan. - Szybciej, David, zasun ją do końca!

To nie były właściwie zamieszki. Przed bramą dreptało, wznosząc okrzyki i śpiewając, około stu demonstrantów, w większości młodych i w większości trzymających w rękach transparenty z napisami: NATYCHMIAST WSTRZYMAĆ EKSPERYMENTY NA ZWIERZĘTACH, MORDERCY! KONIEC Z NAUKOWYM SADYZMEM, ŚWINIE TO TAKŻE ŻYWE

STWORZENIA. Tuż przy bramie stało dwudziestu albo trzydziestu funkcjonariuszy. Niektórzy trzymali pałki albo miotacze z gazem łzawiącym; wszyscy bez wyjątku mieli na oczach przeciwsłoneczne okulary ze szklami koloru bursztynu i wyglądali na porządnie znudzonych. Ich nadspodziewanie liczną obecność wyjaśniał prawdopodobnie zaparkowany nie opodal w cieniu wysokich żółtych kasztanów wóz transmisyjny wiadomości Channel 7.

Nathan przejechał powoli obok demonstrantów, naciskając lalka razy delikatnie klakson, żeby skłonić ich do szybszego zejścia z drogi.

- Co oni robią, tato? — zapytał go David, uśmiechając się do brodatego faceta, który miał na swoim T-shircie obrazek ukrzyżowanej świni i napis NIE WYBACZAJCIE IM, BO SUKINSYNY

DOKŁADNIE WIEDZĄ, CO CZYNIĄ.

- Nie podoba im się, że naukowcy eksperymentują na żywych zwierzętach odparł Nathan. -

Uważają, że to okrucieństwo... że zwierzęta mają te same prawa co ludzie.

- Ale przecież zjadamy je na śniadanie.

- Niektórzy z tych ludzi nigdy w życiu nie zjedli jajka.

Wcale bym się nie pogniewał, gdybym nigdy w życiu nie musiał jeść jajek. Nie znoszę jajek,

— Ale lubisz francuską grzanekę.

Francuska grzanka to co innego. Na francuskiej grzance nic ma normalnych jajek. Są rozpaciane.

— Szwedzka rzepa jest nadal szwedzką rzepą, nawet jeśli jest rozpaciana. Jajka są nadal jajkami, nawet jeśli są rozpaciane. Jezu Chryste, co ja znowu wygaduję?

Dojechał już prawie do bramy, kiedy do samochodu podeszła bardzo wysoka blondynka i zastukała w szybę. Z początku wahał się, czy ją uchylić, ale ona uśmiechnęła się i zastukała jeszcze raz, więc postanowił, że zaryzykuje.

Najpierw dostrzegł zęby. Wielkie, ostre jak u drapieznika i olśniewająco białe. Potem oczy.

Ogromne, z opadającymi powiekami, niezwyklej barwy przydymionej purpury, tak jakby urodziła się

podczas tornada i w jej źrenicach odbił się kolor nieba. Miała wysokie czoło, szeroką szczękę i mały, prosto rzeźbiony nos. Jasne włosy bez przerwy opadały jej na twarz i musiała je odgarniać dłonią.

Zauważył również jej figurę. Nie mógł na to nic poradzić, bo oparła się o samochód. Miała na sobie prostą białą koszulkę, co podkreślało tylko rozmiary dużych okrągłych piersi, między którymi kołysał się na tle ciemno opalanej skóry ciężki srebrny krucyfiks. Brodawki jej piersi również musiały być ciemno opalone, ponieważ widział je wyraźnie przez białą bawełnę. Na chudych jak u bociana gibkich nogach miała spłowiałe džinsy z postrzępionymi nogawkami i brązowe kowbojskie buty.

Nathan pomyślał z przekąsem, że może dałby się namówić na wstąpienie do ruchu obrońców zwierząt. Przynajmniej jako członek stowarzyszony.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedziała z uśmiechem. Czy pan tutaj pracuje, czy składa po prostu wizytę? — Miała wyraźny akcent z Missouri i leciutko sepleniała, co Nathanowi wydało się w dziwny sposób pociągające.

— Składam tylko wizytę — odpowiedział. - Mam tu przyjaciół.

— Więc wie pan, co oni robią?

— Tak, wiem. Hodują świnię.

- Ale musi pan wiedzieć, w jakim celu?

— Jasne i tak się składa, że to popieram.

Do dziewczyny przyłączyło się czterech czy pięciu innych młodych ludzi w dzinsach i T-shirtach. Oparli się o samochód i przysłuchiwali rozmowie, prezentując postawę, którą można było określić mianem pasywnej groźby. Wszyscy nosili znaczki z inicjałami ZTMP — Zwierzęta Także Mają Prawa. Jeden z nich, z okrągłą jak księżyc twarzą i w okularach z drucianymi oprawkami, bez przerwy uderzał w otwartą dłoń styliskiem siekiery.

- Jak może pan popierać fakt, że hoduje się zwierzęta specjalnie po to, żeby je potem żywcem pokroić na kawałki? - zapytała dziewczyna.

- Mój ojciec o mało nie zmarł na zapalenie nerek, oto dlaczego. Dwie świńskie nerki utrzymywały go przy życiu, kiedy czekał na ludzkiego dawcę.

— Uważa więc pan, że wolno zabijać zwierzęta, aby uratować człowieka? Pochwala pan brutalne poświęcanie jednego stworzenia po to, żeby ocalić życie innego, tylko dlatego że to pierwsze należy do tak zwanego niższego gatunku? Nie sądzi pan, że żyjemy na tej planecie, aby opiekować się innymi stworzeniami, a nie mordować je, torturować i wyzyskiwać?

— Chodziło o mojego ojca.

— Czy jest dumny z takiego syna?

— Niech pani posłucha — powiedział Nathan. — Odwiedzam po prostu przyjaciela, jeśli to pani nie przeszkadza.

— Jak może pan przyjaźnić się z mordercą?

Nathan podniósł szybę o parę centymetrów w górę, zmuszając kobietę do puszczenia jej.

— Wybacz pani...

— Sadysta! — wrzasnął młody człowiek, uderzając styliskiem siekiery w dach samochodu. —

Mięsożerny skurwysyn!

Cała reszta zaczęła również walić w dach pięściami i kopać w drzwi i karoserię. Chociaż było ich tylko kilkoro, wewnątrz samochodu zapanował ogłuszający hałas; David zatkał uszy dłońmi i skulił się w fotelu.

Nathan przycisnął pedał gazu, ale trzech demonstrantów stanęło przed chevroletem, blokując mu drogę. Zaczął napierać na nich przednim zderzakiem, oni jednak walili coraz mocniej w maskę i wiedział, że znajdzie się w poważnych kłopotach, jeśli zrani albo przewróci któregoś z nich.

— Sadysta! — krzyknęła dziewczyna i splunęła na przednią szybę, tak że ślina pociekła tuż przed jego twarzą.

— Oprawca! — ryknął inny mężczyzna i zaczął walić w błotniki długą kanalizacyjną rurką.

Najbardziej przeraziły Nathana ich twarze. Nigdy w życiu nie widział fizjonomii, które wykrzywiałyby tak wściekła nienawiść. Rozpłaszczone o szyby chevroleta w ohydnych grymasie, przypominały ożywione śmiertelne maski albo twarze upiórów z „Dnia umarłych”. Samochód otaczało coraz więcej demonstrantów, którzy wrzeszczeli dziko i starali się go rozbijać. David zaczął

plakać, a Nathan nacisnął raz i drugi klakson.

— Przepuście mnie! — krzyknął. - Przepuście mnie. Odwalcie się, sukinsyny, przestraszyliście mi dziecko!

Jeden z protestujących wskoczył na przedni zderzak i przez krótki moment Nathanowi wydawało się, że za chwilę wywleką go z samochodu. Ale potem demonstranci zaczęli się nagle rozpraszać, a młody człowiek zleciał ze zderzaka na ziemię, tak jakby uderzyła go przejeżdżająca ciężarówka. Jedna z dziewcząt uderzyła pięścią w szybę, zawołała. Ale potem i ona zniknęła Nathanowi z oczu.

— Zapamiętamy cię, ty sadysto!- zawołała.

Tłum atakowało dwudziestu albo trzydziestu policjantów, uzbrojonych w pałki i styliska od kilofów. Na czele tyraliery widać było potężną sylwetkę szeryfa Luke'a Frienda; oczy miał skryte za małymi szkiełkami przeciwsłonecznych okularów, a jego brzuch falował pod nieskazitelnie wyprasowaną

koszulą khaki niczym wodne łóżko. Nathan nie spotkał dotąd osobiście szeryfa, ale rozpoznał jego twarz z plakatów wyborczych. Luke wymachiwał zamasyście sprężynową pałką, tak jakby dyrygował męskim chórem w muszli koncertowej Cedar Rapids.

Próbował go ominąć długowłosy demonstrant, ale szeryf powalił chłopaka nonszalanckim, lecz śmiertelnie celnym uderzeniem w prawe kolano. Tamten wrzasnął niczym potrącony przez samochód królik i padł na ziemię, trzymając się za nogę i turlając po trawie.

W tłumie wycofujących się hałaśliwie demonstrantów Nathan spostrzegł długonogą blondynkę w białym T-shircie. Odwracała się właśnie do tyłu, chroniona ze wszystkich stron przez kilku wyglądających najgroźniej aktywistów, trupio bladych mężczyzn z włosami spiętymi w kuce i kolczykami w uszach. Ich oczy spotkały się na chwilę i posłała mu krótki sugestywny uśmiech, którego nie potrafił zinterpretować. Co chciała mu powiedzieć? Dostanę cię przy następnej okazji?

Straszna z ciebie oferma? Podobają mi się twoje kręcone włosy?

Luke podszedł do samochodu i pokazał gestem dłoni, żeby Nathan otworzył szybę.

— Przepraszam za chwilowy brak ochrony, przyjacielu — powiedział. — Ale ci obrońcy zwierząt potrafią wpadać w furję zupełnie bez ostrzeżenia. W jednej minucie są spokojni jak baranki i proszą pokornie, żeby nie robić krzywdy biednym bezbronnym świnkom, a w następnej zachowują się jakby dostali pomieszania zmysłów.

— Dziękuję, szeryfie — powiedział Nathan, wyjmując chusteczkę i podając ją Davidowi, żeby otarł oczy. — Przez chwilę myślałem, że przewrócą cały ten cholerny samochód.

— Widziałem, jak robią gorsze rzeczy — stwierdził Luke, pociągając nosem i zdejmując z nosa okulary. — Przed kilkoma miesiącami oślepił bielinką pewną mieszkankę Marion tylko dlatego, że pracowała dla Perrystone Pharmaceuticals, gdzie testowała tusz do rzęs na królikach. Podłożyli również bomby w dwóch sklepach mięsnych w Cedar Rapids i poparzyli jednego biedaka tak dotkliwie, że do końca życia będzie wyglądał wypisz wymaluj jak sprzedawane przez niego hamburgery.

— Cóż... jesteśmy trochę zszokowani, ale chyba nic nam się nie stało — powiedział Nathan.

Luke wyprostował się i przyjrzał uważnie chevroletowi.

— Samochód też nie jest zbyt uszkodzony. Kilka wgnieceń, tu i tam. Mam nadzieję, że ubezpieczył go pan na wypadek spotkania ze stadem Watusi.

— Czy mogę już jechać? — zapytał Nathan.

— Oczywiście. Pod warunkiem, że pokaże mi pan jakiś dowód tożsamości i zaproszenie.

Nathan sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął legitymację i list, który przysłał mu Garth. Luke rozłożył list, otworzył legitymację i zmarszczył brwi.

— Doktor Nathan H. Greene z centrum medycznego Mercy? Dziwne, że się dotąd nie spotkaliśmy.

— Jestem pomocnikiem patologa — wyjaśnił Nathan. — Pracuję w dziale części zapasowych, na samym dok. Jestem kimś w rodzaju Jana, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Patolog mówi

„Przynieś mózg, Janie”, ja odpowiadam „Tak jest, panie”, po czym wybiegam i przynoszę mózg. Taki chłopak do wszystkiego.

Luke złożył list, zamknął legitymację i podał je z uśmiechem Nathanowi.

— Pańskie papiery są w porządku, doktorze Greene. Życzę przyjemnej wizyty.

— Dziękuję — odparł Nathan, wrzucając pierwszy bieg. — Tak a propos... kim jest ta blondynka w białej koszulce i kowbojskich butach?

Luke nie musiał się nawet odwracać, żeby zgadnąć, kogo ma na myśli.

— Nie poznał pan jej? To Lily Monarch. Odkąd przeszła przez Kongres ustawa Zapf-Cady'ego, prawie co tydzień występuje w telewizji. To prawa ręka senatora Bryana Cady'ego. Niezła sztuka, prawda? Przewodnicząca Ligi Obrony Zwierząt, członkini-założycielka ruchu Kobiety Przeciwko Futrom, federalna koordynatorka akcji na rzecz zakazu spożywania mięsa... a poza tym wegetarianka, agitatorka, w swoim czasie modelka reklamująca kostiumy kąpielowe, okazjonalna kokainistka i wieczne utrapienie dla organów prawa i porządku.

Nathan zerknął za siebie. Dziewczyna oddalała się szybkim krokiem, eskortowana przez swoich ochroniarzy.

- Wydawało mi się, że przypomina kogoś znajomego. Na żywo wygląda zdecydowanie lepiej.

— Czyste mrzonki, doktorze Greene. Ta kobieta zadaje się wyłącznie z możliwymi tego świata. A na dodatek jaroszami. Miałby pan może jakąś szansę, gdyby był pan doradcą prezydenta, trzymał

dwadzieścia milionów w banku i przez całe życie nie jadł niczego oprócz brokułów. W przeciwnym razie niech pan o niej zapomni.

Nathan podjechał do metalowej bramy, a zastępca szeryfa otworzył ją i wpuścił go do środka.

W środku znajdowała się pomalowana na szaro budka, a siedzący w niej znudzony czarny mężczyzna w czapce z daszkiem zażądał, aby Nathan jeszcze raz pokazał zaproszenie i dowód tożsamości.

— Już je pokazywałem.

— Nie mnie.

— Któregoś dnia Ice-T napisze o tym, co powinniśmy zrobić ze wszystkimi strażnikami —

oświadczył Nathan drżącym z nadmiaru adrenaliny głosem.

Mężczyzna spojrział na niego z ostentacyjną pogardą.

— Któregoś dnia, doktorze, wszyscy ludzie będą braćmi — odparł. — Prosto do przodu, przez ten zagajnik. Potem minie pan po lewej stronie mały staw. Trzeci budynek z prawej strony. Doktor Matthews już na pana czeka.

Minęli szeroki pas wysokiej trawy, tak wyschniętej, że miała kolor miodu, a potem ponownie dali nurka w głęboki chłodny cień dębów. W końcu wydostali się z powrotem na odkryty teren i przejechali obok niewielkiego okrągłego stawu z zarośniętymi sitowiem brzegami. Przed nimi stały eleganckie ceglano-szklane budynki Instytutu Badań Genetycznych Spellmana, z ustawionymi w równych rzędach eleganckimi samochodami i rosnącymi w eleganckich ceramicznych donicach zielonymi krzakami. Nathan zaparkował przy znaku z napisem GOŚCIE i wysiadł z samochodu.

Prawie natychmiast otworzyły się oszklone drzwi budynku i po schodkach zbiegł, wyciągając rękę na powitanie, doktor Garth Matthews. Przystojny, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna z szerokim czołem, modnie przystrzyżonymi kasztanowatymi włosami i przypominającym szczoteczkę do zębów wąsikiem, miał na sobie błękitny laboratoryjny fartuch, spod którego wystawała niebieska koszula Dockersa, brązowe spodnie i błyszczące brązowe Oksfordy.

— Nathan... strażnik powiedział mi, że mieliście jakieś kłopoty. Podali sobie dłonie.

— Doświadczyliśmy na własnej skórze trochę miłości do zwierząt, to wszystko —

poinformował go Nathan.

— Ci cholerni, nieodpowiedzialni, żujący marchewkę fanatycy... Gdyby tylko wiedzieli, ilu ludzi staje na krawędzi śmierci za każdym razem, kiedy próbują nas powstrzymać przed wypróbowaniem jakiejś nowej genetycznej procedury. — Garth złapał Nathana za ramię i z uczuciem uściśnął. — Nic ci się nie stało? Nie uszkodzili samochodu?

— Wystraszyli Davida. Szczerze mówiąc, wystraszyli również mnie. Pluli na szybę. Skakali po masce. Naprawa blacharki będzie mnie kosztować dwieście albo trzysta dolarów.

— W porządku... przyślij mi rachunek z warsztatu. Instytut zapłaci. Najważniejsze, że nic nie stało się tobie i twojemu synowi.

David wysiadł nieśmiało z samochodu.

— To jest David? — zadziwił się Garth. — No nie... nie mogę w to uwierzyć. Jak się masz, tygrysie? Od naszego ostatniego spotkania urosłeś chyba piętnaście centymetrów. Będziesz wyższy od swojego taty, dużo wyższy. Co ty na to, Nathan? Przy swoim własnym synu będziesz wyglądał jak kurdupel. Takie żarty potrafi wyciąć człowiekowi genetyka. — Nagle coś sobie przypomniał. — Nie zniszczyli chyba próbki? — zapytał z niepokojem.

— To niemożliwe — zapewnił go Nathan. Nie mógł opanować fali podszytego poczuciem winy podniecenia. — Jest w bagażniku i naprawdę dobrze ją zabezpieczyłem.

— Chwała Bogu. Posłuchaj... może zabierzemy ją od razu do laboratorium. Będę mógł ją oddać Raoulowi do analizy DNA. Poza tym marzysz pewnie, żeby zwilżyć gardło.

— Żebyś wiedział.

Nathan otworzył bagażnik chevroleta, wyjął z niego aluminiowe pudełko wielkości torby na kamerę wideo i podał Garthowi, który złapał je oburącz, nie mogąc ukryć radosnego uśmiechu.

— Nareszcie! Nie masz pojęcia, jak bardzo to nam pomoże. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, to będzie następny wielki krok w historii ludzkości. Albo raczej w historii świń.

— Mam nadzieję, że ci się uda — powiedział Nathan. — Po tym, co zrobiłeś dla mojego taty...

— Daj spokój, Nathan. Nie bądź taki poważny, wprawiasz mnie w zakłopotanie. To była sprawdzona i wypróbowana procedura. Zrobilibyśmy to samo dla każdego, znajomego czy nieznanego. Twój ojciec nie ocalał tylko dlatego, że gramy obaj w golfa w Elmcrest.

— Ale to nie przeszkadza, że jestem ci winien przysługę. Garth poklepał aluminiowe pudełko.

— Jeśli to wypali, będę miał wobec ciebie jeszcze większy dług wdzięczności, wierz mi.

Weszli po stopniach i David otworzył przed Garthem drzwi z przyciemnionego szkła, żeby ten mógł wnieść pojemnik do budynku. Podłoga chłodnego klimatyzowanego holu wyłożona była gładko wyszlifowanymi płytami marmuru. Pośrodku stała nowoczesna abstrakcyjna fontanna, opleciona gustownie udrapowanym przez architekta wnętrz bluszczem. Garth podszedł wraz z nimi do biurka recepcjonistki, odzianej w beżowy kostium, idealnie zbudowanej brunetki z dużymi błękitnymi oczyma i szkarłatnymi ustami.

— Witamy w Instytucie Spellmana! — oznajmiła, wręczając gościom karty identyfikacyjne i dając Davidowi w prezencie firmowy długopis i firmowe kółko do kluczy. — Życzymy miłej wizyty dodała z uśmiechem.

— Dziękuję, Meg — powiedział, mrugając do niej, Garth. Nathan zastanawiał się przez krótką chwilę, jak zachowywałaby się taka nieskazitelna dziewczyna w łóżku. Czy nie chciałaby powiesić najpierw na wieszaku swojej sukienki i sprawdzić, czy jej rajstopy nie są wywrócone na drugą stronę?

Na co przyszlaby kolej potem? Na grę wstępną czy lakierowanie paznokci? Garth musiał czytać w jego myślach.

— Piękna dziewczyna, brrrr! — powiedział. - Seksowna jak diabli. I co z tego? Ma iloraz inteligencji niższy od odgrzewanego big maca.

Stanęli przed oklejonymi dębowym fornirem drzwiami z tyłu holu. Widniało na nich niewielkie, ale dobitnie sformułowane ostrzeżenie: OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP SUROWO

WZBRONIONY. NIE DOPUSZCZA SIĘ ŻADNYCH WYJĄTKÓW.

— Wchodźcie — powiedział Garth.

Ruszyli pachnącym środkiem antyseptycznym, pomalowanym na szaro, wyfroterowanym korytarzem. David szybko odkrył, że idąc nim może w bardzo irytujący sposób skrzypieć gumowymi podszewkami po wyłożonej winylowymi płytkami podłodze.

— Jak się miewa Deanna? — zapytał Nathan.

Garth przewrócił oczyma, robiąc minę, która miała oznaczać „lepiej nie pytaj”.

— Twierdzi, że jeszcze nie doszła do siebie po tym, jak ją opuściłem. Finansowo tak. No bo wie przecież, że oskubała mnie co do centa. Ale emocjonalnie, nie ma mowy. Jest wciąż do tego stopnia zazdrosna, że dzwoni do mnie każdego ranka, zanim wyjdę do pracy... potrafisz to sobie wyobrazić?... mówiąc, żebym zabrał drugie śniadanie, bo Kayley na pewno zapomniała mi je zapakować.

— A czy Kayley zapomina je zapakować? — zapytał Nathan.

— Nie przejąłbym się, gdyby Kayley zapomniała, jak się nazywam. Ale nie, nie zapomina. I smaruje pastrami solidną porcją musztardy zamiast tego potwornego sosu sojowego, który dawała Deanna.

— Wiesz, co mówią o tym, jak najlepiej dotrzeć do serca mężczyzny.

— Bardziej niepokoi mnie droga do jego wątroby i do jego nerek. Pod wieloma względami Nathan i Garth zbyt różnili się od siebie,

żeby być dobrymi przyjaciółmi. Nathan był traktującym życie serio introwertykiem, spędzającym wolny czas na lekturze Noama Chomsky'ego i Saula Bellowa i próbującym odkryć, dlaczego istoty ludzkie stanowią coś o wiele więcej niż sumę tworzących je części. Z drugiej strony jednak odznaczał się jak większość patologów lekko surrealistycznym poczuciem humoru. Nie można przez cały dzień zajmować się śledzionami, jeśli nie dostrzega się komicznej strony tej czynności.

Miał również słabość do bardzo ciężkiego rocka. Uważał, że Velvet Underground „Jest dwadzieścia lat za stary i dwadzieścia razy zbyt pogodny”. Być może słuchał takiej muzyki, żeby odgrodzić się od otaczającego świata.

Garth był gadatliwy, towarzyski i miał powodzenie u kobiet. Nigdy nie zamykały mu się usta, kiedy pracował, i nigdy nie zamykały mu się usta po pracy. Mimo swego zadbanego wyglądu był

wściekle nieporządny. Czytał „Playboya”, „Practical Mechanics” i pisma naukowe. We wrześniowym numerze „Genetic Engineering News” określono go jako Jednego z najbardziej odważnych i pomysłowych genetyków w Stanach Zjednoczonych; abyc może na całym świecie”.

Jego była żona Deanna nazywała go „psychopatycznym ośmiolatkiem w przebraniu trzydziestoosmioletniego mężczyzny”.

Nathan i Garth zaprzyjaźnili się siedem i pół roku temu po przypadkowej rozmowie w barze Elmcrest

Cuntry Club. Nathan znalazł się tam nie z własnego wyboru: jego szef zaprosił go na golfa, a Susan uznała, że być może zrobi dzięki temu karierę. Garth był członkiem klubu. Średniej klasy gracz, któremu zdarzały się jednak od czasu do czasu absolutnie fenomenalne uderzenia, większość czasu spędzał w barze popijając tradycyjne drinki i flirtując z żonami innych graczy. Wszystko było lepsze niż powrót do domu, do Deanny i jej sosu sojowego.

Susan już nie żyła, a Nathan porzucił myśli o zrobieniu kariery. Ale pozostali przyjaciółmi; Garth pomagał Nathanowi dojść do siebie po stracie Susan i Aarona, a Nathan pomagał Garthowi wyzwolić się z okowów koszmarnego małżeństwa.

No i była oczywiście sprawa ojca Nathana. Nie rozmawiali o niej zbyt często; ale stanowiła milczący temat każdego ich spotkania. Kładła się cieniem na wszystko, co robili, i wszystko, co mówili.

Dwa lata temu Garth w ciągu zaledwie dwóch godzin uzyskał zgodę na uspienie jednej z hodowanych w Instytucie Spellmana „humanizowanych świń” i błyskawiczne przewiezenie jej dwóch nerek do centrum medycznego Mercy. Nerki uratowały życie ojcu Nathana. Nathan nigdy nie pytał, ile sznurków musiał pociągnąć Garth, ile setek tysięcy dolarów kosztowała cała akcja i kto je zapłacił, a Garth nigdy mu tego nie powiedział. Być może pozbawiło to ich przyjaźń pierwotnej autentyczności. Być może ją wzmocniło. Tak czy owak, w subtelny i permanentny sposób naruszyło równowagę ich stosunków.

Weszli do jasnego i przestronnego pomieszczenia, w którym mieściło się główne laboratorium.

Wzdłuż jednej ściany stały rzędy mikroskopów, przy których siedzieli pochyleni niczym zegarmistrze trzej naukowcy w niebieskich fartuchach. Na ustawionych pośrodku trzech stołach leżały w nieładzie slajdy, probówki i książki, a także zjedzone do połowy sandwicze z avocado i lucerną oraz pozaginany egzemplarz „Opowieści o władzy Carlosa Castanedy”. Przy przeciwległej ścianie stało dziewięć komputerów Sperry-Rand z drukarkami oraz specjalny system komputerowy, zaprojektowany do analizowania łańcuchów DNA.

Zaraz przy drzwiach powitał ich wysoki czarny mężczyzna z orlim wąskim nosem i pociągłą twarzą o etiopskich rysach. Przypominał olimpijskiego biegacza albo gwiazdora koszykówki.

Przypięta do fartucha karta identyfikacyjna przedstawiała go jako Raoula Lacouture.

— Raoul... to jest mój kumpel, doktor Nathan Greene z działu części zamiennych Mercy —

oznajmił Garth. — Powiedz tylko, co sobie życzysz: nogę, rękę, połowę trzustki, tarczę sprzęgła do plymoutha barracudy model 1964... ten człowiek wytrzyma ci wszystko spod ziemi.

— Miło pana poznać — powiedział Raoul. — Nie przyjaźni się pan chyba z tym osobnikiem?

— Czy jest w tym coś śmiesznego? — zapytał Nathan.

— Bynajmniej, doktorze Greene. Czyni to z pana po prostu kogoś bardzo wyjątkowego.

Garth odsunął na bok nie dojedzonego sandwicza, postawił ostrożnie aluminiowy pojemnik na stole, po czym wziął do ręki książkę i przyjrzał się okładce.

— Nie zamierzasz chyba zostać hippisem, Raoul?

— To Jenny. Mówi, że czas już się uduchowić.

— Jak ona może się uduchowić, skoro nigdy do końca nie uświadomiła sobie, że jest zbudowana z ciała i kości?

— Nie wiem.

Garth otworzył zatrzaski z boku pudełka.

— Mimo żartobliwego usposobienia Raoul jest najlepszym ksenogenetykiem, jaki chodzi po tej ziemi. Studiował w Amsterdamie, Paryżu i w National Institute for Medical Research w Londynie.

Jego wiedza na temat genetyki świni, gdyby ją rozciągnąć, sięgałaby do księżyca i z powrotem.

Uniósł pokrywkę pudełka i Raoul zajrzał do środka. Jego oddech natychmiast zamienił się w parę. Umieszczone w środku kawałki sztucznego lodu utrzymywały zawartość w temperaturze pięciu stopni Celsjusza. Sama próbka nie sprawiała specjalnie wielkiego wrażenia: półprzezroczysta, przypominająca kształtem kwiat karmazynowo-beżowa tkanka, wciśnięta niczym sprasowana chryzantema między dwa płatki żelatyny. Mikroskopijnie cienki wycinek mózgu.

— Kto, powiedział pan, jest dawcą? — zapytał Raoul.

— Nie powiedziałem tego — odparł Nathan. — Garth może potwierdzić, że Mercy zgodziło się na ten transfer wyłącznie pod warunkiem, że pochodzenie tkanki pozostanie nieznane. Mogę wam podać jedynie numer katalogowy.

— Ale dawcą jest z całą pewnością dziecko? — wtrącił Garth. Nathan zaczerwienił się.

— Tak, muszę to z przykrością potwierdzić. Trzyletni chłopiec, zmarły nie dalej jak trzy dni temu.

— Żadnych uszkodzeń mózgu?

— Żadnych.

— Żadnych oznak zaburzeń umysłowych albo epilepsji?

— Żadnych, które moglibyśmy stwierdzić. Zmarł natychmiast w wyniku nagłego urazu.

— W takim razie to jest dokładnie to, czego szukaliśmy — stwierdził Garth. — Proponuję, Raoul, żebyś przeprowadził analizę, a potem możemy pomyśleć o tym, żeby przygotować Kapitana Blacka do operacji.

Raoul zamknął pudełko. Popatrzył na Nathana i Gartha, a potem posłał łagodne i smutne spojrzenie Davidowi.

— Zajmuję się tego rodzaju badaniami, odkąd skończyłem studia i nadal nie mogę zapomnieć, że ktoś musi umrzeć, żeby je w ogóle umożliwić. Trzyletni chłopiec! Te wszystkie słoneczne dni, których nigdy nie zobaczy...

— No i amen — przerwał mu wyraźnie skępowany Garth. Raoul zaniósł próbkę w odległy kąt laboratorium, gdzie stały zamontowane chromatografy adsorpcyjne i gazowe, a także spektrografy i dwa analizatory DNA.

— Co powiesz na małego drinka? — zapytał Garth, zwracając się do Nathana.

Zaprowadził go do swojego gabinetu, który nie licząc się z kosztami urządzono w stylu technokratycznego minimalizmu. Biurko Gartha było prostym blatem z pleksiglasu, do którego dostawiono stalowo-skórzane krzesło; poza tym stała tam skórzana sofa i pleksiglasowy stolik do kawy. Na jednej ze ścian wisiało szaro-białe abstrakcyjne malowidło, a w kącie ustawiono wrzecionowatą rzeźbę w stylu Giacomettiego.

Minimalistyczny efekt został jednak w dużej mierze zaprzepaszczony w wyniku spektakularnego bałaganiarstwa Gartha. Na pleksiglasowym biurku piętrzyły się stosy raportów, książek, czasopism i folderów. Na podłodze leżały porozrzucane wachlarzowato rysunki i diagramy, a także buty do golfa, pudełko po pizzy, gazety i torby od zakupów. Nawet telefon stał na podłodze.

Stolik do kawy zawalony był kartkami papieru, które pokrywały nabazgrane ręcznie równania i notatki, a także pustymi puszkami po bezkofeinowej coli i nie dopitymi filiżankami oleistej kawy.

Rzeźba w stylu Giacomettiego miała na głowie jaskrawoczerwoną golfową czapkę, a na piersi kartę identyfikacyjną z napisem „Chory na anoreksję chłopak od piłek”.

Stąpając między rysunkami Nathan podszedł do dużego panoramicznego okna, z którego rozciągał się widok na główny dziedziniec instytutu. Pośrodku umieszczono dużą rzeźbę z brązu —

nagi mężczyzna stojący między ufną świnią i łagodnie wyglądającą krową. Garth otworzył lodówkę i wyjął z niej dwie butelki schlitza.

— Nazywam to piwo Eleven O'Clock.

— A to dlaczego?

— Bo pije sieje dokładnie pomiędzy śniadaniem a lunchem. Nathan wziął od niego butelkę, pociągnął łyk i otarł usta.

— Wiesz, że jesteś cynikiem?

— Nie, wcale nie jestem — odparł Garth. — Być może jestem gruboskórny, zgoda. Albo mam końskie klapki na oczach. Ale ten, kto zajmuje się ksenogenetyką, staje przed problemami natury

etycznej i moralnej, jakich większość ludzi w ogóle nie potrafi sobie wyobrazić. To znaczy... czy naprawdę wolno usprawiedliwić przeszczepianie zwierzętom ludzkiego DNA tylko po to, żeby uzyskać bardziej odpowiednie organy do transplantacji? Gdyby świnia miała portfel, czy nosiłaby w nim kartę dawcy? I czy portfel byłby ze świńskiej skóry, czy też raczej z winylu? Nie jestem cynikiem, Nathan. Robię po prostu coś, ponieważ jest to możliwe i ponieważ zezwala na to prawo...

przynajmniej na razie, póki nie przeszła ustawa Zapf-Cady'ego.

— Was też będzie ona dotyczyć?

— Oczywiście. Artykuł dwudziesty trzeci wyraźnie zabrania poddawania żywych zwierząt wszelkiego rodzaju eksperymentom naukowym albo komercyjnym. Jeśli ustawa przejdzie, będziemy musieli zamknąć cały nasz wydział ksenogenetyki.

— Ale chyba do tego nie dojdzie? Farmerzy i przetwórcy mięsa są zbyt potężni, prawda? No i są jeszcze zwyczajni ludzie. Nie można zmusić całego narodu, żeby z dnia na dzień przeszedł na wegetarianizm.

Garth wzruszył ramionami.

— Kto wie? Zmusiliśmy przecież któregoś dnia cały naród do abstynencji. W tamtych czasach popierający prohibicję bigoci czynili to w imię religii. Dzisiaj są politycznie w porządku, ale to wciąż tacy sami bigoci. Projekt Zapf-Cady'ego nie jest niczym innym jak ustawą Volsteada przeniesioną na mięso.

Do gabinetu wpadł rozpromieniony David.

— Wiecie, ten pan pozwolił mi spojrzeć pod mikroskopem na mój własny włos! Wyglądał zupełnie jak drzewo, z gałęziami i ze wszystkim!

— Czy bujały się na nim małpy? — zapytał Nathan.

— Co powiesz na coca-colę? — zapytał Garth. — Masz ochotę? A potem przespacerujemy się do chlewni. Powinieneś zobaczyć Kapitana Blacka, zanim go zoperujemy.

Wyszli z gabinetu Gartha przez drzwi, które wychodziły na gorący, jasny, kryty cegłą dziedziniec. Ze wszystkich czterech stron otaczały ich błyszczące budynki laboratoriów, w których siedzieli naukowcy obojga płci pracujący nad najróżniejszymi genetycznymi eksperymentami, w wyniku których można było uzyskać szybciej rosnącą soję albo dorodniejsze, pozbawione tłuszczu i odporne na choroby bydło.

— Instytut jest finansowany w całości przez prywatny przemysł — oświadczył Garth. — Nasz budżet wynosi ponad sto siedemdziesiąt sześć milionów dolarów, ale to dobrze wydane pieniądze.

Kettner Pharmaceuticals ocenia, że ich nakłady zwróciły się już ponad trzykrotnie.

— Kettner Pharmaceuticals?

— Produkują między innymi Plasynt-10. Większość lekarzy mówi swoim pacjentom, że to całkowicie syntetyczne osocze. W rzeczywistości uzyskuje się je z genetycznie przetworzonych świń.

To samo masz w przypadku insuliny i całej gamy hormonów... wszystko uzyskujemy od świń.

Większość ludzi nie wie, że branża farmaceutyczna stoi na drugim miejscu, po mięsie, jeśli chodzi o komercyjne wykorzystanie trzody chlewnej.

— A wyroby ze skóry?

— Na samym dole listy.

Tunelem między budynkami wyszli na zewnątrz i ruszyli pod górę przez szepeczące w podmuchach wiatru wyschnięte źdźbła traw i roztańczone stokrotki. Na szczycie wzniesienia stały dwa niskie ceglane budynki; wiatr niósł od nich ostry, niemożliwy do pomylenia z innym zapach świń.

— Ludzie nie chcą tego przyjąć do wiadomości - powiedział Garth — ale świny zbliżone są do człowieka bardziej niż jakikolwiek inny gatunek... fizycznie i mentalnie. Od lat używamy ich skóry w przeszczepach dermatologicznych, a także świńskich zastawek sercowych u ludzi ze schorzeniami serca. Powiem ci coś jeszcze: świny są jedynymi zwierzętami, które piją dobrowolnie mocny alkohol.

Wykonaliśmy kilka testów dla ośrodka odwykowego Sedlacka.

Mamy tutaj wieprza rasy Berkshire, nazywa się Dino, który codziennie wypija ćwiartkę Smirnoffa. Rankiem nie sposób się do niego zbliżyć. Na wszystkich warczy.

Podeszli bliżej. Budynki były nowe, elegancko pomalowane i zaopatrzone w brzęczące głośno urządzenia klimatyzacyjne. Garth otworzył kluczem drzwi najbliższej chlewni i weszli do środka.

Wewnątrz paliło się przyćmione światło i jeszcze mocniej czuć było woń świń.

Nathan usiłował coś dojrzeć w półmroku. Budynek miał przynajmniej siedemdziesiąt metrów długości i niski sufit, pod którym zawieszane były jarzeniówki. Po obu stronach znajdowały się ponumerowane od jednego do czterdziestu boksy z przednimi ściankami z pleksiglasu, każdy z odbitym za pomocą szablonu imieniem. Daisy. Charlie. Whitney. Wielki Bili. Zoot. Einstein.

— Kto nadaje im te imiona? — zapytał David. Garth zamknął za nimi drzwi.

— Spójrz na nie... mają je wypisane na ryjach. Zobacz tutaj, ten wieprz nazywa się Lionel.

Gdyby potrafił mówić, nie traciłby czasu na gadanie, tylko od razu zaśpiewał „Dancing on the Ceiling”.

Poprowadził ich wzdłuż zagród, pokazując kolejne świny rasy Hampshire, Berkshire, Duroc,

Chester White, Yorkshire, Land większość hodowanych w Ameryce klasycznych odmian.

— Pracujemy nawet nad ich popędem seksualnym. Farmerzy chcieliby, żeby ich maciory prosiły się dwa razy w roku, po osiem prosiaków w każdym miocie, po ciąży, która trwa trzy miesiące, trzy tygodnie i trzy dni. Na wolności świnie zachowują się oczywiście jak ludzie. Lubią kopulować przez cały rok. Mają bardzo, bardzo silny popęd seksualny. Widzicie tę loszkę? Loszka to samica świni, która nie miała jeszcze pierwszego miotu. Jest prawie idealną świnia mięsną: silna, wspaniale zbudowana, z szeroką piersią i zadem, łatwo dostępnymi brodawkami mlecznymi, ma poza tym prawie pięćdziesiąt sześć procent tłuszczu mniej niż świnie, które hodowaliśmy w latach sześćdziesiątych, i przekaże te cechy swojemu potomstwu. Należy się jej szarfa z napisem Miss Bezcholesterolowego Bekonu.

Dotarli do końca chlewni. Znajdowała się tutaj zajmująca całą szerokość budynku, specjalna zagroda. Z przodu była ścianka z pleksiglasu, ale jej powierzchnię pokrywało tyle rys, zadrapań i pacyn śliny, że nie sposób było stwierdzić, czy w środku przebywa jakiś lokator. Po lewej stronie boksu znajdowały się szare metalowe drzwi z odbitym przez szablony numerem dwadzieścia i umieszczonym niżej napisem Kapitan Black.

Nathan przystawił głowę do tafli pleksiglasu i spojrzał do środka. Zdołał zobaczyć wyłącznie podściółkę ze słomy i stojący w prawym rogu basen z wodą. Wszystkie boksy zaopatrzone były w basen z wodą, ponieważ świnie nie mają gruczołów potowych i aby obniżyć temperaturę ciała, muszą się w niej co jakiś czas tarzać. Ale ten basen był trzy razy większy od jakiegokolwiek innego, a woda falowała w nim i chlupotała, tak jakby zaledwie przed chwilą kąpał się w niej jakiś olbrzym.

- Wyhodowaliśmy Kapitana Blacka przed pięciu laty - wyjaśnił Garth, szukając klucza do boks numer dwadzieścia. — Stanowi wynik jednego z naszych pierwszych eksperymentów w dziedzinie humanizacji i jednocześnie jeden z naszych największych sukcesów. Pod względem genetycznym Kapitan Black jest tak zbliżony do istoty ludzkiej, że możemy użyć do transplantacji chirurgicznej każdego organu jego ciała... serca, płuc, wątroby, nerek... oczywiście pod warunkiem, że będą do siebie pasowały tkanki.

— Gdzie on się schował? — zapytał Nathan, zasłaniając twarz stulonymi dłońmi, żeby móc dojrzeć coś więcej w środku boks.

— Musi tam gdzieś być, nie ma co do tego wątpliwości. Na pewno usłyszał, jak nadchodzimy.

Jest dość łagodny, nie przejmuj się. W gruncie rzeczy nawet nieśmiały. Wejdziemy tam i przyjrzymy mu się z bliska.

— Mamy wejść do środka? — zapytał Nathan czując, jak zupełnie niespodziewanie ogarnia go niepokój.

— Nathan... to przecież tylko świnia. Przyznaję, że wielka. Nawet bardzo wielka. Ale możesz karmić ją kukurydzą prosto z ręki. Możesz usiąść jej na grzbiecie i przejechać się po polu. Uwielbia ludzkie towarzystwo. Gdybyśmy jej pozwolili, włóczyłaby się po barach dla samotnych.

Nathan przyjrzał się zadrapaniom i rysom na pleksiglasie. Niektóre z nich znajdowały się na wysokości ponad trzech metrów; inne wrzynały się głęboko, prawie na całą grubość tafli.

— Czasami doskwiera mu po prostu samotność — powiedział Garth, uświadamiając sobie, co przyciągnęło wzrok Nathana. Próbuje się wydostać, żeby dotrzymać nam towarzystwa w laboratorium, tam na dole.

— Mam nadzieję, że nigdy mu się nie udało?

— Tylko raz, przed kilku laty. W tamtych czasach mieliśmy przy drzwiach zwykajne zasuwki.

Kapitan Black odkrył, że jeśli przysunie się naprawdę blisko drzwi, w momencie gdy je zamykamy, tak że będziemy musieli pchać z całej siły, żeby je zatrzasnąć, wtedy zasuwka nie wsunie się do końca i żeby ją otworzyć, wystarczą dwa albo trzy kopnięcia. Wróciłem kiedyś z Uniwersytetu Iowa i zastałem go kąpiącego się w jeziorze. Żeby zamknąć Kapitana z powrotem w zagrodzie, musieliśmy go uspić, bo za żadne skarby nie chciał wrócić dobrowolnie. Myślisz, że muły są uparte? Poczekaj, aż będziesz miał do czynienia ze świnią. — Garth przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. —

Kapitanie Black? — zawołał. — Jesteś tam, Kapitanie? Przyprowadziłem ci dwóch sympatycznych chłopaków.

Przez moment trwała cisza — a potem ciężko zaszeleściła słoma i rozległo się głębokie agresywne chrząknięcie. W gruncie rzeczy bardziej ryk niż chrząknięcie.

— Jezus — szepnął cicho Nathan.

— Kapitanie Black, mam nadzieję, że będziesz dzisiaj grzeczny odezwał się Garth. — Nie chcemy żadnych fochów.

Rozległo się kolejne szuranie i ostry odgłos drapania, a potem coś olbrzymiego uderzyło w drzwi z drugiej strony i Garth musiał się szybko cofnąć.

— Nie myślisz chyba serio, żeby tam wejść? — zapytał Nathan.

— Nic mu nie jest, nic mu nie jest... to wszystko na pewno z powodu upału. Obiecuję, że będzie spokojny. Nie skrzywdziłby nawet muchy.

— Nie obchodzi mnie, ile skrzywdził do tej pory much. Nie chcę po prostu, żeby wyładował się na mnie.

Garth napał ostro na drzwi.

— No już, Kapitanie, na litość boską! Zabieraj swoje schaby spod drzwi! — zawołał, popychając ponownie. — Dosyć tego, uparty sukinsynu! Bo chuchnę i dmuchnę, i rozwalę ci ten twój domek.

To bardzo rozśmieszyło Davida.

— Nie zawahamy się ani przez moment! — zawołał swoim piskliwym głosem.

Garth natężył wszystkie siły, żeby otworzyć drzwi; po chwili przyłączył się do niego Nathan.

Przez prawie minutę sapali i pchali, sapali i pchali; a Kapitan Black sapał i nie ruszył się ani na milimetr z miejsca.

— Kapitanie Black! — zapiął cienko David. — Otwórz drzwi, chcę cię zobaczyć.

Knur wydał z siebie głośne chrząknięcie, które przeszło w wysoki ostry kwik. A potem niemal w cudowny sposób odstał od drzwi.

— Wygląda na to, że masz do niego odpowiednie podejście stwierdził Garth, odwracając się z uśmiechem do Davida. — Chłopiec, który zna język świń. - Otworzył szeroko drzwi, a potem objął

ramieniem małego. — Wejdz i przywitaj się z nim. Nie bój się. Jest wielki, z góry cię ostrzegam. Jest także niezgrabny i bardzo uparty. W gruncie rzeczy wydaje mu się chyba, że jest człowiekiem podobnie jak my i nie wie, co tutaj robi, skoro my chodzimy, gdzie nam się podoba. Ale jeśli będziesz dla niego dobry i pokażesz, że się go nie boisz, on też będzie dla ciebie bardzo miły.

Wprowadził Davida do środka zagrody; za nimi wszedł ostrożnym krokiem Nathan.

Najpierw uderzył go smród. To nie była woń zwyczajnej świni. To był kwaśny, piżmowy, jurny odór — zwalająca z nóg mieszanina uryny, feromonów i bestii. I czegoś jeszcze: cierpka zawieszona domieszka czegoś, co nie miało nic wspólnego ze zwierzęciem.

W zagrodzie było tak ciemno, a Kapitan Black tak głęboko schowany w cieniu, że Nathan nie zorientował się z początku, jaki jest olbrzymi. Widział tylko dwoje błyszczących oczu i wilgotny drżący ryj. Ale potem Kapitan Black dał trzy kroki w ich stronę, a przez okno wpadło trochę niewyraźnego światła.

— Boże święty — szepnął Nathan i cofnął się.

Kapitan Black miał ponad półtora metra wysokości i prawie trzy metry długości. Jego ciało pokrywała ostra czarna szczecina; wielkością i kształtem nie różnił się specjalnie od ogromnej, spoczywającej na wspornikach pięciusetgalonowej beczki z ropą. Był tak olbrzymi, że Nathan nie wierzył niemal własnym oczom. Ale Kapitan strzygł co jakiś czas wielkimi czarnymi uszami i nadal posuwał się do przodu, stawiając krótkie kilkunastocentymetrowe kroki i stukając raciami po betonowej podłodze.

Cała jego postać sprawiała dosyć niepokojące wrażenie, ale dopiero na widok pyska Nathan zaczął przęłykać nerwowo ślinę. Przypominał bardziej mordę wielkiego wilkołaka niż wieprza: pokryty cały błyszczącymi czarnymi włosami, z odrażająco spłaszczonym ryjem. Z dolnej szczęki wyrastały dwa zakrzywione siekacze, a spomiędzy warg toczyła się przy każdym kroku ślina.

Jego oczy były również czarne — połyskliwie czarne, inteligentnie czarne, czarne niczym płynna smoła; nie trupio czarne jak oczy rekina. Wpatrywał się w Nathana bez zmrużenia powiek i w jego

wzroku było coś wytrącającego z równowagi, coś, co kazało Nathanowi uwierzyć, że Kapitan Black jest zdolny do racjonalnego myślenia — że gdyby tylko jego struny głosowe mogły formować słowa, potrafiłby do nich przemówić.

Przypominało to wpatrywanie się w oczy człowieka, który na mocy jakiegoś straszliwego zaklęcia uwięziony został w zwierzęcym ciele.

Niesamowita świnia — powiedział z szacunkiem. - Mówiłeś mi, że jest wielka, ale...

— Największy żyjący knur w Ameryce - stwierdził Garth, nie starając się wcale ukryć wypełniającej go satysfakcji i dumy. - Knur rasy polsko-chińskiej. Ma pięć lat i dwa miesiące, metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i dwa metry dziewięćdziesiąt dwa centymetry długości od ryja do ogona.

Ostatnim razem, kiedy go wazyliśmy, miał tysiąc trzysta szesnaście kilogramów. To prawie półtorej tony. Tyle co volkswagen garbus z pełnym obciążeniem.

— Jestem pod wrażeniem — stwierdził Nathan; i naprawdę był pod wrażeniem.

David przez dłuższy czas wpatrywał się, nie mówiąc ani słowa, w Kapitana Blacka, a potem ostrożnie, krok po kroku, zbliżył się na wystarczającą odległość, żeby go dotknąć.

— David... — odezwał się ostrzegawczo Nathan.

— Nic mu nie grozi — zapewnił go Garth. — Kapitan jest całkowicie oswojony. Jeśli po prostu dasz do zrozumienia, że go lubisz, on też nabierze do ciebie sympatii.

David wyciągnął rękę i poklepał Kapitana Blacka między jego oklapłymi cętkowanymi uszami.

Knur odwrócił do połowy głowę i przestąpił nerwowo z nogi na nogę, ale nie uznał najwyraźniej, że David może mu zagrażać.

— Słyszałem, że lubi, jak się go gładzi po uszach — powiedział Garth.

David uniósł jedno z uszu Kapitana Blacka i zaczął rolować je delikatnie między otwartymi dłońmi, tak jakby to był kawałek ciasta.

— Jest takie miękkie — stwierdził. — Wszędzie indziej jest twardy i kłujący, ale uszy ma naprawdę miękkie.

Kapitanowi Blackowi sprawiać być może przyjemność masaż uszu zaordynowany mu przez Davida, ale ani na sekundę nie odwracał oczu od Nathana, który osłonił po chwili twarz dłonią — do tego stopnia denerwowało go spojrzenie knura.

Człowiek zaklęty w ciele świni.

— Jest fenomenalny — stwierdził.

— Fenomenalny to właściwe określenie — zgodził się Garth. - Ten przyjemniaczek to nie tylko największy knur w Ameryce, ale genetycznie rzecz biorąc, jest najbliższy ludzkiej istocie.

— W jaki sposób chcecie wykorzystać mój wycinek mózgu? - zapytał Nathan. — Napisałeś w liście, że potrzebny wam jest do analizy genetycznej. Co to ma wspólnego z Kapitanem Blackiem?

— Dokonamy bardzo śmiałego eksperymentu. Uważamy, że po analizie genetycznej wycinka mózgu będziemy mogli zmienić na drodze biochemicznej jego procesy myślowe. Założenie jest takie, że skoro potrafiliśmy posłużyć się kodem genetycznym, aby dać mu humanizowaną wątrobę i humanizowane serce, dlaczego nie zastosować podobnej techniki w celu uzyskania humanizowanej osobowości.

Nathan zmierzył go wzrokiem.

— Nie możesz zamienić świni w człowieka, Garth.

— Oczywiście, że nie. I nie staramy się wcale tego dokonać. Chcemy tylko udowodnić, że można zmienić czyjąś osobowość poprzez zmianę genetycznego kodu mózgu, tak jak to się dzieje przy modyfikacji programu komputerowego. Możliwości medyczne są nieograniczone. Pomyśl, jak można będzie pomóc schizofrenikom, typom depresyjnym, epileptykom i starszym osobom, cierpiącym na chorobę Alzheimera. Koniec z przedwczesną starością. Koniec z chorobami psychicznymi. Za dziesięć lat będziemy być może w stanie zmienić kod mózgu, aby wydobyć ludzi ze śpiączki.

Nathan opuścił dłoń i spojrzał ostrożnie na Kapitana Blacka. Ten odpowiedział mu równie twardym jak poprzednio spojrzeniem.

— To dlatego właśnie chciałeś wycinka, który pochodziłby od kogoś tak młodego? — zapytał

Nathan. — Żeby nie był zbyt wykształcony; albo zbyt rozwinięty umysłowo?

— Trafiłeś w samo sedno, mon ami. Potrzebowaliśmy mózgu, w którym doszło do wykształcenia funkcji językowych i zachodzą koherentne procesy wizualizacji, ale który jest zarazem w dużym stopniu wolny od przesądów i dezinformacji. Innymi słowy, tabliczka nie jest całkowicie czysta, ale czystsza od innych.

David zaczął masować drugie ucho Kapitana.

— Zobacz, tato — oświadczył, odwracając się z triumfem do Nathana — on naprawdę mnie polubił!

Kapitan Black zachrzękał, sapnął i zakołysał swoim wielkim brzuchem.

— Więc kiedy go zoperujecie, Kapitan Black będzie miał tę samą osobowość co chłopiec, którego wycinek wam dostarczyłem?

— Mówiąc w olbrzymim skrócie, tak... chociaż nie utraci swojej własnej esencjonalnej wieprzowatości, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Nadal pozostanie wieprzem. I będzie miał tego świadomość.

— Czy będzie znał różnicę między dobrem a złem?

— Nie ma przyczyny sądzić inaczej.

— I będzie miał wyobraźnię?

— Całkiem możliwe... chociaż nie istnieje żadna metoda, dzięki której moglibyśmy odkryć, co takiego sobie wyobraża. Chyba że on sam znajdzie sposób, żeby nam powiedzieć.

— A poczucie humoru? A sumienie?

- Kto to może wiedzieć, Nathan. To w końcu tylko eksperyment. Nathan potrząsnął powoli głową.

- Sam nie wiem, Garth. Mogę tylko powiedzieć jedno: mam nadzieję, że wiesz, na co się porywasz.

Kapitan Black wydał z siebie nagły kwik, który sprawił, że wszyscy, nie wyłączając Davida, skoczyli do tyłu.

— Chodźmy powiedział Garth. Nie mogę dłużej znieść tego smrodu. Czasami muszę spędzać tutaj cały ranek i wtedy nawet mój lunch śmierdzi świnia.

David po raz ostatni podrapał ostrożnie Kapitana Blacka między uszami.

— Do zobaczenia, Kapitanie — powiedział. — Wkrótce znowu cię odwiedzę.

Wyszli z boksu i Garth zamknął drzwi na klucz. Kapitan Black zachowywał się spokojnie, ale kiedy oddalili się dwadzieścia albo trzydzieści metrów, usłyszeli nagłe dudnienie, a potem chrobot udręczonego, drapanego racicami plastiku, od którego włosy stanęły im dęba.

Kapitan Black stał na tylnych nogach, wyprostowany na całą swą wysokość — czarny cień za rozmazaną, zaślinioną taflą pleksiglasu. Odrzucił do tyłu pysk i wydał z siebie ryk, który sprawił, że mimowolnie przyspieszyli kroku.

— To jedyne zwierzę domowe, z którym nie chciałbym się spotkać w nocy sam na sam —

powiedział Nathan, kiedy wyszli na zewnątrz, w oślepiające promienie słońca.

— Jest wspaniały — stwierdził David. — Naprawdę wspaniały. Lepszy od dinozaura. To znaczy, jest podobny do potwora i jednocześnie całkiem prawdziwy.

ROZDZIAŁ IV

Emily siedziała przy kuchennym stole, jedząc zupę z kurczaka i oglądając „Getting By” w telewizji. Co jakiś czas obracała się i spoglądała na matkę, która siedziała szyjąc w salonie. Od powrotu Emily ze szpitala Iris bez przerwy coś szyła. Emily nawet ją rozumiała. Bezmyślna dokładność i staranność, której wymagało szycie, musiały przynosić mamie ulgę w cierpieniu.

Sama Emily nie zaczęła jeszcze cierpieć. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło.

Rozmyślała bez przerwy o tym sobotnim popołudniu i odkryła, że właściwie nie może prawie myśleć o czym innym. Zaparkowany na wzniesieniu samochód. Świst wiatru i odgłosy zbliżającej się burzy.

Chmury tak samo ciemne jak oczy taty.

Najczęściej przypominała sobie to, jak biegnie przez ulewny deszcz, a jej gołe nogi smagają kłosa pszenicy. Myślała o ojcu, który podnosił w górę sierp — i o krwi, która zachlapała tylną szybę półciężarówki Loftusów.

Naprawdę dziwne było jednak to, że nie mogła w żaden sposób przypomnieć sobie twarzy taty.

Widziała wyraźnie jego ubranie. Widziała jego ręce, jego włosy i wszystko. Ale w miejscu, gdzie zaczynała się twarz, potrafiła wyobrazić sobie tylko rozmazaną białą plamę, tak jakby ktoś namalował

portret ojca ołówkiem, a potem startł go miękką plastikową gumką.

Emily guzdrała się nad talerzem. Zupa z drobiu Campbella, którą niezbyt lubiła, ale jadła, bo chciała za wszelką cenę obejrzeć, co stanie się z Marcusem w „Getting By”.

Mama odłożyła w końcu szycie, weszła do kuchni i stanęła za jej plecami.

— Chcesz trochę więcej? Emily odłożyła łyżkę.

— Nie jestem zbyt głodna

Iris spojrzała na ekran.

- Nie wiem, jak możesz oglądać coś takiego po tym, co się stało.

— Och, mamo, nie wyłączaj. To ulubiony film Lisy.

Iris przez chwilę się wahała.

— W porządku... — powiedziała w końcu - rozumiem.

Podsunęła sobie krzesło i usiadła.

— Dziś po południu dzwonił do mnie ojciec Wozniak. Pogrzeb wyznaczono na wtorek rano.

Emily wbiła w nią zdziwiony wzrok i przełknęła ślinę.

— Dopiero we wtorek? Iris wzięła ją za rękę.

— To najwcześniejszy termin, jaki mógł załatwić. Poza tym musimy się przecież przygotować.

Będzie chciał przyjechać twój dziadek; i twoi kuzynowie z Kansas City w Missouri; i wszystkie przyjaciółki Lisy.

— Ale we wtorek...

— O co chodzi, kochanie? Dlaczego nie we wtorek?

— Do tego czasu się zepsują!

Iris zamknęła na chwilę oczy, żeby opanować ból.

— Nie martw się, Emily — powiedziała, otwierając je po chwili. Ludzie w domu pogrzebowym mają swoje sposoby, żeby zachować ciała w świeżości.

W tym samym momencie otworzyły się kuchenne drzwi i do środka weszła siostra Iris, Mary, dźwigając w rękach zakupy. Emily zerwała się od stołu, żeby jej pomóc, a Iris sprzątnęła talerz.

Mary była o dwa lata starsza od Iris — podobna do niej, ale niższa i bardziej pulchna. Kiedy były małe, Iris zawsze uważała, że Mary jest od niej o wiele ładniejsza. Ale czas nie oszczędził się zbyt łaskawie z jej siostrą. Buzia, która w dzieciństwie wydawała się anielska i pucułowata, zrobiła się teraz owalna, płaska i nieproporcjonalnie duża. A Iris, która jako dziecko sprawiała wrażenie kanciastej i chudej, miała dzisiaj całkiem ładną i wyrazistą twarz chociaż oczywiście zmęczoną i smutną.

Obie siostry ubrane były na czarno, ale Mary kręciła się i robiła wokół siebie tyle szumu, że równie dobrze mogłaby założyć fioletową sukienkę ze szkarłatnymi zygzakami.

Nie udało mi się dostać tych lodów Meadow Gold, które chciałaś; no wiesz, tych beztłuszczowych. Kupiłam za to bezcholesterolowy majonez. Znalazłam także te spinki, o które prosiłaś, Emily. Dziękuję, ciociu Mary.

- Jutro zamierzam ugotować prawdziwy obiad - podjęła Mary i nie chcę słyszeć żadnych ale.

Obie nie jadłyście nic porządnego od dwu dni, a powinnyście się wzmocnić.

— To bardzo miło z twojej strony — odezwała się Iris. — Ale ja naprawdę nie mogę nic jeść.

— Co ty wygadujesz? Że nigdy już niczego nie przełkniesz? Posłuchaj, Iris, wiem, że nie masz apetytu, ale musisz dbać o zdrowie, dla dobra Emily. Zaplanowałam kotlety de vollaille: smaczne, lekkostrawne i łatwe do przełknięcia.

Iris miała łzy w oczach. Często nie mogła się po prostu opanować: nagle, bez żadnego ostrzeżenia zaczynała płakać. Złapała się dłonią za usta, żeby powstrzymać szloch, i kiwnęła potakująco głową.

— Kupiłam więc piersi kurczaka — powiedziała Mary, wyjmując je z torby na zakupy. —

Kupiłam bekon, cebulę, śmietankę i trochę świeżych brokułów.

Wyłożyła brokuły na stół — ciemnozielone, upstrzone purpurą kwiatostany. Emily spojrzała na nie z przerażeniem. Otworzyła usta, a potem zamknęła je z powrotem i spojrzała rozszerzonymi oczyma na Iris.

— Mamo? — zapytała najcichszym z szeptów.

Iris odjęła powoli rękę od ust i również spojrzała na brokuły, przygryzając nerwowo wargę.

Pochylona nad torbą Mary niczego nie zauważyła. Ale po chwili dotarła do niej nagła cisza i uniosła głowę.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic... naprawdę — odparła drżącym głosem Iris.

Mary przeniosła wzrok z Iris na Emily i z powrotem na Iris.

— Co to znaczy „nic”? Przecież widzę was obie. Wyglądacie, jakbyście zobaczyły ducha.

— Słowo daję, Mary, nic się nie stało.

— Kogo próbujesz nabrać? Jestem twoją siostrą. Powiedz mi, co jest nie tak. Czy kupiłam coś złego? Czy cię zdenerwowałam? Posłuchaj, Iris, jeśli kupiłam coś złego: na przykład ulubione ciasteczka George'a czy coś takiego, musisz mi wybaczyć.

— Zapomnij o tym, proszę — powiedziała Iris. Mary podparła się pod boki.

— Nie, nie zapomnę. Przyjechałam tutaj, żeby ci pomóc, Iris. Zostawiłam w Dubuque kochanego mężusia, który musi teraz odgrzewać sobie gotowe obiady Hungry Man i pracować własnoręcznie skarpetki, i zasługuję przynajmniej na to, żebyś powiedziała mi, co się stało.

Iris wzięła głęboki oddech.

— Chodzi... chodzi o te brokuły — wykrztusiła w końcu. Mary powoli obróciła się i wlepiła wzrok w zakupy.

— Brokury?

— Chodzi o to, że my ich nie jadamy.

Na twarzy Mary pojawiło się kolejno kilka min wyrażających niedowierzanie.

— No i co z tego? — zapytała. — Nie jecie brokułów. Więc zostawcie je na skraju talerza. Nie zamierzam się z tego powodu obrazić. Jezus! Pokłóciłyśmy się kiedyś o szafirowy naszyjnik mamy, ale mam nadzieję, że nie pokłócimy się o to, jakie jemy jarzyny.

Wzięła ze stołu brokuły i otworzyła lodówkę, chcąc wrzucić je do szuflady na warzywa.

— Chodzi o to, że my nie trzymamy takich jarzyn w domu odezwała się wysokim, nieśmiałym głosem Emily.

Mary powoli się wyprostowała.

— Chwileczkę. Nie trzymacie takich jarzyn w domu? Macie na myśli: nigdy? Czy jest jakiś przesąd dotyczący brokułów, o którym nie słyszałam? No?

Emily energicznie potrząsnęła głową.

— Nie mamy także fasolki, grochu ani zielonej papryki.

Iris wzięła głęboki oddech.

— Właściwie możesz się o tym dowiedzieć, Mary. Terry nie pozwalał, żeby w domu znajdowało się coś zielonego. Cokolwiek.

Mary rozejrzała się powoli po kuchni. Iris miała rację. Nie było tu żadnych zielonych obrazków, zielonych roślin, zielonych ściereczek, zielonych ziół. Nie mówiąc ani słowa przeszła, wciąż trzymając w ręku brokoły, do salonu i tam również się rozejrzała. Wróciła do kuchni kompletnie zdezorientowana.

— Masz rację — powiedziała. — Nigdy tego przedtem nie zauważyłam. Nie macie niczego zielonego.

— To taka słabość Terry'ego, nic więcej.

— Słabość? — zdziwiła się Mary. — Nie pozwalał wam mieć nic zielonego w całym domu, nie pozwalał wam jeść warzyw i to tylko taka jego słabość? Och, Iris, powinnaś zatroszczyć się o pomoc dla Terry'ego już dawno temu. Powinnaś od niego odejść już dawno temu. Allen zawsze powtarzał, że to świr.

— Mimo to — stwierdziła Iris. — Czy mogłabyś? - dodała, wskazując brokoły.

— Czy mogłabym co? Masz na myśli, czy mogłabym je wyrzucić?

— Tak, proszę — odparła Iris z uśmiechem, który tak naprawdę nie przypominał wcale uśmiechu. — To mnie znacznie uspokoi.

- Iris... co twoim zdaniem może się wydarzyć, jeśli będziesz miała brokoły w domu? Albo w ogóle cokolwiek zielonego?

— Nie wiem... Po prostu Terry tak się przy tym upierał. To znaczy, bardziej niż upierał. Jeśli w domu było coś zielonego, wpadał w straszną furję. Nasi sąsiedzi pomalowali kiedyś płot na zielono i gotów był ich zabić.

— Czy wyjaśnił ci kiedykolwiek dlaczego? — zapytała coraz bardziej zdziwiona Mary.

— Nie. Właściwie nie. Terry nie lubił mówić o tym, co robił. Powtarzał, że czyny przemawiają dobitniej od słów.

— Chodziło o Zielonego Wędrowca — wtrąciła Emily.

— Óóó — uciszyła ją Iris. — To nonsens.

— Ale tak było. Tato zawsze powtarzał, że mama nie powinna nigdy otwierać drzwi przed Zielonym Wędrowcem, nieważne jak długo by pukał.

— Dostyc tego, Emily! — skarciła ją Iris. Ale Emily nie dawała za wygraną.

— Jeśli w domu nie ma nic zielonego, wtedy Zielony Wędrowiec nie może wejść do środka.

Musi pukać i czekać, aż ktoś mu otworzy.

Mary spojrzała na trzymane w ręku brokuły, a potem na Iris.

— Chyba w to wszystko nie wierzysz'...?

— Nie, oczywiście, że nie — oburzyła się Iris. — To tylko taka bajka. Terry wygadywał najróżniejsze rzeczy, żeby mnie przestraszyć. Taki po prostu był.

— Ale mimo to nadal chcesz, żebym je wyrzuciła?

Iris kiwnęła głową, z zakłopotaniem, ale całkiem stanowczo.

— Powiem ci, co zrobię — odparła Mary. — Nie mam wcale zamiaru ich wyrzucać.

Kosztowały pięćdziesiąt dziewięć centów, są zdrowe i nie wywalę ich do śmieci z powodu jakiegoś śmiesznego przesądu. Terry jest teraz za kratkami, kochanie, i pozostanie tam do końca swoich dni, więc naprawdę nie masz się czego bać.

Wsadziła brokuły do lodówki i zamknęła drzwi.

— Jutro mam zamiar kupić trochę zielonych jabłek — dodała — zielonej cebuli i zielone serwetki. Zobaczmy, co na to powie ten wasz Zielony Wędrowiec.

Emily nie odrywała wzroku od lodówki, tak jakby miała nadzieję, że za chwilę sama się otworzy i nieszczęsne brokuły wyfruną z niej za okno.

— Ty, dziecko, idź się teraz wykapać — powiedziała ciotka. Przyjdę do ciebie i wymyję ci plecy. Jeśli uwiniesz się do dziewiątej, będziesz mogła pooglądać jeszcze trochę telewizję.

Emily posłała pytające spojrzenie matce. — Idź, Emily. Zrób, co mówi ciocia — potwierdziła Iris. Po wyjściu małej Mary poszperała w torbach na zakupy i wydobyła z nich butelkę Tanqueray i słoik

oliwek.

— Co powiesz na bardzo wytrawne martini?

— Mary...

— Daj spokój, Iris, parę głębszych dobrze ci zrobi. Zasłużyłaś sobie na to po tych wszystkich latach spędzonych razem z Terryem.

I jak to się skończyło? Utratą Lisy i małego George'a. Nigdy nie zapomnę, jak Allen powiedział mi już po naszych pierwszych odwiedzinach: „Ten facet to świr. Ten facet to świr i któregoś dnia zrobi coś naprawdę szalonego”. Iris skurczyła się na krześle.

— I zrobił to, prawda? Zrobił coś naprawdę szalonego — powiedziała. Po wszystkich środkach uspokajających, które wzięła, jej oczy wyglądały jak pokryte szklivem.

Mary podeszła do kredensu i wyjęła dwa nie pasujące do siebie kieliszki.

— Chcesz opowiedzieć mi o tej historii z Zielonym Wędrowcem?

— Nie ma za dużo do opowiadania. Czasami, kiedy Terry wpadał w szał albo był pijany, biegał po całym domu, zamykając drzwi i okiennice i powtarzał, że któregoś dnia Zielony Wędrowiec odnajdzie nas i ukarze za to, co zrobiliśmy; i że wtedy nasze życie nie będzie warte kłęбка kłaków.

Mówił, że śmierć na raka żołądka jest niczym w porównaniu z tym, co robi z nami Zielony Wędrowiec. Mówił, że wolałby raczej, żeby odrąbano mu bez znieczulenia nogi i rękę. Wolałby raczej, żeby przypalano mu nagie ciało palnikiem. Napędzał mi takiego stracha, że bałam się oddychać.

Mary podstawiała dzbanek pod zamrażalnik i napełniła go z hałasem kawałkami lodu.

— Terry był niezrównoważony, Iris. To najłagodniejsze określenie, jakie mogę znaleźć. Nie istnieje ktoś taki jak Zielony Wędrowiec, cokolwiek by to miało oznaczać, podobnie jak nie istnieją Wielka stopa, Drakula ani Frankenstein. — Wlała całą butelkę Tanqueray do dzbanka z lodem, a potem dodała odrobinę wytrawnego wermutu. — Gdzie jest sitko? Masz jakieś sitko?

Nalała Iris drinka, a potem wrzuciła do kieliszka oliwkę.

— Wyśmienicie — powiedziała, zadowolona z siebie. Iris wpatrywała się nieszczęśliwym wzrokiem w drinka.

— No — zachęciła ją Mary, podnosząc kieliszek. - Do dna!

— No nie wiem... — wyjąkała Iris.

— Na litość boską — zniecierpliwiła się Mary. - Chyba ci to nie zaszkodzi?

- Jest zielona - wyjaśniła zdesperowana Iris. - Ta oliwka... jest zielona.

Luke wrócił do swego gabinetu kilka minut po dziewiątej. Klimatyzator nawalił drugi raz w tym miesiącu i temperatura przekraczała znacznie dwadzieścia pięć stopni. Szeryf stanął przy biurku, ocierając twarz i szyję chusteczką i przerzucił szybko czekające na niego wiadomości. Za oknem nadal połyskiwały wody rzeki i nadal migotały światła samochodów.

Tym razem dla odmiany nie znalazł nic ważnego. W dwu czarnych teczkach znajdowały się wyniki badań pośmiertnych Lisy i George'a Pearsonów. W krwi nie odkryto żadnego śladu alkoholu, narkotyków i substancji toksycznych, nie było także śladów pobicia ani zżęcania się na tle seksualnym. Jedynym występkiem, jakiego dopuścił się Terence Pearson w stosunku do własnych dzieci, było to, że uciął im głowy.

Na biurku leżał także gruby na pięć centymetrów raport na temat nadużywania narkotyków w głównych aglomeracjach Środkowego Zachodu oraz ocena elektronicznego urządzenia sygnalizacyjnego do śledzenia skradzionych samochodów. Były dwie wiadomości od Sally Ann, która prosiła go, żeby kupił po drodze mleko i nie zapomniał o jutrzejszym spotkaniu w kościele.

Wydmuchał nos, schował chusteczkę z powrotem do kieszeni i połączył się przez interkom z Normanem.

— Norman? Cieszę się, że cię jeszcze złapałem. Gdzie jest tłumaczenie?

— Przykro mi, szeryfie. Ponican się nie pokazał.

— Dzwoniłeś do niego?

— Jasne. Ale nie odpowiada.

— Cholera, Norman. Chciałem to mieć na dzisiaj.

— Wiem, szeryfie. Będę tam dalej dzwonił.

— Gdzie on mieszka?

— W Pepperwood Apartments przy Trzydziestej Czwartej Ulicy, mieszkanie sześćset trzy.

— To z grubsza po drodze do mojego domu. Zadzwoń do niego jeszcze raz... jeśli nie odpowie, złożę mu osobiście wizytę.

— Jak pan każe, szeryfie.

Luke przejrzał do końca pocztę, ale nie znalazł w niej nic oprócz zaproszeń, reklam i pism okólnych. A potem zgasił lampę na biurku, stanął w ciemności i przeciągnął się. Był dzisiaj w zdecydowanie lepszym nastroju. Udało mu się bez żadnych poważnych incydentów rozpedzić ponad trzystu

demonstrantów sprzed Instytutu Spellmana i Giną Ramirez z wiadomości Channel 7 nazwała go „Łagodnym Olbrzymem”. Nie zauważyła chyba, jak przygwoździł jednego z rozrabiających studentów twarzą do ziemi i postawił mu stopę na głowie. Nie zauważyła albo świadomie skierowała kamery w inną stronę. Opinia publiczna Linn County nie sprzyjała obrońcom praw zwierząt z wyjątkiem pracowników wielkich korporacji, takich jak Amana Refrigeration i Quaker Oats, prawie jedna trzecia ludności związana była w ten czy inny sposób z hodowlą nierogacizny; a ci, którzy nie hodowali świń sami, w dużym stopniu zależni byli od pieniędzy tych pierwszych.

Kolejna dobra wiadomość: dwaj zastępcy Luke'a przyskrzynili w końcu dwóch złodziei samochodów, którzy przez ostatnie trzy miesiące terroryzowali Hiawathe, kradnąc fordyski mustangi i camaro i pędząc po czterech estakadach, którymi zjeżdżało się z Northbrook Drive, tak jakby chcieli pofrunąć w górę. Jeden ze złodziei przekoziółkował firebirdem na czyjeś podwórko i wylądował ze złamanym karkiem w szpitalu, sparaliżowany do końca życia.

A co najważniejsze, Luke odbył przy mocnej kawie i ajerkoniaku w Collins Plaza zasadniczą rozmowę z prokuratorem okręgowym i z dziewięćdziesięcioprocentową pewnością można było teraz powiedzieć, że Terence Pearson zostanie oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia. Prokurator potrzebował jedynie wyraźnego, niepodważalnego dowodu, że przestępstwo było popełnione z premedytacją. Luke musiał wykazać ponad wszelką wątpliwość, że Pearson już od jakiegoś czasu nosił się z zamiarem „ocalenia” Lisy i George'a od losu gorszego niż śmierć; dlatego właśnie z niecierpliwością czekał na przekład miniaturowych bazgrołów Terence'a Pearsona. Potrzebował tylko jednej jedynej wzmianki, że Pearson miał zamiar „ocalić” swoje dzieci — albo jeszcze lepiej, że miał

zamiar je zabić — by zyskać pewność, że sprawca zostanie skazany na dożywocie.

A może na coś gorszego. Luke potrafił sobie wyobrazić, jak potraktują Pearsona inni współwięźniowie, kiedy wyląduje w końcu w Fort Madison. Ostatni przebywający tam zabójca dzieci, pięćdziesięciodwuletni pastor metodystów o nazwisku Herbert Kent, został przybity do drewnianego krzesła czterema ośmiocentymetrowymi gwoździami, po jednym w każde jądro i dwoma w penis, musiał czołgać się dwadzieścia metrów po korytarzu, żeby otrzymać pomoc.

Dziesięć dni później popełnił samobójstwo, przecinając sobie nadgarstki otwartą puszką po fasoli. Zabrzęczał interkom.

— Szeryfie? Tu Norman. Ponican nadal nie odpowiada.

— W porządku. Wpadnę do niego. Do zobaczenia jutro.

Kiedy Luke wyszedł z biura, noc była wciąż ciepła, ale w oddali migotały błyskawice. W

prognozie nie zapowiadali opadów, lecz pod koniec lata pogoda była zawsze niepewna. W powietrzu unosiła się zapowiedź zmian; zapowiedź czegoś dziwnego i nie wyjaśnionego.

Luke przekręcił kluczyk w drzwiach swojego buicka, ale potem przystanął nieruchomo i przez chwilę wciągał w nozdrza zapach wiatru. Nie czuł czegoś takiego od czasu, kiedy jako piętnastoletni chłopak

przebywał na letnim obozie. Pamiętał pewną noc, gdy powietrze pachniało dokładnie tak jak dziś: naładowane statyczną elektrycznością, wypełnione napięciem. Wszyscy spali źle tej nocy. Rano Luke zszedł w palących promieniach słońca na brzeg jeziora i znalazł swego najlepszego przyjaciela, wiszącego na maszcie flagowym na końcu mola. Wpatrywał się w niego przez chwilę, czekając niemal, że się odezwie, że zagra mu na nosie i zawoła „Ale cię nabrałem, Luke!” Ale żerujące wczesnym rankiem wrony wydziobały mu już oczy, a język zwisał z ust niczym szara ścierka, którą ścierano krew.

Luke wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi i wyjechał z parkingu. Mleko, mleko, nie wolno mu zapomnieć o mleku. Na rogu Trzydziestej Czwartej Ulicy był sklep Hy-Vee, mógł je tam kupić.

Włączył radio i przysłuchiwał się przez chwilę Sonny Landreth, śpiewającej „Outward Bound”. Two doors open... one in and one out...

Dojechał Trzecią Aleją do Dwunastej Ulicy, a potem skręcił na północ w Oakland Road. Mimo późnej pory na ulicach nadal tworzyły się korki i co chwila musiał zatrzymywać się i ruszać. Na światłach przy Dwudziestej Dziewiątej stanęła przy nim czarna corvette, pulsująca basowymi tonami z płyty kompaktowej U2. Niebrzydka blondynka ze śladami po aparacie dentystycznym na zębach i czerwoną czapką Hawkeyesów na głowie pomachała mu palcem i docisnęła gaz do dechy. Luke wyjął

zmęczonym gestem z kieszeni na piersi swoją odznakę i przycisnął do szyby, tak żeby dziewczyna mogła ją sobie obejrzeć. Kiedy światła zmieniły się na zielone, ruszył statecznie, nie przekraczając pięćdziesiątki i tak samo statecznie podążyła za nim corvette.

Czasami dobrze było być szeryfem — choćby dla przyjemności, jaką daje zepsucie komuś świetnej zabawy.

Zaparkował przy Hy-Vee przy Trzydziestej Czwartej i kupił kwartę mleka oraz (z poczuciem winy) pudełko wiśni w czekoladzie. Otworzył je, wepchnął do ust jedną czekoladkę, a resztę włożył

do schowka na rękawiczki. Nie jadł wiśni w czekoladzie od ponad dziewięciu tygodni i doszedł do wniosku, że po tym, czego dzisiaj dokonał, zasłużył chociaż na jedną. Łagodny Olbrzym, tak?

Powinien użyć tego określenia w swojej następnej kampanii wyborczej.

Po pięciu dalszych minutach dotarł do Pepperwood Apartments. Był to obskurny, przypominający kształtem literę E blok z żółtawego betonu, z małym parkingiem od frontu i dwoma rzędami karłowatych zakurzonych jodeł, określonymi w prospekcie agencji nieruchomości jako

„dojrzały naturalny pejzaż”. Luke zaparkował na ulicy i ruszył przez parking w stronę wejścia. Przy oszklonych drzwiach zamontowana była potężna sprężyna i kiedy wszedł do środka i je puścił, odskoczyły do tyłu i zachybotały nerwowo dżonk-dżonk-dżonk w zawiasach.

Hol wejściowy wyłożony był półokrągłymi żółto-czarnymi płytkami z winylu; przy ścianie stał

pochodzący chyba z lat sześćdziesiątych stół z metalowymi nogami, które przy samej podłodze

kończyły się gałkami. Dawno temu na ścianie musiał wisieć obraz, ale pozostał po nim tylko brudny prostokątny ślad i sześć zardzewiałych śrub. Podłoga nie była zamieciona: leżały na niej suche liście wawrzynu.

W powietrzu unosił się zapach nieswieżych potraw i pasty do podłóg Johnsona.

Luke nacisnął przycisk windy i po dłuższym czasie kabina zjechała pojękując na parter; zawahała się na chwilę, zanim stanęła, a potem opadła w dół, pokonując z głośnym stukiem ostatnie pięć centymetrów.

Po lewej stronie drzwi windy znajdowało się małe okrągłe okienko i Luke z zaskoczeniem spostrzegł bładny owalny kształt wyglądającej przez nie twarzy — w przedziwny sposób podobnej do maski, z oczyma, które świeciły jak karaluchy. Drzwi otworzyły się i Luke dał krok do tyłu. Po krótkiej chwili z windy wynurzył się okutany w szeleszczący biały letni płaszcz wysoki mężczyzna i ruszył szybko przez hol.

Luke zmarszczył brwi i obejrzał się przez ramię. W mężczyźnie było coś niepokojącego, coś, co przyciągnęło jego uwagę i kazało mu spojrzeć ponownie. Wydawał się w jakiś nie wyjaśniony sposób rozmazany, nieostry, tak jakby Luke patrzył na niego przez zapaćkaną wazeliną szybę.

A kiedy ów dziwaczny człowiek zbliżył się do drzwi, te najwyraźniej otworzyły się, zanim ich dotknął, dżonk-dżonk-dżonk, a potem zaczęły się zamykać, zanim przez nie przeszedł. A jednak przez nie przeszedł; przez chwilę widać było tylko jasną plamę na parkingu, a potem zniknęła i ona.

Luke nie odrywał wzroku od wejścia. Może był przemęczony. Może potrzebował okularów. Ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mężczyzna otworzył drzwi w ogóle ich nie dotykając i przeszedł

przez nie, kiedy były w połowie zamknięte.

Wszedł w zamyśleniu do windy i nacisnął przycisk szóstego piętra. Drzwi zatrzasnęły się i winda trzeszcząc ruszyła do góry. Przez okienko widział mijane piętra. Czuł zapach chili con carne i słyszał kobietę, która puściła na pełen regulator „Stand By Your Man” i śpiewała fałszując do wtóru.

Na następnym piętrze kłóciła się jakaś para: Jesteś nienormalny! Wiesz o tym? Jesteś po prostu nienormalny! Piętro wyżej słychać było huraganowy śmiech telewizyjnej widowni.

Winda zwolniła i z wahaniem pokonała kilka ostatnich dzielących ją od szóstego piętra centymetrów, tak jakby obawiała się, że szóstego piętra może w ogóle nie być. Luke czekał bardzo długo, zanim otworzyły się drzwi kabiny. Na korytarzu panowała kompletna cisza, a oświetlająca go jarzeniówka migotała i gasła i szeryf miał trudności z odcyfrowaniem numerów i nazwisk na drzwiach.

Apartament 601: E. Salzgaber. Luke ruszył dalej, skrzypiąc grubymi podeszwami po podłodze.

Apartament 602: Sy W. Moline. Skręcił w odnogę korytarza, gdzie było jeszcze ciemniej. Apartament 603: L. R. Ponican. Nacisnął dzwonek i czekał.

Minęła bardzo długa minuta. Luke nacisnął dzwonek ponownie.

— Panie Ponican? — zawołał. — Jest pan w domu?

Nadal nie było żadnej odpowiedzi. Luke coraz bardziej się niecierpliwił. Gdzie, do diabła, podziewał się Ponican? Obiecał, że przełoży notatki w ciągu trzydziestu sześciu godzin i jeśli istniał jakiś dowód, że Terence Pearson planował „ocalenie” swoich dzieci na długo przed sobotnim popołudniem, Luke potrzebował go już teraz.

Nacisnął przycisk i nie zdejmował z niego palca prawie przez trzydzieści sekund. Słyszał brzęczący w środku mieszkania dzwonek i wiedział, że Ponicana tam nie ma, ale nie przestawał dzwonić po prostu, żeby wyładować złość.

Dzwonił jeszcze, kiedy nagle otworzyły się drzwi sąsiedniego apartamentu i na korytarz wyszła wysoka barczysta kobieta. Miała wielką szopę nastroszonych czarnych włosów, usta koloru rozgniecionych malin, neonowo niebieską satynową bluzkę, czarną mikrospódniczkę i siatkowe rajstopy. Używała tych samych perfum, które Sally Ann dostała na gwiazdkę od swojej matki, i bynajmniej ich nie żałowała.

— Przepraszam... czy nie zna pani przypadkiem faceta, który tutaj mieszka? — zapytał Luke.

Kobieta zatrzepotała rzęsami.

— Oczywiście, że znam. Jesteśmy sąsiadami od prawie pięciu lat. Więcej niż sąsiadami: bratnimi duszami. Dwoma samotnymi duszami w samotnym mieście.

— Widziała go pani dzisiaj wieczorem?

— Nie, nie widziałam. Ale powinien siedzieć w domu: w poniedziałek ma wolny wieczór. Na pana miejscu dzwoniłabym dalej. Pewnie śpi.

— Śpi?

— Pracuje na trzech etatach, wie pan. Biedny Leos. W ciągu dnia uczy angielskiego jako drugiego języka w Jefferson; wieczorem kelneruje w barze Flamingo; a w weekendy oprowadza wycieczki po Muzeum Czeskim i Słowackim. - Przygładziła włosy. - Mają bardzo ciekawe zbiory: naprawdę powinien je pan obejrzeć.

— Wygląda na to, że Leos jest naprawdę zalatany. Nic dziwnego, że ucina sobie drzemkę w wolny wieczór.

— Prawdę mówiąc, lubi sobie od czasu do czasu golnąć. Obchodził prawdopodobnie urodziny Dworzaka, rocznicę ślubu Dubczeka albo coś w tym rodzaju. Zawsze coś świętuje. Popijając śliwownicę. Dał mi kiedyś spróbować. Boże święty! Butelkowana amnezja, inaczej nie da się tego określić.

Jarzeniówka nagle zamigotała jaśniej, oświetlając policzki kobiety. Pokryte były grubą warstwą podkładu — maskując nie tylko kraterki po krostach i pryszczach, ale również nieomylny cień wieczornego zarostu.

Luke odsunął się na bok.

— Dziękuję pani za pomoc — powiedział, dotykając skraju kapelusza. — Jestem bardzo zobowiązany.

— Cóż... nie ma za co. Dobrze jest czasem spotkać kogoś zbudowanego jak prawdziwy mężczyzna. Nie, naprawdę, mówię serio. Aha... gdyby udało się panu dobudzić Leosa, czy mógłby mu pan powiedzieć, że nakarmiłam Skodę?

— Skodę?

— Jego kota. Prosił o to.

— Jasne — odparł Luke patrząc, jak jego rozmówczyni oddala się kołyszącym krokiem w stronę windy. Nacisnęła guzik, a potem obróciła się i posłała mu całusa. Jezus, pomyślał Luke.

Podrywa mnie mierzący metr osiemdziesiąt pięć wzrostu przebieraniec. Chwała Bogu, że nie ma tutaj Normana; nie darowałby mi tego do końca życia.

Nacisnął ponownie dzwonek przy drzwiach Ponicana.

— Leos! — zawołał. — Panie Ponican! Tu szeryf Friend! Chcę, żeby otworzył pan drzwi!

Niech pan się obudzi! To pilne!

Nadal nie było żadnej odpowiedzi. Albo Leos Ponican był do tego stopnia zalany, że nie obudziłyby go nawet jerychońskie trąby, albo pomylił się jego zalotny sąsiad. Luke zapisał sobie, żeby po powrocie do domu zadzwonić do baru Flamingo i sprawdzić, czy Leos nie postanowił udać się jednak do pracy.

— Leos! Obudź się, Leos — zawołał po raz ostatni, waląc pięścią w drzwi.

Zdążył uderzyć dwa albo trzy razy, kiedy drzwi niespodziewanie otworzyły się same. Nie były zamknięte na klucz. Nie były nawet porządnie zatrzaśnięte. Szeryf ujrzał przed sobą wąski, ciemny korytarz, z tykającym powoli i tajemniczo austriackim ściennym zegarem, wiszącymi na ścianach wyblakłymi akwarelami i fotografiami oraz wieszakiem, z którego smętnie zwisał długi, dwurzędowy brązowy deszczowiec zwieńczony filcowym kapeluszem.

Po lewej stronie widać było zamknięte drzwi, spod których padała smuga światła. Luke zgadywał, że jeśli Ponican wyszedł z domu, musiał to zrobić bardzo niedawno: słońce zaszło tego dnia dopiero o dziewiątej siedemnaście, a przedtem nie zapalałby przecież lampy.

Może poszedł coś zjeść albo dokupić śliwownicy. Może nie opuścił nawet budynku, ale poszedł

złożyć wizytę jakiemuś sąsiadowi. To wyjaśniałoby, dlaczego nie zamknął za sobą drzwi.

— Panie Ponican? — zawołał ponownie Luke, wchodząc do przedpokoju. Zerknął na wiszące na ścianach akwarele. Obraz ściętej lodem Wełtawy; i kolejny pejzaż, przedstawiający Czeski Las. Na fotografiach widać było w większości poważne oficjalne grupy ubranych w czarne palta mężczyzn i kobiet. Jedynym wyjątkiem był portret uderzająco pięknej młodej dziewczyny w tradycyjnym, udekorowanym piórami, kwiatami i perłami czeskim czepku. Miała jedną z tych nie dających spokoju twarzy, w jakiej można się zakochać, nawet kiedy człowiek zorientuje się (jak zorientował się Luke, spojrzawszy na datę na dole fotografii), że jej właścicielki od ponad pięćdziesięciu lat nie ma już prawdopodobnie wśród żywych.

Podpis brzmiał po prostu „Karolina, Praga, 1941”. Jakie jasne, zapadające w pamięć oczy miała ta dziewczyna! Podczas wojny ojciec Luke'a służył w Czechosłowacji, w Pięćdziesiątej Dywizji Pattona i bez przerwy opowiadał Luke'owi, jak to szóstego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku wstrzymali nagle po wejściu do Pilzna marsz do przodu, mimo że do Pragi mieli zaledwie osiemdziesiąt kilometrów i mogli ją łatwo zająć. Roosevelt, Churchill i Stalin uzgodnili w końcu, jak będą wyglądać granice ich stref okupacyjnych i Patton musiał się zatrzymać. W rezultacie Czechosłowacja pozostała przez najbliższe czterdzieści lat za Żelazną Kurtyną — a razem z nią, jeśli jeszcze żyła (co było bardzo wątpliwe) piękna Karolina.

— Sukinsyny — powtarzał ojciec Luke'a. — W południe moglibyśmy przejeżdżać przez centrum Pragi.

Luke zapukał w zamknięte drzwi.

— Panie Ponican? Jest pan tam? Tu szeryf Friend.

Odczekał trzy albo cztery uderzenia serca, a potem otworzył drzwi. Miał przed sobą utrzymany w brązowym kolorze obskurny salon, z wytartą kanapą i dwoma nie pasującymi do siebie fotelami.

Zasłony były zaciągnięte, paliła się pojedyncza stołowa lampa. W rogu po drugiej stronie stała oszklona serwantka, z kompletem purpurowych czeskich szklaneczek do ponczu, dwoma fajansowymi wazami do owoców, metalowym modelem katedry świętego Wita i porcelanowymi posązkami Jezusa i Najświętszej Pani. Na stosie częściowo zakrytych haftowanym obrusem czeskojęzycznych encyklopedii stał przenośny kremowo-brązowy telewizor. Luke dotknął go ręką; był wciąż ciepły.

W pokoju unosił się zapach stęchlizny, tak jakby wymagał solidnego odkurzenia i przewietrzenia. Zapach jednorazowych posiłków, samotności i sprayu przeciwko owadom.

Kolejne drzwi prowadziły do kuchni. Były szeroko otwarte i tam również paliło się światło. Jak na człowieka, który musiał pracować na trzech etatach, żeby zarobić na życie, Leos Ponican dość rozrzutnie korzystał z elektryczności.

Luke minął salon i wszedł do kuchni. To, co tam zobaczył, sprawiło, że wydał okrzyk zaskoczenia i mimowolnie cofnął się o jeden krok, uderzając ramieniem o framugę.

Leos Ponican stał nad zlewem odwrócony do niego plecami. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami i brązowe spodnie — te same, które nosił, kiedy złożył wizytę w biurze szeryfa. Stał w jakiś dziwny sposób, z pochyloną głową i zgiętymi w bok biodrami, i to właśnie sprawiło, że szeryf się cofnął. Nigdy dotąd nie widział człowieka stojącego w takiej pozycji. W

gruncie rzeczy, nie wydawało się w ogóle możliwe, żeby ktoś mógł tak stać.

W kuchni unosił się silny słodkawy zapach — zapach, który przypominał odór nawozu, zmieszanego ze zgniłymi gruszkami i zepsutymi kurczakami.

— Panie Ponican? — powtórzył cicho Luke. — Panie Ponican? Czy nic się panu nie stało?

Rozejrzał się szybko po kuchni. Urządzona była w stylu połowy lat sześćdziesiątych, z zielonymi szafkami i blatami z laminowanego plastiku; pośrodku stał stół z kremowym plastikowym blatem i cztery krzesła. Leżały na nim rozrzucone w nieładzie fotokopie notatek Terence'a Pearsona.

Niektóre z nich były pogniecione; inne wyglądały tak, jakby ktoś je pogniótł, a potem wygładził z powrotem. Jeszcze inne były pochłapane atramentem. Na kartkach leżało czarne wieczne pióro Pelikan z zakręconą obsadką, a na podłodze najwyraźniej zrzucony ze stołu słownik czesko-angielski.

— Panie Ponican? — zapytał Luke, obchodząc naokoło stół. Domyślał się już, że stało się coś strasznego. Widział teraz, że blaty po obu stronach zlewu spryskane są krwią, a sam zlew dosłownie nią oblepiony — lepka, zaschnięta krew, która przypominała szkarłatny lakier do paznokci.

Luke podszedł jeszcze bliżej. Otworzył usta, żeby po raz kolejny powtórzyć „Panie Ponican”, ale po chwili zamknął je z powrotem.

Koszula Leosa Ponicana była rozpięta aż do pasa. W prawej ręce, w okrutnym uścisku stężenia pośmiertnego, Leos trzymał duży kucharski nóż o trójkątnym ostrzu, z odwróconą rączką i ostrzem skierowanym ku sobie i lepkiem od zaschniętej krwi. Jego brzuch był rozplątany, poczynając od lewej strony pępka aż po mostek. Grube płaty skóry rozchyłały się na boki niczym rozpięty gumowy kombinezon nurka. Najstraszniejszy był jednak widok jego wątroby i wnętrzności, które zwisały na zewnątrz w jaskrawo błyszczących zwojach, włókniste, krwawe i śliskie od śluzu. Wnętrzności wepchnięte były do zlewu, a ponad połowa jelita grubego wciśnięta do młynka do mielenia śmieci.

Młynek nadal był włączony, ale do środka dostało się za wiele flaków i całkiem się zapchał. W

pozycji stojącej utrzymywały Leosa Ponicana wyłącznie zaplątane w ostrza młynka napięte struny własnych trzewi.

Luke podszedł do zlewu czując, jak ogarnia go lodowaty kłujący strach — taki strach, który sprawia, że ciarki chodzą człowiekowi po plecach i karku. Leos miał otwarte oczy; mogło się wydawać, że spogląda z niesmakiem na własny wypatroszony brzuch i przez krótką niesamowitą chwilę Luke pomyślał z przerażeniem, że gospodarz mieszkania jeszcze żyje i że zaraz odwróci się i coś powie.

Ale potem z ust Leosa wypłynęła i kapnęła do zlewu cienka strużka krwi i Luke wiedział już na pewno, że ma do czynienia z nieboszczykiem.

Przysunął się bliżej. Ręce Leosa spoczywały w zlewie, a lewa dłoń tkwiła wetknięta głęboko we własne flaki. Wetknięta, tak jakby on sam wyciągnął je z rozciętego brzucha. Wetknięta, tak jakby on sam wpychał je do młynka. Jezus.

Na parapecie nad zlewem leżała wydarta z zeszytu kartka. Dużymi pochyłymi literami nabazgrana była wiadomość: „Za bardzo boję się bólu. L.P.”

Ostry, przesycony ekskrementami fetor świeżo otwartego ludzkiego ciała ścisnął Luke'a za gardło i sprawiał, że łyzy podeszły mu do oczu. Był paskudny, ale nie złapały go od niego torsje; zbyt często miał okazję wdychać go już wcześniej. Ciało było przynajmniej, dzięki Bogu, świeże. Rzygać chciało mu się wtedy, kiedy musiał otwierać łomem bagażnik porzuconego samochodu i wyjmować stamtąd na pół rozpuszczone szczątki ofiary popełnionego miesiąc wcześniej morderstwa. Ludzkie cioppino, cha cha.

Mimo to był bardziej niż zadowolony, że to nie do niego będzie należało wypłatywanie wnętrzności Leosa Ponicana z młynka do śmieci.

Wyjął z kieszeni kurtki przenośny telefon i wystukał numer 398-3521.

— Norman? Jestem w mieszkaniu Ponicana. Tak, oczywiście jest tutaj. Przypuszczam, że był

tutaj przez cały czas, ale odwalił kitę. Jeszcze nie wiem. Mam tu niezły syf: mniej więcej dziewięć i pół w dziesięciostopniowej skali. To może być zabójstwo, ale bardziej wygląda na samobójstwo. Jeśli to zabójstwo, szukamy psychopaty gorszego od Terence'a Pearsona. Jeśli samobójstwo... no cóż, nigdy nie widziałem, żeby ktoś odebrał sobie życie w ten sposób. Facet rozplątał sobie brzuch i wcisnął flaki do młynka na śmieci. Tak, swoje własne flaki. Nie, nie żartuję. Przyjedź, to sam zobaczysz. Nie, zadzwonię do Johna Husbanda z policji w Cedar Rapids. Ty zawiadom doktora Weitzmana.

Schował telefon z powrotem do kieszeni i rozejrzał się dokładniej po kuchni. Nie było śladu walki — żadnych oznak, świadczących o tym, że przebywał w niej ktoś jeszcze oprócz Leosa Ponicana. Na suszarce stała wymyta i oparta elegancko o spodeczek pojedyncza porcelanowa filiżanka. Niebieskie bawełniane zasłony były zasunięte do samego końca; uniósłszy je Luke zobaczył, że osadzone w metalowych ramach okna są nie tylko zamknięte, ale i zamalowane. Zostawił notatkę tam, gdzie leżała, trzeba było bowiem sprawdzić, czy nie znajdują się na niej jakieś inne odciski palców. Nie miał jednak wątpliwości, że napisał ją sam Leos Ponican.

Z okna rozciągał się widok na zachód, na migoczące światelka północno-zachodnich przedmieść aż do szosy numer trzysta osiemdziesiąt. Luke mógł nawet dojrzeć siedmiopiętrowy Collins Plaza Hotel, w którym jadł tego ranka śniadanie z prokuratorem.

Obszedł z powrotem stół i pochylił się nad papierami, nad którymi pracował Ponican. Prawie całkiem schowany pod wyglądzonymi arkuszami leżał gruby notatnik w linie. Luke pociągnął nosem, a potem wyjął z kieszeni długopis i podniósł nim kartki, żeby przeczytać to, co zdążył przetłumaczyć Leos Ponican.

„Ludzi, którzy przychodzą w zimie, jest czasem czterech, czasem pięciu, czasem siedmiu. Ich przywódcą jest mężczyzna odziany cały na zielono, określany raz jako Niespokojny Janek, raz jako Janek Który Wędruje, albo po prostu Janek w Zieleni. Są z nim zawsze Miecznik, Doktor i Świadek. Czasami towarzyszą im Trędowaty i para bliźniaków o imionach Nóż i Naga.

Janek przebywa wiele kilometrów, ale rzadko ktoś ogląda go w podróży. W starych czasach (dawnych czasach) podróżował w zaprzężonym w cztery czarne konie czarnym powozie, z oknami szczelnie zasłoniętymi kirem. Stąd wziął się mit o karecie księcia Draculi, który pojawia się w wielu filmach o wampirach. W Rosji mówi się, że przemierza w nocy zaśnieżoną tundrę, podróżując swoją własną czarną lokomotywą bez świateł i okien. Rosyjskie matki po dziś dzień odczyniają urok i tulą do siebie swoje dzieci, kiedy w ciemności rozlega się gwizd lokomotywy.

W Czechach i na Słowacji odczynia się te same uroki za każdym razem, kiedy drogą przejeżdża czarny powóz.

Janka i kilku jego przyjaciół widziano zimą roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego w Wenecji, podczas wielkiej europejskiej

!!!BRAKUJE 2 STRON!!!

Na jego twarzy malował się wyraz najbardziej dotkliwego cierpienia, jakie szeryf miał okazję kiedykolwiek oglądać. Przez ułamek sekundy uwierzył, że Leos żyje. Ale potem zobaczył, że jego wnętrzności napinają się i drą na strzępy, i że Czech pada po prostu martwy na podłogę.

Starął się bez większego przekonania temu zapobiec. Chwycił Leosa za rękaw koszuli, ale udało mu się tylko obrócić go dookoła i unieść jedną rękę w karykaturalnym hitlerowskim pozdrowieniu.

Ponican upadł z głuchym łoskotem na bok, dotykając nosem skraju kredensu.

Luke dał krok do tyłu, po czym spojrział w dół, na Leosa, i do środka zlewa. Bez żadnego ostrzeżenia jego żołądek zacisnął się w skurczu, a usta wypełniły gorzką żółcią i kawałkami nie przetrawionej wiśni w czekoladzie.

Pognał do toalety i zwymiotował, a potem stał bardzo długo z ręką opartą o rezerwuar czekając, aż ustąpi skurcz.

Nagle usłyszał za plecami cichy chrapliwy dźwięk. Dźwięk, który może wydawać ktoś, kto próbuje oddychać, mając pełne gardło krwi.

Obrócił się, starając się wyrwać z kabury pistolet. W przedpokoju stał, wlepiając w niego złowieszczo zielone oczy kot o sierści jak zrobionej z szylkretu Skoda Leosa Ponicana.

— Jezus — szepnął Luke. — O mały włos nie pożegnałeś się z życiem, przyjacielu.

Przykucnął, a kot podszedł na sztywnych łapach bliżej i otarł się głową o jego nogę.

— Mówisz po czesku, Skoda? — zapytał Luke. — Mówisz w jakimkolwiek języku oprócz kociego?

Nie, nie sędzę. Będę musiał chyba sam odkryć, co się tutaj stało.

Iris usłyszała, jak zegar w holu wybija pomoc. Obróciła się na drugi bok, a potem z powrotem na poprzedni. Mimo środków uspokajających, które dał jej doktor Carter, nadal nie mogła zasnąć. Nie była przyzwyczajona do spania w pojedynkę w tym wielkim dębowym łóżku. Nie była przyzwyczajona do ziejących pustką dwóch dziecinnych sypialni. Cały dom wydawał się wytrącony z równowagi, niespokojny, tak jakby oczekiwał, że coś się wydarzy.

Bez przerwy myślała o swoich najdroższych dzieciach, najdroższych maleństwach. Próbowwała wyobrazić sobie twarz Lisy, jej włosy, jej dotyk i zapach. Próbowwała przypomnieć sobie każdy dzień z jej życia. Żałowała każdego momentu, kiedy odwracała się plecami do Lisy, każdej chwili, kiedy wysyłała ją do innych dzieci na podwórko albo kazała iść wcześniej spać. Brakowało jej tylu fragmentów z jej życia, tylu drogocennych chwil.

Pomyślała o George'u. Wyciągnęła rękę w ciemnej sypialni i próbowała sobie przypomnieć, jak to było, kiedy trzymała go za dłoń. Poglądziła mrok i próbowała sobie wyobrazić, że gładzi jego włosy. Jego najdroższe, miękkie włosy. Próbowowała usłyszeć jego śmiech. Próbowwała zobaczyć, jak maszeruje przez podwórko, trzymając na ramieniu strzelbę z kija.

A najstraszniejsze było to, że próbowała bez skutku.

Nie potrafiła zobaczyć żadnego z nich — Lisy ani George'a. Nie mogła przypomnieć sobie ich dotyku i zapachu. Pamiętała tylko połamane fragmenty i kawałki — chwile jasności, niczym odbijające się w morskich falach słońce, ale to było wszystko. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, jak wyglądali. Dokładnie i naprawdę.

Leżała na plecach, po policzkach płynęły jej gorące łzy i nie mogła uwierzyć, że człowiek może doznawać tak wielkiego cierpienia.

Płakała prawie przez dwadzieścia minut. A potem zupełnie niespodziewanie zapadła w sen. Po sobotnim szoku i niedzieli przepelnionej rozpaczą, była zbyt wyczerpana, by dłużej czuwać. Łzy wyschły jej na twarzy. Jedna dłoń pozostała otwarta na jej piersi, tak jakby oczekiwała, że coś spadnie na nią podczas snu — coś miękkiego i wymyślanego, niczym piłka, którą bawił się George.

Miała sen, ale nie śniły się jej dzieci. Śniło się jej, że nadal leży w łóżku, z szeroko otwartymi oczyma, nie płacząc już, ale czujnie nasłuchując. Słyszała szczekającego na dworze psa i przesuwający się, upiorny odgłos jadącego ulicą samochodu. Zastanawiała się, gdzie jest, do kogo należy ten dom. Bo nie należał przecież do niej. Wyglądał na pozór tak samo, ale było w nim coś obcego, coś niepokojącego.

Było w nim coś zielonego.

Usiadła na łóżku. W ciepłym i dusznym powietrzu nocy przeszedł ją nagły dreszcz. „Ktoś tnie kamień, żeby zrobić ci nagrobek”, mawiała jej babka za każdym razem, kiedy przechodził ją taki dreszcz.

Wydawało jej się, że słyszy jakieś hałasy na podwórku pod sypialnią. Jakiś szelest i niski pomruk nieznanymi głosów. Zsunęła nogi na dywan i podbiegła do okna. Uchyliła na kilka centymetrów, nie więcej, cienkie bawełniane zasłony w biało-niebieskie pasy i spojrzała ostrożnie w dół.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła tam Emily, ubraną tylko w długą białą nocną koszulę.

Koszula trzepotała na wietrze w dziwny sposób, tak jakby Iris oglądała całą scenę na starym czarno-białym filmie, trzydzieści pięć klatek na sekundę. Emily odwrócona była plecami do domu i Iris nie widziała jej twarzy.

— Emily — szepnęła cicho, chociaż wiedziała, że córka nie może jej usłyszeć. Przyszło jej na myśl, żeby rozchylić zasłony szerzej i postukać w szybę. Ale potem Emily zaczęła przywoływać gestem kogoś, kto stał poza polem widzenia Iris, za szopą; i z jakiegoś powodu Iris uznała, że mądrzej będzie, jeśli zostawi między zasłonami tylko małą szparkę.

Obserwowała z rosnącym niepokojem, jak otwiera się tylna furтка i pojawia się w niej wysoki osobnik w białym płaszczu. Nie widziała go nigdy przedtem i nie miała pojęcia, kim mógł być. A on stanął przed jej córką i zaczął z nią rozmawiać, tak jakby ją świetnie znał; Emily kiwała głową i gestykulowała, odpowiadając na jego pytania.

Co jakiś czas podnosiła lewą rękę i wskazywała do tyłu na dom, a osobnik w białym płaszczu spoglądał w stronę okna sypialni. Iris zaciągnęła zasłony tak szczelnie, jak tylko mogła, ale i tak miała denerwujące wrażenie, że on dobrze wie o jej obecności.

Osobnik w białym płaszczu chciał odejść — jednak zawahał się, powiedział do Emily coś jeszcze i dopiero wtedy odwrócił się do niej plecami. Emily ruszyła z powrotem w stronę domu.

— Emily! Emily! — zawołała Iris. Ale to był tylko sen i bez względu na to, jak głośno krzyczała, z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Próbowwała otworzyć okno, lecz okazało się zamknięte na głucho, a klamka wydawała się zrobiona z jakiegoś miękkiego i rozsypującego się materiału, bardziej przypominającego marcepan niż metal.

Gotowa już była stłuc szybę pięścią, kiedy zobaczyła, że furтка otwiera się po raz drugi. Nikt nie wszedł do środka, ale na podwórko wpadła masa liści, a obrotowa suszarka zaczęła się powoli kręcić, trzepocząc zawieszonymi na niej ścierkami. Zupełnie niespodziewanie zerwał się nagły wiatr, tak jakby zbliżała się burza.

Coś nadchodziło.

Iris usłyszała trzaśnięcie kuchennych drzwi, kiedy Emily weszła z powrotem do domu. Czy to był naprawdę sen? Wydawał się na to zdecydowanie zbyt realistyczny. Miała zamiar zbiec na dół i zobaczyć, czy Emily nic się nie stało, ale z jakiejś przyczyny zawahała się. Chodziło o te liście: bała się ich. Chodziło również o Emily: jej bała się także.

Z początku były to po prostu pojedyncze liście, które tańczyły i szeleściły na betonowej ścieżce.

Ale potem zaczęło ich fruwać po podwórku coraz więcej, zasypując dosłownie wszystko — stopnie,

grządki z kwiatami, pojemniki na śmiecie i szprychy należącego do Emily roweru.

Może to był sen, lecz Iris była pewna, że słyszy liście całkiem wyraźnie. Słyszy, jak sypie się ich coraz więcej i więcej.

- Może to sen - pomyślała — ale kto potrafi powiedzieć, komu się śni i czy nie jest bardziej realny od rzeczywistości? Z pewnością wydaje się realny, z całym tym wiatrem, zbliżającą się burzą i wszystkimi tymi liśćmi, które wpadają nadal bez przerwy na moje podwórko i zasypują dosłownie wszystko: każdy kąt i każdą szparę. Spójrzcie tylko! Sprzątniecie ich zajmie mi parę godzin i możecie się założyć, że Emily będzie musiała mi pomóc.

Emily nigdy nie powinna otwierać furtki. Nie powinna otwierać furtki. On nigdy nie wchodzi do środka — chyba że ktoś otworzy przed nim drzwi. Terry powtarzał to bez końca, za każdym razem, kiedy dzieci zostawiały uchyloną furtkę. Nie powiedział nigdy: „Nie zostawiajcie otwartej furtki, bo wasz mały braciszek może wybiec na ulicę i przejedzie go ciężarówka”. Nie, on mówił co innego:

„Nie zostawiajcie otwartej furtki, bo on wejdzie do środka, a wtedy, zapamiętajcie moje słowa, obedrze nas wszystkich ze skóry jak króliki”.

Nigdy nie wyjaśnił, kim jest ten „on” — ten „on”, który obedrze ich ze skóry jak króliki. Ale Iris zawsze wyobrażała sobie wtedy wyraźnie królicze futerka, ściągane centymetr po centymetrze z nagich fiołkoworóżowych dzieciennych ciałek i straszliwie ją to przerażało. Była chrześcijanką i nie bała się nagłej śmierci. Ale bała się bólu i bała się, że jeśli ktoś podda ją torturom, zaprze się wszystkiego, co było dla niej kiedykolwiek drogie — po to tylko, żeby skrócić swoje męczarnie.

Wielokrotnie pytała Terry'ego, kim ten „on” jest. A wtedy Terry zawsze wpadał w złość.

Zatrzaszkiwał furtkę tak mocno, że zatrzask wyskakiwał z mocujących go śrub, a potem szedł do swojego pokoju i dumiał — czy też robił coś innego; przecież nie wiedziała, co zawsze robił w swoim pokoju.

Strach, niepewność i ciągle dziwactwa — tylko to zapamiętała Iris ze swojego małżeństwa.

Terry zawsze udzielał im ostrzeżeń — dzikich irracjonalnych ostrzeżeń, które powtarzał tak długo, aż nawet ona zaczęła się bać. „Nigdy nie przynos do domu niczego zielonego, niczego. Zieleń należy do zewnętrznego świata”. „Nigdy nie módl się o dobre zbiory, nigdy. Jeśli pogoda dopisze, zbiory będą dobre. Jeśli nie, zbiory będą złe. Nie kuś Boga, prosząc go, żeby dał ci zbiory, na które sobie nie zasłużyłeś, bo całkiem możliwe, że wysłucha twojej prośby”.

Usłyszała wchodzącą na górę Emily. A potem zobaczyła, że suche liście suną na podwórko niczym fala przyływu. Układały się same w zielonkawosrebrne stosy, wydając przy tym potężny wysoki świst, przypominający syk pary, która bucha ze stojącej tuż obok lokomotywy. To było tak, jakby nadeszła jesień jakby powróciły razem wszystkie, jakie minęły do tej pory, jesienie.

Coś się zbliżało. Coś straszego. Najpierw liście, najpierw wiatr.

A potem ta rzecz, której nikt nigdy nie miał dotąd odwagi stawić czoła.

Nagle otworzyły się na oścież drzwi jej sypialni i Iris natychmiast się obudziła, z mimowolnym wzdrygnięciem. Nie stała przy oknie wciąż leżała w łóżku. Mary, która otworzyła drzwi, przebiegła przez pokój i złapała ją za ramię.

— Iris! Iris! — zawołała. — Ktoś jest w domu! Iris usiadła oszołomiona na łóżku.

— Nie rozumiesz? — krzyczała Mary. — Ktoś jest w domu!

Iris obróciła się w stronę okna. Gdzieś na dworze migotały błyskawice i wiał silny wiatr.

Słyszała szum suchych liści i jeszcze jakiś inny dźwięk — powtarzające się stukanie drzwi, tak jakby ktoś zostawił je otwarte albo walił w nie, chcąc, żeby Iris wpuściła go do środka.

— O Boże, jak się boję — jęknęła Mary. Iris wstała z łóżka.

— Gdzie jest Emily? — zapytała.

— W łóżku oczywiście. Gdzie indziej miałyby być?

— Nie wiem. Coś mi się po prostu wydawało. Czy możesz pójść sprawdzić?

— Ja? — zapytała przerażona Mary. — A jeśli tam coś jest?

Iris podeszła do okna i wyjrzała na podwórko. Wyglądało dokładnie tak jak w jej śnie. Furtka była szeroko otwarta i do środka sunęła fala liści. Stała, patrząc i kompletnie nie mając pojęcia, co robić.

Nie wiedziała już zupełnie, co jest snem, a co jawą. Czy wciąż śniła, czy też nie spała wcześniej i teraz dopiero zaczął się jej sen?

— Co to jest? — zapytała Mary, stając za jej ramieniem. — Co to ma znaczyć?

— Nie wiem — odparła. — Może to trąba powietrzna. Dwa razy pod rząd trzasnęły drzwi.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Mary.

— Na początek zamkniemy drzwi — powiedziała Iris.

— Nie sądzisz, że powinniśmy wezwać policję?

— Nie wiem. Co takiego usłyszałaś?

— Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, a drzwi nie trzasnęłyby, gdyby ktoś ich nie otworzył. A jeżeli ktoś je otworzył, to znaczy, że ktoś jest w...

Iris obeszła dookoła łóżko i wyjęła spod niego baseballowy kij, który zawsze trzymał tam Terry.

— Co zamierzasz tym zrobić? - zapytała Mary z białą od nocnego kremu i strachu twarzą. —

A jeżeli on ma pistolet? Nie na dużo a się wtedy przyda ten kij.

— Mary, czy mogłabyś sprawdzić sypialnię Emily? To wszystko, czego od ciebie chcę.

— W porządku, w porządku. Ale to szaleństwo. Powinnaś wezwać policję.

Nie mówiąc więcej ani słowa Iris wyszła na korytarz i stanęła u szczytu schodów, nasłuchując jakichś podejrzanych hałasów.

— Słyszysz coś? — syknęła Mary, która zatrzymała się tuż za nią. Iris słuchała jeszcze przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

— Iris, posłuchaj mnie. Błagam cię: wezwij policję. Iris wyswobodziła ramię z kurczowego uścisku Mary.

— To jest mój dom, Mary — odpowiedziała. — Lisa nie żyje. George nie żyje. Nie bronię nikogo oprócz samej siebie.

— Co próbujesz przez to powiedzieć? Że nie masz już po co żyć, czy tak, i chcesz popełnić samobójstwo?

Iris nie odpowiedziała. Możliwe, że Mary miała rację. Nie było istotne, czy Iris będzie żyć, czy umrze. Mary wychowa Emily, wychowa ją jak swoją własną córkę. Bez rodziny... jaką była teraz kobietą? Mogła równie dobrze umrzeć.

Kiedy umrze, nikt przynajmniej nie będzie już mógł jej skrzywdzić.

Zaczęła ostrożnie schodzić na dół, mijając rodzinne fotografie. Ze wszystkich stron obserwowały ją białe twarze — białe twarze pamięci. Lisa na swoim pierwszym dwukołowym rowerku. George siedzący na polu margerytek. Zaskrzypiał czwarty schodek i na chwilę zastygła w bezruchu, nasłuchując. Ale słyszała tylko trzaskające co jakiś czas drzwi i te sypiące się kaskadami liście. Było ich teraz tyle, że ich szum przypominał mlaskanie opon jadącego przez śniegowe błoto autobusu.

Zakręciła na podeście, a potem zatrzymała się i spojrzała na swoją siostrę.

— Na litość boską, Mary! Sprawdź, co robi Emily!

— Dobrze, Iris, ale proszę cię, bądź ostrożna. Nie masz pojęcia, kto albo co tam może być!

Iris była już prawie na dole, kiedy z jadami wyłoniła się Emily i nie spuszczać z niej wzroku stanęła u podnóża schodów. Miała na sobie długą białą nocną koszulę, która trzepotała w dziwny sposób w przeciągu, tak jakby Iris oglądała całą scenę na starym czarno-białym filmie, trzydzieści pięć klatek na sekundę. Jej twarz była bardzo blada, w najbledszym odcieniu kości słoniowej, a oczy czarne i błyszczące, niczym dzęty w żałobnym naszyjniku. Stojąc nieruchomo słodko się uśmiechała.

Cóż to był za słodki uśmiech! A jednak ta właśnie jego słodycz kazała Iris zatrzymać się w miejscu.

Jedną rękę zacisnęła na poręczy, a w drugiej trzymała kij baseballowy Terry'ego czujna, nieufna i drżąca z zimna.

— Mamo — powiedziała Emily. Kilka zabłąkanych liści przesunęło się po lśniącej podłodze z desek, zatrzymało i popędziło dalej.

Wydawały szeleszczący dźwięk, który przypominał czyjeś ostatnie tchnienie.

— Emily... powinnaś być w łóżku.

— Nie dzisiaj, mamo. Dzisiaj jest ta noc.

Iris przyjrzała się jej z ukosa. Czy Emily była w transie lunatycznym? A może coś zażyła?

Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl: może mała odkryła jej środki uspokajające i połknęła kilka z nich, myśląc, że to cukierki? Jej głos brzmiał tak dziwnie, jakby gardło miała zapchane flegmą albo mówiła z innego pokoju.

— Co się stało, Emily? — zapytała.

— Nic się nie stało. Wszystko jest pięknie i ślicznie.

— Nie wiesz, która jest godzina? Wracaj do swego pokoju i kładź się do łóżka.

Emily potrząsnęła głową.

— Już na to za późno, mamo — odparła i spojrzała w stronę kuchni i drzwi, które wychodziły na podwórko. — Możesz już wejść — powiedziała wyraźniejszym, bardziej dobitnym głosem, tak jakby zwracała się do kogoś, kto stoi na zewnątrz.

Korytarzem nadleciała nagle masa suchych liści, które zawirowały wokół stóp Emily.

— Możesz teraz wejść! — zawołała. — Wszystko jest pięknie i ślicznie, możesz czuć się zaproszony.

Iris wpatrywała się w nią rozszerzonymi oczyma.

— Z kim ty rozmawiasz? Emily! Z kim ty rozmawiasz?

Ale Emily nie odpowiadała. Nie podniosła nawet oczu. Odwrócona w stronę kuchni kiwała po prostu dalej ręką i dawała zachęcające znaki głową. Iris zbiegła kilka ostatnich schodków i złapała ją za ramię.

— Emily! Z kim ty rozmawiasz?

— Au! — pisnęła Emily i próbowała się oswobodzić, Iris nie rozluźniła jednak uchwytu, odwróciła się tylko, żeby zobaczyć, komu daje znaki jej córka.

W korytarzu i w kuchni było ciemno, ale podwórko rozjaśniała księżycowa poświata. Iris zobaczyła sterty zielonkawosrebrnych liści, a część z nich tańczyła i wirowała na wietrze; zobaczyła też coś jeszcze. Coś wielkiego i ciemnego na samym środku podwórka. Nie wiedziała, czy to krzak, czy ogromny stos liści, czy też mężczyzna, który założył na siebie liściastą oponcę.

Cokolwiek to było, przerażało ją. Zbliżało się do domu sztywnym odmierzonym krokiem, tak jakby mogło poruszać się szybciej, gdyby chciało, ale wołało raczej przestrzegać jakiegoś nieznanego, uświęconego tradycją rytuału — niczym ksiądz podchodzący do ołtarza albo kat wchodzący na szafot.

— Emily! — krzyknęła. — Emily, co to jest?

— Zaprosiłam go do środka — odparła Emily drżącym wysokim głosem.

— Co zrobiłaś?

— To święty. To ojciec taty. Zaprosiłam go do środka.

— Nie! — krzyknęła Iris. Mogła nie wiedzieć, czym albo kim jest ta sterta liści, ale nie miała wątpliwości, że nie chce wpuścić jej do domu. Puściła Emily i pognała w stronę otwartych drzwi, uderzając się po drodze w udo o kuchenny stół.

Chociaż ciemna i bezkształtna, sterta liści musiała być obdarzona jakąś świadomością, ponieważ natychmiast zareagowała, ruszając wściekle w jej stronę. Iris udało się zatrzasnąć drzwi i przekręcić zasuwkę, ale zdążyła to zrobić dosłownie w ostatniej chwili. Liście uderzyły w drzwi z ciężkim łoskotem, wybijając jedną z szybek i wpadając do środka razem z okruchami szkła.

— Mary! — krzyknęła Iris. — Mary! Wezwij policję!

Do kuchni wbiegła Emily. Miała białą twarz i wytrzeszczone szeroko oczy.

— Otwórz drzwi! — zawołała. — Musisz go wpuścić!

Liście ponownie uderzyły w drzwi. Tym razem odłupała się drewniana futryna i wyłamał jeden z zawiasów. Iris podparła drzwi ramieniem, ale Emily zaczęła ją szarpać za rękę.

— Wpuść go! Wpuść go! — krzyczała. — Musisz go wpuścić! Liście uderzały raz po raz w drzwi. Iris bolało stłuczone ramię i miała wrażenie, jakby ktoś smagał jej kark batem. Ale napędzał ją strach i adrenalina, wiedziała też, że musi za wszelką cenę trzymać tę rzecz z dala od domu.

Terry ostrzegał ją: Zielony Wędrowiec przybędzie, zapuka do twoich drzwi i będzie pukał, i pukał, aż ktoś wpuści go do środka. A wtedy niech Bóg ma cię w swojej opiece.

A wtedy niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Drzwi zatrzeszczały ponownie i wypadła kolejna szybka.

— Mary! — krzyknęła Iris. — Mary! Wezwij policję!

Emily nadal czepiała się jej, ciągnąc i drapiąc i wreszcie Iris zamachnęła się i uderzyła ją wolną lewą ręką w głowę.

— Odsuń się, Emily! Odsuń się!

Ale Emily nie przestawała jej szarpać i w końcu urwała jej rękaw nocnej koszuli.

Iris próbowała uderzyć ją ponownie, ale w tej samej chwili drzwi wypadły z zawiasów.

Przygniecione nimi, obie straciły równowagę i runęły na podłogę. Emily krzyknęła głośno; Iris straciła całkowicie oddech i mogła tylko łapać kurczowo powietrze. Drzwi przygniatały jej policzek i klatkę piersiową i miała wrażenie, że zaraz ją zmiażdżą.

Puściła kij do baseballu, oparła dłonie o potrzaskaną drewnianą ramę i pchnęła mocno do góry.

Przez chwilę myślała, że pękną jej nadgarstki. Ale potem drzwi uniosły się i przekręciły lekko na bok.

Dyszac ciężko, charcząc i kalecząc boleśnie prawą kostkę o złamany zawias zdołała się spod nich wreszcie wyczołgać. Oparła dłonie o podłogę i dźwignęła się na nogi — po to, żeby trafić prosto w niesione huraganem kłujące liście.

Dała po omacku dwa kroki do tyłu, potknęła się o nogę przewróconego krzesła i upadła tak gwałtownie, jakby ktoś ją uderzył. Jej ciało potoczyło się z chrzęstem po ostrych liściach i okruchach szkła. Usłyszała hałas, jakby coś spadło z wielkiej wysokości, jakby wybuchła bomba, i podniosła ramię, żeby zasłonić twarz. Do domu wpełzł, mijając leżące na podłodze drzwi, wielki, ciemny, kipiący liściasty kształt. Iris mogła przysiąc, że gdzieś w środku ciemności widzi wpatrzony w siebie oczy - tak samo połyskliwie czarne, jak czarne były oczy Emily.

— O Boże, nie! Boże, proszę, nie!

Niczym ogarnięte śmiertelnym strachem zwierzę wypełzła na czworakach z kuchni. Kawałki szkła wbijały się jej w kolana i kaleczyły ciało. Nogi poniżej kolan oblepione miała krwią, ale nie czuła nic oprócz paniki. Udało jej się podnieść, a potem odwróciła się z powrotem w stronę kuchni, mrużąc oczy przed wiatrem, piaskiem i pędzącymi liśćmi.

— Emily! — zawołała, przywierając do framugi, żeby nie upaść. Czuła się tak, jakby stała na pokładzie szkunera, przy wiejącym z siłą dziewięciu stopni huraganie. — Emily!

Nie doczekała się żadnej odpowiedzi — ale dokładnie wtedy, gdy postanowiła wejść z powrotem do kuchni, usłyszała za sobą ostry szelest liści, tak bliski, że mimowolnie krzyknęła. Za ramię chwyciło ją coś, co przypominało cienkopalczystą, niewiarygodnie silną dłoń z popękkanymi pazurami — chwyciło ją i cisnęło gwałtownie o ścianę.

— Puszczaj!

Broniła się dziko i histerycznie, chociaż nie miała pojęcia, z czym walczy. Okładała pięściami ciemność, uderzając w liście, gałązki i kolce. Przypominało to walkę z krzakiem jeżyn. Miała pokaleczone ręce i połamane paznokcie nawet jej włosy zaplątały się w gałęzie.

W końcu udało się jej w jakiś sposób oswobodzić. Ciemny kształt zdarł jej z ramienia koszulę, obnażając piersi i raniąc plecy, ale ona wyrwała się, uciekła do holu i zaczęła wspinać się na górę, po dwa schodki naraz.

To sen, powtarzała sobie. To tylko sen.

Ale potem zakręciła na podeście i zobaczyła przed sobą wysokiego mężczyznę w białym płaszczu: stał dokładnie naprzeciwko niej.

Zastygła w bezruchu i dała najpierw jeden, a potem drugi krok do tyłu.

Stał u szczytu schodów w smudze padającego z sypialni Mary światła. Miał bladą twarz i całkowicie pozbawione emocji rysy, tak jakby nigdy, w całym swoim życiu, nie zaznał żadnych uczuć. W ramionach niósł Mary, biedną bezwładną Mary, ze zwisającą jedną i zakrzywioną drugą ręką, i odwróconą na bok głową. Miała szeroko rozplątany i opróżniony z zawartości brzuch; wyrwane zeń wnętrzności zwiślały w dół w zakrwawionych skomplikowanych festonach, w potwornym festiwalu czerwieni i purpury.

— O Boże — jęknęła Iris. — O Boże, to nie może być prawda.

Ale potem usłyszała blisko za sobą szelest liści, obróciła się i zobaczyła to, co ją ścigało; i wiedziała teraz na pewno, że to nie sen.

ROZDZIAŁ V

W Apartamencie Prezydenckim Collins Plaza Hotel przy Collins Avenue senator Bryan Cady rozsiadł się wygodniej w swoim wielkim pozłacanym rokokowym fotelu, obserwując przez na pół

przymknięte powieki poranną słoneczną mgiełkę i nie myśląc w ogóle o niczym.

Klęczała przed nim ubrana w kryminalnie krótką czarną spódniczkę, olśniewająco przystojna czarna dziewczyna z krótko obciętymi włosami i karmazynowymi, wypełnionymi kolagenem ustami.

Prawa stopa Bryana Cady'ego spoczywała na jej kolanach; dziewczyna polerowała właśnie irchowym tamponem jego paznokcie. Czarna piękność, obficie spryskana Giorgio Red.

Stopa Bryana Cady'ego była oczywiście bosa, poza tym jednak wystrojony był niczym nadażający za najnowszą modą przedsiębiorca pogrzebowy — w szare spodnie i czarną jedwabną koszulę od Armaniego oraz czarny krawat firmy Cerruti. W ustach trzymał przypominające kształtem torpedę cygaro Elegante, które właśnie powtórnie zapalił i kiedy do pokoju weszła Lily, jego głowę zasłaniały kłęby dymu, tak jakby przed sekundą eksplodował.

Osobisty sekretarz senatora, Carl Drimmer, stał przy oknie z przewieszonymi elegancko przez ramię czarnymi jedwabnymi skarpetkami.

Lily przeszła przez pokój, stąpając po grubym zielonym dywanie i pocałowała Bryana w sam czubek wynurzającej się z dymu głowy. Senator wyciągnął rękę i objął dziewczynę władcym gestem w tali.

— Lily! To był wywiad! Błyszczałaś jak zwykle. Po prostu skrzyłaś się jak diament! Jak ty to robisz, że zawsze wyglądasz tak ponętnie w telewizji?

— Prowadzę czyste życie i mam czyste myśli — odparła Lily. - I w przeciwieństwie do ciebie nie palę tych ohydnych cygar.

Odgarnęła do tyłu dłonią swoje nierówno ścięte blond włosy. Tego ranka nie miała na sobie T-shirtu i postrzępionych dzinsów, w których oglądał ją podczas demonstracji Nathan, ale szary jedwabny kostium Yves St Laurenta z głębokimi klapami i opadającymi luźno rękawami. Ściągnęła palcem przytrzymujące pięty paski butów i zrzuciła je lekkim ruchem z nóg.

— Skrzyłaś się jak diament — powtórzył Bryan. — Załatwiłaś ich na szaro. Zwłaszcza tego faceta z Instytutu Spellmana.

— Gartha Matthews? To psychopata. Jego nie zadowala już cięcie na kawałki żywych świń i rabowanie ich wewnętrznych organów. Nie, on musi obdarzyć je również psychiką po to, aby zdawały sobie sprawę, że ma zamiar ukraść ich wewnętrzne organy, jak bardzo to będzie bolało i dlaczego to robi.

Cygaro Bryana ponownie zgasło. Wyjął z kieszeni zapalniczkę Dunhilla z litego złota i z namaszczeniem je zapalił.

— Naprawdę musisz? — zapytała Lily.

Bryan zaciągnął się bardzo powoli dymem, wydymając wilgotne wargi.

— To mój jedyny nałóg, Lily, oczywiście nie licząc ciebie. Ręcznie zwijane elegante, colorado maduro, z opaską nasyoną wydzielinami waginalnymi specjalnie przyuczonych do tego dominikańskich nowicjuszek.

Lily zmarszczyła nos.

— Żartujesz.

Bryan głośno zarechotał.

— Oczywiście. Prawdopodobnie zwija je pod pachą i zlepia śliną jakiś bezzębny staruch w przepoconej kamizelce.

— Muszę się czegoś napić — stwierdziła Lily. — Te telewizyjne studia zawsze mnie tak odwadniają. Nie mogę uwierzyć, że ktoś taki jak Garth Matthews w ogóle istnieje. To definicja

sadysty. Opowiada o wiwisekcji, tak jakby to go naprawdę podniecało, tak jakby rozkoszował się każdą chwilą bólu, który zadaje tym zwierzętom. Wiesz, co mi powiedział? Że podczas operacji nigdy nie zasłania im oczu. Nic dziwnego, że chce im dać ludzką świadomość. Niedługo będzie prawdopodobnie paradował po instytucie z nożem rzeźnickim w ręce.

Bryan milczał przez chwilę, tak jakby pomysł paradowania z nożem rzeźnickim nie wydawał mu się wcale taki zły.

— Carl... — powiedział, strzelając palcami. — Daj się czegoś napić Lily, dobrze? Czego chcesz, kochanie? Soku z mango czy z ogórka?

— Wystarczy woda. Ramlosa. Nie lubię już perrier. Ostatnia butelka była tak kompletnie pozbawiona duchowości, że nie mogłam w to wprost uwierzyć.

— Może powinnaś dolać do niej trochę wódki — zasugerował Carl. Lily zignorowała go i przysiadła na skraju sofy, żeby być jak najbliżej Bryana, który przełożył cygaro z ręki do ręki nie chcąc dymić jej w twarz. Czarna dziewczyna posłała jej krótkie spojrzenie, ale nie przestała zajmować się paznokciami Bryana. W sposobie, w jaki trzymała jego bosą stopę tak głęboko wciśniętą między uda, było coś bardzo zaborczego, ale Lily wiedziała, że zachowywałyby się śmiesznie, okazując zazdrość.

Mimo to po kilku chwilach zdała sobie sprawę, że irytuje ją intymny sposób, w jaki dziewczyna trzyma nagą piętę Bryana w otwartej dłoni i odsuwa skórki specjalnym pręcikiem.

— Mam po prostu nadzieję, że zrobiłam dzisiaj coś dobrego oznajmiła niespokojnie.

— Nie przejmuj się — powiedział Bryan, klepiąc ją po dłoni. Zaraz po zakończeniu programu zatelefonował do mnie Duncan White. Jest gotów głosować za ustawą, jeśli zagwarantujemy dodatkowe subsydia na rozwój produkcji soi. W końcu przyszłego miesiąca ten kraj stanie się z prawnego punktu widzenia całkowicie wegetariański, obiecuję ci. A za pięć lat nikt nie będzie pił mleka i jadł jajek.

Lily pocałowała Bryana w policzek. W jej oczach jaśniał podziw.

— Jesteś zdumiewający — orzekła. — Zawsze marzyłam o tym, żeby pomóc zwierzętom, ale nigdy nie wierzyłam, że kiedykolwiek uda się to zrealizować.

— Hej... nie mogę powiedzieć, że wszystko to moja zasługa — odparł Bryan. — Nigdy nie udałoby się tego zrealizować, gdyby nie chciała tego większość Amerykanów.

— Mimo to...

— Amerykanie szukają ostatnio nowych ideałów. A co może być bardziej szlachetne niż przerwienie się na wegetarianizm i zaoszczędzenie zwierzętom cierpienia? Przeciętny mieszkaniec tego kraju jest coraz zdrowszy, bogatszy i lepiej wykształcony; jest politycznie bardziej wyczulony na nieszczęścia

innych... i nie dotyczy to wyłącznie mniejszości etnicznych i seksualnych bądź też ludzi inaczej uzdolnionych. To oznacza również inne stworzenia. Krowy, świnie, owce... i tak dalej. Wiesz, jak brzmią słowa piosenki.

— Tak — uśmiechnęła się Lily. — Kimkolwiek jesteśmy, czymkolwiek jesteśmy, wszyscy jesteśmy dziećmi Ziemi.

Podszedł do nich Carl, podając Lily szklanekę wody. Bryan obserwował, jak dziewczyna pije spragniona, zakrywając dłonią lewą pierś i poruszając w górę i w dół jabłkiem Adama. Czarna pedikiurzystka wbiła nagle ostro swój pręcik w skraj paznokcia dużego palca.

— Jeszcze nie skończyłaś, Ticia? — zapytał ją poirytowany senator. — Od tych zabiegów zaczynają mnie już boleć stopy.

— Tylko poleruję, proszę pana - powiedziała.

— Więc daj sobie na razie spokój. Możesz wypolerować jutro. Albo jeszcze lepiej w środę.

Przez chwilę trwała napięta cisza.

— Tak jest, proszę pana... panie senatorze — odparła w końcu pedikiurzystka.

Lily popijała niecierpliwie wodę, podczas gdy dziewczyna zbierała swoje cążki, nożyczki i buteleczki z lakierem. Kiedy zamknęły się za nią w końcu drzwi, Lily uśmiechnęła się wyraźnie odprężona i usiadła na poręczy senatorskiego fotela.

— Powinieneś pozwolić mi to robić samej.

— Polerować moje paznokcie? Jesteś wielką siłą polityczno-społeczną. Jesteś duchem czasu.

Duch czasu nie poleruje ludziom paznokci.

— Naprawdę sądzisz, że ustawa Zapf-Cady'ego ma poważne szansę?

Bryan zrobił odpowiednią minę, mającą jej dać do zrozumienia, że rozważa kilkanaście różnych opcji.

— Nie chciałbym cię oszukiwać, Lily: wynik będzie do ostatniej chwili wisiał na włosku. Ale ta sprawa jest bardzo na czasie, a akurat w tej chwili Kongres stara się desperacko wykazać prezydentowi, że potrafi być tak samo na czasie jak on.

— Phi — wtrącił Carl, zupełnie nie usiłując ukryć kpiny w głosie. — Dzisiaj mogą panu obiecywać wszystko, ale nie wiadomo, co będzie na czasie jutro.

— Tak jak powiedziałem, sprawa nie jest łatwa — powtórzył Bryan. — Jeśli będzie trzeba, szalę przeważą wiceprezydent. On sam jest radykalnym wegetarianinem, a jego żona przechodzi akurat remisję po raku żołądka i nie może jeść nic oprócz kleiku i przetartego przez sitko szpinaku.

Jezus. Skarpetki, Carl.

Carl podał mu skarpetki z zasługującym na Oscara wyrazem wyniosłej pogardy.

— Nie wiem, senatorze — powiedział. — Kiedy nadejdzie moment prawdy, co pana zdaniem postawią na pierwszym miejscu pańscy zdolni, wykształceni i dystyngowani koledzy z Senatu?

Wymogi prawidłowego żywienia czy filet z polędwicy w Rib Room w Mayflower? — Przerwał na chwilę. — Osobiście uważam, że będą głosowali, tak jak im każą ich żołądki.

— Jesteś cynikiem, Carl — odpowiedział Bryan.

— Oczywiście, że tak. Jestem pańskim osobistym sekretarzem od jedenastu i pół roku; każdy by nim zresztą został. Widziałem, jak zajadał się pan wieprzowiną. Widziałem, jak łamał pan swoich przeciwników. Czasami nie zgadzałem się z pańskimi metodami, ale zawsze identyfikowałem się z pańskim programem politycznym. Aż do dzisiaj. Cała ta ustawa jest czystej wody dziwactwem: absurdalnym wyrazem politycznego rygoryzmu. Nie jest na czasie i nigdy nie była.

— Grubo się mylisz, Carl, wiesz o tym? — odparł Bryan, unosząc w górę cygaro. — Ta ustawa to przyszłość. Mówimy o globalnym przetrwaniu, mówimy o proteinach uzyskiwanych z soi i hydroponice. Mówimy o napełnieniu żołądków wszystkim; nie tylko rozpieszczonej wysokoproteinową dietą mniejszości Zachodu. Mówimy o całkowicie nowym poglądzie na Ziemię i stworzenia, które zamieszkują ją razem z nami.

— Wiem tylko tyle — odparł, pociągając nosem, Carl — że swoją pierwszą robotę dostałem u McDonald'sa; i zastanawiam się, ile milionów ludzi ta ustawa pozbawi pracy. Co się stanie z Kentucky Fried Chicken? Co z Armorem? Tylko Hormel produkuje rocznie sto czterdzieści milionów puszek szynki. Jeśli ustawa Zapf-Cady'ego zostanie ratyfikowana, komu je sprzedadzą? Na pewno nie Izraelowi.

Bryan potrząsnął głową z pogodną obojętnością prawdziwego ewangelisty.

— Projekt ustawy zawiera najbardziej postępowe propozycje kompensacyjne ze wszystkich prohibicyjnych programów w historii amerykańskiego rolnictwa. W wyniku jej wprowadzenia nie straci pieniędzy żaden farmer, hodowca ani pracownik przemysłu mięsnego. Miejsca pracy zostaną przeniesione, to jasne, z produkcji mięsnej do produkcji roślinnej, ale nie utracone, w każdym razie nie w poważnym stopniu.

— A co będzie z ludźmi podobnymi do mnie, którzy nie chcą po prostu przestać jeść mięsa?

— Zrobimy ci największą przysługę, jaką wyświadczył ci ktokolwiek w życiu. W ogóle się nie poznasz. Poczujesz się bardziej czysty, bardziej seksowny. Czy masz pojęcie, co robi tłuszcz zwierzęcy z twoimi tętnicami? Wiesz, ile jest hormonów w przeciętnym kurczaku, kupionym w supermarkecie? Wiesz, z czego się robi hot dogi? Jezus, Carl, zjedz sałatę zamiast steku i poczuj się wolny. Całą twoją charyzmę obciążają węglowodory. Być może będziesz nawet rzadziej popadał w tę twoją cholerną depresję.

Bryan wstał. Miał metr siedemdziesiąt wzrostu i był bardzo smukłym mężczyzną o urodzie określonej mianem włoskiej, ze szczupłymi nadgarstkami i kostkami, i cienkimi, prawie pajęczymi palcami u rąk i nóg. Był również bardzo przystojny. Jego włosy były miękkie żeby zorientować się, jak miękkie, nie trzeba było ich wcale dotykać i miały naturalny odcień bardzo ciemnego brązu, przetykanego srebrnoszarymi nitkami, które przypominały kolorem zawieszony w bardzo silnym słonecznym świetle indiański rysunek tuszem. Miał ostre rysy na pół zagłodzonego anioła, głęboko osadzone brązowe oczy, idealnie wykrojony nos i usta, które wyglądały, jakby miał zamiar powiedzieć coś jednocześnie miłego i okrutnego.

Wypełniające go duma i próżność były tak potężne, że emanowały zeń w niemal widoczny sposób, niczym fale upału nad spieczoną słońcem autostradą. W wieku pięćdziesięciu jeden lat był

najmłodszym w historii przewodniczącym senackiej komisji rolnictwa, przemysłu spożywczego i leśnictwa. Trudno było sobie wyobrazić, że pomagał kiedyś hodować świnie na farmie swego ojca w Jefferson County w Iowie; i że oświadczył pracownikowi szkolnej poradni zawodowej, iż jego największą ambicją jest „wyprodukowanie chudego boczku, który wzbudzi entuzjazm w całym stanie”.

Kiedy miał dwadzieścia dwa lata, w jego życiu wydarzyło się coś ważnego. Podczas obchodów Dnia Świętego Mikołaja w Czech Village przy Szesnastej Alei w Cedar Rapids spotkał wówczas całkiem przypadkowo piękną, dziką i sfrustrowaną żonę senatora Williama Olsena. Cztery miesiące później zatelefonowała do niego — pijana, zdyszana i rozpaczliwie pragnąca seksu — i w ten sposób zaczął się ich irracjonalny, ale absolutnie płomienny romans. Zabierała go ze sobą wszędzie — do Waszyngtonu, Nowego Jorku, San Francisco, Londynu — i wszystkim przedstawiała. Kiedy miał

dwadzieścia trzy lata, napatrzył się dość bogactwa i politycznych wpływów, żeby uświadomić sobie dokładnie, kim chce zostać. Nie pragnął już dłużej produkować chudego bekonu, niezależnie od tego, jak szerokie zdobyłby on uznanie. Chciał być bogaty, sławny i dysponować władzą.

Dwa lata później, tuż po powrocie z meczu Kernelsów, senator William Olsen został

sparaliżowany przez masywny wylew. Zmuszony był wycofać się z polityki, ale jego umysł nie stracił

nic ze swojej bystrości, podobnie jak nie zmniejszył się jego apetyt na najwyższe urzędy. Uczynił

młodego Bryana Cady'ego swoim pełnomocnikiem nie tylko w łóżku wobec własnej żony, ale również w polityce, popierając go za pomocą wszystkich swoich finansowych zasobów i politycznych wpływów, a te były niemałe.

W wieku dwudziestu siedmiu lat Bryan został wybrany do Kongresu jako republikański przedstawiciel stanu Iowa. Po kolejnych dziewięciu latach — wówczas o rok młodszy od Johna F.

Kennedy'ego, kiedy tamten został senatorem ze stanu Massachusetts wybrano go do Senatu. William Olsen nadal go finansował i nadal używał wszystkich wpływów, żeby pchać jeszcze wyżej swego faworyta.

William Olsen chciał zostać prezydentem; jeżeli nie z nazwy, to przynajmniej faktycznie.

William Olsen chciał kontrolować świat, który pozbawił go męskości i możliwości poruszania się. A Bryan Cady był człowiekiem, który miał to dla niego zrobić.

— Niech pan nie zapomni, senatorze — powiedział Carl - że o wpół do pierwszej ma pan lunch z Izbą Handlu; a potem o trzeciej spotkanie z Cargillem.

Bryan zignorował go. Poglądził Lily po włosach i posłał jej to samo płomiennie spojrzenie, które rozpałiło Ninę Olsen.

— Wracasz ze mną do Waszyngtonu? — zapytał.

— Dzisiaj wieczorem? Nie sądzę, Bryan. Próbuję zorganizować to spotkanie z Instytutem Spellmana. Zobaczą, czy uda mi się przekonać ich, żeby dali sobie spokój z tym przeszczepem.

Wszystkie znaki wskazują, że w ciągu ostatnich kilku tygodni wywieraliśmy na nich za pośrednictwem mediów taką presję, iż gotowi są przynajmniej przełożyć go z dobrej woli na później.

Gdybym pojechała teraz do Waszyngtonu, cała sprawa by przycichła.

— Przycichła? — zapytał Bryan. — Nie wiem, po co tracisz na to tyle czasu. Tylko prawo jest w stanie powstrzymać Instytut Spellmana. Kiedy zostanie ratyfikowana ustawa Zapf-Cady'ego, będą musieli przerwać eksperymenty i nie będziesz się musiała przejmować, co myślą. Zabijanie z jakiegokolwiek przyczyny jakiegokolwiek zwierzęcia będzie traktowane jak morderstwo. Instytut Spellmana będzie musiał zostać zamknięty, podobnie jak każde miejsce, w którym zabija się albo maltretuje zwierzęta. W naszym kraju nie pozostanie ani jedna rzeźnia. Ani jeden zakład przetwórstwa mięsa, ani jedno testujące kosmetyki laboratorium, ani jedno miejsce, gdzie ze względu na ludzką wygodę muszą cierpieć zwierzęta.

Lily wzięła Bryana za rękę, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Była od niego wyższa przynajmniej o pięć centymetrów, nawet bez butów, ale Bryan wcale się tym nie przejmował. Niski wzrost nadrabiał pieniędzmi, siłą osobowości i władzą.

— Nie podoba mi się, że masz tak krótko obcięte paznokcie — szepnęła mu w twarz.

Wpatrywał się przez chwilę w jej chmurne oczy.

— Chcesz, żebym rozszarpał cię na strzępy, kiedy się Kochamy?

— To ty jesteś kochankiem. Powinieneś wiedzieć, czego chcę. Chciałam tylko powiedzieć, że to ja mogłabym się nimi zająć.

Bryan dotknął palcem czoła, jakby przypominał sobie właśnie o czymś ważnym.

— O co chodzi? — zapytała Lily.

— Mamy dzisiaj lunch w Izbie Handlu Cedar Rapids, tak? zapytał, zwracając się do swego sekretarza.

— Tak jest — odpowiedział Carl.

— Czy przyniosłeś już mój garnitur z pralni?

Carl zmarszczył brwi. Zawsze przypominał Bryanowi typowego faceta z Madison Avenue —

dokładnie takiego, jakiego można było zobaczyć w pochodzących z lat sześćdziesiątych egzemplarzach „New Yorkera” — neurotycznego, zapiętego pod szyję wiecznego pesymistę, który potrafił się śmiać wyłącznie z wad innych ludzi. Faceta, który przeniósłby się do sąsiedniego stanu, gdyby obniżyli tam podatki, i który wróciłby, gdyby sytuacja się odwróciła. Miał blond-szare włosy, lekkiego zęza w prawym oku i bladą jak lój cerę. Kiedy wychodził z pokoju, Bryan nie potrafił sobie nigdy przypomnieć, jak wygląda.

— Pójdę go przynieść — oznajmił matowym głosem Carl. Odczekał jeszcze moment, co nie było ani grzeczne, ani potrzebne, po czym wyszedł.

Lily trzymała Bryana w ramionach, nie przestając go całować. Jej piersi dotykały jego koszuli od Armaniego.

— Carl naprawdę wyprowadza mnie z równowagi — szepnęła.

— Dlatego właśnie trzymam go przy sobie.

— Żeby wyprowadzał mnie z równowagi?

— Nie. Dlatego, że nie zgadza się z niczym, co robię. On wierzy w kotlety wieprzowe i w to, że kobiety powinny nosić futra i trzymać się z daleka od polityki. Nienawidzi czarnych. Nienawidzi Koreańczyków. Nienawidzi każdej, jakiej tylko chcesz, mniejszości etnicznej. Nienawidzi nawet Tybetańczyków. Nie znosi tego, jak się ubieram, tego, jak mówię, i tego, jak myślę. Czy możesz sobie wyobrazić kogoś bardziej odpowiedniego, kto pilnowałby, żebym nie oderwał się od rzeczywistości?

— Pozwól, że ci coś powiem, Lily — podjął po chwili. — Nigdy, ale to przenigdy nie uwierzę w ten chłam, który wypisują o mnie dziennikarze. Nigdy. Dzień, w którym człowiek uwierzy we własną publicy, jest tym, kiedy zaczyna się dematerializować. Ja trzymam przy sobie ludzi w rodzaju Carla i dlatego właśnie zamienię ten kraj w taki, w którym będą mogli żyć wszyscy: ludzie i zwierzęta pozostający w stanie pokojowej koegzystencji. I dlatego też właśnie będę prezydentem.

Pocałował ją, wsuwając język między wargi. A potem polizał ją w czubek nosa i uśmiechnął się.

— Nie zapomnij... usłyszałaś to tutaj...

Jeśli chodzi o seks, Lily potrzebowała czegoś zupełnie specjalnego. Powiedziała mu o tym, kiedy pierwszy raz zabrał ją do łóżka w hotelu Bristol w Warszawie, gdzie oboje uczestniczyli rok temu w Światowym Kongresie Ochrony Środowiska.

— Mam pewną specjalną potrzebę powiedziała, kładąc dłoń na jego dłoni, kiedy siedzieli razem w łagodnym popołudniowym świetle, popijając kawę i jedząc ciastka w kawiarni Bristol.

Spojrzał na nią wówczas przez parę, która unosiła się z jego kawy, i nic nie odpowiedział. Był kochankiem Niny Olsen; i kochankiem wielu innych bogatych i wpływowych kobiet. Wiedział to i owo o specjalnych potrzebach.

Wziął ją teraz za rękę i zaprowadził do sypialni. Za oknem rozciągał się widok na południowe dzielnice Cedar Rapids, na skrzący się uliczny ruch i na Cedar River, która połyskiwała niczym płynny mosiądz.

Nie zasunął zasłon. Apartament prezydencki znajdował się zbyt wysoko, żeby ktokolwiek mógł tu zajrzeć.

— Jak długo zajmie Carlowi przyniesienie twojego garnituru? zapytała Lily.

— Nie ma żadnego garnituru.

— Więc...

Pocałował ją raz i drugi, a potem rozpiął żakiet.

— Nie ma żadnego garnituru — powtórzył.

Zsunął żakiet z jej ramion. Pod spodem nosiła prostą, ale drogą białą jedwabną koszulkę z dużym dekoltem. Jej skóra wydzielala przesycony ciałem zapach perfum. Miała na sobie biały koronkowy biustonosz, który przytrzymywał piersi, nie ograniczając jednak w żaden sposób ich ruchów i nie zakrywając brodawek. Nie przestając wpatrywać się w jej oczy, Bryan wyciągnął obie ręce i zaczął zataczać środkowymi palcami kręgi wokół sutek, czasami dotykając ich przez cienki jedwab, a czasami w ogóle nie dotykając, tak długo, aż stwardniały i mógł je delikatnie pociągnąć i ścisnąć.

Lily nie spuszczała z niego wzroku, prawie nie mrugając powiekami, z rozchyłonymi lekko ustami. Jej piersi unosiły się w cichym cierpliwym oddechu.

— Skrzyłaś się — zapewnił ją Bryan i uśmiechnął się. — Byłaś niczym otaczająca księżyc słoneczna aureola. Kiedy na ciebie patrzyłem, stwardniał mi i poczułem, jak rozsadza mnie zazdrość.

Chciałem wpaść do tego studia i rznąć cię na żywo, na wizji, na oczach tych wszystkich milionów ludzi.

Uniósł jej koszulkę. Uniósł także, tylko na moment, jej piersi; ale potem wysunęły się z jedwabiu i

zawisły przed nim nagie, ze stwardniałymi brodawkami i szerokimi różowymi aureolami, które przypominały kolorem opadłe z krzaka płatki róży. Pocałował każdą brodawkę, a ona opuściła brodę i patrzyła, jak to robi. A potem objął ją i rozpiął biustonosz. Piersi opadły centymetr albo dwa w dół i zakołysały się ciężko.

— Chciałem, żeby podjechali bliżej kamerami i pokazali, jak się całujemy i liżemy —

powiedział. Jego głos był teraz niski, cichy i zdyszany, tak jakby dmuchał w szyjkę butelki. —

Chciałem pokazać wszystkim ludziom w tym bezbożnym kraju, ile tracą; i dlaczego wolałbym cię raczej pożreć, niż pozwolić, żebyś mnie opuściła.

Rozpiął guziki i haftki przy jej spódniczce i niczym chirurg dokonujący pierwszego ciecicia rozsunął zamek błyskawiczny. Spódniczka opadła z szelestem na podłogę i Lily stała teraz przed nim, nie mając na sobie nic oprócz małych białych koronkowych majtek, z wyhaftowanymi liliami.

Bryan przyłożył do nich otwartą dłoń i jednocześnie ją pocałował, badając językiem każdy szczegół

jej zębów, każde wzniesienie i każdy łuk jej dziąseł, niczym jakiś ślepy, szukający ofiary morski drapieżca. Czuła, jak brakuje jej oddechu, czuła, jak ogarnia ją lęk. Tak było zawsze, kiedy Bryan uprawiał z nią miłość.

Za oknem, w odległości ponad dziesięciu kilometrów Bryan zobaczył błyszczący ostro w promieniach słońca kadłub samolotu Northwest Airlinck, który startował z miejskiego lotniska Cedar Rapids. Jakie to niezwykle — pomyślał — że ludzie lecą samolotem, rozmawiają i popijają koktajle, podczas gdy on tutaj wdycha zapach prawie nagiej kobiety.

— Bryan... — powiedziała Lily, tak jakby chciała zwrócić na siebie jego uwagę; oprócz tego jednak zachowywała się zupełnie pasywnie.

Ściągnął w dół elastyczny materiał jej majtek.

— Mogliby oglądać cię nagą — powiedział, kontynuując swą telegrę — miliony mężczyzn mogłyby gapić się na twoją cipkę, mogłyby pożądać jej i potrzebować. I żaden z nich nie mógłby jej mieć oprócz mnie.

Lily uniosła z całą gracją dobrze wyszkolonego konia najpierw prawą, a potem lewą stopę, żeby mógł ściągnąć z nich majtki. Bryan zmiął je, tak jakby kruszył potpourri, i przytrzymał przez chwilę w mocno zaciśniętej pięści, żeby upewnić się, że wycisnął z nich cały ich wyraźny zapach: nerwowego potu, uryny i seksu. A potem przytknął je do nosa i wziął głęboki oddech.

— I żaden z nich nie mógłby również wdychać twego zapachu... Z nieskończoną delikatnością dotknął jej brzucha, opierając czubek środkowego palca o jej pępek i gładząc czubkiem małego palca wzgórek Wenery; tylko na tyle, żeby poczuła mrowienie w końcówkach nerwów. A potem znowu ją pocałował, wślizgując się, nurkując i polując w jej ustach; domagając się informacji i uległości.

— Bryan — powtórzyła z zamkniętymi oczyma, czekając cierpliwie na to, czego naprawdę chciała.

Być może wcale jej tego nie da; być może każe jej czekać dłużej, niż będzie potrafiła znieść.

Jej wargi sromowe pokryte były delikatnymi, świeżymi włoskami, prawie niewidocznymi, niczym na dojrzałej brzoskwini. Jego środkowy palec spenetrował szczelinę — rozchylając śliskie wargi, rozchylając je delikatnie, tak delikatnie, że prawie go nie czuła — wsuwając się tylko na sekundę w pochwę — tak że nie zdążyła napiąć mięśni, żeby go naprawdę poczuć — a potem dotykając krocza, zataczając krótki krąg między zaokrąglonymi pośladkami i drażniąc odbył - ale tego też nie było jej dane zaznać dłużej, bo palec za chwilę się cofnął i wodził powoli po nagim udzie, niczym pająk opuszczający się na pajęczynie.

— Bryan... — Jej głos był teraz gardłowy, przesycony pożądaniem. Pocałował ją jeszcze raz, pogładził palcami po nagich plecach i ujął w dłonie ciężkie piersi.

— Bryan... — Próbowała złapać go za przegub i wcisnąć jego rękę między nogi. Ale on chwycił w odpowiedzi jej dłoń i ścisnął tak mocno, że zadrżała i bezskutecznie próbowała się wyzwolić. W oddali błysnął kolejny samolot. Przypominało to nadawany z samotnej skały heliograf.

Bryan popychał stopniowo Lily w dół, tak że w końcu usiadła na skraju królewskiego łóżka.

Oczy miała wciąż zamknięte. Ukląkł między jej nogami, ściskając ją za lewy nadgarstek tak mocno, że nie była w stanie nawet poruszyć palcami, a potem pchnął ją lewą ręką do tyłu. Lily położyła się na narzucie, rozchylając szeroko uda. Duże piersi ze stojącymi na baczność brodawkami opadły na boki.

Ich skóra była prawie przezroczysta i poznaczona żyłkami.

Bryan pochylił głowę i otworzył językiem jej wewnętrzne wargi sromowe. Rozchyliły się lepkie, niczym skrzydła wykluwającego się z kokonu motyla. Czubek języka dotknął łechtaczki, a potem krążył wokół niej tak długo, aż jego nerwy zarejestrowały reakcję jej nerwów, a sama łechtaczka nabrzmiała i stwardniała.

Język przesunął się w dół, dotykając na moment ujścia cewki moczowej. Lily przeszedł dreszcz.

Bryan ścisnął w odpowiedzi jej nadgarstek, jakby chciał przypomnieć, że on jest tu panem i on decyduje, kiedy wolno jej zareagować. W końcu — po przerwie tak długiej, że omal się nie zadusiła wstrzymując oddech — jego język wślizgnął się do otwartej pochwy i przesunął po jej ściankach.

Poczuła w sobie jego gorący oddech, a potem Bryan wycofał się.

To było Obwąchiwanie i Smakowanie. Teraz zbliżał się czas Rui; i Lily nie potrafiła dłużej powstrzymać drżenia. Trzęsła się niczym ktoś ogarnięty gorączką. Wszystkie jej ruchy były nie skoordynowane i nie kontrolowane. Zaczęła kwilić i wydawać ciche wysokie chrząknięcia przez nos.

Całe jej ciało ogarnął paroksyzm. Paznokcie zacisnęły się na koszuli Bryana; podrapałaby go po twarzy, gdyby się szybko nie uchylił.

Już się do niej nie odzywał. Ta część rytuału dokonywała się w milczeniu, z wyjątkiem kwilenia i

pochrząkiwania Lily. To me kochały się już dwie ludzkie istoty. To była zwierzęca kopulacja: żarłoczna i gwałtowna.

Bryan sięgnął pod łóżko i wyciągnął dwie białe jedwabne szarfy.

A potem wstał i przewrócił Lily na brzuch, przyciskając jej twarz do łóżka. Walczyła z nim, kopała i wierzgała nogami, ale on wykręcił, podciągając aż pod łopatki, jej lewą rękę, a potem uderzył

ją po pośladkach — raz, drugi i trzeci — zostawiając czerwone ślady na błyszczącej białej skórze.

Próbowała się wyzwolić, ale przycisnął ją jeszcze mocniej do łóżka, rozgniatając piersi na brokatowej narzucie. A potem usiadł na niej okrakiem, odchylił do tyłu jej głowę, zawiązał jedną z jedwabnych szarf oczy i zacisnął mocny węzeł.

Krzyknęła i wydała kolejne chrząknięcie, a on wykręcił również jej prawą rękę i zawiązał drugą szarfą w nadgarstkach obie dłonie. Próbowała go kopnąć, a wtedy ponownie uderzył ją w tyłek —

ostre kłujące plaśnięcia — i Lily podciągnęła pod siebie kolana, i uklękła trzęsąc się na łóżku.

Bryan wstał. Nie śpiesząc się rozwiązał krawat, rozpiął koszulę i zdjął spodnie. Lily nie ruszała się z miejsca, naga, skulona na łóżku, z zawiązanymi oczyma i skrępowanymi z tyłu rękoma.

Jej seks był teraz przed nim całkowicie odsłonięty i rozbierając się Bryan ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku, napawając się widokiem tych różowych błyszczących warg i drgających co jakiś czas mięśni.

Szczupłe, kościste ciało Bryana pokrywały czarne włosy. Jego penis znajdował się w stanie pełnej gotowości, z purpurową niczym świeży bakłażan żołądzia, pulsując cicho zgodnie z rytmem jego krwioobiegu. Między udami wisały mu ciężkie jądra, wyglądające tak, jakby lada chwila miały się z nich wykluć pisklęta.

Lily kwiliła, chrząkała i miotła na boki głową — niczym ogarnięte paniką zwierzę. Bryan ukląkł na łóżku i rozchylił kciukami tak szeroko, jak mógł, jej pośladki. Klęcząca z zawiązanymi oczyma i skrępowanymi rękoma dziewczyna zaczęła krzyczeć. Ale Bryan pochylił się nad nią z kamiennym spokojem — tak powoli, że mógłby występować w puszczonej cztery razy wolniej przyrodniczym filmie, z językiem wysuniętym niczym u kameleona szukającego słodkiej zdobyczy —

i dotknął samym jego czubkiem jej odsłoniętego odbytu. A potem, uśmiechając się szeroko, ujął w dłoń nabrzmiały penis i wbił go między nogi Lily, coraz głębiej, głębiej i głębiej, aż po dyndające pod spodem jądra, tak że wyglądała teraz, jakby i ona miała czarne długie włosy łonowe.

Rznął ją szybko i ze złością. Jego członek wbijał się w nią raz po raz, a ona leżała na brzuchu z zawiązanymi oczyma i skrępowanymi na plecach przegubami, zgrzytając zębami w ekstazie i bolesnym spełnieniu.

— Bryan, Bryan, Bryan — jęknęła cicho, ale on jej wcale nie słyszał. W uszach waliła mu krew i do jego świadomości docierały tylko lepkie, śliskie odgłosy stosunku.

— Dochodzę, kurwa, dochodzę — krzyknął po krótkim czasie i pochylił się z poczerwieniałą twarzą i zaciśniętymi mocno oczyma nad plecami Lily, koncentrując się teraz cały nie na Capitol Hill, ewentualnych łapówkach i udanym występie w telewizji, ale na tym, aby wstrzyknąć parę kropel spermy w otwartą pochwę dziewczyny, która musiała uprawiać seks jak skrepowane zwierzę.

Nastąpił krótki moment kurczowego łapania powietrza; krótki moment intensywnego gorąca; i krótki moment intensywnej ulgi. To były te momenty, kiedy Bryan uświadamiał sobie, że tak naprawdę wcale jej nie kocha i że nie zniesie kolejnego rytuału z zawiązanymi oczyma; przynajmniej do następnego razu. To były te momenty, kiedy czuł się najbardziej sobą; i wiedział, czym naprawdę jest. Ale takie momenty były zbyt rzadkie i zbyt oddzielone w czasie, żeby chciał myśleć o zmianie.

Jakkolwiek się to miało skończyć, zwycięstwem albo klęską, ustawa Zapf-Cady'ego stanowiła prawdziwy polityczny dynamit i jeśli w ten właśnie sposób miał zbić na niej kapitał, w takim razie użyje szarf, użyje bata, użyje kajdanek: Lily będzie miała wszystko, czego zechce.

Bryan wysunął się z niej. Przez krótką chwilę połączyła ich cienka drżąca pajęczyna spermy, a potem urwała się i ona.

— Rozwiąż mnie — poprosiła chrapliwym głosem i rozwiązał ją, tak jak robił to zawsze, a ona, jak zawsze, wierzyła, że to zrobi.

— Byłaś sensacyjna — stwierdził, zdejmując jej z oczu opaskę. — Przeszłaś samą siebie.

— Zgubiłam się — odparła cicho. Miała dziecinny, żaloszny, smutny głos.

— Zgubiłaś się? — zdziwił się Bryan. — Co to znaczy „zgubiłaś się“?

— Zgubiłam się na polu, ale odnalazła mnie mama.

Bryan ułożył się na łóżku obok niej i sięgnął po swoje wypalone w jednej czwartej elegante.

— Dziecinne wspomnienia, nic więcej. Prześladowają cię, kiedy się tego najmniej spodziewasz.

— Przerwał na chwilę, żeby odnaleźć zapalniczkę. — Nigdy przedtem nie mówiłaś o swojej mamie dodał.

— W ogóle jej nie znałam.

— Uratowała cię, kiedy zgubiłaś się na polu.

— Tak, ale to nie była moja prawdziwa mama. Bryan zapalił w końcu cygaro.

— Nie musisz się tłumaczyć. Nie wymagam, żebyś opowiadała mi historię swojego życia.

Leżała w jego ramionach, mocno przytulona. Jej skóra była zimna i co jakiś czas wstrząsała nią dreszcz. Zapytał, czy nie chce, żeby podkręcić klimatyzację, ale odpowiedziała, że nie, woli, jak jest zimno. Kiedy było zimno, czuła wilgoć między nogami i lubiła to; czuła się dzięki temu zdobyta.

— Czasami cię nie rozumiem — stwierdził. — Tego, w jaki sposób określasz różne rzeczy. Co ma na przykład znaczyć słowo „zdobyta”?

Wzięła w dłoń jego miękki penis i ścisnęła go między palcami.

— Ja też cię nie rozumiem... niektórych używanych przez ciebie słów.

— Jestem samoukiem. Lubię ludzi, którzy są samoukami. Są oryginalni.

Lily zsunęła się w dół łóżka i wzięła jego penis do ust, ssąc go, obracając, dotykając językiem i delikatnie żując. Kiedy to robiła, Bryan przyglądał się odbiciom, które tańczyły na suficie Apartamentu Prezydenckiego, i dziwił, jak mocno względy polityczne mogą połączyć razem kochanków i wrogów; i stworzyć metafizyczne zagadki, których nikt nie potrafi rozwikłać.

Luke przybył do domu Pearsonów kilka minut przed jedenastą. Ulica zastawiona była wozami policyjnymi, pojazdami prasy i samochodami z biura koronera Cedar Rapids. Ranek był gorący i mglisty, wysoko po niebie krążyły leniwie sępy. Nic dziwnego. W domu leżała padlina.

Komendant Husband stał na podwórku, żując gumę. Był to zwalisty, muskularny i na swój sposób przystojny mężczyzna, z krótko przystrzyżonymi szarymi włosami i najbardziej przejrzystymi błękitnymi oczyma, jakie Luke widział w swoim życiu; sprawiały takie wrażenie, jakby Husband potrafił zobaczyć nimi, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami albo za stalową płytą. Luke zbliżył się do niego w sposób, jakiego wymagał ich osobisty protokół, trochę z boku, wykonując coś w rodzaju tańca godowego. Przyczyną tych wszystkich podchodów był fakt, że upiwszy się kiedyś w trupa komendant Husband zdjął spodnie i pokazał Luke'owi straszliwą ranę po pocisku: poszarpaną niczym macki kałamarnicy bliznę, pojedyncze jądro, zakrzywiony dziwnie penis i nierówno rosnące włosy łonowe.

— Cześć, Luke — powiedział John, nie przestając żuć gumy. Z bliska pachniał mocno żelem do kąpieli Old Spice'a.

Luke klepnął go ostrożnie po ramieniu.

— Jak się masz, John. Jaka jest sytuacja?

— Jedna biała zamężna kobieta w średnim wieku, nie tylko martwa, ale martwa jak jasna cholera. Jedna biała zamężna kobieta w średnim wieku z obrażeniami w postaci skaleczeń, ran ciętych i kłutych, znajdująca się w stanie poważnego szoku. Jedna jedenastoletnia biała dziewczynka bez żadnych widocznych obrażeń i objawów szoku: prawdopodobnie w ogóle nie widziała tego, co się stało.

— Kobieta, która nie żyje, to siostra Iris Pearson, prawda? Ta, która przyjechała z Dubuque, żeby pomóc jej dojść do siebie po zamordowaniu dzieci.

— Zgadza się. Pani Mary van Bogan, 5537 Asbury Drive, Dubuque. Jej mąż leci tutaj samolotem.

— A Iris?

John potrząsnął głową.

— Jak byś się czuł, gdyby własny mąż zabił ci dzieci, a dwa dni później do twojego domu dokonano włamania, wypatroszono ci siostrę, a ciebie samego pokaleczono i zbito na kwaśne jabłko?

— Przychodzi ci coś do głowy?

— Nie wiem. Na razie nic. Ale będę chciał porozmawiać z Terence'em Pearsonem, możesz być tego pewien.

— Czuj się zaproszony. Wyznaczyli na jego obrońcę Wendy Candelarie.

John Husband wyjął z kieszonki na piersi papierek po gumie do żucia, wypluł do niego gumę i starannie zapakował.

— O jedną czarną plamę mniej na trotuarze — stwierdził.

Luke nie wiedział, co powiedzieć. Spocony i poirytowany, wyciągnął z kieszeni chusteczkę, żeby wytrzeć twarz. John powodował, że czuł się o wiele większy i niechlujniejszy niż normalnie, a trzydziestostopniowy upał wcale nie poprawiał mu humoru.

— Zajrzyjmy do środka — powiedział John, wskazując frontowe drzwi. Dwóch policyjnych fotografów i zbierający odciski palców dochodzeniowiec cofnęli się z szacunkiem.

— Jak się masz — pozdrowił Luke dochodzeniowca, który posłał mu słaby uśmiech i wzruszył ledwo dostrzegalnie ramionami. — Paskudna sprawa, nie?

— Odciski też nie wyglądają zachęcająco. Ktokolwiek to zrobił, nosił rękawiczki. Albo w ogóle nie miał linii papilarnych.

Luke wszedł do przedpokoju. Niższa część schodów przykryta była całkowicie niebieskim nieprzemakalnym plastikiem, tak jakby wciąż znajdowała się w budowie i robotnicy chcieli zabezpieczyć ją przed deszczem. Ale w kilku miejscach plastik wyraźnie się wybrzuszał i łatwo można się było domyślić, co leży pod spodem. Luke zauważył również plamy krwi, którymi upstrzona była tapeta wzdłuż całych schodów między piętrem a parterem: kleksy, zawijasy i wykrzykniki.

Przypominająca kształtem haczyk kropla krwi zaschła na fotografii Terence'a Pearsona, który wyglądał, jakby krwawiło mu lewe oko, i uśmiechał się ironicznie, nie wiadomo dokładnie do kogo.

Jeden z medyków stał obrócony bokiem w kuchni, czekając, aż John poleci mu uprzątnąć szczątki Mary. Luke uśmiechnął się do niego, ale medyk nie odwzajemnił uśmiechu; zamiast tego zdjął okulary i zaczął je pracowicie wycierać końcem krawata.

Luke podszedł powoli i ostrożnie do schodów. Podłoga była usłana suchymi wyblakłymi liśćmi, które chrzęściły przy każdym jego stąpieniu.

— Co to za liście, do diabła?

— Liście wawrzynu — odparł medyk, zakładając z powrotem okulary na zadarty mały nos. —

Laurus nobilis, z rodziny Lauraceae. — Pochylił się i podniósł jeden z liści, obracając go między palcem wskazującym i kciukiem. — W starożytności pleciono z nich wieniec dla zwycięzcy. Dzisiaj używamy suszonych liści jako przyprawy kuchennej, a jagód w leczeniu zwierząt.

Luke rozejrzał się dookoła.

— Nie zauważyłem, żeby na podwórku rósł jakiś wawrzyn - powiedział. — Tak czy owak, skąd te wszystkie liście w środku domu?

— Trafne pytanie — stwierdził John. — Na podwórku nie rośnie żaden wawrzyn. Poza tym nasz tu obecny przyjaciel poinformował mnie, że wawrzyn ma wiecznie zielone liście i nie zrzuca ich jesienią, która zresztą jeszcze nie nadeszła.

— Co więcej — wtrącił medyk, upuszczając zeschnięty liść, który opadł zygzakiem na podłogę —

wawrzyn, z którego pochodzą te konkretne liście, występuje w południowej Europie, nie w Stanach Zjednoczonych. Znajdujemy się daleko na północ od miejsc, gdzie rośnie wawrzyn czerwony, wawrzyn bagienny i gordonia, których liście tutaj widzimy.

— Można z tego wyciągnąć logiczny wniosek, że liście zostały umyślnie lub przypadkowo zawleczone do domu przez sprawcę bądź sprawców.

Luke rozwinął chusteczkę i ponownie otarł pot z czoła.

— Być może jest to logiczny wniosek, ale po co, logicznie rzecz biorąc, mieliby to robić? Albo nawet nielogicznie? Czy Iris Pearson nie używała ich po prostu do kompozycji z kwiatów, względnie me suszyła do celów kuchennych? A może dostały się do środka podczas walki?

— Nie ma mowy — stwierdził John. — Nie widziałeś jeszcze podwórka za domem. Leżą tam całe sterty. Jedna obok drugiej. Wyznaczyłem czterech funkcjonariuszy do pakowania ich w worki, żebyśmy mogli je przesiać na komendzie. Jeśli Iris Pearson miała zamiar użyć ich do kompozycji z kwiatów, zasypałyby nimi cały cholerny salon.

Na nieprzemakalnej płachcie usiadła mucha mięsna i zaczęła pocierać o siebie czułkami. Luke machnął ręką, usiłując ją zgonić, ale mucha zupełnie nie zareagowała. Wiedział z doświadczenia, że to zły znak. Zainteresowanie muchy tym, co leżało pod plastikiem, było o wiele większe niż strach przed rozgnieceniem.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Lepiej mi już pokażcie to najgorsze.

Lekarz sądowy dał krok do tyłu i odsunął z grymasem na ustach płachtę. Rozległ się śliski szeleszczący odgłos i spod plastiku wyfrunęło z bzykiem kilka najwyraźniej spasionych much. Luke potrzebował paru chwil, żeby zrozumieć, na co spogląda. Głowa Mary wisiała wykrzywiona pod

dziwnym kątem na drugim schodku od dołu, a brzuch i klatka piersiowa otwarte były tak szeroko, że jej zwłoki nie przypominały już ludzkiego ciała. Otwartymi szeroko oczyma wpatrywała się w jego łydki.

— Plamy krwi w gościnnej sypialni wskazują, że ofiara została rozplątana w czasie gwałtownej walki na łóżku. Rany zadano długim, bardzo ostrym, podobnym do miecza narzędziem. Kilka ran ciętych znajduje się na lewej dłoni i przedramieniu, odkryliśmy również charakterystyczne dla mocnego uścisku sińce i zadrapania wokół prawego nadgarstka. Dowodzi to ponad wszelką wątpliwość, że sprawca był praworęczny.

Luke przechylił głowę na bok niczym przyglądający się grzbietom książek czytelnik, próbując nadać jakiś sens widokowi jej brzucha. Widział żebra, posiekane niczym przygotowane do pieczenia na rożnie żeberka. Widział kręgosłup. Ale nie widział niczego oprócz mięśni i kości. Żadnych organów wewnętrznych, niczego miękkiego. Brak było tych błyszczących pęcherzowatych rzeczy, których tak zawsze nienawidził, kiedy istota ludzka traciła swą zewnętrzną integralność. Uniósł

płachtę trochę wyżej, żeby przyjrzeć się zakrwawionym schodom. Tam też nic nie było: ani śladu tkanki, ani śladu mięsa, włókien i innych budzących odrazę rzeczy.

— O co chodzi? — zapytał medyk.

— Ona nie ma żadnych... trzewi.

— Zgadza się, żadnych wnętrzności. Nie ma żołądka, wątroby, nerek, trzustki, śledziony, płuc i jelit z wyjątkiem krótkiego odcinka jelita grubego o długości najwyżej czterdziestu centymetrów. Nie ma też serca. Praktycznie biorąc, szeryfie, ta kobieta jest kompletnie pusta.

Luke spojrzał po raz ostatni na Mary, przyciskając mocno chusteczkę do karku.

— Dobra, to wszystko, co chciałem zobaczyć — powiedział w końcu.

Medyk zasunął płachtę z powrotem, posyłając mu dziwne, prawie surowe spojrzenie — tak jakby był właścicielem gabinetu osobliwości i rozumiał świetnie małoduszne wykręty, którymi ludzie usiłują pokryć wstydliwą potrzebę napawania się widokiem męczarni i śmierci.

— Rzućmy okiem na podwórko — powiedział John, biorąc Luke'a pod łokieć. W

rzeczywistości chodziło mu o to, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Próbował to zrobić, kiedy Luke tu przyjechał głęboko oddychając i żując miętową gumę, żeby pozbyć się z zatok fetoru szybko rozkładających się zwłok.

Na podwórku zaczerwieniony policjant w koszuli z krótkimi rękawami wpychał ostatnie liście wawrzynu do worka. Siedem innych worków stało w eleganckim rzędzie przy parkanie. Luke poszedł

na sam koniec podwórka, podniósł suszarkę i wetknął pod nią głowę, a potem stał tak przez chwilę, łapiąc powietrze, pocąc się obficie, opierając dłoń na dachu psiej budy i posyłając Johnowi spojrzenie człowieka, który naprawdę potrzebuje odpowiedzi.

— Nie mam żadnych teorii, podobnie jak i ty — stwierdził John. — Papierosa?

— Rzuciłem — odparł Luke. — Miałem do wyboru papierosa albo suszoną wołowinę. —

Przez chwilę milczał, a potem zapytał: — Rozmawiałaś z Iris? Co mówi?

— Mówi, że ubrany na białą mężczyznę zszedł po schodach, trzymając w ramionach jej siostrę i że jej siostra była rozplątana od góry do dołu. Nie było łatwo wydobyć z niej wszystkie szczegóły, ale z tego, co powiedziała, wynika, że jej siostra była cała porozwieszana. Rozumiesz, co mam na myśli? Jej...

— Wnętrznosci — dopowiedział Luke.

— Zgadza się, wnętrznosci.

— Hmm — mruknął Luke i rozejrzał się dookoła. — Gdzie jest teraz mała Emily?

— Po drugiej stronie ulicy. Zaopiekowali się nią sąsiedzi.

— Rozmawiałaś z nią także? John wyduł wargi.

— Nic nie widziała. Kiedy to się zdarzyło, spała.

— Tak ci powiedziała? Że spała? Kiedy się obudziła?

— Obudziła ją jej matka, tak powiedziała. Matka obudziła ją, mówiąc, że coś się stało i że powinna pozostać tam, gdzie jest, w swojej sypialni. I tak właśnie zrobiła, pozostała tam aż do przyjazdu pierwszego wozu patrolowego.

Luke skontrolował worki z liśćmi, szturchając jedne, kopiąc inne oraz otwierając i grzebiąc w dwóch z nich. Policjant z czerwoną twarzą posłał swemu szefowi zdesperowane spojrzenie; ale John potrząsnął tylko głową. Można było zarzucić szeryfowi Luke'owi Friendowi, że nie jest najlepszym administratorem i nadużywa czasem pałki. („Łagodny Olbrzym"? Wolne żarty!) Ale nikt nie ośmieliłby się stwierdzić, że nie jest czystej wody profesjonalistą, że ma ograniczone horyzonty i nie zna się na robocie, której tajników już dawno temu zapomniało zbyt wielu amerykańskich szeryfów.

— O której to było? — zapytał Luke.

— O czwartej zero siedem.

Emily była w sypialni, Mary leżała martwa na schodach, a Iris była gdzie?

— Iris leżała na podłodze w salonie.

— W jakim stanie?

— Naga, posiniaczona i pokaleczona tak jakby ktoś smagał ją zwojem kolczastego drutu.

— Mary leżała martwa i wypatroszona na schodach, ale pobita i wychłostana Iris zdołała wdrapać się po tych samych schodach tylko po to, żeby powiedzieć Emily, że ma zostać w sypialni? A potem zeszła z powrotem na dół, żeby położyć się naga na podłodze i poczekać na policję?

John sięgnął do kieszeni i wyciągnął kolejne opakowanie gumy.

— Taki logiczny wniosek nasuwa się po rozmowie z Emily.

— Może Emily coś pokręciła.

— Ona ma jedenaście lat, Luke! Doznała wstrząsu przy pierwszym morderstwie, a teraz była świadkiem następnego, jeszcze gorszego!

— To nadal nie wyjaśnia, dlaczego jej matka zachowała się w ten sposób. Masz chyba brata, prawda?

John zamrugał oczyma.

— Wiesz, że mam. Toma.

— Gdyby Tom leżał wyfiletowany na schodach twojego domu, czy stąpałbyś po jego szczątkach tylko po to, żeby powiedzieć swojemu dzieciakowi, że ma nie ruszać się z łóżka, a potem zląził z powrotem? Daj spokój, John, nie mógłbyś tego zrobić, nawet gdybyś nie był pobity i pokaleczony. Dziewczyna nie mówi prawdy; to nie może być prawda.

— Dlaczego miałyby kłamać? Ma jedenaście lat i straciła brata, siostrę i ciotkę. Jej ojciec jest za kratkami, a matka ciężko ranna. Dlaczego miałyby kłamać?

— Nie wiem — odparł Luke, wbijając dłonie w ciasne kieszenie spodni i rozglądając się po uprzątniętym podwórku. — Ale zastanówmy się poważnie nad całą tą historią, John. Dlaczego Terence Pearson zabił swoje dzieci? Dlaczego Leos Ponican wcisnął swoje flaki do młynka na śmieci po przetłumaczeniu pamiętnika Pearsona? Kto przyszedł tej nocy do tego domu, wypatroszył

szwagierkę Pearsona i pobił ciężko jego żonę? I dlaczego córka Pearsona wymyśla na ten temat jakieś zupełnie niewiarygodne kłamstwa?

John wydał wargi, wybałuszył oczy i zrobił taką minę, jakby miał zamiar udzielić mu za chwilę odpowiedzi na wszystkie te pytania. Ale potem wzruszył ramionami i głośno prychnął.

— Jezus, Luke, nie mam pojęcia. Będziemy musieli poczekać na wyniki badań.

— I wszystkie te liście! — zawołał Luke, kopiąc jeden z worków. Wszystkie te pieprzone liście! Skąd się wzięły te liście?

Nagle umilkł i przycisnął dłoń do ust. A potem, nie mówiąc ani słowa, wbiegł z powrotem do domu, zostawiając oszołomionego Johna na podwórku. John spojrzał na stojącego obok worków z liśćmi policjanta i zrobił zdziwioną minę. Policjant wzruszył w odpowiedzi ramionami.

— Nie mam pojęcia, co go napadło — powiedział.

Przeklinając upał i ponownie wycierając twarz i kark chusteczką, Luke przeciął ulicę i wspiał

się po betonowym podjeździe, który prowadził do posesji numer 1224: eleganckiego małego domu z czerwoną dachówką, bocznymi ścianami z białego aluminium i stojącą przed gankiem srebrzyście lśniąca toyotą.

Gospodyni musiała zauważyć, jak nadchodzi, ponieważ otworzyła drzwi, zanim zdążył nacisnąć dzwonek. Pulchna i blada, dobiegała sześćdziesiątki i miała dziwnie męskie rysy twarzy, podkreślone dodatkowo przez brak makijażu i krótko ostrzyżone włosy.

Ubrana była w purpurową bluzkę w poziome pasy i beżowe narciarskie spodnie.

— Pani Terpstra?

— To ja. Chce pan rozmawiać z Emily, prawda?

— Jak się czuje?

— Zimna jak lód.

— Żadnych łez? Żadnego szoku?

— Przecież pan słyszał: zimna jak lód.

— No cóż — powiedział Luke, zdejmując z głowy kapelusz i wycierając potnik. — Biorąc wszystko pod uwagę, trochę to zaskakujące.

Pani Terpstra kiwnęła głową w stronę domu Pearsonów.

— Nic nie zaskoczy mnie w tej rodzinie.

— Tak? Dlaczego pani tak sądzi?

— Ten Terence Pearson miał w sobie zawsze coś z wariata. Zawsze wiedzieliśmy, że stanie się coś złego, po tym, jak się na wszystkich wydzierał. Iris była miłą dziewczyną, niech Bóg ją błogosławi, ale co mogła zrobić, kiedy wyszła za takiego typu. Przychodziła czasami na kawę, kiedy Terence siedział w pracy, ale była zawsze podenerwowana, bo miał zwyczaj dzwonić do niej, żeby sprawdzić, czy siedzi w domu.

— Taki był zazdrosny? Pani Terpstra wydeła wargi.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Stale ją wypytywał, czy ktoś nie złożył jej wizyty.

— Ktoś konkretny czy ktokolwiek?

— Ktoś konkretny, takie można było odnieść wrażenie. Zapytał kiedyś Lelanda... to mój mąż...

„Czy widział pan dzisiaj kogoś w sąsiedztwie?” Leland przycinał akurat trawę przed domem i widział

oczywiście najróżniejszych ludzi, listonosza, sąsiadów i w ogóle. „Kogoś konkretnego?”, zapytał.

„Mężczyznę w bieli, mężczyznę w kolorach i mężczyznę w zieleni”, odparł Terence Pearson.

Luke zmarszczył brwi.

— Powiedział, co to za ludzie?

Pani Terpstra potrząsnęła głową, aż zakołysał się jej podwójny podbródek.

— Miał nie po kolei w głowie, jeśli chce pan wiedzieć.

— Ostatniej nocy... kiedy zamordowana została siostra pani Pearson... czy coś pani słyszała albo widziała? Cokolwiek?

Ponownie potrząsnęła głową.

— Pytał mnie już o to komendant Husband. Kiedy to się stało, nie spałam, bo było bardzo ciepło. Usłyszałam zrywający się wiatr i stukające u sąsiadów drzwi, ale to było wszystko.

W tej samej chwili w progu pojawił się chudy, łysiejący mężczyzna z upstrzoną cętkami twarzą.

Położył pani Terpstra rękę na ramieniu.

— Ja coś widziałem — powiedział.

— Pan Terpstra? — zapytał Luke.

— Jeśli to nie on, ciekawa jestem, co robił tej nocy w moim łóżku — zauważyła inteligentnie pani Terpstra.

— Co pan widział, panie Terpstra? — zapytał Luke. Nie był w nastroju do wyrafinowanych żartów.

— Koło czwartej poszedłem do łazienki... Biorę lekarstwa na alergię skóry i dlatego musiałem tam pójść.

— Wstaje trzy albo cztery razy w ciągu nocy potwierdziła pani Terpstra.

Pan Terpstra zamknął na chwilę oczy, jakby właśnie w ten sposób reagował na wieczne wtrącanie się swojej żony.

— Wracając do łóżka — podjął — spojrzałem przez okno na drugą stronę ulicy. Zobaczyłem liście, które wiatr niósł po podwórku i chodniku.

— No tak, liście — powtórzył niecierpliwie Luke. — Ja też je widziałem.

— Ale nie tylko liście. Widziałem błysk światła w oknie na górze, w domu Pearsonow. Trwał tylko ułamek sekundy. Gdybym mrugnął, w ogóle bym go nie zauważył.

— Jakiego rodzaju błysk? Tak jakby ktoś włączył i wyłączył światło, naprawdę szybko?

— Nie, nie. To było jak odbicie, jak coś błyszczącego. Może lustro, a może metal. — Pokazał

palcami w powietrzu wzór gry w kółko i krzyżyk. — Coś w rodzaju podwójnego krzyża... a może raczej Gwiazdy Dawida.

Luke wyjął notatnik i długopis.

— Mógłby pan to dla mnie narysować? Bardzo by mi pan pomógł.

— Niech pan wejdzie do środka — powiedziała pani Terpstra. Leiand może narysować panu to, co widział, a pan porozmawia tymczasem z Emily.

Dom był niewielki i aż do bólu schludny. Wszędzie widać było porcelanowe figurki: psy, baletnice, sprzedawcy balonów i żałośnie wyglądające sieroty. W jednym z rogów znajdowała się mała rodzinna kapliczka z proporczykiem Cornell College, godłem US Marines i kolorową fotografią młodego człowieka z obciętymi na zapalkę włosami i w okularach z grubymi oprawkami. „David Kirkwood Terpstra 1966—1989 — Semper Fidelis” głosił umieszczony poniżej na złotej wstędze napis.

Emily siedziała w saloniku, oglądając Wojownicze Żółwie Ninja. Miała porządnie wyszczotkowane włosy i ubrana była w czystą koszulkę i szorty. Do rękawa przypiętą miała gałązkę z przypominającymi pióra igłami. Nie odwróciła się, kiedy Luke wszedł do pokoju.

— Zastanówmy się... chciałbym to dobrze uchwycić — powiedział pan Terpstra, wyjmując z kieszonki na piersi okulary i siadając przy stole.

Luke podszedł do Emily i przykucnął obok niej na piętach. Nadal się nie odwracała.

— Emily? — odezwał się w końcu.

— Nic mi nie jest, czuję się dobrze — odparła, z oczyma utkwionymi w ekranie.

— Chcesz porozmawiać o tym, co się wydarzyło?

— Nie ma o czym mówić. Nic nie widziałam. Nic nie słyszałam.

- Powiedziałaś, że twoja mama przyszła na górę do twojego pokoju i kazała ci zostać w łóżku i nigdzie nie wychodzić.

— Zgadza się. I nigdzie nie wychodziłam. Zostałam w łóżku, tak jak mi kazała.

— Nie słyszałaś albo nie widziałaś w domu kogoś oprócz mamy i cioci Mary?

— Spałam. Obudziłam się dopiero, kiedy mama otworzyła drzwi i powiedziała, żebym się nie ruszała.

Luke kiwnął głową i obserwował przez pewien czas podskakujących na dachu magazynu Michelangela i Donatella.

— Co miała na sobie twoja mama, kiedy weszła do sypialni? — zapytał w końcu.

Emily odwróciła się wreszcie i spojrzała mu prosto w oczy. Coś w jej spojrzeniu wyprowadzało go w dziwny sposób z równowagi tak jakby potrafiła dokładnie czytać w jego myślach.

— Nie wierzy mi pan, prawda?

— Chcę tylko dokładnie zrozumieć, co się stało.

— Nie wiem, co się stało. Mama kazała mi zostać w łóżku i to właśnie zrobiłam.

— Kiedy mama weszła do twojego pokoju, była może zdenerwowana albo zapłakana? Czy miała podartą nocną koszulę?

— Tak naprawdę wcale jej nie widziałam, proszę pana. Słyszałam tylko jej głos.

W sposobie, w jaki powiedziała „proszę pana” była dziwna rezerwa, prawie tak, jakby udzielała mu reprimendy. Spoglądała na niego jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się z powrotem do telewizora.

— Co masz przypięte do rękawa? — zapytał Luke, dotykając gałązki na jej koszulce.

— Gałązkę cisa.

— Nie wiedziałem, że w okolicy rosną jakieś cisy.

— To drzewo śmierci — stwierdziła Emily.

— Naprawdę? Kto ci to powiedział?

— Wszyscy wiedzą, że cis to drzewo śmierci. Sadzą je na cmentarzu, a korzenie rozchodzą się na wszystkie strony i każdy z nich wrasta w usta jakiegoś nieboszczyka.

Luke złożył i rozłożył swoją wilgotną od potu chusteczkę.

— To ponury pomysł.

Emily posłała mu szybkie spojrzenie.

— Życie jest ponure.

— Masz jedenaście lat i uważasz, że życie jest ponure?

— Straciłam siostrę i brata.

— A także ciotkę.

— Moja ciotka to zupełnie nie to samo.

W jej oczach tańczyły i migotały odbicia Wojowniczych Żółwi. Z całej postaci emanowała tak wyraźna drwina i obojętność, że Luke wzdrygnął się mimo woli. Nie potrafił zrozumieć tego dziecka.

Myślał, że przysiadając obok niej na piętach i wdając się w luźną pogawędkę, zdoła nawiązać jakiś kontakt, tak jak zawsze udawało mu się to z dziećmi; przecież lubiły wesołych grubasów, a zwłaszcza wesołych grubasów w mundurach. Ale Emily nie dała mu najmniejszej szansy. Kucając obok niej miał

wrażenie, że kuca obok otwartego zamrażalnika.

Poza tym, wydawało mu się, że Emily w gruncie rzeczy głęboko nim pogardza.

— Kochanie — powiedział. — Musimy złapać ludzi, którzy zabili twoją ciotkę. I poranili ciężko twoją mamę.

— Nikogo nie widziałam. Słowo daję.

— Może się nad tym jeszcze zastanowisz? Jeśli zechcesz, możesz do mnie zawsze zadzwonić.

To jest bezpośredni telefon do mojego gabinetu.

— Nikogo nie widziałam. A poza tym każdy musi się czymś odżywiać.

Luke zmierzył ją wzrokiem.

— Co? Co takiego powiedziałaś?

— Nic nie mówiłam.

Luke odczekał bardzo długi moment, ale było oczywiste, że nic więcej z niej nie wyciągnie.

Wyprostował się i odwrócił do państwa Terpstrów. Pani Terpstra posłała mu spojrzenie, które mówiło

„uprzedzałam pana: jest zimna jak lód”.

Pan Terpstra pokazał swój rysunek.

— Proszę bardzo. To jest dokładnie ten kształt, jaki widziałem. Podobny do krótkiego błysku, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. Podobny do odbicia.

Luke wziął do ręki swój notes. Rysunek przypominał bardziej pentagram niż wzór do gry w kółko i krzyżyk.

— W porządku, panie Terpstra, dziękuję. Nie wiem, co to jest, ale może się przydać jako dowód rzeczowy.

Tknięty nagłą myślą obrócił się i pokazał rysunek Emily.

— Spójrz na to, Emily. Ten właśnie świecący kształt zauważył w nocy w oknie twego domu pan Terpstra. Widziałaś kiedykolwiek przedtem coś podobnego?

Emily stężała.

— Niech pan to zabierze — pisnęła cienkim głosem.

— Daj spokój, Emily. Może to pobudzi twoją pamięć.

Głowa Emily obróciła się ku niemu z ostrym chrupnięciem, tak jakby miała złamany kark i kość ocierała się o kość. Oczy wyszły jej z orbit, a skóra twarzy przylgnęła do czaszki. Luke mimo woli odskoczył niezgrabnie do tyłu i upuścił na podłogę notatnik.

— Na litość boską, Emily, co się stało?

Nic nie odpowiedziała, pokazała tylko ręką, żeby podszedł bliżej.

Z początku nie chciał tego zrobić, ale ona skinęła na niego ponownie. Luke posłał pytające spojrzenie gospodyni.

— To tylko dziecko, szeryfie — stwierdziła pani Terpstra. — Ma jedenaście lat.

Luke dał krok do przodu; ale Emily pokazała, żeby podszedł jeszcze bliżej. Wydzielała przedziwną woń. Pachniała świeżą trawą, ale pod tą świeżością czuć było także słodkawy zapach rozkładającej się roślinności.

— Co takiego? — zapytał zdenerwowany.

— Bliżej — szepnęła. — Powiem, jeśli podejdzie pan bliżej. Spojrzał w jej martwe, przenikliwe, wyrachowane oczy. Przyjrzał się ściągniętej na wystających kościach policzkowych błyszczącej skórze. Czuł się jak Ulisses w obecności syren. Miał wrażenie, jakby Śmierć we własnej osobie wodziła wokół jego ucha swym wilgotnym fiołkoworóżowym językiem.

— Co takiego? — powtórzył.

— Moi przyjaciele ponownie przemierzają ziemię — szepnęła. Odchylił się zdezorientowany do

tyłu. Ale ona złapała go za krawat i skręciła go między palcami.

— Moi przyjaciele ponownie przemierzają ziemię i tym lepiej dla ziemi. Przemierza ziemię Świadek, przemierza ziemię Chirurg, przemierza ziemię Zielony Człowiek. A także inni; zbliżają się dożynki. Dożynki już się zaczęły!

— Emily... — powiedział, starając się traktować ją jak małą dziewczynkę. — Emily, to wszystko było okropne... ale musisz się jakoś trzymać. Przez najbliższych kilka godzin zaopiekuje się tobą pani Terpstra, a potem przyjdzie ktoś z urzędu miasta i znajdzie dla ciebie jakieś bezpieczne miejsce.

— Nie rozumie pan, prawda? — szepnęła.

— Czego? — zapytał. Prawie jej nie słyszał.

— Moi przyjaciele ponownie przemierzają ziemię.

Luke wpatrywał się w jej oddalone zaledwie o dziesięć centymetrów oczy. Czego od niego chciała? Co starała się mu powiedzieć? Jej oddech nie był zbyt przyjemny, praktycznie śmierdziało jej z ust. Może nic dzisiaj nie jadła. Może szok odbił się negatywnie na jej systemie trawiennym. Ale dlaczego wydzielala tak mocny zapach gnijącej roślinności i nieświeżej śliny, a także ten słodkawy mdlący odór, który kojarzył mu się wyłącznie z moczem?

Przełknął ślinę.

— Powiedz mi, kim są twoi przyjaciele.

— Powiedziałam już. Świadek, Chirurg i Zielony Człowiek.

— Mówiłaś, że są również inni.

— Tak, inni też.

— Chce pan spojrzeć teraz na ten schemat, szeryfie? — przerwał im Leland. — Myślę, że lepiej uchwyciłem podobieństwo.

Luke podniósł prawą ręką, by pokazać, że słyszy, ale ani na chwilę nie odrywał wzroku od Emily. Ona również wpatrywała mu się prosto w oczy.

— Kim oni są? — powtórzył, chociaż wiedział, że nie należy tak mocno przyciskać młodocianego świadka i że jej odpowiedź i tak nie będzie miała większego sensu. — Mów, Emily, kim są twoi przyjaciele?

Usta Emily rozszerzyły się w leniwym uśmiechu. Miała słodką minkę, ale jej oczy były martwe jak kamienie. Luke czuł pot spływający mu po karku i za kołnierzyk koszuli. O co jej chodzi —

myślał. — Co takiego, do diabła, stara mi się powiedzieć? To jest kompletne szaleństwo; kompletne bzdury.

Emily otwierała usta coraz szerzej i szerzej, tak jakby miała zamiar ugryźć jabłko. Ona ziewa — pomyślał Luke. — Co ona, do diabła, robi, chyba ziewa?

Ale potem najwyraźniej zaczął jej puchnąć język i po chwili wysunął się gruby i purpurowy z jej ust. Ogarnięty przerażeniem i wstrętem Luke zdał sobie sprawę, że to wcale nie język, ale męski penis, błyszczący od śliny, lśniący i nabrzmiały, ze ściągniętym do tyłu napletkiem. Cienka strużka śluzu kapnęła z ujścia cewki i spłynęła jej po brodzie.

Przez ułamek sekundy patrzyli sobie intensywnie w oczy i Luke domyślił się, co próbowała mu dać do zrozumienia. Tacy są moi przyjaciele, mówiła, oto, co potrafią zrobić, i to jest więcej, niż potrafisz zrozumieć, grubasie. Penis wysunął się całkiem sztywny prawie na trzy centymetry z otwartych szeroko ust, a potem wsunął z powrotem, zahaczając lekko krawędzią o górne zęby; Emily przełknęła z wysiłkiem ślinę i było po wszystkim.

Luke odwrócił się przerażony do gospodarzy, ale pani Terpstra przestawiała akurat swoje figurki, a Leland uśmiechał się do niego życzliwie, trzymając w ręku rysunek. Żadne z nich nie zauważyło najwyraźniej tej ohydnej rzeczy, która wysunęła się z ust Emily. Luke ukląkł obok niej i złapał ją za ramiona.

— Otwórz usta! — rozkazał.

— Po co? — zapytała, udając niewiniątko. — Otwórz usta, Emily!

- Nie! — odpowiedziała, wrywając się. - Niech pan mnie puści!

— Otwórz te cholerne usta! — warknął Luke.

Próbował złapać ją za dolną szczękę i otworzyć ją siłą, ale Emily zacisnęła mocno wargi i kręciła głową na boki.

— Co pan chce jej zrobić, szeryfie? — zapytał Leland.

— Wydaje mi się, że coś połknęła — odparł Luke. — Po prostu chcę zobaczyć.

— Nie! — zaprotestowała Emily, próbując go uderzyć. — Niech mnie pan zostawi!

Luke puścił ją i wyprostował się. Emily zmierzyła go nienawistnym i triumfalnym wzrokiem.

Pan Terpstra podszedł do nich i położył jej delikatnie dłoń na ramieniu.

— Powiedz, kochanie: co takiego połknęłaś?

— Nic — odparła. — Niczego nie połknęłam.

— Dobrze, w takim razie nic się nie stanie, jeśli otworzysz usta i pozwolisz szeryfowi Friendowi to sprawdzić.

Emily wahała się przez moment, a potem uśmiechnęła się i wyciągnęła język.

— No widzi pan, musiało się panu zdawać — uśmiechnął się Leland. — Może się po prostu wygłupiała.

Luke przełknął ślinę. Brakowało mu powietrza i lekko drżał, a pot, który spłynął mu za koszulę, nagle się oziębził.

— Jasne — odparł. — Może się po prostu wygłupiała.

— Dobrze się pan czuje, szeryfie? — zapytał Leland. — Trochę pan zbladł.

— Zbladłem — powtórzył Luke. Spojrzał na Emily, na Terpstrów i w końcu na własny zegarek. A potem jeszcze raz popatrzył na Emily, która siedziała grzeczna, spokojna i zimna jak lód, oglądając Wojownicze Żółwie Ninja.

— Szeryfie? — zapytał ponownie Leland Terpstra.

— Nic mi nie jest — zapewnił go Luke. — Nic mi nie jest.

I wtedy właśnie Emily wybuchła złośliwym skrzypiącym śmiechem, podobnym raczej do chichotu staruszki niż jedenastoletniej dziewczynki.

ROZDZIAŁ VI

Kapitan Black opuścił blok operacyjny około trzeciej po południu po wyczerpującej, trwającej dziewięć godzin operacji, w której brało udział trzech różnych chirurgów i składający się z osiemnastu osób zespół neurologów, biochemików, anestezyjologów i asystentów.

Pogrążonego we śnie i okrytego zielonym chirurgicznym prześcieradłem przewieziono na wózku do laboratorium w północno- -wschodnim skrzydle Instytutu Spellmana. Tutaj —

pod trwającym bez przerwy nadzorem — miał obudzić się z narkozy i odzyskać siły po operacji. Na karcie doczepionej do wózka wymalowane było przez szablon nazwisko BLACK, kapitan. Był to oczywiście żart, ale cały personel Instytutu traktował swego najważniejszego pacjenta z głębokim szacunkiem. To zwierzę obdarzone zostało ludzką świadomością i wiedzieli o tym wszyscy.

Wciąż ubrani w zielone chirurgiczne fartuchy i zielone buty Garth i Raoul przeszli do gabinetu Gartha, dali sobie bardzo wysoką „piątkę”, a potem otworzyli butelkę szampana Chandon Brut.

— Zdrowie Kapitana Blacka — powiedział Garth. — Jeśli operacja się uda, zostanie pierwszym kawałkiem schabu, który wie, że jest kawałkiem schabu.

Raoul zrzucił leżącą na fotelu stertę papierów i wygodnie się rozsiadł.

- Nasz Prosiaczek zaleje się łzami.

Garth zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym przez nozdrza.

— Byłeś wspaniały, Raoul. Absolutnie kurewsko wspaniały. Raoul machnął niedbale ręką.

— Po prostu mam smykałkę do mikrochirurgii. To wynika z odziedziczonego genetycznie poczucia rytmu.

— Bzdura. Byłeś wspaniały.

Raoul potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Kurczę, to była operacja, no nie? — Pociągnął łyk szampana. — Zastanawiam się tylko, jak się będzie czuł.

— Co masz na myśli?

— Jak będzie się czuł, kiedy się obudzi i uświadomi sobie, że jest świnia?

Garth wydał wargi.

— Nie mam pojęcia. To zależy, do jakiego stopnia przyjął się przeszczep. Tak czy owak, nie dowiemy się tego, dopóki nie znajdzie jakiegoś sposobu, żeby nam o tym zakomunikować.

— Naprawdę sądzisz, że będzie potrafił to zrobić?

— Jasne — odparł Garth. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowaliśmy, powinien być moim zdaniem potencjalnie zdolny do całkiem zaawansowanego porozumiewania się z otoczeniem.

— Być może potencjalnie — zgodził się Raoul. — Ale czy również technicznie?

Stworzone dotychczas systemy porozumiewania się ze zwierzętami niezbyt mnie zadowolają.

Szympan Remo potrafi wystukać na maszynie „proszę o banana”. Pies potrafi przynieść nam obrazek przedstawiający drzewo. Pierwszy jest głodny, drugi chce wyjść na spacer. To nie jest coś, co mógłbym nazwać zaawansowanym porozumiewaniem się.

— Znam absolwentów college'u, którzy nie są zdolni nawet i do tego — stwierdził

Garth. — Ale to jest rzecz, którą chcę przedyskutować z całym zespołem. Wiem, że opracowaliśmy system kseno-symboliczny i system rozpoznawania słów, ale wydaje mi się, że nadszedł czas, aby popatrzeć na cały problem z innego punktu widzenia. Kapitan Black nie będzie potrafił mówić. Nie ma strun głosowych, które pozwoliłyby mu wyartykułować jakiegokolwiek przypominające ludzką mowę dźwięki. Ale wciąż wierzę, że powinniśmy zastanowić się nad możliwością rozwinięcia jakiejś formy języka.

— Nie wydaje mi się, żeby dyrektorowi zależało specjalnie na tym kierunku badań —

stwierdził Raoul. — Oznajmił mi przed kilku dniami, że niezbyt uśmiecha mu się widok personelu, który będzie porozumiewał się ze sobą za pomocą chrząkania i kwików.

— Dlaczego w takim razie zatrudnił w recepcji Meg? - zapytał Garth.

— Nie bądź złośliwy, to dobra dziewczyna. Poza tym mamy już gadające świny.

— Naprawdę?

Raoul odstawił kieliszek i cisnął Garthowi egzemplarz „Cedar Rapids Gazette” z tego samego dnia.

— Oczywiście, że mamy. Nazywają je senatorami.

Garth otworzył gazetę. Na pierwszej stronie zamieszczona była fotografia senatorów Doreen Zapf i Bryana Cady'ego, podnoszących w triumfalnym geście pięści. „Zapf i Cady wierzą w pomyślny wynik głosowania”, głosił podpis.

Garth przeczytał kilka pierwszych akapitów i rzucił gazetę na podłogę.

— Nie myślisz chyba, że przegłosują tę ustawę?

— Nie wiem — odparł Raoul. — To chyba jedna z tych idei, które opanowują czasem cały kraj. Wiesz, co mam na myśli. Wszyscy chcą być bardziej święci od ciebie.

— Nikt nie musi być bardziej święty ode mnie — powiedział Garth, spoglądając na leżącą gazetę. — Piszą coś o mnie?

— Przedstawili cię jako „specjalistę od wiwisekcji, doktora Gartha Matthews, lat czterdzieści dziewięć”.

— Sukinsyny.

— Wiem. Nie jesteś specjalistą od wiwisekcji, jesteś prowadzącym pionierskie badania patologiem.

— Nie o to chodzi. Mam czterdzieści sześć, a nie czterdzieści dziewięć lat.

— Daj spokój, Garth — powiedział poważnie Raoul. - Jeśli ustawa przejdzie, będziemy dokładnie uziemieni. Nie wspominając o innych konsekwencjach, ty i ja stracimy po prostu robotę.

Garth przez chwilę się nad tym zastanawiał, zaciągając się papierosem i popijając szampana.

— Nie — stwierdził w końcu. — Ta ustawa nie przejdzie, masz na to moje słowo. To po prostu kolejna polityczna moda. Tak jak makrobiotyka albo nouvelle cuisine. Czyżby naprawdę łudzili się, że zdołają zakazać Amerykanom jedzenia mięsa? Południe znowu ogłosi secesję.

— No, nie wiem — powiedział Raoul. — Mam złe przeczucia.

— Jak możesz? Kto gotów jest zrezygnować z hamburgerów, steków, mrożonych kurczaków, bekonu i pieczonych żeberek?

— Mam złe przeczucia, to wszystko.

— Raoul... nawet jeśli to uchwalą, czego nie zrobią, przewidziany jest trzyletni okres przejściowy. Trzeba go uwzględnić, w przeciwnym razie w jaki sposób farmerzy pozbędą się istniejących stad? W jaki sposób rząd zamierza wypłacić im rekompensaty? Jezus...

powinieneś słyszeć, co opowiadał mi wczoraj w telewizji ten facet z departamentu rolnictwa.

W samych kontynentalnych Stanach żyje sto milionów sztuk bydła; nie wspominając o pięćdziesięciu pięciu milionach nie-rogaczyny i dziesięciu milionach owiec. To więcej niż wynosi cała ludność Japonii. To cały naród w narodzie.

- Dlatego właśnie ludzie zaczynają zadawać sobie pytanie, czy moralnie jest je zjadać

— powiedział Raoul. — To mogą być krowy, mogą być świnie, mogą być owce. Ale ludzie zaczynają się im przyglądać i mówić: „Chwileczkę, to, co chcę włożyć do ust, to przecież inna żyjąca istota!”

— Jezus — jęknął Garth. — Zaczynasz mówić tak jak Lily Monarch i cała ta banda świrów. Nie lubisz mrożonych kurczaków?

Raoul przez chwilę się nad tym zastanawiał.

— Nie, prawdę mówiąc, nie lubię. Jedyna w nich smaczna rzecz to skórka, a ja nie znoszę skórki.

Garth rozgniół papieros.

— Poddaję się — powiedział.

— Będziesz musiał — stwierdził Raoul. — Okres przejściowy przewidziany jest tylko dla zwierząt rzeźnych. Eksperymenty na zwierzętach zostaną wstrzymane ze skutkiem natychmiastowym. Podobnie jak handel futrami.

— Pozwól, że coś ci obiecuję — powiedział Garth, po czym przeszedł przez pokój i stuknął się z nim kieliszkiem. — Ustawę Zapf-Cady'ego czeka nagła śmierć. Niech żyje wieprzowa szynka!

— Lepiej, żeby nie słyszał tego Kapitan Black. Może to potraktować jako osobistą zniewagę.

Obaj byli spięci; obaj byli zmęczeni. Rozmowa zesła z powrotem na temat zakończonej przed chwilą operacji. Trwała dziewięć godzin, ale przygotowania do niej zajęły dziewięć lat. Garth nie wiedział, czy czuje się podniecony, oklapły, czy po prostu odrętwiały.

Czuł, jakby znalazł się w szczytowym punkcie swojej kariery. W ciągu tych dziewięciu godzin wszystkie rozmaite inspiracje i talenty, które przekazali mu przez całe życie jego rodzice,

profesorowie i koledzy, skupiły się w jednym ciągłym paśmie totalnej energii, niczym skoncentrowane przez szkło powiększające promienie słońca. To jest moje przeznaczenie — myślał — przeznaczenie, które realizuje się wprost na moich oczach. Po to się właśnie urodziłem.

Do operacji użył precyzyjnie wyselekcjonowanych genów z pionowego wycinka mózgu, którego dostarczył mu Nathan z centrum medycznego Mercy. Wycinek był

mikroskopijnie cienki, cieńszy od bibułki, ale zawierał materiał genetyczny z wszystkich sekcji mózgu. poczynając od płata ciemieniowego aż do bruzdy bocznej.

Zawierał wszystkie cechy osobowości dawcy: jego intelekt, jego imaginację, jego seksualność i jego emocje. Raoul wszczepił fragmenty wycinka we wszystkie ważne obszary mózgu Kapitana Blacka, posługując się techniką, która omijała oryginalne funkcje mózgowe w podobny sposób, w jaki przewody elektryczne omijają zepsutą skrzynkę przyłączową.

Anatomicznie rzecz biorąc, Kapitan Black pozostał knurem, ale psychologicznie był teraz małym chłopcem. Do takich przynajmniej wniosków skłaniały Gartha dziewięćioletnie badania. Pewność powinien zyskać, kiedy Kapitan Black obudzi się po operacji.

Będzie myślał po ludzku; i dlatego właśnie Garth tak bardzo nalegał, aby dawcą mózgu był ktoś młody, zdrowy i wolny od przesądów. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował po obudzeniu się Kapitana Blacka z narkozy, była istota o umyśle psychopaty i rozmiarach małego rodzinnego samochodu.

— Jeśli ci świętoszkowie zostawią nas w spokoju - powiedział Raoul — to będzie dopiero początek. Pomyśl, Garth, czego będziemy mogli dokonać. Będziemy mogli zmieniać ludzkie zachowanie. Leczyć zespół Downa. Leczyć schizofrenię.

Garth uniósł kieliszek.

— Będziemy mogli operować polityków, żeby stali się wrażliwi i mili.

— Operować pedałów i robić z nich heteroseksualistów. Operować heteroseksualistów i robić z nich pedałów.

— Przeszczepy całego mózgu — zasugerował Garth, zbliżając do ust kieliszek.

— Dlaczego nie, mój drogi? — odparł, wydymając wargi Raoul. — Gdybyś pięćdziesiąt lat temu zaproponował przeszczepy nerek, wzięliby cię za wariata. Co jest wariackiego w pomysłach przeszczepów mózgu?

Garth wypił do końca swojego szampana i nagle poszarzał na twarzy.

— Nie wiem. Chyba jestem przemęczony.

— Więc weź prysznic. Prześpij się trochę. Ja rzucę okiem na Kapitana Blacka.

— Nie przejmuj się, pójdę razem z tobą. Czuję się niemal jego tatą. Wciąż żartowali i popijali

szampana, kiedy do gabinetu wpadła

bez pukania Jenny Hennings, pierwsza asystentka Raoula.

— Jenny? — zdziwił się Raoul. — Coś się stało?

— Chodzi o Kapitana — odparła. Była nieduża, ciemna, ładna i podenerwowana. —

Odzyskuje świadomość.

— Tak szybko? — zapyta! Garth. — Myślałem, że będzie spał jeszcze co najmniej przez pięć godzin.

— Nie tylko to. On wyje. On co?

On wyje, Garth. Wyje, jakby całkiem postradał zmysły.

Biegli korytarzem i przy każdym zakręcie dołączali do nich kolejni pracownicy.

Bllaaarrrp, bllaaarrrp, bllaaarrrp, wyła płacząco syrena.

Jeden z anestezjologów wyskoczył z zaczerwienionymi oczyma na korytarz i zderzył się z Garthem.

— Co jest? — zapytał. — Co się stało? Właśnie się obudziłem.

— On odzyskał świadomość! — powiedziała Jenny. — Kapitan Black się obudził!

— Obudził się? Chyba oszalałaś! Po tej dawce metoxyfluranu powinien spać przez cały tydzień!

— Obudził się! — powtórzyła Jenny; i nie musiała mówić nic więcej. Anestezjolog pobiegł za nią i zderzyli się w wahadłowych drzwiach, które prowadziły do północno-wschodniego skrzydła.

Przez cały czas słyszeli wycie knura. Był to najbardziej przerażający odgłos, jaki Garth kiedykolwiek słyszał: udręczone przeciągłe kwiczenie zmieszane z rykami wściekłości i stłumionym gulgotaniem, przypominającym dźwięki, jakie wydobywają się z zatkanego gęstą flegmą gardła.

Kiedy Garth dobiegał do drzwi laboratorium, wypadł zza nich jeden z jego asystentów, pokrwawiony i śmiertelnie blady.

— Peter! Co się tam, do diabła, dzieje? Jesteś ranny?

— Capnął mnie za rękę, to wszystko. Próbowaliśmy go powstrzymać.

— Kiedy się obudził?

— Najwyżej przed dwiema albo trzema minutami. Ale to wystarczyło. Nikogo się nie słucha. Jeśli chce pan znać moje zdanie, kompletnie mu odbiło.

Jakby potwierdzając tę opinię, Kapitan Black wydał z siebie ryk, który sprawił, że stanęli jak sparaliżowani w miejscu.

— Chyba go nie boli? — zapytał Garth.

— Nie ma żadnego powodu. Operacja poszła jak z płatka. Garth odsunął na bok pielęgniarkę i stanął w otwartych drzwiach laboratorium. Wewnątrz między przewracanymi wózkami widać było leżące na podłodze skalpele, szczypce i opatrunki. Z

powyginanych szyn zwisały podarte niebieskie zasłony. Rozbite były trzy monitory Honeywella, a podłoga zasłana jasnymi okruchami szkła. Bllaaarrrp, blaaarrrp, wyła jękliwie syrena i wciąż zapalało się i gasło czerwone światło alarmowe. Dwóch strażników wycofywało się tyłem w stronę drzwi. Jeden z nich trzymał w wyciągniętej ręce pistolet, aie widząc Gartha i Raoula natychmiast schował go do kabury.

— Doktorze Matthews! Jakie szczęście, że pan jeszcze nie wyszedł

— Wszystko jest w porządku, Steve. Nie musisz się o nic martwić. Kapitan robi dużo hałasu i może wydawać się groźny. Ale nigdy nikogo nie skrzywdził i teraz też nie ma tego zamiaru. Daliśmy mu umysł trzyletniego dziecka, to wszystko. Boi się, boli go głowa i prawdopodobnie woła teraz swoją mamę.

Kapitan Black musiał spaść z wózka, na którym leżał po operacji. Zielone prześcieradło ześlizgnęło się na podłogę i owinęło wokół jednej z jego przednich racic. Stał w głębi sali, ogromny, czarny, wydzielając z siebie intensywną zwierzęcą woń, zmieszaną z zapachem anestetyków i zeschniętej krwi. Głowę miał owiniętą bandażami, co najwyraźniej go denerwowało, próbował bowiem je zrzucić albo zedrzeć o ścianę.

W nabiegłych krwią oczach malowała się furia i totalny brak zrozumienia. Cokolwiek udało im się zrobić z jego umysłem, wprawiło go to najwyraźniej w oszołomienie i wściekłość.

— Kapitanie Black! — zawołał Garth. — Daj spokój, Kapitanie, wszystko będzie dobrze.

Kapitan Black odchylił do tyłu głowę, obnażył żółte zęby i wydał z siebie kolejny ryk, od którego włosy stanęły im dęba. Nawet Garth dał krok do tyłu.

— Opuść sobie, Garth, nie ma sensu próbować go uspokajać - powiedział Raoul. —

On potrzebuje środków usypiających, i to szybko. Wygląda, jakby bardzo cierpiał.

Garth odgarnął do tyłu kasztanowate włosy.

— Tak... chyba masz rację. Co możemy mu dać, żeby nie spowodować zbyt wielu efektów ubocznych? — zapytał.

— Postaram się coś przygotować — odparł anestezjolog. — Będziemy musieli mu to zaordynować za pomocą strzałki. Nie ma mowy, żebym mógł zrobić mu normalny zastrzyk.

Ale i tak trzeba to zrobić z bliskiej odległości...

— W porządku... postaraj się pośpieszyć.

Kapitan Black na chwilę się uspokoił. Stał wpatrując się w Gartha i unosząc w oddechu potężne boki. Z owłosionej dolnej wargi kapała mu ślina. Garth wyczuwał, że dokonała się w nim zmiana; i że nie spowodował jej jedynie odczuwany ból. Spojrzenie Kapitana Blacka nigdy przedtem nie było takie skupione. Nigdy przedtem nie wpatrywał się w Gartha z taką intensywnością. Był oczywiście nadal otępiały po narkozie, lecz mimo to uważnie obserwował otaczający go świat i zdaniem Gartha wszystko wskazywało na to, że myśli.

— Chyba nam się udało — powiedział bardzo cicho Raoul.

— Trochę za wcześnie, żeby coś powiedzieć — odparł Garth. — Spójrz na jego minę.

Jestem pewien, że nam się udało.

- Czekają nas nagrody Nobla?

- Całkiem możliwe, człowieku. Bardzo możliwe.

- To przerażające odezwała się Jenny. Wciąż próbuję sobie wyobrazić, co dzieje się w jego głowie.

- Prawdopodobnie potwornie go boli - powiedział Garth.

- To musi być niczym... no nie wiem... powtórne narodziny. Albo odzyskanie przytomności po wypadku.

Kapitan Black zaczął wściekle szurać przednimi racicami po podłodze.

Zabandażowany, wyglądał groteskowo, niemal śmiesznie, zupełnie tak jakby mała dziewczynka spróbowała założyć mu na głowę hinduski turban. Ale Garth zdawał sobie sprawę z jego siły i uporu; wiedział, że nie są wcale śmieszne i mogą doprowadzić do szkód, którym nie zdołają zapobiec wszyscy razem wzięci strażnicy zatrudnieni przez Instytut Spellmana.

Methoxyflurane, którego użyto do uspiania go przed operacją, powodował, że wciąż kręciło mu się w głowie i niepewnie trzymał się na nogach. Zatoczył się nagle na bok, ugięły się pod nim tylne nogi i przysiadł na podłodze — ale nawet siedząc sprawiał groźne, imponujące wrażenie: cuchnąca czarna góra porośniętego czarną szczeciną mięsa, zdolna zgnieść na śmierć człowieka albo przegryźć siedmiocentymetrową stalową rurkę. Wszyscy tłoczyli się w progu, pozostawiając Kapitanowi do dyspozycji całe laboratorium i nie było żadnych wątpliwości, że gdyby tylko dał dwa albo trzy kroki do przodu, korytarz natychmiast by się opróżnił.

— Cholera. Musiał dostać za mało antystetyków — powiedział Raoul. — Mówiłem ci, żebyśmy dali mu halothane.

— Nie. Nie mogłem ryzykować uszkodzenia wątroby — odparł Garth.

— Stracimy więcej niż wątrobę, jeśli nie zdołamy go teraz opanować.

Kapitan Black zatoczył dookoła głową, tak jakby bardzo go bolała, a potem ruszył nagle chwiejnym krokiem w stronę drzwi, zderzając się po drodze z wózkiem i rozrzucając po całym laboratorium stojące na nim próbki i instrumenty. Jenny Hennings złapała Gartha za ramię i zacisnęła kurczowo palce; Garth posłał krótkie spojrzenie Raoulowi, a ten zrobił minę, która mówiła: „Nareszcie uświadomiła sobie, że jest zbudowana z ciała i kości”.

Pojawił się z powrotem zaczerwieniony i zdyszany anestezjolog. W rękę trzymał jeden z opatrzonych długą lufą miotaczy, używanych do usypiania zwierząt, które wpadły w szal albo wydostały się z zagród.

— No dobra, załadowałem dosyć methohexitonu, żeby zatrzymać w ruchu mercedesa benza. Uśpię go na wystarczająco długo, żebyśmy mogli ułożyć go z powrotem na wózku i zamknąć w bezpiecznym miejscu.

Kapitan Black stał teraz pośrodku laboratorium; skąpany w pa dających z tyłu przez okno promieniach popołudniowego słońca; wyglądał jak jakiś prehistoryczny i pogański stwór jakby jego sierść stanęła w ogniu. W podeszłych purpurą oczach tliło się oszołomienie i ból. Kiedy anestezjolog wszedł ostrożnie do laboratorium, trzymając przed sobą podniesiony miotacz, Kapitan Black wydał niski głuchy ryk, który nagle przeszedł w straszliwe przenikliwe kwiczenie.

Anestezjolog dał kolejny krok do przodu; a potem następny. Skóra Kapitana Blacka była grubsza od skóry, z której wyrabia się walizki, i jeśli chciał ją przebić, musiał strzelić z odległości mniejszej niż piętnaście centymetrów.

Dał trzeci krok, a potem czwarty. Kapitan Black obrócił ku niemu powoli obandażowaną głowę. Z ryja zwisała mu prawie półmetrowa nitka śliny. Z odgłosem, który przypominał zgrzyt drapiącego talerz noża, zaczął szurać racicami po podłodze.

— Uważaj, Jack! — zawołał Garth do anestezjologa. — On jest naprawdę poirytowany, znam język jego ciała. Zrób to po prostu zaraz i będziemy mieli z głowy.

Anestezjolog skradał się coraz bliżej, aż lufa miotacza dotknęła prawie unoszącego się w głębokim oddechu boku Kapitana. Chociaż Garth stał daleko przy drzwiach, a w laboratorium unosił się silny zapach środków antyseptycznych, czuł intensywnie ostry samczy odór Kapitana. To był knur, drażniony i prowokowany przez ludzi. To był największy knur w Ameryce. Ale także coś więcej niż knur; zwierzę które znało swoje ograniczenia i swoją siłę.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Kapitan Black stał, ryjąc w miejscu racicami —

niepokojąco cichy i niepokojąco spokojny. Anestezjolog przycisnął lufę miotacza do jego umięśnionego prawego barku, który rzeźnik określiłby zapewne mianem bostońskiej łopatki.

— Szybciej, Jack — zawołał Raoul. — Nie pieść się tak, strzelaj! Anestezjolog przycisnął lufę jeszcze mocniej do barku Kapitana.

Ale kiedy to zrobił, knur odwrócił się niczym spieniona czarna rzeka włosów i złapał go szczękami za prawe przedramię. Rozległo się chrupnięcie przypominające odgłos tłuczonych wewnątrz płóciennego worka kieliszków do wina. Anestezjolog odrzucił do tyłu głowę, otworzył usta i głośno wrzasnął. Próbował wyrwać rękę z pyska Kapitana, ale knur zacisnął

szczęki z siłą, która wystarczyłaby do podniesienia ciężarówki.

— Zaczekaj, Jack! Zaczekaj! - zawołał Raoul. Skoczył do środka laboratorium, podniósł z podłogi jedną z wywróconych półek i walnął nią raz, drugi i trzeci w grzbiet Kapitana.

— Nie w głowę, Raoul! - krzyczał Garth. - Tylko nie w głowę!

— Na litość boską, on go zabija! - odkrzyknął Raoul.

Oparł ramię o bark Kapitana i wsadził mu palce między zęby, głęboko w ślinę i pulsującą krew, próbując rozewrzeć szczęki. Ale knur potrząsnął ze złością głową, z jego gardła wydobył się głęboki pomruk i Raoul musiał go puścić.

Jeden ze stojących za Garthem strażników wyjął z kabury pistolet.

— Odsuńcie się — krzyknął. — Pozwólcie mi do niego strzelić!

— Nie! — odparł Garth. — Nie położysz go za pierwszym strzałem, pogorszysz tylko sytuację.

— Ale jeśli trafię go w głowę...

— Nie! To rozkaz!

Raoul ponownie podniósł półkę i wsadził jej koniec w ryj knura. Drzazgi laminatu wbiły się Kapitanowi w wargi i dziąsła. Ryknął ze złości, ale ani na moment nie rozchylił

zaciśniętych na ręce ofiary zębów. Anestezjolog przestał krzyczeć i zupełnie oklapł. Jego jasnobrązowa zwykle twarz przybrała kolor wyblakłego na słońcu papieru. Nie stał nawet na własnych nogach: w wyprostowanej pozycji utrzymywał go wyłącznie trzymający w ryju jego fatalnie zmiażdżoną rękę Kapitan Black. Krew tryskała w wachlarzowatych strugach z jednej strony laboratorium na drugą i Garth podniósł rękę, żeby nie zachlapała mu twarzy.

— Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście! — polecił strażnikowi.

— Co? — zapytał tamten osłupiały.

— Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście!

— Raoul! Raoul! Na litość boską, bądź ostrożny — zawołała przerażonym głosem Jenny.

Stopy anestezjologa zataczały krwawe kręgi po podłodze, stukając podszwami o wykładzinę niczym

wyrzucane z kubka kości. Nie wykorzystany miotacz upadł na podłogę i przesunął się dalej. Raoul uderzył Kapitana Blacka jeszcze dwa razy półką, a potem odrzucił

ją na bok i kopnął go w bark.

Garth powinien był o tym pamiętać. Kiedy był chłopcem, zaatakowała go świnia i ojciec poradził, żeby kopnąć ją w bark. To był najlepszy sposób, żeby ją powstrzymać.

Można było oczywiście wylądować w szpitalu ze złamaną nogą, ale zatrzymywało to ją w środku szarży.

Kapitan Black również się zatrzymał i agresywnie potrząsnął obandażowaną głową. A potem otworzył powoli szczęki i puścił rękę anestezjologa, którego palce przesunęły się w groteskowej pieszczocie po jego długim, wilgotnym, purpurowym języku. Anestezjolog upadł

na plecy i wstrząsany konwulsjami zaczął uderzać piętami wyglansowanych butów o winylową wykładzinę w lekko synkopowanym rytmie agonii.

Raoul cofnął się, ale Kapitan Black obracał się już w jego stronę.

- Kapitanie Black! - zawołał Garth. - Uspokój się, Kapitanie! Dostyc tego!

Kapitan Black mógł go słuchać przedtem, kiedy był tylko zwierzęciem, ale teraz kompletnie go zignorował. Utykając i zataczając się ruszył truchtem w stronę Raoula, który schował się za sprzętem monitorującym, żeby umknąć przed szarżą knura.

Garth zawahał się. Anestezjolog był poważnie ranny. W gruncie rzeczy prawdopodobnie konał. Wokół jego ręki stale poszerzała się połyskująca kałuża jasnej krwi, a drgawki stawały się coraz gwałtowniejsze.

— Mamo — jęknął cicho i wypuścił z ust krwawą bańkę.

Garth dał dwa albo trzy kroki do środka laboratorium, mając zamiar przeciągnąć anestezjologa w bezpieczne miejsce. Zdażył przyklęknąć i chwycić go za klapy, kiedy Kapitan Black nagle się odwrócił. Czarny i kosmaty ruszył na chwiejnych nogach w stronę lekarza i uderzył go z całej siły w ramię. Garth przeleciał kilka metrów w powietrzu, rąbnął

plecami o framugę drzwi i legł na boku, oszołomiony i odrętwiały. Czuł się tak, jakby potracił

go samochód. Kapitan Black przez chwilę go obserwował, stojąc nieruchomo w miejscu i posyłając mu spojrzenie, które mówiło: „Nie wtrącaj się”, a potem odwrócił się z powrotem w stronę Raoula, co pozwoliło Jenny Hennings i strażnikowi pomóc Garthowi podnieść się na nogi.

— Odwróć jego uwagę, dobrze? — zawołał Raoul. — Odwróć jego uwagę. Wtedy będziecie mogli wyciągnąć Jacka!

— Raoul... miotacz! — zawołała Jenny.

Raoul okrążył szafę ze sprzętem monitorującym. Ani na chwilę nie spuszczał z oczu Kapitana Blacka, który zataczając się lekko podążał jego śladem.

— Raoul... miotacz! Leży pod stołem! Raoul błyskawicznie się pochylił.

— Nie widzę go!

— Z twojej lewej strony, tak, trochę dalej! Raoul pochylił się ponownie.

— Znakomicie, widzę go!

Anestezjolog jęknął, wypuścił z ust kilka następnych krwawych baniek i otworzył oczy.

— Golgota! — jęknął. — Widzę Golgotę!

Garth posłał niespokojne spojrzenie Jenny; w oddali słychać było syreny policji i karettek pogotowia. Modlił się, żeby pomoc nie przybyła za późno.

— W porządku! — zawołał Raoul. — Może byś tak wskoczył do środka, człowieku, i zaczął klaskać w dłonie i wrzeszczeć, a ja wtedy wślizgnę się pod stół, złapię miotacz i strzelę do niego z bliskiej odległości?

— Dobrze, jasne — odparł Garth, chociaż pocił się i drżał ze zdenerwowania.

— Kiedy doliczę do trzech, wskoczysz do laboratorium i zaczniesz klaskać i wrzeszczeć, dobrze?

— Aha, dobrze... Kiedy doliczysz do trzech.

Kapitan Black pochylił ryj i zaczął popychać przed sobą szafę ze sprzętem, który miał

kontrolować jego powrót do przytomności. Z głośnym hukiem przewrócił się monitor oddechu, a potem elektrokardiograf i toksykometr.

— Kapitanie Black! — zawołał Garth. — Kapitanie Black! Natychmiast przestań!

Stójże w miejscu i przestań niszczyć sprzęt!

Kapitan Black zareagował kręcąc wściekle głową i skrzeczając niczym dziewięć diabelskich chórów, wszystkie jednocześnie. Jego oddech cuchnął krwią i anestetykami.

— Nie podoba mi się to — stwierdził strażnik. — Jak mamy sobie poradzić z taką bestią?

— Użyjemy naszych głów, oto, jak sobie poradzimy — odparł Garth. — Jeśli zdołam odwrócić jego uwagę na wystarczająco długi okres i Raoul zdąży podnieść miotacz, wtedy jesteśmy w domu.

— Pójdę przygotować następną dawkę — zaproponowała Jenny.

— Jesteś genetykiem. Co wiesz o methohexitonie?

— Mniej więcej tyle samo co o męskiej próżności.

— W takim razie nie przygotowuj następnej dawki. Raoul poradzi sobie sam.

Raoul skradał się tyłem wzdłuż ściany laboratorium, wyciągnąwszy za siebie rękę, by móc wyczuwać opuszkami palców listwę klimatyzatora. Ani na chwilę nie spuszczał z oczu Kapitana Blacka i ani razu nie mrugnął. Widział w jego pysku coś, czego nie dostrzegł Garth, coś, co go przerażało — pierwsze rudymenty ludzkiej świadomości. Raoul widział, czym była udziałem. Nie ścigał go niewinny trzyletni chłopiec. To był ktoś, kto potrafił napawać się strachem ofiary, kto wiedział, jak z nią igrzać. To był ktoś o mrocznym, wyrafinowanym umyśle.

— Wskoczę teraz do środka, dobrze? — zawołał Garth. — Kiedy doliczę do trzech.

Stał skulony w drzwiach tak długo, jak mógł; w końcu, gdy nabrał całkowitej pewności, że Kapitan Black nie patrzy w jego stronę, wbiegł, głośno tupiąc, do laboratorium.

— Hooohooooohoooo! — wrzasnął. — Jestem tutaj, Kapitanie, spróbuj mnie złapać!

Chodź, Kapitanie Black, jeśli masz ochotę na ludzkie mięso, nie musisz daleko szukać!

Nie mógł się bardziej wygłupić. Kapitan Black nie obejrzał się nawet w jego stronę.

Zamiast tego odwrócił się niezgrabnie w stronę Raoula, który dał nurka pod stół, sięgając po miotacz. Stół przewrócił się z ogłuszającym hukiem, ale Raoul zdążył się obrócić i złapać lewą ręką rękojęść miotacza. Upuścił go i ponownie złapał — ale w tym samym momencie Kapitan wbił w jego brzuch prawą przednią racicę.

Raoul nawet nie krzyknął. Nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku. Kapitan Black przygwoździł go do podłogi ciężarem ponad jednej trzeciej tony, skoncentrowanym na płaszczyźnie mniejszej i ostrzejszej od ogrodniczego rydla. Racja przebiła skórę, mięśnie i warstwę podskórnego tłuszczu. Przedziurawiła także żołądek, z którego wylała się gęsta, ciepła, podobna do owsianki kwaśna zawartość. Raoul podniósł oczy i zobaczył

pochyłającego się nad nim Kapitana Blacka. Owionął go cuchnący, gorący jak z pieca oddech, a na policzkach poczuł strugi gęstej śliny. Spróbował krzyknąć, ale nie wiedział, jak to zrobić. Nie potrafił złapać tchu; nie czuł nic oprócz bólu, szoku i kompletnej niemocy. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że racica Kapitana Blacka zmiażdżyła jego rdzeń kręgowy.

Knur opuścił pysk i zasłonił Raoulowi widok. Genetyk nie wiedział z początku, co się dzieje, i przez moment wydawało mu się, że jest uratowany, że to był tylko koszmar i najgorsze ma już za sobą. Zamknął oczy i odmówił modlitwę, której nauczyła go matka, kiedy był bardzo mały.

— Cher Jesu, la nuit est si profonde, aidez-moi...

Ale potem Kapitan Black dał dwa albo trzy kroki do tyłu. Raoul podniósł wzrok i dojrzał Gartha, Jenny i strażnika.

— Raoul! — krzyknął Garth. — Raoul! Strzelaj do niego! Raoul przekręcił szyję i zobaczył, że wciąż trzyma w dłoni miotacz z methohexitonem, ale w tej samej chwili Kapitan Black pochylił pysk i złapał go szczękami za udo. Raoul nie mógł tego poczuć, ale wyraźnie usłyszał. Chrupiący odgłos pękających kości i ostry trzask rozdzieranej skóry.

Kapitan potrząsnął gwałtownie głową, odrywając kolejne mięśnie. A potem wsunął zęby głębiej między nogi Raoula, wgryzając się w bok miednicy i wbijając swoje ponad dziesięciocentymetrowe trójkątnie siekacze w jego prawy pośladek. Raoul krzyknął przeraźliwie i próbował się odczołgać, ale był sparaliżowany od pasa w dół, a szczęki Kapitana Blacka zacisnęły się na jego miednicy z siłą hydraulicznego imadła.

Do laboratorium wbiegł strażnik, ściskając w dłoni trzydziestkę ósemkę. Odsunął nogą jedno z przewróconych krzesel, przeskoczył leżący na podłodze stół i wycelował pistolet prosto w obandażowany łeb Kapitana Blacka.

— Nie! Nie! Nie rób mu krzywdy! — zawołał Raoul. Strażnik nie bardzo go zrozumiał, ale nie oddał strzału.

— Nie rób mu krzywdy — powtórzył Raoul trochę cichszym głosem. — Nie rób mu krzywdy, na litość boską, nie rób mu krzywdy. To jest dzieło mojego życia.

Kapitan Black zawarczał, chrząknął i wściekle szarpnął z boku na bok głową.

— O Boże — jęknął Raoul; a potem knur podniósł do góry głowę i potrząsnął pyskiem, z którego zwisały zakrwawione strzepy rozerwanego krocza. Raoul spojrzał mu prosto w oczy i zobaczył, że są czarne i błyszczące — niczym żałobna biżuteria, niczym wypolerowany blok czarnego granitu.

Podniósł w górę miotacz i przez krótki moment celował z niego prosto w Kapitana Blacka. Ale potem przełożył go do prawej ręki, przytknął lufę do własnej brody i zanim strażnik zdążył go powstrzymać, nacisnął spust. Rozległ się ostry pneumatyczny trzask; strzałka przebiła jego dolną szczękę, język oraz podniebienie i utkwiała w mózgu. Nawet gdyby nie zawierała potężnej dawki methohexitonu, zabiłaby go w ciągu sekundy. Raoul przekręcił głowę na bok, upuścił miotacz i wbił martwy wzrok w podłogę.

— Wracaj tutaj! — zawołał Garth do strażnika. — Nie strzelaj! Zamkniemy go na jakiś czas i zobaczymy, czy nie uda nam się go uspokoić!

Strażnikowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Potykając się o meble, wycofał się tak szybko, jak potrafił, na korytarz. Kapitan Black nie starał się go wcale ścigać; pozostał tam, gdzie był, przeżuwać powoli ciało jednego ze swoich twórców. Jego przypominający wilkołaka pysk nie był już dłużej pozbawiony wyrazu. Garth mógł przysiąc, że maluje się na nim pogarda; pogarda i drwina.

Być może świnie były z natury pogardliwe i drwiące; nie mogły tego tylko wcześniej okazać.

Bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że Kapitan Black odziedziczył te uczucia po swoim dawcy.

Ale czy takie właśnie uczucia cechują trzyletniego chłopca? Czy trzyletni chłopiec żywiłby tak silną nienawiść do innych ludzi?

Garth zamknął roztrzęsiony drzwi laboratorium i przekręcił klucz. Przez chwilę przyglądał się przez pancerną szybę ciemnemu nieruchomemu cielsku Kapitana Blacka. Niżej widział wykręconą pod nienaturalnym kątem stopę Raoula.

Jenny łkała cicho, przyciskając dłoń do ust. Strażnik objął ją ramieniem.

— I co teraz zrobimy, doktorze? — zapytał głosem, w którym brzmiała nutka niesubordynacji. — Trzeba było mi pozwolić go zastrzelić, kiedy miałem szansę.

— Kapitan Black stanowi wynik trwających dziewięć lat wysoce zaawansowanych badań genetycznych i kosztował więcej milionów dolarów, niż zdołałbyś policzyć przez całe życie — odparł Garth. Chciał, żeby to zabrzmiało ostro, ale jego wydobywający się ze ściśniętego gardła głos był dziwnie piskliwy. - A poza tym jest wszystkim, czemu poświęcił

swoje życie doktor Lacouture.

Strażnik nawet nie mrugnął.

— Wybacz pan, doktorze, ale Kapitan Black jest również wściekłą świnia, która zabiła właśnie jednego człowieka i odgryzła rękę drugiemu. Powinienem zastrzelić go na miejscu.

— Zrobił pan wszystko, co pan mógł. Nie musi się pan martwić.

— Trudno się nie martwić, doktorze Matthews, kiedy ludzi pożera zwierzak, którego powinni zjeść na obiad.

Usłyszeli syreny zatrzymujących się przed budynkiem karet. Garth wziął Jenny za rękę.

— Chodź, nie mamy tutaj nic więcej do roboty — powiedział. Niech pan trzyma wartę przy drzwiach — zwrócił się do strażnika. I pilnuje, żeby Kapitan Black nie próbował się wydostać.

Strażnik schował pistolet do kabury i skrzyżował ręce na piersi. Nie odezwał się ani słowem, ale wystarczyło spojrzeć na jego minę, żeby zgadnąć, co o tym wszystkim myśli.

William Olsen siedział w jasnej, wyłożonej włoskimi kaflami oranżerii swego domu w Georgetown w Waszyngtonie, karmiąc oswojonego kruka małymi kawałkami pokrojonego kurczaka. Kruk był duży i błyszczący, a jego czarne upierzenie przypominało dziewiętnastowieczny żałobny kapelusz. Przymocowany do nogi ptaka łańcuszek przykuty był do chromowanego drążka w kształcie litery T, który znajdował się wystarczająco blisko wiklinowego fotela Williama Olsena, aby umożliwić mu

karmienie kruka zdrową ręką.

Bryan Cady siedział odwrócony do niego bokiem. Widok ptaszyska, które dziobało i przełykało kawałki włóknistej kurczęcej skóry, obrażał jego dobry smak, a poza tym wolał nie przyglądać się Williamowi Olsenowi, kiedy na jego twarzy malował się wyraz rozkoszy.

Lwią, przystojną niegdyś twarz wykrzywiał wtedy niezwykły grymas, a z ust wysuwał się język.

Bryan ubrany był jak zwykle w szarości, czernie i śnieżycie białą koszulę. William Olsen miał na sobie brązowy szlafrok z wyszytymi złotem na kieszonce na piersi splecionymi inicjałami, a na szyi żółty krawat, który zawiązała mu Nina.

— Zadzwoił do mnie dzisiaj rano Goldberg - powiedział Bryan. — Zdecydowanie przechyla się na naszą stronę.

— Myślałem, że zajdzie — odparł William swoim gardłowym, stłumionym głosem.

Kiedy mówił, sprawiał zawsze wrażenie, jakby próbował jednocześnie lizać loda. — Jest zmienny jak chorągiewka na dachu.

— Jeśli lobby mięsne nie zmieni w ostatniej chwili zdania, mamy chyba szansę większe niż kiedykolwiek — stwierdził Bryan. — Cały kraj jest wprowadzony w odpowiedni nastrój. Wszyscy przekonani są o konieczności dietetycznych wyrzeczeń.

— I jak długo twoim zdaniem wytrzymają, zanim zaczną im brakować big maca?

— Jeśli ustawa zostanie wycofana za rok, nie będzie to dla nas miało żadnego znaczenia. I tak zgarniemy wszystko, co mieliśmy zgarnąć.

William Olsen cisnął kolejny kawałek kurczaka swemu krukowi, a ten złapał go w powietrzu.

— Widzisz? — powiedział zadowolony. — Prawdziwy drapieżca. Nie waha się nawet przez chwilę: bierze to, co chce, nawet się nad tym nie zastanawiając. To ta sama cecha, którą podziwiam w tobie, Bryan. Ty i Pallas należycie do tego samego rodzaju.

Bryan lekko się skrzywił. Sława i oklaski sprawiały mu przyjemność, ale nigdy nie lubił

kierowanych doń bezpośrednio komplementów: wprawiały go w zakłopotanie.

— Zrobiliśmy, co w naszej mocy — powiedział. — Wszystko jest gotowe: pozostaje tylko czekać na głosowanie.

— Które prawdopodobnie wygramy — zapewnił go William.

— Nie wiem... nie podoba mi się właśnie to „prawdopodobnie”. Za dużo od niego zależy. Cała reszta poszła tak dobrze, że jeśli przegramy, będę się chyba musiał zastrzelić.

— Wygramy — powtórzył z naciskiem William.

— lepiej, żeby tak było, skoro wykupiliśmy sześćdziesiąt procent udziałów w Continental Soybeans i pięćdziesiąt trzy procent Farmland.

— Skończ z tą paranoją — upomniął go William. — Wygramy. Bryan wyjął cygaro, przytknął je do nosa i przez chwilę wdychał w nozdrza jego aromat. Był dzisiaj rozdrażniony.

Wierzył, że Izba Reprezentantów będzie głosować za ustawą Zapf-Cady'ego: istniała tam silna większość młodych, prawomyślnych demokratów, ludzi, którzy pragnęli koniecznie dowieść, jak bardzo są radykalni, nowocześni i wrażliwi. Wierzył też, że wyższa izba będzie również głosować za. Ale jednak wynik wciąż wahał się na włosku i niektórzy senatorowie nie chcieli się zadeklarować, zanim nie zorientują się, z której strony wieje polityczny wiatr.

To właśnie Lily Monarch podsunęła mu pomysł ustawy. Zaczepiła go przed dwoma laty podczas partyjnego festynu na University of Iowa i nie owijając w bawełnę zapytała, co myśli o cierpieniach, jakie ludzie zadają zwierzętom. Gdyby to był ktoś inny, przykleiłby do ust swój senatorski uśmiech i uraczył go normalną gadką o gospodarczej konieczności, bezbolesnym uboju i o tym, że trzeba żyć i pozwolić żyć innym. Ale to nie był ktoś inny: to była Lily Monarch, długonoga, ze zmierzwionymi włosami i pełnymi piersiami, elektrycznie naładowana młodością, pięknem i przejrzystołą niewinnością krzyżowców.

Pod koniec tygodnia Bryan zaprosił ją na kolację do Hemingway's i siedział tam przez trzy godziny, ani razu jej nie przerywając, podczas gdy Lily rozprawiała o świecie, w którym zwierzęta będą traktowane jak pełnoprawne istoty. Nie była oschłą, nastawioną negatywnie wegetarianką, z rodzaju tych, co powtarzają: „nigdy nie jem niczego, co ma twarz” albo:

„nigdy nie jem niczego, co ma matkę”. Szczerze wierzyła, że dzielimy tę planetę ze zwierzętami; i że zwierzęta dzielą ją z nami; że krowa nie jest rzeczą, która ma być wyhodowana, zabita i zjedzona, lecz po prostu przedstawicielką innej rasy.

— Jeśli zabijamy i zjadamy inne zamieszkujące Ziemię istoty, jesteśmy winni kanibalizmu. Nie można na to inaczej spojrzeć.

Bryan słuchał i próbował zachować spokój i dystans. Miał ochotę przespać się z nią już pierwszego wieczoru, ale potem, stojąc przed lustrem w męskiej toalecie powiedział sobie kategorycznie: „Wstrzymaj się, Bryan, wstrzymaj się na moment”. Chciał najpierw zdobyć jej zaufanie, chciał poznać lepiej jej przekonania. Czuł, że ta dziewczyna uosabia zmianę, która dokonuje się w amerykańskim myśleniu: być może powolną, powolną niemal jak ruch lodowca, ale bardzo, bardzo głęboką.

Trzy dni później zadzwonił do senator Doreen Zapf, znanej z hałaśliwych wystąpień na rzecz praw zwierząt, i zapytał, czy nie jest zainteresowana wspólnym złożeniem projektu ustawy kładącej kres „wszelkiej hodowli i ubojowi zwierząt, których celem byłaby ludzka konsumpcja”. Prasa nadała sprawie wielki rozgłos. Lily Monarch zadzwoniła do Bryana w środku nocy, w stanie ekstazy. Narodziła się ustawa Zapf-Cady'ego.

Ale Bryan nie był ani idealistą, ani wegetarianinem, ani głupcem. Dojrzał w ustawie nie tylko sposobność przystrojenia się w szaty świętego, ale również szansę zdobycia olbrzymich zysków i olbrzymiej władzy. Zanim z projektem zaznajomiono opinię publiczną, założył

własny holding i nabył większościowy pakiet akcji w Continental Soybeans, potężnej, ale podupadającej spółce, która kontrolowała znaczną część produkcji i przetwórstwa soi w stanach Kansas, Iowa i Missouri.

Kiedy projekt został ogłoszony i ceny mięsa gwałtownie spadły, Bryan nabył duży pakiet w Farmland Industries, Inc. z Kansas City, największej spółdzielni rolniczej w kraju.

Farmland podjął ostatnio próbę zdominowania przemysłu mięsnego Iowy — angażując się we wszystkie procesy produkcji, poczynając od hodowli aż po przetwórstwo i opakowania.

Gdyby ustawa Zapf-Cady'ego została ratyfikowana, wartość udziałów Bryana w Continental Soybeans wzrosłaby o miliony dolarów: produkcja protein z soi skoczyłaby z dnia na dzień w górę, żeby sprostać potrzebom, których nie będzie już można zaspokoić produktami mięsnymi. Zaczęliby wytwarzać sojowe kotlety, sojburgery, nawet sojowe piersi z kurczaka. A kiedy ustawa zostanie w końcu uchylona (czego wcześniej czy później należało się spodziewać), Bryan będzie miał znaczące udziały w podnoszącym się szybko z recesji przemyśle mięsnym.

Wierzył także, że w okresie między ratyfikowaniem i uchynieniem ustawy istnieć będzie stały popyt na czarnorynkowe mięso (które lubił określać jako „samogonny bekon”). Za odpowiednio wysoką cenę gotów był zaspokoić również i te potrzeby.

Zakupy akcji Continental Soybeans i Farmland Industries sfinansował William Olsen, ale Bryan liczył na to, że sam również zyska bardzo dużo na ustawie i że już niedługo będzie mógł powiedzieć Williamowi, czym może wypchać swojego kruka.

Tak, będzie miał to wszystko, a także Lily Monarch. Traktowała go niemal jak boga.

Twierdziła, że jest jedynym uczciwym i oddanym sprawie politykiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. I nie musiała się nigdy dowiedzieć, że jest inaczej.

William Olsen skończył karmić kruka i wytarł ręce w wilgotny ręcznik.

— Czy zostaniesz dzisiaj na noc, Bryan? — zagadnął, starając się, żeby jego pytanie zabrzmiało jak najbardziej naturalnie.

— Nie wiem. Nie wydaje mi się. Muszę wcześniej wstać jutro rano.

— Pytała mnie o to Nina.

— Nie wiem. O siódmej rano mam samolot do Kansas City. O ósmej czeka mnie śniadanie z Dudleyem Cambridgem.

William zabębnił palcami po poręczy wiklinowego fotela.

— Nina byłaby wdzięczna, gdybyś został. Mówi, że stajesz się ostatnio coraz bardziej oschły.

Bryan spojrzał przez ramię na Williama.

— Oschły? Nie... raczej zajęty.

— Zawarliśmy umowę, Bryan. Wiesz o tym. Nie została być może wryta w kamieniu, ale jest przypieczętowana krwią. Wiesz również - podjął po krótkiej chwili z absolutnym chłodem — że gdybym odzyskał zdrowie... dzisiaj, w tej chwili... natychmiast bym cię zabił.

Nie zastanawiałbym się nawet chwili.

Bryan wstał i podszedł do wiklinowego fotela. Kruk Pallas wyprostował się niezgrabnie na drążku, chrobocząc pazurami po chromowanym pręcie. Bryan wyciągnął dłoń i pogładził

Williama po szorstkich, siwiejących włosach, tak delikatnie jakby miał do czynienia z kobietą.

— Nie rób tego! — powiedział William.

Ale Bryan gładził go dalej, a na jego twarzy pojawił się ewangeliczny uśmiech.

— Nie rób tego, do jasnej cholery!

— Wkrótce zostanę najprawdopodobniej prezydentem, Williamie — powiedział Bryan

— i będę to zawdzięczał wyłącznie tobie. Zarządzę wszystko, co będziesz chciał zarządzić.

Załatwię każdego sukinsyna, którego będziesz chciał załatwić. Dam własne biuro, sekretarkę, limuzynę i pół miliona rocznie każdemu gnojcowi, który kiedykolwiek oddał ci przysługę. I od czasu do czasu będę dawał orgazmy twojej żonie. Jestem ci to winien, Williamie. Wiem o tym i otrzymasz ode mnie więcej, niż były warte twoje pieniądze. Ale jutro o ósmej rano muszę zjeść śniadanie z Dudleyem Cambridgem w Kansas City. To spotkanie jest ważne i nie mam ochoty pieprzyć się dziś w nocy z twoją żoną. Czy wyraziłem się jasno?

William przełknął głośno ślinę.

— Po prostu przestań mnie gładzić po włosach, dobrze? Nina uważa, że ją zaniedbujesz. A kiedy czuje się zaniedbywana, zaczyna się złościć. Zaczyna wyładowywać się na mnie.

Bryan nie odpowiedział, ale przestał gładzić go po włosach.

— Obraża mnie — powiedział William. Ponownie przełknął ślinę i próbował oblizać opadającą wargę. — Poniża mnie. Mówi, że nie jestem już mężczyzną. — Wziął głęboki oddech, a potem dodał: — Czasami mnie bije.

— Przykro mi — powiedział Bryan. — Nic o tym nie wiedziałem.

— To nie jest rzecz, do której normalnie przyznaje się mężczyzna...

— Nie... chyba nie.

— Znam wielu pełnosprawnych mężczyzn, których biją ich żony. Pamiętasz Jacka Waltersa? Jego żona uderzyła go w twarz rondlem, kiedy spał. Niezły dowcip, nie? Kiedy wrócił do biura, powiedział, że złamał sobie nos podczas jazdy na nartach. Ale gdy mi o tym opowiadał, płakał. — Wziął kolejny głęboki oddech. — Ja też czasami płaczę.

Drzwi oranżerii otworzyły się i do środka weszła, stukając obcasami po podłodze pulchna, mniej więcej czterdziestoletnia blondynka. Ubrana była bardzo elegancko w trochę staroświeckim stylu Środkowego Zachodu, niczym Doris Day albo Grace Kelly, w jasno-granatowy zakiet od Chanel ze złotymi guzikami i złotą broszką w kształcie gałązki oraz spódniczkę w odcieniu piaskowego beżu, która mogłaby być o centymetr dłuższa. Była również trochę za bardzo opalona.

Odsunęła na bok jedno z wiklinowych krzeseł, tak że jego nogi zaskrzypiały po podłodze. Należała do kobiet, które nie potrafią robić niczego bez hałasu.

— Bryan — powiedziała, biorąc go w ramiona i całując głośno w usta. — Mamy dzisiaj na kolację rybę fugu... twoje ulubione danie.

Nawet gdyby nie serwowała soczystego mięsa pochodzącego z kręgosłupa prawie niemożliwej do zdobycia w tych czasach ryby fugu, Bryan czuł, że powinien zostać.

Przywłaszczył sobie wszystko, co William był mu w stanie zaoferować: jego żonę, jego pieniądze, jego karierę. Musiał się czymś zrewanżować.

Spojrzał na Williama i spróbował się uśmiechnąć.

— Dziękuję, Nino... skrzysz się jak diament.

— Używasz takich słów... — powiedziała, kładąc mu ręce na ramionach i przyciągając zaborczo blisko do siebie.

William odwrócił wzrok, a kruk Pallas nastroszył swoje oleiście czarne pióra.

— Skrzyć się to znaczy błyszczeć — powiedział Bryan. Nina zachichotała i pocałowała go.

— Założę się, że powtarzasz to wszystkim dziewczynom.

Zastępca szeryfa Norman Gorman jechał na wschód Pięćdziesiątą Pierwszą Ulicą, słuchając płynącej z głośników piosenki „Annie, You're Not My Daddy” i wykonując z jej towarzyszeniem coś w rodzaju tańca brzucha, połączonego ze strzelaniem z palców. Tego popołudnia, podczas przesłuchania osób, które widziały Terence'a Pearsona i jego dzieci na kilka godzin przed morderstwem, udało mu się poderwać jędrną latynoską dziewczuchę, która widziała ich kombi, podążające na zachód Siódmą Aleją.

Uzyskane od niej informacje nie miały żadnego praktycznego znaczenia, nie przeszkodziło to jednak Normanowi zaproponować dalszego ciągu przesłuchania przy kolacji.

— Naturalnie. Wszystko, żeby pomóc stróżom ładu i porządku odparła dziewczyna, trzepocząc rzęsami.

Norman lubił takie panienki. Bezużyteczne w roli świadków, nie zadawały jednak żadnych pytań i nie próbowały go okłamywać. Pragnęły tylko mężczyzny w wyprasowanym elegancko mundurze: mężczyzny, który powiesi kaburę na oparciu krzesła w sypialni, tak żeby mogły zerknąć na jego naoliwiony i naładowany pistolet, kiedy będzie je pracowicie rznął.

Norman nie był na służbie; wracał właśnie metalicznie niebieskim Wuckiem grand national do swego mieszkania przy Czterdziestej Drugiej. Był zmęczony i spocony, ale wiedział, że gorący, a potem długi zimny prysznic powinien postawić go na nogi. Umówił się z jędrną Latynoską o siódmej w Huckleberry's, żeby mocją nakarmić, napoić koktajlami, a potem zawieźć do siebie na noc, którą miały im wypełnić afro-kubańskie płyty, kolejne koktajle i widok wiszącej na oparciu krzesła kabury. Nazywała się Vella. La Bella Vella.

Normalnie nie bywał tak zmęczony, ale Wszechmocny Luke Friend uparł się, że zapędzi całe biuro do rozwikłania sprawy zabójstwa siostry Iris Pearson, Mary — chociaż wedle opinii Normana równie dobrze mogła się z tym uporać policja z Cedar Rapids. Na żądanie Luke'a Norman przesłuchiwał zawzięcie przez wiele godzin potencjalnych świadków, zadając im przedziwne pytania w rodzaju: „Czy hoduje pan albo kiedykolwiek hodował

któryś z gatunków europejskiego wawrzynu?” albo: „Czy słyszał pan kiedyś słowo

«maszkarnicy»?”, bądź też (najbardziej zwariowane ze wszystkich): „Czy ma pan awersję do koloru zielonego, a jeśli tak, to dlaczego?”

Generalnie odpowiadano mu „Co proszę?”, względnie: „A co to pana obchodzi?”

Normana wcale to nie dziwiło. Ale kim był, żeby się kłócić? Skoro Wszechmocny Luke Friend kazał mu chodzić po ludziach i zadawać pytania, chodził i zadawał pytania.

Norman podkręcił wąsa. Zastanawiał się, czy przed wyjściem na randkę nie powinien go lekko podstrzyc. Nic tak bardzo nie podnieca dziewczyn jak elegancko przystrzyżony błyszczący wąsik. Norman nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Patrząc na taki wąsik dziewczyny potrafią myśleć tylko o jednym: jak zamiata on z boku na bok ich wzgórek łonowy niczym zasłany liśćmi chodnik. — Oh, Annie... — zaśpiewał — I'm not your daddy...

Mijał właśnie Econofoods East, kiedy z salonu Chevroleta Pata McGratha wyjechała, piszcząc oponami i podskakując na resorach, duża czarna furgonetka. Zawróciła przed supermarketem i pognęła z dużą szybkością na zachód, zostawiając za sobą obłok niebieskiego dymu.

— Jezus — mruknął Norman.

To nie była zwyczajna furgonetka, ale wykonany na specjalne zamówienie sześciokołowy

podrasowany egzemplarz, z obniżonym zawieszeniem i turboładowaniem.

Miała zaciemnione wszystkie szyby i oblepioną gęstym błotem karoserię. Błoto i żdźbła trawy zwisały z boków niczym frędzle żałobnego szala.

Przeklinając pod nosem, Norman obrócił wyprostowaną płasko dłonią koło kierownicy i zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni. W buicku zastukały wiekowe amortyzatory, a Norman podniósł kołyszącą się pod tablicą rozdzielczą słuchawkę radiotelefonu.

— Biuro szeryfa, tu zastępca Gorman — powiedział. - Ścigam czarną furgonetkę marki Chevrolet, powtarzam: czarną furgonetkę marki Chevrolet, jadącą na zachód Pięćdziesiątą Pierwszą Ulicą.

— Tu czternastka, słyszę cię dobrze, zastępco — usłyszał przez trzaski głos dziewczyny. — Masz jego numer rejestracyjny?

Norman spojrzał przed siebie na podskakującą na wybojach furgonetkę. Miała z tyłu lustrzane szyby, była czarna i brudna, i na tym koniec.

— Nie ma tablic.

— Słyszę cię dobrze, zastępco Gorman... Jak daleko jesteś na zachód?

— Zbliżam się do Center Point Road. Widzę czerwone światła.

— Jaka jest twoja przybliżona prędkość?

— Sto kilometrów na godzinę, nie wiem. Sto dziesięć! Jezus... on przejechał przez czerwone światła. Jezus... o mało nie potracił tej przyczepy! Jezus... może dacie mi jakieś wsparcie?

— Posiłki są w drodze, zastępco Gorman.

Czarna furgonetka pędziła Pięćdziesiątą Pierwszą Ulicą, przekraczając sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Norman wcisnął do dechy pozbawiony gumowej nakładki pedał gazu i buick zrobił, co mógł, żeby się rozpędzić. Przed dziesięciu laty był to sportowy, niemal wyczynowy model, ale ponad sto tysięcy kilometrów przebiegu i brak regularnych przeglądów pozbawiły go dynamiki. Zagrzechotała dziko rura wydechowa, z tyłu wydobył się obłok dymu i na tym się skończyło. Czarna furgonetka zaczęła się oddalać, ignorując wszelkie znaki i sygnalizację świetlną, ignorując klaksony innych samochodów i przeskakując z pasma na pasmo, niczym jakiś szalony karawan, który za wszelką cenę uparł

się, żeby zdążyć na czas do krematorium.

— Ty sukinsynu — mruknął pod nosem Norman, kiedy oba pojazdy skręciły z piskiem opon na południe w Center Point Road. — Tak łatwo mi nie uciekniesz.

Wrzucił dwójkę i wcisnął gaz do dechy; buick niechętnie i bez przekonania skoczył do przodu, ale potem zwolnił i zaczął wyć na wysokich obrotach. Norman wrzucił na chwilę jedynkę, tak że silnik

zaryczał i zagrzechotał, a potem przesunął z powrotem dźwignię na

„drive” i próbował ścigać furgonetkę, posługując się raczej głową i umiejętnościami niż pedałem gazu.

Czarny chevrolet prowadzony był z absolutnym spokojem: tak jakby kierowcy wcale nie zależało, czy przeżyje, czy zginie. Norman wiedział z doświadczenia, że z takimi ludźmi nie sposób ścigać się na drodze. Kilka razy dał już w takich przypadkach za wygraną, wiedział bowiem dokładnie, co się stanie, jeśli tego nie zrobi. Oglądał już zbyt wiele przewróconych do góry kołami samochodów, zmiażdżonych zwłok i plam krwi, czarnej niczym fotograficzny wywoływacz.

Oddalali się teraz od śródmieścia, mając po lewej stronie migoczącą szosę numer trzysta osiemdziesiąt. Minęli Texas, Hollywood, Arizona i Richmond Avenue. Niebo było całkiem jasne tego popołudnia, jasne niczym roztopione szkło, z lekkim odcieniem fioletu, który przypominał, że trwają właśnie żniwa, że wkrótce nadejdzie Dzień Pracy, a potem jesień i zima.

- Czas umierania — pomyślał Norman, zjeżdżając na lewo, żeby wyprzedzić starego, wolno jadącego cadillaca. Jego kierowca, szpakowaty czarny mężczyzna posłał mu przez ramię ponure spojrzenie; w soczewkach jego okularów odbijało się bezchmurne niebo.

Norman próbował się do niego uśmiechnąć, ale był za bardzo spięty.

Kiedy spojrzał ponownie przed siebie, czarna furgonetka zniknęła.

Natężył wzrok. To nie mieściło się w głowie. Nie było żadnych skrętów w prawo aż do Trzydziestej Drugiej Ulicy, a furgonetka musiałaby pędzić grubo ponad sto pięćdziesiąt, żeby dojechać tam w ciągu tak krótkiego czasu. Po obu stronach drogi znajdowało się co prawda mnóstwo sklepów, stacji benzynowych i restauracji, ale Norman był przekonany, że dostrzegłby, jak furgonetka zwalnia i skręca; odwrócił wzrok tylko na ułamek sekundy, żeby się uśmiechnąć.

Zwolnił i jadąc noga za nogą prawym pasmem, zaczął sprawdzać parkingi i boczne alejki. Przejechał ponad kilometr, ale furgonetka zapadła się jak pod ziemię.

— Tu zastępca Gorman — powiedział, podnosząc interkom. — Odwołaj posiłki.

Zgubiłem go.

Miał już zamiar zawrócić i pojechać z powrotem do domu, kiedy wydało mu się, że spostrzegł tył furgonetki za Hot Turkey Family Restaurant. Wdepnął ostro hamulec — ku irytacji starszej pani, która siedziała mu na zderzaku przez ostatnie trzy przecznice — i cofnął

się kilkanaście metrów. Miał rację: furgonetka stała zaparkowana na pustym parkingu z tyłu restauracji, obok pojemników na śmiecie i skrzynek po coca-coli.

Ta sama furgonetka, nie było co do tego cienia wątpliwości. Zaciemnione szyby, brak tablicy rejestracyjnej.

Norman przez chwilę ją obserwował. Wysoko nad nimi kręcił się powoli zamocowany na piętnastometrowym maszcie wielki, pomalowany na brązowo pieczony indyk. Zastanawiał

się, czy nie poprosić ponownie o posiłki, ale w końcu odrzucił tę myśl. Kierowca furgonetki nie miał w końcu na sumieniu nic poza przekroczeniem przepisów o ruchu drogowym. Czekał

prawie minutę, aż skończyła się kasetka z Kid Creole i z głośników dochodził już tylko cichy syk rozbiegówki, a potem wysiadł z samochodu, zamknął drzwi na klucz i minął róg restauracji. Słyszał dobiegający z kuchni brzęk talerzy i głos, który śpiewał „It's Now or Never”. Zbliżył się ostrożnie do furgonetki. Jej silnik był zgaszony, okna szczelnie zamknięte.

Miała tak mocno zaciemnione szyby, że widział w nich tylko odbicie swojej własnej sylwetki, w pogniecionej bawełnianej kurtce i różowej kwiecistej koszuli. Okrążył samochód, a potem zbliżył się do maski i położył dłoń na kracie chłodnicy, żeby upewnić się, że jest ciepła.

Podszedł do drzwi kierowcy, wyjął swoją odznakę szeryfa, przytknął ją do szyby i zastukał kłykciami w karoserię.

— Proszę wyjść z samochodu! Policja.

Nie było żadnej odpowiedzi. Z kuchni nadal dochodził brzęk talerzy i nadal śpiewał

baryton. Norman ponownie zastukał.

— Jeśli tam ktoś jest, proszę natychmiast wyjść! — zawołał. Nadal żadnej odpowiedzi.

Norman przygryzł wargę. Mógł stąd odejść, złożyć raport do wydziału ruchu i zapomnieć o całej sprawie. Jeśli będzie tu dłużej marudzić, spóźni się w końcu na randkę z piękną Vellą, a pięknej Velli może się to wcale nie spodobać. Miała czekoladowe oczy i piersi niczym przednie zderzaki sedana de ville, rocznik pięćdziesiąty dziewiąty.

Zastukał po raz ostatni, używając tym razem kółka do kluczy z doczepioną mosiężną trupa główką.

— Hej, tam w środku! To ostatnie ostrzeżenie! Jestem z biura szeryfa. Wychodźcie z samochodu i pokażcie się.

Minęła cała minuta. Za jego plecami pędziły jadące szosą numer trzysta osiemdziesiąt samochody; grała muzyka; na granicznym z parkingiem podwórku śmiały się dzieci.

Norman obserwował kręcącego się na słupie pieczonego indyka i ustalił, że pełen obrót zajmuje mu dwadzieścia dwie sekundy.

Podniósł lewą rękę i spróbował otworzyć drzwi. Klamka była zimna, tak zimna, że chromowaną powierzchnię pokrywała matowa mgiełka. Norman prawie z ulgą stwierdził, że samochód jest zamknięty. Furgonetka była pusta, prawda? Kierowca musiał ją zaparkować i porzucić. Może ją w ogóle ukradł. Powinien pojechać do salonu Pata McGratha i sprawdzić, czy nie zgłoszono tam kradzieży.

Zaczął się już oddalać, kiedy ze środka dobiegł go jakiś szeleszczący, przypominający drapanie odgłos. Zawahał się. Mógł wrócić do swego buicka i udać, że nic nie słyszał. Z

jakiegoś powodu, którego nie potrafił jasno wyrazić, ta furgonetka wywoływała w nim wybitnie niekorzystne wibracje — „uliczne vodu”, jak nazywał to jeden z jego czarnych kolegów, żegnając się krzyżem.

To była jedna z tych sytuacji, których naprawdę się obawiał: nie działo się tutaj bowiem nic oczywistego, nic, co dałoby się zaszufładować — jeśli w ogóle coś się działo. Z

doświadczenia wiedział, że właśnie te nieoczywiste sytuacje okazywały się najbardziej niebezpieczne, a nawet fatalne. Uśmiechnięty dziadek, który wyciąga nagle na ciebie pistolet.

Dzieciak, który uderza otwartą dłonią w twoją otwartą dłoń w geście przyjaźni i wbija między zębra zaostrzony śrubokręt sekundę po tym, jak odwróciłeś się do niego plecami.

Ale szelest rozległ się ponownie, a potem zaskrzypiały resory furgonetki i Norman mógłby przysiąc, że zakołysała się z boku na bok. Ktoś w niej siedział, nie było co do tego cienia wątpliwości. Co Norman miał w tej sytuacji robić, stanowiło zupełnie inną kwestię.

Wrócił, stanął na palcach przy tylnej szybie i zajrzał do środka. Z początku nie widział

kompletnie nic poza odbijającym się w ciemnej szybie niebem. Ale potem przyłożył do oczu dłoń i przytknął do szyby nos.

Zobaczył ciemne, fioletowe sylwetki, jedną z prawej, drugą z lewej strony, pochylające się ku sobie, a potem rozdzielające. Zobaczył kolejną sylwetkę, ciemniejszą i jeszcze bardziej zgarbioną, a potem falujący kształt, podobny do krzaka.

Dał krok do tyłu, a potem jeszcze jeden, czując, jak wali mu wściekle serce i zaciska się ze strachu żołądek. Co się tam, do diabła, działo? Sięgnął pod wiatrówkę i rozpiął kaburę. Nie był jednak pewien, czy powinien wyciągać pistolet. Nie był nawet pewien, czy powinien dalej prowadzić to dochodzenie. To naprawdę jakaś dziwna sprawa.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do swego samochodu. Nie miał zamiaru niczego robić przed nadejściem posiłków. Kimkolwiek byli ci, którzy szurali nogami w tej furgonetce —

handlarzami narkotyków, członkami mafii bądź też Odłamu Dawidowców — obawiał się, że znacznie przewyższają go siłą ognia.

Mijając kuchnię usłyszał, że otwierają się jedne z drzwi furgonetki. Obrócił się na pięcie, o mało się nie wywracając i z wyciągniętą w obu dłoniach bronią skoczył za skrzynki z coca-colą.

Przy tylnym zderzaku furgonetki stał wpatrując się w niego i trzymając ręce w kieszeniach wysoki blady mężczyzna w białym płaszczu. Nic nie mówił i w ogóle się nie poruszał. Stał z wydętymi lekko ustami i oczyma ciemnymi niczym oparzenia po papierosie.

Zmierchało już, ale płaszcz mężczyzny był tak oślepiająco biały, że bolały od niego oczy. Norman wsadził lewą dłoń pod wiatrówkę i wyciągnął swoją odznakę.

— Jestem zastępcą szeryfa! — zawołał. - Niech pan się odsunie od tej furgonetki i położy ręce na głowie!

Mężczyzna pozostał tam, gdzie był, i nie wyjął rąk z kieszeni Norman wyszedł zza skrzynek i podszedł trochę bliżej.

— Niech pan się odsunie od tej furgonetki!

Mężczyzna ani się nie odezwał, ani nie poruszył. Z tego, co mógł wywnioskować Norman, w ogóle się go nie bał. To był koszmar, jaki może się przyśnić każdemu policjantowi: przestępca, który nie boi się ani trochę wycelowanego w siebie pistoletu. Rzecz, która zdarzała się coraz częściej z szaleńcami, psychopatami i innego rodzaju malkontentami.

Ale ten facet nie wyglądał na świra, nie sprawiał również wrażenia, by „powierzono go opiece miejscowej społeczności”. Sprawiał wrażenie złośliwego, wyrachowanego, inteligentnego drania, który nie bał się po prostu wycelowanego weń pistoletu.

Norman podszedł bliżej. Mężczyzna obserwował go z miną, która graniczyła z pogardą.

Miał dziwną owalną twarz, szare, zaczesane do tyłu włosy i przezroczystą, lekko dziobatą cerę. Twarz przypominającą powierzchnię księżyca.

— Czy pan jest właścicielem tego pojazdu? — zapytał Norman. Mężczyzna odpowiedział ledwie dostrzegalnym wzruszeniem ramion i nawet nie mrugnął.

— Mówi pan po angielsku? Rozumie pan, co mówię? Mężczyzna kiwnął głową.

— W takim razie dobrze. Czy jest pan właścicielem tego pojazdu? Comprendo? Czy...

ta furgonetka... należy... do pana?

Mężczyzna złożył dłonie, a potem wykonał nimi dziwny gest, uderzając kantem jednej w kant drugiej.

— Nie wiem, co pan próbuje mi powiedzieć — stwierdził Norman. Mężczyzna powtórzył gest, uderzając kantem jednej dłoni w kant drugiej, a potem odwrotnie.

— No dobrze — rzucił niecierpliwie Norman. — Mam tego powyżej dziurek w nosie.

Wzywam posiłki, rozumie mnie pan? Wzywam jeszcze jeden wóz patrolowy. Wóz patrolowy przewiezie pana do komendy, rozumie pan, co mówię? Sprawdzą pańskie dokumenty, sprawdzą pański pojazd i ustalą, co pan tutaj robi i dlaczego jeździ pan jak wariat. W

porządku?

Miał zamiar ruszyć w stronę swego samochodu, kiedy mężczyzna wydał nagle z siebie dziwny stłumiony okrzyk.

— Co pan powiedział?

— Eerrrh! Eerrrh! — nalegał mężczyzna. — Eerh! Eerh! — wykrzykiwał, wskazując niemal w panice tył samochodu.

— O co chodzi? — zapytał Norman. - Nie potrafi pan mówić, tak? Jest pan niemy?

Dlaczego nie powiedział pan tego wcześniej?

Przeszedł kilka dzielących go od furgonetki kroków i otworzył tylne lewe drzwi.

To, co zobaczył w środku, przeraziło go tak bardzo, że nagle się wypróżnił, puszczając gorącą gęstą strugę w spodnie. Nie zdołał nawet krzyknąć... nie był w stanie.

Z furgonetki wyskoczył ktoś, kto był jednocześnie mężczyzną i żywymi gałęziami i liśćmi. Miał ciemne, zapadłe głęboko oczy i oplecioną wijącymi się korzeniami twarz, a w miejscu rąk ruchome pnącza i pędy. Smagnął Normana najpierw z lewej, a potem z prawej strony po twarzy, zdzierając kolcami i cierniami skórę z jego policzków i odrywając kawałek ciała z boku nosa. Norman zatoczył się do tyłu, potknął i upadł, uderzając głową o beton.

Mężczyzna pochylił się nad nim i smagnął go po raz trzeci, czwarty i piąty, rwąc na strzępy twarz i nie dając najmniejszej szansy ucieczki.

Ostatnie dwa smgnięcia trafiły Normana w oczy. Poczuł, jak przecinają jego powieki, najpierw prawą, potem lewą. Otworzył oczy, próbował otworzyć oczy, ale wszystko spowiała ciemność. Był ślepy. Wyprężył się na betonie. Jego twarz ogarnął płomień. Bolała go tak bardzo, że bał się nawet jej dotknąć. Usłyszał ostry szelest i odgłos kroków, a potem zgrzyt przesuwającego się metalu i głośnie trzaśnięcie.

— Eerrrh! Eerrrh! — zacharczał mężczyzna w białym płaszczu. Zawarczał silnik furgonetki. Norman leżał na plecach i śnił o lepszych czasach. Każdy czas był lepszy od tego, z jego potwornym bólem. Czuł, jak pokaleczone policzki owiewa mu popołudniowy wietrzyk, czuł krew zasychającą wokół kołnierzyka koszuli. Zastanawiał się, co powiedziałyby Vella, gdyby go teraz zobaczyła. Nie mogła go oczywiście zobaczyć i nigdy nie zobaczy.

Przygotowywała się teraz prawdopodobnie do randki w Huckleberry's, malując twarz, wiercąc tyłkiem i robiąc z siebie absolutne bóstwo.

Podczas gdy on leżał ślepy i zakrwawiony na parkingu przy Hot Turkey Family Restaurant, czekając na pomoc, która nigdy nie nadejdzie.

Furgonetka cofnęła się. Czuł dym z rury wydechowej, która znalazła, się zaledwie kilkanaście centymetrów nad jego głową. Sukinsyny — pomyślał. — Zabiję was za to. Nie potrafili czytać w jego myślach... a może jednak potrafili. Furgonetka cofnęła się aż do jego nóg i poczuł, jak tylne

opony przycięły materiał jego dżinsów.

— Zjeżdżajcie z moich nóg! — wrzasnął. Albo wydawało mu się tylko, że wrzasnął, tak pokaleczone były jego usta.

Ale furgonetka cofała się dalej, cofała nieskończenie wolno, najeżdżając tylnym kołem na jego lewą nogę, dokładnie nad kolanem, łamiąc kość udową i miażdżąc mięśnie. Został

kiedyś postrzelony w ramię (choć to był tylko kaliber dwadzieścia dwa) i pchnięty nożem.

Ale nigdy w życiu nie doświadczył takiego bólu. Ten ból był czarny, szkarłatny i ochrypły od krzyku. Żeby go nie czuć, chętnie by zaraz umarł, tu na miejscu. Ale ból trwał, trwał i trwał, podczas gdy furgonetka centymetr po centymetrze zjechała z jego lewej nogi i najechała na prawą. Zapomniał o tym, że jest ślepy. Zapomniał o swojej twarzy. Wbił paznokcie w beton i zawył tak głośno, że, o mało nie pękły mu bębniaki.

Usłyszał głosy i krzyki. Zawodzenie syren. Furgonetka zawarczała i ruszyła ostro do przodu, zakręcając na jego zmiażdżonych udach.

Spaliła się guma, spalił dżins, spaliły mięśnie i spaliły końcówki nerwów.

— Boże w niebiosach, ratuj mnie — zaskrzeczał Norman.

Nie słyszał, jak furgonetka wyjeżdża z piskiem opon na ulicę. Nie słyszał zbliżających się wozów patrolowych. Leżał na betonie, nie myśląc o niczym z wyjątkiem tego, że jest już prawdopodobnie po wszystkim, że pali go twarz i zapada się cały świat.

— Mamo — szepnął, nie pamiętając o tym, że jego matka zmarła na raka przed siedmiu laty. — Och, mamo, proszę, pomóż mi.

Mama nie przyszła mu z pomocą, ale po długiej, bardzo długiej chwili zrobił to Luke Friend, który przebiegł przez parking w tych swoich wielkich buciorach na gumowych podeszwach i ukląkł tuż przy jego głowie.

— Norman? Norman? Jezus, Norman, to ja, Luke.

Norman spadał w otchłań. Zniknęło popołudnie, zupełnie tak jak zniknęła furgonetka.

Luke nie wstał z klęczek, kiedy nadbiegli sanitariusze, grzechocząc błyszczącymi, chromowanymi noszami.

— Kurwa mać! — powiedział jeden z nich nosowym głosem. — Co mu się stało?

Luke przełknął ślinę i wzruszył ramionami. Nie był w stanie nic powiedzieć.

Sanitariusze otworzyli swoje torby i rozwinęli szeleszczące płachty ochronnego plastiku.

— Jak on się nazywa? — zapytał jeden z nich.

— Norman — odpowiedział Luke. — Jest jednym z nas.

— Norman... czy mnie słyszysz, Norman? — zawołał bez większego przekonania drugi sanitariusz.

— On jest jednym z nas, na litość boską! — krzyknął na niego Luke. — On jest jednym z nas!

Pierwszy sanitariusz wyciągnął rękę i dotknął nią jego przedramienia. Wokół nich gromadził się tłum i ze wszystkich stron słychać było wycie syren.

— Zaopiekujemy się nim, dobrze? Obiecuję panu.

Luke kiwnął głową i wzruszył ramionami.

— W porządku — wykrztusił chrapliwym głosem.

Ale klęcząc tam w zapadającym zmroku, zauważył sunące po betonie dwa albo trzy suche liście wawrzynu, które zaczepiły się w końcu o siatkę, odgradzącą parking od sąsiedniego podwórka.

Powoli wstał, podszedł do siatki, wziął jeden z nich, rozgniół w dłoni i powąchał. To był liść wawrzynu, nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Był teraz pewien, że szuka kogoś, kto jest naprawdę dziwny i naprawdę przerażający.

Szuka kogoś, kto jest o wiele bardziej bezwzględny niż handlarz narkotyków albo przywódca gangu; i o wiele bardziej okrutny. Szuka sprawcy, którego motyw działania cechuje specyficzny sens, nie mający jednak nic wspólnego z normalnym przestępstwem.

Szukał kogoś, kto patroszył kobiety, oślepił mężczyzn i zostawiał za sobą liście wawrzynu.

Terence Pearson dostarczył mu przecież wystarczających wskazówek. Szukał Zielonego Wędrowca. I Leos Ponican. Szukał Zielonego Janka.

Ale to miały być przecież tylko ludowe baśnie, mity o maszkarnikach; o ludziach, którzy zachowują wieczne milczenie. Trzydziestosiedmioletni szeryf Luke Friend nie powinien w to wszystko wierzyć. Wewnątrz trzydziestosiedmioletniego szeryfa Luke'a Frienda wciąż tkwił jednak siedmioletni chłopak z Marion, którego obudził pewnej sierpniowej nocy płacz dziecka. Piskliwy, przeraźliwie żaloszny płacz. Otworzył oczy i zobaczył chłopca w brudnej szarej nocnej koszuli, który stał odwrócony twarzą do ściany w kącie jego sypialni i płakał. Usiadł w łóżku, trzęsąc się ze strachu. — Kim jesteś? — szepnął.

— Dlaczego płaczesz? Chłopiec odwrócił się i przez chwilę zabłysły w przezroczyściej twarzy jego czarne jak u krewetki oczy. A potem rozpląnął się w powietrzu i zniknął, tak jakby nigdy nie istniał. Luke podbiegł do ściany, po czym wystraszony i zdumiony dokładnie ją obmacał.

Ściana była chłodna, tapeta lekko wilgotna. I na tym koniec. Chłopiec zniknął.

Przeszło dwanaście lat później Luke odkrył w archiwum biura szeryfa, że pijący na umór mechanik samochodowy o nazwisku Jack Breen więził w tym samym pokoju przez ponad miesiąc swego pasierba Jamie, karmiąc go wyłącznie stearyną, spodeczkami deszczowej wody i kocimi ekskrementami. Chłopiec umarł tam; ale Luke widział go — Luke widział go i uwierzył. I teraz również, po wszystkich tych latach użerania się z włamywaczami, domowymi tyranami i pijanymi kierowcami, wciąż wierzył, że istnieją ludzie, zupełnie niepodobni do reszty z nas, może nie duchy, może nawet nie zombie, ale ludzie, których nie obowiązują normalne zasady człowieczej egzystencji, ludzie, którzy żyją setki lat, olbrzymy i karły, istoty, które potrafią przechodzić przez ściany albo wlatywać i wylatywać przez okna.

To było czyste szaleństwo; czysty irracjonalizm. Ale Luke widział Jamiego Breena tamtej sierpniowej nocy, widział go naprawdę. Nie wiedział, czy czyni go to lepszym, czy gorszym szeryfem; ale miał wrażenie, że dzisiaj szykuje się coś podobnego, coś naprawdę dziwnego, i wiedział, że musi być na to przygotowany.

Sanitariusze minęli go, tocząc na wózku Normana. Jeden z nich miał przeciwsłoneczne okulary ze zwierciadlanymi szklami i elegancko przystrzyżony wąsik.

— Zabieramy go do Mercy, szeryfie. Może go pan tam odwiedzić — powiedział.

— Zaopiekujcie się nim — poprosił Luke. Gardło miał wyschnięte na wiór.

— Może pan być tego pewien — odparł sanitariusz.

Zbliżył się do nich komendant John Husband. Miał na sobie luźną kremową sportową kurtkę i jasnoniebieskie golfowe spodnie.

— Co się stało? — zapytał. — Słyszałem przez radiotelefon, że Norman jest ranny.

Luke spojrział w prawo, a potem w lewo.

— Został oślepiony — zdołał powiedzieć. Przez długi czas milczał, przetykając ślinę.

John Husband cierpliwie czekał, aż dowie się czegoś więcej. — Nie wiem — odezwał się w końcu Luke i tym razem nie zdołał powstrzymać łez. — Czy miałeś kiedykolwiek ochotę rzucić to wszystko w diabły?

ROZDZIAŁ VII

Garth czekał już przy stoliku na świeżym powietrzu, kiedy w restauracji Original Rap-Top pojawili się Nathan i David. Dzień był ciepły i szary, niebo zasnuwane chmurami. Nathan nie miał nic przeciwko temu, żeby pojechać do instytutu, ale Garth nalegał, żeby spotkać się gdzieś indziej. Można by było powiedzieć, że Instytut Spellmana znajdował się w stanie szoku; z wyjątkiem ważnych, już rozpoczętych eksperymentów zawieszono na cały dzień wszystkie prace badawcze, a w całym budynku tłoczyli się reporterzy, ludzie z biura szeryfa i wścibscy pracownicy administracji.

Poza tym Gartha dręczyły niedobre przeczucia i nie chciał, żeby ktoś widział, jak rozmawia z

Nathanem.

Nathan i David obeszli stojący na podwyższeniu przed restauracją turkusowy thunderbird z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego i usiedli przy stoliku, pod parasolem w czarno-białe pasy.

— Niezły samochód, nie? — zapytał Garth. — Mój staruszek miał kiedyś taki, w kolorze czarno-czerwonym. Nie znosiłem go, bo przez cały czas musiałem siedzieć z tyłu.

Garth ubrany był nietypowo, w otwartą na szyi koszulkę polo i wytarte spodnie.

Sprawił wrażenie bardzo zmęczonego i Nathan domyślał się dlaczego. On i Raoul byli więcej niż kolegami, byli bliskimi współpracownikami. Przypominali dwóch speleologów, którzy badają w totalnej ciemności skomplikowany system zalanych wodą jaskiń i którym dodaje odwagi wyłącznie świadomość tego, że ten drugi jest tuż obok. Kiedy jeden ze speleologów tonie, jego kolega nie wini o to jaskini — w nie większym przynajmniej stopniu, niż Garth winił za śmierć Raoula Kapitana Blacka. Ryzyko wliczone było w ich zawód. Co nie zmieniało faktu, że był głęboko przygnębiony.

— Jesz coś? — zapytał Nathan.

Garth potrząsnął głową.

— Ale nie krępujcie się mną, zamówcie coś.

Podeszła do nich kelnerka.

— Co mam panom podać? — zapytała dziarskim tonem. — Dzisiaj polecamy kurczaka w rogaliku i filiżankę zupy w cenie czterech dolarów dwudziestu pięciu centów. Z zup mamy do wyboru jarzynową, gulaszową i z mięczaków.

— Czy mogę dostać cheeseburgera? — zapytał David.

— Jasne — odparł Nathan. — A ja poproszę wódkę z tonikiem i lodem.

Garth przez dłuższy czas milczał. Kołysał przez chwilę swego drinka, a potem wypił go do końca.

— Nie mam pojęcia, co ja pocznę bez Raoula. Czuję się taki zagubiony. Kompletnie zagubiony. Tak jakbym stracił brata albo kogoś w tym rodzaju.

— Nie wiem, co ci powiedzieć — odparł Nathan. — Nigdy nie byłem z kimś tak związany, w każdym razie nie w pracy.

— Co się stało z Kapitanem Blackiem? — zapytał David. Postarał się, by zabrzmiało to bardzo delikatnie, z całą tą szczególną wrażliwością, którą odznaczają się w chwilach smutku dzieci. Miał bardzo poważne oczy i pobladłą twarz.

— No cóż, na chwilę się uspokoił, a nam udało się wybić szybę z tyłu laboratorium i wstrzelić mu dawkę środka usypiającego. Jest już z powrotem w swojej zagrodzie, pod ścisłą obserwacją.

Ostatnim razem, kiedy go widziałem, spał.

— Nie chcecie go zabić?

— Nie, nie mamy zamiaru go zabić — odparł Garth. — Jeśli chcesz znać prawdę, nie stać nas, żeby to zrobić. Kosztował nas osiemnaście i pół miliona dolarów i dziewięć lat badań i nie moglibyśmy go zabić, nawet gdyby uśmiercił dwadzieścia osób. — Zdjął okulary i uśmiechnął się gorzko do Davida. — Ujmijmy to w ten sposób: gdybyśmy przerobili Kapitana na bekon, jeden plasterek kosztowałby cię dwadzieścia tysięcy.

— Macie jakieś pojęcie, co się stało? — zapytał Nathan.

— Obudził się — odparł Garth. — Myśleliśmy, że znajduje się pod silną narkozą, ale on się obudził.

— Ale dlaczego dostał szału?

— To jeden z powodów, dla których chciałem z tobą porozmawiać.

Nathan zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem. Skąd ja mam wiedzieć, dlaczego dostał szału? Kelnerka przyniosła Nathanowi wódkę z tonikiem. Garth zamówił kolejnego Jacka Daniela.

— To jest oczywiście nieetyczne, Nathan, i w innych okolicznościach nie pomyślałbym nawet, żeby cię o to zapytać. Ale skąd wzięłeś ten wycinek mózgu? Kto był dawcą?

Nathan spojrzał na Gartha i nie wiedział, co odpowiedzieć. Od chwili, kiedy otrzymał

od niego tego ranka telefon, domyślał się, że Garth może zapytać go o próbkę. Może nie bezpośrednio. Oczekiwał rzuconej mimochodem uwagi, w rodzaju: „Na pewno było zdrowe, no wiesz, to dziecko, od którego wzięłeś wycinek?” Ale to było pytanie wprost; pytanie wprost, zadane przez człowieka, który nie bacząc na niewyobrażalne koszty uratował życie jego ojcu.

To był dług, który ciągle do niego wracał, niczym w „Kroku” Edgara Allana Poe; dług, którego nigdy nie był w stanie spłacić.

— Garth... — zaczął, zastanawiając się, w jaki sposób ma mu odmówić.

— Postawmy sprawę jasno, Nathan. Uratowałem życie twojemu ojcu. Nigdy cię o nic nie prosiłem i nigdy nie oczekiwałem niczego w zamian. Ale teraz proszę. Muszę wiedzieć, od kogo pochodził ten wycinek.

— Garth...

— Kapitan Black był zawsze uparty i kapryśny, ale nigdy agresywny. Zdawaliśmy sobie od początku sprawę, że jego własna osobowość podporządkuje się nowemu materiałowi mózgowemu, że ludzka osobowość zdominuje osobowość zwierzęcą. Dlatego właśnie prosiłem cię o trzyletniego albo

jeszcze młodszego dawcę. Chcieliśmy otrzymać osobowość, która jest niewinna, łagodna, jeszcze nie wykształcona.

— Sądziłem, że taki właśnie daję ci materiał — powiedział Nathan.

— No dobrze, w porządku... istnieje niezbyt co prawda realna ewentualność, że wycinek nie ma nic wspólnego z jego agresywnym zachowaniem. Być może doznawał

intensywnego bólu synaptycznego. Być może znajdował się w stanie pooperacyjnego szoku albo Bóg wie, co jeszcze. Niestety, najbardziej prawdopodobne jest, że agresję spowodował

wycinek.

Nathan zamieszał lód w szklance i nic nie odpowiedział.

— Czy mogę znowu zobaczyć Kapitana Blacka? — zapytał David. — To znaczy, kiedy poczuje się lepiej? Opowiedziałem o nim wszystkim swoim kolegom.

— Będziesz musiał jakiś czas poczekać — odparł cicho Garth; ani na chwilę jednak nie odrywał oczu od Nathana.

— Cholera. Tak, zgadza się, uratowałeś życie mojemu ojcu. Dlatego w ogóle dostałeś ten wycinek.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Nathan wziął głęboki oddech.

— Chcę powiedzieć, że Mercy nie ma w zwyczaju przekazywać wycinków mózgu swoich zmarłych pacjentów w celu ich wykorzystania w eksperymentach genetycznych.

Garth zmierzył go wzrokiem.

— Masz na myśli, że ta darowizna nie była autoryzowana?

— Dokładnie to chcę ci powiedzieć. Mówiłem, że jestem w stanie ałatwić zezwolenie, ale po prostu mi się to nie udało. Zapytałem radę nadzorczą, czy Spellman może wykorzystać jeden z naszych wycinków mózgu, ale oni kategorycznie odmówili.

— Mam nadzieję, że robisz sobie ze mnie żarty."

— Nie, nie żartuję. Powiedzieli, że to absolutnie niemożliwe. Nawet gdybym uzyskał

zgody najbliższych krewnych zmarłego, oni nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Wierz mi, w Mercy obowiązują zasady etyczne, przy których Dekalog przypomina spis rzeczy, w które wolno się zabawiać na letnim obozie.

Garth złożył w modlitewnym geście dłonie i długo się zastanawiał. Kelnerka przyniosła im tymczasem cheeseburgera. David spryskał go z entuzjazmem keczupem i zaczął jeść.

— Dobrze, postawmy sprawę jasno — powiedział Garth. — Uważałeś, że jesteś mi winien przysługę w związku z tym, co zrobiłem dla twego ojca. Więc kiedy poprosiłem cię o wycinek, wzięłeś go bez pozwolenia z kostnicy Mercy.

— Zgadza się.

— Ale miałeś przecież, na litość boską, wszystkie potrzebne papiery. Miałeś list od ordynatora patologii.

— Obawiam się, że to tylko wyglądało na list od ordynatora patologii.

— Jezu Chryste, Nathan! — jęknął Garth.

— Przykro mi. Chciałem ci po prostu pomóc.

Garth nie potrafił sobie nawet wyobrazić wszystkich prawnych i etycznych konsekwencji tego, co się stało.

— Wiesz, do kogo należał ten wycinek mózgu? — zapytał w końcu.

— Tak, wiem.

— W takim razie naprawdę uważam, że masz obowiązek podać mi nazwisko tego dziecka.

Nathan przycisnął palce do czoła, tak jakby czuł zbliżającą się migrenę.

— Garth... zdajesz sobie sprawę, że jeśli to wyjdzie na jaw, stracę prawdopodobnie pracę?

— Na litość boską, Nathan...! Raoul stracił życie!

— Nie twierdzisz chyba, że ja jestem za to odpowiedzialny?

— Nie wiem. Nie wiem, co się w ogóle, do diabła, stało. Przepraszam, nie chciałem na ciebie krzyczeć. Ale nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Naprawdę nie mogę.

Nathan sięgnął do kieszeni swojej zielonej koszuli w kratę i wyciągnął elegancko złożoną kartkę papieru.

— Czuję, że o to właśnie będziesz chciał mnie spytać. Wycinek mózgu pochodzi od białego chłopca o nazwisku George Shephard Pearson. Miał trzy lata i siedem miesięcy.

Garth wziął kartkę, rozłożył ją i przeczytał. Nathan obserwował go z rosnącym uczuciem zakłopotania i przygnębienia. Siedząca obok dziewczyna głośno się roześmiała.

Restauracja nie była zapełniona o tak wczesnej porze, ale przy pobliskich stolikach siedziało kilku młodych ludzi, gawędząc i dobrze się bawiąc w atmosferze miejsca, „gdzie wiecznie trwały wesołe lata pięćdziesiąte”. Nathan oddałby w tej chwili wszystko, żeby cofnąć się w czasie do lipca tysiąc

dziewięćset osiemdziesiątego roku, kiedy w obcisłych dżinsach i z długimi lokami hippisa wszedł po raz pierwszy do Dairy Queen Brazier i zobaczył Susan, która siedziała przy stoliku, z ustami umazanymi truskawkowym jogurtem i zawieszoną w powietrzu łyżeczką.

Oddałby wszystko, żeby nie siedzieć tutaj dzisiaj bez niej, z wiszącym nad nim nie splecionym czarnym długiem.

— George Pearson? — zapytał Garth. — Dlaczego to nazwisko wydaje mi się znajome?

— Słyszałeś prawdopodobnie o nim w telewizji. To ten chłopak, któremu uciął głowę jego własny ojciec. Jemu i jego siostrze.

— O Boże, Nathan, to po prostu nie mieści się w głowie. Pobierasz bez zezwolenia wycinek mózgu ofiary zabójstwa i przekazujesz go Instytutowi Spellmana jako materiał do przeszczepu? Co ty sobie, do diabła, wyobrażałeś?

Nathan wzruszył ramionami, zakaszłał i uciekł spojrzeniem w bok.

— To powszechna praktyka. Pobieramy bez zezwolenia od zmarłych pacjentów wszelkiego rodzaju gruczoły i tkanki. Poza tym chodziło o mojego ojca, o to, co dla niego zrobiłeś.

— Ależ to, co zrobiłem dla twojego ojca, było tak samo ważne dla naszych badań, jak i dla ciebie! Nie oczekiwałem niczego w zamian. Zwłaszcza nie czegoś takiego!

Przykro mi.

— Przykro ci! Raoul Lacouture leży w domu pogrzebowym, Jack Lazard stracił prawą rękę, a tobie jest przykro!

— Zaraz, poczekaj chwilę — przerwał mu Nathan. - Nie możesz mnie o to wszystko winić. Nie ma żadnego wyraźnego dowodu, że Kapitan Black wpadł w szał dlatego, że wszczepiłeś w jego mózg geny George'a Pearsona.

— Z medycznego punktu widzenia taka konkluzja jest moim zdaniem nieunikniona.

Świnia rasy polsko-chińskiej należy do najłagodniejszych zwierząt pod słońcem. Bardzo rzadko atakuje inne świnie, nie mówiąc już o ludziach.

— Ale George Pearson był tylko trzyletnim chłopcem.

— Jasne, ale był trzyletnim chłopcem, który doznał poważnego urazu poprzez sam fakt, że go zamordowano. To, że umarł, nie oznacza wcale, że doznanie to nie odcisnęło się trwale w jego korze mózgowej. Jezus, Nathan. Wiesz, co się stanie, kiedy dowie się o tym wszystkim prasa? Jaki pasztet zrobi z tego Lily Monarch? A także senator Cady? Połkną nas żywcem i wyplują.

— Przykro mi — powtórzył Nathan. Nie był w stanie powstrzymać drżenia. — Chcesz, żebym napisał to krwią? Przykro mi.

David przeżuwał cheeseburgera, obserwując z niepokojem ojca.

— Przykro mi, w porządku? — powtórzył jeszcze raz Nathan. Myślałem, że to nie ma znaczenia, ale najwyraźniej ma.

— Co się stało? — zapytał David. Nathan spróbował się uśmiechnąć.

— Nic. Nic się nie stało. Otrzymałem tylko małą lekcję na temat wyrównywania długów. Lekcja brzmi: nie próbuj wyrównać starych długów, bowiem cokolwiek zrobisz, twoja przysługa nigdy nie wyrówna tej, którą otrzymałeś.

— Wydaje mi się, że to właśnie finansiści nazywają odsetkami powiedział Garth. —

Będę musiał się nad tym wszystkim poważnie zastanowić, Nathan — dodał wstając. — Może zadzwonię do ciebie jeszcze dzisiaj.

Chciał odejść, ale Nathan złapał go za rękę.

— Posłuchaj, Garth. Nie pozwól, żeby ta sprawa wyszła na jaw. Postąpiłem źle, pobierając bez zezwolenia tę próbkę, wiem o tym. Ale to nie miało decydującego znaczenia.

To nie ma nic wspólnego ze śmiercią Raoula i nikt nie musi o tym wiedzieć.

Garth przez chwilę się zastanawiał, a potem uwolnił rękę.

— Nie mam zamiaru nikomu nic mówić, Nathan. Przynajmniej nie teraz... dopóki nie poddam Kapitana Blacka testom. Jeśli wykażą one choć w najmniejszym stopniu, że na zachowanie Kapitana Blacka wpłynął uraz, którego doświadczył mały George Pearson, kiedy go zamordowano, oznaczać to będzie również koniec mojej kariery. Zanim uda się dowieść, kto jest za co odpowiedzialny, rodzina Raoula doprowadzi nas do bankructwa.

- Byliśmy dobrymi przyjaciółmi — powiedział Nathan. - Przyjaciele popełniają czasem błędy. To nie oznacza, że mają przestać się przyjaźnić.

Garth wzruszył ramionami i poklepał go po plecach.

- W porządku, staruszk. Przepraszam, jeśli straciłem nad sobą panowanie.

— Kiedy będę mógł zobaczyć Kapitana Blacka? — zapytał David.

— Poczekaj tydzień. A potem poproś tatę, żeby cię przywiózł.

— Dziękuję panu!

— Do zobaczenia — powiedział Garth i wyszedł z restauracji, nie zatrzymując się nawet, żeby rzucić okiem na thunderbirda i otaczający go wianuszek dziewcząt.

Nathan wypił do końca drinka i zamówił następnego.

— Masz jakieś kłopoty? — zapytał David.

— Coś w tym rodzaju. Ale nie przejmuj się.

— Dałeś mu kawałek mózgu tego zabitego chłopca, a okazało się, że nie powinieneś tego robić.

— Zgadza się, tak to mniej więcej wygląda.

— Ale on był martwy, ten chłopiec. Co to za różnica? Nathan zwichrzył Davidowi włosy.

— Popełniłem błąd. Nie powiniennem być tego robić. Teraz zaczną mnie pewnie nazywać złodziejem zwłok.

— Kto to taki, złodziej zwłok?

— W dawnych czasach, kiedy chirurdzy potrzebowali trupów, żeby je pokroić i poznać ludzką anatomię, byli ludzie, którzy rozkopywali groby i kradli leżące w nich ciała. Robili to wyłącznie dla zysku.

— Ale ty nie zrobiłeś tego dla zysku. Nathan wzruszył ramionami.

— W pewnym sensie tak. Zrobiłem to, żeby zrewanżować się za to, że Garth ocalał życie dziadkowi.

— Moim zdaniem nie zrobiłeś wcale źle — stwierdził David.

— Ale oni przekazali osobowość tego chłopca Kapitanowi Blackowi; a Kapitan Black dostał szafu. Zabił doktora Lacouture i praktycznie odgryzł rękę innemu pracownikowi.

— Ale tato, to przecież nie mógł być ten chłopiec. Trzyletni chłopcy nie zabijają ludzi.

— Myślisz, że nie? Może ten akurat by zabił. Miał mnóstwo powodów, żeby czuć się skrzywdzonym.

Siedzieli razem przez dłuższą chwilę, trzymając się za ręce.

— Zrobiłeś wszystko dobrze, tato — powiedział w końcu David. — Zawsze robisz dobrze. To nie była twoja wina, że zginęli mama i Aaron. To też nie jest twoja wina. Proszę, tato, nie musisz się tak bardzo starać. Nie musisz zawsze za wszystko przeproszać.

Nathan spojrzał na Davida i to było tak, jakby spojrzał na samego siebie, takiego, jakim zawsze chciał być. Dobrze cię wychowałem pomyślał nagle. — Nauczyłem cię zrozumienia dla innych i wpoiłem właściwe wartości. I Bóg jeden wie, jak mi się to udało, ponieważ moja matka nie wpoila we mnie niczego poza poczuciem winy, wstydu i odpowiedzialności za wszystko. „Chciałam mieć syna doktora. I kogo mam? Patologa. Twój ojciec jest chory, a ty nie potrafisz go nawet wyleczyć”.

Nathan wyleczył ojca — dzięki swojej wierze i oddaniu, a także dzięki temu, że znał

Gartha Matthews. Ale nie udało mu się go wyleczyć, zanim zmarła matka — odeszła zupełnie niespodziewanie i cicho, przechodząc któregoś lutowego popołudnia po zamrzniętym stawie Seminole w pomarańczowym przyćmionym słońcu. Poślizgnęła się, upadła i legła nieruchomo w swoim futrze, z otwartymi oczyma i otwartymi ustami, tak jakby chciała coś powiedzieć.

To właśnie ta chwila, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiła, że Nathan postanowił nie bacząc na względy etyczne przekazać wycinek mózgu George'a Pearsona Instytutowi Spellmana. Udowadniał swojej matce, że potrafi ratować ludzi, że jest prawdziwym doktorem, że jest w stanie zmieniać ludzkie życie.

— Nie wolno ci płakać — powiedział David.

— Kto tu płacze? — zapytał.

-Ty.

Nathan rozmazał dłonią płynące po policzkach łzy.

— Wpadły mi po prostu do oczu muszki.

Tego popołudnia Luke dał sobie kilka godzin wolnego i pojechał razem z Sally Ann i Nancy na zakupy do Econofoods. Lubił robić zakupy, kiedy był zmartwiony albo rozdrażniony; bezmyślne łożenie wzdłuż rzędów półek zawsze go uspokajało i pomagało zebrać myśli. Na moment przenosił się w jasny kolorowy świat pudełek z lucky charm, ballpark frank i pizzą peperoni. Przez moment nie musiał się przejmować pochylonym dziwnie, wypatroszonym Leosem Ponicanem. Nie musiał się przejmować Normanem Gormanem, oślepionym, okaleczonym i walczącym o życie w centrum medycznym Mercy.

Nie musiał się przejmować liśćmi wawrzynu zaścielającymi podwórka, na których nie rósł ani jeden wawrzyn, ani uśmiechniętymi mężczyznami, podobnymi do chodzącego krzaka.

Sally Ann wzięła go na chwilę pod rękę i uśmiechnęła się, a Luke odwzajemnił

uśmiech. Nigdy nie wierzył, że się ożeni. Był zawsze taki wielki, taki niezgrabny, z grubymi paluchami najlepszy kumpel każdej dziewczyny, ale kochanek żadnej. Kiedy miał

dwadzieścia jeden lat, chodził z potężną, grubą dziewczyną o imieniu Marlene i przez miesiąc albo dwa wydawało mu się, że to jest to.

— Ty jesteś Skorpion, ja jestem Lew, to idealny układ - powtarzała mu; i uwielbiała minetę, mógł ją pieścić całymi godzinami. Nie pamiętał już, ile słonecznych popołudni przeszło w zmierzch, podczas gdy on pracowicie lizał ją, aż brakowało mu tchu — a ona leżała z zaciśniętymi mocno oczyma, wydając z siebie ciche zadowolone kwilenie, które przypominało głos muchołówki. Ale potem oznajmiła mu, że nie może angażować się poważnie z kimś, kto reprezentuje siły prawa i porządku. Wszyscy jej przyjaciele palili nielegalne substancje i wierzyli w „wolność własnego ja”, cokolwiek

to miało oznaczać. Jego wyjaśnienia, że nikt nie może być naprawdę wolny bez ochrony, jaką zapewniają siły prawa i porządku, nie trafiały jej do uszu: do uszu, które przestały go kochać albo nigdy nie kochały.

Spotkał Sally Ann całkiem przypadkowo: aresztując handlarza psów podczas konkursu, który zorganizował w rezerwacie Crumbacker Klub Niemieckiego Pointera Krótkowłosego Wschodniej Iowy. W trakcie sprzeczki na temat tego, kto zwyciężył w otwartej klasie szczeniaków, jakiś zapaleńiec zaczął wymachiwać pistoletem. Zapaleńcem okazał się chłopak Sally Ann, która lojalnie towarzyszyła mu na posterunek.

Podczas gdy chłopak studził nerwy w celi, Sally Ann i Luke wdali się w pogawędkę, w czasie której zgodnie stwierdzili, że nie mają ze sobą prawie nic wspólnego.

Kto mógł zgadnąć, że Luke i Sally Ann spikną się ze sobą? On był dla niej o wiele za duży, ona aż do przesady schludna: drobna blondynka, z zadartym noskiem i zębami zdecydowanie bardziej białymi i olśniewającymi, niż ktokolwiek ma prawo posiadać. Córka farmera ze Swisher, uwielbiała łono natury i miała słabość do koni i psów. Luke lubił jej zdecydowanie zbyt entuzjastyczne dwa pointery, ale nigdy nie próbował jeździć konno. „Za bardzo lubię konie, żeby siadać na którymś z nich”, powtarzał.

— Chcesz spróbować tego nowego dressingu Cajun? — zapytała Sally Ann.

— Jasne... wszystko, żeby tylko sałata nie smakowała jak sałata.

— Nie powinieneś tak zrzędzić, kochanie. Wyglądasz o wiele szczuplej.

— Szczuplej? Popęłniłbym morderstwo za jeden z tych pączków z cynamonem.

Mała Nancy biegała między półkami w swoim kombinezonie Osh Kosh i niebieskim miękkim kapeluszu.

— Pomyśl tylko — powiedziała, biorąc go pod rękę, Sally Ann. Im bardziej będziesz szczupły, tym dłużej będziesz żył. Chcesz chyba zobaczyć własne wnuki, prawda?

— Jasne, że chcę — odparł z uśmiechem i pocałował ją w czubek głowy, choć w głębi duszy myślał to samo co zawsze. Dlaczego mam sobie odmawiać pączków z cynamonem, jeśli jutro może mnie trafić czyjaś kula? Dlaczego mam się litować nad tymi, którzy będą musieli nieść moją trumnę? Nigdy jednak nie mówił takich rzeczy na głos. Sally Ann i tak dość przejmowała się tym, w jaki sposób zarabiał na życie, żeby miał jeszcze pogarszać sytuację.

Minęli półki z książkami i gazetami. Na stojaku leżało najnowsze wydanie „Gazette” z fotografią podobnego do Kapitała Blacka wielkiego wieprza rasy polsko-chińskiej i biegnącym przez całą stronę nagłówkiem: NAJWIĘKSZA ŚWINIA ZABIŁA NAUKOWCA.

— Czy to nie straszne? — zapytała Sally Ann. — Mój ojciec trzymał wielkiego knura rasy polskiej i kiedy byłam mała, straszył mnie tak, że o mało nie zwariowałam. „Spójrz tylko na niego, a pokaże ci, gdzie raki zimują”. Nie wydaje mi się, żeby większość ludzi zdawała sobie sprawę, jak

niebezpieczne potrafią być świnie.

Luke rzucił okiem na tytuł.

— Tak... mam dostać na ten temat raport. Widzisz gdzieś „Hot Bike” z tego miesiąca?

— Będą musieli ją zabić, prawda?

— Kogo będą musieli zabić?

— Tę świnie. Tę, która zabiła naukowca. Luke potrząsnął głową.

— Wątpię. To zdarzyło się w laboratorium, po tym jak ją zoperowali. To nie to samo, kiedy czyjś pit bul pogryzie czyjeś dziecko. Poza tym, z tego, co mi mówił Mike, ta świnia jest warta grube miliony.

Nancy podeszła bliżej i wzięła go za rękę.

— Przyjdiesz w niedzielę na barbecue? — zapytała. Była drobna i szczupła, podobnie jak jej matka. Chwała Bogu. Luke wolał nie myśleć, ile musiałyby wycierpieć dziewczyna, która odziedziczyłaby jego tuszę.

— Oczywiście, że przyjdę, kochanie. Nie opuściłbym tego barbecue za nic w świecie.

— To samo mówiłeś ostatnim razem — przypomniała mu Nancy.

— No cóż, ostatnim razem miałem na głowie bardzo ważną robotę.

— Teraz też masz na głowie bardzo ważną robotę.

— Ale na pewno przyjdę na barbecue. Słowo szeryfa.

— Przeżegnasz się, wyprujesz z siebie flaki i schowasz się przed ciernistym krzewem?

Luke głośno się roześmiał.

— Co powiedziałaś?

— Nancy! — upomniała córkę Sally Ann. - To nie było zbyt ładne!

Nancy zaczerwieniła się i posmutniała.

— Nie, nie, w porządku - powiedział Luke. - Powtórz to jeszcze raz.

Nancy potrząsnęła głową.

— To jest po prostu okropne — stwierdziła Sally Ann. — Nie każ jej tego powtarzać.

— Nancy, proszę cię, kochanie. Naprawdę chcę to usłyszeć. Nancy opuściła wzrok i zaczęła szurać

podeszwą buta po podłodze.

— Przeżegnaj się...

— Tak, mów dalej.

— Wypruj z siebie flaki...

— Tak.

Długa pauza. A potem jednym tchem:

— I schowaj przed ciernistym krzewem!

— Brawo, dzielna dziewczynka. Dostaniesz przy kasie lizaka!

— Nie ma mowy! — zaprotestowała Sally Ann. — Nie dosyć, że opowiada obrzydliwości, to jeszcze ma dostać nagrodę... i w dodatku lizaka, od którego psują się zęby!

Luke w ogóle nie zareagował.

— Czy usłyszałaś to od któregoś z kolegów? — zapytał Nancy.

— Powtarzają to wszystkie dzieci. Po prostu takie powiedzonko.

— Ale ja go nie znałem, kiedy byłem mały.

— Bo jest nowe. Zaczął je powtarzać Jake Marek. Mówi, że usłyszał je od swojego dziadka.

— To Czech.

— Trzech? — zdziwiła się Sally Ann.

— Rodzice Jake'a są Czechami.

— Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

— To może być bardzo ważne. Terence Pearson pisał o człowieku, który podróżuje ubrany na zielono; na ścianie w ich domu wisiała podobizna człowieka okrytego liśćmi niczym krzak. Wszystkie notatki Pearsona sporządzone były po czesku; dlatego właśnie tłumaczył je dla nas biedny Leos Ponican. A co się przydarzyło Leosowi Ponicanowi? I szwagierce Terence'a Pearsona?

— Mam nadzieję, że nie masz zamiaru mówić o tym w obecności Nancy —

powiedziała Sally Ann.

— Wypruto z nich flaki — wtrąciła lekkim tonem Nancy. - Wszyscy o tym mówią.

Dlatego Jake zaczął to powtarzać.

— Czy powiedział o tym coś jeszcze? Na przykład, co to w ogóle ma znaczyć?

Sally Ann odebrała mu wózek i pchnęła go do przodu.

— Luke... mieliśmy robić zakupy, a nie prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa.

Wiesz, jak bardzo nie znoszę takich rzeczy.

— Przykro mi... naprawdę mi przykro. Ale to może być szalenie ważne — powiedział

Luke i spojrzął na zegarek. — Posłuchaj... będę was musiał teraz zostawić. Nie masz pojęcia, jak mi głupio. Ale Nancy podsunęła mi pewien pomysł.

— Luke! Musimy przecież odwieźć te wszystkie zakupy do domu!

— Przepraszam, kochanie, ale ta sprawa nie może czekać.

— Nawet się nie waz! — burknęła Sally Ann, próbując uciec przed jego całusem. Luke pocałował ją i Nancy, po czym wybiegł z supermarketu, skrzypiąc podszwami po winylowej podłodze. Nie obejrzał się ani razu. Bolało go, że je tak zostawia. Ale w chwili gdy jego umysł zaczynał pracować na zwiększonych obrotach i czuł nagły przyływ adrenaliny, nie było sensu zajmować się dłużej głupstwami. Przed barem Nelson's Sports stała taksówka.

Młody chudy kierowca opierał się o nią, rozmawiając z jakimiś bezzębnymi staruchami.

— Na Third Avenue Bridge, ale szybko — powiedział Luke.

Taksówkarz zmierzył go niechętnym wzrokiem.

— Co ci się tak śpieszy, grubasie?

Luke wyjął portfel i pokazał mu odznakę.

— Muszę szybko dojechać do swojego biura, żeby złożyć samemu sobie skargę na niechętnego i obraźliwego taksówkarza. Mam nadzieję, że potraktuję ją poważnie.

Kierowca podniósł w poddańczym geście obie ręce.

— W porządku, proszę pana, to znaczy szeryfie. Nie miałem na myśli nic złego.

Luke usadowił się z tyłu.

— Posłuchaj, punku — powiedział, kiedy taksówka ruszyła z miejsca. — To miasto znane jest na całym świecie ze swojej gościnności i tak już ma pozostać.

— Tak jest, proszę pana, to znaczy szeryfie.

Na przednim siedzeniu leżała torba z pączkami, która szeleściła cicho, kiedy kierowca brał kolejne zakręty.

— Chcesz napiwek? — zapytał Luke.

— To zależy od pana, szeryfie.

— Napiwek jest następujący: dasz mi pączka, a ja zastanowię się, czy może lepiej nie zapomnieć o tej całej skardze.

— Jasne — odparł kierowca. — Niech pan bierze całą torbę.

W biurze zastał Ednę Bulowski. Siedziała przy swoim biurku, wpatrując się posepnie w raport, tak jakby potrafiła obrócić go w niebyt. Luke zastukał kostkami palców w jej drzwi i uśmiechnął się, ale ona posłała mu posepne spojrzenie, jakby miała nadzieję, że on też rozplynie się w powietrzu.

— Jak się masz, Edna? — powitał ją. — Są jakieś wiadomości ze szpitala?

— Dzwonili jakieś pół godziny temu. Stan Normana się poprawia.

— Jak bardzo? Co z jego oczyma?

— Zdaniem lekarzy będzie niewidomy. Być może odzyska w minimalnym stopniu wzrok w prawym oku, ale szansę są bardzo znikome. Być może trzeba mu będzie także amputować lewą nogę. Kolano jest kompletnie zmiażdżone... — Przez chwilę milczała. Poza tym jego stan się poprawia — dodała z lekkim cynizmem.

Luke nie odpowiedział. Słyszał już, że Norman straci wzrok.

— Ryzyko zawodowe, prawda? — powiedziała Edna z cynizmem, ale również ze smutkiem.

Luke kiwnął dwa razy głową.

— Jakie wyniosłaś wrażenie z domu Pearsonów, Edna? — zapytał po chwili. — To znaczy, co tam, twoim zdaniem, się działo?

Edna Bulowski zdjęła okulary i potarła swoje wyłupiaste oczy.

— Nie wiem, szeryfie. Terence miał manię prześladowczą. Iris Pearson była kompletnie zastraszona, dzieci rozpuszczone... Cóż, i tak nie żyją.

— A te wszystkie folklorystyczne bujdy, w które wierzył Terence Pearson? Co o tym sądzisz?

— Ma pan na myśli Zielonego Wędrowca?

— Zgadza się. Zielonego Wędrowca i te liście.

— Jeśli chce pan znać moje zdanie, szeryfie, musimy bardzo uważać, żeby nie stracić zdrowego rozsądku i nie zacząć patrzeć na sprawę z punktu widzenia Terence'a Pearsona. Nie wierzę w te wszystkie gadki o konieczności spojrzenia na zbrodnię oczyma przestępcy.

Przestępcy widzą wszystko w kompletnie zбочony i aspołeczny sposób, a Terence Pearson jest o wiele bardziej zбочony i aspołeczny niż większość z nich. — Założyła z powrotem okulary. — Jeśli zaczniemy patrzeć na sprawę tak jak on, stracimy z oczu to, czego naprawdę szukamy. Fakty, zeznania. I dowody rzeczowe.

Luke nie odpowiedział. Jego poglądy na modną ostatnio policyjną psychologię w dużym stopniu były tożsame z poglądami Edny. On również nie przywiązywał większej wagi do teorii, według której przed ujęciem przestępcy trzeba wejść w jego skórę. Do diabła z empatią. O wiele ważniejsza była solidna, dobrze zorganizowana policyjna robota i wiarygodni świadkowie — nie wspominając o wszystkich, jakie udało się zdobyć, włóknach, odciskach i pasujących do siebie fragmentach DNA. Ten przypadek był jednak zupełnie specyficzny: skrajnie dziwaczny i niepokojący. I szeryf z dnia na dzień nabierał coraz większego przekonania, że nie dojdzie do żadnych rezultatów, jeśli przynajmniej w części nie spróbuje zrozumieć motywów Terence'a Pearsona.

— Istnieje wyraźny związek między zabójstwami, które popełnił Terence Pearson, a śmiercią Leosa Ponicana i Mary van Bogan powiedział. — Mamy również dowody, że Normana zaatakowali ci sami ludzie, którzy napadli wcześniej na Iris Pearson i Mary van Bogan... jeśli dowodem może być kilka suchych liści wawrzynu. Lekarze badają obrażenia Iris Pearson i porównują je z obrażeniami Normana... oboje mają poważnie pokaleczone twarze. Jeśli rany okażą się takie same, będzie to stanowić kolejny dowód. Musimy również sprawdzić ślady opon... Mamy zatem oczywiste powiązania. Każde zabójstwo, każdy atak łączy się z drugim- Ale jak na razie żadne z nich nie ma najmniejszego sensu. Żadnego sensownego wspólnego motywu. Dlatego właśnie chcę poznać pozostałą część notatek Terence'a Pearsona. Dlatego próbuję pójść tropem tych ludowych baśni. Być może Zielony Janek, Zielony Wędrowiec albo jak go tam nazywają, w ogóle nie istnieje. Ważne jest to, że Terence Pearson wierzy w jego istnienie i że na tej wierze opiera swoje postępowanie.

— Ale Terence Pearson był w areszcie, kiedy zamordowano Leosa Ponicana i Mary van Bogan.

— Oczywiście. Ale może w Cedar Rapids są jeszcze inne osoby, które wierzą w istnienie Zielonego Wędrowca. Może zawiązano tu coś w rodzaju jego fan klubu.

Zadzwonił stojący na biurku telefon.

— Bulowski — powiedziała, podnosząc słuchawkę, Edna. — Tak jest. Tak się składa, że właśnie u mnie jest. Chce pan z nim rozmawiać? Jasne.

Przekazała Luke'owi słuchawkę. Dzwonił detektyw Mike Whipps z policji Cedar Rapids.

— Szeryfie? Właśnie przekazano mi wyniki badań medycznych Iris Pearson i Normana Gormana. Przesłałem je faksem, ale pomyślałem, że powinienem z panem najpierw porozmawiać.

— Słucham.

— Według doktora Schneebauma obojgu, Iris Pearson i Normanowi Gormanowi, zadano poważne obrażenia gałęziami tego samego typu krzewu albo drzewa.

— Tego samego typu czy tego samego?

— Tego samego typu: na razie tyle tylko zdołał ustalić. Ma zamiar przeprowadzić kolejne testy. Roślinne DNA, struktura komórkowa, ale to wymaga czasu.

Luke westchnął głośno.

— Cholera. No nic, Mikę, dziękuję za telefon.

— Jeszcze jedno, szeryfie. Chodzi o te notatki Pearsona, które przekazał pan do przetłumaczenia sierżantowi Horze. Z przykrością muszę poinformować pana, że sierżant Hora odmówił.

— Odmówił? — zapytał, marszcząc brwi, Luke. - Co to znaczy „odmówił”?

— Przykro mi, szeryfie. Najpierw narzekał, że jego czeski nie jest zbyt dobry, a potem zwyczajnie odmówił.

— Podał jakiś powód?

— Odniósł notatki komendantowi Husbandowi i poszedł na zwolnienie lekarskie.

— Więc co się teraz dzieje z tymi notatkami?

— Zawiozę je do profesora Mrstika w Kirkwood College, szeryfie. To przyjaciel komendanta Husbanda; należą obaj do tej samej loży. Obiecał, że jeśli da radę, przetłumaczy je dla nas w jeden wieczór.

— Znakomicie. Informuj mnie dalej.

Luke odłożył słuchawkę. Edna Bulowski podniosła wzrok, mrugając i próbując wyczytać z jego twarzy, co się stało.

— Złe wiadomości? — zapytała w końcu.

— Przeżegnaj się, wypruj z siebie flaki i schowaj przed ciernistym krzewem —

odpowiedział krótko.

Kiedy podjechał pod dom pana Marka, zerwał się syjący piaskiem w oczy wiatr. Ulica, chociaż oddalona zaledwie kilka przecznic od jego własnego domu, była znacznie bardziej zaniedbana. Z ganków oblażyła stara farba, a najnowszym zaparkowanym przy krawężniku samochodem był caprice z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, z naderwanym winylowym dachem. W zaroślach tkwiły strzępy makulatury i cała dzielnica sprawiała wrażenie kompletnie wypompowanej. Mieszkali tutaj zredukowani inżynierowie, spawacze, którzy musieli zgodzić się na obniżkę płac,

młodszy nauczyciele i urzędnicy — wszyscy ci ludzie, których dumy i zarobki nadszarpnięte zostały przez długie lata recesji.

Betonowa alejka była popękana, ale generalnie rzecz biorąc posesja pana Marka należała do najlepiej utrzymanych. Wokół okratowanego ganku rosły czerwone róże, a ściany domu były świeżo pomalowane. Luke nacisnął przycisk przy drzwiach i kurant zagrał „The Bluebells of Scotland”. Całkiem odpowiednia melodia dla mieszkającej w Iowa czeskiej rodziny — pomyślał. Zza węgła wybiegł okryty parchami czarny pies i przez chwilę wpatrywał się w niego z wywieszonym jęzorem. Luke'owi przypomniało to język Emily Pearson i szybko odwrócił wzrok. Wciąż nie potrafił pojąć, co takiego wysunęło się z ust Emily, i nie chciał o tym nawet myśleć. Musiał po prostu znajdować się w stresie. Norman przysięgał kiedyś, że widział kogoś siedzącego na tylnym siedzeniu swojego samochodu.

Natychmiast zatrzymał się, przeszukał samochód i nie znalazł nikogo. Stres potrafi wycinać człowiekowi najróżniejsze figle. Nie spłata już tylko żadnego figla oczom Normana.

Zobaczył cień, przesuwaną się za matową, osadzoną w drzwiach szybą.

— Niczego nie chcę! Niech pan odejdzie! — usłyszał głos z wyraźnym obcym akcentem.

— Pan Marek senior? — zapytał. — Chciałbym, jeśli to możliwe, chwilę z panem porozmawiać.

— Nie chcę żadnego szamponu samochodowego! Nie mam samochodu! Niech pan odejdzie!

— Panie Marek, jestem szeryfem, nazywam się Friend. Naprawdę chciałbym z panem porozmawiać. Mogę pokazać panu swoją odznakę.

Drzwi uchyliły się mniej więcej na siedem centymetrów. Luke zobaczył błyszczące, nieufne jak u szczura czarne oczy. Wyciągnął odznakę i cierpliwie czekał. Wiatr trzepotał z tyłu rondem jego kapelusza. W końcu drzwi otworzyły się szerzej.

— Dobrze — powiedział nieduży starszy mężczyzna. — Niech pan wejdzie.

Pan Marek senior miał białe zaczesane do tyłu włosy, pociągłą chudą twarz, zażółconą od wiecznego palenia papierosów górną wargę i krzywy nos, który przypominał ręcznie wystrugany otwieracz do puszek z oranżadą.

Ubrany był w nieskazitelnie czystą białą koszulę, czerwony jedwabny krawat i czerwono-żółtą jedwabną kamizelkę. Na pokrytym guzami nadgarstku miał prosty ciężki zegarek z nierdzewnej stali.

— Nie wiem, w czym mógłbym panu pomóc, szeryfie — powiedział ochrypłym od nikotyny głosem.

— Nie zrobiłem nigdy nic złego i nigdy nic nie widziałem.

Mimo to wziął Luke'a pod łokieć i zaprowadził do salonu, dużego pokoju w kształcie litery L, z wielkim jak katedra telewizorem i potężnymi dębowymi meblami. Nad kominkiem wisiała podobizna świętego Wacława; wszędzie widać było religijne obrazki. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, starych petów i kiszzonej kapusty.

Pan Marek wytrząsnął z błękitnej paczki jednego gauloise'a i wsunął go w kącik ust.

— Dziesięć lat temu w okolicy nie popełniono ani jednego przestępstwa. A teraz co?

Dzieciaki wszystko kradną. Weszłyby do środka i ukradły ci oczy podczas snu, gdybyś nie zamknął powiek. — Zapalił Papierosa staromodną mosiężną zapalniczką na benzynę. —

Niech pan siada — powiedział. — Chce pan może herbaty? Albo kieliszek Wódki?

— Dziękuję — odparł Luke, siadając na skraju kanapy, która wydała z siebie przeciągłe sapnięcie.

— Nie odwiedzają mnie na ogół goście — wyjaśnił pan Marek.

Oglądam trochę telewizję. Czytam gazety. Czasami wyprowadzam na spacer psa.

Mówią, że nie powinienem palić, bo umrę. A co to za różnica, kiedy człowiek żyje w ten sposób? Luke pochylił się do przodu.

— Panie Marek... moja córka bawi się z pańskim wnukiem Jake'em.

— Tak? Co takiego przeskrobał?

— Och... nic takiego, niech pan się przejmuję. Nie... interesuje mnie tylko coś, co powiedział. „Przeżegnaj się, wypruj z siebie flaki i schowaj przed ciernistym krzewem”.

Pan Marek zaciągnął się gauloise'em i zamrugał oczyma.

— No? — zapytał po dłuższej chwili.

— Według Nancy pan go tego nauczył.

— Zgadza się. Sam to mówiłem, kiedy byłem mały. Powtarzały to wszystkie dzieci. W

Czechach oczywiście.

— Ciekawi mnie, dlaczego nauczył go pan tego właśnie teraz. Pan Marek ponownie zamrugał oczyma.

— Z powodu tych morderstw — odparł, jakby było to do tego stopnia oczywiste, że dziwił się, dlaczego Luke w ogóle zadaje takie pytanie. — Najpierw te dzieci, którym urznął

głowy własny ojciec. Potem ten facet z czeskiego muzeum, którego znaleziono z wyprutymi flakami. A potem ciotka tych dzieciaków... — Wypuścił z ust dym, uznając sprawę za ostatecznie wyjaśnioną.

— Jaki to ma związek? — zapytał Luke.

— Jaki związek?

— Jaki jest związek między tymi morderstwami a słowami, których nauczył pan swego wnuka?

— Nie rozumiem. Takie słowa mówi się zawsze, kiedy zdarzają się podobne rzeczy.

Żeby jak wy to mówicie? Odczynić zły urok. — Pan Marek skrzyżował palec wskazujący jednej i środkowy drugiej ręki i podniósł je do góry. — Żeby trzymali się z daleka.

— Kto ma się trzymać z daleka? — zapytał Luke, starając się zachować cierpliwość.

Pan Marek nadal trzymał wysoko skrzyżowane palce.

— Żeby trzymali się z daleka ludzie, którzy nigdy się nie odzywają, naturalnie. Któż inny?

— Ma pan na myśli maskarników? — zapytał Luke. Pan Marek kiwnął głową.

— Jasne. Maskarników. W moich stronach, w Klatowach, nazywaliśmy ich, kiedy byłem mały, graczami w kości. Albo niemymi ludźmi.

- To byli prawdziwi ludzie?

Zależy, co pan rozumie przez prawdziwych ludzi.

— Widział pan ich kiedyś?

Pan Marek senior ostrożnie oderwał od dolnej wargi wilgotny papieros.

— Jasne, że ich widziałem. Ale tylko raz. Ojciec kazał mi się odwrócić, a potem zrobił

ten sam znak i powiedział te same słowa: „Niemi ludzie, niemi ludzie, obiecacie, że nie zapukacie do moich drzwi. Przeżegnajcie się, wyprujcie z siebie flaki i schowajcie przed ciernistym krzewem”.

— Ilu było tych niemych ludzi?

— Nie wiem. Ja zobaczyłem tylko czterech. Niektórzy mówili, że jest ich więcej.

Każdy był inny, w zależności od tego, co robił. Rozumie pan, co mam na myśli?

— A Zielony Wędrowiec, Zielony Janek?

— Jasne. Widziałem Zielonego Janka. Krążyło nawet o nim jeszcze jedno powiedzenie: „Kiedy wawrzyn zaścielę pole, człowiek-krzak tarza się w smole”. Coś w tym rodzaju.

Luke odchylił się do tyłu na kanapie, która ponownie wypuściła z siebie z sykiem powietrze. Czuł, że jest bliski dowiedzenia się czegoś więcej na temat obsesji, jaką Terence Pearson miał na punkcie Zielonego Wędrowca, chociaż pan Marek senior bynajmniej nie ułatwiał mu zadania. Dla pana Marka seniora maskarnicy byli najwyraźniej tak zwyczajni —

do tego stopnia stanowili składnik codziennego życia — że nie rozumiał, dlaczego ma ich opisywać.

To było tak, jakby ktoś kazał mu opisać psa, konia albo niebo.

— Niech pan mi o nich opowie. O tych niemych ludziach — poprosił Luke.

Pan Marek senior wpatrywał się w niego bardzo długo, przymykając jedno oko przed papierosowym dymem.

— Chce pan tej wódki? Bez wódki trudno o tym opowiadać.

— Dobrze, tylko ten jeden raz napiję się wódki.

Pan Marek senior wyszedł, szurając nogami, z salonu i powrócił po chwili z dwoma zakurzonymi kieliszkami i do połowy pustą butelką żubrówki. Luke nie znosił żubrówki; smakowała jego zdaniem niczym poddana destylacji ścięta trawa. Ale próbował się uśmiechnąć, kiedy pan Marek senior podał mu wypełniony po brzegi kieliszek.

— Na zdrowie! — powiedział i pociągnął solidny łyk.

— Powiadają, iż dawno temu zbiory w Czechach były przez pięć lat tak nędzne, że ludzie przymierali głodem. Buraki cukrowe zgniły, owoce w sadach wyżarły robaki, a na kartofle padła zaraza. To było bardzo dawno temu... mówimy tutaj o dziesiątym wieku, zaraz potem, jak święty Wacław został zabity przez swojego brata, Bolesława. Bracia... kto ich nie ma. Ja też miałem kiedyś brata. Dbał o mnie tyle co o zeszłoroczny śnieg i ja też dbałem o niego tyle co o zeszłoroczny śnieg.

Pan Marek zaciągnął się kilka razy papierosem i zamrugał. — Co mamy robić, pytali chłopci, niedługo przyjdzie nam tutaj wszystkim zemdlać. Modlili się do Boga, ale On ich nie wysłuchał. Zapytali więc o radę kapłana Bojów. Bojowie zamieszkiwali kiedyś Czechy; stąd pochodzi nazwa Bohemia. Większość została wymordowana mniej więcej pięćdziesiąt lat przed narodzeniem Chrystusa; ale kilku zdołało ocaleć i zachowało stare wierzenia i magiczne obrzędy. Modlili się do ziemi, do rzek i do nieba.

Kapłan Bojów powiedział chłopom, że powinni wybrać spośród siebie jednego, zabrać go do lasu, rozpruć mu brzuch i zasadzić w jego trzewiach drzewo. Kiedy drzewo wyrośnie, nie sposób będzie powiedzieć, gdzie kończy się roślina, a zaczyna człowiek. Będą rośli razem. Powstanie człowiek, który będzie jednocześnie zielonym drzewem. Stąd imię Zielony Janek.

Zielony Janek będzie posiadał magiczną moc pobudzania roślinności, dawania dobrych zbiorów. Będzie podróżował od zagrody do zagrody, pukał do drzwi i pytał, czy gospodarze chcą mieć dobre plony. Jedyne kłopot polega na tym, że drzewo w Janku będzie pożerać stopniowo jego trzewia i Janek będzie potrzebować stale nowych wnętrzności, żeby pozostać człowiekiem i nie zamienić się do reszty w drzewo. Więcej wnętrzności! To, skąd je weźmie, nie ma znaczenia. Janek pokaże na migi wieśniakowi, czego potrzebuje. Wnętrzności! Tego właśnie potrzebuje i musi je wydrzeć prosto z ciała! Potrafi pan sobie to wyobrazić? Wieśniak ma zatem do wyboru: albo dać mu wnętrzności w zamian za dobre plony, albo dalej przymierać głodem. Luke pociągnął kolejny łyk żubrówki w nadziei, że głód i opowieść pana Marka seniora poprawią trochę jej smak. Nie poprawiły. Zapach wódki wciąż przypominał tę rzadką żółtawozieloną ciecz, która spływa ze sterty kompostu. Luke

zakasłał i założył nogę na nogę.

— Na początku — kontynuował pan Marek senior — chłop mówi: nie, nie mogę dać ci wnętrzości. Czyje mam ci dać wnętrzości? Własnej żony? Dzieci? Ale Zielony Janek siedzi w milczeniu, gra w kości i czeka. Za jedno życie można mieć dobre zbiory. I chłop zaczyna myśleć o wszystkich tych ludziach, którzy i tak powymierają z zimna, głodu i pracy ponad siły. I w końcu mówi: czemu nie, do diabła?

Zwłaszcza że Zielony Janek pokazuje na migi, że nie prosi o wnętrzości teraz, ale dopiero za trzydzieści sześć lat... pod warunkiem, że wieśniak pozwoli mu pójść do łóżka ze swoją żoną. Tylko raz, nigdy więcej. To wszystko, o co prosi. A na dworze pola są zupełnie gołe, larwy zjadły właśnie ostatnie buraki i niebawem nadejdzie zima. I co mówi wieśniak?

— Chyba się godzi — odparł schrypniętym głosem Luke.

Pan Marek senior podniósł w górę palec.

— Naturalnie. Trzydzieści sześć lat to cała wieczność, myśli, i Janek na pewno nie dożyje do tego czasu. Wieśniak zaczyna przekonywać żonę, żeby przespała się z Zielonym Wędrowcem. Przekonuje ją! To nie będzie takie straszne, szepcze jej do ucha, to tylko człowiek-drzewo. Zielony Wędrowiec zabiera więc żonę wieśniaka do lasu i nikt nie wie, co tam robią, bo żadna z żon nie mówi o tym później ani słowa. Ale potem co pan powie?

Wszystko kwitnie, prawda? Ziemniaki są wielkości futbolowych piłek, tak? Zboże ogromne?

Zgadza się! O tak, kiedy Zielony Wędrowiec przemierza kraj, ziemia rodzi wspaniałe plony.

Jest wcielonym urodzajem, wcieloną płodnością. I coś jeszcze się rodzi... no tak, żona wieśniaka zachodzi w ciążę i rodzi dziecko, dziecko Janka.

— Jak on to robi, ten Zielony Janek? — zapytał Luke. — W jaki sposób wywołuje urodzaj?

Pan Marek senior wyjął papierosa z ust i wypuścił dym przez nos.

— Gdybym wiedział takie rzeczy, szeryfie, czy siedziałbym tu, w tym domu i opowiadał panu tę historię? Byłbym bogatym farmerem, a przed moim gankiem stałby cadillac. Ale wszyscy słyszeliśmy o zaklinaczach deszczu; o ludziach, którzy potrafią zmieniać pogodę. Są przecież tacy ludzie, prawda? Może Zielony Janek jest jednym z nich?

Nie wiem. Może kimś więcej. W końcu jest w połowie rośliną. Może zna język roślin i mówi im, żeby rosły.

— Plony są wspaniałe — dodał po krótkiej chwili pan Marek. Rodzi się dziecko. Ale wieśniak wie, że to nie on je spółdził. Wystarczy spojrzeć na jego buzię, prawda?

— Tak — odparł Luke, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza jego rozmówca.

— A potem syn Janka dojrzeje, żeni się i ma swoje własne dzieci. Ale te dzieci są również potomkami Janka... i któregoś dnia, kiedy minie trzydzieści sześć lat, Janek przybywa, puka do drzwi i prosi o wnętrzności, które mu obiecano. Tak? Rozumie pan teraz.

Trzydzieści sześć lat to szmat czasu, kiedy spojrzysz się w przyszłość, ale zaledwie krótka chwilka, kiedy spojrzysz się wstecz. Niezależnie jak długo to trwa, przychodzi w końcu ten dzień: dzień, kiedy Janek Przychodzi na ucztę.

To przypomina pakt z diabłem. Wie pan, kiedy ktoś sprzedaje jak doktor Faust swoją duszę. Ale wiemy przecież, że Bóg ma w opiece nasze dusze i że diabła tak naprawdę wcale nie ma. Poza tym Janka nie interesują dusze; jeśli w ogóle istnieją. Chce naszych wnętrzności.

Naszego własnego ciała.

— Więc Zielony Janek puka do drzwi? I co się dalej dzieje? - spytał Luke.

— Nie może wejść do domu, dopóki nie zostanie zaproszony. Jeśli nikt go nie zaprasza, musi pukać i pukać, aż ktoś się zniecierpliwi i powie: przestań wreszcie pukać i wejdź do środka! Na ogół jednak zapraszają go wnukowie. Jest w końcu ich dziadkiem; nie znają go, ale czują, że są ciałem z jego ciała i zapraszają go.

— A potem co?

Pan Marek senior zgniótł papierosa.

— Potem dostaje wnętrzności, które mu obiecano, ot co. Od własnego syna albo kogoś innego, kto jest akurat pod ręką. I pożera je.

— Pożera wnętrzności?

— Surowe i ciepłe, wydarte z wciąż żywej ofiary. Powiadają, że to najgorsza śmierć, jaka może się komuś przydarzyć.

— Mogę to sobie wyobrazić.

Pan Marek senior wyjął z paczki kolejnego gauloise'a.

— Nie wydaje mi się, żeby potrafił pan to sobie wyobrazić, szeryfie. Mówimy o bardzo specyficznym rodzaju cierpienia. Nie wszyscy są w stanie je znieść. Niektórzy wolą zabić się, żeby się przed nim uchronić. Albo zabić kogoś innego, nawet osoby, które kochają.

— Nawet własne dzieci? — zapytał Luke.

— Każdego — odparł pan Marek senior.

ROZDZIAŁ VIII

— Są jeszcze inni maskarnicy, prawda? — zapytał Luke. — Zielony Janek nie jest sam.

— Oczywiście, że nie jest sam — powiedział pan Marek senior. Stał teraz przy oknie, unosząc prawą dłonią firankę, paląc gauloise'a i wyglądając na dwór. Dochodziła szósta. Tak jak to się często dzieje po południu, można było odnieść wrażenie, że zegar przeskoczył dwie ostatnie godziny.

— Miecznik? Świadek? Trędowaty? I para bliźniaków o imionach Nóż i Naga? Pan Marek senior odwrócił się powoli w jego stronę.

— Wie pan więcej, niż mi pan powiedział, szeryfie.

— Bynajmniej. Terence Pearson prowadził po prostu dziennik. Po czesku. Udało nam się przełożyć jego część i tam właśnie była o tym mowa.

— A pozostała część?

— Powinniśmy otrzymać przekład do jutra.

— Cóż, życzę w takim razie powodzenia. Ja nigdy nie zgodziłbym się tłumaczyć czegoś takiego.

— A to dlaczego?

Pan Marek senior po raz kolejny skrzyżował palce.

— Niech pan nie pyta. I tak źle robię wymawiając głośno imię Janka.

— Ale to wszystko działo się dawno temu w Czechosłowacji. Na długo przed drugą wojną światową. Dlaczego miałby się pan teraz tym przejmować?

Pan Marek senior puścił firankę.

— Ponieważ Zielony Janek nigdy nie przestaje podróżować i rozglądać się za wnętrznościami, które mógłby pożreć. Ostatnio pojawił się tu gdzieś niedaleko i dlatego właśnie nauczyłem Jake'a tego porzekadła.

— Ten sam Zielony Janek? Tysiąc lat później?

— Legenda mówi, że on żyje wiecznie. Legenda mówi, że niemi ludzie żyją wiecznie.

— Niech pan mi opowie o pozostałych.

— O pozostałych? Każdy z nich robi co innego, prawda? Ma inne zadanie. Miecznik krzyżuje miecze, tak jak ja krzyżuję palce, widzi pan? W samym środku tkwi głowa ofiary.

Nie ruszaj się, kiedy wypruwają z ciebie flaki, mówi do niej, bo utnę ci głowę. Jest pewien sposób, żeby otworzyć miecze, ale większość ludzi jest zbyt przerażona, żeby go odkryć. I cierpi. Ale niektórzy myślą, że lepiej będzie, kiedy Miecznik utnie im głowę. Wtedy on pociąga za rękojęść

jednego i miecze się zatrzasują niczym migawka aparatu... i ucinają głowę. A potem Chirurg nakłada ją z powrotem, żeby ofiara mogła czuć ból, kiedy wypruwają z niej flaki.

— No nie... — przerwał mu Luke, czując jak ogarnia go coraz większy sceptycyzm. —

Nie powie mi pan chyba, że jakikolwiek chirurg potrafi przyszyć uciętą głowę.

— To nie różni się od... jak ona się nazywa, ta murzyńska magia?

— Vodou?

— No właśnie, od vodou. Zna się pan na tym? To zupełnie to samo. Chirurg nie przyszywa głowy, on ją po prostu nakłada i puf, już po wszystkim.

— Więc następnym razem, kiedy urwie mi się guzik przy koszuli, nie będę musiał go przyszywać. Po prostu go przyłożę, puf i po wszystkim.

— Będzie pan potrzebował ziół. Będzie pan musiał odmówić odpowiednie modlitwy

— stwierdził pan Marek senior, w ogóle się nie uśmiechając.

Luke siedział przez chwilę w milczeniu. Nie bardzo wiedział, jak ma traktować tę całą mitologię; nie mógł jednak zaprzeczyć, że oferuje mu ona pierwsze i jak na razie jedyne wytłumaczenie tego, co zdarzyło się od soboty w rodzinie Pearsonów. Pamiętał również dobrze ilustrację, która wisiała w pokoju Terence'a. Ilustrację, która przedstawiała tego uśmiechniętego chytrze, przybranego od stóp do głów w liście maszkarnika. A może to nie było wcale przebranie.

Może liście były nim, a on był liśćmi i nie sposób było powiedzieć, gdzie kończy się drzewo i zaczyna człowiek.

Co było oczywiście czystym absurdem. Kwalifikowana brednia, wymyślona w federalnym ministerstwie rolnictwa, jak określiliby to Norman Gorman.

— Zielony Janek zawsze gwałci żonę swego syna — dodał prawie nonszalanckim tonem pan Marek senior. — W ten sposób upewnia się, że będzie miał trzewia, którymi pożywi się w przyszłości. Żona jego syna rodzi dzieci; a te dzieci zapraszają go do domu, żeby pożywił się swoim własnym synem; i tak dalej, i tak dalej. Pokolenie po pokoleniu. Ma oczywiście wielu synów. Kiedy tylko ludzie chcą lepszych zbiorów, kiedy tylko chcą coś za nic, wtedy zawsze pojawia się Zielony Janek...

Kiedy czasy są ciężkie... kiedy szaleją burze i rzeki występują z brzegów, wtedy zawsze znajdzie się paru farmerów, którzy modlą się, żeby Zielony Janek zapukał do ich drzwi. Nie myślą o kosztach. Przypominają sobie o nich dopiero później, po trzydziestu sześciu latach.

Zaczynają obserwować pogodę. Modlą się, żeby była zawsze dobra i żeby Zielony Janek odwiedzał inne strony świata. Modlą się, żeby trzymał się od nich z daleka i zapomniał o tym, że ma im złożyć wizytę.

Prawie w każdym kraju na świecie krążą opowieści o niemych ludziach. W Anglii to był Zielony Jack; wciąż się o nim pamięta. Ile jest hoteli i jak one się nazywają...? pubów, które nazywają się „Pod Zielonym Człowiekiem”? W Sudetach nosił imię Jan Baumkopf: Jan Drewniana Głowa. A w ilu krajach słyszy się opowieści o dzieciach, które urodziły się pod krzakiem? Prawie w każdym. Wszystkim dał początek Zielony Janek.

Luke wyjął chusteczkę, złożył ją i wytarł czoło. Chociaż na dworze wiał wiatr, w salonie było parno i duszno, a żubrówka nie poprawiała bynajmniej atmosfery.

— Niech pan posłucha — powiedział. — To wszystko jest przecież tylko starą legendą, prawda? Mitologią.

— Nie rozumiem.

— Cała ta opowieść o Zielonym Janku to fikcja? Coś w rodzaju mitu?

— Nie, nie. To jest... jak wy to nazywacie... Dokumentarne? Rzeczywiste?

— Jakiś facet jest w połowie człowiekiem, w połowie drzewem i odżywia się ludzkimi flakami, a pan uważa to za rzeczywiste?

Pan Marek senior popatrzył na Luke'a, przeczesując powoli dłonią włosy.

— Pan mi nie wierzy?

— Ujmijmy to inaczej, panie Marek. Nie mówię, że panu nie wierzę. Po prostu trudno jest się z tym wszystkim pogodzić.

— Przecież po to pan tutaj przyszedł.

— Słucham?

Pan Marek senior przerwał, żeby zapalić kolejnego papierosa.

— Po to pan tutaj przyszedł. Przyszedł pan, żeby znaleźć kogoś, kto powie, że nie jest pan szalony. Chyba się nie mylę. Już wcześniej wiedział pan wszystko o Zielonym Janku. Nie potrafił pan tylko w to uwierzyć. Wiec co pan zrobił? Przyszedł pan tutaj, żeby znaleźć kogoś, kto również wie o tym wszystkim. Przyszedł pan wysłuchać go i powiedzieć: ho, ho, ta cała historia o Zielonym Janku to wierutne bzdury!

— No dobrze — odparł Luke. — Wiec twierdzi pan, że oni istnieją naprawdę, Zielony Wędrowiec i ci jego maszkaraiacy. Ludzie opowiadają o nich legendy od setek lat, ale oni istnieją naprawdę?

— Istnieją naprawdę, zgadza się. Tak jak banda Cyganów. „Hau, hau, szczekają psy, do miasta wchodzą żebracy”. Pamięta pan to? Żebracy z tej piosenki to Zielony Janek i jego maskamicy. Jedni ubrani w łachmany, inni we wstążkach, a jeszcze inni w atłasach.

— Niech pan da spokój, panie Marek. Istnieją naprawdę i żyją wiecznie?

Pan Marek wpatrywał się w niego przez kłęby tytoniowego dymu.

— Wierzy pan w to podobnie jak ja.

Luke przez długi czas w ogóle się nie odzywał. W końcu pokiwał głową.

— Tak, panie Marek. Chyba wierzę. Nie mogę tylko po prostu objąć tego rozumem.

Nie mogę zrozumieć, kim są.

— Cyganami, żebrakami, maszkarnikami. Ludźmi, którzy podróżują.

— Ludźmi, którzy podróżują i żyją wiecznie?

— No cóż, szeryfie, jak już powiedziałem, opowiadają na ten temat dwie albo trzy różne historie. Pierwsza mówi, że Janek i niemi ludzie są kimś w rodzaju wampirów, że to upiory, które nie mogą zaznać spokoju. Nic o tym nie wiem. Nigdy nie wierzyłem w wampiry. Tak czy owak, wedle najczęściej powtarzanej legendy nieśmiertelność zagwarantował im Kościół w Rzymie.

— Papież? Dlaczego papież miałby im to gwarantować?

— Z tej samej przyczyny, dla której robi wszystko większość papieży: dla pieniędzy.

Legenda mówi, że Zielony Janek opuścił Czechy z powodu epidemii cholery i przybył do Toskanii. Tam też pukał do drzwi i wzbogacił wielu chłopów. Oliwki, cytryny, pszenica... po wizycie Zielonego Janka mogli uprawiać wszystko. Ale wzbogaciwszy się, prędko doszli do wniosku, że nie chcą płacić za to bogactwo życiem własnych dzieci. Odnaleźli Zielonego Wędrowca i błagali go, żeby się nad nimi ulitował.

Jak oni go błagali! Błagali tak długo, że w końcu Zielony Janek przyrzekł, iż oszczędzi ich dzieci, jeżeli znajdą sposób, dzięki któremu on i jego towarzysze będą żyli przez tysiąc lat. Chłopi nie wiedzieli, jak sprawić, by ktoś żył tysiąc lat. A pan może wie? Poszli więc do papieża. Ojcie święty, powiedz nam, poprosili, jak sprawić, by ktoś żył tysiąc lat, a damy ci złoto, pieniądze i listy zastawne. Papież potrzebował pilnie pieniędzy na prowadzenie świętych wojen. To był papież Formosus Pierwszy: sto jedenasty papież. W zamian za pieniądze, złoto i listy zastawne wyjął w tajemnicy z watykańskiego skarbcza trzydzieści srebrników, które Judasz Iszkariot dostał za to, że zdradził Jezusa.

— Te prawdziwe trzydzieści srebrników? Mieli je w skarbcu?

— Jasne. Mają tam różne święte relikwie. Gąbkę, którą nasączono octem i podano wiszącemu na krzyżu Chrystusowi. Prochy świętego Jana Chrzciciela. Prawdziwe prochy! I trzydzieści sztuk srebra, co do jednej...

Coś panu powiem: wielu ludzi zastanawiało się przez długie lata, dlaczego Judasz zdradził Jezusa za

takie małe pieniądze. Historycy, uczeni, wszyscy pytali dlaczego? Żaden z nich nie wiedział, że te monety nie były zwykłymi sztukami srebra. Były niezwykle... bardzo niezwykle i dlatego Judaszowi tak strasznie na nich zależało.

Pan Marek senior zakaszczał raz i drugi, a potem dostał regularnego ataku kaszlu, który wydawał się nie mieć końca. Wreszcie jednak pociągnął solidny haust wódki, przez chwilę trzymał ją w ustach, a potem z hałasem połknął.

— Legenda mówi, że te monety... te srebrniki wybili kilkaset lat przed narodzeniem Chrystusa perscy złodzieje. Ukradli srebro z dziedzińca świątyni, którą Mojżesz zbudował dla arki przymierza. Jeśli przeczyta pan Biblię, przekona się pan, że Bóg kazał, aby wszystkie filary świątyni obłożone były srebrem i z tego właśnie srebra Persowie sporządzili swoje monety. Na każdej z nich znajdował się napis: „Życie w Śmierci”, co oznacza życie w granicach śmierci.

Musiał pan nosić wszędzie pięć takich monet, rozumie pan? Jedną za Ojca, jedną za Syna, jedną za Ducha Świętego, jedną za Jezusa i jedną za Najświętszą Panienkę. A wtedy zawsze znajdował się pan jedno uderzenie serca za innymi. Mam na myśli czas. Jedno uderzenie serca w czasie. W ten właśnie sposób Bóg chciał ochronić arkę przymierza, i uczynił ją jednocześnie widoczną, rozumie pan? Ludzie widzieli ją, ale nie potrafili w żaden sposób jej zniszczyć lub uszkodzić, ponieważ ona nie istniała w czasie teraźniejszym. Istniała w przeszłości. I to dzięki temu właśnie Zielonemu Wędrowcowi i niemy ludzom udaje się żyć tak długo. Nigdy jeszcze się z nami nie zrównali. Czy nadejdzie dzień, w którym Powinni umrzeć? Nigdy... zawsze będą o jedno uderzenie serca do tyłu.

— Więc chłopci dali monety Jankowi i jego maszkarnikom?

— Tak jest, po pięć monet każdemu, w sześciu skórzanych sakiewkach.

— I maszkamicy nie umarli?

- Zgadza się, nie umarli.

— A Zielony Wędrowiec darował życie chłopskim dzieciom?

— No nie, chyba pan żartuje. Darować życie? To nie w stylu Janka! Zabił je oczywiście. Nie był głupcem. Chłopci nie potrafili mu udowodnić, że dzięki monetom maszkarnicy stali się nieśmiertelni, w każdym razie nie na wiele lat, a Janek potrzebował

przecież wnętrzości. Nawet nieśmiertelni muszą coś jeść, szeryfie. Mogą żyć wiecznie, ale nie są przecież niewrażliwi na głód, ból i wszystkie inne problemy, które trapią normalnych ludzi.

— Więc można ich zabić?

— Oczywiście, jeśli uda się ich panu fizycznie zniszczyć. Żeby to zrobić, trzeba ukraść im ich monety, żeby zrównali się z panem w czasie. Ale to takie same mrzonki jak to, że można zabić Drakule. przebijając jego serce osinowym kołkiem, albo zastrzelić wilkołaka srebrnym pociskiem. Co nie znaczy oczywiście, że wierzę w Drakulę albo wilkołaki, rozumie pan.

— Ale wierzy pan w Zielonego Wędrowca?

— Bezsprzecznie. I pan też musi w niego uwierzyć. Ma pan przecież dowód. Te wszystkie liście.

— Liście? — zdziwił się Luke.

— O to właśnie chciałem pana zapytać: skąd się wzięły te liście? Siedem worków liści, tak pisały gazety. Skąd, pana zdaniem, się wzięły?

Luke wstał.

— Będę się chyba musiał nad tym wszystkim poważnie zastanowić.

— To sprawka Zielonego Janka — oznajmił ochryłym głosem pan Marek senior. —

To on je przytargał. I jeśli pan mi nie uwierzy, będzie pan ich musiał sprzątać o wiele więcej.

Nie wspominając już o trupach. On jest tutaj, szeryfie, razem z innymi niemymi ludźmi; i chce tego, czego chce.

— Mianowicie?

— Kto to może wiedzieć? On zawsze czegoś chce. To żarłoczny facet. Ale kiedy odkryje pan, czego chce, złapie go pan, to pewne jak amen w pacierzu.

Luke uściśnął dłoń pana Marka.

— Chciałbym panu bardzo podziękować za pomoc. Zachował się pan jak lojalny obywatel.

Pan Marek senior zapalił kolejnego gauloise'a.

— Raczej jak samobójca — stwierdził.

Garth przeszedł przez cały budynek chlewni i dotarł do samego końca, tam gdzie znajdował się należący do Kapitana Blacka boks numer dwadzieścia.

Chociaż ścianka z pleksiglasu była popękana i podrapana, natychmiast dostrzegł wielką czarną sylwetkę największego amerykańskiego knura, który leżał z obandażowanym łbem w odległym kącie zagrody. Garth przystanął i wpatrywał się w Kapitana Blacka przez bardzo długą chwilę, nie wiedząc, czy wypełnia go duma, gniew czy desperacja. Rada dyrektorów Instytutu Spellmana uznała, że badania powinny być bezzwłocznie kontynuowane, i zdążyła już awansować Gartha na osierocone przez Raoula stanowisko szefa sekcji przeszczepów. Ale śmierć kolegi pozbawiła doktora Matthewsę całej pary. Bez Raoula przestało mu na czymkolwiek zależeć. Mieszane uczucia budził w nim także Kapitan Black. Po pierwszym ataku zachowywał się w miarę spokojnie, ale było w nim coś głęboko niepokojącego — w sposobie, w jaki przesiadywał nieruchomo w swojej zagrodzie i w jaki wpatrywał się w ludzi tymi błyszczącymi, nieczułymi oczkami.

Garth wciąż stał na korytarzu, kiedy nadeszła Jenny. Miała na sobie niebieski laboratoryjny fartuch i dzinsy; włosy spięła szylkretowymi spinkami.

— W jakim jest stanie? — zapytała. W kieszonce jej fartucha tkwił obgryziony ołówek.

Miała również poobgryzane paznokcie.

— Nie wiem. Wygląda tak samo jak zwykle. Zastanawiałem się właśnie, czy nie powinienem zaryzykować i wejść do środka.

— Sam?

Jenny miała niewielką ciemną myszkę na lewym policzku tuż pod okiem. Zastanawiał się, jak to się stało, że nie zauważył jej przedtem. Może nigdy się tak naprawdę Jenny nie przyjrzał...

— Nie ruszymy do przodu, jeśli nie zaczniemy się z nim jakoś porozumiewać, prawda?

Uśmiechnęła się krzywo.

— Może powinniśmy zainstalować system mikrofonów i głośników. Byłoby bezpieczniej.

— Nie... — stwierdził Garth. — On musi nas widzieć. Musi kojarzyć słowa z fizycznymi gestami. Zostań tutaj. Jeśli zacznie mieć muchy w nosie, wyskoczę szybko na zewnątrz, a ty zatrzaśnij drzwi.

— Czy masz na to pozwolenie? — zapytała nerwowo.

— Jenny... jestem nowym szefem sekcji przeszczepów. Nie potrzebuję żadnego pozwolenia. Nie wiem, czy to jest dobry, czy zły pomysł, ale musimy po prostu zobaczyć, jak zareaguje.

— No nie wiem. Wydaje mi się, że powinniśmy mieć tu kogoś jeszcze. Kogoś z pistoletem.

Garth potrząsnął głową.

— Kapitan siedzi tutaj od tamtego czasu spokojny jak kotek. Wydaliśmy na niego osiemnaście milionów dolarów. Musimy w końcu pchnąć do przodu te badania.

— Dobrze, w porządku — zgodziła się Jenny. — Pamiętaj, co powiedział O. Henry:

„Prawdziwy poszukiwacz przygód podąża bez wyraźnego celu i bez wyrachowania naprzód, na spotkanie nieznanego przeznaczenia”.

— Trafiłaś w samo sedno — odparł Garth. Podszedł do zagrody i przekręcił klucz w zamku. Drzwi otworzyły się na oścież i od razu poczuł bijący w nozdrza odór świni. Był tak intensywny, że aż go замуrowało. Był bardziej intensywny niż przedtem i kiedy zerknął na zbiornik z wodą, domyślił się dlaczego. Woda była wciąż czysta, co oznaczało, że Kapitan nawet się do niej nie zbliżył.

Wszystkie świnie tarzają się w wodzie, zwłaszcza podczas upałów. Ale nie Kapitan.

Garth wszedł do środka. Serce waliło mu w piersi, a potem zamierało i uderzało ponownie. Przez okno sączyło się przyćmione popołudniowe światło, wydobywając z półmroku zgarbiony, pokryty czarną szczeciną grzbiet. Uszy Kapitana opadły do przodu, ale Garth wciąż widział pod nimi jego oczy, obserwujące go bacznie, w miarę jak podchodził

coraz bliżej. Ryj knura był suchy; w twardej skórze wokół nozdrzy widać było drobne pęknięcia. Z dolnej szczęki zwisała nitka śliny, która błysnęła, kiedy Kapitan obrócił powoli łeb.

— Jak się miewasz, staruszk — powiedział Garth. — Wciąż boli cię głowa?

Kapitan chrząknął, sapnął i zaczął skrobać racicami po betonowej podłodze.

— Byłeś bardzo niegrzeczny, Kapitanie Black — podjął Garth. — Może to nie twoja wina, ale to nie ma znaczenia. Zabiłeś Raoula, a Raoul naprawdę cię kochał, staruszk.

Kochał cię tak bardzo, że nie pozwolił nikomu cię skrzywdzić, chociaż wiedział, że umiera.

Żaden naukowiec nie kochał bardziej badanego przez siebie zwierzęcia.

Kapitan Black potrząsnął niecierpliwie głową. Jego bandaże były brudne, mimo że zeszłej nocy, kiedy leżał otumaniony po dawce methohexitonu, wymienił je zespół

weterynarzy. Cięcia powinny się zagoić w ciągu kilku dni; bandaże służyły głównie ochronie.

Podczas operacji zgolili mu szczecinę, ściągnęli pojedynczy duży płat skóry i wycięli w czaszce kwadratowy otwór o boku prawie pięciu centymetrów, uzyskując dzięki temu dostęp do wszystkich głównych złączy nerwowych, które chcieli na nowo zakodować. Po operacji przykleili w dosłownym sensie silnym chirurgicznym klejem „pokrywkę” czaszki, przyszyli z powrotem płat skóry i nałożyli standardowy nie przywierający do rany antyseptyczny opatrunek.

Garth podszedł jeszcze bliżej. Serce nadal biło mu wolno i nierówno i wyobrażał sobie nieregularną linię, jaką jego rytm pozostawiałby na ekranie elektrokardiografu. Blip-bliiip-blep-blip. Słyszał świszczący, lekko zakatarzony oddech Kapitana. Czuł cuchnący odór, który wydobywał się z płuc świni — odór, który przypominał zapach kompostu, octu i śmierci.

Stało się coś niedobrego — pomyślał. — Coś bardzo niedobrego. Spodziewałem się chętnego do współpracy dziecka. Zamiast tego mam do czynienia z ponurym socjopatą.

Radzie dyrektorów nie powiedział na razie ani słowa. Wciąż byli święcie przekonani, że przywieziony przez Nathana wycinek mózgu otrzymali legę artis i w zgodzie ze wszystkimi przepisami. Ze swej strony Garth wiedział, że Nathan nigdy nie dostarczyłby mu świadomie wycinka, którego dawca wykazywał jakiegokolwiek odstępstwa od normy. Był wściekły na Nathana za to, że tamten nie grał z nim w otwarte karty. Ale w gruncie rzeczy nie wierzył, że ponosi on winę za zachowanie Kapitana Blacka. Razem z Raulem doprowadzili badania nad zachowaniem zwierząt do ekstremalnej granicy: do granicy prawdopodobieństwa i jeszcze trochę dalej. Raoul zapłacił za to

najwyższą cenę.

— Spokojnie, staruszk — powiedział kojącym tonem. — Wszystko jest teraz w porządku. Ty i ja musimy się zaprzyjaźnić.

Kapitan Black dał krok do tyłu; prawie jakby się przestraszył.

— Spokojnie — powtórzył Garth. — Jesteś teraz tylko małym chłopcem, prawda?

Jesteś tylko dzieckiem. Przymierzam, że cię nie skrzywdzę. Ale musisz mi pokazać, że rozumiesz, co do ciebie mówię. Jeśli zapytam, czy nazywasz się George, musisz tylko pokiwać głową. Myślisz, że uda ci się to zrobić?

Kapitan Black zadreptał w miejscu i chrząknął. Garth nie miał pojęcia, czy knur go zrozumiał, czy nie. Ale musiał nawiązać z nim jakąś formę kontaktu; wiedział, że w przeciwnym razie na marne pójdzie dziewięć lat ciężkiej i astronomicznie drogiej pracy badawczej; a jego własna kariera zakończy się być może mniej krwawo, ale tak samo szybko jak Raoula.

Kapitan obserwował go błyszczącymi czarnymi oczkami, szczerząc zakrzywione żółte kły. Po raz pierwszy w życiu Garth poczuł, jak ogarnia go autentyczny strach. Widział, jak Kapitan rozrywa jednym szarpnięciem potężnej szczęki krocze Raoula, i od tamtej pory stale się obawiał, że to samo spotka i jego. Nie chodziło mu o ból, ponieważ Raoul nie czuł chyba wielkiego bólu. Najbardziej przerażało go to, że może oglądać na własne oczy, jak pozbawia się go męskości, oglądać to ze świadomością, że jest już prawdopodobnie martwy — a jeśli nie jest, to za chwilę będzie.

Kapitan Black zaszurał ponownie nogami i cofnął się w najciemniejszy kąt zagrody.

— Daj spokój, staruszk, porozmawiajmy, dobrze? Możemy zostać przyjaciółmi.

Wiesz o tym, prawda? Cokolwiek się stało, to nie była twoja wina. Wciąż możemy zostać przyjaciółmi.

— Wszystko w porządku, doktorze Matthews? — zawołała Jenny.

— Na razie tak — odparł Garth. — Zachowuje się jak nieśmiałe dziecko. Dokładnie tak, jak według mnie powinien się zachowywać.

— Jeśli pan chce, zawołam strażników.

— Nie, nie... nie ma potrzeby.

Podszedł do knura, podnosząc otwartą prawą dłoń w geście przyjaźni i pojednania.

Kapitan Black nigdy przedtem nie cuchnął tak intensywnie. Garth z trudem oddychał i zbierało mu się na mdłości. Ale wiedział, że musi nawiązać kontakt. Tylko ten jeden raz —

żeby pokazać, że Raoul nie zginął na marne. Czekał na wyraźne, świadome kiwnięcie łbem,

skrobnięcie racicą o podłogę cokolwiek.

— Powiedz mi w takim razie, jak się nazywasz — poprosił. — Czy nazywasz się Philip? — Pokręcił powoli z boku na bok głową. — Nie, nie nazywasz się Philip. A może Ken? Czy masz na imię Ken? — Ponownie pokręcił głową i zrobił ponurą, rozczarowaną minę. — Nie, nie nazywasz się Ken.

Knur zaczął się niepokoić. Jego boki unosiły się miarowo, a z nozdrzy wydobywał się ciepły, cuchnący oddech. Garth wyczuł, że za kilka sekund Kapitan Black straci do niego cierpliwość. Mógł posiadać umysłowość niewinnego trzyletniego dziecka, ale miał dość siły, aby zmienić dziecinne psoty w tragedię.

— A może George? — zasugerował Garth. — Może nazywasz się George? — Pokiwał energicznie głową, żeby pokazać Kapitanowi Blackowi, że nazywa się George.

Kapitan przekręcił lekko pysk, ale nie zrobił nic, żeby go naśladować.

— Daj spokój, George — powiedział Garth. — Nazywasz się George i żyłeś sobie ze swoimi dwiema siostrzyczkami, mamą i tatą, czy nie tak? Jedna z siostr miała na imię Emily, a druga Lisa.

Kapitan Black stał przez chwilę zupełnie bez ruchu; a potem niespodziewanie opuścił głowę. Jedwabiste czarne uszy opadły mu na oczy, całkiem je zasłaniając.

— W domu była Emily, Lisa i ty, prawda? I mieszkaliście przy Vernon Drive?

Dowiedziawszy się od Nathana, skąd pochodzi wycinek mózgu, Garth kupił wszystkie stare wydania „Cedar Rapids Gazette”, w których była mowa o zabójstwie Pearsonów, i przeczytał trzy albo czterokrotnie dotyczące ich materiały. Wiedział teraz o małym George[^]

Pearsonie wszystko, co wydrukowały środki przekazu; chciał też porozmawiać z sąsiadami, nauczycielami i przyjaciółmi Pearsonów (jeśli jakichś mieli). Jakkolwiek by na to patrzeć, Kapitan Black był teraz George'em Pearsonem, względnie jego świńską wersją, i im więcej Garth o nim wiedział, tym łatwiej mógł się z nim skomunikować.

— George — powiedział Garth, zbliżając się do knura tak blisko, że czuł jego oddech.

— Wiem, że byłeś przestraszony... wiem, że cię skrzywdzono. Ale teraz wszystko jest w porządku. Jesteś inny... będziesz teraz czuł się inaczej. Ale tak czy owak, jesteś dalej George'em. Jesteś dalej małym chłopczykiem swojej mamy.

Dotknął ucha Kapitana Blacka i zaczął je masować między palcami.

— Przebyliśmy razem szmat drogi, prawda? Hodowałem cię, chowałem, karmiłem.

Teraz masz również duszę. Ludzką duszę. Chcę, żebyśmy się ze sobą zaprzyjaźnili, żebyśmy zaczęli ze sobą rozmawiać. Chcę, żebyś któregoś dnia zrozumiał, kim był Raoul Lacouture, którego zabiłeś;

żebyś zrozumiał, co on dla ciebie zrobił i co ty mu zrobiłeś, i żebyś zaczął go szanować.

Nadal masował ucho Kapitana Blacka, ale w oczach stanęły mu łzy, łzy żalu za Raoulem. Nienawidzę tej pierdolonej świni — pomyślał. — Żałuję, że nie mam wystarczających pełnomocnictw albo odwagi, żeby położyć ją trupem. Ale przecież Raoul nigdy by mu tego nie wybaczył, Raoul potrząsnąłby głową zza grobu i powiedział: „W imię czego umarłem, człowieku, jeśli teraz niszczysz dzieło mojego życia?” I Garth nie potrafiłby na to odpowiedzieć.

Kiedy był znacznie młodszy, wierzył, że ksenogenetyka stworzy któregoś dnia Ogólną Teorię Wszystkiego — odnajdzie klucz do Boga, klucz do wszechświata, odpowiedź na pytanie dlaczego tutaj jesteśmy. Z czasem zorientował się, że im więcej odkrywamy, tym mniej w gruncie rzeczy wiemy. Ksenogenetyka była jednocześnie krainą czarów i powiększającym szkłem — światem, w którym wszystko poruszało się do tyłu albo w złą stronę; i im więcej odkrywało się faktów, tym mniej było się w stanie pojąć.

Na ostatnie urodziny Raoul podarował mu kopię jednej z ilustracji Tepniela do „Alicji w Krainie Czarów”. Trzymane na rękach przez Alicję dziecko powoli przeobrażało się na niej w świnię. „Uważaj na świnię, które nie są tym, czym się wydają”, napisał pod spodem Raoul.

Wtedy miał to być niewinny żart. Napis okazał się jednak gorzką przepowiednią śmierci ofiarodawcy.

Powstały w wyniku najśmielszego w historii ksenogenetyki eksperymentu Kapitan Black okazał się rzeczywiście stworzeniem nieprzewidywalnym, tajemniczym i niebezpiecznym. I podobnie jak działo się w przypadku wszystkich poprzednich eksperymentów, prowadzonych przez Gartha i Raoula, rodził problemy moralne, na które prawie nie sposób było udzielić odpowiedzi.

Ale przecież któregoś dnia i tak ktoś dokonałby tego samego; i w końcu było chyba lepiej, że dokonali tego oni, odpowiednio wyekwipowani, odpowiednio nadzorowani, przestrzegający surowych federalnych przepisów.

Nie po raz pierwszy Garth żałował, że nie ułożył sobie życia w zupełnie inny sposób.

Powinien prowadzić Bar Doktora Matthews na którejś z wysp Polinezji, słuchając bębniącego o dach deszczu i spoglądając na sunące między stolikami przepiękne szczupłe dziewczyny. Ale wybrał co innego; robił to dobrze i czuł się moralnie zobligowany doprowadzić to do końca. A teraz musiał także doprowadzić do końca dzieło Raoula. Tyle przynajmniej był mu winien. Kapitan Black podniósł powoli łeb, wrywając ucho z jego dłoni, a potem obnażył kły i spojrzał na niego z chłodną nienawiścią. Garth widział odbijającą się w jego oczach własną sylwetkę. Czuł, jak wzbiera w nim powoli strach, ale opanował się i stał dalej w miejscu. „Nie powinieneś nigdy pokazywać wściekłemu knurowi, że się go boisz

— powtarzał zawsze jego ojciec. — Knurowi jest to głęboko obojętne, ale potem nikt przynajmniej nie będzie mógł ci zarzucić, że jesteś tchórzem”.

Kapitan Black zadarł łeb w górę, tak że nitka śliny przykleiła mu się do ryja, i wydał z siebie odgłos,

który przypominał skrzywienie przesuwanej po gołej podłodze sofy.

— George — szepnął Garth. — Posłuchaj mnie, George, jesteś z powrotem wśród przyjaciół. Wszystko będzie dobrze. Wiem, że cię skrzywdzono. Wiem, że czujesz się zraniony. Ale wszystko się dobrze skończy.

Kapitan Black wydał z siebie kolejny głęboki gardłowy pomruk.

— Wciąż żyjesz, George, tyle że w innym ciele — poinformował go Garth. —

Chłopiec, którym byłeś, jest teraz czymś innym... czymś zupełnie innym. Ale wciąż żyjesz.

Możesz zobaczyć znowu swoją mamę i swoją siostrę. Możesz zobaczyć Emily.

Reakcja Kapitana Blacka była gwałtowna jak wulkan. Knur wydał z siebie mrozący krew w żyłach ryk wściekłości i ruszył na naukowca, stukając racicami po betonowej podłodze. Garth próbował uskoczyć na bok, ale potężny bark knura rąbnął go w biodro i cisnął turlającego się po podłodze o ścianę zagrody.

— Garth! Garth! — zawołała Jenny. - Uciekaj do drzwi. Oszołomiony i pozbawiony tchu Garth próbował się podnieść, ale Kapitan Black zaatakował go ponownie, przygniatając do metalowego koryta. Garth czuł, jak pęka mu żebro, i jęknął głośno z bólu. Złapał za krawędź koryta, chcąc ponownie dźwignąć się na nogi, ale pokryty szczecina bok Kapitana Blacka rąbnął go z siłą, z jaką zderza się z nabrzeżem kadłub barki, i musiał cofnąć szybko rękę, żeby knur nie zmiażdżył mu palców. Robiąc to zahaczył przedramieniem o metalową krawędź koryta, która przecięła mu rękę od nadgarstka po łokieć, głęboko aż do kości. Ku własnemu zdziwieniu prawie nic nie poczuł, ale krew szybko wypełniła ranę i nie chcąc, żeby tryskała na wszystkie strony, przycisnął rękę mocno do piersi.

Kapitan Black musiał natychmiast zwietrzyć krew, bo obrócił się w przeciwległym rogu zagrody i stanął nieruchomo z podniesionym olbrzymim łbem, rozchylonymi suchymi nozdrzami i błyszczącymi jasno oczyma.

Roztrzęsiony Garth zdołał podnieść się na nogi. Wciąż przyciskał rękę do piersi, a poszerzająca się plama krwi zmieniała kolor jego koszuli z suchego błękitu na mokry brąz.

Kapitan Black znajdował się w odległości pięciu metrów; tyle samo dzieliło go od otwartych drzwi. Jenny stała w progu z wyciągniętą ręką, dając mu znak, żeby uciekał.

— Garth! Szybciej, Garth! Na pewno ci się uda!

Garth dał niepewny krok do przodu, a potem krzyknął głośno i przyklęknął na prawym kolanie. W jego prawej kostce eksplodował nagły ból. Była albo złamana, albo fatalnie zwichnięta i nie mógł się na niej w żaden sposób utrzymać.

Kapitan Black obserwował go w milczeniu. Nawet przed operacją sprawiał wrażenie, jakby rozumował w sposób podobny do człowieka, ale teraz jego oczy były tak wyrachowane i złośliwe,

jakby naprawdę zastanawiał się, jaką jeszcze splatać psotę.

Jenny dała trzy albo cztery kroki w głąb zagrody, chcąc pomóc wstać Garthowi, ale Kapitan natychmiast zawarczał na nią i zastukał racicami o betonową podłogę.

— Jenny, nie! Cofnij się — ostrzegł ją Garth. — Wciśnij alarm!

— Już to zrobiłam. Strażnicy powinni tu zaraz być.

Nawet w przypadku pożaru alarm nie uruchamiał syren w samej chlewni, żeby świni nie wpadły w panikę. Ale przycisk połączony był bezpośrednią linią z głównym budynkiem instytutu i dotarcie do zagród powinno zająć ochronie najwyżej parę minut. Kłopot polegał na tym, że Kapitan Black szykował się właśnie do kolejnej szarży, z pyska ciekła mu ślina i tych parę minut mogło się okazać paroma minutami za późno.

Garth ruszył, powłócząc boleśnie nogą, w stronę drzwi. Miał kompletnie przemoczoną koszulę; krew z łokcia kapłała na podłogę. Zaczęło mu się robić słabo. Dudniło mu w uszach, wewnątrz zagrody rozmazywało się przed oczyma, a świński odór był tak silny, że wydawało mu się, że zaraz zemdleje.

Kapitan Black przeszedł truchtem przez zbiornik z wodą i stanął między drzwiami a Garthem, obserwując go i w ogóle się nie poruszając.

Garth uświadomił sobie, że Kapitan Black ma zamiar go zabić. Nie dlatego, że był zwierzęciem, ale dlatego, że był czymś więcej niż zwierzęciem.

Kapitan Black miał zamiar go zabić, ponieważ wpadł w gniew; i chciał zemścić się na nim za to, co go rozgniewało.

— George... — szepnął Garth. — Pomyśl o tym, co robisz. Jeśli mnie zabijesz, nie zostanie nikt, kto mógłby się tobą zaopiekować. Zabiją cię, George. Nie ma co do tego wątpliwości. Mogli ci wybaczyć jednego trupa, ale nie wybaczą dwóch.

Kapitan Black zadarł łeb i wydał z siebie całą serię głębokich pomruków.

— Próbujesz mi coś powiedzieć? — zapytał go Garth. Lepka krew, którą nasiąkła jego koszula, zaczęła powoli zasychać; nie mógł opanować spowodowanego szokiem drżenia. —

Przyznaj, George: próbujesz mi coś powiedzieć?

Kapitan Black ponownie zadarł łeb. Czy to ma być kiwnięcie zastanawiał się mętnie Garth. — Czy naprawdę próbuje kiwnąć głową?

Usłyszał, jak otwierają się zewnętrzne drzwi chlewni, a potem głośnie krzyki mężczyzn i tupot stóp. Chwała Bogu, strażnicy zdążyli. Bliski był osunięcia się na ziemię.

— Daj spokój, George, powiedz, co cię zdenerwowało — zwrócił się do Kapitana. —

Powiedziałem „mama”. Czy to cię zdenerwowało?

Kapitan Black nadal wpatrywał się w niego bez ruchu.

— Powiedziałem „Emily”. Czy to cię zdenerwowało?

Przez sekundę trwała cisza, a potem Kapitan odrzucił do tyłu głowę i dosłownie zawył.

W progu pojawił się pierwszy strażnik z wiatrówką Mossberg kaliber dwanaście, ale nawet on odskoczył przerażony do tyłu.

— Jezu Chryste, co w niego wstąpiło? Garth podniósł ostrzegawczo lewą rękę.

— Nie strzelaj, Jim! Chyba że będziesz naprawdę musiał. Czy macie ze sobą pistolet ze środkiem usypiającym?

— Jest tutaj doktor Goodman z methohexitonem - zawołał drugi strażnik.

Garth podciągnął się trochę bliżej drzwi.

— George... — powiedział. — Nie wiem, dlaczego zdenerwowała cię wzmianka o Emily, ale nie chcę, żebyś się denerwował. Co byś powiedział, gdybym ją tutaj przyprowadził? Co o tym myślisz?

Kapitan Black zaczął ponownie warczeć. Przez chwilę Garth myślał, że poważnie się przeliczył. Może Kapitan w ogóle nie jest w stanie go zrozumieć. Może George Pearson doznał tak głębokiego urazu, że nie potrafił się już dłużej racjonalnie zachowywać.

Znajdował się teraz tak blisko knura, że gdyby ten postanowił zaatakować, strzałka z methohexitonem nie zdołałaby go powstrzymać. Tylko strażnik z wiatrówką miał szansę uratować Gartha przed śmiercią lub poważnym kalectwem — rozwalając po prostu Kapitanowi łeb.

Strażnika zasłaniało ogromne, pokryte szczecina cielsko Kapitana, ale Garth usłyszał

mechanizm jego wiatrówki.

— Przyprowadzę ci Emily — powiedział ciszej. — Co ty na to? Czy wtedy poczujesz się lepiej?

Przez jeden wydłużony w czasie moment Garth był przekonany, że knur go jednak zaatakuje. Mimo to nie miał wątpliwości, że Kapitan myśli, rozważa sprawę w swoim umyśle, rozważa wszystkie za i przeciw.

Strażnik stał z wiatrówką wycelowaną nieruchomo w łeb knura i Garth zdawał sobie sprawę, że jeśli Kapitan Black wykona jakiś groźny ruch w jego stronę, do historii przejdzie cały prowadzony od dziewięciu lat eksperyment.

Jenny chciała wejść do zagrody za plecami strażnika, ale jego kolega złapał ją za rękę.

— Proszę zaczekać — powiedział.

Kapitan Black zastrzygł uszami, po czym bardzo ostrożnie dał trzy albo cztery kroki do tyłu, dając do zrozumienia, że nie zamierza ponownie zaatakować Gartha. Odwrócił się, ruszył w stronę przeciwległego rogu zagrody i stanął odwrócony do nich zadem. Nawet gdyby potrafił mówić, nie mógł zakomunikować im wyraźniej swojej decyzji: pozwalał

Garthowi wyjść na zewnątrz.

— W porządku — zawołał strażnik. — Możecie go teraz zabrać!

Stanął z podniesioną wiatrówką między Kapitanem Blackiem i Garthem, a Jenny i drugi strażnik wbiegli do środka i pomogli naukowcowi się podnieść. Kontuzjowana kostka skrzywiła się pod nim pod dziwnym kątem i Garth krzyknął głośno z bólu, ale nawet wtedy Kapitan Black pozostał tam, gdzie był, nie okazując żadnych oznak agresji.

Jenny i strażnik wzięli między siebie Gartha i wyprowadzili go na zewnątrz, a drugi strażnik zaczął powoli wycofywać się z podniesioną strzelbą z zagrody. Znalazłszy się na korytarzu, zatrzasnął za sobą drzwi.

Leżącemu na podłodze Garthowi udzielił pierwszej pomocy doktor Goodman. Doktor należał do najlepszych weterynarzy w instytucie i chociaż Garth nie był świnią, krową ani owcą, wiedział, że znajduje się w dobrych rękach. Leżał na plecach, dygocząc i drżąc, podczas gdy doktor Goodman opatrywał jego przedramię, połykując łysiną w smudze przyćmionego światła i posyłając mu co jakiś czas krzepiące spojrzenie zza okularów.

— Miał pan prawdziwe szczęście, że nie przeciął pan sobie tętnicy — powiedział. —

Jeszcze jeden centymetr, a moglibyśmy co najwyżej wezwać coronera.

— Nic mi nie będzie — stwierdził chrapliwym głosem Garth. Wydaje mi się, że mam złamane jedno żebro, ale tak mnie boli, że nie mogę powiedzieć które.

— Niech pan się nie rusza — powiedział doktor Goodman. Przede wszystkim nie wiem, co pan robił w zagrodzie Kapitana Blacka. Próbował pan popełnić samobójstwo?

— Nawiązałem z nim kontakt — odparł Garth. — Udało mi się sprawić, że mnie zrozumiał. Jestem tego pewien.

Doktor Goodman spojrzał na Jenny, a potem z powrotem na Gartha.

— Nawiązał pan z nim kontakt? Po czym pan to poznał?

— Po jego reakcji. Nie wpadł w szal, dopóki nie wymieniłem imienia jego siostry.

Powiedziałem „Emily” i to było tak, jakbym wylał kroplę kwasu azotowego na fosfor.

Wściekł się zupełnie bez ostrzeżenia.

— Powiedział pan „Emily”? — zapytał zdumiony doktor Goodman. — Skąd pan wiedział, że jego siostra ma na imię Emily?

Garth zamrugał oczyma. Mimo że znajdował się w stanie szoku, natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił śmieszny błąd. Nawiązanie kontaktu z Kapitanem Blackiem wprowadziło go w stan takiej euforii, że zupełnie zapomniał, iż nie powinien w ogóle znać tożsamości dawcy.

— Jezus... — skrzywił się. — Niech pan uważa na moją kostkę.

— Och, przepraszam — powiedział doktor Goodman. — Sanita riusze zaraz tu będą.

Doktor nie wspomniał już ani razu o Kapitanie Blacku, ale jego mina wskazywała wyraźnie, że nie zamierza pozostawić tej sprawy bez odpowiedzi. Jakim cudem Garth Matthews znał tożsamość dawcy, skoro nie miał o niej pojęcia żaden inny członek zespołu badawczego, i jaki powód się za tym kryje?

Zamknięty w zagrodzie knur chrząkał, porykiwał i tłukł się be/celu o ściany. Garth wiedział, na co czeka Kapitan Black i wiedział, że nie uspokoi się, aż on, Garth, tego nie zaaranżuje. Kapitan Black chciał zobaczyć Emily.

Kiedy ułożono go na wózku i zaczęto wieźć w stronę wyjścia, Garth zobaczył, jak doktor Goodman mówi coś, zasłaniając dłonią usta, do Jenny, która kiwa raz i drugi głową.

Za nimi zaś zobaczył uniesioną na tylnych nogach masywną sylwetkę Kapitana Blacka, ciemnego jak burzowa chmura, dziwnego i strasznego — sylwetkę stworzenia, które sam powołał do życia i za które ponosił ostateczną odpowiedzialność.

Luke siedział przy łóżku Iris Pearson prawie przez dwadzieścia minut, zanim się w końcu obudziła. Kiedy to się stało, zaskoczyła go, posyłając mu nieśmiały uśmiech.

— Dzień dobry, szeryfie. Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się tutaj zobaczyć.

— Pomyślałem, żeby wpaść i zobaczyć, jak się czujesz.

— To bardzo miło z twojej strony. Czy mógłbyś mi podać szklankę wody? Strasznie zaschło mi w gardle.

Luke nalał do szklanki świeżej wody i podał jej. Wypiła trochę i oddała mu z powrotem. Wyglądała okropnie. Jej twarz była wciąż spuchnięta i pokaleczona, lewy policzek fatalnie podrapany, a lewe oko nabrzmiałe do tego stopnia, że prawie nie było go widać. Na głowie i prawej ręce miała grubą warstwę bandażu.

Mimo to jej wyraziste, przypominające Katherine Hepburn ostre rysy nadal mogły się podobać; choć ranna, nadal była warta grzechu. W gruncie rzeczy — pomyślał Luke — żeby oszpecić kobietę taką jak Iris Pearson, trzeba by obedrzyć ją aż do samej kości.

— Czuję się już lepiej — powiedziała. — Ale wciąż jestem obolała, jak Pan Królik wrzucony między krzaki jeżyn.

— Myślałem, że Pan Królik zdołał wyjść z tych jeżyn bez jednego zadrapania.

— Może i zdołał. Ale mnie się to nie bardzo udało, prawda? No i Mary, biednej Mary.

To ja powinnam zginąć, nie ona. Do niej przecież nic nie mieli, prawda?

Luke odchrząknął.

— Z tego, co zrozumiałem, jest im zupełnie wszystko jedno, kogo zabijają.

Zamrugła spuchniętymi powiekami. — Wiesz, kim są?

— Mam pewne podejrzenia. Kłopot polega na tym, że muszę to sobie wszystko solidnie przemyśleć; i muszę z tobą porozmawiać. To nie jest coś, co w normalnych okolicznościach można określić jako logiczne podejrzenia.

— W jakim sensie, szeryfie? - zapytała. Jej głos był cichy niczym szemrzący strumyk.

— Popytałem w środowisku czeskich emigrantów. Okazało się, że jest coś w rodzaju mitu albo legendy, która opowiada o maskarnikach... o ludziach, którzy w średniowieczu albo jeszcze dawniej odwiedzali wioski w Europie. Mieli podobno moc, dzięki której mogli wpływać na wzrost roślin. Mogli sprawić, że zboże rosło wysoko i dawało duże plony. W

zamian jednak chcieli, żeby oddano im potomstwo. Składali, jak sędzę, ofiary z ludzi.

Iris milczała, przygryzając wargę i szukając w twarzy Luke'a oznak świadczących o tym, że z niej nie żartuje. Czy mówił po to, żeby poprawić jej samopoczucie, czy żeby ją nabrać?

— Pamiętasz ten obrazek na ścianie w pokoju Terry'ego? — zapytał. — Tego mężczyznę, który ubrany był cały jak krzak?

Przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

— Według mnie ta ilustracja przedstawiała w dość wierny sposób jednego z tych maskarników... podejrzewam nawet, że ich przywódcę. Ma mnóstwo imion, ale Czesi nazywają go Zielonym Jankiem.

— Zielony Wędrowiec — szepnęła Iris.

— Tak — odparł Luke; nareszcie wiedział, że zaczyna posuwać się do przodu. — To dlatego właśnie Terry przypinał do ścian te wszystkie wykresy dotyczące zbiorów i mapy pogody. Kiedy pogoda jest zła, a zboże nie zapowiada się najlepiej, wtedy w okolicy pojawia się Zielony Janek. Puka do drzwi, żeby zobaczyć, czy żaden z moich scowych farmerów nie chce zawrzeć z nim umowy.

Iris zadrżała, ale nie powiedziała ani słowa. Luke wyciągnął dłoń i wziął ją za rękę.

— Muszę wiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy, Iris.

— Rozmawiałam już z dwoma policjantami — odparła.

— Wiem o tym. Widziałem ich raporty. Ale wydaje mi się, że wydarzyło się coś, o czym im nie powiedziałaś.

Uciekła szybko spojrzeniem w bok.

— Dlaczego tak mówisz?

— Ponieważ legenda mówi, że Janek jest w połowie człowiekiem, a w połowie żywym drzewem. Brzmi to zupełnie niewiarygodnie, prawda? A nawet śmiesznie. Ale zaraz po ataku na ciebie i twoją siostrę policjanci zgarnęli z twojego podwórka siedem worków liści europejskiego wawrzynu. Siedem worków... mimo że ani na waszym podwórku, ani na podwórku sąsiadów i w ogóle nigdzie w okolicy nie rośnie ani jeden taki wawrzyn. Prawdę mówiąc, najbliższy wawrzyn tego gatunku, jaki udało nam się zlokalizować, znajduje się w Noelridge Park przy Collins Avenue. - Przerwał i uściśnął jej rękę, żeby pokazać, że może mu zaufać. — Legenda mówi również, że Janek jako pół człowiek i pół drzewo potrzebuje, żeby przeżyć, ludzkich trzewi. Biedna Mary miała kompletnie usunięte wnętrze. Inny mężczyzna, Czech, który tłumaczył dla mnie notatki Terry'ego, wypruł z siebie... to znaczy wygląda na to, że wolał wyprać z siebie własnoręcznie flaki, niż oddać je Jankowi.

Obserwował bacznie jej reakcję: każde mrugnięcie oka, każde nerwowe oblizanie wargi. Nikt, kto nie doświadczył na własnej skórze, że legenda o Zielonym Janku jest czymś więcej niż legendą, nie uwierzyłby mu nawet przez sekundę. Teraz miał pewność, że Iris widziała o wiele więcej, niż to zeznała dwóm detektywom Johna Husbanda. „Było ciemno i ktoś uderzył mnie gałęzią. Kiedy się ocknęłam, w domu była już policja” - tak brzmiały jej słowa.

— Zastanawiałem się nad tym długo i intensywnie, Iris — powiedział. — To jest niemożliwe, a jednak ma miejsce. Pogoda się psuje, a zbiory nie zapowiadają się nadzwyczajnie. Najpierw Terry zabija George'a i Lisę; potem popełnia samobójstwo Leos Ponican; następnie ginie twoja Mary. Zostałaś zaatakowana gałęziami jakiegoś krzaka, podobnie jak jeden z moich zastępców.

— Jeden z twoich zastępców? — zapytała, otwierając szerzej oczy.

— To miało miejsce podczas kontroli drogowej. Został zaatakowany przez wysokiego bladego faceta w białym płaszczu, a potem uderzony w twarz krzakiem względnie gałęzią.

Doktor twierdzi, że był to ten sam rodzaj krzaku lub gałęzi, którymi zadano obrażenia tobie.

— Jak on się czuje? — zapytała Iris.

— Obawiam się, że stracił wzrok.

Iris nie odzywała się przez bardzo długi czas, ale Luke widział, że intensywnie się zastanawia.

— Iris — powiedział. — Ci faceci są wciąż na wolności. Cokolwiek zrobili tobie i twojej siostrze, mają zamiar zrobić to samo komuś innemu. Musimy ich odnaleźć, niezależnie od tego, czy są realni, mityczni, czy diabli wiedzą jacy.

Iris przełknęła z trudem ślinę.

— Mówiłam jej, żeby nie przynosiła do domu tych brokułów powiedziała w końcu.

— Komu? Kto przyniósł do domu brokuły?

— Mary... przyniosła je Mary. Powiedziałam, że nie możemy mieć w domu niczego zielonego, ale ona odparła, że to nie ma żadnego znaczenia — wyrzuciła z siebie nagle histerycznym tonem. - Przyniosła brokuły, oliwki i mnóstwo innych rzeczy. I nie zdjęła opakowania z żadnej puszki, na której był zielony kolor.

— Powiedz mi, jakie to ma znaczenie - poprosił Luke. Popatrzyła na niego z desperacją.

— To jedyny sposób, żeby nie wpuścić go do środka, tak zawsze mówił Terry. Nie wolno trzymać w domu niczego zielonego i trzeba uciszyć dzieci.

— Uciszyć dzieci? Tak właśnie powiedział Terry? Nie wspominałaś o tym wcześniej.

— Nie sądziłam, że to znaczy...

Urwała. Najwyraźniej nie potrafiła wypowiedzieć słów „że trzeba je zabić”.

— Ale Terry na pewno powiedział, że jeśli w okolicy pojawi się Zielony Wędrowiec, jedynym ratunkiem jest uciszenie dzieci? Tak brzmiały dokładnie jego słowa?

Iris kiwnęła głową.

— Czy zeznasz to w sądzie? Pamiętaj, że nie masz takiego obowiązku. Żona nie musi zeznawać przeciwko własnemu mężowi.

Kiwnęła ponownie głową.

— Po tym, co zrobił Lisie i małemu George'owi... Luke znowu ścisnął jej dłoń.

— Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać, Iris. Rankiem tego samego dnia, kiedy zostałyście napadnięte ty i Mary, zaszedłem do domu Terpstrów, żeby zobaczyć się z Emily. Trudno to wyrazić, ale nie zachowywała się tak, jak oczekiwałem. Nie wydawała się szczególnie wstrząśnięta ani zmartwiona. Powiem więcej: w gruncie rzeczy nie wydawała się wcale przejmować tym, co ci się przydarzyło.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć.

— No cóż... to mógł być uraz. Rozmawiałem z dziecięcą psycholog, z której usług korzystamy czasem w przypadkach przestępczości nieletnich. Powiedziała, że niektóre dzieci spychają swoje zmartwienia w podświadomość na całe tygodnie, jeśli nie miesiące. Emily widziała rzeczy, które potrafiłyby zakłócić równowagę psychiczną wielu dorosłych... Jednak po dłuższym zastanowieniu nie wydaje mi się, żeby to był uraz.

Iris odwróciła głowę na bok. Przy łóżku stał wysoki wazon z jasnożłotymi mieczykami i sześć albo siedem kartek z życzeniami powrotu do zdrowia. Była także kartka z czarną obwódką i napisem „Łączymy się z Tobą w Twoim smutku”.

— Powiedz mi, co się stało, Iris — powiedział Luke. — Muszę to wiedzieć.

Iris nie odzywała się przez blisko pół minuty, ale Luke wiedział, kiedy powinien czekać i ugryźć się w język. Za oknem widać było ciężkie, szare, bezkształtne chmury. To był dzień pozbawiony cieni; niedługo powinien spaść deszcz.

— Czy Emily będzie miała jakieś kłopoty? - zapytała w końcu Iris.

— Oczywiście, że nie. Ma tylko jedenaście lat.

— Nie będą próbowali mi jej odebrać?

— Dlaczego mieliby to robić? Jesteś przecież jej naturalną matką, prawda?

Wahała się jeszcze przez chwilę, a potem podniosła wzrok.

— Jeśli w domu nie ma nic zielonego, on nie może wejść, nawet gdyby pukał cały dzień i całą noc — powiedziała. — Ale jeśli jest coś zielonego, wtedy może wejść... pod warunkiem że zostanie zaproszony.

— Chcesz przez to powiedzieć, że zaprosiła go Emily?

— Tak.

Luke wypuścił głośno powietrze z płuc.

— Domyślałem się tego. Ci Czesi, z którymi rozmawiałem, powiedzieli mi, że na ogół zapraszają go do środka jego wnuki.

— Myślisz, że...

— Powiedziałaś mi sama, że w kilka miesięcy po waszym ślubie Terry zabrał cię do swojego ojca w Des Moines. Zgadza się? Powiedziałaś, że wtedy wszystko się zmieniło: że zaczął rozprawiać o Biblii i o złej krwi i utrzymywać, że nie powinniście mieć dzieci. Po co miałyby to twoim zdaniem robić, gdyby nie to, że dowiedział się od swego ojca, jakimi konsekwencjami może grozić spłodzenie dzieci?

— Nie wiem. Po prostu nie wiem.

— Powiedziałaś, że znałaś jego ojca. Czy spotkałaś się kiedyś z jego matką?

— Nie, nigdy. Matka zmarła, zanim się poznaliśmy.

— Wiesz z jakiego powodu? Iris potrząsnęła głową.

— Terry nigdy mi nie mówił. Luke odchylił się do tyłu.

— Tej nocy, kiedy zginęła Mary... dlaczego nie opowiesz mi po prostu, co się zdarzyło, Iris? Wszystkiego.

Stłumionym, łamiącym się głosem, opuściwszy nisko oczy, Iris opowiedziała Luke'owi o tym, jak myślała, że śni. Opowiedziała mu o stojącym na podwórku mężczyźnie w białym płaszczu. Opowiedziała o zrywającym się wietrze i sypiących liściach. Opowiedziała, jak zeszła na dół i zobaczyła stojącą na korytarzu Emily; i o tym, jak Emily powiedziała: „On jest święty. To ojciec taty. Zaprosiłam go do środka”.

Opowiedziała, jak próbowała uciekać. Opowiedziała, jak zobaczyła na schodach człowieka w białym płaszczu, który niósł na dół Mary Mary, już wypatroszoną i umierającą.

I o tym, jak zaatakowała ją ta rzecz, która była w połowie krzakiem i w stu procentach wcielonym złem.

Luke słuchał, nie mówiąc ani słowa. Kiedy skończyła, przyjrzał się jej z ukosa, obserwując jej oczy i to, jak mnie prześcieradło. Było jeszcze jedno pytanie, na które nie udzieliła odpowiedzi — najważniejsze ze wszystkich.

— Naprawdę się cieszę, że zdecydowałaś się o tym wszystkim opowiedzieć — rzekł.

— Bardzo mi pomogłaś i naprawdę to doceniam. Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe.

Iris przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

— W porządku, szeryfie — rzuciła.

— Muszę cię o to zapytać... Dlaczego nie opowiedziałaś nam o tym wcześniej?

— Nie chciałam, żebyście wiedzieli, że to Emily wpuściła ich do środka.

— To wszystko?

— Nie chciałam sama w to uwierzyć. To było zbyt dziwne. To było zbyt straszne.

Zastanawiałam się nad tym bez przerwy i nie mogłam w to uwierzyć, ale w końcu musiałam, ponieważ to zdarzyło się naprawdę.

Luke wstał i położył jej rękę na ramieniu.

— Powinnaś spróbować w to uwierzyć, Iris, ponieważ ja wierzę w to także, nawet jeśli reszta świata uzna, że brakuje nam piątej klepki. I powiem ci coś: zamierzam odnaleźć tych facetów. Zamierzam odnaleźć tego Zielonego Wędrowca, a wtedy z pewnością zapłaci za to, co zrobił.

Zdjął kapelusz z wieszaka i ruszył, obchodząc łóżko, w stronę drzwi. Ale potem, dosłownie w ostatniej chwili stanął w miejscu.

— Jest jeszcze jedna mała rzecz, która nie daje mi spokoju powiedział. — Jak sądzisz, dlaczego nie zabili również i ciebie?

Iris była i tak blada jak ściana, ale teraz zrobiła się jeszcze bledsza. Wargi, z których odpłynęła cała krew, były prawie sine.

— Co masz na myśli? — szepnęła.

— Legenda mówi, że Janek pożera wnętrzności wszystkich ludzi, którzy są w jego zasięgu. A jednak ciebie oszczędził.

— Nie. Nie wiem dlaczego.

— Iris... nie pogniewasz się, jeśli zadam ci osobiste pytanie? Według legendy Janek stara się podtrzymać swoją linię... nie wiem, czy rozumiesz, o co mi chodzi... płodząc coraz więcej potomków, tak żeby zawsze istniały wnuki, które otworzą przed nim drzwi, żeby zawsze istnieli ludzie, którymi mógłby się pożywić.

— Naprawdę? — zapytała Iris, wciąż blada jak trup.

— Tak właśnie mówi legenda, a my dwoje zdajemy sobie sprawę, że mnóstwo z tego, co mówi, nie jest tylko zmyśleniem, prawda? To osobiste pytanie, które chciałem ci zadać, jest następujące: czy tej nocy, kiedy zabita została Mary, nie byłaś napastowana w jakiś inny sposób... czy nie próbowano cię zgwałcić? Być może nie trzymam się w tej chwili ściśle przepisów prawa, Iris, ale muszę wziąć pod uwagę możliwość, że Zielony Janek oszczędził

cię, ponieważ miał nadzieję, że urodzisz mu dziecko.

Iris nie odpowiedziała ani się nie poruszyła. Ale po jej bladych pokaleczonych policzkach zaczęły płynąć, kapiąc na prześcieradło, czyste, błyszczące łzy. W tej samej chwili o okno zabębniły pierwsze błyszczące krople deszczu. Zapowiadał się kolejny okres złej pogody; i kolejne straty na polach. Kolejni farmerzy będą czekać z utęsknieniem na każdą ofertę pomocy, którą złoży im pukający do drzwi przybysz.

ROZDZIAŁ IX

Nathan odłożył słuchawkę telefonu.

— Czy dzwonił z warsztatu? — zawołał wycierający naczynia w kuchni jego ojciec.

— Najwyższy czas, żeby położyli w końcu ten cholerny lakier.

— Nie — odpowiedział Nathan, wchodząc z ponurą miną do kuchni. — W Instytucie Spellmana zdarzył się kolejny wypadek z tym knurem. Garth jest ranny.

— O Boże... czy to coś poważnego?

— Raczej tak. Ma rozcięte ramię, złamane żebro i kostkę, a także mnóstwo skaleczeń.

Ale nie stracił przytomności i wszystko wskazuje, że nic mu nie będzie.

— Myślisz, że to twoja wina? Tak?

Nathan przyjrzał się ojcu. Nikt, kto zobaczyłby go po raz pierwszy, nie uwierzyłby, że ten energiczny, jasnooki, siwowłosy siedemdziesięcioletek o mało nie umarł na stole operacyjnym i że uratował go wyłącznie wysoce ryzykowny przeszczep. Zdradzały go jedynie podkrążone oczy, ziemista skóra i duży brzuch — efekty uboczne stosowania steroidów.

Moses Greene spojrział Bogu prosto w twarz z wystarczająco bliskiej odległości, żeby poczuć Jego oddech; i wcale się Go nie przestraszył. Mimo to każdego dnia składał dzięki za to, że jego audyencja u Wszechmocnego została przeniesiona na późniejszy termin i że podarowano mu kilka dodatkowych lat, które mógł spędzić razem z Nathanem i Davidem.

Był tutaj potrzebny. Dlatego właśnie Bóg go oszczędził. Nathan wciąż był taki słaby. Wciąż winił się za śmierć Susan i Aarona; i gotów był winić się za to, co spotkało doktora Lacouture'a, chociaż nie istniał żaden fizyczny lub psychologiczny dowód, że wycinek mózgu małego George'a Pearsona spowodował atak szału Kapitana Blacka.

Nathan opowiedział o tym ojcu poprzedniego wieczoru, po rozmowie z Garthem w Rag Top Diner.

— Przestań bić się w piersi, Nathan. Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne — powiedział

Moses, biorąc go za rękę. — Nie jesteś winien całemu złu, które wydarza się na świecie, nawet jeśli tego koniecznie chcesz. Ci faceci, ci naukowcy — dodał po chwili — wiedzą dobrze, jak ryzykowne jest to, co robią. Nie można usmażyć omletu, nie rozbijając przy tym paru jaj.

Nathan nie poczuł się specjalnie pokrzepiony. Kiedy był młodszy, ojciec stale przekonywał go, że człowiek jest zawsze odpowiedzialny za konsekwencje swoich czynów.

Czy teraz zmienił zdanie? Czy fakt, że oszukało się śmierć, oznacza, że można również zmieniać własne zasady?

— Posłuchaj — powiedział Moses Gteene, wieszając ściereczkę. — Przykro mi z powodu Gartha. Wiem, że to twój przyjaciel. Ale dopóki nie przyjdą i nie powiedzą, że mają empiryczny dowód, iż ten wieprz oszalał z twojej winy, po prostu przestań się gryźć. Każdy jest niewinny do chwili, kiedy

nie udowodni mu się, że jest inaczej. Nathan wzruszył

ramionami.

— No dobrze — powiedział, ale wciąż nie czuł się najlepiej. Rozejrzał się po wąskiej, obitej dębową boazerią kuchni, żeby upewnić się, czy wszystkie naczynia zostały sprzątnięte.

Starał się utrzymywać dom w takim samym porządku, w jakim zawsze utrzymywała go Susan

— pucując, odkurzając i zawsze kupując świeże kwiaty. David mógł stracić matkę, ale to nie oznaczało, że ma dorastać w chlewie.

Zgasił światło i przeszli obaj do salonu. Leżący tam na podłodze David oglądał w telewizji powtórkę programu „Weird Science”. Zostało jeszcze pół butelki czerwonego wina i Nathan rozlał je do dwóch kieliszków, po czym usiadł na jednym z wielkich brązowych skórzanych foteli, które on i Susan dostali od Mosesa. Tapety na ścianach były również brązowe, w przypominające obwarzanki splecione wzory; nad kominkiem wisiała w ramach brązowa panorama Jerozolimy.

— Chcesz odwiedzić Gartha? - zapytał Moses. - Mogę się zaopiekować Davidem.

— Co się stało Garthowi? - wtrącił cienkim głosem David. Zdarzył się kolejny wypadek. Kapitan Black znowu się wściekł i złamał Garthowi żebro.

— Tato... — zaczął David, ale Nathan podniósł rękę, żeby go uciszyć.

— Nie musisz mi mówić. To nie moja wina. Wiem. Zaczynam po prostu żałować, że w ogóle mam z tym coś wspólnego.

— Wreszcie mówisz do rzeczy — stwierdził Moses. — No wiec jak? Chcesz iść do Gartha czy nie?

— Tak, chcę — powiedział Nathan. — A ty, David? Chcesz zostać z dziadkiem, czy jedziesz do szpitala razem ze mną?

— Oczywiście, że jadę — odparł chłopiec. — Widziałem już ten film chyba z trylion razy.

Moses położył rękę na dłoni syna.

— Pozwól, że coś ci powiem. Jesteś po prostu dobrym człowiekiem i to wszystko.

Opiekujesz się swoim synem i opiekujesz się mną. Nie musisz być nikim więcej. Pozostaw cuda ludziom, którzy zajmują się cudami.

— Jasne — odparł Nathan i wstał, żeby wyjść.

Terence Pearson siedział z przymkniętymi oczyma, opierając swoją wielką kanciastą głowę o ścianę celi — starając się zasnąć i starając się nie zasnąć.

Od chwili aresztowania miał wrażenie, jakby prawie każde światelko w jego duszy zamigotało i zgasło, nie doczekawszy się odpowiedzi. W końcu zostało tylko jedno i postanowił nie dać mu zgasnąć tak długo, jak tylko zdoła, niczym ostatnia biblijna panna głupia, osłaniająca swoją kopczą lampę przed porannym wiatrem.

Emily uciekła i Emily musiała zginąć, a ponieważ nikt oprócz niego nie pomyśli nawet, żeby ją zabić, on, Terence, musi przetrwać, musi żyć dalej. Nawet jeśli ma czekać całą wieczność.

Widać było po nim wyraźnie, ile kosztowało go pozbawienie życia własnych dzieci.

Twarz, zawsze blada i ziemista, teraz przypominała pośmiertną maskę. Oczy były matowe z przemęczenia, a rude przepecone włosy lepiły się do głowy. Miał zarosnięty podbródek i wiedział, że śmierdzi nieświeżym potem.

Nie chciał zasnąć, ponieważ bał się, że Zielony Janek zacznie go szukać. Nie chciał czuwać, ponieważ nie mógł pogodzić się z tym, co zrobił; z tym, co miał obowiązek zrobić.

Przeklinał Boga i przeklinał Zielonego Janka.

A najbardziej ze wszystkiego przeklinał się za to, że pozwolił Emily uciec. Emily była najstarszą wnuczką Zielonego Wędrowca, najchytrzejszą, najbardziej wymowną, tą, której bał

się najbardziej. Przeklinał swoje nogi za to, że nie biegły szybciej. Przeklinał deszcz, wiatr i pogodę za to, że mu przeszkodziły.

Teraz Zielony Janek i jego maskarnicy ruszą jego tropem, będą wietrzyć w powietrzu subtelny zapach jego strachu. Sama myśl o tym, co mogą mu zrobić, sprawiała, że żołądek zaciskał mu się w kulę, a po dłoniach pełzały nerwowe kroci onogi.

Próbował przypomnieć sobie wszystko, czego dowiedział się z Biblii i innych ksiązek

— wszystko, co zapisał w swoim notatniku, wszystkie te skomplikowane zasady i reguły, których miał przestrzegać Zielony Janek. Zielony Janek stworzony został w okresie, kiedy Niebo i Piekło uważane były za istniejące w rzeczywistości — kiedy Bóg był najwyższym arbitrem prawa naturalnego, a Szatan architektem wszelkiego zła. Terence nie wierzył, że Janek oszczędził go z litości, ponieważ Janek nie znał żadnej litości, podobnie jak nie zna jej piorun, powódź i piaskowa burza.

Wiedział na pewno, że Jankowi trudno jest albo wręcz nie może wejść do domu, do którego nie został zaproszony. Jest w końcu podróżnikiem, bezdomnym włóczęgą, liczącym na gościnność każdego, kto jest dość chciwy albo naiwny, żeby wpuścić go do środka.

Wiedział, że Jankowi szczególnie trudno jest wejść do cudzego domu, kiedy nie ma w nim nic zielonego, a zwłaszcza żadnej zielonej żywej rośliny.

Wiedział, że magiczna moc Janka, dzięki której potrafi on dawać obfite plony, wiąże się z jego

fizycznym pokrewieństwem z drzewami i krzewami. Janek miał podobny rodzaj okultystycznej mocy co zbożowe kukły i inne wiejskie fetysze — ale posiadał ją w stopniu nieporównanie większym. To była „magia plonów” — ta sama nadprzyrodzona siła Natury, do której wieśniacy odwoływali się od czasów przedbiblijnych — ale magia podniesiona do niezwyklej potęgi.

Terence wiedział również, iż to, co dawało Jankowi jego moc, stanowiło także jego największą słabość. Nie miał własnych wnętrzości, wyłącznie korzenie i pędy, i aby zachować ludzki pierwiastek swej natury, musiał stale pożerać swoich potomków.

Pozbawiony składającej się z żywych trzewi diety, przeobraziłby się stopniowo w roślinę, która oplatała jego jestestwo, i stałby się po prostu drzewem z zaklętą w środku ludzką duszą.

Nawet starożytni Grecy znali istoty podobne do Zielonego Janka: hamadriady, czyli leśne nimfy, których istnienie było nierozłącznie związane z jakimś konkretnym drzewem i które razem z nim umierały. W jednej z najstarszych odkrytych przez siebie ksiązek Terence wyczytał, że „Zielony Wędrowiec w zamian za swoje usługi żąda, aby wolno mu było lec z połowicą tego, który prosi o jego pomoc”. Wiedział, że nasienie Zielonego Wędrowca ma taką siłę, iż żona wieśniaka nieodmiennie zachodzi w ciążę i rodzi mu syna. Potem, po

„trzech tuzinach років”, kiedy synowi również rodzą się dzieci. Wędrowiec powraca i pożera całą rodzinę z wyjątkiem żony syna, którą zapładnia, aby cały ponury proceder mógł trwać dalej.

Szesnastowieczne opisy śmierci poniesionej z rąk Zielonego Wędrowca były bardziej przerażające niż cokolwiek, co Terence potrafił sobie wyobrazić. „Największy ból sprawia wydarcie z ciała wątroby i jej pożeranie na oczach umierającej ofiary, od której krzyków wznoszą się i opadają obnażone płuca”.

Zielony Wędrowiec i jego świta nie mają na ogół większych trudności z dostaniem się do domu, w którym mieszka ze swoją rodziną jego syn — chyba że zapozna się on, tak jak to zrobił Terence, ze wszystkimi mitami i legendami i podejmie niezbędne środki bezpieczeństwa.

W żyłach dzieci każdego z synów Janka płynie jego krew, toteż kiedy dziadek puka do drzwi, wnuki otwierają je przed nim — bez względu na to, że podobnie jak cała rodzina padną ofiarą jego potwornego apetytu.

A on był przecież jednym z synów Janka. Pamiętał ten wieczór, kiedy opowiedział mu o wszystkim jego ojciec. Przemierzając nerwowym krokiem pokój, paląc papierosa i starając się ze wszystkich sił, aby zabrzmiało to prawdziwie. Z tyłu migotał ekran telewizora, nadawano właśnie „Mary Tyler Moore Show”. Z jakiejś nie wyjaśnionej przyczyny normalność tego, co widział na ekranie, pomogła Terence'owi uwierzyć, że wszystko, co opowiada mu ojciec, jest prawdą.

Tego wieczoru rozpadło się niczym sosnowa skrzynka całe jego życie — odsłaniając to, czym było w rzeczywistości. Czymś niezwykle, strasznym i nie do pomyślenia — czymś, co od samego początku naznaczone było przekleństwem. Jego ojciec skazał go, zanim jeszcze został poczęty. Nie tylko jego, ale również swoje własne wnuki, ponieważ linia Zielonego Janka istniała tylko po to, aby żywić Janka i jego świtę — z ojca na syna, z dziecka na dziecko.

W miarę upływu lat Terence coraz bardziej się niepokoił. Prenumerował wycinki prasowe od Sausalito do Sarasoty i od San Antonio do Niagara-on-the-Lake — zbierając pracowicie informacje o niespodziewanym załamaniu zbiorów, o nagłych zmianach pogody i mikroklimatu, o powodziach, które niszczyły zasiewy. Nauczył się niezbyt dobrze czeskiego na kursach Berlitz, żeby móc czytać o starożytnej Bohemii i wszelkich plagach i klęskach głodu, które nawiedzały w średniowieczu Europę Środkową.

Świadectwa były w większości bardzo niejasne — niczym smug! benzyny w przydrożnej kałuży. Ale Terence wszystkie pracowicie sprawdzał i wszystkie zapisywał.

Ósmego marca 1982 roku znaleziono na skraju Pocatello w stanie Idaho wypatroszoną wiejską rodzinę; naoczny świadek mówił o „trzech albo czterech obcych, którzy kręcili się wokół domu; jeden był w kapturze, a drugi w białym płaszczu i niósł nie wiadomo dlaczego jakiś krzak albo drzewo; chociaż czasami mogło się wydawać, że drzewo porusza się samo”.

Czasami mogło się wydawać, że drzewo porusza się samo. Tego rodzaju świadectwo przerażało Terence'a bardziej niż cokolwiek innego. Czasami mogło się wydawać, że drzewo porusza się samo...

Trzeciego września 1987 roku w Hardeshell, w hrabstwie Breathitt w Kentucky znaleziono wypatroszoną w swoim własnym domu kobietę. Uznano, że padła ofiarą maniaka, mimo że jej sześciolatniej córce nie spadł nawet włos z głowy. Lokalna gazeta doniosła, że

„kobieta leżała na posłaniu z suchych liści”, nie starano się jednak w ogóle ustalić, jakie to mogło mieć znaczenie ani skąd się one wzięły. Dziennikarz zauważył lakonicznie, że

„niektóre osoby porównują to konkretne zabójstwo do słynnych morderstw, które popełniał w wiktoriańskiej Anglii Kuba Rozpruwacz”. Usiłował najwyraźniej zasugerować, że ofiara była kobietą swobodnych obyczajów; ale Terence widział ten incydent w zupełnie innym świetle.

Na podstawie ludowych podań i artykułów w gazetach śledził rok po roku, stulecie po stuleciu wędrówkę Zielonego Janka przez Europę — przez rosyjskie stepy i polskie niziny, a potem przez Tatry i obszar dzisiejszej Republiki Czeskiej. W lutym roku 1837 Janek pojawił

się w północnej Francji; potem, w lutym 1838, przerażeni londyńczycy zaczęli opowiadać o budzącym grozę osobniku, którego nazwano „Sprężystym Jackiem” i który według relacji naocznych świadków poruszał się, sadząc wielkimi susami w powietrzu.

Niejaka Jane Alsop z Bearhind Linę w Bow została napadnięta przez agresywnego nieznanego, który poważnie pokaleczył jej twarz i szyję. Chociaż nie widziała wyraźnie napastnika, zeznała przed sądem w Lambeth, że „miał na głowie coś w rodzaju hełmu i ubrany był w śliski obcisły kostium. Miał okropną twarz, wielkie pazury u rąk, oczy niczym ogniste kule i zionął niebieskimi i białymi płomieniami”.

Przez trzydzieści lat „Sprężysty Jack” ścigany był przez policję i żołnierzy w całej Anglii. Dał o sobie ponownie znać, napadając w Limehouse na Lucy Scales, osiemnastoletnią córkę miejscowego

rzeźnika, kiedy szła Green Dragon Alley. Ofiara została oślepią i dotkliwie pokaleczona.

Trzydziestego pierwszego sierpnia 1888 roku na Buck's Row w Londynie zamordowana została prostytutka Mary Ann Nichols. Sprawca poderznął jej gardło i w potworny sposób okaleczył. Dokładnie tydzień później ten sam morderca zabił „Dark Annie” Chapman, pozostawiając u jej stóp należące do niej pierścionki i monety. Kobieta była kompletnie wypatroszona.

Nazwiska kolejnych ofiar Terence znał na pamięć. „Long Liz” Stride; Kate Eddowes, okaleczona najokrutniej ze wszystkich; i Mary Kelly. Wiedział również, kogo poszukiwał

Scotland Yard: przybysza z Europy Wschodniej — którym mógł być rosyjski lekarz, Michaił

Ostróg, polski Żyd, niejaki Kosmanski, względnie dziwny czeski aktor o nazwisku Janek Gryzn.

Wiedział także, kto polował na niego. Polował na niego jego prawdziwy ojciec; ten, któremu mąż jego matki sprzedał za obfite jednoroczne plony jego własne wnętrzności.

Terence słyszał o gorszych okrucieństwach, które popełniają ojcowie wobec synów. W

wojnie domowej, która wybuchła w Bośni po upadku komunizmu, muzułmańscy jeńcy zmuszani byli przez Serbów do kastrowania zębami swoich własnych synów. Prawdziwi ludzie i prawdziwe fakty, odnotowane przez obserwatorów ONZ. Ale nie zmniejszało to ani trochę przerażenia, które odczuwał Terence na myśl o Zielonym Janku. Zwłaszcza że Zielony Janek nie wchodził do domu siłą; przybywał do każdego, kto go zaprosił; a ofiara, której się domagał, była dobrowolna.

Pamiętał, jak jego przybrany ojciec szlochał, rozsmarowując po twarzy łzy: „Nie sądziłem.. że po wszystkich tych latach”.

Pamiętał, jak sam płakał, kiedy urodziła się Emily — wiedząc, co będzie z nią musiał

zrobić któregoś dnia. Ale nigdy nie tracił do końca nadziei. Zawsze wierzył, że potrafi ochronić swoją rodzinę czuwając, prowadząc dokładne studia, czytając Biblię i obserwując pogodę.

Okazało się to niemożliwe. Być może i tak nigdy nie udałoby mu się tego dokonać.

Terence starał się, jak mógł najlepiej — niemniej w głębi duszy nie winił o klęskę nikogo poza sobą samym.

Nie powinien nigdy mieć dzieci. Powinien opuścić Środkowy Zachód i wyjechać za granicę. Ale on pozostał tu, ożenił się i spłodził całą trójkę — ponieważ tutaj, w Iowa, się urodził, tutaj przeżył większość swojego życia i nie miał zamiaru umierać i zostać pochowany nigdzie indziej.

Udało mu się odkryć tylko kilka nielicznych przypadków, kiedy dzieci uniknęły swego losu — albo dlatego, że wpadły w panikę dowiedziawszy się, kim jest ich dziadek; albo dlatego, że Janek pomylił się i nie zastał ich w domu. Dwójka dzieci wylądowała w zakładach psychiatrycznych (Randy Touraine z Vinity w Oklahomie w roku 1936 i Carolin Drumright z Pretty Prairie w Kansas w roku 1951). Troje innych skazanych zostało za napaść względnie zabójstwo: James Bignor, który

odsiadywał teraz dożywocie w federalnym zakładzie karnym w Marion za to, że w roku 1964 zabił kobietę w należącym do niej mieszkaniu w Creve Coeur w St Louis, Missouri, a następnie zjadł do połowy jej serce; Karry Blackman z Kewanee, Illinois, która w roku 1966 zadusiła i wypatroszyła powierzone jej opiece troje dzieci, a następnie podcięła sobie żyły; i David Colombotti, który w 1971 roku w Baker, Montana, zabrał szesnastoletnią dziewczynę do chaty w górach, związał ją i zakneblował, a następnie rozciął jej brzuch i jeszcze żywej wyżarł częściowo macicę.

Terence nie miał wątpliwości, że straszliwy apetyt Janka jest dziedziczny i że prawie każdy zarejestrowany w Stanach Zjednoczonych przypadek kanibalizmu został popełniony przez jego potomków. Co najmniej jeden z uczestników niesławnej wyprawy Donnera był

wnukiem Zielonego Janka. Kiedy uwięzieni wśród śnieżnych zasp emigranci zostali w końcu znalezieni w górach przez ekipę ratowników, niemiecki farmer o nazwisku Lewis Keseberg gotował właśnie wątrobę i płuca młodego chłopca, mimo że obok leżały nietknięte wołowe udźce. Terence odkrył, że Zielony Janek wraz ze swą żoną odwiedził dziadka Keseberga w Westfalii po długim deszczowym lecie, w wyniku którego zgniły wszystkie kartofle. W

zapiskach kierownika miejscowej szkoły była mowa o tym, że dziadek Lewisa Keseberga i Zielony Janek zawarli eine gottlose und schreckliche Ueberenstimmung — bezbożne i straszne porozumienie.

Kierownik szkoły nie zdradził, na czym ono miało polegać, ale Terence łatwo się tego domyślał. Było tylko jedno porozumienie, jakie głodny farmer mógł zawrzeć z Zielonym Wędrowcem — obfite plony w zamian za ciało żony i życie dzieci.

Lewis Keseberg zdołał umknąć przed Zielonym Wędrowcem, emigrując do Ameryki; nie zdołał jednak umknąć przed własnymi odziedziczonymi po nim inklinacjami.

Terence także śnił o ludzkim ciele. W okresie dorastania dręczyły go krwiożercze sny, w których pożerał wydobywające się z otwartych brzuchów cuchnące wnętrzności. Mokre i ciepłe, ociekające śluzem i oplecione tkanką łączną. Budził się zlany potem, zdyszany i z pełną erekcją, wierząc, że ma usta umazane krwią i gardło wypełnione ludzkimi flakami. Ale coś w jego charakterze trzymało te marzenia na wodzy — ograniczając je wyłącznie do snów.

Może odziedziczona po matce kalwińska samokontrola okazała się silniejsza od odziedziczonej po Janku krwiożerczej żarłoczności.

Może genetycy wywiedli w końcu linię Zielonego Wędrowca na manowce; i powstać miała nowa mitologia. Jeszcze dziwniejsza i bardziej przerażająca od wszystkiego, co działo się do tej pory.

Terence pogrążony był w półśnie, kiedy przed jego celą pojawili się trzej strażnicy, a także Luke i wyznaczona z urzędu adwokat, Wendy Candelaria.

— Terry — powiedział Luke, kiedy jeden ze strażników wystukał kombinację szyfrową, żeby otworzyć drzwi celi. — Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

Terence usiadł rozczochrany na swojej pryczy, mrugając oczyma przed niespodziewanym światłem.

— Mam coś przeciwko. Nie muszę z panem rozmawiać. Nigdzie nie jest napisane, że muszę z panem rozmawiać.

Wendy Candelaria była niedużą, rzeczową kobietą, z włoską, przypominającą kształtem serce fizjonomią, spadającą na ramiona falą puszystych czarnych włosów i upodobaniem do obcisłych spódniczek i szytych na miarę popielatych żakietów z szerokimi ramionami.

— Terence — powiedziała. — To może nam bardzo pomóc w twojej obronie.

— Jest pani chyba moją adwokat? Niech pani powie Wielkiej Stopie, żeby zostawił mnie w spokoju.

— Terry — uśmiechnął się Luke. — Chcę porozmawiać z tobą o Zielonym Wędrowcu.

O Zielonym Janku.

Terence energicznie potrząsnął głową.

— Nie ma mowy, szeryfie. Absolutnie nie ma mowy.

Wendy Candelaria usiadła na pryczy i położyła mu delikatnie rękę na ramieniu.

— Terence... szeryf rozmawiał z twoją żoną. Powiedziała, że dość dawno temu, bo już przed paroma laty, a potem jeszcze kilka razy, mówiłeś rzeczy, które mogą być uznane przez ławę przysięgłych za dowód, że miałeś zamiar zabić swoje dzieci. Wszystko wskazuje, że gotowa jest powtórzyć to zeznanie w sądzie jako świadek oskarżenia. Wiesz, co to oznacza, prawda? To oznacza, że zostaniesz osądzony za zabójstwo z premedytacją, morderstwo pierwszego stopnia. Dostaniesz w najlepszym wypadku dwa następujące po sobie dożywocia, nie licząc wyroku za zabicie państwa Loftusów. Nigdy nie wyjdiesz żywy z Fort Madison.

Terence podniósł oczy. Mogło się wydawać, że jest pod działaniem narkotyków.

— Iris? Rozmawialiście z Iris?

— Zgadza się, Terry — odparł Luke. — Rozmawialiśmy z nią o wszystkim. O plonach, o pogodzie, o kolorze zielonym. O tym, że trzeba będzie uciszyć dzieci.

Terence zadygotał lekko i pociągnął nosem.

— Chcę z tobą porozmawiać, Terry. Chcę dowiedzieć się wszystkiego o Zielonym Wędrowcu. Chcę wiedzieć, co opowiedział ci twój ojciec, kiedy zaraz po ślubie z Iris pojechałeś do niego do Des Moines. Chcę wiedzieć, dlaczego zabiłeś swoje dzieci, Terry; i kto zabił twoją szwagierkę.

Terence spojrzał na Wendy.

— Czy muszę mu o tym mówić? — zapytał chrapliwym głosem.

— Nie, nie musisz — odparła. — Nie musisz mówić w ogóle niczego. Ale może lepiej będzie, jeśli na ten temat ze mną porozmawiasz. Może uznamy wspólnie, że powinieneś poprosić o nadzwyczajne złagodzenie kary w zamian za pewne informacje, które chce od ciebie uzyskać szeryf.

Terence przewrócił oczyma.

— Nie przejmuję się szeryfem Friendem. W ogóle się nim nie przejmuję.

— Więc czym się zajmujesz, Terence? Terence kiwnął głową w stronę ściany.

— Martwię się nimi. Tam na zewnątrz. To ich się boję.

— Kiedy tutaj siedzisz, Terry, nikt z zewnątrz nie może zrobić ci najmniejszej krzywdy

— zapewnił go Luke. — Dobrze o tym wiesz. Jedynym więzieniem, które ma lepsze zabezpieczenia od Linn County jest zakład federalny w Marion; i chyba słyszałeś, na czym one polegają.

— Z całym należnym szacunkiem, szeryfie — powiedziała Wendy Candelaria —

pozwoli pan, że porozmawiam teraz z moim klientem w cztery oczy. Jeśli pan nas zostawi, być może uda nam się wynieść z tego pewne wzajemne korzyści.

Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— W porządku, pani Candelaria. Ci panowie będą was na wszelki wypadek pilnować.

Dajcie mi znać, jeśli do czegoś dojdziecie.

Wrócił do swego gabinetu i usiadł za biurkiem. Przed sobą miał narysowany niezgrabnie ołówkiem schemat, przedstawiający związki, jakie łączyły zabójstwa Lisy i George'a Pearsonów, a także Abnera i Dorothy Loftusów ze śmiercią Leosa Ponicana, zabójstwem Mary van Bogan i napaścią na Normana Gormana.

Wszystkie pasowały do siebie niczym w dobrze sporządzonej układance. Pod jednym warunkiem. Pasowały do siebie, jeśli uwierzyło się, że tajemniczy maskarnicy ze średniowiecznej ludowej legendy pojawili się na współczesnym Środkowym Zachodzie.

Luke otworzył szufladę biurka. W środku była niebieska teczka z pieczętką Komisji do spraw Nadużywania Narkotyków Stanu Iowa, a także pozagagnany egzemplarz „Police Magazine”, w którym zamieszczono notatkę pod tytułem „Nowy szeryf Linn County, Iowa”.

A na samej górze napoczęte pudełko ciastek z malinami.

Przyglądał się im przez dłuższy czas. Czuł w nozdrzach ich słodki, migdałowy zapach.

A potem zamknął szufladę i przekręcił klucz. Daj spokój, Luke; jedzenie między posiłkami to zdrada. Sally Ann tak się stara, żeby wyszczupłał. Tyle czasu spędza w kuchni, przygotowując beztłuszczową zapiekankę z kurczaka, smaczną rybę z papryką, marynowanego łososia i pieczone ziemniaki z truskawkowym twarożkiem.

Przez chwile wodził ołówkiem po swoim schemacie. Jaki mógł być inny powód ataku na Iris Pearson i Mary van Bogan? Może jakiś nieznany krewniak Abnera i Dorothy Loftusów postanowił zemścić się na rodzinie Pearsonów? Zapisał, żeby sprawdzić tę ewentualność.

Dlaczego jednak nieznany krewniak miałby napadać na Leosa Ponicana? Nikt oprócz niego i Normana Gormana nie wiedział, że Leos tłumaczy notatki Terence'a Pearsona. I dlaczego, do diabła, zaatakowali Normana?

Zasłonił na chwilę dłonią oczy, żeby dać im odpocząć. A potem jednym szybkim ruchem otworzył szufladę biurka, złapał ciastko z malinami i ugryzł potężny kawałek, zanim jego sumienie zorientowało się, co jest grane.

Żując i przełykając, odchylił się z przyjemnością i poczuciem winy do tyłu. To nie miało sensu: był potężnym mężczyzną i nie mógł chodzić z pustym żołądkiem.

Przełykał jeszcze ciastko, kiedy zawieszona pod sufitem jarzeniówki zamigotały i nagle przygasły. Nie miał pewności, ale zdawało mu się, że gwałtownie spadła również temperatura w pokoju — zupełnie tak jakby ktoś otworzył okno.

Nacisnął przycisk na interkombie, ale sekretarka poszła już do domu. Wstał i obszedł dookoła gabinet; jarzeniówki buczały i migotały, a temperatura spadała coraz niżej.

Nadstawił ucha, ale słyszał tylko uliczny ruch, przerywany co jakiś czas dźwiękiem klaksonu.

Mógłby jednak przysiąc, że słyszy coś jeszcze. Cichutki szelest, prawie tak jakby w przewodach wentylacyjnych biegały szczury. Ale jeszcze cichszy, jeszcze bardziej kruchy.

Przestał poruszać szczękami. Spojrzał na trzymany w ręku kawałek ciastka i wyrzucił go do kosza.

Podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Na zewnątrz jarzeniówki świeciły się tak samo jasno jak zawsze.

Nie wiedział, dlaczego poczuł się tak nieswojo. Ale miał jednak wrażenie, że coś tutaj się pojawiło, coś zdecydowanie nieprzyjemnego, coś chłodnego i pozbawionego emocji. Miał

wrażenie, że za chwilę wydarzy się coś złego.

Zamykał z powrotem drzwi gabinetu, kiedy światła na korytarzu zaczęły również migotać — podczas gdy światła w jego gabinecie wróciły do normy. Otworzył ponownie drzwi i dosłownie w ostatniej

chwili dostrzegł poszarpany ukośny cień przecinający pomalowaną na zielono ścianę przy końcu korytarza.

Zmarszczywszy brwi wyszedł z gabinetu i ruszył tak szybko, jak mógł, korytarzem.

Kiedy dotarł do zakrętu, był spocony, mimo że w powietrzu wciąż unosił się dziwny chłód. I znowu — na samym końcu następnego korytarza zobaczył umykający cień, sam jego koniuszek, przypominający trójkątny róg urwanej gazy.

— Hej! — zawołał. — Proszę zaczekać! Kto idzie?

Żadnej odpowiedzi. Luke ruszył ciężkim truchtem do następnego zakrętu i tym razem zobaczył znikający za rogiem rąbek białego płaszcza. Usłyszał szybki ostry szelest. To nie mogły być szczury.

— Proszę zaczekać! — zawołał ponownie. Kiedy wyskoczył zza następnego rogu, zobaczył zatraskujące się drzwi na klatkę schodową. Wyjął szybko pistolet z kabury i przywarł plecami do ściany.

W tej samej chwili z przeciwnej strony nadeszła, wycierając chusteczką okulary, Edna Bulowski. Przystanęła i zamrugła na jego widok.

— Co pan robi, szeryfie? Luke podniósł palec do ust.

— Cicho. Wydaje mi się, że mamy nieproszonego gościa.

— Widział pan kogoś?

— Tylko mi mignął.

Edna Bulowski założyła na nos okulary i wyjęła rewolwer. Jarzeniówki nad ich głowami prawie zupełnie zgasły. Edna posłała mu zdumione spojrzenie.

— Czy mamy planowe wyłączenia, czy ktoś majstruje przy bezpiecznikach?

Luke podszedł bokiem do wyjścia ewakuacyjnego i dotknął palcami klamki.

— Kryj mnie — powiedział.

Edna Bulowski uniosła rewolwer w obu dłoniach i odciągnęła bezpiecznik. Lufa rewolweru poruszała się miarowo.

— Powiedziałem: kryj mnie, a nie zabij — rzucił ostrym tonem Luke.

— Niech pan się nie martwi. Nie opuściłam ani jednych zajęć na strzelnicy. Luke wziął

głęboki oddech, a potem trzymając przed sobą pistolet kopnął drzwi i wyskoczył na betonowy podest.

Podest i prowadzące do niego schody były puste. Luke wychylił się ostrożnie przez metalową poręcz i obrzucił szybkim spojrzeniem klatkę schodową. Na dole nie było nikogo.

Wszystkie kondygnacje aż do piwnicy były puste.

— Jest tam ktoś? - zapytała nerwowym głosem Edna Bulowski.

— Nikogo nie widzę - odparł Luke. Ale po plecach chodziły mu ciarki i wiedział, że ktoś tam jest. Światła wciąż migotały i buczały, w powietrzu czuć było wyraźny chłód i Luke mógł przysiąc, że gdzieś na samej granicy słyszalności nadal dobiega go ten szeleszczący chrobot.

Spojrzał w górę. Tam też nikogo nie widział, postanowił jednak, że przejdzie parę pięter, żeby się upewnić.

— Zostań tutaj, na podeście — powiedział, zwracając się do Edny. — Jeśli usłyszysz coś podejrzanego, krzyknij.

— Tak jest, szeryfie.

Luke otarł czoło wierzchem dłoni, a potem zaczął się ostrożnie wspinać po betonowych schodach, z uniesionym pistoletem i plecami przyciśniętymi do ściany. Gumowe podeszwy jego butów skrzypiały przy każdym kroku i za każdym razem Luke krzywił się i nasłuchiwał

jeśli ktoś uciekał przed nim na górę, chciał go dobrze słyszeć.

Dotarłszy na drugie piętro, spojrzał na Ednę i stykając ze sobą kciuk i palec wskazujący pokazał, że jak dotąd wszystko jest w porządku. Edna wodziła nerwowo na wszystkie strony lufą swojej trzydziestki ósemki, całkiem niezłe imitując Jody Foster z „Milczenia owiec”.

Posłała mu krótkie spojrzenie i kiwnęła głową, najwyraźniej jednak nie ufała sobie na tyle, żeby się odezwać. Luke obserwował ją przez chwilę i tak go to ubawiło, że niemal się rozluźnił. Modlił się w duchu, żeby nie nacisnęła spustu: pocisk odbijający się rykoszetem od betonowych ścian ośmiopiętrowej klatki — to mogło okazać się zdecydowanie mało zabawne.

Zastanawiał się właśnie, czy warto wspinać się dalej, kiedy usłyszał kroki. Był tego absolutnie pewien: ciche, miękkie kroki kogoś, kto wchodził na górę. Stał i nasłuchiwał.

Przez chwilę słyszał tylko ziz-pok-zizing jarzeniówek, ale potem ponownie dobiegł go ten odgłos. To były ponad wszelką wątpliwość kroki — ktoś wspinał się na górę, dwa piętra nad nim albo nawet bliżej.

Chciał zasygnalizować Ednie, że coś usłyszał, ale była zbyt zajęta lustrowaniem klatki schodowej i wymachiwaniem swoim rewolwerem. W końcu uznał, że stanowi dla niego prawdopodobnie większe zagrożenie niż jakikolwiek intruz i nie ma sensu jej dodatkowo denerwować. Wobec tego ruszył tak szybko, jak mógł, na górę, trzymając teraz pistolet w obu dłoniach, lufą w dół, z falującym pod pogniecioną koszulą brzuchem i kołyszącymi się węzowym ruchem pośladkami. Pokonał zaledwie trzy albo cztery stopnie, kiedy kroki rozległy się ponownie, tym razem ostro i wyraźnie. Szeleszczące,

zdecydowane kroki, tak jakby ktoś ubrany w długi płaszcz ciągnął za sobą jego poły po schodach. Wydawały się tak bliskie, że zatrzymał się z uniesioną do góry nogą i o mało nie stracił równowagi. Kroki rozbrzmiewały tuż obok niego, tuż przy nim - takie miał przynajmniej wrażenie.

— Jest tu kto? — zawołał nerwowo, opierając się plecami o ścianę. — Ten budynek należy do Linn County. Bez upoważnienia wstęp wzbroniony!

— ...wzbroniony! ...broniony! — odbił się echem jego głos. A potem ponownie zapadła cisza. Światłówki przygasły jeszcze bardziej i schody spowiła prawie kompletna ciemność przerywana co jakiś osas stroboskopowymi błyskami szarego metalicznego światła.

Luke przywarł do balustrady i spojrział w dół. Słyszał, jak ktoś stąpa po schodach, był tego pewien. Stąpa bardzo blisko — bardzo blisko — tak blisko, że powinien poczuć na karku jego oddech.

Ale gdzie? Spojrział na górę i nie zobaczył nikogo. Spojrział w dół i tam też nikogo nie dojrzał. Dał powoli krok do tyłu, a potem drugi i trzeci, aż poczuł przy ramieniu bezpieczny chłód betonowej ściany.

— Buuulowski! — krzyknął.

— Tak, szeryfie?

— Bulowski, wracaj do biura i sprowadź jakieś posiłki. Chcę tu mieć latarki i jeśli zajdzie potrzeba generatory. Powiedz Chadimie, żeby zaostrzył środki bezpieczeństwa przy bramie i wysłał kilku ludzi na dach!

— Tak jest, szeryfie — odparła Edna, nie ruszyła się jednak z miejsca.

— Na co czekasz? — zawołał Luke. — Biegnij!

— Chciałabym oszczędzić panu ewentualnego wstydu.

— Wstydu? — zdziwił się. — Czego miałbym się wstydzić?

— ...wstydzić? ...tydzić? — powtórzyło echo.

— Szczerze mówiąc, szeryfie, nie wydaje mi się, żeby ktoś tu w ogóle był.

Luke odczekał chwilę albo dwie, zanim odpowiedział, i czekając przez cały czas gratulował sobie powściągliwości.

— Tutaj ktoś jest, Bulowski — zawołał w końcu. — Być może ma prawo tu przebywać, w którym to przypadku biorę na siebie pełną odpowiedzialność za wszczęcie alarmu. Ale moim zdaniem każdy, kto ma prawo tu przebywać, dawno już by się ujawnił, bojąc się, że go postrzelisz! — Wypowiadając ostatnie zdanie specjalnie podniósł głos, żeby ten, kto tu był, na pewno go usłyszał.

Edna Bulowski schowała rewolwer do kabury.

— Proszę bardzo — mruknęła pod nosem i wycofała się przez drzwi ewakuacyjne na korytarz.

Luke został teraz na klatce sam. Światła przygasły do tego stopnia, że nie widział nic oprócz wyłaniającego się co pewien czas z ciemności zygzaka betonowych schodów. Słyszał

wokół siebie wszystkie odgłosy wielopiętrowego budynku: gwizd wind, grzechot klimatyzacji, a nawet wieczorny ruch na Third Avenue Bridge.

Pot spływał mu powoli po karku i za koszulę. Był przekonany, że ktoś tu jest. Słyszał

niemal jego oddech. W gruncie rzeczy jeśli naprawdę mocno natężył słuch, był całkiem pewien, że słyszy. Suchy, regularny, uparty oddech. Wdech i wydech. Ktoś czekał, aż da za wygraną. Ktoś czekał, aż da za wygraną i odejdzie.

Postąpił krok w górę i prawie równocześnie usłyszał kolejny szybki szelest. Następny krok, a potem jeszcze jeden i za każdym razem gdzieś obok rozbrzmiewała jego imitacja.

Staął w miejscu i bliźniacze kroki ustały. Ktoś próbował go przekonać, że słyszy tylko echo własnych ruchów.

A może nikt nie próbował go zmylić. Może to było echo jego własnych kroków. Może Edna Bulowski miała rację i był tutaj zupełnie sam.

— Jest tu kto? — zawołał.

— ...tu kto? — odpowiedziało echo. — ...tu kto?

Wspiął się tak szybko, jak potrafił, po kolejnych trzech schodkach Tym razem był przekonany, że słyszy cudze kroki — niezupełnie zsynchronizowane z jego własnymi.

— Nie ma stąd wyjścia! — zawołał.

— ...stąd wyjścia! — odkrzyknęło echo.

— Budynek jest obstawiony od góry do dołu! Nie zdołacie się stąd wydostać! Lepiej będzie, jeśli zejdziecie na dół, trzymając ręce tak, że bym mógł je zobaczyć!

— ...zobaczyć!

Nadal żadnej odpowiedzi. Usłyszał drzwi otwierające się na samej górze klatki schodowej.

— Szeryfie! — odezwał się głos. — To ja, Pete Fruehling! Dach jest zabezpieczony!

— Dziękuję, Pete! — odkrzyknął Luke. — Czy możesz przyjrzeć się dokładnie klatce schodowej... sprawdzić, czy nie ma tu nikogo oprócz mnie?

— Oczywiście, szeryfie.

Luke ostrożnie podszedł do poręczy i spojrzał w górę, w migoczący półmrok. Wysoko zamajaczyła twarz Fruehlinga, blady, przypominający „Krzyk” Muncha, ekspresjonistyczny owal. Luke podniósł rękę i Fruehling zrobił to samo.

— Widzisz coś? — zapytał Luke.

— ...dzisz coś?

— Na razie nic.

— Czy jest tam ktoś oprócz ciebie?

— Dan Ollinger.

— Dobrze... w takim razie powiedz Danowi, żeby został na dachu, a ty schodź powoli w moim kierunku. Ale uważaj... mam silne przeczucie, że ktoś się tu ukrywa.

— Niech pan się nie przejmuje, szeryfie. Mam dubeltówkę. Poza tym jutro są urodziny mojego syna i nie zamierzam tego stracić.

— Ciszej! — upomniał go Luke. Był pewien, że słyszał ostry chrobot butów po betonowej podłodze.

Wszelkie dalsze odgłosy zagłuszył jednak głośny trzask otwieranych na dole drzwi i odbijający się echem, dziwnie zniekształcony głos:

— Parter zabezpieczony, szeryfie!

— W porządku — odkrzyknął Luke. — A teraz przestańcie hałasować!

Pete Fruehling ruszył powoli i metodycznie na dół, sunąc blisko ściany i trzymając wysoko uniesioną wiatrówkę. Luke nie ruszał się z miejsca, nasłuchując najcichszych odgłosów, które świadczyłyby, że ktoś usiłuje uciec: chrobotu podeszwy o beton albo skrzypnięcia pneumatycznych drzwi. Ale nie słyszał absolutnie niczego z wyjątkiem kroków schodzącego w dół Pete'a Fruehlinga i szmeru ocierającej się o ścianę jego koszuli. W końcu Pete dotarł na podest, na którym czekał na niego Luke.

Opuścił wiatrówkę i potrząsnął głową.

— Jeśli ktoś tutaj był, szeryfie, dawno dał nogę.

— Dobra — odparł Luke, chowając pistolet. — Ale był tutaj, widziałem go na własne oczy.

— Może to było światło — zasugerował Fruehling. Z bliska jego twarz była tak samo blada i obsypana krostami jak z wysokości trzech pięter; wyglądał jak czyjś nie dokończony portret. — Kiedy jarzeniówki migoczą w ten sposób, oczy mogą płatać różne figle. Niektórzy ludzie dostają nawet ataków.

— Widziałem kogoś, Pete. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Zaczęli schodzić razem schodami.

— Może to sprzątaczką? — powiedział Pete.

— Za wcześnie.

— Chce pan, żebyśmy przeszukali piętro po piętrze? — zapytał, spoglądając w górę, Fruehling.

— Trzymajmy po prostu oczy otwarte. I pilnujmy wyjść.

— Oczywiście, szeryfie. Żaden problem.

Fruehling wyszedł przez drzwi ewakuacyjne na trzecim piętrze i Luke został sam. Miał

zamiar ruszyć dalej na dół, kiedy usłyszał nagle głośny, odbijający się echem szmer.

Zatrzymał się, spojrzął w górę i zaczął nasłuchiwać. Światła przygasły, zamigotały i przygasły ponownie. Luke czekał.

Przez długi, bardzo długi czas nie działo się nic oprócz migotania świateł. A potem w kapryśnych stroboskopowych rozbłyskach ujrzał spadające w dół liście. Kołysały się przez chwilę leniwie w przód i w tył i w końcu wylądowały tuż przy jego stopach. Nie musiał

podnosić i przyglądać się żadnemu z nich, żeby wiedzieć, z jakiego pochodzą krzewu. To były liście wawrzynu. *Laurus nobilis*.

Wyciągnął pistolet i dał jeden szeroki krok do balustrady. Światła paliły się teraz tak słabo, że prawie nic nie widział. Ale czy coś przypadkiem nie zwisało pod podestem piątego piętra? Przyczepione nie od góry, ale od spodu? Poszarpany ciemny kształt, przypominający wielką kępę mchu, wielką kępę jemioli albo jeden z tych pasożytniczych krzewów, które zwisają z gałęzi drzew.

Luke natężył wzrok. Czy ten podobny do krzewu kształt przypadkiem się nie poruszał?

Czy nie pełził pod stropem, zmierzając w stronę rogu? A może to tylko gra cieni? Jaki krzak może wisieć przyczepiony pod podestem schodów?

Chyba że — i ta nagła ewentualność wstrząsnęła nim do szpiku kości — chyba że ten krzaczasty kształt nie był wcale krzakiem, ale czymś innym. Czymś żywym. Czymś, czego nie można było zobaczyć, kiedy wspinało się pod schodach, ponieważ pełzło pod stropem, zaprzeczając wszelkim prawom grawitacji.

— Kto tam? — wrzasnął Luke. — Schodź na dół, ale to zaraz!

Przez chwilę trwała cisza, a potem coś poruszyło się szybko jak szczur. Luke'owi zdawało się, że zobaczył dwoje błyszczących w ciemności oczu, ale nie był tego pewien. Jego serce pompowało

krew tak, jakby wyrzucało wodę z szybko tonącej barki; czuł, jak pulsuje w nim adrenalina.

Mógł oddać ostrzegawczy strzał — i wiedział, że wielu policjantów dawno by to uczyniło. Ale szkolili go ostrożni staroświeccy instruktorzy, wyznający zasadę, że przed strzałem należy ustalić tożsamość przeciwnika; i nieraz już przekonał się ojej słuszności. Nie był Brudnym Harrym; był szeryfem Friendem.

Mimo to trzymał pistolet uniesiony wysoko do góry.

— Słyszałeś? — zawołał. — Jeśli ktoś tam jest, ma zejść na dół, i to natychmiast!

Zrozumiano? Natychmiast!

— ...tychmiast! — powtórzyło echo. — ...tychmiast!

Przez krótki moment krzaczasty kształt zdawał się kołysać z boku na bok. A potem —

bez żadnego ostrzeżenia — schody spowiała totalna ciemność. Luke nie widział poruszającego się krzaka, ale usłyszał głośny hałas, który brzmiał tak, jakby ktoś energicznie zmiatał miotłą liście. Hałas, który przesuwiał się w górę schodów, ale pod nimi.

Światła zablęskły ponownie, niestety bardzo słabo. Krzak zniknął spod podestu piątego piętra i przez chwilę Luke'owi zdawało się, że go w ogóle nie ma. Potem jednak zobaczył

ciemny poszarpany kształt pod schodami, które prowadziły na siódme piętro, i był pewien, że widzi sypiące się liście.

— Fruehling! Bulowski! — wrzasnął na całe gardło i ruszył biegiem na górę, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się dogonić tego krzaczastego kształtu — czymkolwiek lub kimkolwiek był w rzeczywistości. Na piątym piętrze zatrzymał się, łapiąc kurczowo powietrze i ponownie podniósł pistolet.

Zdawało mu się, że słyszy szmer liści. Zdawało mu się, że słyszy coś, co brzmiało jak cichy kojący głos. Wąska kolczasta odnoga krzaczastego kształtu zbliżyła się do drzwi ewakuacyjnych na siódmym piętrze, które otworzyły się do środka z sapnięciem hydraulicznych zawiasów. Najpierw tylko trochę, na pięć albo dziesięć centymetrów, potem szerzej.

— Nie ruszać się — powiedział Luke, ale głos, który wydobył się z jego gardła, był tak cichy, że nikt i tak nie zdołałby go usłyszeć.

Powoli opuścił pistolet.

Patrzył z rosnącym osłupieniem i całkowicie bezsilny, jak krzaczasty kształt najwyraźniej spełza albo ześlizguje się z sufitu i przesuwa pod futrynę wyjścia ewakuacyjnego, wydając przy tym z siebie straszliwy chrobot i drząc, tak jakby uderzył go nagły podmuch zimnego wiatru. Światło było tak niewyraźne, że Luke nie potrafił się nawet zorientować, czy ta rzecz ma jakiś konkretny kształt, jakieś nogi, ręce i ciało, czy też jest ostatecznie tylko cieniem, optycznym złudzeniem albo reakcją na

mruganie jarzeniówek.

Ale był pewien, że to coś prześlizgnęło się pod futryną i odwrócone do góry nogami oddaliło się, pełznąć albo kroczyć po suficie.

Drzwi zamknęły się z sykiem. Luke schował pistolet do kabury. Po raz pierwszy w życiu czuł się kompletnie odizolowany i bardzo przestraszony. Nawet w szkole, kiedy dzień po dniu dokuczano mu dlatego, że był taki duży i gruby, nie czuł się tak bardzo przestraszony.

To nie były żarty. Od chwili, kiedy odkrył ciało Leosa Ponicana, podejrzewał, że ta sprawa przekracza granice rzeczywistości. Moje powinien w to ostatecznie uwierzyć, kiedy przesłuchiwał Emili w domu Terpstrów; ale udało mu się wtedy wmówić sobie, że wcale nie zobaczył wystającego z jej ust penisa. To był tylko język, powtarzał sobie, gra świateł, złudzenie optyczne, miraż. Fakt, że zobaczył coś tak obrzydliwego, napełniał go poczuciem winy, zupełnie jakby był jakimś pedofilem, toteż umyślnie starał się o tym zapomnieć.

Oparł się plecami o ścianę. Była w krzepiący sposób twarda i chłodna. Czuł walące w piersi serce i krążącą w żyłach krew. — Jezus — szepnął cicho. — Jezus.

Wciąż opierał się o ścianę, kiedy pojawiła się przy nim Edna. W jej okularach odbijały się migoczące jarzeniówki.

— Szeryfie? Dobrze pan się czuje? Powoli się wyprostował.

— Nic mi nie jest, Edna, nic. Ale powiedz Pete'owi Fruehlingowi, że chcę, aby ten budynek przeszukano od piwnicy aż po strych. Piętro po piętrze, pokój po pokoju. Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi. I nikt nie pójdzie do domu, dopóki tego nie skończymy.

— W porządku, szeryfie, jeśli pan sobie tego życzy — odparła Edna. Do końca dyżuru pozostało jej zaledwie dwadzieścia minut i śpieszyła się na zebranie Łosiowej Łoży, na której jej mąż Stan miał otrzymać godność Dostojnego Władcy, a ona sama tytuł Najmilszej Dziewczyny Roku. Nie powiedziała ani słowa, chociaż wiedziała, że Stan będzie wściekły.

Wiedziała to na pewno. Ale nie mrugnęła nawet okiem. U Łosi można było dobrze zjeść; ale biuro szeryfa jednocześnie żywiło i broniło.

Luke zszedł na drugie piętro i pchnął drzwi. Przed kilku minutami korytarz był zupełnie pusty. Teraz kłębił się tu tłum policjantów i sekretarek. Pojawił się zmęczony i nie ogolony John Husband i wziął Luke'a pod łokieć.

— Co się stało, Luke? — zapytał. — Słyszałem, że macie tutaj jakiegoś nieproszonego gościa.

— Nie wiem. Nawaliły nam światła. Może mamy, a może nie.

— Cóż, zdarza się. W zeszłym tygodniu wpadł do nas na komendę facet z poduszką wciśniętą w spodnie i udawał Perry'ego Masona.

— Ten intruz jest wyjątkowy — stwierdził Luke tonem, który można było zrozumieć w dowolny sposób.

John zatrzymał go w miejscu.

— Czy to ma coś wspólnego z zabójstwem Pearsonów?

— Nie wiem, John. Całkiem możliwe.

— W takim przypadku czy nie sądzisz, że powinienem o tym wiedzieć?

— Nic się nie stało, John. To tylko podejrzenie.

— Mimo to powinieneś mnie chyba o tym poinformować. Tak się składa, że właśnie w tej sprawie przyszedłem: żeby porozmawiać o wzajemnej łączności. Wymiana informacji jest bardzo ważna, Luke, sam zawsze to powtarzałeś.

— Jasne, John. Wymiana informacji jest bardzo ważna, zgadzam się.

— Więc jak to się stało, że rozmawiałeś z Iris Pearson i nic mi o tym nie powiedziałeś?

Dlaczego musiałem się o tym dowiedzieć od jednej z pielęgniarek?

— Iris Pearson nie powiedziała nic, co mogłoby ci pomóc.

— Skąd wiesz, Luke? Prowadzimy dochodzenie w sprawie o zabójstwo. Ważny może być najdrobniejszy szczegół.

— Jeśli będę miał coś do przekazania, powiem ci.

John Husband wahał się przez chwilę, a potem puścił jego rękaw.

— Ufam ci, Luke. Ufam, że będziesz mnie informował.

Luke spostrzegł w tłumie Ricka Clarka z „Gazette” i podniósł rękę na znak, że go widzi.

— Z jakiego powodu miałbym trzymać coś w zanadrzu? — zapytał Johna.

John Husband spojrział na niego z ukosa. Luke mógł wyczytać odpowiedź na to pytanie, tak wyraźnie, jakby Husband wypowiedział ją na głos: „Trzymasz coś w zanadrzu, żeby przypisać sobie potem całą zasługę za rozwiązanie sprawy”.

Żałował, że John nie umie równie wyraźnie czytać w jego oczach. Nie mam odwagi powiedzieć ci, co odkryłem w związku z tą sprawą — myślał — ponieważ uznałbyś, że brak mi piątej kleпки; i do tego samego wniosku doszedłby zapewne prokurator okręgowy.

— Co się tutaj dzieje, szeryfie? — zapytał, podchodząc do nich, Rick Clark.

— Nic poważnego, Rick. Podejrzewamy, że do budynku wkradł się jakiś intruz, to wszystko. Jest najprawdopodobniej nie uzbrojony i zupełnie nieszkodliwy. Kolejne urozmaicenie naszej monotonnej pracy.

— Fatalna sprawa z Normanem — powiedział Rick, zapisując kilka słów w notesie i chowając długopis do kieszeni.

— Tak, fatalna.

Rick podniósł nagle rękę i Luke instynktownie się cofnął, jak zrobiliby to każdy, zwłaszcza szkolony w sztuce samoobrony.

— Nie bój się — powiedział Rick. — Masz tylko coś we włosach. — Ostrożnie wyjął z włosów szeryfa liść i dokładnie mu się przyjrzał. Liść wawrzynu. *Laurus nobilis*. — Ostatnio dużo się ich tu widzi — zauważył.

— Pora roku — odparł wymijająco Luke.

— No nie wiem — stwierdził Rick. — Nie słyszałeś tej dziecinnej rymowanki: „Kiedy wawrzyn zaścieleł miasto i pole... człowiek-krzak tarza się w smole”.

Luke odchrząknął i odgarnął do tyłu włosy. Po całym tym bieganiu w tę i z powrotem po schodach był zdyszany i obłany potem.

— Gdzie to słyszałeś? — zapytał.

John Husband stał po drugiej stronie korytarza, ale musiał wyczuć w głosie Luke'a jakieś napięcie, bo obrócił się i posłał im wyczekujące spojrzenie, tak jakby on także chciał

usłyszeć odpowiedź.

— To czeska rymowanka — odparł Rick. - Zapytaj jakiegokolwiek czeskie dziecko, zaraz ci zaśpiewa. Znają mnóstwo wierszyków na temat krzaków.

Luke wpatrywał się w niego bardzo długo, ale Rick nie mrugnął! nawet okiem.

— Odkąd to interesujesz się czeskimi rymowankami? — zapytał w końcu szeryf.

— A ty?

— Nie bardzo za tobą nadążam.

— W porządku, popraw mnie, jeśli się mylę, ale słyszałem, że pewien dobrze znany miejscowy szeryf zaczął się bardzo interesować czeskim folklorem.

— I co jeszcze słyszałeś?

— Niewiele. Wiem tylko, że niełatwo będzie stróżowi prawa przekonać prokuratora okręgowego, że za morderstwo pierwszego stopnia odpowiedzialni są bohaterowie ludowych podań.

— Z kim rozmawiałeś? — zapytał Luke.

Rick wyduł wargi i zaciągnął między nimi wymagowany suwak.

— Tajemnica zawodowa, szeryfie. Ale to prawda, czyż nie? Kontaktowałeś się z więcej niż jednym ekspertem w dziedzinie czeskich przesądów. Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, poinformował mnie o tym pewien mój znajomy. Pracuje w bibliotece Muzeum Czeskiego.

— Zbieram po prostu wiadomości na temat tła etnicznego - powiedział Luke. —

Zawsze to robię, niezależnie od tego, jakie popełniono przestępstwo. Społeczność Cedar Rapids jest bardzo zróżnicowana.

— Masz na myśli, że połowa mieszkańców pracuje dla Rockwella, a druga dla Quaker Oats?

— Wiesz dobrze, co mam na myśli.

— Naprawdę sądzisz, że w tych zabójstwach istotny jest jakiś element okultystyczny?

Sataniści? Czczyciele diabła? Coś jeszcze gorszego?

— Nie, w żadnym wypadku. Możesz mnie zacytować. Rick zamknął notes.

— Szkoda. Nawet „być może” stanowiłoby lepszy nagłówek niż „w żadnym wypadku”.

Luke położył dłoń na ramieniu Ricka i ścisnął go dostatecznie mocno, żeby zabolalo.

— Masz u mnie drinka, Rick — powiedział.

John Husband zobaczywszy, że wywiad dobiegł końca, wrócił do przerwanej rozmowy z dwoma zastępcami Luke'a.

Wendy Candelaria zapukała do drzwi gabinetu szeryfa i nie czekając na zaproszenie wślizgnęła się szybko do środka. Luke siedział zgarbiony nad biurkiem, kończąc papierkową robotę.

Pod lampą stała filiżanka z kawą; unosząca się z niej smuga pary układała się w kształt iluminowanej litery S. Na koszuli na plecach Luke'a widniała romboidalna plama potu.

— Szeryfie? — zapytała Wendy, przysiadając na krześle dokładnie: naprzeciwko jego biurka. Zachręściły ocierające się o siebie czarnej; nylonowe rajstopy. — Chciałabym wrócić tu jutro rano. Terence jest teraz bardzo zmęczony i potrzebuje trochę czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć, ale są szansę, że przekaże panu pewne informacje, które pomogą ustalić tożsamość mordercy Mary van Bogan, a także inne dotyczące morderstw, które zarzuca się jemu samemu.

Światła przygasły na chwilę i oboje rozejrzeli się po gabinecie.

— To tylko przejściowy spadek mocy — uspokoił ją Luke. — Tak naprawdę interesuje mnie nie to w jaki sposób, ale dlaczego Pearson zabił swoje dzieci.

— „Dlaczego” jest tutaj takie ważne?

— „Dlaczego” ma tutaj kluczowe znaczenie. Wendy zmierzyła go uważnym wzrokiem.

— Coś się tutaj dzieje, prawda? Czuję to.

— Nie dzieje się nic poza tym, co widzi pani na własne oczy.

— Nie... całe swoje dorosłe życie spędziłam na komendach policji i w więzieniach okręgowych i wiem, kiedy coś jest nie tak. Coś pana niepokoi, coś, co tylko w małym stopniu dotyczy Terence'a Pearsona.

Luke próbował się uśmiechnąć.

— Ma pani bujną wyobraźnię, pani Candelaria.

— Nie sądzę. Jeśli chce pan, żeby Terence mówił o tym „dlaczego” to chyba ja też powinnam wiedzieć co i jak.

— Niech się pani w to zbytnio nie angażuje — ostrzegł ją Luke. - Bo nie będzie pani widać zza przepisów.

Wendy wyduła umalowane wargi i posłała mu całusa.

— Dziękuję za ostrzeżenie, szeryfie, ale wydaje mi się, że rozegram to na swój sposób.

Zobaczymy się jutro, kiedy już Terence sobie to przemyśli.

Światła zamigotały ponownie i tym razem w gabinecie zrobiło się tak ciemno, że Luke widział tylko jej błyszczące oczy, lśniące usta i połyskujące rajstopy.

— Może nie zapłaciliście na czas rachunków za energię — zasugerowała z krzywym uśmiechem Wendy.

— Może to coś gorszego — powiedział Luke. — Może to koniec świata.

Deszcz włókł się tego wieczora przez wschodnią Iowę niczym poszarpana suknia porzuconej panny młodej. Zmoczył zboże, zalał kanały odwadniające i sprawił, że poziom Cedar River podwyższył się o pół metra; rzeka wystąpiła z brzegów w dziewięciu różnych miejscach i zalała uprawy kukurydzy, soi i ziemniaków. Na farmie trzody chlewnej w Wesley, na zachód od Linn Junction zatoneło w zagrodach piętnaście knurów. W

strumieniach ulewy widoczność na drodze numer trzysta osiemdziesiąt na północ od Cedar Rapids była prawie zerowa; na skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Szóstej Alei z Tissel Valley Road przewożąca płynny tlen cysterna zderzyła się z minibusem Volkswagen, którym jechało jedenastu skautów. Dwóch z nich zginęło, kilku innych odniosło poważne rany.

To był jeden z tych deszczowych tragicznych wieczorów, kiedy Luke miał wrażenie, że obraca się przeciwko niemu cały świat; że rzeczywistość staje się zbyt trudna do zniesienia —

z tą różnicą, że tym razem nierzeczywistość była czymś jeszcze gorszym. Siedział przy swoim biurku aż do jedenastej, kiedy Pete Fruehling zameldował mu, że budynek jest czysty i że nie znaleziono śladu żadnego intruza.

— Jesteś pewien? Na sto procent?

— Mówię panu, szeryfie. Sprawdziliśmy każde pomieszczenie gospodarcze, każdą łazienkę i każdą szafę z papierami; każdą cholerną dziurę, która mogłaby panu przyjść do głowy i jeszcze kilka poza tym.

Luke trzymał na otwartej dłoni jeden z liści. Przez chwilę mu się przyglądał, a potem zacisnął dłoń i rozkruszył. Poczłł aromatyczny zapach wawrzynu i uświadomił sobie ze zdziwieniem, że nigdy wcześniej nie zauważył, jak bardzo jest wyraźny: przesycony zielenią i intensywny.

— Dobrze, Pete, odwołaj stan pogotowia. Jeśli ktoś został po godzinach, może iść do domu i odebrać sobie wolny czas później.

— Dziękuję, szeryfie. Aha... byłbym zapomniiał.

— Co takiego, Pete?

Pete Fruehling pogrzebał w kieszeni, wyjął z niej poszarzałą monetę i położył ją na skraju biurka. Luke podniósł ją i uważnie zbadał, obracając w palcach. Po jednej stronie wytłoczony był w prymitywny sposób dwugłowy orzeł; po drugiej liściasty krzak. Pod krzakiem widniał napis: „Życie w Śmierci”.

Trzydzieści srebrników. Opowiadał mu o nich pan Marek. To powinien być jeden z nich. Jedna z monet, którymi zapłacono Judaszowi za to, że zdradził Jezusa. Jedna z tych monet.

Zielony Wędrowiec był tutaj; i byli tutaj jego towarzysze, nawet jeśli w końcu udało im się wymknąć. Dowodem na to była ta antyczna moneta.

— Gdzie to znaleźliście? — zapytał.

— Chce pan, żebyśmy jeszcze raz sprawdzili cały budynek? — Pytałem, gdzie to znaleźliście.

— Na trzecim piętrze, przy damskiej toalecie.

— Ale nikogo nie widzieliście?

— Powiedziałem: na trzecim piętrze, przy damskiej toalecie.

— Co?

— Nie, szeryfie, nikogo nie widziałem. Ale jeśli pan chce, nie mam nic przeciwko temu, żeby przeszukać budynek jeszcze raz.

— O czym ty, do diabła, opowiadasz, Pete? Czy zaczniesz w końcu mówić do rzeczy?

— Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, jeśli trzeba będzie ponownie przeszukać budynek. To żaden problem.

Luke zmierzył go uważnym wzrokiem.

— Czy ty i ja nadajemy na tej samej fali?

— Mówię tylko, że nie mam nic przeciwko ponownemu przeszukaniu.

— Pete... — zaczął Luke. Otworzył pięść, rzucił okiem na monetę, a potem podniósł

wzrok i rozejrzał się dookoła. W gabinecie zapanował niezwykły półmrok, a postać Pete'a wydawała się dziwnie nieostra — nie tyle rozmazana, co niewyraźna — tak jakby stał za cienką firanką. Luke wiedział, że tam jest, a jednak wydawało mu się, że go nie ma. Nie mógł

się oprzeć dziwnemu wrażeniu, że podłoga usuwa mu się spod nóg — niczym pasażerowi, który zszedł przed chwilą z pokładu odrzutowca.

Rzucił monetę na biurko. Puszczając ją doświadczył nagłego nieprzyjemnego uczucia; a potem światła znowu były jasne, postać Pete'a wyraźna, a dzwonki telefonów i szum klimatyzacji tak samo ostre jak przedtem.

— Słucham? — zapytał Pete.

— Słuchasz czego?

— Powiedział pan przed chwilą, że nie nadajemy na tej samej długości fali.

— Aha. Naprawdę tak powiedziałem? Być może miałem na myśli coś innego.

— Jak pan sobie życzy, szeryfie.

Po wyjściu Fruehlinga Luke odchylił się do tyłu i przez długą chwilę bujał się w zamyśleniu na krześle. Przy każdym bujnięciu spoglądał na monetę, ale jej nie podnosił. Pan Marek senior powiedział mu, jaka jest jej moc, i Luke uwierzył mu. Miał teraz w ręku dowód.

Niezbity empiryczny dowód. Jedyne kłopot polegał na tym, iż nie sposób było za jego pomocą wykazać, że Zielony Janek jest istniejącym w rzeczywistości seryjnym mordercą. Był

to dowód na to, że wszystkie ludowe baśnie są prawdziwe — że istnieje Zielony Wędrowiec, który żyje setki lat — że istnieją maskarnicy, którzy noszą miecze, noże i skórzane sakiewki z poświęconymi srebrnikami.

Doświadczył na sobie mocy jednego z nich i uwierzył w nią. Uwierzył w nią. Przez kilkanaście sekund, podczas których trzymał monetę w zaciśniętej dłoni, znajdował się nie w chwili terażniejszej, ale w przeszłej — o jedno uderzenie serca za Petem Fruehlingiem, o jedno uderzenie serca za Cedar Rapids, za stanem Iowa, a nawet za własną żoną i córką.

Wiedział, że niezależnie od tego, dokąd potem umknęła, nie wyob raził sobie tej mrocznej krzaczastej istoty, którą ujrzał przez ułamek sekundy na klatce schodowej. Ale wiedział również, jak bardzo ograniczone są jego możliwości działania. Dopóki nie dopadnie Zielonego Wędrowca i nie odkryje, kim w rzeczywistości jest, pozostanie on nadal bohaterem mitu — przerażającą postacią z baśni, a nie przestępcą z krwi i kości.

Luke nie chciał się bawić w ciuciubabkę z Johnem Husbandem i policją z Cedar Rapids, ale pamiętał historię szeryfa Dennisa Molloya. W hrabstwie Black Hawk, w którym pracował

Molloy, miało miejsce kilkanaście napadów na jeżdzące samotnie kobiety. Sprawcą, według każdej z napadniętych, był nagi mężczyzna „z twarzą z tyłu głowy”.

Wprowadzony w błąd przez swego obdarzonego bujną wyobraźnią zastępcę szeryf Molloy doszedł do wniosku, że ściga grasującego w dziewiętnastym stuleciu rewolwerowca, Jacka Allisona, którego powieszono w Waterloo w ostatnim dniu października roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego. Stryczek tak mocno przekreślił jego głowę, że chcąc, aby Allison spoglądał w górę, przedsiębiorca pogrzebowy musiał ułożyć go w trumnie na boku.

Szeryf Molloy zarządził egzorcyzmy; sprowadził nawet samolotem z Haiti znachora vodu, wszystko na koszt hrabstwa. W końcu autostopowicz został ujęty; okazało się, że zakładał sporządzoną z lateksu maskę Richarda Nixona, z wyciętymi na oczy dziurami.

Ostatnią rzeczą, której życzyłby sobie Luke, było odkrycie, że Zielony Wędrowiec stanowi fragment wymierzonej w niego skomplikowanej i dziwnej mistyfikacji. Nie miał

zamiaru zamieszkać razem z szeryfem Molloyem w przeznaczonym dla łatwowiernych policjantów domu spokojnej starości.

Wyjął z szuflady plastikową torebkę na dowody rzeczowe i używając długopisu wsunął

do niej ostrożnie srebrną monetę. Zapieczętował kopertę i podniósł ją do góry. Wyglądało na to, że umieszczona w plastikowej osłonie moneta zupełnie na niego nie wpływa. Położył ją na otwartej dłoni. Wciąż żadnego efektu. Zaciśnął ją w dłoni. Nadal nic.

To było coś. Wszystko wskazywało na to, że oddziaływanie wywodzącej się ze starożytności duchowej magii może zostać powstrzymane, jeśli użyje się nowoczesnego materiału. Wsunął monetę do kieszeni na piersi, poklepał ją i przez chwilę czekał, żeby upewnić się, że nie cofnęła go

ponownie w czasie.

Może lekki zawrót głowy? Nie. Żadnego zaćmienia, żadnych dreszczy. Wszystko było w całkowitym porządku. Mimo to wciąż napawała go szacunkiem antyczna moc utrzymanego w kieszeni przedmiotu.

Chodził regularnie do kościoła. Znał prawie na pamięć słowa ewangelii świętego Mateusza.

„Wtedy Judasz, który go zdradził, widząc, że został skazany, żałował tego, zwrócił

trzydzieści srebrników arcykapłanom oraz starszym. Wtedy rzucił srebrniki do świątyni, oddalił się, poszedł i powiesił się. A arcykapłani wzięli srebrniki i rzekli: «Nie wolno kłaść ich do skarbcza, gdyż jest to zapłata za krew». Po naradzie więc nabyli za nie pole garncarza na cmentarz dla cudzoziemców. Dlatego owo pole nazywa się do dnia dzisiejszego Polem Krwi”.

Luke poczuł, jak ogarnia go pokora, powaga i głęboki lęk. Ostatecznie nosił teraz na piersi jedną trzydziestą sumy, jaką zapłacono za Pole Krwi.

Przed wyjściem do domu postanowił jeszcze raz przespacerować się po budynku. Na trzecim piętrze natknął się na zwalistego Joego Krolikiewicza z administracji, który sprawdzał właśnie skrzynkę z bezpiecznikami.

— Doszliście, co to było? — zapytał Luke. Joe potrząsnął głową.

— Dziwna sprawa. Wygląda to na nieregularne zmiany w napięciu, ale nie mam pojęcia, skąd się biorą. Rozmawiałem z elektrownią: ich liczniki nie wykazały żadnych fluktuacji.

— W porządku, Joe... postaraj się to wyjaśnić — powiedział Luke, po czym skrzypiąc podszwami szedł na dół, do aresztu. Zamienił kilka słów z dyżurnym strażnikiem (który stał

wyprężony na baczność w chmurze papierosowego dymu i z wystającym zza pleców egzemplarzem „Penthouse'a”), po czym podszedł do celi Pearsona i stał tam przez chwilę, obserwując Terence'a, który leżał na swojej pryczy, gapiąc się szeroko otwartymi oczyma w sufit.

— Jak leci, Terry? - zapytał.

— Nudzę się — odparł Terence, nawet na niego nie patrząc.

— Pani Candelaria powiedziała mi, że jesteś zainteresowany złożeniem dodatkowych zeznań.

— Zastanawiam się nad tym. Co to było za zamieszanie?

— Nic, co mogłoby cię niepokoić. Do budynku dostał się jakiś intruz.

Terence posłał mu szybkie spojrzenie.

— Intruz?

— Ktoś, kto zostawił po sobie w kilku miejscach liście wawrzynu. Może to jakiś twój znajomy?

Terence usiadł poważnie zaniepokojony na łóżku.

— Ktoś, kto zostawia po sobie liście wawrzynu? Robi pan sobie ze mnie żarty, prawda? Chce mnie pan po prostu nastraszyć.

— Widziałem tego kogoś na własne oczy, Terry. Faceta, który wyglądał, jakby przebrał się za krzak.

Terence podszedł do krat, złapał je mocno i przyjrzał się bacznie Luke'owi, szukając na jego twarzy najmniejszego śladu, wskazującego, że szeryf próbuje go nabrać.

— Mówi pan serio, prawda? — powiedział w końcu. — Widział go pan! Widział pan Zielonego Wędrowca w tym budynku. Jezus! Mówił pan zdaje się, że to miejsce jest bezpieczniejsze od Marion!

— Przeszukaliśmy cały gmach od piwnicy aż po strych — powiedział Luke. — Nikogo tu nie ma.

— Myśli pan, że on pozwoli, żebyście go znaleźli? Zielony Wędrowiec może zrobić wszystko, co chce, może udać się wszędzie, gdzie ma ochotę. Niech pan posłucha, szeryfie, musi pan mnie stąd zabrać. Jeśli jest tutaj Zielony Wędrowiec, nie zostanę w tej celi ani chwili dłużej. Nie ma mowy. Absolutnie nie ma mowy.

— Obawiam się, że nie masz wyboru — odparł Luke.

— Na litość boską! — wrzasnął Terence. — To nie jest sprawa wyboru! To sprawa życia i śmierci! Wie pan, co Zielony Wędrowiec robi ludziom? Naprawdę ma pan o tym jakieś pojęcie?

— Przestań się wydzierać, Terry — powiedział szeryf. — Jesteś tu bardziej bezpieczny niż gdziekolwiek. Jak twoim zdaniem ktoś może wejść do twojej celi, skoro ty sam nie możesz się z niej wydostać? Nawet Zielony Wędrowiec nie potrafi sforsować prętów z litej stali!

Terence zaczął krążyć po celi, zderzając się ze ścianami i z okratowanymi drzwiami. Po chwili skrzyżował ręce na piersi i zaczął dygotać niczym dziecko wyciągnięte z basenu.

— On jest tutaj, na litość boską! Jest tutaj! Wiedziałem, że sprowadzi go ta pogoda!

Wiedziałem, że sprowadzi go ten nieurodzaj! Przez długie lata czułem, jak się zbliża, a teraz zjawił się, a ja siedzę zamknięty w tej pieprzonej celi i nie mogę się z niej wydostać! Słyszysz mnie pan? On jest w tym budynku. Jest w tym pieprzonym biurze i na pewno mnie znajdzie, a kiedy mnie znajdzie, na pewno mnie zabije!

Ostatnie słowa wykrzyczane były tak cienkim falsetem, że Luke ledwo je zrozumiał.

Terence przysunął się do krat, trzymając się obiema rękoma za głowę. Jego twarz, z której odpłynęła cała krew, była szara jak papier-mache.

Zaczerpnął powietrza, próbując się uspokoić.

— To dlatego właśnie je zabiłem, szeryfie. Zabiłem je właśnie z jego powodu. Z

powodu Zielonego Wędrowca! Zabiłem je, bo nie było innego sposobu! Żadnego innego wyjścia! A teraz on jest tutaj!

— Chcesz złożyć pełne zeznanie? — zapytał Luke.

— Chcę się stąd wydostać!

— Jeśli chcesz złożyć pełne zeznanie, zostaniesz przeniesiony w inne miejsce.

Zaprowadzimy cię do pokoju przesłuchań i tam złożysz zeznanie.

— Do pokoju przesłuchań? — zapytał nagle podejrzliwym tonem Terence.

— Jasne... tak będzie wygodniej dla wszystkich zainteresowanych.

— Czy tam jest bezpiecznie?

— Jasne, że jest bezpiecznie.

Terence rozejrzał się, wciągając w zamyśleniu policzki.

— Sam nie wiem, sam nie wiem. To nie jest jakiś podstęp?

— Dlaczego miałbym cię oszukiwać?

Terence spojrział na niego przez krótki jak ukłucie igły moment i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— To jest podstęp, prawda? Moja adwokat poszła do domu i myśli pan, że może opowiadać, co się panu podoba. Był pan w moim pokoju, prawda? Oglądał pan podobiznę Zielonego Wędrowca. Połączył pan to wszystko razem i teraz próbuje pan mnie nastraszyć i wyciągnąć zeznanie. To zaoszczędziłoby panu kupę roboty i kilka godzin w sądzie, prawda?

Ale nie uda się panu załatwić w ten sposób Terence'a Pearsona... nie mnie, szeryfie, niech pan sobie nie robi złudzeń.

— Terry — odparł Luke z całą cierpliwością, na jaką go było stać. — Widziałem go na własne oczy. Wyglądał zupełnie jak krzak. Wisiał pod sufitem.

Terence przysunął się tak blisko, że Luke poczuł jego oddech cuchnący oddechem kogoś, kto znajduje się w głębokim emocjonalnym stresie: kogoś, kto nie myje dobrze zębów albo pije za mało wody.

— Nie uda się panu wystrychnąć mnie na dudka, szeryfie. Wendy Candelaria powiedziała panu, że

chcę prosić o zmniejszenie wymiaru kary... i to dało panu do myślenia, prawda? Jeśli facet chce przekazać jakieś informacje w zamian za zmniejszenie wymiaru kary, w takim razie musi być winny albo przynajmniej współwinny popełnionego przestępstwa. Zejdę więc na dół do aresztu, nastraszę go, aż mu serce pójdzie w pięty, i facet wyśpiewa wszystko, co wie, nie otrzymawszy nic w zamian!

Luke podciągnął w górę pas z bronią.

- Złe mnie zrozumiałeś, Terry. Widziałem go pod sufitem. Przeczytał pan o tym. Tę historię o chodzeniu po suficie przeczytał pan w moich notatkach.

- Nie skończyliśmy jeszcze tłumaczyć twoich notatek. I na pewno nie znaleźliśmy tam nic o chodzeniu po suficie.

- Robi pan ze mnie wariata, szeryfie — przerwał mu, prawie krzyżąc, Terence. — Robi pan ze mnie wariata! Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

Luke odpiął kieszeń koszuli i wyjął z niej jeden z liści wawrzynu, które znalazł na klatce schodowej.

— Co to jest w takim razie? — zapytał, podtykając go więźniowi pod nos.

Terence zasłonił oczy dłonią niczym wampir postraszony krucy fiksem.

— Gdzie pan to znalazł? — zapytał, łapiąc kurczowo oddech. Mógł pan to znaleźć dosłownie wszędzie. Mógł pan to kupić w sklepie spożywczym.

- Jasne, że mógłbym, ale nie zrobiłem tego. Znalazłem to na schodach zaraz po tym, jak wspiał się po nich Zielony Janek. Terence nadal zasłaniał dłonią oczy.

- Nie wierzę panu, szeryfie. Nie ma mowy. Niech pan zabiera stąd tę rzecz i zostawi mnie w spokoju. Luke schował liść z powrotem do kieszeni.

- Mecenas Candelaria powiedziała, że dziś w nocy masz zamiar się nad tym wszystkim zastanowić. Solidnie zastanowić. Postaraj się dotrzymać słowa.

Terence nie odpowiedział. Luke odwrócił się i wyszedł z aresztu, salutując na pożegnanie strażnikowi, a Terence wciąż stał z uniesioną trwożliwie do oczu dłonią.

Na dworze lało. Szeryf wyszedł z budynku i przeciął na ukos parking, trzymając mocno kapelusz, żeby nie porwał go wiatr. Naprawdę nie wiedział, co sądzić o Terrym Pearsonie.

Może trafne było jego pierwsze wrażenie, że Terence jest po prostu zwyczajnym świrem. Z

drugiej strony Pearson, podobnie jak Luke, wierzył w Zielonego Wędrowca i to czyniło ich w przedziwny sposób współnikami. Nie współnikami przestępstwa, ale jednymi z nielicznych świadków najdawniejszego i najbardziej przerażającego zjawiska, jakie Luke oglądał w całym swoim życiu

Wsiadł do samochodu i zapiął pas. Zdawało mu się, że przez zalaną deszczem szybę widzi stojącego na chodniku Third Avenue

Bridge wysokiego mężczyznę w białym płaszczu. Przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył wycieraczki, ale kiedy wytarły szybę, mężczyzna zniknął. Cienie, mówił o nich jego dziadek: ludzie, którzy niby istnieją, ale kiedy przyjrzeć się im wyraźniej, rozplývają się w powietrzu. Dziadek powtarzał, że to duchy osadników, którzy ponieśli śmierć, próbując przebyć w latach czterdziestych ubiegłego stulecia równiny wschodniej Iowy — duchy ludzi o nazwiskach takich jak McCleod, Murphy, Smith i Brozik. Ludzi, którzy od dawna już nie żyli.

Luke sięgnął do schowka i wyjął okulary do jazdy. Potrzebował ich wyłącznie, kiedy miał zmęczone oczy. Doszedł do wniosku, że tego wieczoru widział chyba zbyt wiele: więcej niż ktokolwiek powinien oglądać w ciągu całego swego życia. Pragnął teraz tylko jednego: wrócić spokojnie do domu i otworzyć sobie puszkę piwa.

Dwadzieścia kilka minut później Terence wciąż siedział na swojej pryczy, z otwartymi ustami i głową opartą o pomalowaną na szaro ścianę, na pół drzemiąc i na pół nasłuchując.

Wieczór w areszcie był dość spokojny. Krótco po północy przywieziono czarną kobietę, która na przemian śmiała się i płakała, a potem zaczęła śpiewać.

— Sweet'n'Loo... sweet chariot... comin' for to carry me home — powtarzała bez końca jedną zwrotkę.

— Na litość boską! — wrzasnął wreszcie jakiś zdesperowany mężczyzna. — To jest „swing low”, nie „Sweet'n'Lo”!

Potem ktoś inny, sądząc po głosie bardzo młody, zaczął cicho łkać. Ale generalnie rzecz biorąc w areszcie panował spokój; słychać było tylko szuranie, chrapanie i co jakiś czas głośny kaszel.

Terence zasnął z głową opartą o ścianę i przyśniło mu się, że biegnie przez smagane wicherą pole pszenicy, goniąc Emily i wymachując swoim sierpem, swoim największym sierpem, którego używał, torując sobie drogę przez krzaki jeżyn. Był jednocześnie rozradowany i wystraszony. Wiedział, co musi zrobić. Kłosa pszenicy kłuły go po nogach, a niebo wirowało nad głową niczym wielka obracająca się czarna karuzela z szarymi końmi.

— Emily! — krzyczał. — Zatrzymaj się, Emily!

Ale Emily nie słuchała go. Dotarła do skraju pola, zbiegła z nasypu i zniknęła.

Terence stanął na szczycie wału, tuż nad rowem i łapiąc kurczowo powietrze rozejrzał

się gorączkowo dookoła. Widział wijącą się na przestrzeni kilku kilometrów szosę, ale tym razem nie jechała nią żadna półciężarówka, nie jechało kompletnie nic. Odwrócił się zdezorientowany do tyłu. Gdzie ona się podziała? Przed chwilą jeszcze biegła zaledwie parę metrów przed nim; a teraz nie było jej nigdzie widać.

— Emily! — krzyknął. — Gdzie jesteś, Emily? Czekał i nasłuchiwał. W uszach huczał

mu wiatr. Pszenica szeleściła i szumiała jak morze. Minęła bardzo długa chwila, podczas której wciąż siedział, chrapiąc cicho, na swojej pryczy: z otwartymi ustami, głową opartą o ścianę i gardłem przyklejonym do podniebienia.

A potem usłyszał śmiech. Cichutki śmiech, w ogóle nie ochrypły. Śmiech małej dziewczynki, złośliwy, lecz słodki.

Obrócił się w swoim śnie i zobaczył Emily. Ale kiedy powoli spojrzała w jego stronę, okazało się, że wcale nie jest do siebie podobna. Miała białą niczym maska twarz maskarnika, pokrytą grubą warstwą lakieru, z przebitymi czarnymi dziurami na oczy.

Przerażony i zdyszany Terence obudził się. I kiedy otworzył oczy, byli tam wszyscy.

Stali w milczeniu za kratami jego celi, obserwując go, tak jakby robili to od wielu godzin.

Było ich sześciu; pięciu miało na twarzach białe maski. — Boże... Boże wszechmogący —

szeptał Terence. Jego głos przypominał jęk alpinisty, któremu zabrakło tlenu. Był tak przerażony, że mimowolnie oddał mocz, który pociekł w lewej nogawce spodni: gorący, niepowstrzymany i upokarzający.

Wystarczająco przerażające było samo ich pojawienie się; ale jeszcze większą trwogą napawał go fakt, że ciała całej szóstki nie były całkowicie nieprzezroczyste. Przypominali bardziej własne duchy, własne zjawy aniżeli prawdziwych ludzi. Natężywszy mocno wzrok Terence mógł przejrzeć ich na wylot — mógł dostrzec niewyraźny zarys widniejącej za nimi ściany. Ich postaci oświetlały jasno zawieszony u sufitu lampy, a jednak kiedy pod nimi przechodzili, światło wydawało się przeświecać przez ramiona i głowy.

Dla Terence'a stanowiło to wystarczający dowód. Jego goście byli jak najbardziej prawdziwi, ale istnieli jedno uderzenie serca za nim. To, co oglądał, było obrazem tego, jak wyglądali przed sekundą a nie tego, jak wyglądali obecnie. To właśnie zapewniało im nie-

śmiertelność; to sprawiało, że nie sposób było ich zranić. Każdy, kto chciał ich złapać albo uderzyć, uderzał w coś równie ulotnego jak wspomnienie.

Najbliżej krat stał wysoki mężczyzna w białym, bardzo białym płaszczu i masce pokrytej białą emalią. Prawą dłońią obejmował niedbałym gestem jeden z prętów, niczym trzymający się poręczy pasażer metra. Miał długie, suche i wypielęgnowane palce, ale na środkowym i wskazującym paznokciu widniały ciemnobursztynowe plamy od papierosów.

Tuż obok niego, cofnięty lekko do tyłu stał wyższy i chudszy mężczyzna ubrany w dziwny workowaty kostium w czarne i czerwone kwadraty i małą czarną czapeczkę w kształcie poduszki, z jedwabnymi wisiorami w każdym rogu. Przez ramię przewieszony miał długi czarny worek z aksamitu, z którego wystawały podobne do krucyfiksów rękojeści mieczy.

W połowie zasłonięty przez chudego mężczyznę stał niski skurczony osobnik w poplamionym smołą grubym nabicie czternastowiecznego mnicha i z twarzą kompletnie schowaną w mrocznym wnętrzu kaptura. Widać było tylko jego jedną dłoń, którą zaciskał

mocno habit przy samej szyi; dłoń, która była miękka i kluskowata niczym rozkładający się ser. Chociaż twarz mnicha kryła się w mroku, Terence słyszał jego zakatarzony, świszczący oddech; i widział, że cały kołysze się lekko, jakby doznawał nieustannego bólu.

Z boku, skąpani w jasnym świetle palącej się na korytarzu jarzeniówki, tak że wydawali się aż nienaturalnie rzeczywisci — bardziej rzeczywisci niż sama rzeczywistość — stali chłopak i dziewczyna. Chłopak miał na sobie jedwabny obcisły kostium w szkarłatno-żółte łaty, a w jasne loki dziewczyny wplecione były zwiędłe kwiaty: stokrotki, osty i zwyczajne ziele świętego Jana. Ubrana była w wysokie buty, grubą kurtkę ze zwierzęcych futerek i szare pończochy z surowej wełny.

Wszyscy mieli zawieszane na szyi małe skórzane sakiewki i dla Terence'a stanowiło to ostateczny dowód, że należą do świty Zielonego Wędrowca: w sakiewkach znajdowały się srebrne monety, które Judasz Iszkariot otrzymał za zdradzenie Jezusa; to one właśnie zapewniały im nieśmiertelność.

— Więc jednak przyszlście — powiedział Terence.

Znał imiona ich wszystkich. Ojciec opowiedział mu szybkim przerażonym szeptem, kim jest każdy z nich. Bładolicy Świadek: ten, który obserwował grzechy chciwości i zdrady i zapisywał je, wszystkie co do jednego. Miecznik, który był katem i oprawcą: tym, który patroszył i wycinał wnętrzności. Nieczysty Trędowaty, który przenosił wszystkie choroby, na jakie mógł zapaść człowiek. Oraz bliźniaki Nóż i Naga.

Brakowało tylko dwóch. Doktora, który potrafił osadzać z powrotem ucięte głowy i przywracać do życia zmarłych. I samego Zielonego Wędrowca, Janka, dawcy urodzaju i płodności, spadkobiercy wszelkich antycznych i tajemniczych sił przyrody, które rządziły wegetacją roślin.

Terence wstał z pryczy.

— Czego chcecie? — zapytał. Gardło miał zupełnie zaciśnięte, tak jakby zakrztusił się ością lub pestką.

Świadek milczał. Milczał również Miecznik. Byli maskarnikami: nigdy się nie odzywali.

— Wzięłeś coś, co nie należało do ciebie — przemówiła zza swojej białej gładkiej maski Naga. — Zabiłeś dwoje dzieci, których nie miałeś prawa zabić.

— Ocaliłem je przed złą krwią — odparł Terence.

— Skazałeś je po prostu na nieistnienie. Nie sądzisz chyba, że pójdą do nieba? Niebo jest zamknięte dla dzieci Janka. Nie przyjmą ich również nigdy do Krainy Ciemności.

— Nie były dziećmi Janka, były moje.

— Były jego potomkami — odparła Naga. Miała obcy, lekko wschodnioeuropejski akcent i jej głos zdawał się odpływać i powracać niczym program radiowy nadawany z odległego miasta: nadawany nocą, kiedy wszystkie rozgłośnie użyczają gościny samotnym i zdesperowanym. Jego i jej wypowiedzi dzieliła wyraźna przerwa, wyraźny przeskok w czasie.

— Twoje dzieci były potomkami Janka — powtórzyła Naga — i dlatego należały do niego. Mąż twojej matki obiecał, że Janek będzie je miał; podobnie zresztą jak i ciebie.

— Nikt mu nie dał takiego prawa — odparł Terence. Słyszał niemal ochryply z przerażenia głos ojca: „Myślałem, że robię dobrze, Terry, Bóg mi świadkiem. Naprawdę w to wierzyłem. Ani razu nie pomyślałem o konsekwencjach... nie wierzyłem, że naprawdę po ciebie przyjdą...”

Naga przysunęła się bliżej do krat. Terence widział jej oczy, błyszczące w otworach maski. Bał się, że dziewczyna może przejść przez kraty i dotknąć go. Ta obawa była zupełnie irracjonalna, ale mimo to dał krok do tyłu. Maszkarnicy, którzy potrafili dostać się, nie napotykając na żaden opór, do wnętrza aresztu, mogli równie dobrze przenikać przez stalowe pręty.

Ona czymś pachniała, ta dziewczyna. Roztaczała wokół siebie wyraźną woń rozkładających się zwierzęcych futer, starego pot-pourri i seksu. Jej bliźniak, Nóż, oparł w milczeniu dłoń o biodro i Terence nie mógł się oprzeć wrażeniu, że się uśmiecha.

— Obietnica jest obietnicą — powiedziała Naga.

— Niczego nie obiecywałem — zaprotestował Terence. - To mój ojciec wam obiecał, jeszcze zanim się urodziłem. Nie ja.

— Tak czy owak, obietnica jest obietnicą i trzeba ponieść jej konsekwencje. Trzeba zapłacić za wszystko, co wzięło się od Zielonego Janka. To może być trzysta akrów ozimej pszenicy. To może być kukurydza albo dzieci. To może być jeden strąk fasoli. Za wszystko trzeba zapłacić, przyjacielu; dobrze o tym wiesz.

Terence nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Był tak przerażony, że prawie nie mógł się odezwać. Przelykał bez przerwy ślinę, która napływała mu do ust, tak jakby miał zaraz zwymiotować.

Z cichym chrobotem Świadek przesunął paznokcie po kracie, zamykającej dostęp do celi Terence'a. Znowu nastąpił wyraźny przeskok w czasie: chrobot rozległ się, zanim Świadek dotknął kraty, i umilkł, kiedy wciąż przesunął paznokciami po metalu.

A potem Świadek dał krok do tyłu, tak jakby usłyszał już dosyć, i teraz, bardzo szybko, wysunął się do przodu Miecznik, sięgając do tyłu i wyciągając miecze ze swego worka. Kiedy je wyciągał, każdy z nich zadzwonił przenikliwie i od tego odgłosu ciarki przeszły Terence'owi po plecach. Mieczy było razem pięć i Miecznik skrzyżował je zgrabnie tak, że utworzyły regularny pięciokąt, a potem uniósł w górę, żeby Terence mógł zobaczyć, jak błyszczą. Terence wiedział, dlaczego miecze skrzyżowane są właśnie tak, a nie inaczej.

Głowa ofiary powinna się znaleźć w środku pięciokąta, a wtedy Miecznik złoży je niczym migawkę

aparatu.

Terence podniósł w górę obie ręce, krzyżując palce w ten sam sposób, w jaki złączone były miecze.

— Trzymajcie się z daleka! — zawołał. — Nie możecie tutaj wejść! Nie zostaliście zaproszeni! Musicie zostać zaproszeni! A poza tym nie ma tutaj niczego zielonego! Niczego!

— Nie potrzebujemy wcale zaproszenia, przyjacielu — odparła Naga. — Janek jest twoim ojcem i rozkazuje ci nas wpuścić. Poza tym w twojej celi jest coś zielonego.

Terence nadal trzymał wysoko podniesione skrzyżowane palce.

— Nic nie ma! Upewniłem się.

— Cóż, wszyscy popełniamy błędy — stwierdziła Naga. Przerażony Terence rozejrzał

się szybko po celi. Nie było w niej nic zielonego; dobrze o tym wiedział. Sprawdzał ją wielokrotnie każdego dnia i przeszukiwał obsesyjnie, zanim zasnął. Nigdy nie jadł zielonych jarzyn, nigdy nie czytał niczego oprócz paperbacków ze zdartymi okładkami, na wypadek gdyby w kolorowym druku znalazła się plamka zieleni. Z tego samego powodu nigdy nie przyjmował żadnego opakowanego w kolorowy celofan cukierka. Co mogło być tutaj zielonego? Co mogło być zielonego?

Przez celę Terence'a przeszedł lekki powiew i w tej samej chwili spod pryczy wysunął

się liść wawrzynu, który Luke miał zamiar wsadzić z powrotem do kieszeni. Przewrócił się na drugą stronę, zawahał przez chwilę i przewrócił ponownie.

— Zielone — powiedziała Naga.

Świadek dotknął palcami prawej ręki szyfrowego zamka celi.

W zamkniętej lewej dłoni trzymał kości. Podrzucił je w górę, złapał, potrząsnął i jeszcze raz podrzucił, ani na chwilę nie odwracając oczu od twarzy więźnia. Terence zaczął drżeć.

Trzymał dalej przed sobą skrzyżowane palce, żeby nie wpuścić do środka Świadka, ale wiedział, że na nic się to nie zda. Świadek rzuci kośćmi i odkryje kombinację zamka.

Miecznik cierpliwie czekał. Trędowaty stał z tyłu, oddychając chrapliwie niczym człowiek na łożu śmierci. Nóż rozprostował palce i przyglądał się swoim paznokciom; Naga położyła dłoń na jego ramieniu i zaczęła je powoli masować.

— Nie możecie tego zrobić — jęknął Terence. — Jezus... wy nie jesteście nawet prawdziwi, jesteście tylko mitem. Jesteście cholernymi postaciami z bajki!

— Chcesz się przekonać, jak bardzo jesteśmy prawdziwi? — zapytała Naga. —

Jesteśmy o wiele bardziej prawdziwi od ciebie.

— Mogę zamknąć oczy, a potem otworzyć je i w ogóle was tu nie będzie — zawołał

Terence.

— Nie sądzę. Zapytaj Miecznika. Zapytaj, czy możesz sprawdzić jego miecze, zobaczyć, jak bardzo są ostre. Czy zostałeś kiedyś zraniony przez mit? Czy puściła z ciebie krew postać z bajki?

Świadek wyrzucił siódmkę. Kości wydawały się podskakiwać i skrzyć w powietrzu.

Terence usłyszał, jak zwalnia się pierwszy rygiel w zamku. Świadek złapał kości, chuchnął w dłoń, a potem cisnął je ponownie w górę i tym razem wyrzucił dziewiątkę.

— Cztery cyfry, cztery rzuty — powiedziała, przysuwając się bliżej, Naga.

W zamku przesunął się drugi rygiel.

Terence zaczął się powoli cofać, aż dotknął plecami ściany. Wciąż trzymał

skrzyżowane przed sobą palce; oczy miał szeroko otwarte z przerażenia.

— Ab insidiis diaboli, libera nos, Domine! — zawołał.

— A to co takiego? — zdziwiła się Naga. — Kościelna gadka? Egzorcyzmy? Nie wiem, czy wiesz, kochanie, ale pobłogosławił nas sam Ojciec Święty. Kościelna gadka to miód dla naszych uszu.

— Ut Ecclesiam tuam secunda tibi facias libertate seruire, te rogamus, audi nos; Ut inimicos sanctae Ecclesiae humiliare digneris, te rogamus, audi nos. Per unigenitum Filiwn suum Dominum nostrum Iesum Chris-tum, qui cum uiuit et regnat in unitate Spiritus sancti Deus, per omnia saecula saeculorum.

— Masz talent do języków — zauważyła Naga; i w tej samej chwili przesunął się trzeci rygiel.

Miecznik dał jeden krok do przodu, trzymając podniesione wysoko w powietrzu błyszczące miecze niczym religijny talizman. Chłopak o imieniu Nóż zaśmiał się piskliwym głosem, tak jakby nie mógł się doczekać tego, co się za chwilę wydarzy. Terence przestał się modlić i błagać Boga o pomoc; ale wciąż trzymał przed sobą skrzyżowane palce i wciąż opierał się plecami o ścianę.

— Nie wierzę w was — powtórzył z uporem.

— Ale wierzysz chyba w piekło? — zapytała Naga. — Wierzysz w demony? —

Wyśmiewała się teraz z niego; wyśmiewała z jego badań, z jego obsesyjnego studiowania pogody i danych na temat wysokości zbiorów. Był w końcu synem Janka i powinien wiedzieć, że jego ojciec upomni się o niego — niezależnie, jak długo będzie to trwało, niezależnie, ile lat będą musieli czekać jego maskarnicy.

Świadek wyrzucił czwórkę.

— Cztery — szepnęła Naga i w tej samej chwili przesunął się ostatni rygiel.

Terence osunął się na kolana. Drzwi celi otworzyły się na oścież na lekko naoliwionych zawiasach i do środka wszedł Świadek, a w ślad za nim Miecznik i chłopak o imieniu Nóż.

— Czy chcesz tutaj umrzeć? — zapytała Naga. Terence nie odpowiedział. Był w stanie myśleć tylko o biegnącej przez pszeniczne pole Emily i o chłodnym, smagającym jego policzki deszczu.

Świadek dotknął go i jego dotyk był zaiste piekielny: lodowaty i zarazem rozpalony, niczym ciało nieboszczyka, którego przywrócono do życia tysiącami woltów elektryczności.

Pod wpływem tego dotyku ramię Terence'a złapał nagły skurcz, a przez mięśnie przeszło na pół uświadomione mrowienie.

— Nadszedł czas wyrównania rachunków — powiedziała Naga. Miecznik uniósł swoje miecze nad głowę Terence'a, tak jakby miał zamiar koronować go na króla.

— Jesteście wszyscy tchórzami — zawołał Terence. — Zakrywacie swoje twarze.

— Les visiteurs silencieuses se cachent quelquefois sous des formes bestiales — odparła Naga — on se couvrent le visage d'un masque pour demeurer inconnus.

Terence'a ogarnęło straszliwe poczucie nieuchronności. Oddychał płytko przez nos, wytrzeszczając bezradnie oczy. Nauczył się o Zielonym Janku dosyć, żeby wiedzieć, skąd pochodzi on i jego przebierańcy. Po raz pierwszy pojawili się w Czechach w dziewiątym stuleciu, po chrzcie księcia Borijowa. Przybyli razem z chrześcijaństwem, ale urągali Bogu.

Pojawili się w czasach religijnych misteriów i „czarnej śmierci”; w mrocznych czasach Podiebradu i Władysława, w czasach zakazanych sabatów, obrzędów płodności i wędrówek ludów — wędrówek, które przywiodły ich w końcu tutaj, w rolnicze okolice Środkowego Zachodu, gdzie przetrwało jeszcze unikalne połączenie wiary chrześcijańskiej i czeskich przesądów a także rozpaczliwa potrzeba, którą potrafił zaspokoić tylko Zielony Janek.

Potrzeba płodności — za cenę przyszłego życia.

Potrzeba dostatku — za obietnicę złożenia w ofierze nie nazwanego, nie narodzonego jeszcze dziecka.

Miecznik podszedł do Terence'a i powoli opuścił na jego szyję skrzyżowane miecze.

— Janek czeka na ciebie, kochanie — powiedziała Naga. — Wiesz, że nie uda ci się przed nim uciec.

ROZDZIAŁ X

Lily usiadła na łóżku.

— Lepiej już pójde — powiedziała. — Jutro rano mamy zebranie grupy.

— Nie planujecie chyba żadnych nowych rozruchów? — zapytał Bryan. Leżał rozparty wygodnie na poduszkach, puszczając w sufit kłęby dymu z cygara.

Było dwadzieścia siedem minut po pomocy. Wróciwszy po ósmej do Collins Plaża, Bryan zastał w apartamencie czekającą na niego Lily. Nie był tym zbyt zachwycony: tego popołudnia spędził dwie i pół godziny spierając się z urzędnikami departamentu rolnictwa na temat proponowanych cięć w programie stabilizacji i służb konserwacyjnych; a potem kolejne dwie godziny, kłócąc się z hodowcami bydła i trzody chlewnej na temat ustawy Zapf-Cady'ego.

Był zachrypnięty i zmęczony i nie miał chęci na zabawę z szarfami.

Do końcowego głosowania zostało mniej niż dwa tygodnie i wielu hodowców zaczynało wpadać w panikę. Kiedy ustawa została przedstawiona po raz pierwszy, traktowano ją na ogół jako ekscentryczny przykład politycznej prawomyślności. W krótkim czasie jednak zdobyła sobie tak olbrzymie poparcie, że Bryan nie zastanawiał się już, czy w ogóle przejdzie, ale jaką większością głosów.

Być może największym jej atutem było to, że politycy bali się po prostu przyznać, że jej nie popierają. Każdy, kto występował przeciwko niej, przyznawał tym samym, że jest za wiwisekcją, zabijaniem fok i okrucieństwem wobec zwierząt i nie wierzy w to, że zwierzęta mają dusze.

Lily wstała z łóżka i przeszła, kołysząc wielkimi piersiami, przez pokój. Na jej pośladkach i udach wciąż widniały czerwone ślady palców Bryana, a na nadgarstkach szkarłatne otarcia po szarfach.

Stała przed lustrem i zaczęła poprawiać włosy, oblizując i wydymając usta.

— Nie sądzisz, że wyglądam na zmęczoną? — zapytała Bryana. — Moim zdaniem wyglądam na zmęczoną.

— Wyglądasz wspaniale. Nie wiem, jak ty to robisz.

— Nie... moim zdaniem wyglądam na zmęczoną. Będę zadowolona, kiedy to się wszystko skończy.

Brian obrócił się na bok. Jego penis zawisł na owłosionym udzie niczym ciemny egzotyczny owoc.

— Co to za zebranie? — zapytał. — Mam nadzieję, że nie planujecie żadnych aktów gwałtu. Chcę, żeby prasa była po naszej stronie.

— Nie czytałeś jeszcze swoich gazet? — zapytała Lily. Podeszła do ozdobionego złotą intarsją biurka i wzięła do ręki egzemplarz „Cedar Rapids Gazette”. SUPER ŚWINIA RANIŁA DRUGIEGO NAUKOWCA, brzmiał tytuł na pierwszej stronie.

Bryan zdjął z wargi kawałek tytoniowego liścia.

— Czytałem. I co z tego? Jeśli ustawa przejdzie i tak będą musieli zamknąć cały Instytut.

— Ale czy przeczytałeś, co zrobili temu biednemu zwierzęciu? Przeszczepili mu ludzkie synapsy mózgowie i wydaje mu się teraz, że jest człowiekiem.

— Tak tylko twierdzą — odparł Bryan. — Ale rozmawiałem wczoraj z kilkoma naukowcami, którzy nie wierzą, żeby to było możliwe. W wyniku operacji otrzymali po prostu świnie z mózgiem, którego można użyć do zreperowania innych ludzkich mózgów.

Ale żeby świnia myślała, że jest człowiekiem? Nie sądzę.

Lily usiadła na łóżku, dotykając sutkiem jego ramienia.

— Kochasz mnie, prawda? — zapytała.

Obrócił się i zmierzył ją badawczym wzrokiem. Kiedy patrzył się na nią w ten sposób, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że widzi jego prawdziwą naturę. W zamierzeniu to spojrzenie miało wyrażać siłę jego uczucia; miało mówić: „jak śmiesz wątpić we mnie, nawet przez ułamek sekundy?” Ale dla Lily było to spojrzenie pozbawione głębi. Przypominało lustrzany daszek czapki, który opuszczał, żeby mogła w nim zobaczyć tylko samą siebie.

Bryan nie był taki twardy, za jakiego chciał uchodzić. Miał swoje nieoczekiwane słabości — jak choćby miłość do opery, miłość do psów i nieukojonny żal za zmarłą matką —

które niczym święta podziemna rzeka Alf drażyły niedostępne dla innych pieczary w drodze do pogrążonego w wiecznym mroku morza. Ale pokrywał je próżnością i jeszcze raz próżnością, a potem żądzą władzy i chciwością. Potrafił zainspirować. I był do tego stopnia przystojny, że powinien pociągnąć za sobą ludzi, jeśli niejako moralista, to przynajmniej jako polityk. Ale on krył się pod chitynowym pancerzem tandety, agresji i graniczącego niemal z psychopatią wysublimowanego egoizmu.

— Oczywiście, że cię kocham — powiedział; ale był przecież zbyt wielkim egoistą, żeby przyznać, że jest inaczej.

— Wydajesz się taki roztargniony — stwierdziła. Chciała pogłodzić go po włosach, ale odsunął na bok głowę.

— Jestem po prostu zmęczony. To był ciężki dzień. Od rana do wieczora miałem do czynienia z hodowcami świń, facetami od ochrony środowiska i księgowymi. Czy wiesz, że departament rolnictwa zatrudnia aż pięć tysięcy księgowych? Jezus! Mają tylu pierdolonych księgowych, że prowadzą księgi dla Głównego Urzędu Rozliczeniowego.

— Bryan... — zaczęła Lily. — Nie jestem taka naiwna. Potrafię wyczuć te rzeczy o wiele szybciej niż inni.

— Jakie rzeczy?

— Potrafię wyczuć, kiedy ktoś chce się wycofać, tak jak ty. Potrafię wyczuć, kiedy ktoś nie chce naprawdę mnie posiadać.

— Chcesz być posiadana? Kobieta taka jak ty?

— Oczywiście. Zawsze ci to mówiłam, od samego początku.

— Na litość boską, Lily. Kocham cię, ale przechodzę właśnie kryzys. Daj mi trochę luzu. Pragnę cię, potrzebuję cię. Jesteś wyjątkowa. Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Co mam ci jeszcze powiedzieć?

Położyła się tuż obok niego. Dotknęła jego twarzy. Powiodła czubkiem środkowego palca po idealnym zarysie jego czoła, idealnym zarysie jego nosa. Pociągnęła go za atramentowe włosy.

— Potrzebuję cię — szepnęła. — Potrzebuję cię bardziej niż czeokolwiek.

Wypuścił kącikiem ust dym z cygara, jak najdalej od niej.

— Lily... wiem, że mnie potrzebujesz. Ja też cię potrzebuję. Ale w tej chwili jestem naprawdę zapracowany. I zmęczony. Mój poziom energii bardzo się obniżył.

Przytuliła się do niego blisko, bardzo blisko. Czubek jej palca przesunął się po czarnym zaroście jego podbródka, po ostrym trójkątnym jabłku Adama i po rozwiniętych, ćwiczonych w siłowni mięśniach piersi. A potem zjechał jeszcze niżej, aż do pępka, gdzie zanurzyła go w jego pocie i wysysała, tak jakby wysysała nektar.

Bryan sięgnął przez nią ręką i zgasił cygaro w kryształowej popielniczce. Nie rozkruszył go; było bardzo drogie, a wypalił je tylko do połowy.

— Posłuchaj, jesteś piękną dziewczyną — powiedział, całując ją bez przekonania w ramię. — Masz głowę na karku, masz charakter. Wspaniale nam się współpracowało i robiliśmy to dla dobrej sprawy.

Ale to nie będzie trwało wiecznie. Nie może. Masz przed sobą całe swoje życie i będziesz musiała w nim robić różne rzeczy; a ja mam jeszcze inne plany.

Ponownie ją pocałował.

— Na początek chcę zostać prezydentem.

Lily sięgnęła między jego nogi i zaczęła go masować; w sposób silny i nieubłagany, prawie na granicy bólu. Ścisnęła w palcach jego jądra, aż Bryan zareagował krótkim wysokim westchnieniem; a potem zaczęła ciągnąć i gnieść penis, dopóki się nie unióśł.

— Nie mógłbyś beze mnie żyć, prawda? — szepnęła. — Nie bój się, przyznaj, że nie mógłbyś beze mnie żyć.

— Lily... na litość boską... daj mi chwilę odpocząć — odparł krótko. W tym momencie nie było go stać na nic więcej.

Przestała go natychmiast masować i usiadła na łóżku.

— Przepraszam. Myślałam po prostu, że jesteśmy ze sobą bardziej związani.

— Nie wiem, jak bardzo związani jesteśmy w twoim mniemaniu. Oczywiście, że jesteśmy ze sobą bardzo blisko. I że bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Ale kiedy wygramy to głosowanie...

Lily obróciła głowę i posłała mu ostre spojrzenie.

— Wierzysz w to, prawda? Popatrzył na nią tak samo ostro.

— Oczywiście, że wierzę. Myślisz, że pracowałbym w pocie czoła przez wszystkie te miesiące, gdybym w to nie wierzył? Myślisz, że ryzykowałbym swoją karierę? Wiesz, jak bardzo kontrowersyjna jest ta propozycja, zwłaszcza dla senatora ze stanu, w którym tak ważną rolę odgrywa hodowla świń. To mogło być polityczne samobójstwo. Ale wierzyłem w to, pracowałem nad tym i teraz zostanie to wcielone w życie.

— I teraz ode mnie odejdiesz — dodała Lily.

— Czy mówiłem coś o odchodzeniu?

— Nie... ale próbujesz mnie do tego przygotować, prawda?

— Lily...

Pochyliła się nad nim tak, że prawie dotknęły się ich nosy.

— Nie wiesz nawet, kim jestem, prawda? — szepnęła.

Nie odpowiedział. Nie bardzo rozumiał, o co jej w ogóle chodzi. Oczywiście, że wiedział, kim jest. Już w pierwszym tygodniu, kiedy zaczęli się spotykać, Carl Drimmer dokładnie ją prześwietlił. Bryan wiedział, że jest fanatyczną obrończynią praw zwierząt.

Wiedział, że jest sierotą, adoptowaną przez Karla Monarcha, bogatego maklera ubezpieczeniowego z Marion. Chodziła do szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum w okręgu szkolnym Marion i uzyskała w Amerykańskim Akademickim Teście Kontrolnym 23,6

punkta wobec wynoszącej 21,6 średniej stanu Iowa, która jest i tak najwyższa w całym kraju.

Ukończyła z wyróżnieniem wydział nauk społecznych Uniwersytetu Iowa.

Wiedział, kiedy i z kim utraciła dziewictwo. (W wieku siedemnastu lat i trzech miesięcy z Johnem Forshawem Juniorem z drużyny lekkoatletycznej z jej szkoły.) Znał wyniki jej badań medycznych, dentystycznych, wszystko. Oglądał w życiu zbyt wielu polityków, którym podcięły skrzydła ich kochanki. Przysiągł, że coś takiego nigdy go nie spotka.

— O czym ty mówisz? — zapytał. Wyprostowała się i odwróciła od niego głowę.

— A o czym, twoim zdaniem, mogę mówić? Mówię o miłości. Mówię o lojalności.

Należałam do ciebie od pierwszej chwili, kiedy się ze mną pokochałeś; i będę do ciebie należała zawsze.

Bryana nigdy jeszcze nie wprawiła w zakłopotanie żadna kobieta; ale teraz czuł się zakłopotany. Zaczynał podejrzewać, że Lily Monarch jest kimś więcej, niż się wydaje, i że przez cały ten czas, kiedy wykorzystywał ją, żeby przepchnąć przez Kongres ustawę Zapf-Cady'ego, ona wykorzystywała go również — nie wiedział tylko dlaczego i po co.

Była olśniewająco piękną dziewczyną — nieuchwytną, emanującą erotyzmem i tajemniczą, niczym modelka z „Playboya” — ale była również wysoce inteligentna i perwersyjna. Wodzili za nią wzrokiem wszyscy mężczyźni: wysocy urzędnicy państwowi, dyrektorzy telewizji, dziennikarze, wszelkiego rodzaju wykołajeńcy. Dała Bryanowi z siebie wszystko, łącznie z zaufaniem. A jednak mogła oznajmić mu: „Nie wiesz nawet, kim jestem, prawda?”, a on wiedział, że ma rację.

Nie wiedział, kim jest Lily. Nie na pewno: nie na sto procent. I mając na karku zbliżającą się ratyfikację ustawy w Kongresie, nie był wcale pewien, czy chce to wiedzieć.

Przeczuwał kłopoty. Przeczuwał, że zbliżają się z najmniej spodziewanej strony. Wcale mu się to nie podobało. Swędziały go od tego dłonie.

— To jutrzejsze spotkanie... — powiedział. — To nie ma nic wspólnego z tą świnią?

— Może i ma — odpowiedziała, nie odwracając głowy.

— Nie musicie nic robić w tej sprawie... kiedy tylko ratyfikujemy ustawę, ta świnia wyjdzie na wolność.

— Ale pomyśl, jaką będziemy mieć publicity, jeśli uwolnimy ją teraz.

Bryan uniósł się na łokciu.

— Chcecie ją uwolnić teraz? Oszaleliście? To oznacza nielegalne wkroczenie na teren Instytutu Spellmana i nielegalne wykradzenie stamtąd tego knura. Będziecie winni naruszenia cudzego terenu, kradzieży, zniszczenia cudzej własności i Bóg wie czego jeszcze. Na litość boską, Lily! W stanie Iowa muszą na pewno istnieć osobne prawa na temat kradzieży świń!

Obróciła się i posłała mu gorące spojrzenie.

— Nie uda ci się nas powstrzymać, Bryan. Zawsze mówiłeś, że nas popierasz.

Powiedziałeś to w telewizji, nie pamiętasz? Powiedziałeś to w wywiadzie dla „Time'a”.

Popieram ruch ZTMP na sto jeden procent, tak właśnie powiedziałeś, mogę ci pokazać wycinek. Mamy zamiar wypuścić tę świnię; mamy zamiar uwolnić to biedne zwierzę i nie uda ci się w żaden sposób nas powstrzymać.

Przez długi, bardzo długi czas żadne z nich się nie odezwało. Z dołu dobiegały niewyraźne odgłosy

ulicznego ruchu i odległa syrena ambulansu.

— Może popełniliśmy błąd, ty i ja — powiedział w końcu Bryan. — Może w pewnym sensie... nie wiem... może się wzajemnie nie zrozumieliśmy.

Lily wciąż siedziała w tej samej pozycji, w połowie odwrócona, tak że jej twarz oświetlona była jasno przez wielką kryształową lampę stojącą przy łóżku. Jej oczy skrzyły się, prawa pierś obrysowana była przez cienie, wklęsły brzuch i uda rzeźbiło delikatnymi łukami światło, a skąpy meszek na wzgórku łonowym jarzył się niczym nie zdmuchnięta główka mlecza.

W takim jak ten momencie Bryan modlił się do Boga, żeby ją zrozumieć, ponieważ Lily była więcej niż wyjątkową dziewczyną; była prawdziwym skarbem, niezależnie od tego, czy kochał ją, czy nie.

Z drugiej strony dlaczego musiała być taka uparta? Dlaczego musiała być taka zaborcza? Dlaczego tak się upierała, żeby ją posiadał — podczas gdy on wcale jej nie posiadał, nie chciał jej posiadać i nigdy tego nie zamierzał. Po ratyfikacji ustawy Zapf-Cady'ego czekały go inne nagrody.

— Nigdy nie wydawałem ci żadnych poleceń, Lily — powiedział. — Nigdy nie chciałem być aż tak zarozumiały. Ale teraz muszę ci wydać polecenie. Proszę, trzymaj się razem ze swoimi szurniętymi przyjaciółmi z daleka od Instytutu Spellmana. W przeciwnym razie możecie wszystko spieprzyć.

— Ta świnka jest prawie człowiekiem, Bryan... jest uwięziona i torturowana. Nie możemy tak jej zostawić.

— Musicie. Rozumiesz? Musicie. Uwalniając ją, stawiacie wszystko na jedną kartę.

Czytałaś gazety. Ta świnka jest naprawdę niebezpieczna. Zabiła jednego doktora i poważnie zraniła dwóch innych. A jeśli zabije jakieś dziecko? Z dnia na dzień możecie wszystko popsuć. W tej chwili mamy wyraźną przewagę. Ale możemy ją stracić — powiedział

pstrykając palcami — o tak, w ciągu paru sekund, jeżeli ktoś popełni jakiś nierozważny krok.

Lily odwróciła się do Bryana i pocałowała go w czubek głowy.

— Ty wcale nie rozumiesz zwierząt, prawda? Ale zrozumiesz je i niech Bóg ma cię w swojej opiece.

— Lily...

— Uwolnimy ją.

— Lily!

Nie wiedział, co ma powiedzieć; nie wiedział, co ma robić. Lily stanęła przy oknie i przyglądała się światłom Cedar Rapids, wciąż naga, przyciskając obie dłonie do policzków, jakby była wstrząśnięta albo zamyślona, a może jedno i drugie. Bryan odsunął nogą prześcieradło, które zawinęło się wokół jego lewej kostki, wstał z łóżka i stanął tuż obok niej.

Na ramieniu miała kilka ciemnych pieprzyków, które przypominały gwiazdozbiór Kasjopei.

Wysunął rękę, żeby jej dotknąć, ale potem zmienił zdanie i ruszył do łazienki.

— Posiadasz mnie — powiedziała głośno. — Jesteś moim mężczyzną.

Bryan zatrzymał się, obrócił i rozłożył bezradnie ręce.

— Nie posiadam cię, Lily. Nawet gdybym tego chciał, nie mógłbym cię posiadać. To nie działa w ten sposób. Popychasz, przekonujesz, grozisz, dajesz łapówki, stosujesz wszystkie możliwe chwytaki. Ale nigdy nie posiadasz ludzi, nigdy! To jest po prostu niemożliwe.

Wszedł do łazienki, przymykając za sobą drzwi. Przejrzał się w lustrze nad umywalką i pomyślał, jak bardzo jego twarz podobna jest do maski. Wychudła i wymizerowana. Podeszedł

do toalety, podniósł deskę i już miał zamiar się wysikać, kiedy do środka weszła Lily.

— Naprawdę, kochanie — powiedział. — Daj mi trochę luzu, dobrze? Jestem zmęczony. Muszę się trochę przespać.

Ale ona kompletnie go zignorowała. Podeszła do niego, złapała za włosy i pocałowała.

Jej język wślizgnął się między jego wargi; jej ślina pachniała winem i goździkami.

— Daj spokój — powiedział. — Chcę się wysikać.

Ale ona pocałowała go ponownie, a potem usiadła okrakiem na sedesie, twarzą do niego i złapała jego penis, wbijając w niego mocno paznokcie, tak że nie mógł się odsunąć.

— Wiec sikaj — powiedziała, patrząc na niego wyzywająco, tak jak patrzyła zawsze.

Nie mógł się powstrzymać. Z jego członka trysnęła gorąca fontanna moczu, którą Lily natychmiast skierowała na swoje piersi. Przekrzywiła penis na lewo i na prawo, żeby mógł

oblać po kolei każdy sutek; a potem skierowała strumień w dół, na brzuch. Lewą ręką rozchyliła wargi sromowe, tak żeby gorący musujący mocz trafił prosto w otwartą pochwę i pociekł w dół, po udach.

Trwało to zaledwie parę sekund. Bryan odsunął się do tyłu, autentycznie wstrząśnięty

— tak szybko, że jej paznokcie wbiły mu się w członek, kalecząc go do krwi.

— Jezus, Lily — jęknął. Ale ona nie była wcale zawstydzona. Podniosła się, mokra i ociekająca moczem, i objęła go, łapiąc za członek i jądra i mocno je ściskając. Całowała go, gładziła mokrymi rękoma po całym ciele i znowu całowała, a potem podniosła prawą nogę, żeby móc masować stopę jego uda i pośladki.

Osunęli się mokrzy i lepcy na wysłaną zielonym dywanikiem podłogę. Lily chciała się kochać, ale Bryan był wyczerpany i w głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: proszę, niech to się wreszcie skończy. To więcej niż mogę znieść.

Kiedy to się wreszcie skończyło, leżał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w stopę Lily i w bok wanny, i nie myśląc o niczym oprócz tego, że czekają go kłopoty: poważne kłopoty.

— Weźmiemy chyba prysznic, Lily — powiedział w końcu siadając.

Posłała mu promienny uśmiech.

— Jeśli tego sobie życzysz. Ja cieszę się, mogąc pachnąć tak jak ty.

— Ale sikać na siebie? Jezus, kto to robi?

Nie przestawała się uśmiechać i teraz wydawała się prawie rozmarzona. Gładziła się bez przerwy po piersiach, pociągając za brodawki, tak jakby przypominała sobie coś erotycznego, myślała o czymś prymitywnym i podstawowym, czymś, co ją podnieca.

— Kto...? — powtórzyła. — Robią to knury.

— Knury?

— Knur oznacza swoją samicę, oddając na nią mocz: w ten sam sposób, w jaki oznacza swoje terytorium. To znak własności.

Bryan wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, a potem powoli potrząsnął głową.

Nabierał coraz większego przekonania, że zaangażowanie w całą sprawę Lily Monarch i jej aktywistów stanowiło poważny błąd.

- Czas już, żebyś się dowiedział

— Mam ci coś do powiedzenia – oznajmiła.

Było to godzinę później. Oboje wzięli prysznic i Bryan siedział teraz na łóżku we włochatym białym hotelowym szlafroku, poprawiając mowę, którą miał zamiar wygłosić nazajutrz do studentów wydziału biznesu Uniwersytetu Iowa. Siedział w małej elipsie światła, błyskając soczewkami okularów do czytania i trzymając nad maszynopisem szylkretowe wieczne pióro. Miał obcięte paznokcie i pachniał wodą po goleniu Heritage.

Lily przycupnęła na skraju łóżka — wystarczająco blisko, żeby zachować intymną atmosferę i dostatecznie daleko, żeby Bryan nie mógł jej dotknąć. Miała na sobie jedynie górę jedwabnej piżamy, bez spodni. Unosząc głowę z poduszki, mógł zobaczyć między jej udami wsparty na pięcie seks; ale wolał pozostać tam, gdzie był, połyskując soczewkami okularów, trzymając w dłoni wieczne pióro i czekając na to, co chciała mu powiedzieć.

— Nasze stosunki zaczynają być dla ciebie niewygodne, prawda? — zauważyła.

Bryan zdjął okulary i przez chwilę jej się przyglądał. Tym razem to nie było jego normalne zwierciadlane spojrzenie, tym razem w jego oczach malowała się autentyczna ciekawość. Minęło dużo czasu, odkąd odezwała się do niego w ten sposób jakaś dziewczyna.

— Zaczynają być niezwykle — przyznał w końcu.

Lily wodziła po prześcieradle swoim długim paznokciem.

— Nie chcę, żebyś się wycofał z tego powodu. To jest zbyt ważne.

— Ważne z jakiego powodu? Bo nie możesz znaleźć innego faceta, który przepchałby wegetariańską ustawę przez Kongres? Bo nie możesz znaleźć innego faceta, który by na ciebie sikał? Tak?

— Może z jednego i drugiego powodu — odparła cicho Lily. Może z jednego, drugiego i jeszcze z innego.

— No więc dobrze. Powiedz mi. Nikt nigdy nie zarzucił mi, że jestem ograniczony umysłowo.

— Pamiętasz dziewczynę znaną w chlewie? — zapytała Lily.

— Dziewczynę znaną w chlewie? Jasne, wszyscy ją pamiętają. Kiedy to było...

dwanaście, trzynaście lat temu? W Prairieville albo w jakimś innym podobnym miejscu.

— Piętnaście lat temu, w Prairieburgu — powiedziała Lily.

— No tak... znaleźli małą dziewczynkę na jakiejś położonej na odludziu farmie, prawda? Jej rodzice zmarli i zaopiekowały się nią świnię. Była w większym stopniu świnią niż człowiekiem.

— Zgadza się — odparła Lily. — Świnię żywiły ją, zdobywały dla niej pokarm i ogrzewały. W pewnym sensie nauczyły ją nawet żyć. Potrafiła się z nimi porozumieć; rozumiała, czego chciały.

Milczenie, które zapadło po jej słowach, trwało tak długo, że zaczęła się obawiać, iż Bryan już nigdy się do niej nie odezwie. Przyglądał jej się po prostu, trzymając w ustach oprawkę okularów i nic nie można było wyczytać z jego twarzy.

— Ty byłaś dziewczyną znaną w chlewie? — zapytał w końcu. Lily pochyliła głowę. Po jej policzkach pociekły łzy.

— To ty byłaś tą dziewczyną? — powtórzył z niedowierzaniem. Przez cały ten czas spałem z dziewczyną znaną w chlewie?

Lily podniosła wzrok i przełknęła ślinę.

— Moje prawdziwe nazwisko nie brzmi wcale Lily Monarch. Nazywam się Virginia Lauterbach.

— Zgadza się; tak się nazywała: Virginia Lauterbach, dziewczyna znaleziona w chlewie — potwierdził Bryan. — Kazałem Carlowi cię sprawdzić. Kazałem mu sprawdzić wszystko, łącznie z numerem twojego kapelusza. Jakim cudem tego nie odkrył?

— Kazałeś Carlowi mnie sprawdzić? Nie mogłeś mi zaufać?

— Och, daj spokój, Lily, wiesz, jak to jest. Jestem senatorem. Chcę zostać prezydentem. Muszę się zabezpieczać. Dla twojego i dla mojego dobra.

— Mogłeś mnie zapytać. Mogłeś mnie zapytać, o co tylko chciałeś.

— Przykro mi, Lily, ale sprawdzam absolutnie wszystkich. Mój personel, moich przyjaciół. Nawet panienkę, która wysłała listy.

Lily otarła oczy rękawem.

— No cóż... domyślam się, że senator musi robić to, co musi robić. Ale i tak nie odkryłbyś, że znaleziono mnie w chlewie. W każdym razie nie tak łatwo. Moją adopcję załatwił wydział opieki społecznej stanu Iowa. Dali mi nową przeszłość i nową przyszłość.

Wystarczająco złe było to, że zostałam wychowana przez świnie, żebym musiała jeszcze przez resztę życia znosić chorobliwą ciekawość ludzi. Kiedy mnie znaleźli, dziewięć tygodni trwało, zanim przyzwyczaiałam się chodzić wyprostowana. Wciąż ogarnia mnie naprawdę błogie uczucie, kiedy opadam na czworaki. Dopiero po osiemnastu miesiącach terapii zaczęłam mówić.

Bryan pokiwał głową.

— Pamiętam. Czytałem o tym w „Readers Digest”. Niewiarygodna historia. Naprawdę niewiarygodna. I to byłaś ty? Jezus!

Lily odwróciła od niego twarz.

— Może nie powinnam ci była tego mówić.

— Dlaczego nie? To niewiarygodne! Podniecające!

— Przestań powtarzać „to niewiarygodne”. Czuję się jak jakiś wybryk natury.

Bryan odrzucił na bok swój notatnik i usiadł na łóżku.

— Nie jesteś wybrykiem natury, Lily, nie ma mowy. Nie ponosisz winy za to, co ci się przydarzyło. Niewiarygodne jest to, że udało a się przetrwać. Dziewczyna znaleziona w chlewie, nie mogę w to uwierzyć.

— To nie jest coś, co człowiek chciałby sobie przypominać.

— Mimo to opowiedz mi.

Sięgnął przez łóżko i wziął ją za rękę.

— Jeśli czytałeś artykuł w „Readers Digest”, znasz prawdopodobnie całą historię. Moi rodzice prowadzili hodowlę świń niedaleko Amany, ale nie wiodło im się najlepiej i bank rolniczy odmówił im dalszych kredytów. Tyle przynajmniej udało mi się dowiedzieć później.

Mój ojciec załadował kiedyś w środku nocy na ciężarówkę wszystkie pozostałe świnię, spakowaliśmy cały nasz dobytek i odjechaliśmy.

Mieliśmy chyba szczęście. Znaleźliśmy opuszczoną farmę niedaleko Prairieburga i zamieszkaliśmy tam. Wzrastałam wśród świń, bo mój ojciec chronił mnie przed innymi dziećmi, żeby nikt nie odkrył, gdzie jesteśmy. Bez przerwy musiałam mu obiecywać, że nigdy nigdzie się nie oddalę, przynajmniej, i oczywiście zbyt się bałam, żeby to zrobić. Pamiętam, jak stałam przy chlewie w gorący suchy dzień i patrzyłam w stronę horyzontu, myśląc: stamtąd właśnie przychodzą źli ludzie. Bryan potrząsnął ze współczuciem głową.

— Niewiarygodne — powtórzył.

— Którejś zimy chwycił naprawdę ostry mróz. Rodzice napchali szczap do pieca, żeby palił się przez całą noc, i rano już się nie obudzili. Zatruli się tlenkiem węgla. Miałam wtedy cztery lata. Bałam się opuścić farmę, ponieważ zakazał mi tego ojciec, i nie chciałam zostać w domu, ponieważ leżeli tam nieżywi rodzice. Poszłam więc do jedynych przyjaciół, jakich miałam; to znaczy do świń.

Zaakceptowały mnie, zaopiekowały się mną i traktowały tak, jakbym była jedną z nich.

Odżywiałam się wysysanym prosto z wymiona mlekiem maciory, wygrzebaną z ziemi rzepą i innymi rzeczami, które udało się zdobyć świniom. Jedna z macior troszczyła się o mnie bardziej niż inne. Pokochałam ją tak mocno, jak mogłabym pokochać matkę. Zgubiłam się kiedyś na polu i skręciłam kostkę, a ona przyszła do mnie i położyła się obok, ogrzewając mnie tak długo, aż byłam w stanie wrócić na farmę.

Po śmierci moich rodziców powrót do stanu dzikiego zajął świniom zaledwie kilka tygodni i kiedy mnie odnaleziono, sama byłam prawie dziką świnią. Dokładnie rzecz biorąc: loszką. Nie miałam jeszcze swojego pierwszego miotu.

Nietrudno było dostrzec, że Bryan jest jednocześnie zafascynowany i podniecony.

Zaczął gładzić ją wierzchem dłoni po plecach, a potem po ramionach i po policzku.

— Więc o to chodziło, kiedy byliśmy w łazience? Tak wygląda seksualne zachowanie maciory?

— Tak zachowywała się moja matka. Mam na myśli moją czworonożną matkę.

— Ty sama... nigdy...?

Lily popatrzyła mu prosto w oczy.

— Czy wzbudziłoby to twój wstręt, gdybym odparła, że tak? Po raz pierwszy, odkąd go poznała, Bryan się zaczerwienił.

— Przepraszam — powiedział. — Nie powinienem nawet o tym myśleć.

— Dlaczego nie? Na twoim miejscu zaraz bym o tym pomyślała. Życie razem ze świniami nauczyło mnie jednej rzeczy. Kompletniej szczerości. Ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie, nigdy tego nie robiłam. Knury nie były po prostu mną zainteresowane.

Podniecają je zapachy. Domyślam się, że musiałam porządnie śmierdzieć, ale nie śmierdziałam po prostu w odpowiedni sposób.

— Jak cię odnaleziono? — zapytał Bryan, próbując zmienić temat.

— Przez czysty przypadek. Na farmę przyjechał agent sprzedaży nieruchomości i zobaczył mnie, leżącą obok mojej czworonożnej matki, nagą, brudną i chudą jak patyk. Kiedy mnie obudził, natychmiast próbowałam uciec. Myślałam, że jest jednym z tych złych ludzi, przed którymi ostrzegał mnie ojciec.

Te świnie były inteligentne, bezinteresowne i łagodne. Kiedy są podniecone, potrafią być straszne. Mogą ci zrobić krzywdę. Ale kiedy je poznasz... kiedy je naprawdę dobrze poznasz... mają w sobie tyle zrozumienia, tyle wrodzonego współczucia, tyle gracji. Teraz rozumiesz chyba, dlaczego uważam za swój obowiązek uwolnić Kapitana Blacka.

Bryan pogłodził ją po włosach.

— Tak, rozumiem — powiedział. Przez chwilę się wahał, a potem wstał z łóżka i podszedł do barku. — Nalać ci whisky? — zapytał.

Potrząsnęła głową. Bryan nalał sobie dużą porcję.

— Rozumiem, dlaczego czujesz się w ten sposób, naprawdę. Mam na myśli, że to było niewiarygodne doznanie, życie razem ze świniami. Ale to czyni cię kimś pod każdym względem unikalnym. Nikt nie rozumie świń tak jak ty, absolutnie nikt. To oznacza, że szeroka opinia publiczna nie zaaprobuje tego, co robisz, a jeśli chcemy przepchać ustawę przez Kongres, potrzebujemy poparcia szerokiej opinii publicznej, potrzebujemy jej wprost rozpaczliwie.

Lily milczała, siedząc na łóżku i nie spuszczać z niego wzroku.

— Dziewczyna znaleziona w chlewie — powiedział, przełykając whisky. — Kto by pomyślał? Kochałem się z dziewczyną znalezioną w chlewie.

Szli w pośpiechu przez pomalowany na szaro korytarz, kierując się w stronę awaryjnego wyjścia na klatkę schodową. Zostawiali za sobą zawirowania powietrza; a wraz z nimi zapach na pół zgniłej juty, wilgotnych zwierzęcych futerek i plagi. Oddalająca się szybko świta Zielonego Janka, Zielonego Wędrowca i jej przerażony więzień, Terence Pearson.

Skręcili z jednego korytarza na drugi i nagle stanęli twarzą w twarz z Edną Bulowski, zarzucającą na ramiona różowy przeciwdeszczowy płaszcz. Zatrzymali się i wpatrzyli w nią, a ona w nich.

Najpierw przyjrzała się Świadkowi, wysokiemu i białemu. Potem Miecznikowi.

Niezbyt dokładnie widziała Trędowatego, Nagę i chłopaka o imieniu Nóż. Ale rozpoznała Terence'a.

— Przepraszam — powiedziała. — Ale kim państwo jesteście? I dokąd macie, do diabła, zamiar się udać?

Terence w ogóle się nie odezwał.

— Proszę nam nie przeszkadzać — powiedziała Naga. — W przeciwnym razie może pani tego gorzko pożałować.

— Słucham?

— Niech nas pani przepuści i zapomni, że coś w ogóle widziała. Niech pani wraca do domu. Tam przecież chyba pani się wybierała, czyż nie?

Edna Bulowski dała zdecydowany krok do przodu i wyjęła z kabury rewolwer.

— Wydaje mi się, że robicie mały błąd, kochani — powiedziała. — Ten mężczyzna jest aresztowany i powinien przebywać w celi, a wy nie tylko naruszyliście cudzy teren, ale pomagacie mu uciec. Co jest poważnym przestępstwem.

— Proszę... niech pani nas przepuści — powtórzyła Naga. Edna Bulowski podniosła rewolwer i powiodła powoli wzrokiem po całej grupie.

— Nie, przykro mi. To jest niemożliwe. Ten osobnik musi powrócić do celi, a i wy, kochani, musicie znaleźć się tam także. Jesteście aresztowani pod zarzutem bezprawnego wejścia na teren biura szeryfa; pod zarzutem próby uwolnienia z aresztu więźnia; i sądząc po waszym wyglądzie, kochani, pod zarzutem popełnienia wielu innych przestępstw. Chcecie poznać przysługujące wam prawa? Przeczytam wam je. Ale najpierw pójdziemy grzecznie do aresztu i znajdziemy wam parę cel.

Miecznik dał krok do przodu. Najpierw rozległ się odgłos kroku, potem poruszyła się jego stopa.

— Proszę się nie ruszać — powiedziała Edna. — Proszę pozostać na swoich miejscach i oprzeć ręce o ścianę tak, żebym je widziała.

Miecznik w ogóle nie zareagował. Edna nie wiedziała, czy ją usłyszał. Wydawał się dziwnie niewyraźny, tak jakby jej okulary były pokryte parą. W gruncie rzeczy wszyscy ci ludzie z wyjątkiem Terence'a Pearsona wydawali się prawie przezroczyści.

— Powinna nas pani przepuścić — powtórzyła Naga, najzyczliwszym tonem na świecie.

— On jest głuchy czy co? — zapytała Edna, wskazując głową na Miecznika.

— O nie. Nie jest wcale głuchy. Postanowił po prostu nie mówić.

— Dobrze, więc niech mu pani w takim razie powie, że dobrze byłoby, gdyby postanowił oprzeć ręce o ścianę i rozstawić szeroko nogi.

— On słucha tylko jednego pana — odparła Naga po trwającej jedno uderzenie serca pauzie.

— Słucha tylko jednego pana?

Kolejna pauza.

— Zgadza się. Nie będzie słuchał żadnych innych poleceń.

— Aha. W takim razie może słucha czasem dobrej rady?

— Oczywiście. Nikt z nas nie jest tak dumny, żeby nie wysłuchać czasem dobrej rady.

— Dobrze, niech mu więc pani powie, że dobrze mu radzę, aby oparł ręce o ścianę i rozstawił szeroko nogi, bo jeśli policzę do trzech i tego nie zrobi, będę strzelać.

Naga odwróciła głowę na bok — nawet nie odpowiedziała. Chłopak o imieniu Nóż uniósł się na palcach najpierw jednej, potem drugiej stopy w sztucznej imitacji baletowego kroku. Edna oblizwała wargi. Coś jej się tu nie podobało, bardzo nie podobało. Przez podniesione ramiona chłopaka widziała zarys ściany. Przypominał ducha albo postać z dwu nałożonych na siebie fotografii. Terence Pearson nie odrywał od niej wzroku, spocony i szary na twarzy, ale on także nie odezwał się ani słowem. Bardziej bał się maszkarników niż niskiej policjantki w okularach, pozbawionej wszelkiego wsparcia i nie mającej bladego pojęcia, z jak makabrycznymi istotami przyszło jej się zmierzyć.

— Raz — powiedziała przez zaciśnięte gardło Edna. Miecznik nawet się nie poruszył.

Wydawało się, że nie oddycha.

— Dwa — powiedziała Edna. Nie chciała za nic w świecie zabijać tego mężczyzny, ale widziała, że nie ma innego wyboru. Może przenosił tylko miecze z miejsca na miejsce, ale w świetle przepisów był uzbrojony; i co gorsza miał przy sobie te miecze w trakcie popełniania przestępstwa.

Miała wszelkie prawa, żeby jeśli uzna to za konieczne, użyć broni palnej.

— Trzy — powiedziała. — Daję ci ostatnią szansę. Odczekała sekundę i nacisnęła spust. W zamkniętej przestrzeni korytarza strzał wydawał się głośniejszy od gromu. Musiała trafić Miecznika, bo strzelała przecież z bliskiej odległości; jednak w chwilę potem, jak strzeliła i pocisk oderwał kawał tynku ze ściany za jego plecami, facet uchylił się na bok.

Zrobił to nie chwilę przedtem, ale chwilę potem — mimo to najwyraźniej jednak nic mu się nie stało.

Uniosła rewolwer, żeby strzelić po raz drugi, ale w tej samej chwili Miecznik sięgnął za siebie tak szybko, że nawet tego nie zobaczyła. Usłyszała wysoki, mrozący krew w żyłach chrzęst wysuwanej z

pochwy stali i przytknęła nieświadomie palec do spustu, ale miecz leciał

już ostrzem do przodu ku jej twarzy, z szybkością niemal stu kilometrów na godzinę. Z

głośnym brzękiem stłukł soczewkę jej okularów, wbił się w prawe oko, przeszył na wylot czaszkę i przygwoździł ją do otynkowanej na szaro ściany korytarza. Nie zdążyła oddać strzału; rewolwer wypadł jej z dłoni na podłogę.

Edna była w stanie szoku, ale nadal żyła. Stała obrócona plecami do ściany i było jej strasznie zimno, chociaż zupełnie nie wiedziała dlaczego. Chciała się poruszyć, chciała upaść.

Chciała zrozumieć, co się z nią dzieje.

Zobaczyła przed sobą niewyraźne sylwetki.

— Co mi się stało? — zapytała albo zdawało jej się, że pyta. Nie była pewna, czy nadal potrafi wydać z siebie głos.

Jedna z postaci podeszła do niej bardzo blisko — tak blisko, że Edna nie mogła objąć jej wzrokiem.

— Powinnaś była pozwolić nam przejść — odezwał się głos. — Słuchamy rozkazów tylko jednej osoby i przykro mi, ale ty nią nie jesteś.

Poczuła na ramieniu silną kościstą dłoń, która przyciskała ją do ściany. Co oni jej robili? Dlaczego przyciskali ją w ten sposób? A potem przeszedł ją nagły nieprzyjemny dreszcz i uświadomiła sobie, że ktoś wysuwa miecz ze ściany, a potem z jej czaszki i oczodołu.

Ból wybuchł w jej głowie niczym biały huczący ogień. Przez chwilę wydawało jej się, że naprawdę płonie. Osunęła się bokiem po ścianie, zostawiając na niej smugę krwi, a potem podłoga ruszyła ku niej i uderzyła mocno w bark, jak ktoś wybiegający nagle zza drzwi.

Nie widziała stóp, które przeszły obok niej: stóp Świadka, Miecznika i Trędowatego, roztańczonych stóp chłopaka o imieniu Nóż i wysokich butów Nagiej. A także pozbawionych sznurowadeł butów Terence'a Pearsona, który zmierzał na spotkanie ze swoim przeznaczeniem, stawiając sztywne, niechętnie kroki, niczym człowiek, którego prowadzą na szubienicę.

Wyszli przez wyjście awaryjne na klatkę schodową. Jarzeniówki nadal były tutaj przygaszone, a ich słabe światło zdawało się jeszcze podkreślać aurę zła i ciemności otaczającą pięć zamaskowanych postaci. Terence spojrział w dół na migoczące cienie.

— Dokąd mnie zabieracie? — zapytał. — Nie uda wam się wydostać mnie z tego budynku. Jest za dobrze strzeżony.

— Niektórzy mogą nas zobaczyć, inni nie — odpowiedziała Naga. — Poza tym nie schodzimy wcale na dół. Zabieramy cię na górę, na dach.

— Idziemy na dach? A potem dokąd?

— A potem, przyjacielu, zobaczysz to, co zobaczysz, i kilka rzeczy poza tym.

— Jeśli wyjdziemy na dach, znajdziemy się w pułapce.

— Twój ojciec nigdy nie wpada w pułapkę, nigdy nie zostaje uwięziony. Idzie przez lata niczym siewca. Daje życie, daje dobre zbiory. Jest wcieloną płodnością. Jak można go w ogóle złapać w pułapkę? Czy można powiedzieć, że korzeń uwięziony jest pod płytą chodnika?

— Nie wydaje mi się, żebym dał radę — stwierdził Terence.

— Nie wydaje ci się, żebyś co dał radę? — zapytała zdumionym tonem Naga.

— Nie wydaje mi się, żebym dał radę wejść na dach. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

— Będziesz musiał, przyjacielu. Nie masz innego wyboru. Zupełnie jakby chciał

podkreślić jej słowa, Miecznik wyjął z worka dwa miecze i podniósł je w górę, po jednym w każdej dłoni. Światło prześlizgnęło się po ich ostrzach niczym spływająca ze szczeliny w ścianie kropla rtęci.

— Dobrze — zgodził się Terence. Ogarnęło go dotkliwe poczucie beznadziejności: wszystko, czego kiedykolwiek dokonał, okazało się daremne. Wszystkie te lata, w trakcie których studiował Biblię, książki historyczne i mapy pogody — wszystkie te lata obserwacji i czekania — poszły na marne: bo przecież w końcu pojawili się tutaj, pojawili się ci, których tak bardzo się obawiał.

Nie wierzył z początku ojcu, kiedy ten tłumaczył mu, dlaczego nie mogą mieć dzieci.

— Nie jesteś moim synem — usłyszał wtedy. Ojciec siedział w pogrążonym w mroku salonie, jego twarz rysowała się wyraźnie na tle koronkowych firanek, wyszywanych w papugi i orchidee. — Pozwoliłem komuś przespać się z twoją matką... wtedy wydawało mi się, że warto... nie miałem pojęcia, że to będziesz ty...

Kłócił się z ojcem przez całe popołudnie. Zadzwoił nawet do jego lekarza.

— Twierdzi, że nie jestem jego synem... Nie potrafię go w żaden sposób przekonać...

— Tak, istnieją pewne wątpliwości co do ojcostwa - odparł wtedy cicho lekarz. —

Proszę nie powoływać się na moje słowa, bo oczywiście temu zaprzeczę, ale pańska matka zawsze twierdziła, że jest pan synem kogoś innego. Nie było żadnego romansu. Spała z tą osobą tylko raz i było to dla niej okropne. Ale ten jeden raz wystarczył.

Dotarli na najwyższe piętro. Chłopak o imieniu Nóż otworzył drzwi i wyszedł na dach, a w ślad za nim Naga.

— Chodź — ponagliła więźnia. — Zawsze chyba chciałeś spotkać swojego stwórcę?

Terence poczuł tak silne mdłości, że musiał oprzeć się o ścianę.

— Nie wiem... — powiedział. — Chyba nie mogę...

— On jest twoim ojcem — stwierdziła z naciskiem Naga. Terence pomyślał przez chwilę, żeby zbiec na dół, ale Miecznik stał tak blisko, że wszelka próba ucieczki wydawała się zbyt ryzykowna — w gruncie rzeczy pozbawiona wszelkich szans.

Wspiął się kilka ostatnich stopni i wyszedł na dach; na błyszczące czarne jezioro asfaltu. Wciąż padało, ale warstwa chmur nie była już tak gęsta i wszędzie roztaczały się widoki na Cedar Rapids. Na północy — na połyskujące zakosy Cedar River i dalej, na Hiawathę. Na południu — na lotnisko i miliony akrów niespokojnej ziemi, w której zawsze coś dojrzewało i parło w górę, niczym zmarli, którzy nie chcą pozostać na zawsze w swoich grobach.

Terence podszedł do skrajy dachu i spojrzał w dół. Miecznik nie odstępował go nawet na krok. Terence przyglądał się bardzo długo ulicznemu ruchowi, aż deszcz zaczął kapać mu z czubka nosa, a potem odwrócił się i odsunął Miecznika na bok.

— Gdzie on jest? — zapytał, zwracając się do Nagiej. — Czego chce?

— Jest tutaj — odparła Naga. Ukłoniła się i dała krok do tyłu w swoim skrzącym się kroplami deszczu cuchnącym futrze z psich skórek.

I rzeczywiście był tuż obok.

Wyłonił się z szelestem zza maszynowni dźwigu i oto stał przed nim — Zielony Wędrowiec. Istota, która płodzi cię, a potem rok po roku marzy o tym, żeby pożreć twoje wnętrzności. Istota, która uważa, że wszystkie jej dzieci należą do niej w każdym możliwym do wyobrażenia sensie.

Istota, która przychodzi i puka nocą do twoich drzwi, puka i puka, ponieważ chce pożywić się twoim własnym ciałem i krwią.

Jej twarz kryła się za polakierowaną na biało maską, podobną do tych, które mieli wszyscy pozostali. Wymalowany był na niej ten sam chytry uśmiech, który widniał na twarzy postaci z wiszącego w pokoju Terence'a sztychu. Typowa średniowieczna twarz, gładka i słowiańska, twarz, która przerażała Terence'a tak bardzo, że z trudem zmuszał się, żeby na nią spojrzeć. Otaczały ją liście wawrzynu, między które wplecione były gałązki jeżyn, łodygi pokrzyw i wijące się włochate pędy powoju znanego pod nazwą radości wędrowca.

Zielony Janek zbliżył się do Terence'a, sunąc z szelestem po dachu, aż stanęli twarz w twarz, oddaleni od siebie zaledwie o pół metra. Wiatr szumiał w jego liściach, lecz mimo to Terence nie mógł się oprzeć wrażeniu, że słyszy powolny, przypominający rżenie ast-matyka bolesny oddech. Zielony Wędrowiec wydierał również przedziwny zapach: ziół, mchu i wilgotnego torfu. I był lodowato zimny. Zimny jak leśny matecznik w styczniową noc.

Naga podeszła bliżej, przytknęła ucho do maski Zielonego Wędrowca i kiwnęła raz, a potem drugi głową.

— Janek jest z ciebie niezadowolony — powiedziała. — Chciał mieć syna, z którego mógłby być dumny. Mówi, że pozbawiłeś go czegoś wartościowego i ważnego, czegoś, co mu się słusznie należało.

Terence przełknął ślinę. Był bliski płaczu.

— Chciałem je ocalić, to wszystko — odparł. — Nie chciałem, żeby cierpiały.

— Nie chciałeś, żeby cierpiały? Teraz dopiero cierpią. Ich dusze nie mają dokąd pójść.

Nie mają gdzie odpocząć. A wszystko to przez ciebie.

— Chciałem je ocalić, to wszystko. Na litość boską, to były przecież moje dzieci!

— Czyje dzieci? — zapytała Naga.

— Moje. To były moje dzieci. Dzieci stworzone przeze mnie i przez Iris.

Naga przysunęła ponownie twarz do maski Zielonego Wędrowca.

— A kto stworzył ciebie? — zapytała.

Terence uciekł spojrzeniem w bok. Chłopak o imieniu Nóż pokiwał do niego prawie z sympatią głową.

— Kto ciebie stworzył, Terence? — powtórzyła Naga, o wiele ostrzejszym tonem.

— Stworzyła mnie moja matka. Moja matka i coś jeszcze. Coś, co zatręło moją rodzinę złą krwią. To wszystko stało się z winy mojego ojca.

— Twojego ojca?

— Męża mojej matki. Jamesa Pearsona. Farmera z Des Moines w stanie Iowa.

— Ale kto był twoim prawdziwym ojcem?

Terence zaciskał i otwierał pięści. Chciał stawić czoło Zielonemu Wędrowcowi, chciał, żeby z twarzy Zielonego Janka zniknął ten ironiczny, kpiący uśmiech, ale wiedział, że to niemożliwe. Cokolwiek by powiedział, jak bardzo by się złościł, miał przed sobą swego prawdziwego ojca, istotę, która zapłodniła jego matkę i dała mu życie.

Czymkolwiek była ta istota, w jego żyłach płynęła jej krew i nie mógł na to nic poradzić.

Naga ponownie nachyliła się do Zielonego Wędrowca. Wysłuchawszy go milczała przez chwilę, tak jakby bała się powtórzyć jego słowa.

— O co chodzi? — zapytał Terence. Jego głos zagłuszył prawie zakręcający w stronę lotniska

samolot. — O co chodzi? Powiedz mi, na litość boską!

— On mówi, że go rozgniewałeś; i że go rozczarowałeś. Do tej pory nie zachował się w ten sposób żaden z jego synów. Wszyscy byli posłuszni, nigdy nie spiskowali, żeby pozbawić go tego, co mu się słusznie należy. Jesteś jego ciałem i krwią. Dlaczego próbowałeś go oszukać?

— Bo miał zamiar wszystkich nas zabić — odparł Terence. Miał zamiar nas zabić! Tak jest napisane w Biblii, tak jest napisane w każdej książce, w każdym języku. Miał zamiar wypruć z nas flaki i pożreć je!

— Ale on jest twoim ojcem. On dał ci życie i ma prawo je odebrać.

Terence potrząsnął energicznie głową.

— O nie, moja panno. W żadnym przypadku. Nie ma najmniejszego prawa, żeby robić coś takiego. Kiedy człowiek się urodzi, nikt nie ma prawa go zabić, niezależnie od tego, kim są jego rodzice. Nikt nie ma prawa odbierać mu życia... nikt... ponieważ każde życie jest święte i nienaruszalne.

— Ale ty przecież zabiłeś własne dzieci? Jakie miałaś prawo to zrobić?

— Miałem prawo bronić je przed bólem. Kochałem je przecież, do diabła! Ale w ich żyłach płynęła zła krew! Miały w sobie złą krew, złą krew!

Łzy zaczęły płynąć mu po policzkach. Ogarnięty strachem, frustracją i furią, szturchnął wyciągniętym palcem Naga.

— On nie ma prawa do najmniejszego kawałka mojego ciała, ani do jednego paznokcia! — zawołał.
— Bo ja to jestem ja! Ja to jestem ja! Ja to jestem ja!

Przez chwilę trwała cisza. Zielony Wędrowiec zaszeleścił i odsunął się do tyłu, a potem cofnęli się i Miecznik, i odziany w biały płaszcz Świadek. Trędowny stał już i tak w dość znacznej odległości, blisko przeciwległego skraju dachu, oświetlony z tyłu przez uliczne światła, niczym zakapturzony czternastowieczny koszmar. Chłopak o imieniu Nóż dał trzy kroki do tyłu, zawahał się, a potem cofnął jeszcze dalej.

— Co się dzieje? — zapytał Terence. — Co wy robicie?

Ale nawet Naga nie odezwała się ani słowem. Liście zawirowały nagle, zaszeleściły po dachu i wzbily się w powietrze. Z wiru wyłoniły się dwie groteskowe ręce — ręce, w których ciało i kości łączyły się z gałęziami. Terence wiedział, czym jest w rzeczywistości Zielony Wędrowiec — ale żadne książki, żadne Biblie ani historyczne studia nie mogły się równać z tą chwilą, kiedy stanął z nim twarzą w twarz. Stojąc z nim twarzą w twarz zrozumiał dziwną i przerażającą siłę Natury — siłę, którą nie rządziły żadne prawa oprócz prawa wzrostu i odżywiania się, a potem ponownego wzrostu i niszczenia wszystkiego, co staje na drodze.

W miejscu, gdzie pojawił się przed chwilą Zielony Wędrowiec, Terence widział tylko wir

fruwających liści wawrzynu, z którego wystawały dwie ręce — niczym ręce człowieka tonącego w przysypanym liśćmi jeziorze. Były tak blade, że wydawały się prawie przezroczyste; kolorem przypominały roślinne bulwy, które nigdy nie oglądają słońca. Niektóre z żył były błękitne i płynęła w nich krew, inne były po prostu wijącymi się białymi korzeniami.

Z palców i paznokci wyrastały twarde gałązki, tak że rozcapierzone dłonie Zielonego Wędrowca składały się właściwie z pokrzywionych i połamanych patyków.

— Boże, miej mnie w swojej opiece — jęknął Terence. Trząsł się cały tak bardzo, że o mało nie upadł. To był prawdziwy terror. Mrozący krew w żyłach terror. Patrząc na uniesione przed nim dłonie czuł, że popuszcza w spodnie. Najbardziej makabryczne było to, że dokładnie wiedział, co go czeka. Prowadził swoje studia i badania przez tyle lat, mając nadzieję, że uda mu się tego uniknąć. Stał się w końcu ekspertem i wtedy uwierzył, że jeśli w ogóle spotka Zielonego Janka, uda mu się wyrzucić na niego jakiś wpływ.

Teraz czuł, jak miękną pod nim kolana; jak opuszczają go wszelkie siły i wyparowuje cała siła woli. Naga słuchała przez chwilę Zielonego Janka.

— Podoba ci się tutaj, na dachu? — zapytała, zwracając się do Terence'a.

Ten wzruszył ramionami, niezdolny wydać dźwięku.

— Twój ojciec przyprowadził cię tutaj, bo chciał ci coś pokazać. Terence obejrzał się trwożliwie za siebie. Dookoła nie widział niczego poza światłami Cedar Rapids; nie czuł nic poza powiewem wiatru.

Zielony Janek przysunął się do samego skraju dachu i wspiął na parapet. Stał na tle skrzącego się nocnego pejzażu miasta, pochylony lekko w stronę wiatru, żeby zachować równowagę. Wiatr porywał i niósł ze sobą liście z jego płaszcza, tak że mogło się wydawać, iż powiewa za nim szeleszczący, opadający na ulicę wojenny proporzec.

— Chce, żebyś przyjrzał się, jak błahe jest ludzkie życie — szepnęła Naga, przybliżając usta nieprzyzwoicie blisko do ucha Terence'a. Chce, żebyś zobaczył, jak bardzo jesteście kruchymi: małe mrugające światełka. — Doszło ich echo rozbrzmiewającej na dole syreny. - I oczywiście jeszcze to: któż mógłby pomyśleć, żeby szukać cię właśnie tutaj?

Terence stał obserwując niesioną wiatrem ciemną rzekę liści. Wiedział, że nie jest w stanie nic zrobić. Zielony Janek był wszystkim, co mówiła o nim Biblia — i czymś jeszcze gorszym. Był upiornym cudem. I istniał w rzeczywistości.

I był tutaj.

Terence mógł tylko stać i czekać na to, co przyniesie mu przeznaczenie.

Pięć kilometrów na zachód od lotniska niejaki Randy Gedge, kierowca ciężarówki, jechał Siedemdziesiątą-Szóstą Aleją na zachód do Des Moines, z pełnym ładunkiem dziewięćdziesięciu sześciu dwu-drzwiowych fabrycznie nowych lodówek.

Deszcz znacznie już zelżał, ale nad jezdnią nadal unosiła się nieprzyjemna mżawka i Randy nie przekraczał siedemdziesiątki. Kilka kilometrów wcześniej o mało nie wpakował

się w tylny zderzak toyoty, która zajechała mu drogę, a należał do tych kierowców, którzy wolą się frustrować, niż zabić w wypadku pięcioosobową rodzinę. Zbyt często miał okazję to oglądać. Chwila gniewu, źle zaplanowany manewr, a potem jedna z tych kraks, w których nie wiadomo, gdzie kończy się metal, a gdzie zaczyna ludzkie ciało.

Randy miał pięćdziesiąt pięć lat i to był ostatni rok jego pracy w przedsiębiorstwie przewozowym Hawk Eye. Właściwie nie wiedział, czy tego żałuje. Na pewno nie będzie mu brakowało ciągnących się bez końca autostrad i dni dotkliwej samotności, ale być może zateśni kiedyś za wstającym nad preriami zimowym słońcem, wulgarną dziką gadką przez CB i barami dla kierowców ciężarówek. Zateśni również za wolnością, ponieważ będzie musiał wrócić do swego pomalowanego na zielono małego domku w Marion, rozmawiać codziennie z Betty, wybierać się z nią w każdy czwartek na zakupy i leżeć noc w noc w tym samym łóżku, patrząc na przesuwające się po suficie światła ciężarówek.

Przyszłość nie rysowała się zbyt ciekawie, ale Randy starał się być optymistą.

Najbardziej jednak martwiło go to, o czym będzie rozmawiał z Betty, dzień po dniu. Nigdy nie był zbyt rozmownym facetem. Podobny z postury do jednej z wiezionych przez siebie lodówek, miał kabłąkowate nogi i był przystojny w ten sam surowy sposób, w jaki przystojny jest Charles Bronson. Miał również wiele do powiedzenia, zwłaszcza jeśli ktoś chciał

pospierać się z nim na temat hokeja. Mało jednak było rzeczy, o których mógłby mówić z Betty. Betty interesowały wyłącznie poranna telewizja i zakupy. Ostatnim razem, kiedy zaproponował, żeby gdzieś wyszli, gotów był pojechać wszędzie, gdzie chciała. Może do Sports Page na Pierwszej Alei — lubiła przecież sałatkę z tuńczyka — albo do Huckleberry's.

Ale gdzie ona chciała się z nim wybrać? Do Williamsburga, przeszło godzinę drogi, żeby móc kupić w przyfabrycznym sklepie Tanger Factory kwieciste narzuty na kanapę w salonie.

Deszcz siekł przednią szybę ciężarówki; wycieraczki latały z boku na bok z pełną szybkością. W radiu słychać było zawodzący głos świętej pamięci Roya Orbisona:

— Only the lonely... know the way you feel... tonight. Takiego wała wiedzą —

pomyślał Randy. Ta sama toyota, która zajechała mu drogę przy Edgewood Road, zwolniła teraz i toczyła się tuż przed nim, nie przekraczając pięćdziesiątki. Zamrugał długimi światłami, ale kierowca nie zwrócił na to żadnej uwagi; przeciwnie, zwolnił jeszcze bardziej.

Randy nie chciał siedzieć mu na zderzaku, ale nie chciał również stracić rozpędu. Ciężarówka tej wielkości, z pełnym ładunkiem, potrzebowała prawie dwóch kilometrów, żeby nabrać prędkości, no i spalała przy tym masę ropy.

— Przyśpiesz, ty sukinsynu — szepnęła Randy, zmieniając w dół dwa biegi.

Ale toyota jechała coraz ospalej i w końcu zwolniła do czterdziestki. Randy siedział jej teraz prawie na zderzaku, a kierowca toyoty był albo pijany, albo stary, albo uparty jak stary osioł, bo włókł się z tą żalosną szybkością kilometr po kilometrze i Randy poczuł w końcu, że ma ochotę go stuknąć. Dodatkowo z równowagi wyprowadzała go nalepiona na tylną szybę głupekowata gęba „Mr Smileya” i slogan: JEZUS POTRZEBUJE CIĘ JUŻ TERAZ.

Tak bardzo koncentrował się na tym, żeby zachować odpowiednią odległość od tylnego zderzaka toyoty, że nie zauważył przebiegających szosę bladych sylwetek — aż do chwili kiedy było już za późno. Facet przed nim nie dostrzegł ich również, bo toyota zjechała nagle na bok, a potem podskoczyła raz i drugi i zatrzymała się po przeciwnej stronie szosy.

Randy wdepnął z całej siły pedał pneumatycznego hamulca i opony ciężarówki złapały asfalt, wydając wysoki pisk, od którego ciarki przeszły mu po plecach. Jednocześnie jednak usłyszał, jak w przedni zderzak i kratę chłodnicy uderzają ciężkie, miękkie przedmioty, tuziny przedmiotów, i nagle cała przednia szyba spryskana była krwią i kawałkami ciała, tak okropnie, jakby ktoś wylał na nią kubeł pomyj.

Ciężarówka złożyła się w scyzoryk i obróciła o sto osiemdziesiąt stopni, zahaczając tyłem o toyotę, która wbiła się maską w betonowy rów odwadniający. Równocześnie otworzyły się tylne drzwi przyczepy i na drogę wypadło sześć albo siedem lodówek. Dwie z nich wylądowały na dachu toyoty.

Przez jeden długi moment Randy łudził się, że zdoła zapanować nad ciężarówką.

Obrócił energicznie kierownicą i prawie udało mu się ją wyprostować. Ale przyczepa nabrała zbyt wielkiego impetu: przeleciała z piskiem opon na drugą stronę i przewróciła na bok cały pojazd. Randy czuł, jak przechyla się jego szoferka. Wiedział, że jest już za późno, żeby wydostać się na zewnątrz, ale skoczył w bok, w desperackiej nadziei, że uda mu się uniknąć zgniecenia.

Rozległ się potworny trzask i ogłuszające dudnienie przewracających się jedna na drugą lodówek. Przednia szyba wyleciała na zewnątrz niczym spadająca z ganku płachta śniegu i Randy poczuł na twarzy kłujący deszcz i porywiste podmuchy wiatru.

Poczuł również coś jeszcze. Przypominający szczypanie ból w lewej kostce. Niezbyt silny, po prostu szczypanie. Próbował podnieść nogę, żeby zobaczyć, co się stało, ale zorientował się, że nie może tego zrobić. Spojrzał w dół i zobaczył, że mocujące fotel rurki zgięły się, unieruchamiając jego kostkę niczym gigantyczny spinacz do papieru. Poruszył

stopą; nie wydawało mu się, żeby była złamana, ale i tak w żaden sposób nie mógł jej wysunąć.

Pociągnął mocno nosem. Nie czuł, dzięki Bogu, zapachu ropy, ale mimo to wiedział, że powinien jak najszybciej wydostać się z szoferki. Ciężarówka leżała na środku drogi ze zgaszonymi światłami i chociaż minęła już jedenasta i ruch był bardzo niewielki, istniało przecież duże ryzyko, że ktoś nadjedzie z jednej albo drugiej strony i wpakuje się prosto we wrak.

Z początku Randy był tak zszokowany, że nie myślał nawet o tym, kto przechodził

przez szosę i kogo potrącił. Pamiętał dziewięć albo dziesięć oddzielnych uderzeń i całą masę krwi. Modlił się, żeby nie okazało się, że wjechał w grupę autostopowiczów albo robotników drogowych. Nie wydawało się jednak zbyt prawdopodobne, żeby ktoś chodził lub naprawiał

drogę o tej porze i przy takiej pogodzie. I z całą pewnością nie widział żadnych znaków ostrzegawczych.

Ale potem wyglądając przez pozbawione szyby okno, zobaczył w ciemności jakiś ruch.

Zobaczył blade cętkowane kształty, które nie zważając na siekący deszcz kręciły się wokół

wraku. Usłyszał niewyraźne pojękiwanie, a potem jeden i drugi wysoki pisk.

Dwie albo trzy sylwetki odwróciły się i skierowały w jego stronę, i wtedy dopiero uprzytomnił sobie, czym są. Niech to diabli, to były świnie! Całe stado zabłąkanych świń.

Jedna z nich podeszła zupełnie blisko i Randy nie zdziwił się, że kierowca toyoty zobaczył je dopiero w ostatniej chwili. Była brudna i chuda, z pozlepianą deszczem i błotem szczeciną.

Była również wyraźnie wygłodzona — tak jakby nie dostawała paszy od kilku tygodni. Do szoferki zbliżył się, połyskując w ciemności czarnymi oczyma, następny wieprz — tak wychudły i kościsty, że przypominał raczej wielkiego wodnego szczura niż wiejską świnie. A potem obwąchując podejrzliwie ciężarówkę, podeszły dwa kolejne wieprze, z wiszącymi u ryjów nitkami śliny.

— Na pomoc! — krzyknął Randy. — Czy ktoś mnie słyszy? Jestem uwięziony w szoferce!

Zaskoczone świnie cofnęły się o kilka kroków, ale potem wróciły i tym razem dołączyły do nich następne.

— Dajcie mi spokój, dobrze? — zwrócił się do nich Randy. — Chcę się tylko stąd wydostać.

Wcale się ich nie bał; jego ojciec hodował kiedyś świnie i Randy często je karmił, poił i prowadził z zagrody do zagrody, okładając po zadach witką.

Nadal nie słyhać było nic oprócz deszczu, wiatru i pochrząkiwania rannej świni. Jeden z wieprzy wetknął ryj do kabiny i zaczął węszyć w środku, tylko kilkanaście centymetrów od Randy'ego; czuł jego odór; cuchnął mocniej niż jakakolwiek świnia, do której miał okazję się zbliżyć.

— Poszedł precz, już cię tu nie ma! — zawołał. Ale wieprz nawet nie mrugnął. Stał z głową wetkniętą do środka kabiny, wpatrując się w niego, tak jakby zastanawiał się, co ma zrobić.

Randy wykręcał kostkę na wszystkie strony, ale wciąż nie mógł jej uwolnić. Do wieprza dołączył następny, a potem jeszcze jeden. Ten, który był pierwszy, zaczął go obwąchiwać, z początku ostrożnie, potem bardziej zdecydowanie.

— Uciekaj, sio! — krzyknął Randy. — Zabieraj stąd swój śmierdzący ryj!

Ale wieprz wyraźnie nabrał odwagi. Wskoczył do przewróconej na bok kabiny i złapał zębami za rękaw Randy'ego.

— Sio, ty sukinsynu! — zawołał Randy, wieprz zupełnie się jednak tym nie przejął i ponownie złapał go zębami za rękaw. Tym razem przegryzł materiał i zadrapał go w skórę.

Aż do tej chwili Randy był tylko poirytowany. Teraz poczuł autentyczny strach. Zaczął jeszcze gwałtowniej kręcić nogą, próbując jednocześnie dosięgnąć schowka, gdzie trzymał potężną latarkę i klucz do kół.

Wieprz zaatakował go znowu i tym razem ugryzł go dotkliwie w nadgarstek. Randy uderzył go raz i drugi otwartą dłonią.

— Wynoś się stąd, ty sukinsynu! — wrzasnął. — Wynoś się!

Ale zamiast się wycofać, wieprz zakwiczał, ryknął i wpadł w prawdziwą furję. Wsunął

się jeszcze dalej do kabiny i ugryzł Randy'ego w ramię i wymachującą rękę. Z początku Randy czuł tylko ostre ukłucia, ale nagle wszędzie zaczęła tryskać krew, lepka i ciepła.

Uderzył wieprza jeszcze dwa razy i nagle zobaczył, że u prawej dłoni brakuje mu czterech palców i że pozostał na niej tylko kciuk.

Wrzasnął głośno, aż zaboląło go w płucach i uderzył wieprza raz i drugi; ale bestia zaatakowała znowu, wgryzając się głęboko w przegub i szarpiąc do tyłu głową, tak że od nadgarstka do łokcia oderwał się długi pas skóry i mięśni.

Inne świny zwietrzyły teraz krew. Tłoczyły się wokół kabiny, przepychając się, kwicząc i włączając jedna na drugą, żeby móc go dosięgnąć. Randy widział tylko połyskujące oczy i zaślinione ryje; obezwładniał go ból i odrażający odór zwierząt.

Wrzasnął ponownie i zaczął wymachiwać pokrwawionymi kikutami, ale wszędzie natrafiał na ostre zęby, które odrywały kawałki żywego mięsa z jego rąk i ramion.

Jeden z wieprzy zbliżył ryj do jego twarzy i kiedy to się stało, Randy zrozumiał, że za chwilę umrze; i chciał umrzeć jak najprędzej. Poczuł wyraźnie cuchnący oddech, a potem bestia wbiła zęby w jego policzek i bok nosa, przegryzła skórę, mięśnie, chrząstkę i kość i ściągnęła dosłownie jego twarz z czaszki. Na pół oślepiłymi oczyma zobaczył, jak wieprz przekreca w bok głowę, z wiszącym z ryja potężnym ochłapem mięsa, a potem poczuł deszcz, który kapał na jego pozbawione mięśni kości policzkowe.

Wydawało mu się, że jego serce jest wahadłem, które ktoś przytrzymał w ręku.

I puścił.

I złapał ponownie, przytrzymując przez długą, długą chwilę.

I puścił. I złapał ponownie. I przytrzymał na zawsze.

Świnie tłoczyły się i przepychały, rwąc jego ciało na strzępy. Pożerały wszystko, czego mogły osiągnąć, wywlekając spomiędzy żeber żółtawe, pociemniałe od nikotyny płuca i ryjąc w miednicy, żeby nasycić się jego wnętrznościami — tak jakby ryły w wypełnionym po brzegi korycie. Zdarły nawet i zeżarły poplamione krwią winylowe pokrowce siedzeń i trochę wypełniającej je pianki.

Po drugiej stronie szosy w zalanym deszczem rowie odwadniającym dwadzieścia albo trzydzieści innych świni rozrywało ciała kierowcy toyoty i jego pasażerki. Oboje mieli więcej szczęścia od Randy'ego: pięćdziesięcioletni kierowca zmarł natychmiast po tym, jak toyota wyleciała z szosy, uderzony w pierś kierownicą. Pasażerka, trzydziestopięcioletnia kobieta, doznała przecięcia tętnicy udowej i wykrwawiła się na śmierć w ciągu kilku minut.

Zobaczyli świnie tylko raz, kiedy wpadli na pierwszych sześć sztuk, które przebiegały przed nimi szosę.

W czasie krótszym niż dziesięć minut z Randy'ego i pasażerów toyoty pozostały tylko poszarpane krwawe szczątki. Pozbawiona oczu czaszka, na której widniały nieliczne kępki włosów, leżała koło drzwi, zwrócona twarzą w stronę uwięzionej pod fotelem kostki.

Kierowca toyoty miał na dłoniach rękawiczki ze świńskiej skóry i wieprze w ogóle ich nie ruszyły — co może się wydawać dość dziwne, zważywszy, że wygłodniały wieprz potrafi zeżreć prawie wszystko. Jedna dłoń wciąż zaciskała się na kierownicy; dłoń nie dołączona do niczego.

Rozległ się potężny odgłos gromu; część świni ruszała już w dalszą drogę.

W tej właśnie chwili z zachodu nadjechał z dużą szybkością student college'u o nazwisku Rick McCready, prowadząc należące do jego ojca brązowego camaro. Rick obiecał odebrać z lotniska ojca, który przyleciał wieczornym lotem z Chicago, gdzie ciotka Ricka urodziła właśnie parę bliźniaków. Był już dwadzieścia minut spóźniony, ojciec z pewną ością dostawał szału i dlatego Rick nie zdejmował nogi z gazu.

Deszcz zacinał ukośnie z południowego zachodu i nawet z włączonymi na pełną szybkość wycieraczkami Rick nie widział dalej niż na czterysta metrów do przodu. Ale Siedemdziesiąta Szósta Aleja była prosta jak strzała i o tej porze nocy na drodze nigdy nie było nikogo, nie w tym rejonie rolniczej Iowy, gdzie większość ludzi kładła się spać zaraz po zakończeniu kolejnego odcinka „Star Trek: The Next Generation”. Rick pędził z szybkością przeszło stu trzydziestu kilometrów na godzinę, dochodząc czasami do stu czterdziestu, nucąc

„Heart-Shaped Box” zespołu Nirvana i uderzając w takt perkusji obiema dłońmi w kierownicę.

Zobaczył przewróconą, leżącą w poprzek drogi ciężarówkę Randy'ego Gedge'a dopiero, kiedy było już zdecydowanie za późno. Wdepnął z całej siły hamulec, ale wciąż miał

na liczniku sto dziesięć na godzinę, kiedy camaro rąbnął prosto w szoferkę Randy'ego.

Uderzenie wbiło samochód pod silnik ciężarówki, zgniatając go tak gwałtownie, że przednia część przedziału pasażerskiego zredukowana została do mniej niż jednej trzeciej swojej pierwotnej wysokości. Rick McCready zgnieciony został razem z camaro, zamieniając się w ciągu ułamka sekundy w szeroką płaską plamę zmiażdżonych tkanek, której nie rozpoznałby nawet jego ojciec, gdyby nie fakt, że odziana była w akademicką bluzę Ricka.

Nastąpiła dziwna pauza przerywana tylko odgłosami deszczu i wiatru, a także żalonymi jękami rannych zwierząt. A potem eksplodował bak camaro, wyrzucając w powietrze dwie płonące świnię i płonącą zapasową oponę. Nastąpiła kolejna przerwa — a potem kolejna potężna eksplozja. Po szosie potoczyły się płonące części ciężarówki. W ciągu kilku sekund cały blokujący szosę wrak stanął w ogniu. Palące się świnię latały histerycznie w tę i z powrotem, zawodząc jak dzieci. Jedna z nich wbiegła zygzakiem w rosnącą przy drodze kukurydzę, kurcząc się i rozkurczając w agonii, aż w końcu padła na ziemię, płonąc niczym porzucona sofa.

Siedemdziesiąta Szósta Aleja zamieniła się w piekło. Waliły pioruny; deszcz lał jak z cebra. W jego strugach migotały trupim blaskiem płonące wraki ciężarówki i samochodu; jedynymi słyszalnymi głosami były straszliwe jęki rannych zwierząt.

ROZDZIAŁ XI

Garth był pokaleczony i lekko zamroczony, ale kiedy Nathan i David odwiedzili go w jego izolatce w centrum medycznym Mercy, zdołał uśmiechnąć się na powitanie.

Nathan przysunął krzesło do łóżka. Okrywająca Gartha kołdra wybrzuszała się w miejscu, gdzie znajdował się stelaż chroniący jego złamaną kostkę. Klatkę piersiową obandażowaną miał aż po pachy.

— Wyglądasz jak z krzyża zdjęty — oznajmił Nathan, podając mu rękę.

— Dzięki. I tak mniej więcej się czuję.

— Przynieśliśmy panu czekoladki z orzechami... a także to — powiedział David, wręczając Garthowi bombonierkę i egzemplarz „Playboya”. — Bałem się, że może to pana zbyt podniecić, ale tato powiedział, że przysiągł pan z ręką na Biblii nie oglądać obrazków.

— Twój syn robi się zdecydowanie zbyt cwany.

— Była u ciebie Kayley? — zapytał Nathan.

— Jasne. Przyniosła mi te kwiaty. Niedługo wróci, wyszła tylko coś zjeść.

— Powiedz mi, co się stało.

— Nie wyglądasz na zbyt zmartwionego.

— Oczywiście, że się martwię. Czuję się odpowiedzialny.

— No cóż... to, co się stało, było bolesne, nie będę temu zaprzeczał, ale również bardzo interesujące. Wszedłem do zagrody Kapitana Blacka i zacząłem do niego gadać. Był trochę rozdrażniony, ale w gruncie rzeczy nie reagował zbytnio na to, co mówię. Aż do chwili, kiedy wymieniłem imię Emily.

— Emily? To imię tej dziewczynki Pearsonów, prawda? Tej, która ocalała.

— Zgadza się. Po co miałbym je w innym razie wymieniać? Wtedy właśnie Kapitan wpadł w furię. Dostał kompletnego szału! Ruszył na mnie jak lokomotywa.

— Co próbujesz przez to powiedzieć?

— Próbuję powiedzieć, że to się udało... cały przeszczep. Wiem, że w żadnym wypadku nie jest to niepodważalny dowód. Może Kapitan po prostu miał mnie już dosyć. Ale jego reakcja na imię „Emily” była taka natychmiastowa... taka pozytywna.

— Naprawdę sądzisz, że Kapitan Black odziedziczył osobowość George'a Pearsona?

— Może nie od razu całą osobowość. Ostatecznie osobowość tego małego była tylko częściowo ukształtowana. Ale może jego wspomnienia. Jego psychologiczne punkty odniesienia. Emily zawsze go broniła. Emily zawsze się nim opiekowała. Może przyczyną jego furii był fakt, że tym razem, tym ostatnim rażeni Emily nie zatroszczyła się o niego i zginął. Albo w każdym razie zakończyła się jego egzystencja w ciele trzyletniego chłopca.

Jego mózg przynajmniej częściowo żyje dalej.

Nathan powoli pokręcił głową.

— Boże wszechmogący, to nieprawdopodobne. To znaczy, jeśli rzeczywiście masz rację, to zupełnie nieprawdopodobne. Nie miałem pojęcia, że to będzie coś więcej niż zwykły przeszczep tkanki.

— Ja też nie jestem pewien, czy zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę —

przyznał Garth. — W przypadku każdego innego przeszczepu nie wymaga się przecież charakterystyki dawcy, prawda? Tylko w horrorach ludzie, którym przyszyto rękę mordercy, latają po mieście, szukając, kogo by tu udusić.

— A w tym przypadku?

Garth ostrożnie dotknął warg, żeby sprawdzić, jak bardzo są spuchnięte i popękane.

— W tym przypadku tak. Naprawdę mogliśmy zmienić osobowość Kapitana Blacka.

Jeśli potrafię go zmusić do pozytywnej reakcji na powiedzmy dwanaście rzeczy, o których mógł wiedzieć tylko mały George, wtedy dokonamy według mnie znaczącego postępu.

Pomyśl, jakie roztoczą się przed nami możliwości, jeśli będziemy mogli przenosić cechy osobowościowe albo wspomnienia z jednego mózgu do drugiego. Z dnia na dzień zrewolucjonizujemy leczenie chorób psychicznych.

— Zygmunt Freud przewróci się w grobie - uśmiechnął się Nathan.

— Nie śmieję się — powiedział Garth. - To całkiem realna możliwość.

— Wiec co proponujesz? - zapytał Nathan, odchylając się do tyłu na krześle i splatając dłonie za głową.

— Przede wszystkim muszę najszybciej, jak to możliwe, wydostać się z tego miejsca.

Nienawidzę szpitali.

— Mogłeś trafić do o wiele gorszego miejsca niż Mercy — zauważył Nathan, biorąc do ręki zawieszoną przy łóżku kartę chorego. — Hmm... piszą tutaj, że masz złamanie Potta. To ciężka sprawa. Zrośnięcie kości trwa zwykle parę tygodni, zwłaszcza u takich starych facetów jak ty.

— Jesteś uroczy. Ale jutro rano chcę być z powrotem w instytucie. Nie mogę opóźnić tego eksperymentu nawet o jeden dzień.

— Chcesz tam wrócić? Po tym, co zrobił ci Kapitan Black? Po tym, jak zabił Raoula?

— Muszę. Kiedy przegłosują ustawę Zapf-Cady'ego, może się okazać, że nie mamy zbyt wiele czasu. Poza tym wiem teraz, czego się spodziewać. Zachowani wszelkie środki ostrożności.

— Czy będę mógł znów zobaczyć Kapitana Blacka? — zapytał David.

— Nie sądzę — odparł, potrząsając głową, Nathan. — Po tej operacji zrobił się bardzo niebezpieczny.

— Jasne, że możesz go zobaczyć — przerwał mu Garth. — Dlaczego nie? Nie będziemy już bawić się w Daniela w jaskini lwa. Zamierzam opracować metodę, dzięki której będziemy mogli porozmawiać z Kapitanem Blackiem, nie wystawiając na większe niebezpieczeństwo siebie i jeśli już o to chodzi, także jego. Jasne, że możesz go zobaczyć. W

gruncie rzeczy naprawdę mi na tym zależy. Kiedy spotkaliście się po raz pierwszy, chyba cię polubił. Może obecność kogoś młodszego pomoże mu się uspokoić.

— No nie wiem — powiedział Nathan. — Jeśli istnieje jakiegokolwiek ryzyko...

Garth podniósł rękę.

— Żadnego ryzyka, obiecuję. Nie ma mowy, żebym chciał przejść przez to ponownie.

Nie, dziękuję. Nawet w interesie nauki.

— Dobrze, zastanowię się nad tym — stwierdził Nathan.

— Och, daj spokój, tato — ponaglał go David. — Opowiedziałem o nim wszystkim moim kolegom.

— Powiedziałem, że się nad tym zastanowię, prawda? Rozmawiali jeszcze chwilę o szkole i baseballu, a potem David poszedł kupić sobie 7-Up. Nathan przysunął krzesło trochę bliżej łóżka.

— Porozmawiajmy poważnie — powiedział. — Naprawdę uważasz, że Kapitan Black przejął osobowość tego małego chłopca?

— Nie wiem tego na pewno — odparł Garth. — Ale wiele na to wskazuje.

— Wiesz, jak się w związku z tym czuję?

— Dlaczego miałbyś się źle czuć? Chłopiec był martwy. Teraz pewna jego część wciąż żyje. Z pewnością to jest lepsze niż nic.

— Ale on żyje w ciele świni, Garth! Wiesz, jaki to koszmar? Garth położył się z powrotem na poduszkach. Jego twarz była wychudła i skrajnie blada.

— Nie wiem, Nathan. Ale postaram się zrobić wszystko, żeby się dowiedzieć.

— A jeśli okaże się, że to dla tego chłopca piekło na ziemi: odkrycie, że narodził się powtórnie w ciele świni?

Garth wytrzymał spojrzenie Nathana z absolutnym spokojem.

— Jeśli to się właśnie okaże, wtedy będziemy musieli zrobić z Kapitanem to, co uczyniłby każdy dobry weterynarz: wyzwolić go z jego cierpień.

— To znaczy, że mały George Pearson będzie musiał po raz drugi przechodzić mękę umierania?

— Nathan... — zaczął Garth. — Jesteś zdecydowanie zbyt sentymentalny. Nawet jeśli w mózgu Kapitana Blacka pozostało coś z George'a Pearsona, są to prawdopodobnie zaledwie blade reminiscencje.

— Dobrze, dobrze — pokiwał głową Nathan. — Jak zwykle czuję się po prostu winny.

— Historia twojego życia, staruszkule — skomentował Garth i klasnął w dłonie. —

Dziękuję, że przyszliście. Tobie i Davidowi. Przyjdźcie jutro rano do Instytutu Spellmana i zobaczcie na własne oczy, jak się miewa Kapitan. Daj spokój, to będzie bardzo ciekawe. I bezpieczne, obiecuję. To jedena z tych eksperymentów, które można przeprowadzić tylko raz w życiu, a wy będziecie w nim uczestniczyć. Naprawdę powinniście przyjechać.

— Nie jest łatwo czuć się odpowiedzialnym za śmierć innych ludzi — powiedział

Nathan.

— Nie jesteś odpowiedzialny. Raoul wiedział, jakie podejmuje ryzyko.

— Wszystko jedno.

Garth ścisnął Nathana za rękę.

— Słuchaj, staruszk, istnieje coś takiego, co nazywa się przeznaczeniem i niezależnie od tego, jacy jesteśmy cwani, nie zdołamy go uniknąć, ponieważ sami je sobie gotujemy. To nieuniknione, w przeciwnym wypadku czym w ogóle bylibyśmy? Raoul sam zgotował sobie swój los i podobnie, na swój sposób zrobiła to Susan. Próbowwała sama zawieźć do szpitala chore dziecko, podczas gdy lepiej byłoby prawdopodobnie wezwać pogotowie. Kto wie, dlaczego to zrobiła? Nigdy się już tego nie dowiemy. Ale taka właśnie była Susan, tak zawsze się zachowywała i jej przeznaczenie czekało na nią na tamtym skrzyżowaniu, podobnie jak przeznaczenie Raoula czekało na niego w tym laboratorium. Na litość boską, Nathan, człowiek nie potrafi przewidzieć konsekwencji wszystkich swoich czynów.

— Chyba tak — przyznał Nathan. Ale nadal nie mógł przestać myśleć o George'u Pearsonie, małym oszołomionym George'u Pearsonie, który otwiera oczy i uświadamia sobie, że nie jest już chłopcem, przynajmniej nie cieleśnie; ale wielkim ociężałym wieprzem. Boże

— nic dziwnego, że wpadł w szal. Każdy by to zrobił. To było gorsze niż „Metamorfoza”

Kafki, w której młody człowiek zamienił się w wielkiego owada.

David wszedł z powrotem do izolatki ze swoim 7-Up.

— Powinieneś obejrzeć wiadomości — powiedział, zwracając się do ojca. — Jakieś świny uciekły z farmy i spowodowały wypadek koło lotniska. Gliniarze mówią, że zginęły trzy osoby i że zżarły je świny.

— Jezus — jęknął Garth.

— To musi być nieprawda — stwierdził Nathan. — Świny nie jedzą ludzi.

— Obawiam się, że muszę cię poprawić — powiedział Garth. — Zdarzały się takie wypadki. Jeśli są naprawdę głodne, potrafią zjeść niemal wszystko. Dwa albo trzy miesiące temu jeden z naszych asystentów zostawił w zagrodzie plastikową teczkę i następnego dnia zamknięta tam świnka narobiła piekielnego kwiku. Srała nie przetrawionymi flamastrami i chromowanymi spinaczami.

Nathan wstał i położył dłoń na ramieniu Davida.

— W porządku, Garth. Wydaje mi się, że na jeden wieczór wystarczy. Musimy iść.

— Och, daj spokój, tato. Chcę usłyszeć jeszcze coś na temat świń.

— Powiedziałem, że na jeden wieczór wystarczy. Zadzwoń do ciebie później, Garth.

Cieszę się, że wyszedłeś z tego obronną ręką.

— Jestem facetem, który wychodzi cało z najgorszej opresji uśmiechnął się Garth. —

Jeszcze o tym nie wiedziałeś?

Czarna furgonetka skręciła w Veraon Drive i zatrzymała się naprzeciwko pogrążonego w ciemności domu Pearsonów. Kierowca wyłączył silnik i zgasił światła. Wiatr szumiał w gałęziach drzew; taśmy z napisem POLICJA — WSTĘP WZBRONIONY trzepotały i powiewały niczym zawieszony na maszcie statku flagi.

Z tyłu furgonetki siedział Terence. ze skrępowanymi na plecach rękoma. Był

pokaleczony i obolały; stracił również kilka zębów, ale wargi spuchły mu tak potężnie, że nie wiedział dokładnie których. Był również skrajnie wyczerpany. Miał wrażenie, że ta noc nigdy się nie skończy; że nigdy nie wstanie świt. Szyby furgonetki były przyciemnione, ale na zewnątrz i tak nie paliło się najmniejsze światło. Słysząc było tylko zawodzenie drutów telefonicznych, szelest opadających na dach liści i powtarzające się co jakiś czas trzaśnięcie ogrodowej furty.

Podłoga furgonetki usłana była brudnymi kocami i nie wyprawionymi koźlimi skórami.

Terence siedział obok ubranego w usmolony habit Trędowatego. Jego sąsiad w ogóle się nie odzywał, sapał tylko i rzeził przez nos, i co jakiś czas się drapał. Terence mógł przysiąc, że słyszy miękki odgłos, z jakim odpadały od niego martwe kawałki ciała, ale może ponosiła go wyobraźnia.

Po drugiej stronie, przyciśnięta do niego jeszcze bliżej, siedziała Naga w swojej zalatującej szczurami futrzanej kurtce, z wplecionymi we włosy zwiędłymi kwiatami. Od wyjazdu z biura szeryfa prawie się do niego nie odezwała, ale co jakiś czas gładziła go zakrzywionymi palcami lewej ręki po policzku, niemal z roztargnieniem, tak jakby starała się zapamiętać, jak wygląda.

Naprzeciwko, ledwo widoczny w ciemności siedział Miecznik, z głową wtuloną w dłoń i opartym o kolano workiem z mieczami. Obok niego przycupnął Nóż, strojąc miny, wierząc się i od czasu do czasu wzdychając. Świadek siedział za kierownicą i Terence widział

tylko zarys jego pleców. Domyślał się, że Doktor znajduje się obok niego, z przodu furgonetki. Dobiegał go szeleszczący cichy odgłos rozmowy prowadzonej w prostym języku czeskim — nie tym czeskim, w którym pisze się książki i odbywa akademickie dyskusje, ale tym, którym posługują się mniej wykształceni mieszkańcy Moraw i Brna — pełnym wibrujących „r” i silnych przydechów, które sprawiają, że możliwe jest w ogóle wymówienie słów takich jak „scrvkl” czy „trpyt”.

Domyślił się, że to Doktor, ponieważ tym samym prostym językiem czeskim mówili kiedyś studenci i intelektualiści — chociaż napisano w nim bardzo mało książek i artykułów.

Doktor nie wzbudzał w nim zresztą szczególnego lęku. Nie bał się go tak jak Miecznika; i nawet w najmniejszym stopniu tak jak ciemnej niby świeżo otwarty grób, bezlitosnej i nienasyconej postaci,

która tkwiła w samym końcu furgonetki, drapiąc się, szeleszcząc i roztaczając wokół siebie zapach wawrzynu: postaci, której nie zaczął nawet jeszcze dobrze rozumieć.

W miejscu, gdzie siedział Zielony Janek, koce pokryte były grubą warstwą ziemi.

— To coś, co powinno cię zainteresować — oznajmiła z przekąsem Naga. — Stąd właśnie wzięły się opowieści o Drakuli, wożącym ze sobą skrzynie ziemi. — Wymówiła imię księcia „Drekula” i zabrzmiało to jeszcze straszniej, tak jakby osobiście go znała.

Terence wciąż nie mógł dojść do siebie po szybkiej ucieczce z biura szeryfa. Zbiegli na dół niczym grupa tańczących mazura szaleńców, całą szóstką, piętro po piętrze, aż wydostali się wyjściem awaryjnym na ulicę, prosto w szalejącą burzę. Nikt ich nie zatrzymywał, nie było żadnego alarmu, żadnych krzyków „stać! nie ruszać się! policja!” Przebiegli przez zalany deszczem parking do furgonetki i zaczęli do niej wsiadać.

— Hej! Jestem tutaj! Jestem tutaj, na litość boską! — wrzasnął, ile miał sił w płucach, Terence i wtedy właśnie oberwał od Świadka — pojedynczy potężny cios w twarz, zadany z siłą policyjnej pałki. Obrócił się na pięcie, unosząc niczym zwariowany klaun drugą nogę w powietrze i upadł na mokry beton. Nóż i Naga podnieśli go i wrzucili do furgonetki; i tak się tutaj znalazł.

— Na co czekamy? — zapytał, zwracając się do Nagiej. Miał gruby nosowy głos.

— Czekamy, aż twoja mała córeczka zacznie płakać i obudzi sąsiada — szepnęła Naga.

— Twój sąsiad pójdzie do niej i zapyta, co się stało, a ona odpowie, że słyszała jakiś straszny hałas na ulicy. Sąsiad zejdzie na dół, otworzy drzwi i wyjrzy na zewnątrz. Wtedy właśnie będziemy mogli wejść do jego domu bez rozlewu krwi i odebrać mu Emily.

— Skąd wiecie, że zacznie płakać? — zapytał Terence.

— Wiemy, ponieważ dziecko Janka zawsze wyczuwa jego obecność. Ty też ją wyczuwałeś, siedząc zamknięty w celi, prawda?

— Powinniście zostawić ją w spokoju — stwierdził żalonym głosem Terence. — Nie powinniście jej porywać.

— No, no — zdziwiła się Naga. — I kto to mówi? Ty, syn swojego ojca?

Terence zerknął w stronę ciemnego krzaczastego kształtu w rogu furgonetki i nie mógł powstrzymać drżenia — tak jakby jakiś kolczasty demon szepnął mu do ucha datę jego śmierci.

— To nie jest mój ojciec. Mój ojciec był miłym, łagodnym człowiekiem. Nigdy by nikogo nie zabił, nigdy.

— Oczywiście, że twój ojciec był łagodnym człowiekiem. I nadal nim jest. Spójrz na niego, przyjacielu. Mógł zabić cię już na dachu, czyż nie? Ale darował ci życie, bo cię kocha.

Jesteś ciałem z jego ciała, krwią z krwi, tak? Do niego należy decyzja, kogo zabić, a kogo oszczędzić. I na razie postanowił cię oszczędzić, co jest dowodem łagodności.

Terence zakasłał i zadrżał. Nagle Świadek podniósł rękę, a Zielony Wędrowiec nerwowo zaszeleścił. W domu Terpstrów zapaliło się światło. Po kilku chwilach w oknie pojawił się pan Terpstra ubrany w szlafrok w brązowo-czerwone pasy.

— Teraz — szepnęła Naga. — Twoja córka zaczęła płakać. Terence przygryzł

nieświadomie spuchniętą wargę i skrzywił się z bólu. Zamknął oczy i prosił Boga, żeby Janek nie skrzywdził jego ani Emily. O Boże, wybaw mnie z rąk Zielonego Wędrowca. Boże, wybaw mnie od mojej własnej złej krwi.

Minęły dwie albo trzy minuty, a potem ponownie zobaczyli w oknie pana Terpstrę.

— Już zaraz — szepnęła Naga.

Odczekali jeszcze kilka sekund i nagle ku zdumieniu Terence'a, a także najwyraźniej ku zdumieniu Nagiej, światło w oknie zgasło.

Z miejsca, w którym siedział Zielony Janek, doszedł ich głośny, niespokojny chrzęst.

Świadek odwrócił się w fotelu i chociaż miał na twarzy nieruchomą białą maskę, widać było, że jest zmieszany.

— Co się stało? — zapytał Terence.

— Twój sąsiad wrócił do łóżka. Nie poszedł w ogóle do twojej córki.

— Co to oznacza?

— To oznacza, że będziemy musieli wejść do domu w inny sposób.

— Masz na myśli, że będziecie musieli się włamać?

— Nie możemy tego zrobić.

— Dlaczego? Jest was cała szóstka.

— Nie możemy i już. To jest... po prostu niemożliwe — odparła zniecierpliwionym i poirytowanym głosem Naga. Słyszając dochodzące z tyłu furgonetki odgłosy Terence zgadywał, że poirytowany jest również Janek. Albo może głodny. Wedle tego, co przeczytał

w swoich starych książkach, Janek musiał odżywiać się co najmniej raz w tygodniu, a czasami nawet częściej.

— Będziesz musiał podejść do drzwi i zaczekać, aż twój sąsiad zaprosi cię do środka.

— Jezus, on nigdy tego nie zrobi — odparł Terence. — Nie znosi samego mojego widoku.

— Będziesz musiał spróbować. Nie ma innego sposobu.

— Chyba nie zdajecie sobie sprawy, o co prosicie. Niezależnie od faktu, że Terpstra szczerze mnie nie znosi, nie zaprosi przecież do domu zbiegłego z więzienia mordercy własnych dzieci. Jest może idiotą, ale nie jest głupi.

— Będziesz musiał spróbować — powtórzyła Naga.

Tak jakby chciał podkreślić jej słowa, Miecznik wyjął z worka jeden ze swoich mieczy i przytknął jego ostrze prosto do czoła Terence, przebijając skórę. Terence poczuł spływającą między oczyma i po nosie krew.

— Dobrze, dobrze, spróbuję — zgodził się. — Ale musicie mnie najpierw rozwiązać.

Naga wyciągnęła rękę i Miecznik podał jej nóż z rogową rękojeścią. Przecięła sznury, którymi skrępowane były nadgarstki Terence'a i pchnęła go otwartą dłonią w plecy.

— Nie będziesz próbował ucieczki, prawda? Nie chciałabym patrzeć, jak umierasz.

Terence nie odpowiedział. Chłopak o imieniu Nóż otworzył drzwi furgonetki. Mijając postrzępioną krzaczastą postać Zielonego Janka, Terence zawahał się na chwilę, ale Janek w ogóle nie zareagował. Pod swoją maską pozostawał tak samo lodowaty i wrogi jak zawsze.

Terence wyskoczył na zewnątrz.

— Pamiętaj, żeby zaproszono cię do środka — powiedziała Naga. — Janek będzie zły, jeśli ci się nie uda.

— Myślę, że rozumiem — odparł Terence.

Przeszedł na ukos ulicę, kierując się w stronę podjazdu Terpstrów i masując po drodze nadgarstki. Jego usta wydawały się dziesięć razy większe niż normalnie; w prawej skroni pulsowała krew. Dotarłszy do trawnika Terpstrów, zatrzymał się i obejrzał. Furgonetka stała, tam gdzie ją zostawił, czarna i złowroga, i nic nie wskazywało, że ktoś w niej siedzi.

Rozejrzał się po ulicy, próbując ocenić szansę ucieczki. Ale najbliższy zakręt oddalony był o prawie dwieście metrów, a widział na własne oczy, jak szybki i dokładny potrafi być Miecznik, kiedy uśmiercił tę policjantkę.

Poza tym, nie chodziło tylko o szybkość, ale i o siłę woli; a nie był pewien, czy pozostała w nim choćby odrobina determinacji.

Kuśtykając podszedł do drzwi Terpstry i nacisnął dzwonek. Dopiero po szóstym albo siódmym dzwoncek światło na podeście zapaliło się ponownie i usłyszał schodzącego na dół, głośno zrzędzącego Lelanda.

— W porządku! W porządku! Nie wiecie, która jest, na litość boską, godzina?

Terence nie odezwał się ani słowem, dopóki Leland nie uchylił drzwi i nie wyjrzał na zewnątrz.

— Kto tam? — zapytał. — Czego, do diabła, chcecie?

— Cześć, Leland — powiedział Terence, starając się, żeby jego głos zabrzmiał spokojnie i przyjaźnie.

— Kto tam? — powtórzył Terpstra. — To ty, Terence? — dodał po chwili.

— We własnej osobie, Leland.

— Myślałem, że jesteś w więzieniu — stwierdził nerwowo Terpstra. — Zwolnili cię?

— Coś w tym rodzaju. Wypuścili mnie za kaucją.

— Po tym, co zrobiłeś, wypuścili cię za kaucją?

— Leland... jestem zmęczony i głodny i nie mogę się dostać do własnego domu. W biurze szeryfa zapomnieli mi oddać kluczy, a ja zapomniałem ich o nie poprosić.

— Przykro mi, Terence, ale nie mogę ci pomóc. Dolly oddała nasz zapasowy komplet policji. Powiedzieli, że nikt nie powinien tam wchodzić aż do zakończenia śledztwa.

— Nie wiem po prostu, co mam ze sobą począć — powiedział Terence. — Nie mam dość pieniędzy na hotel. Nie mam nawet dziesiątaka na telefon.

— Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc — powtórzył Leland. Terence przysunął się bliżej. Drzwi zabezpieczone były mosiężnym łańcuchem, ale Leland i tak przymknął je o centymetr albo dwa.

— Nie musisz się mnie obawiać, Leland. Nie zrobiłem nic złego.

— Uciąłeś głowy swoim dzieciakom i uważasz, że to nie jest nic złego? Jesteś maniakiem i zawsze nim byłeś, wrzeszcząc na wszystkich i traktując w ten sposób biedną Iris.

Ale tym razem naprawdę przesadziłeś, zrobiłeś coś, co kompletnie nie mieści się w głowie, Terence, i nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nic, słyszysz?

— Jak się miewa Emily? — zapytał Terence, starając się zachowywać rozsądnie, starając się uspić podejrzenia Lelanda.

— Emily czuje się dobrze, ale nie dzięki tobie. Po tym, co się z nią działo, biedne dziecko ma szczęście, że nie wylądowało w szpitalu dla wariatów.

— Czy jest jakaś szansa, żebym mógł ją zobaczyć? — zapytał Terence, oglądając się w stronę

furgonetki. Wiedział, że nie może wprosić się sam. Zielony Wędrowiec powinien zostać zaproszony dobrowolnie; w przeciwnym razie nie był w stanie przekroczyć progu.

Sprawował władzę wyłącznie nad tymi, którzy z własnej woli zgodzili się przyjąć to, co miał do zaoferowania; zastanawiający był jednak fakt, że robiło to tak wielu ludzi. W zamian za bogactwo i dostatek godzili się poświęcić przyszłość nie poczętych jeszcze, nie ochrzczonych dzieci.

Nie było to w końcu takie niezwykle — pomyślał z goryczą Terence. — Ludzie codziennie poświęcają przyszłość nie poczętych i nie ochrzczonych dzieci i całkiem często nie robią tego nawet dla osiągnięcia dostatku i bogactwa, ale z głupoty, apatii albo złej woli.

Z furgonetki nie dawano mu żadnego znaku, odwrócił się więc z powrotem do Terpstry.

— Daj spokój, Leland. Nie jestem winny, dopóki nie uznał mnie za takiego sąd. Może czasami rzeczywiście niepotrzebnie się wściekałem. Ale nigdy nie skrzywdziłbym swoich dzieciaków, chyba o tym wiesz.

Leland wyrzwał na ulicę, najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

— Jak się tutaj dostałeś? — zapytał.

— Podwieźli mnie przyjaciele. Odjechali, zanim zorientowałem się, że nie mam kluczy.

— Nie możesz się włamać? W końcu to przecież twój dom.

— Może i mógłbym. Ale chciałem się upewnić, czy Emily dobrze się czuje.

— Obawiam się, że to nie jest możliwe, Terence.

— Jestem jej ojcem, Leland. O cokolwiek mnie oskarżają, wciąż jestem za nią odpowiedzialny.

— Powiedziałem, że to niemożliwe. Tutaj jej nie ma.

— Co to znaczy: tutaj jej nie ma? Szeryf powiedział, że ją tutaj widział. Sam mi to powiedział.

— No tak. To było zaraz po tym, jak zamordowano twoją szwa-gierkę. Ale nie sądzisz chyba, że pozwoliliby jej u nas tak długo zostać. Zabrali ją ludzie z okręgowej opieki społecznej. Nie wiem nawet dokąd. Domyślam się, że do jakiegoś domu małego dziecka.

— Nie powiedzieli ci do jakiego?

— Nawet jeśli to zrobili, nie pamiętam. Przygarnęliśmy ją tylko na parę godzin.

Byliśmy po prostu najbliżej.

Terence przycisnął ręce do piersi. Czuł zbliżające się objawy hiper-wentylacji. Nie chciał nawet

domyślać się, co go czeka, kiedy wróci do furgonetki i powie Zielonemu Jankowi, że Emily zniknęła, a jemu nie udało się wejść do domu Terpstrów.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Leland, baczniej mu się przypatrując. — Masz cholernie spuchnięte wargi. Co takiego ci się stało w głowę?

— Leland... — szepnął Terence. — Naprawdę muszę gdzieś usiąść. Ale Terpstra potrząsnął głową.

— Nie wpuszczę cię do środka, Terence. Nie ma mowy. Widziałem, jak się po wariacku zachowywałeś, i nie chcę, żeby to zdarzyło się w moim domu. Lepiej stąd odejść, bo zadzwonię po gliniarzy, żeby cię stąd zabrali, a jeśli wypuścili cię za kaucją, nie wyjdzie ci to chyba na dobre.

— Błagam cię, Leland. W przeciwnym razie zaraz zemdleję. Terpstra zastanawiał się przez długą, bardzo długą chwilę. Terence zamknął oczy, próbując zmusić go do zmiany zdania samą siłą woli. W końcu Terpstra zamknął drzwi i spuścił łańcuch.

— Tylko pięć minut, Terence — powiedział. — Ani minuty dłużej. I żadnych wyglupów. Rozumiesz?

— To wszystko, o co proszę.

Terpstra otworzył drzwi. Prawie w tej samej chwili Terence usłyszał po drugiej stronie ulicy trzaśnięcie drzwi furgonetki. Leland spojrzał przez jego ramię.

— Co to za ludzie? — zapytał. — Wyglądają, jakby się urwali z balu przebierańców.

Terence odwrócił się. Przecinając ulicę szybkim, zdecydowanym krokiem zmierzali w ich stronę Miecznik, Trędowaty, Świadek oraz bliźniacy Naga i Nóż, a w ślad za nimi podobna do małpy, ubrana w ciemną aksamitną opończę drobna postać w masce, która pomalowana była na jaskrawoczerwony kolor, kolor świeżej krwi. To musi być Doktor —

pomyślał Terence i wiedział, jaka jest jego moc.

— Do diabła, Terence! — krzyknął Leland, widząc zbliżającą się świtę. Próbował zatrzasnąć drzwi, ale Terence zablokował je łokciem, a potem kopnął, otwierając na całą szerokość.

— Do diabła, Terence, co się tutaj dzieje? — zawołał przerażony Leland.

Miecznik dopadł go, zanim zdążył powiedzieć coś więcej. Musiał przeciąć podwórko wprost błyskawicznie, w czasie krótszym niż jedno uderzenie serca. Wysoki, długonogi i niepohamowany, złapał Lelanda za kołnierz, obrócił dookoła i kopnął. Terpstra upadł na kolana, wydając z siebie dźwięk, który był czymś pośrednim między kaszlnięciem i krzykiem, a Miecznik kopnął go ponownie, wbijając wąski długi zamszowy but między łopatki z taką siłą, że Leland jęknął, próbując rozpaczliwie złapać oddech.

Kiedy reszta świty Zielonego Wędrowca wpadła do holu, Miecznik włókł już Lelanda do salonu. Chłopak o imieniu Nóż zasunął dokładnie zasłony i zapalił światło, a Naga podeszła do Terence'a i

stała tuż obok, niczym doradczyni albo tłumaczka. Terence obserwował bezsilnie, jak Miecznik zmusza Lelanda do uklęknienia na środku pokoju i okłada go po twarzy, niczym siekający kotlety rzeźnik.

Policzki Lelanda zapłonęły czerwienią. Na czole wyrósł mu brzydki czarny siniak, a z kącika ust płynęła strużka krwi. Odwrócił się do Terence'a z wyrazem przerażenia i kompletnego niedowierzania na twarzy.

— To wszystko dzieje się naprawdę — potwierdził Pearson. To było wszystko, co mógł mi powiedzieć.

— Gdzie jest twoja córka? — zapytała Naga. — Mówiłeś, że tutaj będzie.

Terence podniósł obronnym gestem ramiona.

— Nic nie wiedziałem. Zabrali ją ludzie z opieki społecznej.

— Z opieki społecznej?

— Przysięgam.

Naga rozejrzała się z pogardą po eleganckim, wypastowanym salonie. Ona i pozostali maszkarnicy tak bardzo nie pasowali do tego miejsca, że nawet Terence'owi niełatwo było uwierzyć w ich istnienie. Byli tacy dekadency, tacy średniowieczni, tacy zmurszali. Ale fakt ich istnienia potwierdzała ich siła i pewność siebie, a także to, że cuchnęli jak prawdziwi ludzie średniowiecza: potem, zjefczalym tłuszczem i brudnym aksamitem.

Naga podeszła do Lelanda Terpstry i przyjrzała mu się zza swej białej, nieruchomej maski. Leland podniósł głowę; jabłko Adama chodziło mu w górę i w dół, tak jakby próbował

przełknąć wielki kawał tłuszczu.

— Czego chcecie? — zapytał. — Nie chcecie chyba mnie zabić? Naga położyła mu rękę na ramieniu.

— Co ty wiesz o śmierci? — zapytała.

— Nie rozumiem, co pani ma na myśli.

— Mam na myśli, czy wiesz, co się z tobą dzieje, kiedy umierasz?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Niektórzy mówią, że jest jakieś światło. I że wydawało się im, że wchodzi w nie, bo było takie zapraszające.

— A ty wierzysz w to magiczne światło? Wierzysz, że jeśli teraz cię zabiję, pójdziesz właśnie tam? Prosto w światło?

Leland zaczął nerwowo zacierać dłonie.

— Proszę, nie zabijajcie mnie. Staralem się być dobry. Staralem się być uczciwy i przyzwoity wobec każdego. Gdybym wiedział, że potrzebna wam jest Emily, zatrzymałbym ją tutaj. Jaką by mi to zrobiło różnicę? Ale ja w ogóle nie wiedziałem, że potrzebna jest wam Emily. Zabrali ją ludzie z opieki społecznej i jeśli o mnie chodzi, to najlepsza rzecz, jaka mogła się jej przydarzyć.

— Gdzie ona jest? — zapytała Naga cichym, zalotnym głosem, gładząc go po policzku kłykciami palców. — Dlaczego nie chcesz nam powiedzieć, gdzie ona jest?

Leland pocił się i dygotał.

— Niech pani mi wierzy, gdybym wiedział, na pewno bym wam powiedział.

Gładziła go dalej, coraz bardziej zalotnie, aż na jego twarzy pojawiła się czysta desperacja.

— Musisz wiedzieć — szepnęła. — Musiałeś to zapamiętać. Leland potrząsnął kilka razy głową. Przewrzenie odebrało mu głos.

— W Cedar Rapids nie ma aż tak wielu miejsc, do których mogliby zabrać porzucone dziecko — powiedział Terence. — Moim zdaniem, zawieźli ją do Domu Dziecka McKinleya, bo to jest blisko centrum medycznego Mercy. Tam właśnie leży jej matka. Moja żona, Iris.

— Po prostu nie wiem. Po prostu nie wiem — powtarzał zdesperowany Leland.

— No cóż... — powiedziała Naga. — W gruncie rzeczy to nie jest takie ważne. I tak ją odnajdziemy.

— Po prostu nie wiem. Przysięgam. Po prostu nie wiem.

Przez cały ten czas, kiedy Leland bełkotał i błagał o życie, Miecznik wyciągał ze złowrogim, śliskim zgrzytem kolejne miecze ze swego worka. Wysunął w końcu wszystkie pięć i ułożył je, ostrze przy ostrzu, aż utworzyły pięciokąt — ten sam, który Leland ujrzał w oknie tamtej nocy, kiedy zamordowana została po drugiej stronie ulicy Mary van Bogan.

Miecznik podniósł miecze, tak że pięciokąt znalazł się na wysokości jego zamaskowanej twarzy. Leland popatrzył na niego, a potem na Terence'a.

— Co to? Co to jest? Co on chce zrobić? — zapytał.

Przez salon przeszedł Doktor. Jego maska była źle dopasowana; wystawały spod niej kępki spoconych włosów. Przystanął przy Lelandzie, a potem zaniósł się flegmatycznym, piskliwym kaszlem i poklepał go po ramieniu.

— Doktor mówi, żebyś się nie bał — wyjaśniła Naga.

— Terence... — odezwał się błagalnym tonem Leland.

Ale Terence odwrócił się do niego plecami. Wiedział, co teraz nastąpi. Leland zaprosił

ich do środka, a zrobiwszy to złożył nieodwołalnie swój los w rękach Zielonego Wędrowca.

Zielony Wędrowiec był głodny; jego korzenie i pnącza wiły się boleśnie w miejscu, gdzie powinien się znajdować brzuch; i istniała tylko jedna strawa, która mogła zaspokoić jego apetyt. Ludzkie wnętrzności — wnętrzności Lelanda, ponieważ pod ręką nie było nikogo innego. Nie tak słodkie jak trzewia któregoś z jego dzieci; nie tak straszliwie smakowite. Ale mimo to pożywne.

Miecznik przesunął pięciokąt mieczy przez głowę Lelanda, w ten sam sposób, w jaki założył je na szyję Terence'a tam, w areszcie. Ale tam w areszcie zrobił to, żeby ostrzec Terence'a, że utnie mu głowę, jeśli nie będzie posłuszny. Tym razem Terence wiedział, że Miecznik występuje w roli kata.

— Ojciec niebieski, zmiłuj się nad nim — wyszeptał bezgłośnie, zamykając na chwilę oczy.

Leland wydawał z siebie ciche poświstywanie — okropne, jękliwe poświstywanie, które wydobywało się z jednego z jego nozdrzy. Pięciokąt mieczy przesunął się wzdłuż jego twarzy, a potem utworzył stalowy ostry kołnierz wokół szyi. Uwięziony w nim obracał

gorączkowo głową na wszystkie strony.

— Pomóż mi, Terence! — jęknął. — Boże, pomóż mi! Nie pozwól im mnie zabić, Terence! Nie!

Terence zrobił coś, czego nie powinien: odwrócił się i popatrzył na Lelanda. W tej samej chwili Miecznik zamknął pięciokąt i przesuwające się z cichym zgrzytem miecze przecięły szyję Lelanda Terpstry, tak jakby nie była twardsza od grubego kawałka niedogotowanego pasztetu.

Po dekapitacji zawsze następuje krótki moment, kiedy ucięta głowa widzi i rozumie, co się z nią stało; głowa Lelanda wlepiła wzrok w Terence'a, a jej usta poruszyły się, jakby chciały coś powiedzieć. Ale potem krew buchnęła z tętnicy szyjnej i zalała ramiona szlafroka; a Doktor złapał natychmiast głowę za przeredzające się włosy i podniósł ją do góry. Krew zaczęła tryskać po całym pokoju, ochlapując tapety i kolorową fotografię Davida Kirkwooda w rodzinnym ołtarzyku Terpstrów.

— Na litość boską! — krzyknął Terence na Doktora.

Doktor cofnął się o krok, udając, że się przestraszył. Wyciągnął w stronę Terence'a ociekającą głowę Lelanda, tak jakby chciał mu ją zaoferować na znak zgody. Terence nie jadł nic prawie przez cały dzień — tylko hamburgera, którego dali mu w celi w porze lunchu

— i teraz jego żołądek zacisnął się, a usta wypełniła kwaśna ziarnista substancja, którą połknął z powrotem.

— Każ mu przestać! — zachrypiał, zwracając się do Nagiej. - Każ mu to odłożyć!

Ale Naga zanosila się śmiechem. Terence miał wrażenie, że znalazł się w permanentnym koszmarze: że nigdy w życiu nie spał i nigdy już nie zaśnie, ponieważ to, czy śpi czy czuwa, nie ma już żadnego znaczenia. Próbował złapać bujającą się w powietrzu głowę Lelanda, ale Doktor odsunął ją dalej i pogroził mu wychudłym jak u szkieletu palcem.

Miecznik przesunął tymczasem bezgłowe ciało Lelanda, opierając je plecami o kanapę.

Dywan wokoło był tak zboczony krwią, że dosłownie skrzypiał, ale Miecznik nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Stanowiło to najwyraźniej część wielokrotnie powtarzanego rytuału.

Wszystko musiało być przygotowane w ten sam uświęcony tradycją sposób.

Terence trząsał się z obrzydzenia.

— Boże — powtarzał. — Boże, jesteście chorzy. Jesteście gorsi, niż myślałem.

— Dajemy po prostu ludziom to, czego chcą — powiedziała Naga. — Ilu młodych ludzi zginęło podczas niezliczonych wojen? — zapytała, wskazując pochłapaną krwią fotografię Davida Kirkwooda Terpstry. — I co z tego mają ich rodzice? Ani jednego kawałka ziemi, żadnych obfitych pól. Zielony Janek jest dawcą życia, a nie tym, który je zabiera.

Oczekuje tylko, że otrzyma to, co mu się słusznie należy. Czyż nie wolno mu skosztować tego, co sam spłodził?

Doktor dalej trzymał głowę Lelanda w prawej ręce, lewą grzebiąc głęboko w kieszeniach swej opończy. Wyjmował z niej pęki zasuszonych ziół, korzeni i kwiatów, z których kilka Terence rozpoznał, a nazw reszty mógł się jedynie domyślać. Wyjąwszy, wtykał

je w otwartą szyję Lelanda, czyniąc przy tym dziwne znaki w powietrzu.

Dzięki swoim studiom Terence wiedział, że Doktor używa szaławii, rozmarynu i tymianku, ziół, które sprzyjają małżeństwu i łączeniu rzeczy razem. Była tam również fasola, której ziarna tradycyjnie kładzie się do trumny, był leczący hemoroidy rdest węzownik; była ruta, która odwraca decyzje; babka, która pomaga goić się ranom; i centuria, która tworzy iluzje.

Była werbena, ziele na tyle potężne, jak wierzono w średniowieczu, że potrafiłoby zmienić kolor Słońca na niebieski, gdyby tylko ktoś mógł je tam dostarczyć.

Najsilniejszy ze wszystkich był jednak męski korzeń mandragory, czarny na zewnątrz i biały w środku. Średniowieczny przesąd mówił, że mandragora wyrasta z nasienia ostatniej mimowolnej ejakulacji wisielca. Jest to korzeń o niezwykłej seksualnej potencji i olbrzymiej sile.

Kiedy Doktor skończył, w otwartej szyi Lelanda niczym w jakiejś groteskowej donicy tkwiły wszędzie łodygi ziół, korzenie i zasuszone kwiaty.

Naga podeszła bliżej do ciała.

— Conjuro et confirmo — zaintonowała — super vos angelifortes, sancti atque potentes, sancti atque potentes, sancti atque potentes.

Doktor uniósł w obu dłoniach głowę Lelanda, przytrzymał ją przez chwilę, a potem opuścił powoli na zakrwawioną uciętą szyję. Tkanki zetknęły się ze sobą z cichym mokrym plaśnięciem.

Terence przeczytał wszystko na temat przywracania przez Doktora zdekapitowanych głów. Wzmianki o tym znajdowały się w czternastowiecznej czeskiej literaturze, a także w najstarszych z odnalezionych przez niego ksiązek, w tym w „Clavicules de Salomon” i

„Świętej Magii” Maga Abramelina, obu wpisanych na indeks przez Kościół katolicki.

Czytał o tym, ale nigdy nie wierzył, że to prawda; i nigdy nie wyobrażał sobie, że zobaczy to na własne oczy.

Doktor przytknął ręce do szyi Lelanda, przytrzymał je przez chwilę, a potem odsunął.

Terence zatrząsł się z przerażenia i nie mógł powstrzymać wydobywającego mu się z gardła głośnego charkotu. Głowa przyłączona została do szyi, ale trzymała się jej w jakiś makabrycznie niezborny sposób. Ze skóry wciąż wystawały zioła i zasuszone kwiaty i wyglądało to, jakby Leland miał zawieszony na szyi wąski, upleciony z drobnych liści wieniec.

— Widzisz? — zapytała Naga, rozkładając z dumą ręce niczym asystentka sztukmistrza. — Głowa została ucięta; głowa została osadzona z powrotem.

— Ale on nie może być żywy!

— Dlaczego nie? Oczywiście, że jest żywy! Został uzdrowiony! Jakby odpowiadając na stwierdzenie Nagiej Leiland zajęczał.

— To tylko wychodzące z jego płuc powietrze — zaprotestował Terence. —

Odcięliście mu głowę! On nie może być żywy!

Ale potem Leland otworzył usta szerzej i wydobył się z nich kolejny jęk, tym razem o wiele dłuższy. To nie był po prostu jęk bólu: to był jęk skrajnej rozpacz. Gorszy nawet od jęku człowieka, który wie, że musi umrzeć, to był jęk kogoś, kto wie, że już umarł.

Terence'owi przeszły po plecach ciarki.

— No widzisz — stwierdziła z triumfem Naga. — Teraz Świadek wezwie twojego ojca, a ten da poznać temu człowiekowi, co to jest prawdziwe cierpienie!

Świadek, a w ślad za nim Nóż opuścili w milczeniu salon.

— Nóż zaopiekuje się na górze żoną twojego sąsiada. Nie chcemy przecież, aby przeszkodziła twemu ojcu w uczie, czyż nie?

Terence nie był w stanie się odezwać, nie był w stanie nawet zaczerpnąć oddechu. Jego życie przerodziło się w koszmar od czasu, kiedy ojciec po raz pierwszy opowiedział mu o Zielonym Wędrowcu — ale nigdy nie spodziewał się, że koszmar przybierze takie formy.

Leland jęknął ponownie i stopniowo jego jęk stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy, aż przeszedł

w przeciągły chrapliwy krzyk. Otworzył nagle oczy i na jego twarzy odbił się wyraz skrajnej duchowej męki.

— Zabij mnie! — zawołał. — Zabij mnie, Terence, zabij! Zabij mnie, zabij, zabij!

Terence dał jeden sztywny paralityczny krok w jego stronę, ale Miecznik uniósł

natychmiast płynnym ruchem i wymierzył w jego gardło jeden ze swoich lśniących mieczy, ostrzegając, żeby trzymał się z daleka.

— Zabij mnie, Terence! Zabij! Zabij! — nie przestawał krzyżeć Leland, wykrzywiając przy tym na wszystkie strony głowę. Jego szyja wybrzuszyła się i wystające z niej fragmenty ziół spadły na pokrwawiony szlafrok, przylepiając się do mokrego materiału niczym muchy, które uwięzły w miodzie. — Zabij mnie zabij zabij mnie ZABIJ MNIE

TERENCE!

Terence próbował się ponownie zbliżyć, ale tym razem Miecznik wbił ostrze swojego miecza prosto w jego ramię na głębokość ponad centymetra. Skaleczenie zapiekło niczym ukąszenie szerszenia i Terence natychmiast dał krok do tyłu.

— Nie przeszkadzaj, synu Janka — powiedziała głośniejsz niż zwykle Naga, żeby zagłuszyć żalotne zawodzenie Lelanda. — Nie chcesz chyba sprawić zawodu swemu ojcu, prawda?

Miecznik popychał Terence'a dalej do tyłu, aż ten zmuszony był usiąść w fotelu obok kominka.

— Nie ruszaj się stąd — upomniała go Naga.

Leland zaczął wymachiwać rękoma. Próbował się podnieść, ale dekapitacja oddziaływała najwyraźniej negatywnie na jego zmysł równowagi i fizyczną koordynację ruchów, zdołał

bowiem tylko obrócić się dookoła i ukucnąć nad kanapą. Spomiędzy warg płynęła mu cienka strużka krwi i śliny. Zakaszłał i z ust razem z krwią wypadła mu kolczasta gałązka głogu.

— Zabij mnie — powiedział, zwracając się do kanapy. — Zabij mnie — powiedział do ściany. — Zabij mnie — powiedział do zbezczeszczonego zdjęcia swojego ukochanego nie żyjącego syna.

Drzwi salonu otworzyły się ponownie i stanął w nich Świadek. Przyglądał się przez chwilę Lelandowi Terpstrze, a potem dał znak stojącej za nim postaci.

Przez otwarte drzwi przeszedł zimny przeciąg; po dywanie przetoczył się przypominający wiolinowy klucz kłęb suchych liści wawrzynu. Do salonu wkroczył w swojej oponczy z krzaków i gałęzi Zielony Janek. Gałęzie ocierały się o futrynę; wokół całej postaci wirowały bezustannie liście. Jego maska była tak samo nieprzenikniona i sarkastyczna jak zawsze, ale w jasnym świetle salonu Terpstrów Terence mógł przyjrzeć się uważniej całej postaci; i im wyraźniej ją widział, tym bardziej przerażające sprawiała na nim wrażenie.

Włosy Janka były białe jak kreda, właściwie zielonkawobiałe, a głowę pokrywały miejscami kępki wilgotnego zielonego mchu. Niełatwo było dostrzec, co kryje się pod mroczną liściastą opończę, ale Terence zobaczył zwisające korzenie i miękkie blade kształty, które wyglądały jak pasożytnicze grzyby. Cała postać wydzielala intensywny odór. Odór mokrego czamoziemu, gnijącego drzewa i kwaśnych soków, które spływają z pokruszonych gałązek.

Miecznik złapał Lelanda za ramię i obrócił go dookoła, żeby mógł zobaczyć Janka na własne oczy. Leland otworzył i zamknął usta, a potem zaczął ponownie krzyczeć. Jego krzyk przypominał Terence'owi skamlanie psa, którego widział kiedyś potrąconego przez ciężarówkę.

Leland podniósł rękę i wyciągnął ją do Terence'a.

— Zabij mnie, Terence! Na litość boską, zabij mnie!

Pearson próbował się podnieść z fotela, ale Miecznik obrócił się i pogroził mu ostrzem.

— Zabij mnie, Terence! — zaskrzeczał Leland.

— Poproś jego — zawołał w odpowiedzi Pearson. Leland był najwyraźniej zbyt rozhisteryzowany, żeby go zrozumieć. Wymachiwał na wszystkie strony głową i szarpał

poduszki kanapy, tak jakby chciał je rozerwać na strzępy.

— Poproś jego! — powtórzył Terence, ile miał sił w płucach, wskazując Zielonego Wędrowca. — Posłuchaj mnie, Leland, poproś jego!

Leland bełkotał jeszcze przez kilka sekund, a potem przestali spojrzeć wybałuszonymi oczyma na Terence'a, który wciąż wskazywał Zielonego Wędrowca.

— Poproś jego — powtórzył Terence o wiele ciszej.

Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, czy to, co robi, jest moralne. Wiedział, że Leland umrze jedną z najgorszych śmierci, jakie w ogóle wynaleziono; ale jeśli Janek go oszczędzi, nie umrze w ogóle.

Leland obrócił głowę, osadzoną na powybrzuszanej, oplecionej naszyjnikami z ziół szyi i spojrzął z lękiem na Zielonego Wędrowca. Nastąpiła długa chwila ciszy; Terence'owi zdawało się, że Terpstra nigdy nie zdoła się odezwać. Ale musiał to zrobić, musiał to powiedzieć, ponieważ Zielony Wędrowiec zabijał tylko, kiedy go o to poproszono.

Leland zakaszlał, wypluwając więcej krwi i więcej ziół.

— Zabij mnie — powiedział z niezwykłym spokojem.

Reakcja Miecznika była natychmiastowa. Pchnął Lelanda na kanapę i zerwał z niego pokrwawiony szlafrok, po czym przeciął swoim nożem z rogową rękojeścią kurtkę od piżamy i ściągnął ją, odsłaniając chudy biały brzuch. Pierś Lelanda unosiła się i opadała w przerażeniu.

Zielony Wędrowiec zbliżył się do kanapy, wyciągnął rozcapierzoną kolczastą rękę i zakreślił nią na nagim brzuchu Lelanda kilka równoległych linii, które natychmiast podeszły krwią. Leland zacisnął zęby, łapiąc i wypuszczając powietrze szybkimi świszczącymi haustami. Był zbyt przerażony, żeby powiedzieć coś więcej. Tej nocy przeżył już raz swoją śmierć. Teraz chciał tylko, żeby zadano mu śmierć ostateczną, śmierć, która położy kres jego cierpieniom.

Zielony Wędrowiec zgarbił pokryte liśćmi plecy i odwrócił się do Lelanda bokiem, tak jakby zmienił zdanie i ostatecznie nie chciał go zabijać. Terpstra nadal łapał kurczowo powietrze, czekając na to, co zrobi z nim Janek, i wbijając głęboko palce w kanapę. Wszędzie fruwały liście: nie kończący się listopad duszy.

Wszystko stało się tak szybko, że Terence nawet tego nie zauważył. Miecznik wyciągnął najcieńszy ze swoich noży i rozplątał nim brzuch Lelanda od siwych włosów łonowych aż po zapadnięty mostek. Nóż był tak ostry, że wbił się na chwilę w kość i Miecznik musiał go wyszarpywać z rany.

Cięcie zostało zadane tak szybko, że nawet Leland nie uświadomił sobie, co się z nim stało — przynajmniej do chwili, kiedy uniósł głowę i zobaczył, że ma otwarty brzuch, a kolana zawalone połyskującymi trzewiami koloru ochry, które wydawały się rosnać i pęcznieć, niczym jakiś parujący obrzydliwy pudding. Ich odór był słodki i intensywny i Terence nie był w stanie znieść tego ani chwili dłużej. Szarpnęły nim raz i drugi torsje; opadł

na czworaki i zwymiotował do kominka Terpstrów wszystko, co miał w żołądku.

Usłyszał krzyczącego Lelanda. Nie chciał już na to patrzeć. Po prostu nie mógł. Ale potem Leland ponownie zawołał go po imieniu i Terence odwrócił głowę — z załzawionymi oczyma i zablokowanymi krwią i żółcią zatokami.

Zobaczył Zielonego Wędrowca, który pochylał się nad rozplątanim brzuchem Lelanda, zanurzając głęboko rękę w jego wnętrzościach. W drugiej zmysłowo stulonej dłoni —

niczym ktoś, kto raczy się najwyborniejszymi truflami — Janek trzymał jego ciemną, okrytą błonami wątrobę i wtykał ją do wykrzywionego w chytrym uśmiechu otworu w masce.

— Terence! — krzyknął ponownie Leland. Ale Terence przykucnął za fotelem, zatkał

rękoma uszy i próbował udawać, że go tu w ogóle nie ma, że w ogóle się nie urodził i że nawet najgorszy z horrorów musi się kiedyś skończyć.

ROZDZIAŁ XII

Tego wieczoru na kolację był smażony kurczak z sałatką vinegrette, Sally Ann pozwalała bowiem Luke'owi na jeden wysokokaloryczny posiłek w tygodniu, żeby nie uznał

swej diety za zbyt deprymującą. Gdyby wiedziała o zajadanych po kryjomu ciastkach z malinami, wiśniach w czekoladzie i słodkich pączkach, być może zmieniłaby zdanie. Ale wspólna kolacja w starym dobrym stylu smakowała im wszystkim i zbliżała do siebie, a największą nagrodę stanowił dla Sally Ann wyraz malującego się na jego twarzy zadowolenia.

Patrzyła właśnie czule, z jakim apetytem wyciera resztki sosu kromką świeżo upieczonego chleba kukurydzianego, kiedy zadzwonił telefon.

Luke otarł usta chusteczką i uniósł się na krześle.

— Nie, nie — powiedziała. — Jedz dalej. Jeśli nikogo nie zamordowano, nie będziesz przerywał kolacji. Halo? — odezwała się, podnosząc słuchawkę. — Tak, to ja. Jest tutaj, ale w tej chwili je.

— Kto to? Kto dzwoni? — dopytywał się Luke, wtykając do ust kolejny kawałek kukurydzianego chleba.

— Nie mówi się z pełnymi ustami, tato — zwróciła mu uwagę Nancy. — Zawsze powtarzasz, żebym tego nie robiła.

Sally Ann słuchała jeszcze przez chwilę, a potem przyniosła telefon do stołu.

— To John Husband. Jakaś poważna sprawa — stwierdziła.

— Wal śmiało — powiedział krótko Luke, biorąc od niej słuchawkę.

— Przykro mi, Luke, ale mam złe wiadomości. Ktoś właśnie pomógł zwać Terence'owi Pearsonowi.

— Co takiego? Jak ktoś mógł pomóc mu uciec? — wybuchnął, chociaż w głębi duszy wiedział, co o tym myśleć. To Zielony Wędrowiec, widział go przecież... A więc jednak tam był.

— Przygotuj się na coś gorszego. Wyłączyli pięciu twoich ludzi. Luke przestał żuć chleb.

— Co to znaczy „wyłączyli pięciu moich ludzi”?

— Zabili ich, Luke. Masz pięciu zabitych funkcjonariuszy. — Luke zaczął drżeć.

— Kiedy to się stało? — zapytał.

— Trudno powiedzieć; przed chwilą to odkryliśmy. Mike Whipps wpadł do was, żeby dać ci najświeższy raport na temat sprawy Pearsona. W dyżurce na dole wszystko było w porządku, ale kiedy wjechał na trzecie piętro, zobaczył tylko trupy i krew. A potem nadszedł

jeden z twoich zastępców i powiedział mu, że Pearson wyfrunął z gniazdka.

— Powiedz, kto zginął.

— Verbick, Smittkamp, Engel, Sloan i Bulowski.

— Zabili Ednę?

— Przykro mi. Wiem, że wszyscy byli nie tylko policjantami, ale i twoimi przyjaciółmi.

— Nie mów nic więcej — powiedział Luke. — Zaraz tam będę.

— Zaalarmowałem również policję stanową i policję drogową.

— Zaraz przyjeżdżam.

Podał z powrotem telefon Sally Ann. Widziała, jaki jest poruszony. Wstał od stołu, pocałował Nancy, pocałował Sally Ann i ruszył do drzwi. Nie miał na sobie munduru; ubrany był w niebieską flanelową koszulę i luźne dżinsy, ale przed wyjściem założył służbową wiatrówkę, kapelusz i pas z bronią.

— Luke... — powiedziała Sally Ann.

— Pięciu zabitych — odparł. — W tym Edna. Pearson uciekł z aresztu, więc zamknij dobrze drzwi. Z tymi wariatami nigdy nic nie wiadomo; czasami chcą się zemścić na ludziach, którzy ich przyskrzynili.

— Och, Luke, tak mi przykro. Tak mi przykro...

— Dzięki — odparł, otwierając frontowe drzwi. — Na to zawsze będzie jeszcze czas.

Teraz czeka mnie mnóstwo roboty.

Kiedy dojechał na Third Avenue Bridge, deszcz lał jak z cebra. Na parkingu stały ambulanse, wozy policyjne i samochody prasy. Była nawet limuzyna komisarza. Luke wysiadł ze swego buicka i ruszył ciężkim truchtem w stronę głównego wejścia, gdzie natychmiast otoczyli go dziennikarze i fotoreporterzy.

— Wpuśćcie mnie do środka — nalegał.

— Ale, szeryfie... czy to znaczy, że Terence Pearson należał do zorganizowanej grupy przestępczej? Albo może jakiejś sekty?

— Czy wie pan, jak zginęli pańscy zastępcy?

— Zawsze przechwalał się pan, że pański areszt jest doskonale strzeżony. W jaki sposób masowy morderca mógł tak po prostu wymaszerować z celi?

Nie odpowiadając na żadne z tych pytań Luke przedarł się do holu, gdzie czekali na niego John Husband, Mike Whipps i wielu innych policjantów, wśród nich zastępca komisarza, rumiany facet z falą srebrzystych włosów i przykrym chronicznym kaszlem.

Na podłodze obok dyżurki widać było dwa przykryte płachtami kształty. Spod każdego z nich sączyła się cienka strużka krwi, wypełniając rowki między ośmiokątnymi marmurowymi płytami.

Luke zignorował wszystkich i wziął pod łokieć Johna Husbanda.

— Powiedz mi, co się stało — szepnęła. — Wszystko, co wiesz. Monosylabami. I nie mów, jak ci przykro. To już dwie sylaby.

— To wszystko nie ma sensu — powiedział John. — Wygląda na to, że nikt nic nie widział. Smittkamp i Engel siedzieli w dyżurce. Ktoś musiał po prostu wejść i załatwić ich nożem. Obaj mają poderżnięte gardła. Od ucha do ucha i jeszcze trochę dalej.

— Czy wyciągnęli broń? John potrząsnął głową.

— Są jakieś odciski?

— Nie. Ktokolwiek to zrobił, potrafił posługiwać się nożem, tyle mogę ci powiedzieć.

— Obaj zabici zostali tym samym nożem?

— Z tego, co widać, nożem tego samego rodzaju. Ale nie będziemy mieli pewności, dopóki nie pobierzemy próbek z ran.

Luke obszedł biurko i przyjrzał się przykrytym płachtami kształtom. Po raz pierwszy w swojej karierze naprawdę nie chciał oglądać, co jest pod spodem. Rozmawiał ze Smittkampem i Engelem nie dalej niż dwie godziny wcześniej. Wiedział jednak, że będzie musiał się im przyjrzeć, i to przyjrzeć dokładnie, ponieważ był to jeden z tych niezrozumiałych incydentów, których nie sposób wyjaśnić za pomocą normalnego policyjnego rozumowania. Jakim cudem jeden mężczyzna mógł poderżnąć gardła dwu uzbrojonym funkcjonariuszom?

— Najwyraźniej musiało być więcej sprawców - powiedział.

— Nikt nikogo nie widział.

Luke obszedł dookoła hol. Przedstawiciele prasy i jego podwładni stali z szacunkiem z boku. Wiedział, czego szuka. Nie szukał odcisków palców ani stóp. Szukał znaku potwierdzającego, że był tutaj Zielony Wędrowiec.

Zatrzymał się w miejscu i przyłożył zamyślonym gestem dłoni do ust. Po chwili podszedł do niego John Husband.

— Chcesz zobaczyć areszt? — zapytał.

Luke kiwnął głową.

— Nie sforsowali zamka. Musieli znać albo złamać szyfr. Może jeden z nich był zawodowym włamywaczem.

— Może — odparł Luke. — A może wcale nie był. Może był graczem w kości. Ludzie, którzy grają w kości, dobrze znają się na liczbowych kombinacjach, nieprawdaż?

John Husband zrobił niewyraźną minę.

— Chyba tak — przyznał.

To była paskudna noc. Luke uniósł płachtę przykrywającą Ednę Bulowski i przyglądał

się jej przez bardzo długą chwilę. Upadła pod takim kątem, że wydawała się uśmiechać, wpatrując się w niego ślepyim zakrwawionym okiem. W małym pokoiku obok aresztu, gdzie pełniący nocny dyżur strażnicy robili sobie kawę, obejrzał również ciała Sloana i Verbicka.

Przypięte do ściany fotografie kociaków były pomięte i pochłapane krwią.

— Dziwna historia — zauważył John Husband.

— Terence Pearson był dziwnym facetem. Miał głowę pełną dość dziwnych pomysłów.

— I z tego, co widać, dość dziwnych przyjaciół.

— Nie... — odparł Luke. — To nie byli jego przyjaciele. On nie miał żadnych przyjaciół. Tym ludziom potrzebny był z zupełnie innego powodu.

— Musieli go rzeczywiście bardzo potrzebować.

— Tak — potwierdził Luke. — Chciałbym tylko wiedzieć dlaczego.

Wrócili z powrotem na parter, żeby porozmawiać z lekarzem sądowym. Był to ten sam zgryźliwy, nerwowy facet, który badał zwłoki Mary van Bogan w domu Pearsonów.

Wydawał się zmęczony i wytrącony z równowagi.

— Ma pan jakieś sugestie? — zapytał go Luke. Lekarz wzruszył ramionami.

— Pobieżne badanie wskazuje, że wszystkim czterem mężczyznom przecięto gardła tą samą albo bardzo podobną bronią. Moim zdaniem przytrzymano ich z tyłu i śmiertelne rany zostały zadane bardzo szybko. Broń była niezwykle ostra... prawie nienaturalnie ostra.

Mówimy tutaj o nożu, który może przeciąć grubą na centymetr stalową rurkę, nie tylko ludzką szyję.

— A Edna Bulowski?

— Miecz albo bardzo długi nóż. Wiele wskazuje na to, że został raczej rzucony, a nie wbity. W dolnej części oczodołu znajdują się wtórne przecięcia, co świadczy o tym, że po trafieniu w oko ostrze przesunęło się w dół względnie wpadło w wibrację. Nie doszłoby do tego, gdyby sprawca trzymał w dłoni rękojeść.

— Coś jeszcze?

— Na razie nic. Dostarczymy panu pełny raport tak szybko, jak to będzie możliwe.

— Dziękuję — powiedział Luke. — Był mi pan bardzo pomocny. Lekarz spojrzał na niego ponad ściętymi w połowie soczewkami okularów. Jego oczy były chłodne i poważne.

— Zginęli nasi ludzie. Otrzyma pan wszelką pomoc, jakiej pan będzie potrzebował.

Luke wciąż rozglądał się po klatce schodowej i korytarzach, kiedy podbiegł do niego zastępca Fairbrother.

— Przepraszam, że przeszkadzam, szeryfie, ale mieliśmy śmiertelny wypadek na Siedemdziesiątej Szóstej Alei. Ciężarówka i dwa samochody osobowe.

— Nie możecie sobie z tym poradzić?

— To nie to. Pomyślałem po prostu, że powinien pan wiedzieć, jaka była domniemana przyczyna wypadku.

— Tak?

— Świnie, szeryfie. Całe stado świń, liczące sto sztuk albo więcej. Luke zamknął na chwilę oczy, a potem ścisnął dłonią mięśnie karku.

— Jezus —jęknął. — Tego tylko potrzebowałem. Stada świń.

Emily leżała w łóżku, wpatrując się w sufit. Minęła już dawno trzecia, ale ona nie zmrużyła oka przez całą noc. Słuchała pluszczącego w rynnach deszczu, który przypominał

jej gulgotanie tonących. Powiew z uchylonego lekko okna marszczył firanki, rzucając na sufit cień zgarbionej postaci z wielką głową, której towarzyszyły dwa wydłużone, biegnące niezmordowanie obok charty.

Czuła, że dzieje się z nią coś ważnego, nie potrafiła jednak zrozumieć co. Czuła, że są w niej dwie osoby; jedna wewnątrz drugiej. Przypominało to nałożone na siebie dwa lekko się różniące fotograficzne negatywy — ponieważ obie osobowości bezsprzecznie do niej należały, tyle tylko, że jedna z nich była ciemniejsza, dziwniejsza, jakby ukryta; jakby zasłaniała twarz rękoma.

Ta ciemniejsza osobowość rozszerzała się. Czuła to całkiem wyraźnie. Miała wrażenie, że mogłaby z nią rozmawiać jak z oddzielną osobą, mimo że to przecież też była ona.

Po raz pierwszy wyczuła zarysy tej osobowości owej nocy, kiedy zabito ciocię Mary.

Obudziła się, czując potężną falę lęku i zadowolenia, tak jakby jechała w totalnej ciemności diabelską kolejką. Usiadła na łóżku z szeroko otwartymi oczyma, bacznie nasłuchując i wiedziała, że gdzieś blisko jest ktoś, kto ją kocha, ktoś, kogo nigdy nie spotkała, ale kto może dać jej wszystko, czego tylko zapragnie.

Doszedł ją również ekscytujący zapach, przypominający wonne zioła i zimowy las; i poczuła niezwykle smak własnego języka cierpki, ostry, lekko mulisty.

Przypominała sobie, że rozmawiała na podwórku z wysokim, ubranym w biały płaszcz mężczyzną o białej twarzy, ale nie pamiętała dobrze, jak się tam znalazła. Przypominała sobie, jak bardzo była podniecona, jak bardzo rozemocjonowana. Nadchodził ojciec jej ojca!

Nie mogła się doczekać, żeby go zobaczyć, nie mogła się doczekać, żeby zaprosić go do środka. To nie był dziadek z Des Moines, to był zupełnie nowy dziadek, potężny, wspaniały i dziwny.

Pamiętała sunące przez podwórko liście, coraz więcej liści i to, jak zahaczały o siatkę z drutu. Pamiętała długonogą dziewczynę w postrzępionej kurtce z psich i króliczych skórek i kolejnego mężczyznę w dziwacznej czarnej czapce.

Potem jednak wszystko przestało do siebie pasować. Czy widziała na schodach swoją matkę? Pamiętała jej zamazany obraz, ale nie miała pewności. Czy słyszała krzyki cioci Mary? Nie wiedziała. Nie mogła sobie przypomnieć.

Było jej przykro z powodu cioci Mary. Płakała po niej nawet gorzkimi łzami w domu Terpstrów. Ale potem przestała jej żałować i zamiast tego poczuła się bardzo zadowolona, wiedziała bowiem, że zadowolony jest ojciec jej ojca.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy rzeczywiście go widziała. Pamiętała niewyraźnie coś ciemnego, osypującego się i krzaczastego, ale to przecież nie mógł być ojciec jej ojca.

Pomyślała o George'u i Lisie i znowu zrobiło jej się smutno. Wciąż widziała, jak klęczą na polu, myśląc, że przyjechali tutaj, żeby się pomodlić, podczas gdy ich ojciec przez cały czas zamierzał uciąć im głowy.

Obserwowała podskakującą na suficie zgarbioną postać i dwa biegnące obok niej chude, wycieńczone psy. Zastanawiała się, dokąd tak bieżą — czy uciekają przed czymś, co jest jeszcze straszniejsze od nich, czy też kogoś ścigają. Deszcz zabrzączał nagle mocniej o szybę i podskoczyła ze strachu, a potem uniosła głowę, żeby sprawdzić, czy przez okno nie zagląda prawdziwy garbus.

Wiedziała, że jej nowy dziadek nie jest wcale zadowolony z jej ojca. Nie miała pojęcia, skąd o tym wie; po prostu wiedziała, tak jakby świadomość tego tkwiła w niej od zawsze. Jej ojciec nie postąpił tak, jak powinien. Nie zachował się tak jak prawdziwy syn. Zabił George'a i Lisę, bo nie chciał, żeby dziadek nawet ich zobaczył; i gdyby ona sama nie uciekała tak szybko, zabiłby i ją, a wtedy sprawy przybrałyby zły obrót.

Nie tylko trochę zły, ale wystarczająco zły, żeby zmienić pogodę, zmienić sposób, w jaki rośnie trawa, i żeby zaczęli umierać ludzie.

To, że czuła się w ten sposób, nie było dobre i wyraźnie uświadamiała sobie, że konsekwencje istnienia dwóch Emily w jednej Emily mogą się dla niej okazać katastrofalne.

Nie tylko dla niej, ale także dla jej nowego dziadka i wszystkich tych tysięcy ludzi, którzy go

potrzebowali. Emily stanęły przed oczyma pola i farmy. Nie widziała jednak rosnącej wysoko soi ani szeleszczącej w promieniach letniego słońca kukurydzy. Widziała spaloną suchą ziemię i niesione wiatrem tumany pyłu. Czowała zapach stojącej wody, zgniłej pszenicy i świeżo otwartych grobów.

Zastanawiała się, kim właściwie jest, i nie była pewna, czy potrafi sobie odpowiedzieć.

Wiedziała, że jest Emily. Ale była również „Emily”.

To właśnie „Emily” zaprosiła nowego dziadka i wszystkich jego przyjaciół do domu tej nocy, kiedy została zabita ciocia Mary. To „Emily” rozmawiała z szeryfem w domu Terpstrów. Nie była nawet w stanie przypomnieć sobie, co takiego mu powiedziała; pamiętała tylko nieprzyjemne uczucie, jakby coś stanęło jej w gardle, i wrażenie, że mówi coś niegodziwego.

Teraz, leżąc w łóżku, nie była pewna, gdzie kończy się Emily, a gdzie zaczyna „Emily”.

Nie wiedziała nawet, czy powinna się bać.

Firanka zwinęła się nagle w podmuchu wiatru; garbus na suficie wykręcił koziółka, podskoczył i zniknął w szczelinie światła, a w ślad za nim zniknęły charty.

Drzwi do sypialni uchyliły się na kilka centymetrów i przez zmrużone oczy Emily zobaczyła zaglądnącą do środka, ubraną na beżowo pracownicę ośrodka. Po chwili drzwi zamknęły się cicho z powrotem.

- Nie widzisz, że jest nas dwie — pomyślała Emily. — Dziewczynka i „dziewczynka”.

Zmienia się pogoda, zmienia się świat; i ja zmieniam się wraz z nimi.

Tego ranka za kwadrans dziesiąta Lily usłyszała dzwonek i wciąż wycierając włosy poszła otworzyć drzwi. Na ganku stało trzech przemoczonych do suchej nitki młodych mężczyzn i jedna równie jak oni przemoczona dziewczyna. Za ich plecami widać było koniec pokrytej kałużami, wyboistej Fir Avenue i stojące w tumanach deszczu drzewa.

Najwyższy z mężczyzn dał długi krok do holu i w ślad za nim weszła do środka reszta.

Ubrany był w kowbojskie buty i znoszoną skórzaną kurtkę, ozdobioną znaczkami, agrafkami i metalowymi ćwiekami, które układały się w napis ZMTP, miał smagłą pociągłą twarz i długie czarne włosy, które związał z tyłu w kucyk. Drugi z młodych mężczyzn, Henry, nosił na głowie wełnianą czapkę, taką samą jak Michael Nesmith z Monkees; trzeci, którego nazywali Kit, miał duży nos i zroszone deszczem okulary. Dziewczyna była ładna, zaniedbana i przeraźliwie chuda, jakby chorowała na anoreksję. Miała na sobie kompletnie przemoczoną brązową koszulkę z długimi rękawami, z których bez przerwy wyżywała wodę.

— Chcesz, żebym pożyczyła ci coś suchego, Harriet? — zapytała Lily. Sama ubrana była w obcisłe niebieskie džinsy i grubą flanelową koszulę, rozpiętą prawie do pępka. — Nie chcesz chyba znowu się przeziębic?

— Nie, dziękuję — odparła, pociągając nosem, Harriet. Podeszła, stąpając po czerwono-żółtej indiańskiej macie, do kominka, w którym dopalały się trzy mrugające iskrami spopielale szczapy, i potrząsnęła mokrymi rękawami, żeby poprawić krążenie krwi.

— Mam tyle T-shirtów, mogłabym ci jeden pożyczyć.

— Nie trzeba — powtórzyła lekko poirytowana Harriet. W ruchu Zwierzęta Mają Także Prawa uosabiała prawdziwe męczeństwo. Zawsze powtarzała, że poderżnie sobie żyły, jeśli przez przypadek zabije jakieś zwierzę. Zwróciła się nawet z prośbą do Uptown Pharmaceuticals, żeby zamiast na szympansie przeprowadzili wiwisekcję na niej, szympansy bowiem są takimi samymi stworzeniami jak ludzie, więc jaka to w końcu różnica?

— Wszystko gotowe, Dean? — zapytała Lily, zwracając się do wysokiego smagłego mężczyzny.

— Możesz się założyć. Mamy drabiny, mamy nożyce do cięcia drutów, mamy petardy.

John wywoła zamieszanie przy głównej bramie dokładnie o dwunastej zero jeden; my sforsujemy ogrodzenie, kiedy tylko dostaniemy od niego sygnał.

— Będą pisać o nas na pierwszych stronach — oznajmił z triumfem młodzieniec w wełnianej czapeczce. — Dowie się o nas cały świat.

— Co powiedział senator? — zapytał Dean głosem równie mrocznym jak jego mina.

Lily szcztokowała włosy przed wiszącym przy telefonie lustrem, oprawionym w ramę w kształcie morskiej muszli.

— Mówiąc szczerze, senator nie był zbyt zachwycony.

— Myślałaś, że będzie inaczej? On eksploatuje zwierzęta w ten sam sposób, w jaki czynią to naukowcy w laboratoriach. Posługuje się nimi tak samo, jak posługuje się tobą.

Dean podszedł bliżej i stanął tuż za nią, obserwując w lustrze jej twarz.

— Nie chodzi o to, że nie zgadza się z tym, co robimy - odparła Lily. — Rzecz w tym, że nie może być otwarcie powiązany z jakąkolwiek nielegalną działalnością.

— Facet jest politykiem, Lily, i nie może być otwarcie powiązany z niczym nielegalnym? Komu ty wciskasz ten kit?

— Musisz być wobec niego sprawiedliwy, Dean. Gdyby nie on, nikt by się nami poważnie nie zainteresował... ani środki przekazu, ani Kongres, ani w ogóle nikt. Nawet za milion lat nie moglibyśmy marzyć o ustawie takiej jak Zapf-Cady'ego. Za tydzień odbędzie się głosowanie i ta ustawa przejdzie, jestem tego pewna.

— A na twojego słodkiego Bryana spłynie cała chwała?

— To nie jest ważne, Dean, na kogo spłynie chwała. Ważne jest, że miliony zwierząt otrzymają prawo do życia.

Dean objął Lily w pasie i przytulił mocno do siebie.

— To znaczy, że gdybym to ja był w stanie przepchnąć podobną ustawę, pieprzyłabyś się ze mną nadal?

Zsunęła w dół obejmujące ją ręce.

— Puść mnie, Dean. Cokolwiek robimy z Bryanem prywatnie, to nasza sprawa, a nie twoja.

Dean podniósł ręce i ścisnął obie jej piersi przez flanelową koszulę. Odwróciła się i próbowała uderzyć go w twarz, ale on złapał ją za nadgarstki i głośno się roześmiał.

— Prawdziwy z ciebie gnojek — powiedziała, wrywając się.

— Ale przynajmniej uczciwy. Staram się uczynić świat lepszym, a nie gorszym.

— Czyżby? Czy łapanie mnie za cycki ma coś wspólnego ze zbożnym dziełem naprawy świata?

— Daj spokój, Lily, na litość boską. Wiesz, że nie mogę patrzeć, jak łasisz się do tego sukinsyna. Cierpię, Lily, i nie mogę na to nic poradzić.

Lily zapięła koszulę, weszła do holu i założyła nieprzemakalną kurtkę khaki.

— Lepiej już ruszajmy. Pewne zwierzę uwięzione w Instytucie Spellmana cierpi sto razy więcej od ciebie.

Otworzyła obdrapane i zniszczone drzwi, które prowadziły do kuchni, i natychmiast powitały ją z entuzjazmem dwa kosmate niemieckie owczarki, które najwyraźniej wyobrażały sobie, że zabierze je na spacer.

-- Zostań, Rudi. Zostań, Max. Mamusia wróci później.

— Może powinnaś je ze sobą zabrać -- powiedział Dean. — To najbardziej zajadłe czworonogi, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Nie chcę, żeby coś im się stało. Nie byłeś z nami na tej akcji w Denver, prawda?

Ron Short zabrał ze sobą swojego dobermana. Już na samym początku strażnik odstrzelił

biednemu psiakowi obie przednie łapy. To było okropne.

Harriet wytarła nos małym skrawkiem wilgotnego kleenexu, wpatrując się w jednocześnie w fotografię, która wisiała nad kominkiem. Przedstawiała rozwaloną zagrodę, w której stała otoczona przez sześć albo siedem prosiaków wielka maciora rasy Berkshire.

— Masz chyba słabość do świń, Lily — powiedziała Harriet. Lily uśmiechnęła się.

— To moje ulubione zwierzęta. Są bystre. Są delikatne. I mają duszę.

Dean spojrział na zegarek.

— Dwadzieścia pięć po. Dojazd nie powinien nam zabrać dłużej niż dwadzieścia minut.

Wyszli ze stojącego na wzniesieniu małego drewnianego domu, wsiedli do zaparkowanego przy drodze zablokowanego cherokee Deana i ruszyli na zachód.

— Nie mogę jechać Siedemdziesiątą Szóstą, bo wciąż jest zablokowana po tym wypadku. Pożar był tak potężny, że muszą wylać na nowo nawierzchnię. Pojedziemy zamiast tego obok lotniska.

— Widziałam ten wypadek w wiadomościach — powiedziała Lily. — Mówili, że na wolność wydostało się całe stado świń.

— Twoje ulubione zwierzęta — zakpiła Harriet.

Resztę drogi do Instytutu Spellmana przebyli prawie ze sobą nie rozmawiając. Mimo okazywanej na zewnątrz brawury byli wyraźnie spięci. Instytut należał do najlepiej chronionych instytucji we wschodniej Iowie, a środki bezpieczeństwa zaostrzono dodatkowo po przeprowadzonej przez Lily i jej stronników demonstracji. Ta akcja była oczywiście o wiele bardziej ryzykowna. Nie bardzo wiedzieli, w jaki sposób chroniony jest Kapitan Black.

Nie mieli pojęcia, czy znajduje się, czy nie znajduje pod stałą strażą — ani jak szybko strażnicy są w stanie zareagować na włamanie.

Lily i Dean planowali na ogół swoje demonstracje do ostatniego szczegółu i z dokładnością do ułamka sekundy, ale środki bezpieczeństwa, które przedsięwzięto w Instytucie Spellmana, uniemożliwiały prawie całkowicie uzyskanie dokładnych informacji.

Udało im się tylko zdobyć dołączony do rocznego raportu szkicowy plan terenu, w związku z czym wiedzieli z grubsza, gdzie mieszczą się pomieszczenia dla świń i zamierzali sforsować ogrodzenie możliwie jak najbliżej tego miejsca. Z tej strony jednak teren był prawie całkowicie odsłonięty i wiedzieli, że mają nikłą szansę wślizgnąć się do budynku nie zauważeni przez kamerę bezpieczeństwa.

Oprócz tego taka jak Kapitan Black Bardzo Ważna Świnia mogła nawet nie przebywać w tej samej chlewni co inne zwierzęta, na przykład z obawy przed infekcją.

Mimo to, myślała Lily, nawet jeśli nie uda im się uwolnić Kapitana, sam fakt, że tego próbowali, zapewni im miejsce na pierwszych stronach gazet w całym kraju. Nie lekceważyła również wartości propagandowej, jaką stanowiła sama jej osoba. Powód tego zainteresowania napełniał ją niesmakiem, ale była w końcu realistką i świetnie zdawała sobie sprawę, że jeden rozpięty niżej guzik koszuli zwiększa o pięćdziesiąt procent szansę ukazania się na pierwszej stronie jej fotografii.

Bryan Cady poprosił kiedyś, żeby przespacerowała się w wydekolowanej sukni po gabinecie, w którym prowadził akurat ważną przedwyborczą odprawę dla dwudziestu swoich pracowników. Nikt z nich — łącznie z kobietami — nie zapamiętał ani słowa z tego, co mówił Bryan. „Najbardziej elokwentny polityk świata — powiedział wówczas — nie jest w stanie konkurować z kobiecym biustem”.

Pod ciemnoszarym jak dachówka niebem zjechali z szosy przy znaku, na którym widniał napis REZERWA PRZYRODNI AMAN. Zamiast jednak podążać dalej drogą prowadzącą prosto do głównej bramy instytutu, skręcili na południe, zjeżdżając po łagodnie opadającym zboczu, przez osty i mokrą od deszczu trawę, a potem wspinając się na ukos pod górę, z której roztaczał się widok na południowo-zachodnie ogrodzenie. Teren był nierówny, a warunki jazdy dodatkowo utrudniał padający od kilku dni ulewny deszcz. Cherokee wył i stękał i Dean musiał zmieniać biegi na coraz niższe. Pokonując ostatni odcinek ostrego zbocza nie posuwali się z szybkością większą niż pięć kilometrów na godzinę.

— Damy radę? — zapytała Lily. Dean spojrzał na zegarek.

— Damy. Ale dosłownie na styk.

Opony cherokee piszczały, próbując złapać przyczepność na mokrej roślinności i śliskiej glinie. Wycieraczki jeździły z boku na bok w nie kończącej się bezustannej sambie.

Dean dodał kilka razy gazu.

— No dalej, sukinsynu — mruknął pod nosem. — Potrafisz to zrobić. No dalej.

Spróbuj jeszcze raz.

Przez prawie dziesięć sekund cherokee stał w miejscu, przechylony pod samym szczytem zbocza, z buksującymi wściekle kołami. Lily była pewna, że im się nie uda; że pojazd zsunie się za chwilę w dół i przewróci na bok. Ale Dean zacisnął zęby, wrzucił

jedynkę i nie przestawał naciskać pedału gazu. Cherokee wspiał się w końcu na szczyt i potoczył po pofałdowanym, rozciągającym się dalej polu.

— Mało brakowało — powiedziała Harriet. — Myślałam, że będziemy musieli zawrócić do domu.

— Jeśli chcesz, wciąż jeszcze możesz to zrobić - stwierdziła Lily. Harriet potrząsnęła głową.

— To, że nie pochwalam tej akurat konkretnej akcji, nie oznacza, że pozwolę wam przypisać sobie całą zasługę.

— A co byś wolała robić? Pozwolić tej świni dalej cierpieć?

— Harriet wolałaby raczej odstrzelić sobie mózg i oddać go instytutowi w celach badawczych — zażartował Dean.

— Jesteś prawdziwym gnójem, Dean — stwierdziła Harriet.

— Coraz częściej to słyszę.

Cherokee podskakiwał i trząś się na wybojach, zmierzając w stronę dębowego zagajnika, który oferował im najbliższą, położoną przy południowym ogrodzeniu dostępną osłonę. Cała piątka trzymała się kurczowo uchwytów wewnątrz samochodu, próbując nie wpadać na siebie wzajemnie. Po lewej stronie wylaniały się co jakiś czas zza strug deszczu błyszczące dachy Instytutu i .ostre iglice krótkofalowych anten.

— Jesteśmy na miejscu — zawołał w końcu Dean; wjechali prosto w zagajnik i w okna samochodu zaczęły natychmiast wściekle walić mniejsze i większe gałęzie. Jadąc na złamanie karku po wybojach, korzeniach, okruchach skał i leżących na ziemi konarach dotarli wreszcie do skraju lasu, siedemdziesiąt metrów od ogrodzenia. Instytut wyciął rosnące w bliższej odległości drzewa, aby utrudnić podejmowanie dokładnie takich akcji, jaką zamierzali teraz przeprowadzić Lily i jej towarzysze.

Dean zgasił silnik i przez kilka chwil siedzieli w milczeniu, starając się ocenić trudność czekającego ich zadania. Zewnętrzne ogrodzenie z grubej siatki miało pięć metrów wysokości i zwieńczone było siedmioma żyłami kolczastego drutu. Trzy metry dalej znajdowało się drugie ogrodzenie, również zwieńczone kolczastym drutem i obwieszane ostrzegawczymi tabliczkami przedstawiającymi trupią główkę i błyskawicę.

Sto metrów od nich i dwadzieścia parę metrów od drugiego ogrodzenia stał wysoki słup z szarej stali, na szczycie którego obracała się powoli kamera, obserwując płot niczym jeden z Marsjan w „Wojnie Światów”.

Dean spojrział na zegarek i sprawdził dwukrotnie czas przesuwania się kamery.

— Trzydzieści siedem sekund, od jednej skrajnej pozycji do drugiej. To oznacza, że mamy trochę ponad pół minuty, żeby wyskoczyć do zagajnika, dobiec do pierwszego ogrodzenia, przeciąć druty, dobiec do drugiego, przeciąć druty i zatrzymać się co najmniej dwadzieścia metrów wewnątrz kompleksu.

— Nigdy nam się to nie uda.

— Cholernie szybko macham nożycami.

— Wszystko jedno... jest nas cała piątka, nigdy nam się to nie uda. Posłuchajcie...

wykryją nas wcześniej czy później. Ale im dłużej będzie trwało, zanim podniosą alarm, tym większe mamy szansę uwolnienia Kapitana Blacka.

— Więc co proponujesz? Lily rozejrzała się dookoła.

— Widoczność jest bardzo słaba, prawda? A burza ułamała parę gałęzi. Przywiążę jedną z nich do pleców, podbiegnę do ogrodzenia, a potem, kiedy doliczę do trzydziestu siedmiu, położę się na

ziemi. Przy odrobinie szczęścia strażnik nie zobaczy nic oprócz liści.

Dean już miał zamiar zaprotestować, ale potem wzruszył ramionami.

— To chyba nie jest taki zły pomysł. Ci strażnicy i tak nie gapią się bez przerwy w monitory. Ale uważam, że to ja powinienem pójść.

— Ja pójdę — zgłosiła się na ochotnika Harriet. — Jestem najmniejsza.

— Ale czy potrafisz przecinać druty? — zapytał Dean.

— Przecinałam siatkę w Maybell Cosmetics, nie pamiętasz? A to było wysoko na dachu.

— No tak — przyznał Dean. — Co o tym sądzisz, Lily?

Lily przez chwilę się zastanawiała. To był prawdziwy problem: czy Harriet powinna przeciąć drut? Pozwalając na to, bardzo by ją do siebie zjednała: Harriet poczułaby się dzięki temu naprawdę potrzebna. W ich ruchu było więcej takich Harriet, straszliwie zniecierpliwionych tym, że odkąd Lily związała się z Bryanem Cadym, zaczęła stopniowo porzucać terroryzm na rzecz kampanii w środkach masowego przekazu i tworzenia politycznego lobby. Chciały oblewać czerwoną farbą futra z norek. Chciały wysadzać w powietrze zakłady paczkowania mięsa, podkładać bomby w medycznych instytutach badawczych; i zabijać ludzi, którzy produkują szminki.

Lily wiedziała, że jedna dobra ustawa załatwi nieskończenie więcej niż dziesiątki aktów terroru, ale nie chciała tracić popleczników, nawet tych najbardziej skrajnych, przynajmniej dopóki nie odbyło się głosowanie w Kongresie.

Na razie była pupilka mediów. Ale Bryan ostrzegł ją, że środki przekazu najszybciej odwracają się od tych, których najbardziej ukochały, i że jeśli okaże najmniejszą słabość, z radością rozszarpią ją na strzępy w żarłocznym szale, przy którym stado piranii mogłoby się wydawać łagodne jak puszka tuńczyka.

Dean ponownie spojrzął na zegarek.

— Lepiej się zdecydujmy. Jest za pięć dwunasta.

— Niech idzie Harriet — powiedziała Lily. — W gruncie rzeczy uważam, że powinna.

— Alleluja — uśmiechnęła się Harriet, klepiąc pogardliwie Deana otwartą dłonią po plecach.

Wysiedli z cherokee i po krótkich poszukiwaniach znaleźli to, czego szukali: obsypaną liśćmi świeżo spadłą gałąź dębu, ponad półtora metra długą. Przywiązali ją nylonową liną do pleców Harriet, po czym dali jej ciężkie nożyce do przecinania metalu i parę pokrytych izolacją przemysłowych rękawic.

— Wyglądasz jak jakiś cholerny chodzący krzak — stwierdził, szczerząc zęby w uśmiechu, Dean.

— Przypomnij sobie Makbeta — dodał Henry. - „Nie tknie Makbeta żaden cios morderczy, póki las

Birnam ku dunzynańskiemu wzgórzu nie pójdzie walczyć przeciw niemu".

— Wiesz, na czym polega twój problem, Henry? — podjął Dean. — Jesteś, kurwa, za bardzo wykształcony. Wykształcenie szkodzi na umysł. Przeszkadza w prawidłowym myśleniu.

W oczekiwaniu na godzinę dwunastą przystanęli razem na skraju zagajnika i szurając nogami, żeby nie zmarznąć, patrzyli na deszcz, który padał na odsłonięte, opadające w dół

pole, wiodące w stronę chlewni.

— No dalej, John, na litość boską — powtarzał Dean, spoglądając bez przerwy na zegarek.

Minęła już prawie minuta po dwunastej, kiedy od drugiej strony instytutu doszedł ich wysoki skrzekliwy odgłos wybuchu. Na krótko zobaczyli prześwitujący przez deszcz błysk, a potem rakietą zgasła. Dean przez cały czas piklował położenia kamery.

— Trzydzieści trzy... — zaczął głośno liczyć. — Trzydzieści cztery... trzydzieści pięć...

trzydzieści sześć... w porządku, Harriet, biegnij!

Wlokąc za sobą gałąź Harriet pognąła zgarbiona przez nierówno skoszoną trawę, która rosła między zagajnikiem i ogrodzeniem. Lily wstrzymała oddech, modląc się, żeby się nie potknęła. Dean nie przestawał liczyć. Kamera zatoczyła liczący sto osiemdziesiąt stopni łuk, osiągnęła pozycję końcową i natychmiast ruszyła z powrotem.

Harriet dobiegła do zewnętrznego ogrodzenia, przykucnęła przy nim i zaczęła manipulować nożycami.

— Dwadzieścia osiem... dwadzieścia dziewięć...

Przecięła ogniwo na wysokości mniej więcej półtora metra nad ziemią, a potem zabrała się za niższe. Słyszeli odbijające się echem od ściany zagajnika odgłosy ciecica. Drut musiał

być bardzo gruby, bo szarpała się z każdym ogniwem.

— Trzydzieści pięć... trzydzieści sześć...

Harriet padła twarzą na ziemię i znieruchomiała. Z daleka można było ją rzeczywiście wziąć za spadłą z drzewa gałąź. Obiektyw kamery przesunął się po niej i kontynuował swoją podróż w drugą stronę.

— Świetnie! — syknął Kit, uderzając pięścią powietrze. — Oszukaliśmy ich!

— Jedenaście... dwanaście... trzynaście...

Harriet złapała dryg i przecinała teraz ogniwa znacznie szybciej. Do chwili powrotu kamery udało jej się dojechać do samego dołu.

Potem przecięła kilka ogniw na górze i odgięła siatkę do tyłu, tworząc „drzwi”

dostatecznie duże, nie tylko żeby przedostała się przez nie cała piątka, ale żeby zmieścił się w nich Kapitan Black — kiedy uda im się go oswobodzić.

Kamera wróciła po raz trzeci. Harriet padła twarzą na trawę między zewnętrznym i wewnętrznym ogrodzeniem i leżała zupełnie nieruchomo.

— Miejmy nadzieję, że nie zauważą dziury w siatce — powiedziała Lily. Ale w tej samej chwili usłyszeli po drugiej stronie instytutu wybuchy kolejnych petard i wycie syren; trudno było się spodziewać, żeby którykolwiek ze strażników przywiązywał teraz większą wagę do ruchów dębowej gałęzi przy południowym ogrodzeniu, niezależnie od tego, jak bardzo nienaturalne mogły się one wydawać.

Harriet podniosła się i uklękła przy wewnętrznym ogrodzeniu.

— Rękawice! — zawołała Lily; Harriet odwróciła się i dała szybki znak ręką, że pamięta. Nałożyła pokryte warstwą izolacyjną rękawice i zaczęła przecinać ogniwa w ten sam sposób, w jaki robiła to przedtem. Przy każdym ciachnięciu Lily widziała snopy drobnych białych iskier, które wskazywały, że cała siatka jest pod napięciem.

— Trzydzieści sześć... trzydzieści siedem... — liczył głośno Dean. Harriet padła na ziemię po raz czwarty.

Prawie skończyła ciąć, kiedy Henry pociągnął nagle Lily za rękaw.

— Na litość boską! — szepnął. — Zobacz.

To było coś, czego nie spodziewało się żadne z nich. Idąc na zewnątrz ogrodzenia i prowadząc na ciężkim łańcuchu dobermana, zbliżał się do nich ubrany w ciemnoniebieską pelerynę strażnik. Był tak niedaleko, że słyszeli ziajanie psa, brzęk łańcucha i skrzypienie mokrej peleryny.

Harriet musiała zobaczyć go również, bo padła na ziemię, mimo że Dean doliczył

dopiero do siedemnastu. Pies nagle zaskowyczał i skoczył do przodu, a strażnik ruszył za nim truchtem w stronę dziury w ogrodzeniu. Owinał dwukrotnie łańcuch wokół lewej ręki, a prawą sięgnął pod pelerynę i wyciągnął rewolwer.

- Hej! — zawołał. - Chcę, żebyś stamtąd wyszła, z rękoma na głowie. Widzę cię i chcę, żebyś stamtąd wyszła!

Harriet nie ruszyła się z miejsca, przykryta swoją gałęzią. Strażnik podszedł ostrożnie do dziury, pochylił głowę i wlaź do środka. Pies napinał łańcuch tak mocno, że prawie się dusił. Lily słyszała jego stłumiony warkot, kiedy próbował się wyrwać i rzucić, tak jak go wytresowano, na intruza.

Strażnik stanął nad Harriet i wycelował rewolwer w jej głowę. Lily widziała go teraz całkiem wyraźnie. Wydawał się niewiarygodnie młody, z bladą tłustą twarzą i wąsikiem w stylu Burta

Reynoldsa. Robił, co mógł, żeby utrzymać na łańcuchu dobermana, który tańczył, kręcił piruety i bez przerwy próbował się wyrwać.

— Przystań się wygłupiać, widzę cię dobrze. Chcę, żebyś wstała tak, abym przez cały czas widział twoje ręce, powoli i grzecznie.

Minęło prawie dziesięć sekund; deszcz lał dalej strumieniami, kamera obracała się szyderczo na swoim słupie, a doberman ziajał, ślinił się i drapał pazurami darń. A potem bardzo powoli, trzymając szeroko rozłożone ręce, Harriet wstała i stanęła z wyzywającą, skrzywioną miną przed strażnikiem. Odwiązała nylonową linkę, odrzuciła przymocowaną do pleców gałąź i powiedziała coś, czego Lily nie udało się usłyszeć.

— Wystarczy — stwierdziła, dotykając ramienia Deana. — Zmywamy się stąd.

— Nie wydaje mi się — odparł.

Coś w jego tonie kazało Lily się odwrócić. Jeszcze w ruchu, zobaczyła, jak Dean wyciąga spod skórzanej kurtki samopowtarzalny pistolet, niklowany dziewięćmilimetrowy Browning Hi-Power. Wiedziała, jaki to typ, ponieważ pokazywał go jej już dwukrotnie — za pierwszym razem, kiedy powiedziała mu, że ich romans jest skończony, a on zagroził, że zabije ich oboje; i za drugim, kiedy włamali się do fabryki frankfurterów Schuylera i wiedzieli, że będą mieli do czynienia z silną ochroną. Przy obu okazjach mówiła mu, żeby schował broń. Pistolety nie mają nic wspólnego z miłością albo brakiem miłości; a tym bardziej z ratowaniem życia niewinnych zwierząt.

— Dean! Nie! — zawołała stłumionym głosem.

Ale on podniósł pistolet w obu dłoniach, wycelował go z zimną premedytacją w strażnika i bez żadnego ostrzeżenia strzelił.

Rozległ się przypominający pękającą gałąź cichy trzask i w powietrzu pojawił się mały obłoczek dymu. Strażnik zwałił się ciężko na trawę.

Doberman natychmiast skoczył do przodu i wyrwał łańcuch z jego dłoni. Szczekając i ujadając rzucił się na Harriet i złapał ją za ramię. Dziewczyna krzyknęła i próbowała się bronić, ale oszalały z wściekłości i strachu doberman atakował ją z zajadłością, jakiej Lily nie widziała jeszcze u żadnego psa.

— Dean! — zawołała. — Zabij go, Dean!

Nie zwracając uwagi na kamerę ruszyła biegiem w stronę ogrodzenia. Dean chwilę się wahał, a potem popędził w ślad za nią.

— Zabij go, Dean — krzyczała histerycznie. Widziała tryskającą w powietrzu krew; widziała wymachującą rozpaczliwie rękami Harriet.

Dean wyprzedził ją, trzymając w ręku wysoko podniesiony pistolet. Ale oboje się spóźnili. Harriet słała się na nogach; miała zakrwawioną twarz i podartą na strzępy koszulkę. Doberman zawrócił i

skoczył na nią powtórnie z całą potworną siłą, do jakiej zdolny jest wytresowany pies-zabójca.

Harriet tym razem nie krzyknęła; siła uderzenia zbiła ją z nóg i posłała prosto na naelektryzowane ogrodzenie.

Trawa była mokra. Harriet nie miała na nogach nic oprócz sandałów ze sznurka.

Rozległ się ogłuszający trzask; dziewczyna wyrzuciła w górę ramiona i podrygując w miejscu wykonała krótki przerażający taniec. Iskry sypały się z jej ramion niczym z płaszcza wróżki.

Włosy stały w przypominających złotą koronę płomieniach. Harriet otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale jej mięśnie zwarte były w elektrycznym skurczu i wydobyło się z nich tylko migotliwe światło i obłok dymu.

Doberman skoczył na nią ponownie i z całej siły uderzył w płot. W powietrze ponownie sypnęła kaskada iskier; pies wykręcił koziółka, przeleciał mniej więcej sześć metrów i legł

dygocąc na plecach, ze zwęglonym futrem i wydobywającym się z pyska, uszu i odbytu dymem.

Kiedy dobiegli do Harriet, nie dawała już żadnych oznak życia. Miała poczerńiałą twarz i była zbyt gorąca, żeby mogli jej dotknąć. Lily stanęła nad nią; po jej policzkach płynęły łzy.

— Dlaczego musiałeś przynieść ten pieprzony pistolet? — wrzasnęła na Deana. —

Boże, jaki z ciebie agresywny, ograniczony umysłowo kretyn!

— Nie krzycz na mnie, Lily! Potrzebowaliśmy ochrony!

— Ochrony? Ochrony przed czym? Musiałeś przynieść ten pieprzony pistolet, ty dupku! Masz w ogóle pojecie, jak głupio wyglądają mężczyźni, kiedy noszą broń? Jedynym powodem, dla którego to robią, jest fakt, że prawo zabrania paradować im z otwartymi roz-porkami, a poza tym ludzie śmieliby się, gdyby to robili.

— Na litość boską, Lily, facet do niej celował!

— Ponieważ był takim samym dupkiem jak ty i ponieważ wszyscy jesteśmy dupkami, pozwalając ludziom chodzić z bronią palną. Ale największym dupkiem jesteś ty, ponieważ użyłeś jej i zabiłeś go, a zabijając go, zabiłeś również Harriet!

Dean dreptał w kółko, zawstydzony i wściekły.

— No dobrze, dobrze. Spieprzyłem sprawę.

Lily złapała go za kurtkę, zamachnęła się sztywno ręką i uderzyła go w twarz tak mocno, że głośno wrzasnął. Popatrzyła mu przez chwilę w oczy, a potem spoliczkowała go po raz drugi i trzeci.

— Nie spieprzyłeś sprawy, bo ja nie pozwolę ci jej spieprzyć! — krzyknęła. — Czy dotarło to do

tego pokrytego skorupą orzecha, który nazywasz swoim mózgiem? Nie zamierzam dopuścić, żeby śmierć Harriet poszła na marne! Pójdziemy teraz do tej chlewni, wypuścimy na wolność Kapitana Blacka i ty nam w tym pomożesz.

Dean podniósł obie ręce w geście uległości. Lewy policzek palił go od jej uderzeń.

— Nie mamy do stracenia ani chwili — powiedziała Lily. Strażnicy musieli nas zobaczyć. Ale mimo to doprowadzimy rzecz do końca.

Przez chwilę myślała, że Dean odwróci się do niej plecami i odejdzie. Ale potem spojrzał jej prosto w oczy i poznała po grymasie wykrzywającym jego twarz, że nie jest w stanie tego zrobić. Choć nie oglądał jej już nagiej, chociaż nie mógł jej trzymać w ramionach i całować, wciąż nie był gotów, by odejść. Wiedziała, że nadejdzie taki dzień, kiedy w ogóle o niej nie pomyśli, ale ten dzień nie nadszedł jeszcze dzisiaj.

— Henry, Kit — powiedział. — Ruszajmy.

Podniósł upuszczone przez Harriet rękawice i szybko przeciął ostatnie ogniwa drutu. Na trawę spadła kaskada iskier. Dean przeszedł przez dziurę na drugą stronę.

— No chodź — zawołał. — Sama powiedziałaś, że musimy się pośpieszyć.

— Pistolet, Dean — przypomniała Lily. Dean potrząsnął głową.

— Nie zamierzam się go pozbyć. Zabiłem człowieka, potrzebuję ochrony.

Przez krótką chwilę Lily gotowa była zawrócić. Ale mimo śmierci Harriet — a może właśnie z jej powodu — czuła falę podniecenia i determinacji; czuła krążącą w żyłach adrenalinę. Może ona też chciała pokazać coś Bryanowi. Należała do niego, tak. Wcale jej to nie przeszkadzało. Cieszyła się, że ktoś ją posiada. Może wynikało to z niezwykłych warunków, w jakich dojrzewała, a może taka po prostu była, ale myśl o tym, że musi rozłożyć nogi, kiedy tylko on sobie tego zażyczy, niepokojąco ją podniecała. Mimo to miała niezależny umysł i silny charakter i nic na świecie nie mogło jej powstrzymać, jeśli coś sobie postanowiła.

— W porządku — odparła drżącym głosem. - Zatrzymaj ten cholerny pistolet. Ale ostatnią kulę zachowaj dla siebie; bo nie zasługujesz na nic więcej.

W oddali bezradnie brzęczał sygnał alarmu. Słyszeli krzyki i warkot rozgrzewanych silników. Skrzypiąc podszwami tenisówek po mokrej trawie, pobiegli wszyscy czworo tak szybko, jak mogli, w stronę budynku chlewni.

Kiedy znaleźli się blisko, Lily poczuła ten niemożliwy do pomylenia z czym innym słodkawy zapach — zapach, który bez względu na okoliczności zawsze ją podniecał. Dean zatrzymał się, łapiąc kurczowo powietrze.

— Hiperwentylacja — rzucił ocierając czoło wierzchem dłoni.

— Nie mamy czasu — odparła.

Nagle usłyszeli potężny, odbijający się echem od budynków odgłos syreny. Nie wiedzieli dokładnie, co oznacza, ale nietrudno było się tego domyślić. Sforsowane zostało południowe ogrodzenie. Zginął jeden ze strażników. Odnaleziona została porażona śmiertelnie prądem znana aktywistka ruchu obrony praw zwierząt. Na teren instytutu wtargnęli intruzi.

Pobiegli usłaną kałużami betonową ścieżką, która prowadziła do głównych drzwi chlewni. Dean oparł się w stylu Ramba plecami o ścianę, a potem pchnął otwartą dłonią drzwi.

— Uwierzylibyście w coś takiego? — rzucił zdumiony Kit. — Nie są nawet zamknięte.

Kapitan Black krył się przez cały ranek w najciemniejszym kącie swojej zagrody, ale Garth nie tracił nadziei.

— Po prostu się dąsa. Zachowuje się jak trzyletni berbec, który nie dostał batonika.

Nathan zerknął lekko zaskoczony w jego stronę. Nie potrafił zrozumieć, jak Garth mógł

tak łatwo wybaczyć Kapitanowi Blackowi to, co zrobił Raoulowi Lacouture i jemu samemu.

Ale może nie miało to nic wspólnego z wybaczeniem. Nie oczekuje się przecież przeprosin od Pana Boga, kiedy ten zabiera ci bez ostrzeżenia żonę i syna. Może nie powinno się również oczekiwać przeprosin od bożych stworzeń, kiedy te zabijają twojego najlepszego przyjaciela i łamią ci żebra.

— Może powinniśmy wymienić kilka imion — zasugerowała Jen-ny. — Jeśli zareagował na Emily, może zareagować również na inne.

— To mógłby być dobry początek — zgodził się Garth. — Włączmy te głośniki.

Podczas pobytu Gartha w szpitalu technicy z instytutu zainstalowali w boksie prosty dwukierunkowy system mikrofonów i głośników, aby można było rozmawiać z Kapitanem, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Szyba z pleksiglasu została oczyszczona ze śliny i wypolerowana w miejscach, gdzie znajdowały się zadrapania, dzięki czemu widzieli teraz wyraźnie wszystkie zakamarki zagrody.

— Czy zrobił coś zupełnie nie w stylu świni? To znaczy coś, co bardziej mieści się w zachowaniu chłopca niż świni? — zapytał Nathan.

— Zmienił się najwyraźniej jego rozkład snu — odparła Jenny. — Wydaje się, że potrzebuje o wiele więcej regularnego snu. Jest jednak zbyt wcześnie, aby ustalić, czy ma to jakieś szczególne znaczenie. Jest wciąż pod działaniem antybiotyków i trochę potrwa, zanim dojdzie do siebie po tych wszystkich anestetykach, którymi go naszpikowaliśmy.

— Coś jeszcze?

— Tak., zaobserwowaliśmy również niezwykle obfitą aktywność gruczołów łzowych.

David, zafascynowany, obserwował Kapitana Blacka.

— Co to znaczy? — zapytał.

— Ty powiedziałbyś po prostu, że dużo płacze. David pokiwał głową.

— Ja też bym chyba płakał, gdybym miał trzy lata i odkrył, że siedzę w środku olbrzymiej świni.

Garth postukał w mikrofon i w głośniku odezwały się głośne trzaski. Kapitan Black zachrzakał i odwrócił się; Nathan zobaczył połyskujące w groteskowo wykrzywionym pysku małe oczka.

— Testuję mikrofon... — powiedział Garth. — A jak Adam. Alan, Arthur i Abigail. B

jak Bob, Bili, Betty i Bert.

Kapitan Black zatoczył truchtem krąg wokół zagrody, tak jakby spotęgowany przez wzmacniacz głos Gartha w szczególny sposób wyprowadzał go z równowagi. Potrząsnął

pyskiem niczym zmoczony pies i wydał z siebie skrzekliwe chrząknięcie.

— Chyba nie bardzo polubił ten głośnik — zauważyła Jenny.

— Jeśli ma dziecinny mózg, może wolałby usłyszeć głos dziecka - zasugerował David.

Garth pokiwał twierdząco głową i Nathan domyślił się, że to właśnie spodziewał się przez cały czas usłyszeć od Davida.

— W porządku — powiedział Garth. — Spróbujemy. Możesz mówić wszystkie imiona, jakie przyjdą ci do głowy... ale nie wymieniaj na razie Emily.

Odsunął się na sztywnych nogach od mikrofonu i usiadł na fotelu na kółkach, z wymalowanym przez szablon napisem „Własność Instytutu Spellmana”. Na kostkę założony miał gips, ale wciąż była bardzo oboląa. Nie mógł jej prawie w ogóle obciążać i miał

wrażenie, jakby Kapitan Black wciąż stał na niej i nie chciał się ruszyć.

David pochylił się do mikrofonu.

— Kapitanie Black? — zapytał nerwowo. — Słyszysz mnie, Kapitanie Black? To ja, David. Spotkaliśmy się już wcześniej, pamiętasz? Gładziłem cię po uszach. To było jeszcze przed twoją operacją

Kapitan Black zachrzakał, ale w żaden inny sposób nie okazywał, że poznaje głos Davida.

— Kapitanie Black, mam teraz zamiar wymienić kilka imion, dobrze? Musisz tylko pokiwać głową do góry i na dół, jeśli któreś pamiętasz, i potrząsnąć nią, jeśli nie pamiętasz.

Teraz wymienię pierwsze, Adam, jak Adam i Ewa. Adam. Pamiętasz to imię czy nie?

Nastąpiła długa cisza. Kapitan Black stał bez ruchu, wielki, kosmaty i czarny, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z Davida.

— No dobrze, może nie pamiętasz Adama. A co powiesz na Billa? Pamiętasz może Billa?

I znowu absolutnie żadnej reakcji.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy w ten sposób do czegoś doszli stwierdziła Jenny. —

Może powinniśmy darować sobie fazę rozpoznawania języka i przejść od razu do scanningu mózgu?

— Nie, nie, to jest fascynujące — oświadczył Garth. — Chcę zobaczyć, czy uda nam się ustalić jakiś wzór reakcji, które można będzie uznać za charakterystyczne dla George'a.

Albo przynajmniej charakterystyczne dla człowieka. Albo w ostateczności, charakterystyczne dla świni.

— A Chris? — zapytał David. — Christopher? Chris? Christine? Carole? Chip?

Charles?

Kapitan Black nie kiwnął ani nie potrząsnął głową, nie można było jednak powiedzieć, że w ogóle nie reaguje. Z jego gardła zaczął się wydobywać pomruk, groźne głębokie warczenie, które rozbrzmiewało coraz głośniejsze i głośniejsze, niczym zbliżające się trzęsienie ziemi.

— Daniel? Dick? Drew? David?

Kapitan Black ruszył powoli ku szybie z pleksiglasu. Miał agresywnie podniesione uszy i najeżoną szczecinę. David dał krok do tyłu, ale Nathan ścisnął go uspokajającym gestem za ramiona.

— Wszystko w porządku — zapewnił. — On nie może się stąd wydostać. Nie ma mowy.

— Jest fantastyczny — stwierdził David. — Zobacz, jaki jest wielki.

— Wygląda, jakby na coś czekał — powiedział Garth.

— Może na jedzenie? Jakieś łakocie? — zasugerował Nathan.

— Był niedawno karmiony — odparła Jenny. — Je bardzo dużo, ale tylko tyle, ile potrzebuje: potem przestaje. W przeciwieństwie do psów świni nie proszą o ochłapy.

— Więc o co mu chodzi? — zapytał Nathan. — Zdecydowanie na coś czeka. Spójrzcie na niego.

Garth uniósł się z fotela i stanął blisko szyby, ale Kapitan Black całkowicie go zignorował. Nie odrywał oczu od Davida.

— Czekaj, aż David coś zrobi — powiedział Nathan.

— Ale co?

— George Pearson miał trzy lata — stwierdził Garth. - Czy mógł znać w tym wieku alfabet?

Nathan potrząsnął głową.

— Mógł co najwyżej nauczyć się pierwszych czterech albo pięciu liter z Ulicy Sezamkowej. Dzieciaki nie są na ogół w stanie nauczyć się alfabetu aż do ukończenia piątego roku życia.

— Nie musi znać całego alfabetu — stwierdził Garth. — Wystarczy jeśli wie, że po D następuje E.

— Nie bardzo rozumiem.

— Myślę, że on czeka, aż David powie „Emily”. David posłał Garthowi szybkie spojrzenie.

— Mam powiedzieć?

— Spróbuj najpierw kilku innych imion, które zaczynają się na E.

— Dobrze. Eddie. Edwina. Ellie. Erica.

Kapitan Black nadal wpatrywał się w niego z nastroszonymi uszami, lekko uniesionym ryjem i na pół obnażonymi zębami. Nie poruszył się nawet na centymetr, ale emanujące z niego napięcie było prawie namacalne. Setki kilogramów mięśni i setki kilogramów kości, naprężonych niczym w zegarze z przekreśloną sprężyną — czekających, aż dziecięce komórki mózgowe zareagują na dźwięk pojedynczego imienia.

— To jest niesamowite — szepnął Garth.

— Edgar — powiedział David. — Esther, Egbert.

— Teraz — rzucił Garth i Nathan ścisnął odrobinę mocniej ramiona syna.

— Emily.

Kapitan Black dosłownie eksplodował. Skoczył na szybę z pleksiglasu, uderzając ją tak mocno, że z boku oderwał się i padł z brzękiem na betonową podłogę dwumetrowy fragment aluminiowej ramy. Kapitan dał krok do tyłu, a potem zaatakował ponownie. Tym razem zarysowała się ściana zagrody.

— Znowu dostał szału! — zawołała Jenny. — Będę musiała mu dać następny zastrzyk.

Podniosła z podłogi szare metalowe pudełko, położyła je na krześle i otworzyła pokrywkę.

Nathan delikatnie odciągnął Davida do tyłu. Knur zaatakował po raz trzeci, a potem przestał. Na

szybie widać było krew i Nathan podejrzewał, że puściły szwy na jego głowie.

— Pamięta imię swojej siostry — oświadczył z triumfem Garth. — Jestem tego pewien. Zna imię swojej siostry.

— Co zamierzasz w związku z tym zrobić?

— Chcę zdecydowanie doprowadzić do ich spotkania. Kapitan Black ponownie rąbnął łbem w szybę, ochlapując ją krwią i gęstą, lepką śliną.

— Urwałeś się chyba z choinki — stwierdził Nathan.

— Nie sędzę — odparł Garth, szczerząc zęby. — Wydaje mi się, że znajdujemy się w przededniu naprawdę fantastycznych rzeczy. Pamiętasz, jak mówiliśmy o korzyściach medycznych i psychoterapeutycznych... ale spróbuj wyciągnąć z tego logiczny wniosek. Jeśli umrze ci ktoś bliski, możesz przeszczepić jego osobowość swojemu domowemu zwierzakowi, psu albo kotu. Nigdy go nie stracisz, nie do końca.

— Mówisz poważnie? — zapytał Nathan.

— Nie wiem. Może niezupełnie. Ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Kapitan Black znowu walnął w szybę.

— Przygotowałaś już ten zastrzyk, Jenny? — zapytał Garth. Jenny kiwnęła głową, zamknęła metalowe pudełko i ruszyła do przodu z naładowanym miotaczem.

— Otwórz po prostu szybko drzwi i daj mu zastrzyk w pierś.

Garth podjechał na swoim fotelu do drzwi i wystukał cyfry kombinacji. Jenny nacisnęła klamkę i właśnie miała wejść do środka, kiedy z tyłu zabrzmiał donośny ostry głos:

— Nie ruszać się! Ani kroku dalej!

Odwrócili się zdumieni. Idąc szybko korytarzem, zbliżała się do nich wysoka blondynka w dzinsach i botkach, a także dwaj przemoczeni młodzi mężczyźni i trzeci, wyższy i ciemniejszy, ubrany w skórzaną kurtkę. Facet w kurtce celował do nich z pistoletu.

— Co to ma, do diabła, znaczyć? — wybuchnął Garth. — Kim jesteście? Czego, do cholery, chcecie? Wstęp do zagród jest wzbroniony!

Nathan od razu rozpoznał dziewczynę — a kiedy dała krok do przodu i znalazła się w kręgu zimnego światła jarzeniówki, rozpoznał ją również Garth. Ostatnim razem, kiedy ją widział, siedzieli oboje w gorącym, wysuszającym świetle telewizyjnych jupiterów. Rzuciła mu wtedy prosto w twarz, że jest rzeźnikiem i sadystą.

- Proszę, proszę — powiedział. — Spotykamy się ponownie. To po to właśnie były te wszystkie sztuczne ognie i syreny?

— Częściowo — odparła Lily. Była zaczerwieniona, zgrzana i zaciskała zęby z podniecenia. — Ale główną przyczyną, dla której się tu znaleźliśmy, jest on.

Wskazała Kapitana Blacka. Garth obrócił się i również spojrział na Kapitana, a potem zmierzył ponownie wzrokiem Lily.

— Nie jestem pewien, czy panią rozumiem.

— To bardzo proste — odparła. — Przyszliśmy go uwolnić. Przyszliśmy przywrócić mu godność i prawo do życia, w którym nie będzie poddawany nieludzkim eksperymentom.

Przyszliśmy go wyzwolić.

Garth popatrzył na Nathana, potem na Jenny, a potem z powrotem na Lily. Ze zdumienia opadła mu szczęka.

— Przyszliście go uwolnić? Mam nadzieję, że nie mówi pani serio.

— Nie jestem w nastroju do żartów, doktorze Matthews. Jedna z naszych aktywistek właśnie zginęła, próbując się tutaj dostać.

— I będzie o wiele więcej poszkodowanych, jeśli wypuści pani tego wieprza z zagrody.

Niech pani sama popatrzy, pani Monarch. Mam połamane żebra, złamaną kostkę, naderwany mięsień, liczne sińce i zadrapania i piekielnie boli mnie głowa. Wszystko to zawdzięczam Kapitanowi Blackowi, a muszę przyznać, że i tak miałem wiele szczęścia.

— Niech pan otworzy zagrodę. Przyszliśmy go uwolnić — powiedziała Lily.

— Pani Monarch... Kapitan Black jest bardzo niebezpiecznym zwierzęciem. Nie może pani go uwolnić.

— Niech pan otworzy zagrodę — powtórzyła Lily. Dean dał krok do przodu, trzymając w obu dłoniach odbezpieczony pistolet i celując z niego bez słowa w Gartha.

— Otwórz lepiej tę zagrodę, Garth — odezwał się Nathan.

— On nas pozabija — odparł Garth, patrząc Lily prosto w oczy. — Niech pani zobaczy sama, jest już i tak wystarczająco rozwścieczony.

Lily pochyliła się do przodu, tak że Garth poczuł jej perfumy (Red Giorgia, zmieszane z wonią błota, deszczu i potu). Poczuł również inny zapach, zapach męskości, tak jakby niedawno się z kimś kochała.

— Otwórz tę pierdoloną zagrodę! — szepnęła.

— Otwórz zagrodę, Jenny — powiedział Garth. — A potem cofnij się do tyłu i nie wąż się nawet ruszyć. Nathan... ty i David zróbcie to samo. Stójcie płasko przy ścianie i nie mrugnijcie nawet okiem.

Dean podszedł do Jenny i wycelował w nią pistolet, trzymając go zaledwie parę centymetrów od jej głowy. Jenny zamknęła oczy i przełknęła ślinę, a potem odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi. W nozdrza uderzył ich kwaśny zapach świńskich pomyj i uryny - tak silny, że Nathanowi łzy stanęły w oczach.

Jenny schowała się za drzwi. Garth cofnął swój fotel, a potem dźwignął się z niego i podpierając się laską pokuśtykał w stronę Nathana i Davida szepnął.

— Jeśli ona go wypuści, nikt nie wie co się wydarzy.

— On jest szalony.

Kapitan Black nadal walił, kwicząc dziko, w szybę z pleksiglasu. Na podłogę spadła z głośnym brzękiem kolejna aluminiowa listwa.

— Nie mówiłem pani? — powiedział Garth, zwracając się do Lily. — On zupełnie oszalał. Nie może pani go wypuścić, bo zabije siebie i każdego, kto wejdzie mu w drogę.

Ale Lily posłała mu piorunujące spojrzenie, które natychmiast go uciszyło.

— Za kogo mnie pan uważa, doktorze Matthews? Co, do diabła, pana zdaniem tutaj robię?

Zbliżyła się do otwartych drzwi i stała przez moment w niemal baletowej pozie, niczym jeden z łabędzi z „Jeziora Łabędziego”. Kapitan Black miotał się wściekle po zagrodzie, rycząc i skrzecząc. Ogarnięty szałem nie zdawał sobie nawet sprawy, że drzwi boksu otwarte są na oścież i że może wyjść na zewnątrz.

Lily wydała z siebie wysoki krzyk. Był tak przenikliwy, że z początku Nathan myślał, że to tylko złudzenie. Stopniowo jednak opadał coraz niżej i zaczął wibrować — niesamowity zwierzęcy krzyk, od którego włosy stanęły Nathanowi dęba i poczuł chodzące po karku ciarki.

— Co ona, do diabła, robi? — zapytał szeptem. — Przyzywa go czy co?

— To nie jest normalne nawoływanie świń — odparł przejęty grozą Garth.

— Więc w takim razie co? Posłuchaj, on się uspokaja!

— To jest krzyk godowy — szepnął Garth. — Godowy krzyk maciory. Jestem tego pewien.

— To znaczy...?

— Opanowała go wprost doskonale. Posłuchaj, on jej odpowiada! Tak, ona go uwodzi.

Podnieca go.

Wciąż zawodząc i gruchając Lily powoli cofnęła się od otwartych drzwi i w ślad za nią ukazał się Kapitan Black, pokaleczony i pokryty krwawymi strupami, bez bandaża na głowie.

Jego pysk wyglądał jak wielki odlany w szerniałym brązie groteskowy gargulec. Oczy miał

zamglone i bardziej mętne niż wcześniej, tak jakby był oszołomiony, zatruty lekami albo zmęczony życiem. Z ryja kapłała mu na podłogę ślina, a z brzucha wydobywał się stłumiony pomruk.

Lily wyciągnęła dłoń, złapała Kapitana za ucho i pogładziła je. Knur obwąchał jej rękę i opuścił łeb. Lily posłała triumfalne spojrzenie Garthowi.

— Widzi pan? Nie musi pan być okrutny, nie musi pan go prześladować. To jest żywe stworzenie, podobnie jak pan i ja — powiedziała, kładąc rękę na boku Kapitana. — Teraz stąd wyjdziemy; oczywiście zabieramy go ze sobą. Proszę, niech pan nas nie zatrzymuje. Jak na jeden dzień wydarzyło się dość tragedii.

— Zdaje chyba pani sobie sprawę — stwierdził Garth — że podpisuje pani na to zwierzę wyrok śmierci? Po opuszczeniu instytutu znajdzie się na terenie, gdzie nie chroni go nasza jurysdykcja. Jeśli nie zdechnie najpierw z głodu, zostanie wytropiony i zastrzelony.

Pozwoli pani, że ujmę to inaczej: nikt, kto mieni się miłośnikiem zwierząt nie może serio brać pod uwagę wypuszczenia go na wolność. Kapitan Black stanowi wysoko rozwinięty i wyspecjalizowany egzemplarz domowej świni. Nie jest dzikiem ani odyńcem. Jest stworzeniem wyhodowanym, wychowanym i wykarmionym przez człowieka.

— Tym bardziej zasługuje na to, aby zacząć żyć w normalnym świecie.

— Nie wydaje mi się — odparł Garth. Dean zbliżył się, celując do niego z pistoletu.

— Lepiej się zamknij, dobrze? Zabieramy stąd tego zwierzaka i koniec dyskusji.

Lily wzięła delikatnie Kapitana Blacka za ucho i poprowadziła go centralnym korytarzem między boksami. Kiedy mijali kolejne zagrody, siedzące w nich wieprze zaczynały chrząkać, kwiczeć i hałasować i wkrótce cały budynek rozbrzmiewał kakofonią świńskich głosów. Tak mógł wyglądać czyściec; i tak prawdopodobnie wyglądał.

Henry i Kit maszerowali po obu stronach umazanego szlamem Kapitana Blacka; pochód zamykał Dean, trzymając na muszce Gartha i Nathana. Czekał, aż któryś z nich spróbuje wszcząć alarm, rzucić się w jego stronę lub wykonać jakikolwiek inny ruch, który da mu pretekst, żeby pociągnąć za cyngiel. Zabił już dzisiaj jednego człowieka, kolejny nie robił

mu żadnej różnicy. Kolejny mógł wprowadzić go tylko w jeszcze większe uniesienie. Dać mu tego kopa, tę szprycę. To było coś: widok strażnika padającego twarzą prosto w trawę.

Garth spojrział na Jenny, która wyłoniła się powoli zza drzwi. Tylko kilka centymetrów od jej prawej stopy leżał miotacz — odbezpieczony i załadowany wystarczającą dawką methohexitonu, żeby zwalić z nóg ważącego półtorej tony rozwścieczonego gruboskórnego wieprza. Na pewno większą, niż potrzebuje ważący osiemdziesiąt kilo nerwowy facet o cienkiej skórze.

Garth spojrział w możliwie najbardziej wymowny sposób na miotacz, a potem wybałuszył oczy i wskazał głową Deana.

Jenny natychmiast pojęła, o co chodzi; ale widać było, że ma wątpliwości natury moralnej. Wzruszyła ramionami, rozłożyła ręce i posłała Garthowi błagalne spojrzenie. Ale ten powtórnie wskazał głową Deana.

— Teraz! — szepnął bezgłośnie.

— Na miłość boską, Garth, nie ryzykuj — mruknął cicho Nathan. — Nie chcesz chyba, żeby on zabił Jenny.

— Posłuchaj, tato — powiedział David. — Syreny! Przyjechała policja!

W tej samej chwili Jenny podjęła decyzję. Przykucnęła, złapała miotacz i strzeliła.

Strzałka przeleciała tak blisko Deana, że otarła się o jego włosy. Złapał się ręką za głowę, przekonany, że go trafiła, ale sekundę później stojący za nim Henry upadł nagle na podłogę i zaczął trząść się w konwulsjach i wierzgać nogami.

— Nie! — krzyknął Garth, ale Dean zupełnie oszalał.

— Ty dziwko! — ryknął, podskakując na sztywnych nogach jak marionetka.

Wycelował i strzelił dwa razy, trafiając Jenny w twarz i rozrywając na strzępy mięśnie, kości i chrząstki. Odgłos strzałów odbił się głośnie echem w zamkniętym budynku; ogarnięte paniką świny zaczęły chrząkać i kwiczeć. Jenny osunęła się bokiem po drzwiach, ze zwisającymi bezwładnie rękoma i twarzą zamienioną w krwawą miazgę. Dean poszarzał na twarzy i rycząc cofał się w stronę wyjścia.

— Emily! Emily! — zawołał nagle Garth.

Prowadząca Kapitana Blacka Lily znajdowała się w połowie drogi do drzwi wyjściowych i jak do tej pory knur zachowywał się potulnie jak piesek. Kiedy jednak Garth zawołał „Emily”, kapitan Black odrzucił do tyłu głęboko osadzony łeb, otworzył pysk i zaryczał tak donośnie, że nawet Dean opuścił pistolet i obejrzał się lękliwie.

Knur wydał z siebie kolejny gniewny i udręczony ryk — ryk, który wstrząsnął

posadami budynku i przeszedł w przenikliwe kwiczenie. Odwrócił się i stanął na tylnych nogach, chwiejąc się i stawiając niepewne kroki. Górował nad nimi wszystkimi, czarny, kosmaty i wściekły; wysoki na trzy i pół metra, prawie dwa razy wyższy od słusznego wzrostu mężczyzny, ale bardziej niż

człowieka przypominał grubą, zwięzającą się przy górze kolumnę tłuszczu, mięśni i twardej szczeciny. Podobny był bardziej do zjawy z koszmaru niż do żywego zwierzęcia: do brzydkiego, ścigającego ludzi we śnie potwora z błyszczącymi oczyma.

Był jednak żywy i stał przed nimi — potężny, cuchnący i rozjuszony.

Po chwili opadł z głośnym stukotem na cztery łapy.

Lily próbowała ponownie swojego śpiewu, ale Kapitan Black potrząsnął z pogardą głową; głos stopniowo uwiązł jej w gardle i cofnęła się pod śdanę.

— Na pani miejscu, pani Monarch, udekałbym, gdzie pieprz rośnie — zawołał Garth.

— Ta świnia jest naprawdę wściekła.

Ale Lily nie ruszyła się z miejsca.

— Przyszliśmy go uwolnić! — stwierdziła. — I to właśnie zamierzamy zrobić! Tutaj, proszę pana — zawołała, machając rękoma w stronę Kapitana. — Idziemy, proszę pana, wychodzimy na zewnątrz!

Ale knur ryknął głośno, potrząsając swoim pokrytym strupami łbem, a potem odwrócił

się w stronę Kita i ruszył na niego z całym niepowstrzymanym rytmicznym rozpędem małej lokomotywy.

— Hej, staruszk, nie tak ostro — zawołał półzartem Kit, podnosząc rękę, żeby go odpędzić. Ale potem uświadomił sobie, że znalazł się w pułapce między dwiema zagrodami, że Kapitan pędzi na niego bardzo, bardzo szybko i że to wcale nie są żarty, tylko groźna sytuacja, w której może łatwo stracić życie.

— Daj spokój, świnko — zawołał. — To tylko zabawa, co?

Sekundę później pędzący z szybkością prawie dziesięciu kilometrów na godzinę półtoratonowy knur wałnął go prosto w pierś. Jego dało nie było zdolne wytrzymać nawet jednej dziesiątej takiego uderzenia. Rozległa się seria trzasków od mostka aż po miednicę. Kit próbował coś powiedzieć, ale zorientował się, że nie może. W płucach nie zostało mu ani trochę oddechu. Otworzył usta, lecz wydobyła się z nich tylko krew.

Dean podniósł z wahaniem broń, ale było oczywiste, że chcąc zatrzymać knura, musi trafić go dokładnie w mózg, a Kapitan Black stanowił poruszający się szybko, wysoce niebezpieczny cel. Zaczął się więc krok za krokiem cofać, a później odwrócił się i najpierw szybkim krokiem, a potem biegiem ruszył w stronę wyjścia.

Kapitan Black popędził za nim. Jego radcę stukwały po betonie niczym kopyta perszerona. Dean wybiegł na zewnątrz i Nathan usłyszał głośne krzyki i strzały z pistoletu.

Lily stała nieruchomo, zakrywając rękoma twarz, kompletnie wstrząśnięta. Nathan przebiegł obok

niej i ruszył za Kapitanem Blackiem. Na zewnątrz mały oddział sześciu albo siedmiu strażników wspinał się po zboczu prowadzącym w stronę zagród; dwóch z nich złapało już i aresztowało Deana. Leżał rozpostarty na mokrej trawie, z twarzą przypominającą twarz demona — ciemniejszą i bardziej wykrzywioną niż zwykle. Jeden ze strażników opierał

but na jego plecach i przyciskał do głowy lufę colta.

Kapitan Black ruszył ukosem w stronę strażników, zawahał się jednak i zawrócił na południe. Dwaj albo trzej strażnicy strzelili w powietrze. Odgłosy strzałów rozbrzmiały płaskim echem w powietrzu, ale nie zatrzymało to Kapitana. Dokładniej rzecz biorąc, przy-

śpieszył nawet kroku.

David dobiegł do Nathana i złapał go za rękę.

— Nie zabiją go, prawda? — zapytał.

Nathan podniósł rękę, żeby osłonić oczy przed deszczem. Widział w oddali wewnętrzne i zewnętrzne ogrodzenie i nagle uświadomił sobie, że w obu wycięto dziury. Nie wąskie trójkątne dziury, które byłyby dziełem zabłąkanych intruzów, ale szerokie otwory, dość duże, żeby przejechał przez nie volkswagen. Dokładnie takie, jakie wycięłaby Lily Monarch, gdyby traktowała serio swoją zapowiedź uwolnienia Kapitana Blacka.

— Cholera — zaklął pod nosem i zaczął biec, choć zdawał sobie sprawę, że Kapitan za bardzo go wyprzedził. Jeden ze strażników prawie się z nim zrównał — zdyszany facet w ciemnoniebieskim berecie, z pożyłkowaną twarzą, wybałuszonymi oczyma i trzymanym niezgrabnie w dłoni coltem commando.

— Zadzwońcie na pogotowie! — zawołał do niego Nathan. Zadzwońcie na policję! Na zewnątrz wydostał się niebezpieczny knur! Niebezpieczny! Zrozumiał mnie pan? Niech pan zawiadomi policję!

Mężczyzna zatrzymał się, zatoczył i wlepił w niego wzrok.

— Co takiego? — zapytał, nie bardzo rozumiejąc.

Kapitan Black musiał być obdarzony świadomością. Galopował prosto w stronę dziury w ogrodzeniu, nie skręcając ani na centymetr. Ziemia drżała pod jego krokami, spod racic leciały kawałki darni. Był czymś więcej niż zwierzęciem, czymś więcej niż knurem: był

żywym wcieleniem najgorszych snów Gartha Matthews'a; realizacją wszystkich nieprawdopodobnych możliwości, które potrafi powołać do życia genetyka.

Jego łeb obracał się niczym puszczony w przyśpieszonym tempie obraz przesuwających się po niebie chmur. Wiedział, że musi znaleźć em-i-ly, em-i-ly, gdziekolwiek była, gdziekolwiek się kryła, ponieważ em-i-ly była inna. Em-i-ly wiedziała, dlaczego musieli umrzeć i dlaczego nie umarli, wiedziała, kto nadchodził i dlaczego musieli umrzeć.

Dobiegł do pierwszego ogrodzenia i syjąc iskrami z sierści przedostał się przez dziurę.

W powietrze wzbił się obłoczek dymu. Kapitan przebiegł przez drugi otwór i ruszył w stronę lasu. Mięśnie jego barków pracowały niczym wielkie, czarne od smaru tłoki pompy. Wkrótce wbiegł między drzewa i kiedy Nathan, David i strażnicy dotarli do ogrodzenia, zupełnie zniknął im z oczu.

— Najbardziej niesamowita rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem — oświadczył strażnik z wybałuszonymi oczyma.

Z tyłu, w budynku chlewni zadzwonił telefon. Garth z początku go zignorował, ale potem pokuśtykał walcząc z bólem, żeby podnieść słuchawkę.

— Garth? Mówi Morton.

Morton Hali był dyrektorem i szefem administracji Instytutu Spellmana — wyniosłym, zawsze poprawnym facetem, który zdawał sobie sprawę z talentów Gartha, ale generalnie uważał go za bałaganiarza i ekscentryka, chronicznie pozbawionego tego, co nazywał

„duchem korporacji” — innymi słowy, nie robiącego tego, co mu się każe.

— Czym mogę ci służyć, Morton? — zapytał Garth.

— Otrzymałem właśnie od doktora Goodmana raport wskazujący, że twoje eksperymenty z Kapitanem Blackiem mogą budzić pewne zastrzeżenia natury moralnej.

Chcę, żebyś zawiesił program badawczy do chwili, kiedy będziemy mieli możliwość to przedyskutować.

— Nie chcesz, żebym dalej eksperymentował na Kapitanie Blacku?

— Nie w najbliższym czasie.

Garth spojrzał na pustą zakrwawioną zagrodę.

— W porządku, Morton, skoro sobie tego życzysz.

— Nie zamierzasz protestować? — zapytał najwyraźniej zdumiony Morton.

— Nie, Morton. Zamierzam poddać się twojemu bardziej dojrzałemu osądowi.

— Doskonale — stwierdził lekko oszołomiony i zadowolony Morton. Miał zamiar odłożyć słuchawkę, ale potem dodał: — Czy w chlewni nie ogłoszono przypadkiem alarmu?

Widziałem jadący w tamtą stronę samochód ochrony.

— Nic, czym mógłbyś się przejmować — odparł Garth. — Zapodziało nam się po prostu kilka rzeczy.

ROZDZIAŁ XIII

Deszcz zelżał na chwilę i nad Hiawathą pojawił się niczym dany od Boga znak wąski trójkątny rąbek czystego nieba, ale poranek wciąż był mroczny, cienisty i niesamowity.

Wypalony wrak ciężarówki Randy'ego Gedge'a nadal ociekał wodą niczym podniesiony z morskiego dna „Titanic”.

Luke obszedł go dookoła, trzymając w dłoni kapelusz. Co jakiś czas oglądał się na zastępcę Joe Freemana, tak jakby oczekiwał od niego jakiejś opinii, ale Freeman był zbyt niedoświadczony, żeby domyślić się, że ktoś czeka na jego opinię; i zbyt niedoświadczony, żeby w ogóle jakkolwiek wyrażać. To był dopiero jego drugi poważny wypadek drogowy; i trzeci raz, kiedy pracował bezpośrednio z szeryfem Friendem.

— Świadkowie mówią coś o świniach — zauważył Luke.

— Zgadza się — odparł z entuzjazmem Freeman. — O całym stadzie świń, które przechodziły bez żadnego dozoru szosę.

— Poświadczą to obecność świńskich trupów — stwierdził Luke.

— Tak jest, szeryfie. Zgadza się, szeryfie. Dwadzieścia osiem zidentyfikowanych trupów, plus kilka wypalonych szczątków, które można uznać za świnie albo kawałki świń, choć ostatecznie potwierdzi to dopiero analiza kryminalistyczna.

— Skąd, twoim zdaniem, tu się wzięły? — zapytał Luke. — Pochodzisz z tych okolic.

Zastępca Freeman zmarszczył czoło.

— Świnie wydostają się czasami z chlewu, ale nie udaje im się uciec zbyt daleko. Są z reguły bardzo bojaźliwe i wiedzą, po której stronie posmarowany jest chleb.

— To znaczy?

— Nie oddalają się daleko od miejsca, gdzie dostarcza im się karmy, a są bardzo wybredne, jeśli chodzi o żarcie.

— Tak właśnie myślałem — stwierdził Luke. — Więc dlaczego liczące sto sztuk stado zdecydowało się przejść w deszczową noc Siedemdziesiątą Szóstą Aleję i dokąd, do diabła, się wybierały?

— Nie wiem, szeryfie. Ale w okolicy są dwie wielkie farmy trzody chlewnej: Kravitza i Johnsona.

Luke podniósł brązowy, spalony na węgiel przedmiot, leżący na ciężarówce Randy'ego Gedge'a. Obwąchał go i nagle uświadomił sobie, co trzyma w ręku.

— Powąchaj to — powiedział, podając przedmiot Freemanowi. Ten ostrożnie uniósł go ku nozdrzom, a potem zamrugał oczyma i hałaśliwie przełknął ślinę.

— Skwarka? — zapytał.

Sześć albo siedem lat temu to musiała być dobrze prosperująca farma, z porządnymi chlewniami, magazynami na karmę, krytym czerwoną dachówką piętrowym domem mieszkalnym i wspartym na kolumnach okazałym portykiem, który przypominał w stylu Tarę z „Przeminęło z wiatrem”.

Teraz jednak zabudowania chyliły się ku upadkowi i zewsząd wyłaziła strudzona szarzyzna, która dotyka w równym stopniu spracowanych ludzi co spracowane farmy.

Podjazd, który prowadził łukiem pod dom, zarośnięty był chwastami, okna w stodole powybijane, a wiatrak pozbawiony sześciu albo siedmiu łopat. Szyld nad chlewnią był tak zniszczony przez słońce i deszcz, że z trudem można było odróżnić poszczególne litery napisu „Hodowla świń rasy Berkshire Franka Johnsona”.

Luke zaparkował przed głównym budynkiem i wysiadł ze swego buicka. Chmury wisiały nad ziemią niczym oklapły namiot zbankrutowanego cyrku. Wciąż padała drobna mżawka; Luke wyjął chusteczkę, wytarł nią twarz i pociągnął nosem. W powietrzu unosił się intensywny słodkawy zapach — mdląca mieszanina świńskiego nawozu, dawno zgniłych jabłek i zepsutego mięsa.

Na dachu chlewni skrzypiała, wskazując północny zachód, metalowa chorągiewka w kształcie farmera ścigającego prosiaka. Deszcze nie miały skończyć się prędko, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Luke wdrapał się po schodkach na werandę. Pomalowane na zielono drzwi były otwarte, ale mimo to zapukał.

— Pan Johnson? Pan Frank Johnson? Jestem szeryf Friend, mam do pana sprawę!

Po krótkiej przerwie w holu pojawił się chudy jak szczapa mężczyzna w szarych drelichowych spodniach i wyblakłej czerwono-białej roboczej koszuli. Miał pociągłą kościstą twarz i prawie bezbarwne oczy. Z kącika ust zwisał mu ręcznie skręcony papieros.

— Frank Johnson? — zapytał Luke. Wyjął odznakę i pokazał ją mężczyźnie.

— Już się kiedyś spotkaliśmy — oświadczył Frank. — Mój najstarszy syn Roy prowadził po pijanemu samochód. Przyjechał pan i dał mu wycisk.

— Pamiętam. Czy przyniosło mu to jakąś korzyść?

— Nie bardzo. Jest teraz w Fairbanks, na Alasce. Zajmuje się nie wiadomo czym, ale zarabia kupę forsy. Wciąż chleje i wciąż prowadzi po pijanemu.

— Przyjechałem, żeby porozmawiać o pańskich świniami — powiedział Luke.

— Nie mam już żadnych świń, szeryfie. Farma jest na sprzedaż, a ja i Beth żyjemy z tego, co uda nam się wskrobać. Reperuję czasami traktory, młockarnie i tego rodzaju rzeczy, ale to nie daje dużo forsy.

— Co się stało z pańskimi świniami?

— A co pan myśli? To samo co z wszystkimi innymi.

— Sprzedał je pan?

Frank Johnson potrząsnął głową.

— Były zbyt nędzne, żeby wystawić je na aukcję, szeryfie. A nawet gdyby udało się ją zorganizować, cena była zbyt niska, żeby zwróciły mi się koszty. Wszyscy wiedzą, że zakazana zostanie produkcja mięsa i dziś rano nie sprzeda pan wieprza rasy Berkshire za więcej niż dwadzieścia dolców i pięćdziesiąt centów... za całego cholernego zwierzaka. A w przyszłym tygodniu, kiedy uchwalą tę pieprzoną ustawę, nie będzie panu wolno nikomu sprzedać wieprza, bo złamie pan prawo.

— Więc co zrobiłeś ze swoimi wieprzami, Frank?

— To, co musiałem.

— Wyrzuciłeś je?

Frank powtórnie potrząsnął głową.

— Za dużo by mnie to kosztowało. Po prostu przestałem je karmić. Luke zmierzył go surowym wzrokiem.

— Co takiego zrobiłeś?

— Po prostu przestałem je karmić. Uznałem, że szybko zdechną, a te, które padną najpierw, będą stanowić karmę dla tych, które padną później.

— Jezus, Frank — stwierdził przejęty wstrętem Luke. — Zdajesz sobie sprawę, jakie to okrutne?

Na Franku nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

— Nie było innego sposobu, szeryfie. Kilogram na kilogram, karma jest droższa od mięsa. To się nazywa gospodarka rolna.

— A co będzie, jeśli ustawa Zapf-Cady'ego nie przejdzie? Są na to duże szanse.

— To nie ma żadnego znaczenia. Cena wieprzowiny była za niska przez zbyt długi okres. I tak nie mógłbym z tego nic wyciągnąć.

— Chciałbym zobaczyć te chlewnie — oświadczył Luke.

— Naprawdę? To nie jest przyjemny widok.

Frank Johnson ruszył razem z szeryfem przez podwórze, przystając na chwilę, żeby zapalić powtórnie

swojego skręta dymiącą zapalniczką.

— Ile miał pan sztuk? — zapytał Luke, kiedy podeszli do głównych drzwi chlewni.

— Ponad trzy tysiące. To była minimalna liczba, na którą mogłem dostać kredyt. Więc niech pan pomyśli o rachunkach za paszę. Każda dorastająca świnia zżera trzy kilo karmy, to daje codziennie dziewięć ton, piątek, świątek i niedziela. Dziewięć ton to tyle samo, ile ważą cztery wielkie cadillalri, których nigdy nie miałem i mieć nie będę.

Otworzył zardzewiałe zniszczone drzwi. W środku panował mrok, ale Luke nie musiał

nic widzieć, żeby wiedzieć, co tam napotka. Odór rozkładającego się mięsa był tak silny, że musiał cofnąć się z powrotem na podwórko i wziąć sześć albo siedem głębokich oddechów; nawet na zewnątrz powietrze przesycone było zapachem śmierci.

— Kiedy człowiek pracuje ze świniami, szybko się do tego przyzwyczaja —

oświadczył lakonicznie Frank, puszczając dym nosem i czekając, aż Luke dojdzie do siebie.

Żołądek szeryfa chwyciły skurcze i dałby teraz wszystko za to, żeby nie czuć tych trzech wiśni w czekoladzie, które przyznał sobie w nagrodę za skromne śniadanie, składające się z grzanki, soku i czarnej kawy.

— Dobrze, Frank, rzućmy na to trochę światła — powiedział w końcu, przetykając ślinę.

Frank wzruszył ramionami i dotknął ręką przełącznika. Zawieszona pod sufitem świetlówki zabzyczały, zamigotały i zapaliły się po chwili pełnym światłem.

Luke otworzył i zamknął usta. Chciał coś powiedzieć, ale do głowy nie przychodziło mu nic poza przekleństwami. Chlewnia Franka Johnsona przypominała koszarne średniowieczne pole bitwy; przypominała piekielną trupiarnię.

Budynek miał prawie sto metrów długości i kryty był wspartymi na trójkątnych aluminiowych belkach arkuszami falistej aluminiowej blachy. Całą przestrzeń podzielono balustradami na setki boksów. W każdym z nich leżała przynajmniej jedna martwa świnia, a w niektórych liczące sześć albo siedem sztuk mioty. Ich ciała pokrywała błyszcząca warstwa milionów much, dosłownie milionów, a większość padłych sztuk roiła się od robaków. Ze wszystkich stron spozierały na Luke'a poobgryzane czaszki. Jeden z ryjów wydawał się poruszać i dopiero po chwili szeryf zdał sobie sprawę, że to po prostu krzątające się tysiące robaków. Racice, ogony, zady, łby — wszystko w stanie makabrycznego rozkładu.

— Czy to całe stado? — zapytał Luke, dając Frankowi Johnsonowi znak, żeby zamknął drzwi.

— Większość. Trochę uciekło kilka dni temu... może osiemdziesiąt, może sto sztuk.

Świnie to chytne bestie. Odkryły, jak podnieść balustrady między boksami, a potem jak odsunąć zasuwę przy drzwiach.

— Wie pan, dokąd poszły?

— Najpierw polazły do sadu, szukając korzeni i jabłek. Narobiły tam mnóstwo szkód, nie potrafię nawet ustalić kosztów. Chciałem je przegonić, ale były w złym nastroju i chociaż nie ma nic pogodniejszego od świni, która jest w dobrym humorze, nie ma również nic gorszego od świni, która jest naprawdę zła. Gdybym dał im szansę, zeżarłyby i mnie. Potem na szczęście przysłała burza. Przestraszyły się i wtedy widziałem je po raz ostatni. Pewnie gdzieś ryją, nietrudno będzie je znaleźć.

— Już je znaleźliśmy — odparł Luke. — Przechodziły zeszłej nocy przez Siedemdziesiątą Szóstą Aleję i spowodowały wypadek, w którym zginęły trzy osoby.

Frank Johnson spojrział na niego. Spróbował zaciągnąć się zgaszonym papierosem, a potem zamrugał oczyma, odwrócił wzrok i pociągnął nosem niczym facet, który czeka na decyzję w sprawie ceny żywca. Dopiero teraz Luke zorientował się, że Frank Johnson już dawno temu stracił wszelkie poczucie rzeczywistości. Opuściło go, tak jak to się często dzieje z farmerami ze Środkowego Zachodu, i nikt tego nie zauważył. Zbyt wiele lat izolacji; zbyt wiele stresów, harówki i użerania się z bankami; zbyt wiele huraganów i deszczów; zbyt wiele lat spędzonych na tej bezkresnej równinie, gdzie człowiek czuje się niczym rzucona w otchłań nocy drobina pyłu, mając za jedyne towarzystwo steraną żonę i rozklekotany telewizor.

Luke położył mu rękę na ramieniu.

— Będę się musiał zastanowić, czy nie aresztować cię za karygodne zaniedbanie obowiązków, Frank. Teraz jednak mam na głowie mnóstwo innych spraw, a poza tym chcę, żeby przyjechali tutaj i zobaczyli to na własne oczy działacze Amerykańskiego Stowarzyszenia Obrony Zwierząt przed Okrucieństwem i urzędnicy z okręgowego wydziału rolnictwa.

Frank Johnson pokiwał głową.

— Nie mogłem ich powystrzelać — powiedział. — Nie stać mnie było na trzy tysiące naboii.

— Wiem o tym, Frank. Bądź po prostu tak dobry i nic nie rób, dopóki się nie odezwę.

Niczego nie zmieniaj, zostaw to po prostu tak, jak jest.

— Jak pan sobie życzy, szeryfie.

Luke wszedł do samochodu, zapalił silnik, zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni i odjechał.

Mniej więcej po pół kilometrze oblał się zimnym potem, a żołądkiem znowu targnęły skurcze.

Zatrzymał samochód, potykając się wyskoczył na pole kukurydzy i zwymiotował.

Przez długi czas tkwił zgięty wpół czekając, aż ustąpią torsje. Słyszał bębniący o kaczany kukurydzy deszcz i cienkie pogwizdywanie ptaka. W końcu wyprostował się, złożył

chusteczkę i otarł nią usta.

Wciąż widział z tego miejsca chlewnię Franka Johnsona. Widział również unoszące się nad nią kłęby dymu, gęste, szare i sypiące iskrami.

— Cholera — szepnął, ruszając z powrotem do samochodu.

Wsiadł do środka i już miał zamknąć drzwi, kiedy doszedł go ostry trzask strzału z dubeltówki — a potem po krótkiej przerwie następny. Echo strzałów przetoczyło się po kukurydzianym polu niczym odgłosy braw.

Luke siedział z pochyloną głową w samochodzie i nie chciało mu się nawet przekręcić kluczyka w stacyjce.

Terence obudził się i zobaczył prześwitujące przez żaluzje światło dnia. Przy aresztowaniu zabrali mu zegarek, nie miał więc pojęcia, która może być godzina. Ziewnął, przeciągnął się i rozejrzał po pokoju. Był mały i skromnie umeblowany, z podłogą z surowych desek, pojedynczym rozsuwanym łóżkiem i tanim lakierowanym biurkiem. Na ścianie wisiał pokryty rudymi plamami staloryt przedstawiający ponurego faceta z brodą i zatytułowany „Bodeslas”.

Terence rozwinął spodnie i wciągnął je niepewnie na nogi. Czuł się tak, jakby miał

kaca, chociaż pamiętał, że nie wypił ani kropli. Uchylił żaluzję i stwierdził, że wygląda na wąską zaśmieconą alejkę między dwoma parterowymi betonowymi domami. Zobaczył

zardzewiały rożen, fragment leżaka i kilka wypełnionych wodą puszek po jasnozielonej farbie.

Drzwi sypialni otworzyły się i do środka weszła wciąż zamaskowana Naga. Nie miała na sobie nic oprócz koszuli z surowego płótna, postrzępionej na brzegach i wyszywanej prymitywnie czarną i czerwoną wełną. Jej chude nogi wyglądały, jakby ktoś poplamił je sokiem z jagód; stopy były zarosłe brudem. Wydawała się jeszcze bardziej przezroczysta niż przedtem. Na ścianie wisiał przekrzywiony kalendarz Firestone; przez ramię mógł przeczytać fragment nazwy miesiąca: „esień”.

— Dzisiaj musimy znaleźć Emily — powiedziała.

— Czy to aż takie ważne?

— Twój ojciec musi znaleźć Emily.

— No cóż... słyszałaś, co powiedział biedny Leland Terpstra. Zabrali ją ludzie z opieki społecznej, a skoro tak, to powinna być w Domu Dziecka McKinleya.

— W takim razie tam zaczniemy poszukiwania — oświadczyła matowym głosem Naga, odwracając się do wyjścia. Terence próbował ją złapać za rękaw, ale jego dłoń przeszyła powietrze. Jak zwykle

znajdowała się ułamek sekundy później w czasie, nigdy się z nim całkowicie nie zrównując.

— Janek nie chce skrzywdzić Emily, prawda? — zapytał. — Jeśli chce ją skrzywdzić, nie pomogę mu jej odnaleźć.

— Nie masz żadnego wyboru. Jest twoim ojcem.

— Ale dlaczego tak zależy mu na tym, żeby odnaleźć Emily? Dlaczego nie może zostawić jej w spokoju? Jedno dziecko nie robi mu chyba różnicy. Ma ich całe mnóstwo.

— Emily jest inna.

— Naprawdę? Dlaczego jest inna? Naga przez chwilę milczała.

— Powinieneś wiedzieć dlaczego — odparła w końcu. — Ty też jesteś inny.

— Wciąż nie bardzo rozumiem. Inny niż kto?

— Inny niż większość dzieci twojego ojca. Zbuntowany. Inny. Terence wpatrywał się w nią pragnąc, by jej postać stała się wreszcie wyraźna i mógł zobaczyć, jak naprawdę wygląda. A więc o to chodziło. Był buntownikiem. Nigdy przedtem, podczas wszystkich tych lat studiów nie przyszło mu to do głowy — że jest pierwszym i jedynym synem Zielonego Janka, który poświęcił tyle energii i pasji, aby zapobiec czekającemu go losowi. Wiele było wzmianek świadczących o tym, że Janek spotykał się z oporem chłopów, którzy pozwolili mu zapłodnić własne żony, zwłaszcza kiedy zgłaszał się po trzydziestu sześciu latach, żeby pobrać swoją ponurą daninę. Nigdy jednak nie stawiały mu oporu jego własne dzieci. Wprost przeciwnie: witały go na ogół z wielką radością. Zapraszały go do środka i ochoczo poddawały się jego władzy.

— Wkrótce wychodzimy — powiedziała Naga. - Nie jesteś głodny?

— Nie, nie jestem - odparł Terence, siadając na rozsuwanym łóżku. Był buntownikiem.

Może Emily również była zbuntowana i dlatego tak im na niej zależało. Może Janek zaczął

coś, czego nie mógł skończyć — zapoczątkował linię, której potomkowie, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, nie chcieli mu się podporządkować.

Terence nie znał zbyt dobrze swojej matki. Zmarła, kiedy miał dziewięć lat. Ale zawsze pamiętał drobną, pełną temperamentu, ciemnowłosą kobietę z jasnymi, głęboko osadzonymi oczyma i ostrym trójkątnym nosem, prawdziwą Córę Rewolucji z obrazu Granta Wooda. W

przeciwieństwie do niej ojciec był powolny, potulny i przegrany — człowiek, któremu wiatr zawsze wieje w oczy.

— Dobrze się czujesz? - zapytała Naga. Terence pokiwał głową.

— Tak... tak, czuję się dobrze. Po prostu sobie coś przypomniałem.

— Jesteś przestraszony?

— A jak sądzisz?

Naga przystanęła w drzwiach.

— Wszystko zbliża się do końca, Terence. Wiesz o tym, prawda? Niedługo skończy się na dobre.

— Jasne — odparł Terence, chociaż nie był do końca pewny, o czym ona mówi. O jego życiu? O życiu Emily? Czy może o długich i niszczących podróżach Zielonego Wędrowca po Rosji, Europie Wschodniej i równinach Środkowego Zachodu?

Prawie mu współczuła. Ale była rzeczniczką i adwokatem Zielonego Janka i z pewnością oglądała na własne oczy mnóstwo bólu, mnóstwo cierpień i pożerania niewinnych.

Za oknem deszcz ciekł z rynien i kapał na stary rożen. Z pokoju obok dobiegał szmer liści i gałęzi i niski konspiracyjny szept ludzi, którzy rzadko kiedy się odzywają. Terence miał

wrażenie, że dowiedział się czegoś ważnego: że jest jeszcze w stanie coś zmienić.

Czuł się jednocześnie podekscytowany i przestraszony; ale jeszcze bardziej podniecało go i przerażało to, że nie bardzo wiedział dlaczego.

Po powrocie do biura Luke zastał czekającego nań profesora Mrstika, ściskającego pod pachą niczym małego prosiaka dobrze wypchaną teczkę z brązowej skóry. Profesor był

wysokim mężczyzną, prawie tak wysokim jak Luke, z rzednącymi rudymi włosami i twarzą tak białą, jakoy ktoś obsypał ją mąką. Miał na sobie rudawobrązowy garnitur, który pachniał

wilgocią i był uszyty ze zdecydowanie zbyt gru.oeego jak na tę porę roku materiału.

Na widok: Luke'a wstał i uklonił się, po czym wyciągnął wilgotną kościstą dłoń.

— Dałem sobie jeszcze tylko dziesięć minut — powiedział. Gdyby pan się nie zjawił, mógłbym odwiedzić pana ponownie dopiero w przyszłym tygodniu. To nasz wyjątkowy czeski weekend: będą tańce ludowe, obchody i Bóg jeden wie co jeszcze. Podczas takich uroczystości zawsze łąza się w oku kręci... A potem często boli głowa.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział Luke. — Mieliśmy po prostu kilka poważnych długotrwałych incydentów.

— Naturalnie! Całe życie jest poniekąd poważnym długotrwałym incydem, nieprawdaż?

Luke ujął profesora Mrstika pod łokieć i wprowadził go do swojego gabinetu. Na biurku leżał stos notatek i mrugało światelko automatycznej sekretarki, ale Luke zignorował

to i przysunął krzesło profesorowi.

— Chce pan kawy? — zapytał. Jeśli to możliwe, herbaty.

— Ciasteczka?

Profesor Mrstik przyjrzał mu się z ukosa.

— To pan ma ochotę na ciasteczka, nieprawdaż? Ale cała odpowiedzialność spadnie na moją głowę, jeśli to ja o nie poproszę, tak?

Luke odwzajemnił zmieszany jego spojrzenie. Profesor roześmiał się.

- Ma pan na swoim biurku książkę dietetyczną. Ale jest pan oczywiście człowiekiem, który przywiązuje dużą wagę do tego, co je. Zatem dobrze, poproszę o ciastka do herbaty i będzie pan rozgrzeszony.

Luke nacisnął przycisk na interkomie.

— Janice? - powiedział, nie odrywając oczu od profesora. Proszę jedną kawę, jedną herbatę i talerzyk tych czekoladowych ciastek. Zgadza się, tych dużych.

— Zawsze chciałem zabawić się w detektywa — oznajmił profesor Mrstik. — A te notatki Terence'a Pearsona po prostu zaostriły ten mój apetyt.

- Co pan o nich sądzi? - zapytał Luke.

- Chce pan, żebym powiedział szczerze? Moim zdaniem to nie jest jakaś tam ludowa legenda. Moim zdaniem wszystko to w większości prawda.

Luke wstał. Jego fotel zaskrzypiał raz i drugi i ucichł, a on przeszedł przez cały gabinet i pół drogi z powrotem.

— Pańskim zdaniem to wszystko w większości prawda?

Nie wierzy mi pan? W takim razie powtórzę z naciskiem jeszcze raz: tak, to w większości prawda. Jest tam kilka pomyłek, wynikających z faktu, że Terence nie mógł

zrozumieć wszystkich subtelności języka czeskiego, ale w przeważającej części, tak, cała ta historia o Zielonym Wędrowcu, cała ta historia o maskarnikach i zawieranych przez nich umowach jest prawdziwa. Te umowy były zawierane i zostało to udowodnione. Jak on się starał, ten Pearson, żeby znaleźć jakiś niepodważalny dowód... Gazety, czasopisma, prognozy pogody, wyniki produkcji rolnej, świadectwa urodzenia, historie choroby, świadectwa zgonu, dosłownie tysiące detali.

Otworzył teczkę, wyjął z niej gruby, nierówny plik kartek i uniósł je w górę.

— Tu mamy dowód! Zielony Janek jest prawdziwy. Zielony Janek żyje; i to właśnie żywiony przez Terence'a strach przed Jankiem stanowił bezpośredni powód, dla którego zabił

swoje dzieci.

Luke wziął od niego papiery, wyrównał je starannie i położył na biurku.

— Chwała Bogu - powiedział. - Dziękuję panu, profesorze. Zaczynałem już myśleć, że brakuje mi piątej klepki.

— Jakby się pan urwał z własnego pogrzebu — roześmiał się profesor Mrstik, ale widząc surową minę Luke'a natychmiast umilkł. —Przepraszam... czeski humor jest dość specyficzny. Mamy kilka przezabawnych żartów na temat zimnych okładów.

— Z pewnością. Ale wróćmy do tematu.

Do gabinetu weszła Janice z kawą, herbatą i ciastkami. Talerzyk z tymi ostatnimi postawiła przy łokciu Luke'a.

- Nie, ciastka są dla profesora Mrstika — oświadczył szeryf. Janice uśmiechnęła się z niedowierzaniem i wyszła.

— Wszystko to oczywiście było dla mnie szalenie interesujące powiedział profesor. —

Słyszałem opowieści o Zielonym Janku, odkąd byłem małym chłopcem. „Przeżegnaj się, wypruj z siebie flaki i schowaj przed ciernistym krzewem”, śpiewaliśmy w dzieciństwie. Ale znaleźć niezbity dowód, że to wszystko prawda... może pan sobie wyobrazić, czym to dla mnie było. To tak jakbym odkrył, że prawdziwy jest Człowiek-Nożyce ze „Struwelpetera”.

To tak jakbym odkrył, że prawdziwa jest opowieść o Drakuli.

— Rozumie pan oczywiście, że wszystko to są poufne informacje? — powiedział

Luke. - Nie może pan ich nikomu ujawnić przynajmniej na razie.

— Oczywiście, oczywiście, ale wcale mi to nie przeszkadza. Cała przyjemność leży w poszukiwaniu, w odkrywaniu. Dokonałem zresztą kolejnych odkryć, razem z moim przyjacielem, doktorem Schoenmanem, który jest ekspertem w dziedzinie ludowych legend, a także biologii.

Luke zaczął mieć tego wszystkiego dosyć. Wolałby, żeby jego kawa nie była taka gorąca i żeby profesor Mrstik pośpieszył się, wypił swoją herbatę i zostawił go samego. Czuł

się zmęczony, sponiewierany i potwornie winny. Powinien zobaczyć na twarzy Franka Johnsona zapowiedź tego, co się wydarzy. Widział tę zapowiedź już tyle razy, na twarzach tylu farmerów, ale tym razem odwrócił się od niego plecami. Musiał to sobie przemyśleć w samotności i spróbować się z tym jakoś pogodzić.

— Krzyżówka zwierzęcia i rośliny jest nie tylko możliwa, ale została już zrealizowana, wie pan o tym? — mówił dalej profesor Mrstik. — Przemysł spożywczy dawno odkrył, że można umieszczać geny zwierzęce w roślinach, żeby rosły w ten albo inny sposób. A także vice versa.

Przerzucił przez chwilę plik wycinków prasowych i czasopism, aż w końcu znalazł to, czego szukał.

— Niech pan spojrzy, mam tutaj materiały z ostatniej konferencji Komitetu do spraw Etyki Genetycznej Modyfikacji Żywności... „Do powszechnej praktyki należy obecnie umieszczanie genów zwierzęcych w materiale siewnym i vice versa... dochodzimy do punktu, kiedy znaczna część produktów spożywczych nie będzie miała zdecydowanie zwierzęcego ani roślinnego charakteru". Jak pan zatem widzi, Zielony Janek nie jest wcale bohaterem bajki, ale kimś namacalnym. To, co stworzyły przesady czeskich chłopów, jest w rzeczywistości żywą istotą. Potwornym stworzeniem, tragicznym i zarazem przerażającym.

Ale realnie istniejącym i zdolnym do reprodukcji.

— Co pański przyjaciel ma do powiedzenia na temat dzieci Janka i jego metod reprodukcji?

— W gruncie rzeczy niewiele. Doktor Schoenman jest tylko biologiem amatorem, a nie genetykiem. Zaproponował jednak, że zapyta kilku badaczy w Instytucie Spellmana. Macie tu pod samym nosem jeden z czołowych ośrodków genetycznych w całym kraju.

Profesor Mrstik poślinił kciuk i zaczął ponownie kartkować swoje dokumenty.

— O tutaj... zaproponował dwa nazwiska: doktora Raoula Lacouture'a i Gartha Matthews'a.

— Doktor Lacouture nie żyje. Zginął przed kilku dniami podczas eksperymentu, który wymknął się lekko spod kontroli.

— A tak, zdaje się widziałem to w wiadomościach. Czy to nie on był tym badaczem zabitym przez świnię?

- Tak, to on. Ale z tego, co wiem, doktor Matthews wciąż cieszy się dobrym zdrowiem.

Rozmawiali jeszcze chwilę, a potem profesor Mrstik wręczył Luke'owi kompletny przekład notatek Terence'a, a także inne materiały, które udało mu się zebrać.

Musi pan informować mnie o dalszych postępach śledztwa, szeryfie — powiedział. —

Ten temat bardzo mnie fascynuje. Współczesny świat odrzucił tyle legend; ale dopiero teraz zaczynamy sobie zdawać sprawę, że przez całe stulecia kryło się między nami wiele dziwnych i potwornych rzeczy. Nie wiem, po co staramy się wymyślać niemożliwe do zrealizowania fantazje w rodzaju „Jurassic Park", podczas gdy obok nas chodzą po ulicach prawdziwe cuda genetyki... Jeśli kiedykolwiek odnajdzie pan tego Zielonego Janka, musi pan pozwolić mi go zobaczyć. Nalegam na to. Niech pan to potraktuje jako honorarium za tłumaczenie.

— Pomyślę nad tym — odparł Luke. — Proszę jednak pamiętać, że gdyby Janek dowiedział się o pana istnieniu, grozi panu osobiste niebezpieczeństwo. Pierwszy tłumacz, który zaczął przekładać dla nas te notatki, prześladowany był przez nieznanego sprawcę albo sprawców i w rezultacie popełnił samobójstwo.

— Pan Ponican, tak. To nieodżałowana strata. Znałem go całkiem dobrze.

— Jeśli mowa o panu Ponicanie, popełniliśmy błąd, informując o nim prasę. Nie powtórzyliśmy go w pana przypadku. Nikt poza kilkoma osobami nie wie, że dokonał pan przekładu. Na pana miejscu postarałbym się, żeby tak już zostało. Obaj wierzymy w Zielonego Janka, więc chyba nie chce pan usłyszeć dziś o północy pukania do drzwi i odkryć, że złożył panu wizytę.

Profesor Mrstik pokiwał z powagą głową.

— Wezmę sobie do serca pańskie ostrzeżenie, szeryfie.

Kapitan Black ważył więcej od jakiegokolwiek innego wieprza w Ameryce, był jednak wspaniale umięśniony i wyjątkowo silny; był tworem perfekcyjnym. Jego serce i płuca uformowane zostały w wyniku najlepszej krzyżówki genów człowieka i świni. A teraz oczywiście posiadał coś więcej: umysł, który nie tylko potrafił rozumnie reagować na bodźce

— do tego bowiem świnię zdolne były zawsze ale cechowała go także zdolność wyobrażania sobie różnych rzeczy.

Przebiegał przez zagajniki i zarośla rosnące na południowy wschód od Instytutu Spellmana, zmiatając z drogi niczym wielka czarna lokomotywa paprocie i krzaki jeżyn.

Grzbiet ociekał mu wodą, a brzuch oblepiony był błotem. Nie miał już bandaży, ale pooperacyjne blizny prawie się zagoiły i odczuwał zaledwie lekki ból głowy. Trochę go to irytowało, nie odwracało jednak uwagi od jedynej myśli, która pulsowała w jego mózgu od chwili, kiedy odzyskał świadomość.

Emily. Musiał odnaleźć Emily. Zawsze wiedział, że Emily jest inna i że któregoś dnia Emily będzie musiała umrzeć. Emily wcale nie była taka jak Lisa. Nie była taka jak on. Emily była bardziej podobna do taty, w jej żyłach krążyła krew taty, a krew taty była o wiele gorsza, niż myślał.

Od pierwszych przebłysków świadomości — od czasu, kiedy po raz pierwszy usiadł w swoim łóżeczku w wypełnionym słońcem pokoiku przy Vernon Drive, wiedział z całą pewnością, że Emily jest inna, że Emily jest zła.

Kochał ją. Kochał ją z całego serca. Ale kochał ją, kiedy była siostrą, a nie tą inną rzeczą. Kiedy była tą inną rzeczą, kiedy była „Emily”, wydawała się dziwna, nieprzyjemna i zupełnie niepodobna do Lisy i jego samego. Czasami ją obserwował i coś w jej oczach budziło w nim niepokój i nienawiść.

Nad jego głową przetoczył się grom i deszcz lunął ze zdwojoną siłą. Cwałował właśnie wzdłuż brzegu małego okrągłego jeziora, wbijając ciężko racice w gęste czarne błoto. Na drugim brzegu stało między drzewami stadko zmoczonych gęsi czekających, aż minie burza.

Kapitan Black wiedział, że burza nie minie. Wiedział, że deszcz będzie padał aż do końca zniw i że woda zaleje tysiące akrów we wschodniej części stanu Iowa, a także w Missouri i Illinois. Kapitan Black miał mózg świni rasy polsko-chińskiej, ale miał również umysł George'a Pearsona, a George

Pearson był wnukiem Zielonego Wędrowca, dawcy dobrych zbiorów i tego, który jeśli ma ochotę, potrafi je również zepsuć.

Stopniowo zaczął skręcać na północny wschód. Cechował go instynktowny zmysł

orientacji częściowo zwierzęcy, częściowo ludzki, częściowo magiczny. Wyczuwał, z której strony wieje wiatr, wyczuwał zbierające się na krańcach chmur błyskawice. Co więcej, dokładnie wiedział, dokąd zmierza. Wracał do Cedar Rapids, gdzie przebywała Emily. Nie mógł pozwolić Emily odejść. Musiała zostać złożona w ofierze, musiała zostać oddana Zielonemu Jankowi. Tato nie chciał do tego dopuścić. Tato wolał raczej ściąć jej głowę, w taki sam sposób, w jaki ściął głowę jemu.

Przebiegł przez skraj tysiączakowego pola, łamiąc i miażdżąc mokre kłosa powalonej przez deszcz kukurydzy, a potem przeciął pustą drogę. Nagle usłyszał zbliżający się z północy helikopter i natychmiast wbiegł do małego trójkątnego zagajnika. Helikopter nadleciał bardzo powoli i bardzo nisko, pod warstwą chmur. Od hałasu wirnika rozboleła go mocniej głowa, ale mimo to nie poruszył się nawet na centymetr, czekając z kapiącą z ryja wodą, aż przeleci.

Kiedy na polu zapadła z powrotem cisza, wybiegł spomiędzy drzew i ruszył dalej na północ.

Po mniej więcej dziesięciu minutach zobaczył przed sobą grupkę buszujących po polu ciemnych postaci. Padało jeszcze mocniej, nad ziemią unosiła się lekka mgła i z początku nie bardzo wiedział, z kim ma do czynienia.

Ale podbiegłszy bliżej, poczuł w nozdrzach znajomy silny zapach. Chrząknął raz i drugi, a potem wydał z siebie głośny kwik. Postaci, których było trzydzieści albo czterdzieści, cofnęły się, a potem okrążyły go dookoła. Kapitan stanął pośrodku pola, odrzucił do tyłu łeb i wydał z siebie donośny ryk, który był zarazem wyzwaniem i stwierdzeniem faktu.

Jestem tutaj najsilniejszy. Który z was ośmieli się temu zaprzeczyć?

Postaci przysunęły się bliżej. Wycieńczone i przemoczone, zbliżały się do niego z prawdziwym lękiem. Były głodne, zdezorientowane i pozbawione przywódcy, a niektóre poranione i poparzone. Stanowiły resztki nieszczęsnej hodowli Franka Johnsona i ryły właśnie pole, szukając szwedzkiej rzepy.

Kapitan Black zakwiczał ponownie, unosząc w górę swój groteskowy, przypominający wilkołaka łeb. Inne świnie otoczyły go ciasnym kręgiem, ocierając się o niego i chyląc pyski.

Spomiędzy włochatej osłony wyłonił się podobny do korkociągu wielki czerwony penis Kapitana i w błoto uderzyła silna struga moczu. Świnie rasy Berkshire dreptały w cuchnących oparach, składając mu hołd.

Kiedy popędził dalej na pomoc, ruszyły za nim, biegnąc całym stadem.

Bryan Cady jadł właśnie lunch z Williamem Olsenem i jego żoną, kiedy poproszono go do telefonu. Nina, wkładając Williamowi do ust kolejny kawałek mielonego szczupaka, posłała poirytowane

spojrzenie lokajowi.

— Czy ta osoba nie mogłaby poczekać, Newton? Senator właśnie zaczął jeść.

Przykro mi, pani Olsen, ale rozmówca twierdzi, że to pilna sprawa. — Powiedział, jak brzmi jego nazwisko?

— To nie był on, pani Olsen, ale ona. Pani Lily Monarch.

— Ta szalona dziwka... Same cycki i żadnego wychowania. Bryan otarł zieloną lnianą serwetką usta i podniósł pojednawczo rękę.

— Nie denerwuj się, Nino, chodzi zapewne o jakieś szczegóh. które muszę w ostatniej chwili dopracować

— Będę szczęśliwa, kiedy skończy się ten cały szum wokół Zapf-Cady'ego —

warknęła Nina. — Wilham, na litość boską, wszystko wypada ci z ust! Jesteś gorszy niż małe dziecko!

Bryan odsunął swój fotel w stylu chippendale i wyszedł z wyłożonej dębową boazerią jadalni do holu. Telefon stał na połączonym osiemnastowiecznym stoliku pod osiemnastowiecznym wielkim olejem George'a Luksa, który przedstawiał tańczące dzieci i wart był prawdopodobnie ponad półtora miliona. Przez na pół uchylone drzwi widać było polerującą biurko Williama Olsena pokojówkę i śpiącego na jego fotelu kota.

— Bryan, to jest mój telefon.

— Co to znaczy „to jest twój telefon“?

— Jestem aresztowana. Dostałam pozwolenie tylko na jeden telefon.

Bryanowi zaschło w ustach.

— Jesteś aresztowana? Za co, do diabła? Nie próbowałaś chyba uwolnić tego Kapitana Blacka?

Lily zaczęła płakać.

— Próbowaliśmy, Bryan, ale wszystko poszło źle. Harriet złapano, kiedy przecinała płot, Dean zastrzelił strażnika, a Harriet zginęła także, padając na naelektryzowaną siatkę.

— Na litość boską, Harriet, zwolnij trochę. Złap oddech.

— Wszystko poszło źle, Bryan. Harriet nie żyje, a Henry jest w stanie śpiączki. Deana oskarżono o morderstwo, a wszystkich nas o napad z bronią w ręku, czynną napaść i wejście na cudzy teren.

Bryan zacisnął pięść tak mocno, że jego kłykcie zamieniły się w białe plamy.

— Gdzie teraz jesteś? — zapytał, starając się nie tracić zimnej krwi.

— W biurze szeryfa Linn County.

— Czy odczytali ci twoje prawa?

- Tak.

— Czy byłaś w jakiś sposób maltretowana, straszona albo użyto wobec ciebie siły?

— Nie.

— Przypuszczam, że chcesz, abym znalazł ci adwokata?

— Chcę, żebyś mnie stąd wyostał!

— W porządku — odparł Bryan. — Zrobię, co będę mógł. Ale wierz mi, Lily, to poważna sprawa. Mówiłem, żebyś tego nie robiła, na litość boską, ale tobie wydawało się, że wiesz lepiej, prawda? To może nas nawet kosztować całą ustawę.

Nie chcieliśmy zrobić nikomu krzywdy, Bryan. Ale wszystko poszło źle.

Bryan wziął głęboki oddech. Nie trać nad sobą panowania powtarzał sobie. — Ona jest głupia i impulsywna. Prawdopodobnie wszystko spieprzyła. Ale nie trać nad sobą panowania.

- A co z tą świnią? — zapytał.

— O czym ty mówisz?

— O Kapitanie Blacku. Nie udało wam się chyba go uwolnić?

— Oczywiście, że go uwolniliśmy! Po to tam właśnie poszliśmy!

— O Boże, Lily. Powiedz, że to nieprawda.

— Jestem z tego dumna, Bryan. Śmierć Harriet nie poszła przynajmniej na marne.

Wiesz, co zrobili tej świni? Otworzyli jej głowę i wszczepili umysł trzyletniego dziecka.

Potrafisz sobie wyobrazić, co przeżywało to dziecko? Potrafisz sobie wyobrazić, co przeżywał Kapitan Black?

— Jezus — jęknął Bryan. Przycisnął do czoła opuszki palców. Widział, jak lata ciężkiej pracy i wydane na kampanię miliony dolarów osypują się do jego stóp niczym piasek ze zbocza ruchomej wydmy.

— Bryan... — powiedziała Lily. — Wiem, że postąpiłam impulsywnie. Wiem. Ale nie mogłam pozwolić, żeby traktowano to nieszczęsne zwierzę w ten sposób. Możesz zgadnąć, jak bardzo było

nieszczęśliwe, jak bardzo sfrustrowane. Waliło łbem o ściany swojej zagrody.

Celowo się raniło. Świnie nigdy tego nie robią, mają silny instynkt samozachowawczy. Chyba że są szalone albo bardzo nieszczęśliwe, a o Kapitanie Blacku można powiedzieć i jedno, i drugie.

— Wypuściłaś więc szalonego, nieszczęśliwego, ważącego półtorej tony knura... knura, który zabił już jednego faceta i poważnie poranił kilku innych... i wszystko to w imię miłości do zwierząt? Na litość boską, Lily, co ty wyprawiasz?

— Kapitan Black jest żywym stworzeniem, Bryan! Żywym, wrażliwym stworzeniem, takim samym jak ty i ja.

— To wieprz, Lily! Oto, czym jest. Chodzącą na czterech łapach szynką. Schabem, łopatką, boczkiem i golonką!

— Ty hipokryto! — wrzasnęła na niego Lily. — Tak naprawdę nigdy w to nie wierzyłeś, prawda? To wszystko było tylko polityczną rozgrywką!

— A jakie to ma, do diabła, znaczenie? — odpalił Bryan. - Ty ze swoimi partyzantami i tak to wszystko spieprzyłaś!

Nie był tak wściekły od wielu lat. Jeżeli istniała jakaś rzecz, która irytowała go bardziej od nielejalności, oszustw i politycznych łajdactw, to była nią niekompetencja. A jeśli istniała jakaś rzecz, która irytowała go bardziej od niekompetencji, to była nią konieczność wspierania i usprawiedliwiania ludzi, którzy postępowali w sposób niekompetentny.

Bez żadnego rozsądnego powodu - jeśli nie brać pod uwagę niezrównoważonej i sentymentalnej słabości do świń Lily naraziła całą jego polityczną karierę. Kiedy pomyślał, ile czasu stracił zapraszając swoich różnych oponentów na lunch, zjednując sobie stacje telewizyjne, a także redaktorów „Newsweeka” i „Washington Post”, wygłaszając wykłady i biorąc udział w nocnych programach radiowych, ogarniała go taka furia, że z radością rozbiłby na kawałki wszystko, co było w zasięgu jego rąk. Poczul pierwsze objawy hiperwentylacji; w rozmowie nastąpiła długa przerwa, chociaż żadne z nich nie odwiesiło słuchawki.

— Przykro mi, Bryan, jeśli przysporzyłam ci problemów — powiedziała w końcu Lily.

— Naprawdę nie miałam takiego zamiaru. Ale musiałam zrobić coś na własną rękę.

Musiałam coś udowodnić.

— Komu? Temu Deanowi jak mu tam? Harriet? Wszystkim tym wegetariańskim świrom?

— Zawarłam pakt z diabłem, Bryan. Zawarłam pakt z tobą.

— Masz na myśli, że związałaś się nieformalnie z członkiem Kongresu wyłącznie po to, żeby wcielić w życie zboczone pomysły swoich aktywistów?

— Dlaczego jesteś dla mnie taki straszny? — zawołała. - Przecież zawsze powtarzałeś, że w to wszystko wierzysz.

— Posłuchaj, Lily. Ja wierzę w polityczne zaangażowanie! Wierzę w profesjonalizm.

Wierzę w doprowadzanie spraw do końca! A przede wszystkim wierzę w to, że nie wolno postępować niczym zakamieniały idiota i obracać w ruinę układanych miesiącami planów i zainwestowanych milionów dolarów. Jesteś zepsuta, Lily. Jesteś zepsuta i nieobliczalna!

Kiedy zawiera się pakt z diabłem, nie wolno go naruszyć i nigdy nie wolno się z niego wycofać!

— Będę potrzebowała adwokata — stwierdziła łamiącym się głosem Lily.

— Adwokata, Jezus. Będziesz potrzebowała całej pieprzonej palestry.

— Może Kapitan Black przybiegnie po prostu z powrotem.

— Chyba w twoich snach, Lily. Wróc lepiej na ziemię. Wyobraź sobie najgorszy scenariusz, a potem pomnóż liczbę ofiar przez dwa. „Potworna świnia rozerwała na strzępy dzieci w sierocińcu”. „Potworna świnia pożarła mniszki w klasztorze”. Zobacz te tytuły, puść w ruch wyobraźnię.

- A jeśli go złapiemy? Jeśli powiemy, że wypuściliśmy go tylko po to, żeby zwrócić uwagę opinii publicznej?

— Jak mamy go twoim zdaniem złapać, Lily? Mam na sobie w tej chwili sportową marynarkę Cerrutiego za marne trzy i pół tysiąca dolców. Chcesz, żebym pojechał do lasu z lassem i przywiózł ci tego wielkiego wieprza w bagażniku mojego ferrari?

- Ja wiem, kim on jest, Bryan. Wiem, czyj wycinek mózgu mu przeszczepili.

— I co z tego?

— Posłuchaj, Bryan. To George Pearson, ma trzy lata. Kiedy nas aresztowali, słyszałam, jak policjanci rozmawiali z Garthem Matthewsem. George Pearson to ten chłopak, którego zabił własny ojciec, wywiózłszy go z miasta.

— Przypomnij mi.

— Wywiózł wszystkie swoje dzieciaki z miasta i uciął im głowy sierpem, musisz to pamiętać. Zabił również jakichś innych ludzi, ale jednej z jego córek udało się uciec.

— Tak.. — przytaknął ostrożnie Bryan. Zaczęło go to interesować. — Teraz sobie przypominam.

— No więc, właśnie kiedy uwalnialiśmy Kapitana Blacka, Garth Matthews krzyknął

nagle „Emily”... naprawdę wrzasnął, ile tylko miał sił w płucach. Emily to imię siostry George'a Pearsona, tej, która ocalała. Kapitan Black dostał w tym momencie szału. Totalnie mu odbiło.

— Nie był po prostu przestraszony?

— Nie, w żadnym wypadku. Ja go uspokoiłam.

— Garth Matthews zawołał „Emily” i wtedy się wściekł?

— Dokładnie. A potem podsłuchiłam Gartha Matthews, jak mówił temu drugiemu facetowi, Nathanowi jak mu tam, że Kapitan poszedł prawdopodobnie szukać Emily.

— Dlaczego miałby to robić?

— Ty nic nie rozumiesz, Bryan. On może wygląda jak świnia, ale wewnątrz ma osobowość trzyletniego dziecka.

— Naprawdę w to wierzysz?

Tak, przecież go widziałam. Naprawdę w to wierzę.

— I on szuka teraz swojej siostry, Emily?

— Kto inny został mu oprócz matki? A z tego, co usłyszałam w biurze szeryfa, matka wciąż leży w szpitalu.

Bryan przyjrzał się tańczącym na obrazie dzieciom. Tyle niewinności, tyle radości...

— Twierdzisz więc, że Kapitan Black będzie się starał zlokalizować swoją starszą siostrę?

— Dokładnie. Taka jest prawda.

Bryan przez chwilę się zastanawiał. W drzwiach jadalni pojawił się Newton.

— Czy chce pan, senatorze, żebym odgrzał pańskie drugie danie? — zapytał.

Bryan machnął ręką. I tak nie lubił mielonego szczupaka; miał smak na pół

przetrawionego kleju do tapet.

— Posłuchaj, Lily — powiedział. — Dostyc dobrze znasz się na świniach. Wiesz, jak rozumują i co potrafią zrobić.

— Oczywiście — odparła ostrożnie.

— Myślisz, że Kapitan jest w stanie odnaleźć drogę do Cedar Rapids?

— Nie mam co do tego wątpliwości. Świnie mają naprawdę cudowny zmysł orientacji.

Więc on wróci do domu, prawda, do domu Pearsonów? Nie wie chyba, że jego siostra została zabrana do domu dziecka?

— Chyba nie. Tak czy owak z pewnością zaczniesz poszukiwania od jakiegoś znajomego miejsca.

— Dobrze — odparł Bryan. Szybko obmyślał plan działania. Muszę tylko załatwić obserwację domu Pearsonów. A kiedy pojawi się Kapitan Black, ja już tam będę razem ze świniarzami i drużyną strzelców wyborowych i szybko sobie z nim poradzimy. Zaproszę także prasę. Być może uda nam się ocalić coś z tego cholernego fiaska.

- Nigdy w to nie wierzyłeś, prawda? — zapytała.

— Co mam ci powiedzieć? — odparł. Wierzyłem, że ty i ja możemy pracować razem, odnosząc z tego wzajemne korzyści. Ale okazuje się, że ty miałaś zupełnie inne plany.

— Musiałam uwolnić Kapitana Blacka, Bryan. Musiałam pokazać ludziom, jak nieludzkie są te eksperymenty.

— Naprawdę? Przysporzyłaś mu prawdopodobnie więcej bólu i przerażenia niż to, którego zaznał wcześniej. Posłuchaj... muszę teraz załatwić parę telefonów, zorganizować całą tę imprezę. Do adwokata zadzwonię później. Tymczasem z nikim nie rozmawiaj.

— Kocham cię, Bryan, wiesz o tym. Należę do ciebie. Bryan wydał z siebie krótkie zniecierpliwione westchnienie.

— Nie uważasz, że trochę się z tym spóźniłaś? Jeśli ustawa Zapf-Cady'ego zostanie odrzucona w głosowaniu, stracę miliony dolarów, a moja polityczna kariera legnie w gruzach.

I wszystko to z twojego powodu. To dosyć zabawny sposób, żeby okazać komuś miłość, nie sądzisz?

— Bryan...

— Wszystko skończone, Lily. Zapomnij o tym. Nie sądzę zresztą nawet, że coś w ogóle się zaczęło. Załatwię ci zwolnienie za kaucją; zapłacę za adwokata. Ale na tym koniec.

To wszystko, co zamierzam zrobić.

Nie czekał na jej odpowiedź. Zamiast tego odłożył słuchawkę i stał przez chwilę, wpatrując się zamglonymi oczyma w obitą drewnem ścianę. Nie trać nad sobą panowania —

powtarzał sobie. — Postaraj się skoncentrować. A potem złapał telefon i cisnął go przez całą długość holu, tak że roztrzaskał się na przeciwległej ścianie.

ROZDZIAŁ XIV

Czarna furgonetka z zaciemnionymi szybami minęła powoli dom dziecka, a potem zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni i wjechała tyłem w wąską, alejkę pomiędzy bankiem rolniczym a blokami Cedar Apartments. Świadek zgasił silnik, wyłączył wycieraczki i po krótkiej chwili przednią szybę zalały strugi deszczu.

— To tutaj, prawda? - zapytała Naga.

— Tak, tutaj. To ten dom.

— W takim razie pójdiesz teraz ze Świadkiem do środka i dowiesz się, gdzie trzymają twoją córkę.

— A jeśli trzymają ją pod strażą albo coś w tym rodzaju?

— Będzie wam towarzyszył Miecznik.

— Nie mogę tego zrobić. Nie wpuszczą nas do środka. Muszą mieć jakieś zabezpieczenie. Wezwą policję. Zabiją nas.

— Musisz — powiedziała Naga, a jej głos w dziwny sposób przypominał Terence'owi głos odzianej w ciasny trykot tancerki z „Elviry Madigan”, namawiającej swego kochanka, Sixtena, żeby ją zastrzelił. — Musisz.

— Nie wpuszczą nas do środka — wybełkotał. — Nie wpuszczą nas! Przyjrzyj się nam! W tych maskach!

— Nie bój się, Świadek i Miecznik zdejmą maski. Miecznik weźmie ze sobą tylko jeden miecz i dobrze go schowa.

— Nie mogę tego zrobić — upierał się Terence. Strach zupełnie go sparaliżował. Miał wrażenie, że czerwone krwinki krążą po jego ciele niczym po sześciopasmowej autostradzie.

— Musisz.

— Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

— Jeśli tego nie zrobisz, przyjacielu, umrą tysiące osób. Sam widzisz, co się dzieje z pogodą. Ziarno już teraz jest mokre albo zwietrzałe. Wiesz dlaczego. Zanim Zielony Wędrowiec upora się z czymkolwiek innym, musi najpierw uporać się z tymi, którzy mu zagrażają... tymi, którzy zagrażają czystości jego rodu. Istnieją pędy silne i proste i pędy krzywe i zdegenerowane, a ty jesteś pędem, który zmienił wszystko. Jeśli was nie zniszczymy, ty i twoje dzieci możecie któregoś dnia zniszczyć ojca.

Terence zaczął w niejasny, fragmentaryczny sposób uświadamiać sobie, dlaczego Zielonemu Wędrowcowi tak bardzo zależy na Emily. W kilku swoich książkach czytał o dzieciach Zielonego Janka, które „nie rosły prawidłowo, na wzór ojca”. U niektórych zniekształcenia dawały się zauważyć od razu przy urodzeniu; takie potomstwo było na ogół

duszone albo topione przez swoich rodziców.

W roku tysiąc sześćset trzydziestym drugim w Bruges we Flandrii dostrzeżono martwe dziecko, pływające kanałem pod mostem Hoogs-traat. Jego plecy pokryte były mokrymi liśćmi, żyły i tętnice

przeszyte wijącymi się korzeniami, a serce dosłownie zielone, niczym mała papryka. Sporządzony węglem przez Antona van Dycka szkic jego ciała wciąż można dzisiaj oglądać w prywatnym gabinecie Muzeum w Groeninge. W tym przypadku zawarte w naturze Zielonego Wędrowca roślinne geny w widoczny sposób zdominowały wygląd jednego z jego potomków.

W przypadku innych dzieci perwersyjna struktura genetyczna ujawniała się później bądź nie aż tak widocznie. Dopiero po osiągnięciu dojrzałości zdradzały oznaki, świadczące o wpływie, jaki wywarła na nie nieczłowiecza część Zielonego Wędrowca. W

dziewiętnastowiecznej niemieckiej broszurze, zatytułowanej „Unheiligen Kinder”, Terence przeczytał o wydarzeniu, które miało miejsce w Westfalii, w położonej niedaleko Munster wiosce Drensteifurt. Rodzice pewnej młodej wiejskiej dziewczyny zastali ją w łóżku, wijącą się z bólu. „Z twarzy schodziła jej skóra, spod której wyłaniała się zielona czaszka... a ostre kolce i gałązki przebijały od środka jej nocną koszulę”. Cierpiała tak straszne męki, że przybrany ojciec dobił ją w końcu siekierą.

Takich właśnie dzieci Zielony Wędrowiec obawiał się najbardziej; i takie dzieci zawsze niezmordowanie tropił i unicestwiał w rytuale „ognia i miecza”.

Zielonemu Wędrowcowi stale brakowało pierwiastka ludzkiego. Był niczym doprowadzony do ostateczności narkoman: potrzebował coraz więcej i więcej ludzkich wnętrzności, aby powstrzymać rozwój korzeni i pędów, które wrastały w jego organizm.

Terence nie wiedział dobrze, w jaki sposób Emily może zagrażać Jankowi, ale to, że mu zagraża, było oczywiste — a w takim razie za podobne zagrożenie Janek musiał także uważać i jego. Spłodzwszy jedno takie dziecko jak Emily, Terence mógł zawsze spłodzić następne.

Dlatego chyba Zielony Wędrowiec oszczędził ją tej nocy, kiedy zabił Mary. Potrzebował jej zaproszenia po to, aby pożreć wnętrzności swego syna, ale Terence'a nie było przecież wtedy w domu.

Terence chciał zabić Emily, była bowiem wnuczką Janka i bał się, że może go zaprosić do domu i doprowadzić do zguby całą rodzinę. Ale teraz zdał sobie sprawę, że Emily może stać się jego wybawieniem.

Janek szeleścił i wiercił się z tyłu furgonetki. Terence nie potrafił sobie wyobrazić bardziej nienaturalnej i pokracznej istoty; wiedział już teraz, że dla przetrwania Janka kluczowe znaczenie ma czystość jego linii. Dzieciom nigdy nie wolno było się zbuntować.

Musiały zawsze poddawać się jego woli. Pierwsze dziecko, które nie otworzy przed nim drzwi, będzie tym, które zagłodzi go na śmierć i pozbawi możliwości" stania się z powrotem istotą ludzką. Pierwsze dziecko, które nie odpowie na jego pukanie, sprawi, że korzenie wplotą się jeszcze głębiej w jego tętnice, a gałęzie wgryzą w mózg.

— Jesteś gotów? — szepnęła Naga. — Jeśli będziesz się dalej upierał, sprawimy ci wielki ból.

— W porządku — odparł Terence. Twarz miał zroszoną potem. Ale nie zrobicie nam żadnej

krzywdy?

— Może nie zrobimy, a może zrobimy — odparła. — Janek daruje wam życie, pod warunkiem że weźmiecie udział w ceremonii oczyszczenia jego linii: że oboje przysięgniecie nie mieć dzieci i wyjedziecie gdzieś daleko, do miasta, gdzie nie ma farm ani pastwisk. Jesteś krzywym, zdegenerowanym pędem; a twoja Emily krzywym i zdegenerowanym odgałęzieniem.

— Czy Janek kiedykolwiek darował komuś życie? — zapytał Terence.

— Tym razem może to zrobić. Ale musi mieć pewność, że weźmiecie udział w ceremonii oczyszczenia i że na zawsze opuścicie to miejsce.

Terence obrócił się i zmierzył wzrokiem ciemną krzaczastą postać. Deszcz bębnił o dach furgonetki; Trędowaty zakasłał i splunął na podłogę. Pearson zdawał sobie sprawę, że Janek nie zasługuje na zaufanie i że trudno uwierzyć, aby darował im życie. Ale nie miał

praktycznie wyboru. Wiedział ze swoich ksiązek, że kiedy ludzie odmawiają Wędrowcowi tego, czego od nich chce, konsekwencje są na ogół katastrofalne. Pod koniec średniowiecza zaraza ziemniaczana skazała tysiące mieszkańców w Europie Środkowej na śmierć głodową

— a wszystko dlatego, że pewien chłop wolał spalić swoją córkę żywcem w stogu siana, niż pozwolić, żeby pożarł ją Zielony Wędrowiec.

Deszcz nie przestawał bębnić o dach; Terence wiedział, że będzie padać aż do chwili, kiedy Janek odnajdzie swoją wnuczkę. Już teraz

Missouri wystąpiła z brzegów w dwudziestu ośmiu różnych miejscach i tysiące akrów ziemi uprawnej znalazło się pod wodą.

Rzucił okiem na zegar na tablicy rozdzielczej. Była druga siedemnaście; poczuł, że doskwierają mu głód i pragnienie.

— Dobrze — powiedział. — Zróbmy to, póki możemy. Świadek zdjął maskę. Pod spodem jego twarz była prawie tak samo biała, pokryta gładką jak porcelana skórą, z czarnymi, słowiańskimi oczyma i pozbawionymi wyrazu, wąskimi jak kreska ustami. Widział

wszystko: najbardziej nikczemne ludzkie czyny, najbardziej ohydne przykłady wiarołomstwa i zdrady, ale na jego twarzy nie odbijało się kompletnie nic. Był świadkiem; i pozostawał

niewzruszony.

Miecznik także zdjął swoją maskę. Jego twarz była zupełnie inna — kanciasta i pokryta szramami, z ostrym spiczastym nosem i błyszczącymi szarymi oczyma. Miał niewielką kozią bródkę i rzadkie szare wąsiki. Chociaż posłał Terence'owi krótkie wyzywające spojrzenie, jego twarz sprawiła na nim wrażenie zupełnie martwej — podejrzewał, że gdyby ośmielił się jej dotknąć, poczułby pod palcami naruszoną rozkładem, serowatą tkankę.

— Idźcie — powiedziała Naga. — I zachowajcie ostrożność.

Zielony Wędrowiec wydał z siebie cienki gwizd, po którym nastąpiło wyraźne cmoknięcie. Terence nie miał nawet odwagi spojrzeć w jego stronę.

Chłopak o imieniu Nóż otworzył tylne drzwi i wyszli na zewnątrz, przecinając na ukos moką, śliską ulicę. Chociaż Świadek i Miecznik stąpali po obu stronach Terence'a, odgłosy ich kroków dochodziły go wyraźnie z tyłu. W strugach deszczu byli ledwie widoczni —

podobni bardziej do ruchomych cieni niż dwóch niebezpiecznych średniowiecznych zbójców.

Weszli przez wahadłowe drzwi do domu dziecka. Wyłożony brązowym dywanem westybul był jasno oświetlony i ozdobiony przypiętymi do ścian dziecinnymi obrazkami.

Założyciel Cedar Rapids uhonorowany był pełnym pasji malowidłem pod tytułem „Osgood Shephard buduje chatę przy brzegu Cedar Rapids”, przedstawiającym pomalowany na jaskrawopurpurowy kolor dom pierwszego osadnika. Pod przekrzywionym rysunkiem młyna widniał podpis „Zakłady Zbożowe North Star, 1872, obecnie Quaker Oats Company (gdzie pracuje mój tato)”.

Terence podszedł do wysokiego plastikowego biurka, za którym siedziała przystojna czarna kobieta w okularach, wystukując coś na klawiaturze komputera.

— Czym mogę służyć? — zapytała, nie podnosząc wzroku. Ale potem wyprostowała się, zdjęła okulary i przyjrzała całej trójce z wyraźną dezaprobatą, w szczególności zaś Świadkowi; zwęziła oczy i zmarszczyła brwi, tak jakby chciała go przenieść w niebyt. I prawie jej się to udało, bowiem kontur jego postaci wydawał się niewyraźny i zaniżony, a oczy wisiały w powietrzu niczym grudki krwi w inseminowanym sztucznie jajku.

— Szukam dziewczynki o nazwisku Emily Pearson — powiedział Terence. —

Powiedziano mi, że może tu być.

— Mogę udzielić na ten temat informacji wyłącznie krewnym odparła recepcjonistka.

— Ale mogłaby mi pani powiedzieć, czy tutaj w ogóle jest.

— Nie, to niemożliwe. Nie udzielamy informacji nikomu z wyjątkiem krewnych.

— Wiem. Ale ja jestem... jej wujkiem.

— Jest pan jej wujkiem... Może pan to udowodnić?

— Nie bardzo.

— Nie mogę panu udzielić żadnej informacji na temat Emily Pearson, dopóki pan tego nie udowodni.

— To znaczy, że jest tutaj?

Recepcjonistka potrzęsnęła głową i odwróciła się w stronę komputera. Jej karmazynowe paznokcie zaczęły z powrotem skakać po klawiszach.

— Powiedziałam już panu. Informacji udziela się wyłącznie krewnym.

Miecznik pochylił się nad biurkiem. Terence nie zobaczył żadnego ruchu, a jednak w ręku Miecznika znalazł się długi, wąski, skrzący się niczym diament sztylet. Jego ostrze dotykało szyi recepcjonistki. Dziewczyna zastygła w przerażeniu; palce zsunęły się jej z klawiatury, a oczy rozszerzyły.

— Powinna pani chyba udzielić nam tej informacji — stwierdził Terence.

Recepcjonistka przełknęła ślinę i pokiwała głową.

— Jest tutaj, tak. Przywieziono ją wczoraj.

— Doskonale. Gdzie teraz przebywa?

— Właśnie skończył się lunch. Siedzi prawdopodobnie w świetlicy i ogląda telewizję.

— Gdzie jest świetlica?

— Korytarzem do tyłu, potem na pierwsze piętro schodami po lewej stronie i pierwsze drzwi naprzeciwko schodów.

Terence zerknął na ulicę.

— Nie zawiadomi pani gliniarzy, prawda? - zapytał.

— Uuhumm — potwierdziła recepcjonistka, przewracając w dół oczyma, aby dojrzeć ostrze, które Miecznik opierał o jej szyję.

— Co pani powiedziała? — zapytał Terence.

— Powiedziałam, że nie zawiadomię gliniarzy. To właśnie powiedziałam.

— Tak też myślałem.

Terence spojrział na Świadka, który pokazał mu skinieniem głowy, że powinni udać się na tyły budynku i odnaleźć Emily. Odwróciwszy się z powrotem, zobaczył, że ostrze sztyletu wynurzyło się z drugiej strony szyi recepcjonistki — zaledwie na kilka centymetrów — a potem ponownie zniknęło. Miecznik wytarł ostrze o rękaw i schował sztylet z powrotem do pochwy. Nie wydawał się nawet zainteresowany tym, co zrobił. Przez kilka chwil recepcjonistka siedziała nadal wyprostowana, ale potem, kiedy ją mijali, przechyliła się nagle i upadła na podłogę. Jej ramiona udrapowane były strużkami błyszczącej krwi.

— Musiałeś ją zabić? - zaprotestował szeptem Terence. — Nie zrobiła ci nic złego!

Miecznik pchnął go w plecy, dając do zrozumienia, że może robić, co i kiedy mu się podoba. Terence potknął się i ruszył korytarzem, mijając kolejne dziecinne obrazki i wypisane wielkimi literami hasło MY, DZIECI MCKINLEYA, JESTEŚMY KOCHANE I SZCZĘŚLIWE.

Wspięli się po schodach i pchnęli wahadłowe drzwi. Świetlica pogrążona była w półmroku; siedzące na poobijanych fotelach, kanapach i workach z fasolą dzieci oglądały

„Indianę Jonesa i Świątynię Przeznaczenia”, wpatrując się w ekran starego wielkiego telewizora firmy General Electric. Były tak zafascynowane sceną składania ofiar z ludzi, że prawie żadne nie odwróciło się, kiedy Terence, Świadek i Miecznik weszli do środka i zaczęli niecierpliwie rozglądać się dookoła, próbując zidentyfikować Emily.

Boże, proszę, niech nie okaże się, że jej tutaj nie ma — pomyślał Terence. Ale potem jedna z dziewczynek, siedząca na worku z fasolą tuż przed telewizorem, odwróciła się, żeby zobaczyć, co się dzieje, i to była ona.

Wszystko rozegrało się niczym na puszczonej w zwolnionym tempie filmie. Jej oczy rozszerzyły się, usta otworzyły; a potem zerwała się z worka i ruszyła biegiem w stronę znajdujących się po przeciwnej stronie sali drzwi.

— Emmmiiiiilllyyyyy! — wrzasnął Terence, zwijając dłonie w trąbkę. Miecznik wyciągnął sztylet, a Świadek popędził za nią w swoim białym płaszczu, który zwijał się i rozwijał niczym fok płynącego po pełnym morzu statku.

Sztylet przeleciał przez świetlicę, obracając się powoli w powietrzu. Przez ułamek sekundy Terence myślał, że Miecznik ją zabił, że trafił ją prosto w serce. Ale ostrze przebiło tylko rękaw różowej wełnianej bluzki i przygwoździło ją do drzwi z odgłosem, który przypominał szczęk zamykanego wieka trumny. Terence nie powinien się obawiać. Wiedział, że Miecznik nie może jej zabić: nie może, jeśli Emily nie odda mu się z własnej woli.

Wiedział również, że Miecznik nie zabije jej, dopóki Emily nie złoży Zielonemu Jankowi w darze życia swego własnego ojca.

— Tato — wyjąkała Emily. Miała bladą, przerażoną twarz. Niektóre dzieci zaczęły krzyczeć, inne płakać, ale większość zachowywała milczenie.

Terence przeszedł powoli przez salę. Emily skurczyła się ze strachu. Jej oczy latały gorączkowo na wszystkie strony, szukając dróg ucieczki. Rozumiał dlaczego. Chciałby jej wszystko wytłumaczyć, ale nie wiedział po prostu jak. Muszę cię stąd zabrać, bo twój dziadek jest na pół człowiekiem, na pół krzakiem i potrzebuje naszych flaków, żeby utrzymać się przy życiu? Muszę cię stąd zabrać, ponieważ jeśli tego nie zrobię, tysiące ludzi straci cały swój dobytek, a setki kolejnych mogą stracić życie?

Muszę cię stąd zabrać, ponieważ zostałeś sprzedana jeszcze przed swoim urodzeniem i nie masz w ogóle żadnego wyboru: musisz ponieść konsekwencje chciwości swego przybranego dziadka i nieudolności ojca.

— Emily — powiedział, wyciągając rękę. - Oni nas uwolnią. Nie zamierzam cię skrzywdzić, kochanie. Nie muszę już tego robić.

Miecznik ścisnął go za ramię i wskazał palcem drzwi, dając do zrozumienia, że powinni natychmiast opuścić budynek. A potem podszedł do Emily, wyciągnął nóż z jej rękawa i pchnął ją w stronę Terence'a, jakby była workiem mąki.

Terence próbował wziąć ją za rękę, ale odsunęła się.

— Nie — syknęła.

Nie rozumiesz, kochanie. Teraz jest inaczej. Spojrzała na niego i w jej oczach było coś, czego nie rozumiał; coś, co go przestraszyło. Przez krótką chwilę nie wyglądała wcale jak Emily. Jej twarz przypominała maskę maskarnika, wyzierały z niej czyjeś cudze oczy.

Terence odsunął się i spojrzał niepewnie na Świadka, ale ten dał mu z chłodną niecierpliwością znak, że mają się pośpieszyć. Przeszli razem przez drzwi, zbiegli na dół i minęli recepcję. Terence próbował nie patrzeć na krew, ale nie mógł się powstrzymać.

Miecznik znał się nie tylko na szermierce, ale i na anatomii; wiedział, którędy biegną tętnice i jak wbić ostrze, żeby w przeciągu chwili trysnęły z człowieka gejzery krwi.

Wyszli z budynku i ruszyli przez jezdnię. Przejeżdżający taksówkarz nacisnął na ich widok na klakson.

— Hej, wy — zawołał. — Macie ochotę umrzeć? Miecznik zatrzymał się, odwrócił i zmierzył go nieruchomym wzrokiem. Taksówkarz otworzył powoli usta, a potem zamknął je i z piskiem opon ruszył dalej Dziesiątą Ulicą.

Terence trzymał opuszczoną w dół głowę i w ogóle się nie odzywał. Idący obok niego Świadek popchnął Emily w boczną alejkę i otworzył drzwi furgonetki.

— Nie chcesz mi chyba obciąć głowy, tato? — zapytała cienkim jak papier głosem Emily.

— Nie, kochanie, nie zrobię tego — odparł Terence. — Ale nie wiem, co się wydarzy.

Jest tu twój prawdziwy dziadek. Twój prawdziwy dziadek, Zielony Wędrowiec. I to, co się z nami stanie, zależy od niego.

Miecznik i Świadek wsiedli do furgonetki. Świadek założył z powrotem maskę, usiadł

za kierownicą i zapalił silnik. Doktor odwrócił w ich stronę bladą jak lampa twarz.

— Boję się, tato.

— Ja też, kochanie. Ale skorzystajmy z tej szansy. Zielony Wędrowiec zgodził się darować nam życie. Ma nas uwolnić, jeśli wyjedziemy z Iowy i zamieszkamy w jakimś wielkim mieście: może w

Cleveland albo Indianapolis.

— Tylko tyle musimy zrobić?

— Tak sędzę.

Emily, a w ślad za nią Terence wsiedli do furgonetki; Nóż zamknął za nimi drzwi.

Terence powinien zgadnąć, że coś jest z nią nie w porządku. Żadna inna jedenastoletnia dziewczynka nie wdrapałaby się tak chętnie do zaciemnionej furgonetki, w której jednym rogu tkwił szeleszczący ruchomy krzak, a w drugim usmolona zakapturzona postać — chora, kaszląca i cuchnąca trądem.

Wyjechali w strugach deszczu na ulicę. Naga wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Emily.

— Zimno ci, kochanie.

— Nie jestem pani kochaniem i zawsze jest mi zimno.

— Wiesz, dlaczego tutaj jesteś, prawda?

— Tak.

— Coś poszło źle, Emily. To nie twoja wina. Twój ojciec rodząc się, obrócił się w złą stronę i dlatego ty, Lisa i George również nie obróciliście się jak trzeba.

Skręcili na południowy wschód w Mount Vernon Road. Emily zerknęła na Terence'a, tak jakby szukała potwierdzenia, czy to, co mówi Naga, jest prawdą; ale jej ojciec z rozmysłem odwrócił głowę, wpatrując się w przednią szybę. Nie miał pojęcia, co szykuje im Zielony Wędrowiec; wiedział tylko, że wszelkie rytualne sądy nie należą do łatwych i że całkiem prawdopodobne jest, że oboje z Emily poniosą śmierć. Ziarno było zawsze ważniejsze od ludzi, którzy je uprawiali; w całej wschodniej Iowie ziemia pełna była kości farmerów, którzy oddali życie za obfite plony; a także tych, którzy oddali za nie duszę.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Emily.

— Z powrotem do waszego domu — odpowiedziała Naga. - Tam zapukamy, tak jak to zrobiliśmy wcześniej, do drzwi, a ty nam otworzysz.

— A jeśli was nie wpuszczę?

— Wpuścisz — odparła Naga. — Dobre dziewczynki zawsze nas wpuszczają.

Luke zapukał lekko do drzwi i wszedł do pokoju, w którym Garth i Nathan od godziny i dziesięciu minut czytali przekład profesora Mrstika.

— Jak idzie? — zapytał, opierając swój potężny pośladek o skraj biurka.

— Fascynujące — oświadczył Garth, odkładając kilka ostatnich kartek na blat biurka i zaczął masować powieki. — Absolutnie i całkowicie fascynujące. To pierwsze, jakie kiedykolwiek widziałem, niepodważalne świadectwo związków łączących mityczne postaci z naukową genetyką. Kto wie, co czeka nas w następnej kolejności? Może uda się udowodnić istnienie wrózek?

— Wiec wierzy pan, że to prawda, cała ta historia o Zielonym Wędrowcu?

— Nie do końca — odparł Garth. — Część legendy wydaje się dość naciągana. Ale samo jądro jest zdecydowanie autentyczne. Pearson przewertował dokładnie większość pochodzących z ostatniego okresu relacji. Wierzę również, że istniał niegdyś autentyczny obrzęd przemiany człowieka w drzewo... istnieje na ten temat siedem albo osiem niezależnych przekazów, każdy pochodzący z innego okresu. Większość miała miejsce na Dominice, Haiti i w Brytyjskiej Gujanie, ale odnotowano również izolowane przypadki w Rumunii i Czechach.

Najbardziej jednak interesują mnie argumenty genetyczne, a te są bardzo przekonujące.

Książki, które studiował Terence Pearson, mają po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, a niektóre nawet ponad sto. We wszystkich powiada się wyraźnie, że „człowiek i krzak były naprawdę połączone, tak że nie można było oddzielić jednego od drugiego”. Dokonaliśmy pewnych kombinacji genów roślinnych i zwierzęcych u Spellmana. Udało nam się stworzyć żabę, która miała na plecach dosłownie mech zamiast skóry. Ale to można posunąć dalej, o wiele dalej.

Mówimy tutaj o zwierzętach, które mogą częściowo dokonywać fotosyntezy i o roślinach, które zdolne są do podstawowych procesów myślowych. Wszystko to jest możliwe, wszystko to się dzisiaj robi.

— Myślałem, że pan mnie wyśmiej. Że mi pan nie uwierzy.

Garth wzruszył ramionami. Był blady, zmęczony i posiniaczony.

— Dziesięć, nawet pięć lat temu może bym nie uwierzył. Ale od tego czasu dokonaliśmy w genetyce wielkiego skoku naprzód i codziennie próbujemy czegoś nowego.

Niech pan spojrzy choćby na Kapitana Blacka.

— Chętnie bym to zrobił, doktorze Matthews, gdybym tylko wiedział, gdzie go szukać.

— Moim zdaniem wraca do domu - powiedział David.

- Tak? Czemu tak sądzisz?

— Wraca do domu, bo nie ma innego miejsca, do którego mógłby pójść.

— Doktorze Matthews? - zapytał Luke. Garth wzruszył ramionami.

- To wcale niegłupia myśl. Może powinien pan jednak zwrócić uwagę na dom Pearsonów.

— Wyśle tam paru policjantów, żeby mieli oko na to, co się dzieje.

— Kiedy tylko ktoś go zobaczy, proszę mi dać znać — powiedział Garth. — Raoul i ja poświęciliśmy najlepsze lata naszego życia, żeby stworzyć Kapitana Blacka. Zawsze uważaliśmy, że po przeszczepie wycinka ludzkiego mózgu będzie się zachowywał w sposób bardzo potulny. Niestety wygląda na to, że w procesie jego genetycznej obróbki wyciągnęliśmy prawdziwą dziką kartę: spokrewniliśmy go mianowicie z tym Zielonym Wędrowcem, o którym mówi Terence Pearson. Szczerze mówiąc, nie sposób teraz stwierdzić, czy jest świnią, chłopcem, mitycznym maszkarnikiem, czy też specyficzną kombinacją wszystkich trzech.

— Chciałbym tylko wiedzieć — oświadczył Luke - jakim cudem udało wam się wejść w posiadanie wycinka mózgu małego George'a Pearsona bez zgody jego rodziców?

— Na użycie niewielkiej ilości pobranej z cudzych zwłok tkanki nie jest na ogół

potrzebna niczyja zgoda — stwierdził Garth. - Do powszechnej praktyki należy na przykład pobieranie przysadki mózgowej, mielenie jej na proszek i wytwarzanie z niego hormonów, które wchodzi w skład lekarstw i substancji pobudzających wzrost. Z tego, co ostatnio czytałem, corocznie usuwa się przysadkę z ponad miliona zwłok. Pobieramy również regularnie tkankę mózgową i używamy jej w kilku rodzajach zabiegów neurochirurgicznych, na przykład przy przeszczepach opony twardej

— Nikogo o to nie pytając? - zapytał zdumiony Luke.

— Tam, dokąd pan idzie, i tak pan tego ze sobą nie zabierze - wtrącił Nathan.

W tej samej chwili w uchylone drzwi zapukała Jean Lehman, pulchna rudowłosa policjantka, która zawsze przypominała Luke'owi Lorette Swift. Eskortowała posiniaczoną, bladą i najwyraźniej załamana Lily Monarch.

— Pani Monarch chciała się z panem zobaczyć, szeryfie. Twierdzi, że to pilne.

— Doskonale — stwierdził wyprostowując się Luke. - Czym mogę pani służyć, pani Monarch?

— Chciałabym z panem porozmawiać - oznajmiła bardzo cichym głosem Lily. —

Chodzi o Kapitana Blacka,

— W takim razie poszukamy jakiegoś wolnego pokoju — powiedział Luke.

— Nie, nie. Mogę mówić tutaj. Doktor Matthews i ja jesteśmy przeciwnikami, jeśli chodzi o wiwisekcję i eksperymenty na zwierzętach, ale chyba powinien wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. Może będzie w stanie pomóc.

— Jeśli o mnie chodzi, w porządku — stwierdził Garth. — Zna pani pozostałych dwu dżentelmenów? To jest doktor Nathan Greene, patolog z centrum medycznego Mercy, a to jego syn, David.

Lily posłała im krótki wyniosły uśmiech.

— Właśnie skorzystałam z telefonu — powiedziała.

— Mogła pani podać mojemu zastępcy nazwisko pani adwokata.

— Nie rozmawiałam jeszcze z adwokatem. Zadzwoniłam do senatora Bryana Cady'ego. Słyszał pan zapewne, że jest kimś w rodzaju mojego przyjaciela. Albo w każdym razie był.

— Proszę mówić dalej.

— Bryan jest na mnie wściekły dlatego, że uwolniłam Kapitana Blacka. Uważa, że to zmniejszy szansę ustawy Zapf-Cady'ego w wyznaczonym na przyszły tydzień głosowaniu w Kongresie. Postanowił więc samemu odnaleźć i złapać Kapitana Blacka.

- Naprawdę? I w jaki sposób ma to zamiar zrobić?

— Ma zamiar obstawić dom Pearsonów świniarzami i strzelcami wyborowymi. I zawiadomić oczywiście środki przekazu. Uważa, że jeśli uda mu się złapać Kapitana, stanie się kimś w rodzaju bohatera.

— A więc senator Cady również uważa, że Kapitan Black będzie szukał drogi do domu. - Taka była moja sugestia.

— Obecny tutaj młody David jest tego samego zdania. Próbuje sobie wyobrazić, co zrobiłby trzyletni chłopiec.

— A ja próbuję sobie wyobrazić, co zrobiłby dorosły knur rasy polsko-chińskiej.

Kiedy to mówiła, w jej głosie zabrzmiał dziwny ton, który nie uszedł uwagi Luke'a.

Lily usiłowała mu coś przekazać coś, co było dla niej bardzo ważne, ale do czego najwyraźniej równocześnie trudno jej było się przyznać.

— Jakim cudem może pani sobie wyobrazić, co czuje i ma zamiar zrobić dorosły knur?

— zapytał.

Przez kilka chwil nie odzywała się ani słowem.

— Może powinien pan zajrzeć w moje akta — stwierdziła wreszcie.

— Tak? A czego konkretnie powinienem szukać?

— Dziewczyny znalezionej w chlewie — powiedziała. — Pamięta pan dziewczynę znaną w chlewie?

— Przypominam sobie — odezwał się Nathan. — To było przed piętnastu laty, prawda? Gdzieś w Prairieburgu albo innym podobnym miejscu. Na jakiejś położonej na odludziu farmie odnaleziono siedmioletnią dziewczynkę. Jej rodzice zmarli trzy lata wcześniej, ale zaopiekowały się nią świnię. Była bardziej świnia niż człowiekiem.

— Zgadza się — powiedziała Lily. — Nauczyła się z nimi porozumiewać; rozumie, czego chcą i potrafi sobie wyobrazić, dokąd mogą pójść, kiedy są samotne, przestraszone i spragnione czyjegós towarzystwa.

Luke zmierzył ją uważnym wzrokiem.

— Próbuje mi pani dać do zrozumienia, że to pani?

W oczach Lily zaśniły łzy.

— Tak. Dziewczyna znaleziona w chlewie to ja.

— Ale z tego, co słyszałem, ta mała dziewczynka stała się niemal świnia. Potrzebowała lat psychoterapii, aby uwierzyć, że jest człowiekiem.

— Wciąż się leczę. Jeśli nie wierzy mi pan na słowo, proszę zadzwonić do doktora Cohena w Cedar Institute.

— Zadzwonię — powiedział Luke. — Nie dlatego, żebym pani nie wierzył, ale ponieważ uważam, że powinienem. Nie chcę, żeby przydarzyło się pani coś, co zniweczyłoby efekty terapii. Biuro szeryfa mogłoby odpowiadać za ewentualne szkody.

— Dziewczyna znaleziona w chlewie... — powiedział Garth. — Fascynujący przypadek.

— To nie był tylko przypadek, doktorze Matthews. To byłam ja. Powtórzyła im w skrócie to, co opowiedziała już Bryanowi Cady'emu — o tym, jak umarli jej rodzice i wychowywały ją świnię. Słuchali w milczeniu, a kiedy skończyła, popatrzyli na siebie, poru-szeni i wstrząśnięci.

- Twierdzi więc pani — oświadczył Luke, pukając się palcem w czoło — że znając tak dobrze świnię, jest pani w stanie przewidzieć, co zrobi Kapitan Black?

- Tak uważam — odparła, ocierając oczy rękawem. — To pani go wypuściła. Dlaczego chce pani nam teraz pomóc go złapać? Zostanie z powrotem wysłany do Instytutu Spellmana.

Chcę wam pomóc go złapać, ponieważ popełniłam głupi błąd w ocenie Bryana... w ocenie senatora Cady'ego. Nie chcę, żeby r senatora spłynęła z tego tytułu jakakolwiek zasługa.

— Senator Cady obawia się prawdopodobnie, że powiązania z osobami, które napadają na ośrodki badawcze, mogą negatywnie wpłynąć na losy jego ustawy — powiedział Garth.

Lily pokiwała głową.

— Nazwał mnie najgorszymi wyrazami, jakie może pan sobie wyobrazić, i jeszcze kilkoma innymi.

— Ja też mógłbym nazwać panią kilkoma wyrazami — stwierdził Garth.

— Nie dbam już o to, czy ratyfikują tę ustawę - powiedział Lily. — Myślałam, że Bryan jest idealistą. Myślałam, że ma jakie społeczne przekonania. Ale to, że ustawa chroni prawa zwierząt! jest wynikiem przypadku. To kolejny element gry wyborczej. Ustaw; Zapf-Cady'ego ma służyć jedynie dalszej politycznej karierze Bryana

— Wygląda na to, że spadły pani z oczu łuski - oświadczył zgryźliwym tonem Garth.

Luke spojrział na zegarek.

— W porządku - oznajmił. — Wydaje mi się, że powinniśmy zobaczyć, co dzieje się w domu Pearsonów. Pani pojedzie z nam również, pani Monarch, ale będę nalegał, żeby miała pani na rękad kajdanki.

— Czyja też mogę pojechać? — zapytał podekscytowany David.

— To może być niegłupi pomysł, szeryfie - stwierdził Garth. David potrafi postępować z Kapitanem Blackiem... albo może z George'em Pearsonem.

— Tylko pod warunkiem, że zostanie w samochodzie i nie będzie wychylał z niego nosa — zgodził się Luke.

Lily podeszła z wyciągniętą ręką do Gartha.

— Przykro mi, że to wszystko się tak potoczyło - powiedziała. Garth zmierzył ją niechętnym wzrokiem.

— Wciąż jeszcze nic pani z tego nie rozumie, prawda? W imię jakichś sentymentalnych naiwnych mrzonek wystawiła pani na szwank dzieło całego mojego życia.

Oczywiście, że wiem, iż świny są żywymi stworzeniami. Oczywiście, że ubolewam, kiedy cierpią. Ale ludzkie cierpienia, którym mogą pomóc zapobiec, są milion razy większe.

— Tak czy owak, przepraszam - powiedziała Lily, cofając rękę. Zabrzęczał telefon.

— Słucham — rzucił Luke, podnosząc słuchawkę. - O co chodzi? Jestem zajęty.

— Mówi zastępca Walsh, szeryfie. Mam dwa raporty: jeden z lotniska, drugi ze śródmieścia.

— Dobre czy złe wiadomości?

— Chyba złe. Pilot prywatnego helikoptera zobaczył na wschód od lotniska zabłąkane, liczące około stu sztuk stado świń, zmierzających na północny wschód, w stronę miasta.

Wygląda na to, że to te same świnie, które spowodowały wczoraj w nocy wypadek na Siedemdziesiątej Szóstej Alei. Jedyna różnica polega na tym, że teraz mają przywódcę: olbrzymiego czarnego sukinsyna, trzy razy większego od normalnej świni.

— To Kapitan Black - stwierdził krótko Luke. - Wygląda na to, że znalazł sobie drużynę. Czy wysłaliśmy tam nasz własny helikopter?

Próbowaliśmy, ale pogorszyły się warunki pogodowe. Zamknięto nawet lotnisko.

Wysłaliśmy trochę wozów z napędem na cztery koła, ale mają do pokonania bardzo trudny teren.

— Cholera. Dobra, róbcie, co możecie. A ten drugi raport?

— Wcale się to panu nie spodoba, szeryfie. Mniej więcej dwadzieścia minut temu do Domu Dziecka McKipleya włamali się trzej mężczyźni. Ranili śmiertelnie recepcjonistkę, a potem poszli do świetlicy i porwali niech pan zgadnie kogo.

Luke zakrył pulchną dłonią oczy.

— Nie wierzę — powiedział. — Chyba nie Emily Pearson?

— Trafił pan w dziesiątkę, szeryfie.

— Ktoś ich widział?

— Tak jest. Kilku przechodniów, większość dzieci i taksówkarz. Dwaj mieli białe twarze, byli wysocy i trochę niesamowici. Trzeci był lekko zbudowany, blady, z krótko obciętymi włosami.

— Terence Pearson — szepnął Luke.

Zgadza się. Zidentyfikował go pozytywnie taksówkarz. Twierdzi, że i tak go zapamiętał ze zdjęcia w gazecie.

- A pozostali dwaj?

- Taksówkarz jest niezdecydowany. Mówi, że z jakiegoś powodu niezbyt dobrze ich widział.

— Czy ktoś widział pojazd, którym uciekli?

— Czarna furgonetka marki Chevrolet, ostatni model z przyciemnionymi szybami. Bez tablic rejestracyjnych.

- W którą stronę odjechała?

- Skreśliła na północny wschód w Czwartą Aleję, a potem zniknęła w ruchu ulicznym.

Szeryf odłożył milcząc słuchawkę.

- Stało się coś złego? - zapytał usłużnie Garth.

Tak - odparł Luke. - Wydaje mi się, że nawóz właśnie dotknął skrzydeł wentylatora.

Za ośrodkiem handlowym Cedar Mall rozciągał się rozległy, pokryty zaroślami podmokły teren, który stopniowo tracił cechy stałego lądu i przekształcał się po prostu w błotnisty dopływ Cedar River.

Minęła dopiero czwarta po południu, ale deszczowe chmury wisiały tak nisko że wokół

zabudowań włączone były wszystkie latarnie i neony. Światło rzucało wielobarwną poświatę na zalany deszczem parking i odbijało się czerwonymi i zielonymi smugami w położonych dalej kałużach i słonawych bajorkach.

Kapitan Black stał po kolana w jednym z tych bajerek, z pochylonym w dół czarnym łbem i ociekającymi wodą uszami i ryjem. Inne świny otoczyły go ostrożnie i z szacunkiem, co jakiś czas pochrząkując i kwicząc.

Kapitan Black wiedział to, co wiedział George Pearson że ośrodek handlowy oznacza jedzenie. Kapitan nie jadł nic od rana i burczało mu w brzuchu. Dziennie zjadał na ogół do siedmiu kilogramów paszy, a nie zużywał przecież zwykle tyle energii, ile zużył dzisiaj — na bieg i zachowanie ciepłoty ciała.

Podniósł ryj i zaczął węszyć. Północno-zachodni wiatr przyniósł zapach upieczonego w piekarni ośrodka Cedar Mali chleba; a także smażonych hamburgerów i frytek. Kapitan wydał

z siebie głęboki, dudniący pomruk i stąpając po błocie i chaszczech ruszył powoli w stronę zabudowań. Inne świny podążyły w ślad za nim, chociaż część była zbyt głodna i wyczerpana, żeby dotrzymać mu kroku.

Przebiegły przez parking, stukając racicami o asfalt niczym zbliżające się na rozszczepionych kopytach diabły. Ubrana w nieprzemakalne płaszcze rodzina wychodziła właśnie przez główne wyjście, pchając przed sobą wyładowane po brzegi wózki i pochylając głowy przed wiatrem i deszczem.

— Popatrzcie! Świny! - krzyknęło jedno z dzieci. Przestraszeni i zdumieni rodzice cofnęli się, zderzając się wózkami.

Świny wyłoniły się z mroku i deszczu i ich oczy zabłyśły w padającym ze środka świetle. Ich sierść pokryta była grubą warstwą błota, z ryjów kapala ślina. Otworzyły się przed nimi gładko automatyczne drzwi i zanim ktokolwiek zdążył pomyśleć, jak je zatrzymać, prawie cała setka wbiegła do wnętrza.

Było tam ciepło, sucho, jasno i tłocznie. Ośrodek zbudowano na planie krzyża lotaryńskiego, z jedną długą centralną promenadą i dwiema przecinającymi ją mniejszymi.

Podłogi wyłożone były białym marmurem, a wzdłuż całej centralnej promenady stały marmurowe donice z palmami, fontanny i półabstrakcyjne rzeźby, przedstawiające kulturalne dziedzictwo Cedar

Rapids indiańskie czółna, szkockie kobzy i czeskie wyroby ze szkła.

Czarny jak sam Szatan i piekielnie brudny Kapitan Black zatrzymał się pośrodku promenady i wydał z siebie ostry, przenikliwy ryk, który uciszył gwar, rozbrzmiewające tu i ówdzie śmiechy i nawet płynącą z głośników przesłodzoną instrumentalną wersję „I Can't Help Falling in Love With You”.

Kapitan ryknął po raz drugi i trzeci, a potem zawtórowało mu całe otaczające go dzikie przemoczone stado. Jakaś kobieta krzyknęła ze strachu, gdzieś indziej zaczęło płakać dziecko.

— Rany boskie! — wrzasnął jakiś mężczyzna. — To prawdziwy potwór!

Dla ludzi wychowanych na „Rzeczy” i „Szczękach” możliwa jest tylko jedna reakcja na hasło „potwór”: totalna panika. W powietrze wzbił się zbiorowy okrzyk strachu, podobny do tego, który wydają pasażerowie samolotu, przekonani, że za chwilę umrą. Ludzie zaczęli biegać w tę i z powrotem, stukając i szurając podszewkami po marmurowych płytach. Łapano w objęcia dzieci, porzucano wózki do zakupów, zostawiano wszędzie torby i koszyki.

Kapitan Black zobaczył biegających ludzi i on także poderwał się do biegu. Bieg był

taki podniecający. Nie rzucił się jednak za nikim w pogoń. W przeciwieństwie do jego wychudzonych i zajadłych współtowarzyszy, głód nie zamienił go jeszcze w pożerającą wszystko, co da się strawić, bestię.

Przebiegał centralną promenadą, łamiąc palmy, rozbijając fontanny i przewracając wózki do zakupów, krzesła i porzucone dziecinne spacerówki. Zadrapał do krwi bok o jedną z rzeźb i ryknął głośno z bólu; świnię rasy Berkshire odpowiedziały mu zbiorowym kwikiem.

Kupujący rozpierzchli się na wszystkie strony. Dwie albo trzy świnię wpadły do piekarni i zaczęły pożerać ciasta i bułki. W powietrzu fruwały okruchy i fragmenty wypieków. Woski piekarz próbował odpędzić je kijem od szcnotki, ale w chwilę później do środka wbiegły cztery następne. Wpadły mu prosto pod kolana, zbijając z nóg i zanim zdążył

się zorientować, leżał już na plecach, a świnię szarpały go za nogawki spodni i fartuch.

— Poszły precz! Poszły precz! — wrzasnął na nie, wściekły i przestraszony.

Jedna ze świń złapała go zębami za ucho i oderwała je razem z długim fragmentem skóry od głowy. Połała się pierwsza krew. Reszta zwierząt zostawiła porozrzucane i podeptane kawałki pieczywa i kwicząc głośno, rzuciła się na piekarza.

Inne świnię wpadły do McDonald'sa i powskakiwały na lady, rozszarpując cheeseburgery i rozrywając polistyrenowe pudełka i torebki z frytkami. Jeden z intruzów próbował zwinąć hamburgery prosto z grilla. Sparzony ryj zaskwierczał głośno, a świnię zaskrzeczała i przewróciła się bokiem na płytę, dymiąc spaloną szczecina i wymachując nogami w agonii.

Grupa dwudziestu albo trzydziestu zwierząt zagoniła sześcioro dzieci do sklepu Baby World. Świnię były tak zajadłe, że walczyły ze sobą o to, która pierwsza przecisnie się przez drzwi. W Baby World

nie przeżyło żadne dziecko; nie było również żadnych świadków. Ale witryna, za którą ustawiono zabawki dla niemowląt, konie na biegunach i łóżeczko w stylu Nowej Anglii, pokryła się nagle plamami krwi i strzępami porozrywanych ciał.

Kapitan Black już się posilił. Trzy albo cztery świnie przyniosły i rzuciły mu do nóg bochenki chleba, pęta kielbasy i szynki, a on spokojnie i z godnością zaspokoił głód, a potem ruszył powoli kompletnie wyludnioną centralną promenadą, wydając głębokie gardłowe pomruki. Przychodziłem tutaj już wcześniej — pamiętam — pomyślał, ale to było zanim...

Zanim co? Wciąż nie mógł pojąć, co mu się przydarzyło; ani kim jest. Czuł, że jest silny i potężny, ale równocześnie wydawało mu się, że jest słaby i mały, i nie mógł zrozumieć dlaczego. Emily. Emily powie mu, kim jest.

Przechadzał się centralną promenadą, kiedy usłyszał dziwne zawodzące odgłosy.

Przypominały mu coś podniecającego, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Nie zatrzymał się.

W sklepie obok pięć świń szarpało leżącą na plecach dziewczynę. Na jego widok podniosły na chwilę ryje. Ich oczy były straszliwe, a z umazanych pysków kapą ciepła krew. Kapitan odwrócił się. Te świnie napawały go obrzydzeniem. Były słabe i okrutne, ale wiedział

również, że muszą coś jeść. Słyszał głośnie krzyki i otwierające się drzwi. Zobaczył

migoczące czerwono-niebieskie światła. Dotarł prawie do końca promenady, y do środka wbiegło siedmiu albo ośmiu ludzi. Ludzi — wiedział, nazywają się ludzie. Stanęli w jednej linii i zaczęli krzyczeć w jego stronę. Ten, który stał pośrodku, krzyczał najgłośniej. Jim!

Masz już ten sztucer na słonie? Jeśli ta dziecina da jeszcze jeden krok do przodu, wyślemy ją prosto do jatek! Rob, zacznij sprawdzać sklepy. Zabijaj każdą napotkaną świnie!

Kapitan Black utkwiał oczy w stojącym pośrodku mężczyźnie i próbował mu coś powiedzieć. Kiedy był jeszcze w swoim kojcu, próbował z nim rozmawiać jakiś mężczyzna i chłopiec. Chłopiec wymienił mnóstwo imion, a potem powiedział „Emily”. Niekiedy ich głosy uspokajały go, ale działo się tak niezbyt często. Na ogół doprowadzały go do szału. Nie potrafił sobie przypomnieć, czym są „ludzie”. Nie potrafił sobie uzmysłwić, czym jest on sam.

Ale wiedział, że nie podoba mu się ten facet pośrodku, ten, który najgłośniej krzyczał.

Kapitan dał trzy kroki do przodu i obnażył kły, a potem ryknął, ile miał sił w płucach, bo miał ochotę ryczeć.

Mężczyzną w środku był komendant John Husband. Jechał właśnie do domu, wracając z długiego spotkania z miejskim wydziałem planowania ruchu, kiedy odebrał telefon z Cedar Mali. Zawrócił natychmiast o sto osiemdziesiąt stopni i był jednym z pierwszych policjantów, którzy dotarli na miejsce.

Ledwo mógł uwierzyć własnym oczom. Oglądał fotografie Kapitana Blacka w gazetach, a jednak nie zdawał sobie sprawy, że świnia może być tak duża — i tak piekielnie szpetna. Kapitan był niemal tak duży jak volkswagen minibus. Knur dał dwa albo trzy kroki do przodu; jego mokra, pokryta szlamem szczecina dosłownie parowała w powietrzu.

— Cofnij się! — wrzasnął na niego John. Ale Kapitan Black nie miał bynajmniej zamiaru się cofać.

Jeden z policjantów trzymał oburącz dubeltówkę.

— Kusak! — krzyknął John. — Odstrzel mu łeb. Reszta niech się zajmie pozostałymi świniami!

W tej samej chwili Kapitan Black ruszył biegiem w ich stronę. Jego radcę stukały głośno po marmurowych płytach. Oczy utkwione miał prosto w Johnie, tak jakby chciał samą siłą wzroku zmusić go do uległości. John podniósł w obu dłoniach magnum kaliber czterdzieści cztery, wycelował w czarny łeb i strzelił. Pocisk wyleciał z lufy z szybkością siedemdziesięciu siedmiu metrów na sekundę i lewe ucho Kapitana eksplodowało w fontannie krwi i chrząstek. Hałas był wprost ogłuszający.

Sierżant Kusak strzelił również i pełny ładunek śrutu trafił knura w lewy bark. Od dała oderwał się wielki kawał mięśnia i Kapitan ryknął z bólu.

John strzelił ponownie; Kapitan był już bardzo blisko i nie zwalniał kroku. Pocisk odbił

się od podłogi i stłukł wielką hartowaną szybę apteki Petriego. John próbował uskoczyć na bok, ale w ostatniej chwili dała o sobie znać stara rana po kuli i ugięła się pod nim noga.

Kapitan Black zderzył się z nim z szybkością ponad trzydziestu kilometrów na godzinę i cisnął o szybę sklepu z kosmetykami.

John nie miał nawet czasu krzyknąć. Przeleciał przez całą długość sklepu i wylądował

na wielkim ściennym lustrze. Miał wrażenie, jakby wszystko w nim popękało, jakby w jego płucach nie było nic poza skorupkami jaj. Ostatnią rzeczą, jaką poczuł, był wbijający mu się w ucho świński kiel.

Kapitan Black ryknął i dał krok do tyłu, a John osunął się w dół, zostawiając na lustrze potrójną smugę krwi.

Przez długi moment Kapitan Black stał nieruchomo pomiędzy rozbitymi buteleczkami perfum, popękkanymi szminkami i rozsypanym pudrem i wpatrywał się w swoje odbicie.

Zobaczył potworną bestię — bestię, która przerażała nawet jego. Wydając gardłowy pomruk odwrócił się ostrożnie w stronę wyjścia.

Centrum handlowe rozbrzmiewało strzałami i przeraźliwym kwikiem. Osaczano i zabijano kolejne świnie. Wybiegając ze sklepu z kosmetykami Kapitan Black zorientował się, że stoi przed nim sześciu mężczyzn uzbrojonych w strzelby i rewolwery.

Podnieśli broń w górę i wiedział, że chcą mu zrobić krzywdę. Wydał z siebie potężny wściekły ryk i zaszarżował wprost na nich.

Słyszał huk wystrzałów i czuł ciężkie, bolesne uderzenia pocisków. Ale nie odniósł aż tak poważnych ran, żeby zdołali go zatrzymać. Ruszył ku bocznemu wyjściu, wciąż rycząc i zmierzając w stronę deszczu i mroku rozświetlonego iskrami ulicznego ruchu.

— Zamknijcie te drzwi! — krzyknął sierżant Kusak. Jeden z policjantów przesunął w dół wajchę, która blokowała automatyczne drzwi.

— Kiedy tylko się odwróci, ognia! — zakomenderował sierżant Kusak.

Podnieśli ponownie broń i wycelowali ją. Ale Kapitan Black wcale się nie odwrócił.

Kapitan Black nie zawahał się nawet przez sekundę. Widząc przed sobą wyłącznie otwartą przestrzeń i wolność, nie zwalniając nawet kroku uderzył w szklane drzwi.

Trzy tony szkła rozprysły się z potężnym hukiem na miliony roziskrzonych okruchów.

Przez sekundę wydawało się, że zawisły w powietrzu niczym diamentowa kurtyna, a potem opadły w spektakularnym deszczu na podłogę, a Kapitan Black przebiegł przez nie i niczym ciemna burzowa chmura zniknął w ciemności.

Sierżant Kusak prawie płakał, wrzeszcząc do swego radiotelefonu.

— Jeden policjant zabity! Jeden policjant zabity! Knur uciekł! Dajcie mi, na miłość boską, jakąś ciężką artylerię! Strzelby na niedźwiedzie, cokolwiek! Przyślijcie także więcej ambulansów! I kogoś, kto potrafi naprawdę strzelać!

Czarna furgonetka podjechała pod dom Pearsonów i stała przez kilka minut z silnikiem na biegu. Ulica była mokra i pusta. W domu Terpstrów okna były ciemne, a owinięta w plastikową folię poranna gazeta wciąż leżała na trawniku. Najwyraźniej nikt nie zauważył, że Terpstrowie nie pojawili się od wczoraj.

Naga dotknęła w końcu ramienia Świadka, który zgasił silnik.

— Chyba nic nam nie grozi — powiedziała, zwracając się do Terence'a. — Możemy teraz chwilę odpocząć... rytuał musi zawsze odbyć się jedenaście minut po jedenastej.

Jedenastka była świętą liczbą u Czechów, a Formosus, papież, który dał nam nieśmiertelność, był sto jedenastym papieżem. Zaczekamy na najbardziej mistyczny moment.

Czekali zatem. Siedzący na przednich fotelach Świadek i Doktor w końcu zasnęli.

Potem opadł do przodu kaptur Trędowatego, a jego oddech przeszedł w głośnie, niezdrowe chrapanie. Nóż czuwał i sądząc po dobiegających z tyłu furgonetki szelestach i skrobaniu nie spał również Zielony Janek. Terence nie wiedział, czy zasnął Miecznik. Głowa Nagiej przechylała się stopniowo

coraz bardziej w bok i w końcu jej włosy dotknęły ramienia Terence'a.

Równocześnie oparła się o jego bark miękka skórzana sakiewka, którą nosiła na szyi.

Usłyszał brzęk schowanych w środku monet. Tkwiąc zupełnie nieruchomo nasłuchiwał przez bardzo długi czas oddechu śpiących przebierańców i ohydneho chrobotu Janka.

A potem zachowując maksymalną ostrożność i wstrzymując oddech, podniósł lewą rękę i dotknął palcami sakiewki. Opasujący ją na górze skórzany rzemyk zaciśnięty był bardzo mocno, ale udało mu się wsunąć do środka kciuk i palec wskazujący i powoli ją rozsunać.

Nóż nie spuszczał z niego wzroku, ale w furgonetce było zbyt ciemno, żeby ktokolwiek dostrzegł, co robi.

Terence położył sakiewkę na stulonej dłoni i delikatnie nią potrząsnął. Monety wypadły na zewnątrz i potoczyły się bezszelestnie na leżące na podłodze koce. Chciał złapać jedną z nich, ale wyslizgnęła mu się z palców.

Odchylił się do tyłu i próbował odprężyć, chociaż cały drżał ze zdenerwowania. Nie mógł odebrać monet innym przebierańcom, ale teraz przynajmniej można było zabić jednego z nich. Nawet najmniejsza szansa była lepsza od żadnej.

Za piętnaście jedenasta Nóż wyciągnął rękę i potrząsnął Nagą za ramię. Z początku próbowała go odepchnąć, ale potem otworzyła oczy.

— Jak długo spałam? - zapytała. - Czuję się taka zmęczona.

Terence nie odpowiedział, podobnie jak Emily. Ale Nóż uniósł w górę dziesięć palców, a potem jeszcze jeden, żeby pokazać, że zbliża się jedenasta.

— Czas, żebyście poszli - powiedziała Naga. Wydawała się poirytowana i roztargniona.

Terence wiedział dlaczego, ale nie zamierzał jej oczywiście tego wyjaśniać. Nie miała już przy sobie pieniędzy Judasza Iszkariota; monet sporządzonych ze srebrnych blach, którymi obite były kolumny otaczające najświętszy przybytek. Nie żyła już jedno uderzenie serca później. Była z powrotem śmiertelna, choć nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy.

- Pośpiesz się, musisz już iść — popędzała go. Terence chciał wziąć Emily za rękę, ale ta odsunęła jego dłoń.

- Przepraszam — powiedział, nie mając na myśli wyłącznie tego, że chciał ją wzdać za rękę.

Nóż otworzył furgonetkę, a potem razem z Nagą i Miecznikiem ruszyli, eskortując Terence'a i Emily do drzwi wejściowych.

— Wiecie, co macie robić? — zapytała Naga. Zdjęła swoją maskę i spojrzała mu w oczy. Jej twarz była blada, prawie srebrzystoszara, ale w specyficzny słowiański sposób bardzo piękna. Na

włosach, na rzęsach i na ustach skrzyły się krople deszczu.

— Mamy zaczekać, aż zapukacie — powiedział napiętym głosem Terence. — A potem Emily ma was zaprosić.

— Wiesz, że twój ojciec daruje ci życie, prawda? Potrafi przebaczać, jeśli taka jest jego wola. Ale będzie potrzebować krwi, żeby dopełnić rytuału.

— Ile krwi?

— Pobierze ci ją z żyły. Nawet nie poczujesz.

Terence wziął głęboki oddech, a potem zakaszłał.

— Jeśli to jedyny sposób...

— Inaczej się nie da, wierz mi — zapewniła go Naga.

Terence podszedł do drzwi, a potem nagle odwrócił się i nerwowo roześmiał.

— Nie mam przecież klucza. Jak zdołamy zaprosić was do środka, jeśli nie możemy tam wejść sami?

Miecznik dał bez słowa krok do przodu i wyjął z pochwy swój błyszczący sztylet. Wbił ostrze w bok drzwi, a potem uderzył otwartą dłońią w rękojęść. Drewno odłupało się, a Miecznik kopnął obutą stopą drzwi, otwierając je na oścież.

— Teraz wejdźcie do środka i zapalcie światło — powiedziała Naga. — Postarajcie się stworzyć gościnny nastrój.

— Kiedy zapukacie?

— To zależy od twojego ojca. Ale zapewniam cię, że niedługo.

Terence wszedł wraz z Emily do środka i pozapalał światła w pokojach. Dom był zimny, wilgotny i opuszczony. Terence mógłby przysiąc, że wciąż unosi się w nim zapach śmierci. Nie jest łatwo pozbyć się tego zapachu. Przywiera do domu równie mocno jak do duszy,

Emily stanęła, złożwszy skromnie ręce, pośrodku salonu i rozei rżała się dookoła.

— Nie wygląda już, jakby to był nasz dom - powiedziała.

— Masz rację. Po wizycie Zielonego Wędrowca nic nie jest już tak jak przedtem.

— Teraz wiem, dlaczego zabiłeś Lisę i George'a. I dlaczego chciałeś zabić mnie.

Terence podszedł do stojącej obok telewizora małej tacy z drinkami i nalał sobie bourbona. Szyjka

butelki zabrzączała nerwowo o szklanke. Terence wypił, odkaslnął i nalał

sobie kolejną szklaneczkę.

— Rozumiesz — powiedział. — Ale czy potrafisz wybaczyć? Emily obserwowała go dziwnym wzrokiem przez okręcone plastrem okulary.

— Dlaczego chcesz, żebym ci przebaczyła? — zapytała.

— Chyba każdy, kto krzywdzi ludzi, potrzebuje przebaczenia.

— W naszych żyłach płynie zła krew, prawda?

— Tak, krew Janka. Janek jest moim ojcem; i twoim dziadkiem; i spłodził nas specjalnie po to, żeby móc nas później pożreć.

— Myślisz, że chce nas pożreć właśnie teraz?

— Nie wiem. Przyrzekł, że tego nie zrobi. Legenda mówi, że nie musi pożerać własnych dzieci, jeśli tego nie chce. Kiedyś, nie tak dawno temu, zakochał się w jednej ze swoich córek i nie pożarł jej. Innym razem, w dziesiątym wieku, darował życie całej rodzinie liczącej siedmioro dzieci. Ale zawsze wymaga jakiegoś okupu: kawałka skóry, palca, kosmyka włosów albo krwi. Nie odchodzi nigdy z pustymi rękoma. Ofiarował kiedyś część swojego życia, żeby dać lepsze zbiory twoim rodzicom... a teraz musi wziąć część życia w zamian.

Emily zmarszczyła czoło, tak jakby wpadł jej do głowy jakiś pomysł.

— Jak nazywała się ta dziewczyna, której darował życie?

— A jakie to ma znaczenie? To wydarzyło się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym albo ósmym, zaraz po drugiej wojnie światowej. Chyba w Illinois.

— Jak nazywała się ta dziewczyna, której darował życie? — powtórzyła Emily.

— Dlaczego chcesz wiedzieć?

— To ważne.

— Nie wiem... Jej nazwisko jest w jednej z moich książek... jeśli oczywiście nie zabrali jej gliniarze.

— Znajdź ją i powiedz mi, jak się nazywała.

— Emily...

— Znajdź ją — rozkazała. Jej głos stał się nagle gardłowy i niewyraźny.

— W porządku, jeśli tego chcesz, ale zaręczam ci...

— Znajdź ją!

Terence już miał zamiar wyjść z salonu, kiedy nagle rozległo się donośne pukanie do tylnych drzwi.

— To oni! — szepnął.

— Najpierw znajdź nazwisko tej dziewczyny — nalegała Emily.

— Nie zaprosisz ich do środka?

— Nie wcześniej, niż znajdziesz nazwisko.

Pukanie trwało dalej i nie ustawało nawet na chwilę. Przy drzwiach stał Miecznik. Przy drzwiach stali Doktor i Świadek. Pukał Trędowaty; pukali Naga i Nóż. Ale najbardziej przerażające było to, że przy drzwiach pojawił się w końcu Zielony Wędrowiec. Pukał i pukał, czekając, aż Emily zaprosi go do środka.

Terence ruszył biegiem na górę. Miał wrażenie, że jego nogi wypełnione są wodą, a nie mięśniami i kośćmi. Na piętrze pukanie wydawało się tak samo głośnie jak na parterze.

Podszedł do swego gabinetu, zdjął klucz z futryny, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Obrócił się, ale Emily została na dole. Chwilę się wahał, a potem zapalił światło i podszedł do półki.

Policjanci z biura szeryfa zabrali wszystkie teczki, pamiętniki i ilustracje leżące na biurku, ale zostawili większość stojących z tyłu książek, w tym także Biblie. Była również książka, której potrzebował: „Wiejska mitologia we współczesnej Ameryce” Holzbergera i Wendta. Zdjął ją z półki i zajrzał do indeksu pod hasło Zielony Janek.

Pukanie nie ustawało, denerwując Terence'a do tego stopnia, że ledwie mógł czytać. Ale stopniowo, wodząc palcem po tekście i przelżykając bez przerwy ślinę zdołał odczytać interesujący go fragment.

„Zielony Janek przybył podobno do Ameryki w początkach osiemnastego stulecia, istnieje jednak wiele sprzecznych relacji co do sposobu, w jaki on i jego poplecznicy przebyli Atlantyck...

Jedna z ostatnich odnotowanych wizyt miała miejsce w Millersburgu w zachodnim Illinois, wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Historia głosi, że pojawiwszy się na małej farmie, żeby zaoferować swoje normalne usługi, rozpoznał w żonie farmera swoją własną potomkinię.

Była czeską imigrantką i pochodziła w prostej linii od jednej z córek Janka, zapłodnionej przez niego w połowie siedemnastego wieku podczas wędrówek po Czechach.

Pokochał tę córkę do szaleństwa i dał jej w kazirodczym związku dziecko, mając nadzieję, że uwieczni w ten sposób jej urodę, stulecie po stuleciu, córka po córce.

Rozłączyły ich wojny i tysiące kilometrów, a mimo to Zielony Janek natychmiast rozpoznał dziewczynę.

Współczesny mit głosi, że w zamian za obfite zbiory Janek spłodził w kazirodczym związku z żoną farmera z Millersburga następne dziecko i że jego linia przetrwała na Środkowym Zachodzie Ameryki aż do dziś. Wszystkie jego córki i wnuczki są dość niezwykle.

Warto tutaj dodać, że średniowieczne wersje legendy o Zielonym Janku zawierają nieodmiennie ostrzeżenie, że do upadku doprowadzi go, podobnie jak Narcyza, miłość do własnego odbicia i że zbuntują się przeciwko niemu jego własne ciało i krew".

Pukanie do drzwi było tak uporczywe, że Terence miał wrażenie, jakby Zielony Wędrowiec łomotał wewnątrz jego głowy. Lewą dłoń przycisnął do czoła, żeby zagłuszyć hałas, a prawą kartkował nadal szybko „Wiejską mitologię”, w poszukiwaniu jakiegoś nazwiska. Znajdź nazwisko, rozkazała mu Emily; i wiedział, że musi to zrobić. Nie znalazłszy żadnych nazwisk w głównym tekście, zajrzał do „Źródeł i Dodatków”, szukając odniesień do stron, na których opisane były kazirodzkie związki Zielonego Janka.

„Peoria Journal-Star, 17 marca 1947: Żona farmera obwinia o brutalny atak przebranego za krzak mężczyznę. — Żona farmera w małej wiosce Millersburg, Illinois, złożyła w środę zastępcom szeryfa skargę na mężczyznę, który dokonał na nią brutalnego ataku. Sprawca miał

na sobie przebranie sporządzone z liści i gałązek. Pani Karolina O'Neill, która przybyła do Illinois dopiero w zeszłym roku jako uchodźca z Pragi w Czechosłowacji, oświadczyła, że mężczyzna zapukał do jej drzwi we wczesnych godzinach porannych, a ona zaprosiła go do środka, przekonana, że jest potrzebującym pomocy zabłąkanym wędrowcem".

Terence spojrział na dół przypisu. „Pani O'Neill — przeczytał tam czarno na białym —

znana była dobrze mieszkańcom czeskiej społeczności Peorii pod nazwiskiem Karoliny Ponican".

Zamknął książkę i stał zupełnie nieruchomo, słuchając pukania. Zielony Wędrowiec nie zamierzał odejść. Będzie pukał i pukał, aż Emily zaprosi go do środka. Ale dlaczego Emily go nie zapraszała? Była przecież wnuczką Zielonego Wędrowca, a czyż wszystkie jego wnuki nie błagają zawsze swoich rodziców, żeby wpuścić go do środka? On jest święty, mówią, wpuścimy go pod nasz dach.

Ale może nie wpuściłyby go do środka, gdyby były inne. Może nie wpuściłyby go do środka, gdyby ich natura bardziej przypominała jego własną. Gdyby spłodzone były przez bliskich krewnych, gdyby wyrodziły się i w ich żyłach płynęła zła krew. W wyniku powtarzającego się kazirodztwa linie dziedziczne słabną i podlegają zmianom genetycznym i być może nadszedł czas, kiedy Zielony Janek będzie musiał zapłacić za uwiecznianie tej jedynej twarzy

— jedynej oprócz swojej własnej którą naprawdę pokochał.

Karolina Ponican była siostrą Leosa Ponicana i dlatego właśnie Leos dobrze wiedział, jakie czekają go męczarnie, jeśli wpadnie w ręce Zielonego Wędrowca. Ale Karolina Ponican wyszła potem za

mąż i została Karoliną O'Neill, a to nazwisko było Terence'owi świetnie znane, bowiem tak właśnie nazywała się jego teściowa. Iris była córką Zielonego Janka, a on, Terence, był jego synem.

Byli dla siebie bratem i siostrą i dali życie trójce dzieci, których dziadek od strony ojca był jednocześnie ich dziadkiem od strony matki i który genetycznie rzecz biorąc był

dziwolągiem przekraczającym wszelkie granice wyobraźni.

Pukanie trwało dalej, ale Emily nie zwracała na nie uwagi. Terence zszedł z powrotem na dół. Jego córka stała w salonie, wpatrując się w niego z zaciśniętymi z całej siły pięściami i ściągniętymi w kreskę ustami.

— Skąd wiedziałas? — zapytał.

— Skąd wiedziałam co?

— Skąd wiedziałas, że twoja mama i ja jesteśmy rodzeństwem?

Udało jej się niemal uśmiechnąć.

— Nie wiedziałam. Czułam to. Czuję, jakbym była dwiema osobami, jedną w drugiej.

Jestem nie taka, jak powinnam. Nie jestem Emily, ale zupełnie czym innym. Jestem „Emily”.

— Mogłem cię zabić. Mogłem uciąć ci głowę.

— Nie zrobiłeś tego; i to tylko się liczy.

— Co teraz zrobisz? Chcesz ich zaprosić?

Emily kiwnęła głową, ale w jej oczach malowało się zaprzeczenie.

— On mnie kocha, ale wie, że nie jestem taka, jak powinnam. Nie rozumie dlaczego.

Kocha mnie, ale będzie próbował mnie zabić, jestem tego pewna. Przerażam go.

— Przerażasz go?

Pukkk-pukkk-pukkk-pukkk-pukkk...

— Obudzi chyba całą cholerną dzielnicę.

— Mam nadzieję. Nie zostanie mu wtedy dużo czasu.

— Dlaczego nie próbował cię zabić wcześniej? Dlaczego zabił ciocię Mary?

Emily potrząsnęła głową.

— Nie mógł, bo najpierw musi zabić ciebie, ty jesteś jego synem, a wiesz chyba, że nie zrobi tego, jeśli nie zostanie zaproszony.

— Czy teraz zaprosisz go, żeby mnie zabił? Emily wzruszyła niedbale ramionami.

— Nie wiem. Uważasz, że powinnam? Powiedziałeś, że potrzebujesz przebaczenia.

— Przebaczenia od ciebie, nie od niego.

— Ja ci nie przebaczam. Dlaczego miałabym ci przebaczać? Dzieci nigdy nie powinny przebaczać swoim rodzicom. Nie mają do tego prawa, a poza tym to wcale nie jest konieczne.

Pukanie było tak głośne, że Terence czuł się zupełnie ogłuszony.

— Chcesz go teraz wpuścić? Czy nie?

Emily uścisnęła jego dłoń. Jej ręka była zimna i lekko śliska, jakby przed chwilą oprawiała rybę.

— Chyba go wpuszczę — odparła.

Podeszła, prawie sunąc nad ziemią, do tylnych drzwi i otworzyła je. Do środka wpadły niesione przeciągiem krople deszczu, na podłodze zatańczyły liście wawrzynu.

— Wejdźcie — powiedziała.

Naga weszła pierwsza. Założyła z powrotem maskę, ale ze sposobu, w jaki stała, Terence mógł się domyślić, jaką ma minę: kobiety aroganckiej, rozbawionej i pięknej. Potem wszedł Nóż, Miecznik i Doktor, a za nimi Trędowaty, sapiąc niczym przedziurawione skórzane miechy. W końcu otoczony wirem liści pojawił się Zielony Janek. Jego wejście było powolne i dramatyczne. Terence nigdy nie oglądał go w tak jaskrawym świetle i był

wstrząśnięty tym, do jakiego stopnia roślinna część jego natury zawładnęła częścią ludzką.

Twarz Janka kryła się za maską, ale wystające spod niej wijące się korzenie zdradzały dramat człowieka, który stopniowo przegrywał walkę z siłami przyrody.

Ostatni wszedł Świadek i zamknął za sobą drzwi.

— Kazaliście nam czekać — powiedziała Naga.

— Tak — przyznał Terence. — Przepraszam, ale...

Emily przerwała mu, podnosząc rękę.

— Witaj, dziadku — powiedziała.

Zielony Janek niezręcznie zaszeleścił.

— Czego od nas chcecie? — zapytała Emily.

— Chcemy odprawić rytuał — powiedziała Naga. — Rytuał puszczenia krwi, dzięki któremu Janek nasyci się swoim potomstwem, zachowa zdrowie i będzie trwał przez wieki.

— Tylko tego chcecie? Możecie przysiąc?

— Przysięgamy — odparła Naga, przyciskając dłoń do piersi. Miecznik wyciągnął jeden po drugim swoich pięć mieczy i skrzyżował je z głośnym brzękiem.

— Załatwmy to wszystko jak najprędzej — powiedział Terence.

— Doskonale — zgodziła się Naga. Dała krok do przodu i podwinęła do góry rękaw jego koszuli. Terence poczuł w nozdrzach intensywny zapach wilgotnych zwierzęcych futer, kwiatów i męskiej spermy — tak jakby dopiero co wyskoczyła z czyjegoś rozgrzanego łóżka.

Zapach, który jednocześnie podniecał i budził przemożny lęk.

Zielony Janek zbliżył się także i wyciągnął swoją rękę: umęczone połączenie zielonkawych palców i rozłupanych gałązek głogu. Ich palce zetknęły się palce ojca i syna, złączonych w nadprzyrodzonym kazirodczym akcie między rośliną i człowiekiem. Terence widział, że jego dłoń się trzęsie, ale nie mógł na to nic poradzić. To było silniejsze od niego: nie potrafił opanować przerażenia.

Podszedł do nich Miecznik. Zdjął maskę i Terence nie dostrzegł na jego szarej, poznaczonej bliznami twarzy kompletnie żadnych uczuć. Żadnej litości; żadnej nadziei; nawet gniewu. Nic poza potwornym złowrogim okrucieństwem — okrucieństwem dla samego okrucieństwa, nie związanym z seksualną przyjemnością ani zemstą.

Miecznik złapał Terence'a za przegub i ciachnął go tak szybko, że ten nie był nawet pewny, czy zobaczył nóż. Krew popłynęła na ukos po skórze i pociekła na podłogę. Miecznik uniósł lekko jego przedramię i przytrzymał je nieruchomo, tak aby Zielony Wędrowiec mógł

wyciągnąć jeden ze swoich łodyżastych palców i wbić go prosto w żyłę Terence'a, który krzyknął głośno z bólu.

Miecznik nieubłaganie trzymał ich przeguby przy sobie i masował mocno przedramię Terence'a, żeby przyspieszyć krążenie. Zielony Wędrowiec dygotał i dyszał za swoją maską

— suche nosowe plaśnięcia, przypominające odgłos, jaki wydaje wpadająca do pustej cysterny skórzana poduszka.

Emily stała w miejscu, obserwując całą scenę. Naga przysunęła się bliżej i nie spuszczała z niej wzroku.

— Mielście odprawić rytuał — powiedziała Emily. — Podczas rytuału śpiewa się i robi różne inne rzeczy.

Naga uśmiechnęła się.

— W gruncie rzeczy, Emily, niewiele to nas obchodzi. Spuszczając krew twojemu ojcu, po prostu go osłabiamy. Wyprujemy z niego flaki, kochanie, to pewne, podobnie jak to, że wyprujemy je również z ciebie.

— Nie wolno wam! — krzyknęła Emily. Zdjęła okulary i odrzuciła je na bok gestem nagle uświadomionej siły.

— Owszem, wolno. Sama nas zaprosiłaś.

— Nie wiecie, kim jestem? — zapytała Emily, spoglądając z niepokojem na rękę Terence'a.

— Oczywiście, jesteś tą, której twarz zawsze uwielbiał. Ale czasami musimy poświęcić to, co wielbimy, żeby przeżyć i twój dziadek musiał podjąć taką decyzję. Przyznał się do własnej słabości. Powinnaś go za to szanować.

Emily dała jeden, a potem drugi krok do tyłu, oddalając się od Nagiej. Światło w salonie było płaskie i jaskrawe i odziana w zwierzęce futra dziewczyna wyglądała w nim jak postać z telewizyjnej sztuki z lat pięćdziesiątych: sztywna i monochromatyczna. Była wyraźniejsza niż zwykle, ponieważ nie przebywała już w przeszłości. Od śmierci nie chroniła jej dłużej krótka jak uderzenie serca pauza — fakt, że nigdy nie zrówna się z terażniejszością.

Terence poczuł, jak ogarnia go nagła słabość. Nogi ugiwały się pod nim przez cały czas, ale teraz ledwie mógł się na nich utrzymać. Chciał zaoferować Zielonemu Wędrowcowi trochę krwi, żeby przed nim uciec, ale teraz miał wrażenie, jakby krew wyciekąca ze wszystkich jego żył i tętnic, jakby uchodziło z niego całe życie: wszystkie zmieszane z krwią sny i wspomnienia.

— Przestańcie — wycharczała Emily.

Z początku nie usłyszeli jej albo nie zrozumieli, ale ona powtórzyła wezwanie, tym samym głębokim, chrapliwym głosem.

Być może zrozumiał ją Miecznik, podniósł bowiem swój pięciokąt mieczy i przytrzymał je niczym aureolę nad głową Terence'a.

— Przestańcie! — powiedziała po raz trzeci Emily. Otworzyła usta i zaczęła rozwierać je coraz szerzej i szerzej. Gałki jej oczu wypełniły się zielenią — zupełnie jak napełniane zielonym chartreuse kieliszki do likieru — a wargi odwinęły do tyłu, obnażając zielonkawobiałe dziąsła. Z gardła wysunął się jej potężny, wydłużony, mierzący co najmniej pół metra penis, śliski od śluzu, uniesiony, rosnący i wlokący za sobą niczym zieloną pelerynę lepka masę zwiniętych liści coraz więcej liści, które sypały się na podłogę, układając w całe sterty. Salon wypełnił gęsty odór wód owocowych i chlorofilu. Emily wywracała się dosłownie na drugą stronę, otwierając coraz szerzej i szerzej usta, aż w końcu jej skalp zsunął

się z czaszki niczym zielony pływacki czepek, a dolna szczeka wyskoczyła z mocujących ją stawów, pozwalając wydostać się na zewnątrz wąskiej sklepionej klatce piersiowej, za którą ukazały się

rozkołysane błyszczące wnętrzości i blada miednica, przypominająca kształtem łopatę grabarza.

Rozległo się ostatnie mokre plaśnięcie i stanęła przed nimi prawdziwa Emily: ponure połączenie dziewczynki i rośliny, kazirodce dziecko chciwości, żądz i mistycznych genów.

Z początku wyglądała jak chwiejąca się modliszka, ale potem jej liście przeschły i rozwinęły się, a wokół rąk i nóg zaczęły wić się niespokojne pędy i wiedzieli teraz z całą pewnością, że jest nieodrodną córką swego ojca.

Wydała z siebie dźwięk nie przypominający żadnego odgłosu, jaki by Terence kiedykolwiek słyszał, ludzkiego ani zwierzęcego. A potem zakołysała się cała, ruszyła w stronę Nagiej i machnęła ręką, która zakończona była w połowie pazurami, a w połowie zakrzywionymi korzeniami. Naga uchyliła się, ale potem „Emily” smagnęła ją ponownie, zahaczając niczym kolczastym drutem o policzek i odrywając mięso od kości. Naga krzyknęła. Nigdy dotąd nie zaznała takiego bólu zawsze dzieliło ją od niego i od wszelkiej kary jedno uderzenie serca. Grzechocząc kośćmi i korzeniami „Emily” przysunęła się bliżej i okładała Nagą tak długo, aż w powietrzu zaczęły fruwać kawałki psich i króliczych skórek, wokół nagich ud zatańczyły wstęgi zdartej skóry, a włosy nasiąkły czerwienią. Naga nie przestawała krzyczeć, a potem nagle umilkła i to było jeszcze gorsze.

Zielony Wędrowiec wysunął swój podobny do łydygi palec z żyły Terence'a. Skóra zahaczyła o gałązkę. Terence zachwiał się i chciał upaść, ale wokół szyi miał teraz założony pięciokąt skrzyżowanych mieczy. Poczuł na jabłku Adama ostre jak brzytwa ostrze i z trudem się wyprostował.

Nie było nikogo, kto mógłby do niego przemówić, kto mógłby mu przebaczyć i powiedzieć, jaki popełnił grzech już przez to samo, że się urodził. Maszkamicy się nie odzywali, Naga nie żyła, zachłostana na śmierć, a jego córka stała się tym, czym się stała: bezradną i okrutną ofiarą swego pochodzenia.

— Przebaczcie mi — powiedział, otwierając oczy, ale nikt się nie odezwał i w tej samej chwili pięciokąt Miecznika zatrzasnął się, przecinając mu szyję. Zabili mnie, jestem martwy

— pomyślał, kiedy jego głowa toczyła się po podłodze, a potem rzeczywiście był już martwy.

„Emily” i Zielony Wędrowiec stanęli naprzeciwko siebie. Trędowaty szurając nogami cofnął się pod drzwi. Nóż wycofał się także, podnosząc obronnym gestem jedną rękę. W

oddali wyły syreny, słychać było także warkot helikopterów.

Podobna do modliszki istota zamachnęła się na Janka, ale potem zawahała się i spojrzała na pozbawione głowy ciało, które było kiedyś Terence'em. Na podłodze roszerzała się, pełną ukradkiem wzdłuż bocznej listwy, kałuża błyszczącej krwi. W tym momencie

„Emily” nie wiedziała, czy jest „Emily” czy Emily; czy jest dziewczynką czy rośliną; czy pragnie spokoju i snu czy krwawej zemsty.

Kiedy się wahała, powoli ożywił się Zielony Wędrowiec. Porastające go liście zaczęły trzepotać i

fruć w powietrzu, a ręce jeszcze bardziej upodobniły się do gałęzi, do pazurów drapieżnego drzewa. Światło w salonie przygasło i zamrugało, i zerwał się wiatr. Zatrzęsła się podłoga i zabrzęczały stojące w serwantce bibeloty i wazony.

„Emily” wydała z siebie krzyk, który był częściowo krzykiem przestraszonej dziewczynki, a częściowo krzykiem żeńskiej rośliny — tym samym krzykiem udręki, jaki emitują żeńskie korzenie mandragory, kiedy farmerzy wyciągają je, wciąż żywe, z wilgotnego gruntu.

Zielony Wędrowiec także wydał z siebie okrzyk — tylko że przypominał on bardziej dudnienie gromu. A potem rozległ się głośny szelest i otoczyła go wirująca zawierucha suchych liści wawrzynu. Skryty za nią zaczął się powiększać, wypuszczając nowe gałązki i poskrzypując. W pokoju zapadła ciemność, rozjaśniana co jakiś czas oślepiającymi błyskami zielonkawego światła. Cały dom zatrzęsł się w posadach, okna wypadły z futryn, dachówki zsunęły się z dachu, a ceglany komin przechylił się i runął, roztrzaskując na podwórku.

W kuchni przewróciła się z hukiem lodówka i pospadały ze ścian szafki. Zleciały także wszystkie miedziane garnki Iris, dzwoniąc niczym nie nastrojone kuranty.

„Emily” uniosła swoją bladozielonkawą lepką głowę w stronę liściastej nawałnicy i z jej ust wydarł się potworny jęk. Chciała teraz umrzeć; nie chciała żyć dalej w takiej postaci. Nie czuła się w ogóle Emily. Czuła się wyłącznie „Emily” — groteskową parodią dziewczynki, której każdy nerw był z bólu spowodowanego metamorfozą. Miała wrażenie, jakby narodziła się na nowo — choć właściwie było to o wiele gorsze. To było tak, jakby narodziła się wywrócona na drugą stronę; z przekręconym każdym mięśniem, z obnażoną każdą końcówką nerwu.

Zrobiła to, co powinna była zrobić: pokazała Zielonemu Wędrowcowi, że jego linia jest genetycznie nie do uratowania, że w ostatecznym rozrachunku zawładną nim wyrastające wewnątrz korzenie i że pod ich naporem zgaśnie ostatnia iskierka jego ludzkiej natury.

Nie musiała czekać dłużej niż kilka sekund na to, by udzielono jej rozgrzeszenia.

Miecznik wyjął pojedynczy długi miecz i podniósł go wysoko nad głowę. A potem ciachnął ją raz, drugi i trzeci. Ostrze przecinało gałęzie i ludzkie ciało. W powietrzu fruwały palce, kości i kawałki liści.

„Emily” w milczeniu przyjęła swoją egzekucję. Nie robiła nic, żeby się bronić. Upadła na podłogę, zwinęła się i zmniejszyła, z połamanymi gałązkami, posiekanymi korzeniami i zielonym ciałem, które kurczyło się niczym sparzone wodą liście kapusty: porąbana na krwawą masę córka obfitości.

A Miecznik nie przestawał ciąć aż do chwili, kiedy podłogę usłały gałązki, posiekane ludzkie organy i kawałki tkanki i włókien, na pół ludzkie, na pół roślinne, lśniące od śluzu.

Zielony Wędrowiec wypadł w wirze liści z pokoju, wypadł z domu i zniknął w ciemnościach. W ślad za nim podążyli Nóż i Trędowaty. Zaświeciła błyskawica i gdzieś niedaleko uderzył piorun. Nad Hiawathą niebo miało kolor krwi i papieskich szat.

Miecznik zawahał się, a potem objął ramionami Doktora i Świadka. Przez krótką chwilę stali w milczeniu, połączeni więzami koleżeństwa, które tylko oni potrafili zrozumieć. Nikt inny nie wędrował tak długo, jak oni; nikt nie przemierzał tysięcy kilometrów zaśnieżonych stepów, gór, prerii i krajobrazów bardziej niegościnnych od księżycowego. Nikt inny nie mógł oglądać leżącego na łożu śmierci króla Wacława, a potem słuchać grającego na klawesynie Mozarta. Nikt inny nie przemykał w masce i kapturze ulicami Londynu w czasach Czarnej Śmierci, a potem nie przepłynął Atlantyku w ładowni dziewiętnastowiecznego statku.

Nie powiedzieli nic, ale zdawali sobie sprawę, że w ich życiu nadszedł krytyczny moment — moment, kiedy łączące ich więzy koleżeństwa mogą się okazać niewystarczające.

Wahali się jeszcze przez chwilę, a potem wybiegli w noc.

ROZDZIAŁ XV

Przebiegli przez zalany deszczem trawnik i nagle zapaliły się reflektory. Nad ich głowami krążył, łopocząc głośno śmigłem, helikopter.

Kiedy skręcili na prawo, zawyła syrena i zapaliły się kolejne światła, i wtedy skręcili w lewo.

Luke wysiadł z samochodu, zabierając ze sobą strzelbę.

— Zostańcie w środku — powiedział, zwracając się do Nathana i Davida. — Mam już dosyć strat w ludziach.

— Tak jest, szeryfie — odparł Nathan. — Nie ma problemu.

Lily, siedząca z tyłu razem z Jean Lehman, nie odezwała się ani słowem.

Praktycznie rzecz biorąc Luke niczego się nie spodziewał: nawet Kapitana Blacka.

Tymczasem trafił prosto na sukinsynów, których szukał — ludzi, którzy wałęsali się przez setki lat po Europie, Anglii i Ameryce, proponując partyjkę gry w kości, błyskotki i obfite zbiory w zamian za ludzkie życie. Maszkarnicy znaleźli się w końcu w potrzasku. Biegli przez jasno oświetlony trawnik przed domem Pearsonów: człowiek w białym płaszczu, człowiek w habicie mnicha i człowiek z mieczami na plecach. Na trawie lśniły krople deszczu. Luke widział unoszące się nad nimi obłoczki oddechów. Słyszał, jak ciężko dyszą.

— Stać, policja! — krzyknął, ale oni się nie zatrzymali.

Pod dom zajechały, hamując z poślizgiem, dwa kolejne wozy patrolowe z włączonymi syrenami i obracającymi się na dachu światłami. Helikopter zawrócił przy końcu ulicy i ruszył z powrotem w ich stronę.

— Stać, nie ruszać się! — krzyknął ponownie Luke. Trudno było przekrzyczeć hałas helikoptera, ale musieli wiedzieć, że każe im się zatrzymać.

Chłopak o imieniu Nóż otworzył tylne drzwi furgonetki. Doktor, Miecznik i Trędowny wskoczyli do środka. Świadek obiegnął samochód i otworzył przednie drzwi. Luke ruszył

biegiem w ich stronę z podskakującym brzuchem i uniesionym wysoko rewolwerem.

— Zatrzymać się! Ręce do góry! — wrzasnął.

Kompletnie go zignorowali. Świadek zatrzasnął drzwi, uruchomił silnik i furgonetka ruszyła ostro do przodu, puszczając spod kół czarną chmurę dymu.

Luke naprawdę nie chciał tego robić. Mógł oddać strzał i specjalnie spudłować, ale wiedział, że jeśli nie będzie teraz działał zdecydowanie, jutro, pojutrze albo w przyszłym roku może zginąć kolejny funkcjonariusz. Oddał więc strzał i trafił, dokładnie w zbiornik paliwa ważącym osiem gramów pociskiem kalibru trzysta pięćdziesiąt siedem. Wybuch nastąpił, kiedy furgonetka pędziła z szybkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Huk uderzył go po uszach, tak jakby ktoś otworzył przy dużej prędkości samochodową szybę. Nad Vernon Drive wzbily się płonące szczątki. Główny korpus furgonetki toczył się jeszcze, sypiąc iskry z opon, przez jakieś dwadzieścia metrów, a potem zakołysał w przód i w tył i wciąż hucząc ogniem stanął przy krawężniku.

Zaciemnione szyby pękły i eksplodowały. Z wewnątrz wysunęły się, liżąc dach, chciwe języki ognia. Luke widział siedzących w środku, ogarniętych płomieniami maskarników i widział, jak się poruszają. Nie robili tego jednak histerycznie ani gorączkowo, tak jak czyni to większość znajdujących się w środku pożaru ofiar. Poruszali się całkiem spokojnie, próbując otworzyć drzwi furgonetki.

Byli nieśmiertelni. Każdy z nich miał przy sobie srebrne monety, które zawsze oddalały go o jedno uderzenie serca od przeznaczenia. Nie mogło im wyrządzić szkody nic, co im się przydarzyło; byli zupełnie niewrażliwi, nie do zranienia — niczym kobieta, która skacze z sześćdziesięciopiętrowego budynku na ułamek sekundy, zanim dotknie chodnika, tyle tylko że ten ułamek sekundy trwa całą nieskończoność.

Drzwi z tyłu otworzyły się i wyłoniły się z nich gorące pomarańczowe języki ognia.

Przez chwilę Luke uwierzył, że maskarnicy naprawdę zdołają wyskoczyć z furgonetki i uciec.

Ale w tej samej chwili usłyszał głośny krzyk. Straszliwy, nieludzki krzyk, który wcale nie milkł i z sekundy na sekundę stawał się coraz bardziej przeraźliwy. Słyszał już kiedyś krzyczących w podobny sposób ludzi. Ludzi uwieczonych w płonących budynkach, ludzi zamkniętych w ogarniętych płomieniami samochodach. To był krzyk absolutnej udręki, kiedy wypalają się kolejne warstwy skóry i zwoje nerwowe, a ogień obraca istotę ludzką w surowy, skauteryzowany ochłap mięsa.

Rozległ się następny krzyk, a potem jeszcze jeden. Maskarnicy płonęli. Naprawdę płonęli. Luke osłonił dłońią oczy przed żarem i obserwował biernie, jak podskakują w ostatnim agonialnym tańcu wewnątrz furgonetki.

- Wysoka temperatura — pomyślał. — To sprawiła wysoka temperatura.

Srebro może wytrzymać dowolny mróz. Utlenia się, ale nie rdzewieje. W gruncie rzeczy srebro jest niezniszczalne, tyle tylko, że topi się w temperaturze 961,5 stopni Celsjusza i stanowi najlepszy przewodnik ciepła wśród metali.

Karmiony wiatrem i burzą żar wewnątrz furgonetki roztopił monety przebierańców i obrócił srebrniki Judasza Iszkariota w kawałki osmalonej rudy. Bezwartościowe, pozbawione symbolicznej mocy i błogosławieństwa.

Nadbiegli dwaj zastępcy z gaśnicami.

— Zostawcie! — warknął na nich Luke. — Niech się wypali! To rozkaz!

Zastępcy wahali się przez chwilę, a potem zawrócili.

Nathan wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. Przez chwilę stał wpatrując się w płonący wrak i w jego oczach odbijały się języki ognia.

— Boże — szepnął cicho.

Luke pociągnął nosem i schował rewolwer do kabury.

— Nie odnaleźliśmy jeszcze tego, po co przyjechaliśmy — powiedział.

— Tak — potwierdził Nathan. — Ale nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

— I nigdy nie zobaczysz, jeśli Bóg jest po naszej stronie — odparł Luke. Zrywał się coraz wścieklejszy wiatr i musiał przytrzymać dłonią kapelusz. Błyskawice przeskakiwały z chmury na chmurę niczym w generatorze van der Graafa.

Luke ruszył w stronę domu. Po chwili podbiegł do niego jeden z zastępców, młody blondyn ze świecą rumianą twarzą.

— Przeszukajcie tylne podwórko — polecił mu Luke. — Chcę, żeby zorganizowano blokady drogowe na Mount Vernon Road, od wschodu i zachodu, a także na Piątej Alei oraz Wellingtona, Grandę przy Fairview, Washingtona i Trzydziestej Piątej.

— Kogo szukamy? - zainteresował się zastępca.

— Faceta ubranego w liście.

— Słucham?

— Czy tak trudno jest to zrozumieć? Faceta ubranego w liście!

— Ubranego w liście... — powtórzył głęboko zakłopotany blondyn.

Furgonetka dopalała się. W powietrzu unosiły się opary benzyny i woń starego, przypalonego mięsa.

W górę wzbijały się spiralne kłęby ciemnego dymu i Luke uświadomił

sobie, że wdycha to, co pozostało z zabitych przez niego ludzi.

Wszedł do domu Pearsonów i zajrzał do salonu. Byli już tam pielęgniarze, a także lekarz sądowy.

Zobaczył mężczyznę bez głowy, dziewczynę w podartej futrzanej kurtce i zakrwawioną stertę gałęzi i mięsa, która wyglądała jak wysadzony w powietrze rożen. Podłoga zalana była krwią i usłana ludzką tkanką, i szeryf zatrzymał się w progu, nie chcąc niczego rozdeptać.

Rozpoznał jednak wyraźnie biedną Emily Pearson albo to, co z niej pozostało. Jej twarz zachlapana była krwią, ale prawie nie zadraśnięta. Wyglądała niczym okolona lokami koloru miedzi śmiertelna maska młodocianego świętego. Lekarz zdjął okulary i wzruszył ramionami.

— Niech pan mnie nie pyta — powiedział. — Tym razem nie potrafię panu nic powiedzieć.

— To coś nowego — zaripostował Luke.

— Ale mamy całe stosy liści — oznajmił lekarz, podnosząc zakrwawiony liść lauru. —

Laurus nobilis kontratakuję. Mamy również wiele innego materiału roślinnego. Podobnego do torfu, ale nie mam zamiaru bawić się w zgadywanki, przynajmniej na razie.

Luke przykucnął, żeby przyjrzeć się lepiej Nagiej. Twarz, ramiona i tył głowy pokaleczone miała czymś, co mogło być batem, drutem kolczastym albo ciernistymi gałązkami róż. Skóra na karku i plecach pozdzierana była na strzępy. Twarz leżała w kałuży krwi, ale podobnie jak twarz Emily wydawała się spokojna, jakby pogrążona we śnie. Była również niezwykle piękna i przypominała mu kogoś, kogo widział bardzo dawno temu, może nie w tym życiu, a może w żadnym. Może należała do tych dziewczyn, które spotykał tylko w snach. Jej piękna twarz odbijała się we własnej krwi.

Luke wyprostował się. Czuł się nieskończenie znużony. Od zamordowania przez Terence'a Pearsona własnych dzieci zginęło tylu ludzi — mimo że on, Luke, dość szybko odgadł, o co w tym wszystkim chodzi. Miał intuicję i doświadczenie. Od siódmego roku życia nauczył się wierzyć w to, co jest nie do uwierzenia, i za każdym razem miał rację. A jednak nie udało mu się ocalić wzroku Normana Gormana; nie udało mu się ocalić życia Mary van Bogan, Leosa Ponicana, Terence'a i Emily Pearsonów, a także biednego hodowcy świń, Franka Johnsona, i żadnego z policjantów, którzy zginęli w jego własnym biurze.

A teraz dołączył do nich jeszcze John Husband i wszyscy niewinni pudzie, którzy ponieśli śmierć w Cedar Mali. Sprawą zajęła się policja stanowa, ale Luke wiedział, że będzie tam musiał pojechać zaraz po tym, jak złapią Kapitana Blacka. Czuł się jak urzędnik biura zgonów, jak pisarz zapisujący nazwiska w księdze epitafiów.

Wyszedł prosto w dmący na dworze huragan. Kiedy był w środku, przed domem pojawili się przedstawiciele prasy, a także szary niczym węgiel drzewny cadillac z zapalonymi światłami i czerwona półciężarówka Toyota, wypełniona facetami w kurtkach w czerwoną kratę. Trzymali w rękach strzelby i zwoje lin i wyglądali na niełychych twardzieli.

Luke podszedł do limuzyny i zastukał palcami w tylne boczne okno. Szyba zjechała z cichym mrukiem w dół, odsłaniając przystojną, ale napiętą twarz senatora Bryana Cady'ego.

— Przykro mi, senatorze, ale nie może pan tutaj parkować. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.

— Kto został zabity? — zainteresował się Bryan.

— Nie mogę panu na razie powiedzieć, senatorze. Zwłoki nie zostały jeszcze zidentyfikowane.

— Nie macie żadnych poszlak?

— Nie... przykro mi, ale będzie pan musiał odjechać. Bryan wydawał się bardzo poruszony.

— Niech pan posłucha... sprowadziłem tutaj tych wszystkich ludzi.

— Widzę. Za minutę zaczniemy sprawdzać, czy mają pozwolenia na broń.

— Nic pan nie rozumie. Słyszał pan o tym knurze, który uciekł z Instytutu Spellmana?

O tym, który pozabijał wszystkich tych ludzi w Cedar Mali?

— Ma pan na myśli knura, którego wypuścili z instytutu działacze obrony zwierząt?

— Nieważne.

— Oczywiście, że o nim słyszałem, senatorze — odparł ponuro Luke. — Dlatego tutaj właśnie jestem: żeby go złapać. Zabił jednego z moich najlepszych przyjaciół, komendanta Johna Husbanda, i mogę pana zapewnić, że nie umknie nam tak łatwo.

— Chcę panu pomóc — stwierdził Bryan. — Został wypuszczony z instytutu w ramach obrony praw zwierząt, tak? Ale moim zdaniem prawa zwierząt nie mogą kolidować z ludzkimi. Ten knur powinien zostać złapany ze względu na bezpieczeństwo nas wszystkich i dla swego własnego dobra.

— Niech pan się o to nie kłopotuje, senatorze. Damy sobie radę. Bryan uważnie mu się przyjrzał. Spotykał się już z Luke'em kilkakrotnie i wiedział, że nie ma do czynienia z półgłówkiem. Nie miało sensu wciskanie mu kitu.

— Pozwoli pan, że wyłożę karty na stół, szeryfie — powiedział. Poświęciłem sporo czasu i wydałem sporo pieniędzy, walcząc o prawa zwierząt. Ustawa Zapf-Cady'ego ma szansę stać się najważniejszym aktem prawnym od czasu wprowadzenia Czternastej Poprawki do Konstytucji.

— „Żaden Stan nie może odmówić jednakowej ochrony prawnej jakiejkolwiek pozostającej pod jego jurysdykcją osobie”? — zapytał Luke.

— Zgadza się, szeryfie. A teraz będzie pan mógł to zmienić na „Jakiejkolwiek osobie oraz

zwierzęciu".

— W porządku, senatorze — odparł cierpliwie Luke. — Ale to nadal nie oznacza, że będzie pan mógł tu zostać. Popelniono tutaj kilka morderstw, sytuacja nie wygląda zbyt różowo, a ja jestem w bardzo złym humorze.

W tym właśnie momencie zbliżył się do nich jeden z zastępców.

— Słówko, szeryfie — powiedział i wziął go na bok. — Mamy potwierdzenie z policji stanowej. Uporano się już ze wszystkimi zabłąkanymi świniami z wyjątkiem Kapitana Blacka. Widziano go mniej więcej dwadzieścia minut temu. Wygląda na to, że stracił

mnóstwo krwi, ale wciąż biegnie. Właśnie w tę stronę.

— Dzięki — odparł Luke. — Ta limuzyna... — dodał — należy do senatora Bryana Cady'ego. Ta półciężarówka należy do wynajętych przez niego łapaczy świń. Senator doszedł

dziwnym trafem do tego samego wniosku, do którego doszliśmy i my, mianowicie, że Kapitan Black zmierza w tę stronę. Chcę, żeby za chwilę nie było tutaj ani jego, ani jego świniarzy. Comprendo?

— Załatwione, szeryfie.

Luke podszedł z powrotem do swojego buicka. John nie żyje, łomotało mu w mózgu.

John nie żyje.

— Co się dzieje? — zapytał Nathan. — To istne pandemonium. Z drugiej strony nadszedł Garth, zapinając swój nieprzemakalny płaszcz burberry.

— Czy są jakieś wiadomości na temat Kapitana Blacka?

— W tym domu dokonano właśnie kilku dość paskudnych zabójstw, które mogą, ale nie muszą być z nim związane. Otrzymałem również informację, że Kapitan zmierza albo może zmierzać w naszym kierunku. Razem ze stadem innych świń zaatakował ludzi w Cedar Mall. Obawiam się, że jest wielu zabitych.

— Tak, słyszałem o tym przez radio — potwierdził, kiwając głową, Garth.

— Fatalnie się z tego powodu czuję — stwierdził Nathan. - Tak jakbym to ja ich wszystkich pozabijał.

— Z tego, co mi pan powiedział, doktorze Greene, nie sędzę, żeby I musiał się pan winić. No dobrze... wziął pan bez zezwolenia praco-| dawcy wycinek mózgu z ciała nieboszczyka. Ale wygląda na to, że i. pobieranie wszelkiego rodzaju tkanek i wycinków ze zwłok należy w przemyśle farmaceutycznym do powszechnej praktyki.

— Obawiam się, że to prawda — zgodził się Garth. — To, co zrobił doktor Greene, było, mówiąc

delikatnie, nierozsądne. Ale, daj spokój, Nathan, spójrz na to z szerszej perspektywy. Może powodem agresji Kapitana jest ten przeszczep, a może zupełnie coś innego. To, co zrobiłeś, nie jest nawet w połowie tak naganne, jak to, co robią wielkie firmy farmaceutyczne, umieszczając choćby jeden martwy gruczoł w swoich lekach hormonalnych.

Mogą zatruć tysiące ampulek, które są następnie wstrzykiwane kobietom i dzieciom nie, mającym najmniejszego pojęcia, jaki otrzymują zastrzyk. Więc jeśli koniecznie chcesz, czuj się winny. Ale nie aż tak. Nie jesteś odosobniony.

Nathan potrząsnął głową.

— Fakt, że inni ludzie są również masowymi mordercami, nie sprawia, że ja jestem nim w mniejszym stopniu.

Garth odpowiedział coś, ale zagłuszył go warkot helikoptera. Zamontowany pod nim reflektor oświetlił ich na moment, a potem skoczył dalej.

Migoczące wewnątrz domu Pearsonów flesze przypominały letnie błyskawice. Policjanci fotografowie robili zdjęcia ciał. Leżąca pod stolikiem na drinki głowa Terence'a Pearsona.

Jego przecięta szyja. Sterty lepkich od krwi liści wawrzynu. Młoda jak grzech, wpatrzona w swoje własne odbicie Naga. Twarz Emily Pearson.

— Nie wyrzuciliście stąd jeszcze tej limuzyny? — krzyknął Luke. Ale potem usłyszał

czyjś krzyk — krzyk, który przypominał skowyt nadepnętego na ogon psa. Obrócił się i na samym końcu Vernon Drive, przy skrzyżowaniu z Ridgeway, zobaczył wielką czarną postać, która posuwała się w deszczu w ich stronę, postać tak olbrzymią, że przez chwilę nie mógł

uwierzyć, że jest żywa i prawdziwa.

W sposobie, w jaki zbliżył się do nich Kapitan Black, zawarta była spora dawka dramatyzmu. Właściwie powinny towarzyszyć mu bębny, piszczałki i czarne żałobne sztandary. Wszyscy stali nieruchomo, obserwując z podziwem, jak idzie powoli Vernon Drive: ważący półtorej tony knur o diabelskim pysku i połyskujących oczach tysiącletniego maszkarnika. Krople deszczu siekły ulicę i kapały mu z ryja. Nikt się nie poruszył i nikt nie odezwał; wszyscy obserwowali go z głębokim respektem.

Kapitan podszedł bliżej i zatrzymał się. Szukał Emily, ale nikt tego nie wiedział. Był

wycieńczony i mokry, a każdy pocisk i rana od strzelby paliły go żywym ogniem. Ale wrócił

do domu; a skoro znalazł się w domu, matka powinna opatrzyć jego rany i zadbać o to, żeby było mu ciepło i przytulnie.

Lily wyszła z tłumy i ruszyła w jego stronę. Wciąż miała na rękach kajdanki i była zupełnie bezbronna, ale szła ku niemu bez cienia strachu.

— Pani Monarch! — zawołał Luke. — Proszę się natychmiast cofnąć! On jest niebezpieczny!

Lily nawet się nie odwróciła.

— Kapitanie Black? — zapytała. — Słyszysz mnie, Kapitanie Black?

Nie powiedziała tego jednak po angielsku. Powiedziała to w innym języku — języku, który naprawdę rozumiał. W języku ciepła, uczuć i głębokiego bezpieczeństwa: w języku, który przypominał mu słomę, jedzenie i kojącą bliskość wymion matki i ciężkiej, ciemnej sylwetki ojca.

— Jesteś bezpieczny — mówiła mu Lily. — Rozumiesz mnie? Jesteś bezpieczny.

Dla wszystkich, którzy to oglądali, brzmiało to tak, jakby do niego śpiewała, jakby z nim gaworzyła.

Kapitan Black poderwał do tyłu głowę, tak że deszcz zakłuł go w oczy, i próbował

krzyknąć „Emily! Emily!”, ale jego gardło nie potrafiło wymówić jej imienia; a poza tym był

zbyt obolały.

Lily dała jeden, a potem drugi krok do przodu. Pstryknęły aparaty fotograficzne, rozjarzyły się telewizyjne reflektory. Kapitan Black stał oświetlony w strugach deszczu, w całej swej ponurej chwale; a tuż obok niego stała Lily.

Dla Bryana Cady'ego tego było za wiele. Widział już jutrzejsze gazety, z Lily i Kapitanem Blackiem na pierwszych stronach. Z głośnym krzykiem wyskoczył z limuzyny, wyrwał strzelbę jednemu ze świniarzy i ruszył w stronę Kapitana wraz z ciągnącymi za nim kamerzystami, inżynierami dźwięku i obsługą reflektorów. Zatrzymał się zdyszany w swojej marynarce od Cerrutiego zaledwie dwa albo trzy metry od Kapitana, odciągnął kurek strzelby, uniósł ją i wycelował.

— Nie! — krzyknęła na niego Lily. — On dosyć się już wycierpiał! Bryan, nie!

Bryan zawahał się, odwrócił w jej stronę i uprzytomnił sobie, że się zbłądził. Kapitan Black stał bowiem zupełnie nieruchomo, po prostu się na niego gapiąc. Co miał w takiej sytuacji zrobić najbardziej zagorzały obrońca praw zwierząt w Ameryce? Zastrzelić z zimną krwią ranne, stojące spokojnie zwierzę? Moknąć na deszczu z opartą o ramię strzelbą czytał

już w myślach jutrzejsze nagłówki. „Bojownik o prawa zwierząt zabija bezbronną świnię”. I po co? Żeby ratować Lily, która najwyraźniej niczego się nie bała?

Opuścił strzelbę, odwrócił się plecami do Kapitana Blacka i wyszczerzył zęby do telewizyjnych kamer.

— Postanowił chyba nie stawiać oporu — powiedział.

Ale w tej samej chwili Kapitan Black dał cztery szybkie kroki w jego stronę i kopnął go szczeniastą zabłoconą racicą, przewracając na jezdnię.

— Nie, Kapitanie Black! Nie! — krzyknęła Lily i wydała rozkaz w świńskim języku.

Ale Kapitan był ranny i jego umysł stanowił galimatias furii, bólu i dziecinnych lęków. Złapał zębami marynarkę Bryana i rozerwał mu rękaw.

Senator obrócił się, puścił strzelbę i ponownie ją złapał.

— Nie! — zawołała Lily, ale Kapitan był o wiele szybszy. Podniósł przednią nogę i postawił ją na twarzy Bryana Cady'ego.

Licząc w kilogramach na centymetr kwadratowy, jego pokryta szczecina racica miała dość siły, żeby przedziurawić drzwi samochodu. Przebiła nos, szczękę, podniebienie i podstawę czaszki. Rozległ się przenikliwy chrobot i z uszu Bryana trysnął przypominający rybi mlecz kremowożółty mózg. Senator podskoczył w górę, zadygotał i wymachiwał jeszcze przez chwilę rękami w powietrzu, ale nikt nie mógł na niego patrzeć, bo wszyscy wiedzieli, że nie żyje.

— Ognia! — wrzasnął Luke.

— Nie! Nie róbcie mu więcej krzywdy! — zawołał Garth, ale zagłuszył go trzask wystrzałów ze strzelb, rewolwerów i broni półautomatycznej. Od grzbietu Kapitana odrywały się kawałki pokrytego szczecina ciała; wielki obwisły brzuch trząsł się dziurawiony kolejnymi pociskami. Kanonada wydawała się trwać całą wieczność; kiedy ucichła, knur dał trzy kroki do przodu: zboczony krwią, lecz niepokonany, po czym odrzucił do tyłu łeb i zaryczał.

Podeszła do niego ponownie Lily.

— Pani Monarch, niech się pani cofnie ze względu na własne bezpieczeństwo —

zawołał Luke.

Ale ona potrząsnęła głową i szeryf widział po wyrazie jej twarzy, że jest spokojna, pewna siebie i dobrze wie, co robi.

Kapitan Black stał krwawiąc z opuszczonym łbem, a Lily uspokajała go, nucąc wysokim głosem dziwną pieśń.

Luke podszedł i stanął obok niej. Zapach krwi był tak intensywny, że chwytaly go niemal torsje.

— Co pani mu mówi? — zapytał.

— Mówię, że go kocham — odparła Lily — i że wszystko będzie dobrze.

— Myśli pani, że zachowa spokój?

— Myślę, że on umiera.

Kapitan Black zadarł w górę łeb i wydał niski, skomplikowany pomruk.

— Czy on coś pani odpowiada? — zapytał Luke.

— W pewnym sensie. To jest krzyk, który wydają świnie, kiedy szukają kogoś z własnej rodziny. W tym przypadku chodzi mu chyba o siostrę.

Luke odwrócił się w stronę domu. Przy drzwiach pełnił straż policjant ze strzelbą.

— Każ im przywieźć tę dziewczynkę! — zawołał do niego Luke. - Tę małą, nie tę w futrzanej kurtce. Połóżcie ją na wózku noszowym i przywieźcie tutaj!

— Ta mała jest porzucana po całym pokoju, szeryfie — odparł policjant.

— Powiedz sanitariuszom, żeby zgarnęli wszystko, co da się znaleźć, do torby na zwłoki. Najważniejsze, żeby była twarz. A potem przywieźcie ją tutaj. Szybko!

Policjant wyraźnie pobleadł.

— Tak jest, szeryfie, już się robi.

Kapitan Black stał w miejscu, rżąc przebitymi płucami. Po kilku minutach z domu wyszło dwóch sanitariuszy, popychając przed sobą wózek. Leżąca, na nim torba na zwłoki podskakiwała bezwładnie na każdym wyboju.

— Tutaj — zawołał Luke, dając im znak ręką.

Ostrożnie zatrzymali wózek przed Kapitanem Blackiem. Lily pogładziła go po ryju i znowu zaczęła śpiewać. Kapitan stał sapiąc ciężko i wpatrując się w Emily i nawet Luke rozumiał, że w tym właśnie momencie zjednoczyły się wszystkie dziwne i sprzeczne elementy jego osobowości — knura, małego chłopca i mitycznego maskarnika.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia deszcz lunął ze zdwojoną siłą. Nie dalej jak kilometr stąd niebo rozdarła z traskiem błyskawica i piorun spadł na nich niczym cały pułk odrzucających bębny doboszów.

— Gdzie jest ten facet z Instytutu Spellmana? — zawołał Luke. - Doktorze Matthews?

Miał pan naszpikować tego sukinsyna środkami usypiającymi!

Gdzieś obok uderzył kolejny piorun, ale Luke słyszał teraz wyraźnie inny dźwięk —

ostrzy chrobotliwy szelest. Podniósł głowę i zobaczył, że w powietrzu wirują miliony liści wawrzynu, gęste jak szarańcza.

Rozległy się ostrzegawcze okrzyki policjantów miejskich, stanowych i z jego własnego biura. Wir ogarnął ich gwałtowną nawałnicą, smagając po twarzach i kłując w ręce. Niektórzy zataczali się i

padali na kolana. Jeden z wozów patrolowych próbował wycofać się na tylnym biegu i uderzył z głośnym hukiem w zaparkowany samochód kombi. Po chwili zderzyły się ze sobą dwa kolejne samochody. W powietrzu unosiło się tyle liści, że spowiała ich zupełna czerń i nie widać było nawet świateł stojących dookoła domów.

Luke zwinął dłonie wokół oczu i nateżył wzrok, żeby zobaczyć, co się dzieje. Tuż przy nim stali Nathan, David i Lily, ale ta ostatnia całkowicie zasłoniła twarz rękoma. Liście drapały i smagały ich tak gwałtownie, że w pewnym momencie Luke czuł krew ciekącą po zewnętrznej stronie dłoni.

Kapitan Black wydał donośny ryk bólu i desperacji; ale było w nim również coś innego

— coś tak wyraźnego, że Luke odwrócił się do Lily.

— Co on mówi? — zawołał. — Wie pani, co on mówi? Lily odsłoniła na chwilę twarz.

— Wzywa swojego dziadka! — odkrzyknęła.

— Co?

— Świnie mają osobny dźwięk na ojca, oznaczający ich własnego ojca, i osobny na wielkiego ojca, czyli dziadka. To właśnie przed chwilą powiedział! Dziadek!

Kapitan Black ryknął ponownie. Minęło prawie pół minuty; a potem obok wypalonej furgonetki pojawiło się przed nimi coś wielkiego i ciemnego. Coś, co stanowiło intensywne skupienie burzy, liści i uwolnionej z wszelkich pęt rozszalałej Natury. Coś, co napędzało samą Ziemię, co było źródłem jej mocy, jej wzrostu, jej mistycyzmu i pochłaniającej wszystko energii. Saturn pożarł być może własne dzieci, ale Ziemia pożerała zarówno własne dzieci jak i wnuki; i tak to się właśnie odbywało.

Noc zamieniła się w oślepiający wir liści i deszczu. Nad ich głowami przetaczały się bez przerwy pioruny. Powietrze wypełniał zapach ozonu, wawrzynu i świeżo wykopanych grobów.

Wielki ciemny kształt przysunął się bliżej, niczym wolno obracające się tornado.

Asfaltowa nawierzchnia pod stopami Luke'a wydawała się dosłownie przed nim kurczyć, jakby przejęta lękiem.

— Na litość boską — szepnął Luke bardziej do siebie niż kogoś innego. — Zielony Janek we własnej osobie.

Człowiek, którym był niegdyś Janek, ostatecznie przegrał batalię z zasadzonymi w jego wnętrzu korzeniami. Teraz, kiedy jego świta spaliła się na śmierć, a rodzinną ziemię wysterylizował ogień, nie miał dokąd pójść. W ciągu jednej nocy wzięły na nim odwet stulecia tłumionego wzrostu; pozostała zeń tylko nawałnica gałęzi, liści i kłujących cierni. W

stroboskopowym świetle błyskawicy Luke widział zagubione wśród roślinnej wegetacji fragmenty człowieka: uwięzioną w klatce jeżyn, białą, podobną do świętego twarz, czarne, przymknięte oczy, a

także strzępy pokrwawionych mięśni ud i wychudzone stopy męczennika.

Za ich plecami zabrzmiał trzask odbezpieczanych wiatrówek.

— Wstrzymajcie ogień! — ryknął Luke. Był przejęty grozą, ale również zafascynowany. Chciał zobaczyć Zielonego Wędrowca żywego; chciał zobaczyć, czym może być taka istota. A poza tym do czego mieli strzelać? Do gałęzi? Do jeżyn? Do zawieruchy liści?

Ciemne wirujące tornado przysuwało się coraz bliżej. Hałas był ogłuszający. W tej samej chwili Kapitan Black ponownie wydał z siebie przenikliwy kwik, który zakończył się chrząknięciem.

Lily złapała obiema dłońmi Luke'a za rękę i mocno ją ścisnęła.

— On mówi: zabij mnie. Słyszałam to już przedtem, kiedy świnia jest ciężko ranna albo chora. To ten sam krzyk. Zabij mnie.

— Nie! — krzyknął stojący tuż obok nich David. — Nie wolno mu! On wydobrzeje!

To mały chłopiec!

Luke odwrócił się z poczerwieniałą twarzą do swego zastępcy.

— Zabierzcie stąd tego dzieciaka! — ryknął.

Ale zanim policjant zdążył złapać go za ramię, David ruszył przez nawałnicę liści w stronę Kapitana Blacka.

— Nie zabijaj go! — krzyczał. — Nie zabijaj! To mały chłopiec!

— Cholera — zaklął Luke, rzucając się w ślad za nim. Liście fruwały w powietrzu tak gęsto, że prawie nie mógł oddychać i prawie nic nie widział. Brzuch skakał mu z boku na bok, serce łupało niczym okładana przez boksera sparingowa gruszka. Nagle zderzył się z Davidem i pokrwawionym bokiem Kapitana Blacka.

— Davidzie! Musimy stąd uciekać! Nie możemy nic zrobić. Chodź, dziecko, na litość boską!

Wśród liści i deszczu krzyżowały się smugi światła. Ziemia dygotała i przechylała się pod ich stopami. Luke słyszał wrzaski swoich podwładnych i głuche pojękiwanie Kapitana Blacka.

Nagle oślepiła ich błyskawica i David głośno krzyknął. Nie dalej jak metr przed nimi, tak blisko, że czuli wyraźnie jej zapach, pojawiła się ociekająca śluzem, zniekształcona głowa, a właściwie jej gigantyczna parodia, mierząca może dwa metry od sklepienia czaszki do podbródka, z mlecznozielonymi oczyma, bladozielonymi kośćmi policzkowymi, rozwartymi ustami i długimi, zakrzywionymi cierniami zamiast zębów. Pod spodem wiły się przypominające brodę błyszczące pędy i łodygi, z których wyrastały rojące się od ślimaków liście.

To była twarz Janka, ta sama twarz, którą Luke oglądał na sztychu Terence'a Pearsona,

średniowieczna i chytra, ale znacznie powiększona. Roślinne geny zawładnęły jego ludzką naturą i zamieniły go w udręczoną żywą istotę, składającą się na poły z włókna, na poły z mięśni.

Oparta na grubej warstwie tkanki roślinnej głowa kiwała się z boku na bok. Powieki zamknęły się i podniosły, a zaraz potem rozwarły się na oścież szczęki. W chwilę później smuga światła uciekła w bok, błyskawica zgasła i twarz zniknęła w ciemności.

— Uciekaj! — ryknął Luke, chłostany w twarz setkami liści.

— Nie mogę — krzyknął żałośnie David.

— Uciekaj! Zapomnij o Kapitanie Blacku! Uciekaj!

— Nie mogę! Coś mnie trzyma!

Luke odwrócił się, próbując wyciągnąć rewolwer, ale nagle oberwał w ramię czymś twardym i potężnym jak zderzak samochodu. Zatoczył się i stracił równowagę, a kiedy zdołał

ją w końcu odzyskać, coś, co przypominało pięćdziesiąt zwojów kolczastego drutu, uderzyło go prosto w twarz i rozdarło koszulę.

— Davidzie — krzyknął w huczącą ciemność. — Uciekaj stąd, Davidzie, na litość boską, uciekaj!

David krzyczał głośno, ale Luke w ogóle go nie widział. Liście były zbyt gęste; noc była zbyt ciemna. Dotknąwszy dłonią piersi poczuł pod palcami lepką wilgoć i wiedział, że jest ranny. Miał podartą koszulę i podkoszulek i poprzecinaną głęboko skórę. Rozdarta była nawet kieszonka na piersi.

Wewnątrz wymacał plastikową torebkę z judaszowym srebrnikiem. W tej samej chwili David krzyknął ponownie; ciemności rozświetliła kolejna błyskawica i Luke zobaczył, że chłopiec opleciony jest zamykającymi mu drogę ucieczki gałęziami jeżyn, a groteskowe szczęki Zielonego Janka rozwierają się coraz szerzej, tak szeroko, aż trzeszczą ściętna.

Cierniste zęby Janka były jeszcze ostrzejsze od zębów wielkiego białego rekina — dwa rzędy zakrzywionych kłów. Z zębrowanego zielonego podniebienia kapały gęste żywiczne krople.

- Jezu, przebacz mi — pomyślał Luke, otwierając plastikową torebkę.

Położył monetę na otwartej dłoni i mocno zacisnął palce. Poczuł niezwykły, opóźniony w czasie wstrząs. Miał przedziwne wrażenie, że znajduje się w samym środku tej wichury, deszczu i liści, a jednak wcale go tu nie ma. Dał trzy długie kroki w stronę Davida, złapał go i wyciągnął z jeżynowej pułapki. Janek zaskrzeczał, podniósł powieki i smagnął go wściekle po lewym ramieniu. Ale tym razem gałęzie jeżyn przeszły gładko przez jego mięśnie, nawet ich nie dotykając. W tym momencie Luke'a po prostu tam nie było.

Ciemność. Liście i pył.

Luke toczył się po mokrym asfalcie, trzymając w objęciach Davida. Przeturlał się raz, drugi i trzeci.

Nagle warstwę liści przebiły smugi światła i rozległy się zaniepokojone głosy.

— Szeryfie! Szeryfie! Nic panu nie jest?

Luke puścił Davida, łapiąc kurczowo oddech. Chłopiec zerwał się na nogi, a Nathan wyciągnął rękę i pomógł wstać szeryfowi.

— Co się, do diabła, stało? — zawołał, przekrzykując burzę.

— Dajcie mi strzelbę! — zażądał Luke.

— Co? — nie dosłyszał jego rumiany zastępca.

— Dajcie mi strzelbę! — powtórzył szeryf.

— Pan jest ranny — stwierdziła Lily. — Niech pan na siebie spojrzy. Koszulę ma pan całą we krwi.

— Strzelbę! — ryknął Luke. — Jestem jedynym, który to może zrobić!

Zastępca rzucił mu wiatrówkę kaliber dwanaście. Szeryf złapał ją i dał z powrotem nura w ciemność i nawałnicę liści.

Wiatr skrzypiał niczym tysiąc torturowanych zakonnic. Burza przesuwała się dalej: błyskawice migotały teraz na południowym zachodzie i jądro tornada stało się jeszcze bardziej ciemne i przerażające. Luke posuwał się do przodu ze strzelbą w prawej i srebrną monetą w lewej ręce.

A Jezus rzekł: „Przebacz im, Panie, bo nie wiedzą, co czynią”.

Luke zobaczył Kapitana Blacka, stojącego nieruchomo pośród liściastego wiru.

Zobaczył pochylonego nad nim Janka, który stawał się coraz większy i bardziej groteskowy

— w miarę jak przepływała przezeń wieziona przez długie stulecia energia genów. W

przyćmionym świetle dalekiej błyskawicy zobaczył dwie potworne istoty, które wykreować mógł tylko majstrujący przy dziele stworzenia człowiek. Zmagając się z wiatrem, dotarł do Kapitana Blacka i stanął tuż przy jego boku.

— Janek! Zielony Janek! — zawołał.

Głowa zakołysała się, przechyliła i posłała mu beznamiętne spojrzenie.

Luke podniósł strzelbę i wycelował ją prosto w zdeformowaną czaszkę. Chciał

krzyknąć coś w rodzaju „masz za swoje”, ale był zbyt wyczerpany, pokaleczony i wściekły, żeby coś wymyślić, więc ryknął tylko, ile miał sił w płucach.

Zielony Janek smagnał go wściekle grubymi jak bykowiec kolczastymi pędami. Luke zasłonił się

instynktownie, ale wcale nie musiał tego robić. Pędy przeszły przez niego, jakby go tam wcale nie było. Strzelił. Pierwszy pocisk oderwał z boku głowy wielki kawał zielon-kawej tkanki, a potem zapadła kompletna ciemność. Luke strzelał, ładował i strzelał

ponownie. Oświetlone błyskami z lufy migały przed nim oczy, zęby i rozwarte usta Janka.

Ani na chwilę nie przestawał ryczeć.

Nadszedł taki moment, kiedy myślał, że zupełnie utonie w liściach. Czepiały się jego włosów, przywierały do koszuli, wpadały do ust.

Załadował i wystrzelił jeszcze raz, i tym razem błysk z lufy nie rozświetlił niczego poza ciemnością.

Usłyszał niezwykley odgłos ssania. Miał wrażenie, jakby implodował cały świat. Nie widział niczego oprócz kilku drżących świateł, ale czuł lecące obok niego liście. Wszystko sunęło w stronę Janka, tak jakby nie był żywym stworzeniem, ale absolutną próżnią.

Szum nie ustawał, a liściasta nawałnica stawała się coraz gwałtowniejsza. Nagle zabrzmiał ogłuszający huk, tak jakby ktoś zatrzasnął drzwi katedry. Noc sprężyła się do rozmiarów czarnego niczym Biblia kwadratu. W tym momencie Luke'owi wydało się, że prawie zrozumiał Boga, że udało mu się pojąć fundamentalne znaczenie czasu i historii, że wie już, dlaczego ludzka rasa walczy i wojuje przez tyle stuleci przeciwko samej sobie i przeciwko naturze.

Huk toczył się jeszcze przez chwilę głośnym echem, ale potem zaczął cichnąć. Noc zrobiła się jaśniejsza i nawet powietrze zdawało się rozprężyć. Wiatr poniosł dalej szumiące warkocze liści i za chwilę nie zostało ich na jezdni zbyt wiele. Na ulicy zrobiło się jasno, a burza przesunęła się na południowy zachód, w stronę Iowa City.

Nathan podszedł do Luke'a, rozglądając się w zdumieniu dookoła.

— Co się stało? Jeszcze przed minutą było kompletnie ciemno; a teraz znowu świecą się światła.

Luke odkasznął i otarł czoło wierzchem dłoni.

— To właśnie nazywamy skuteczną akcją policji.

W tej samej chwili Kapitan Black odwrócił się i wydał z siebie ochryply żaloszny kwik.

Wydawał się wyczerpany i zużyty — niczym gotowa do wyjazdu na złomowisko lokomotywa.

— Ten krzyk... co on oznaczał? — zapytał Luke.

Lily była bliska łez.

— On chce umrzeć, szeryfie. Cierpi i ma wszystkiego dosyć. Cokolwiek się tu wydarzyło, czymkolwiek była ta rzecz... ona stanowiła jego ostatnią nadzieję. Teraz wszystko jest skończone. Proszę.

— Nie, szeryfie — wtrącił Garth. — Nie tutaj. Możemy zabrać go z powrotem do instytutu.

Lily spiorunowała go wzrokiem.

— Przynajmniej raz w życiu, doktorze Matthews, niech pan postara się zrobić coś przyzwoitego, zamiast iść z postępem!

Garth miał zamiar odpowiedzieć jej równie ostro, ale przeszkodził mu David.

— Proszę, nie utrzymujcie go dłużej przy życiu - powiedział. On jest również chłopcem.

Kapitan Black dał trzy niepewne kroki do tyłu, zamruczał i poderwał do góry głowę. Z

ryja kapały mu krople krwi. Nastąpił krótki moment wahania: wszyscy stali w przedziwnym tableau, zastanawiając się, co robić dalej. Policjanci spoglądali na Luke'a, czekając na rozkaz otwarcia ognia. Luke spojrział na Davida, potem na Nathana i Gartha, i w końcu na Lily.

— On jest w końcu żywym stworzeniem, czy tak? — zapytał ją. - Takim samym jak pani i takim samym jak ja. O to właśnie bez przerwy się pani wyklócała. Jakże ja mam prawo zabijać żywe stworzenie?

— On wie, że wszystko jest skończone — odpowiedziała Lily. Jest teraz sam i wie, że umrze.

— Kto pani to powiedział?

— Jeśli jest jakaś rzecz, której nauczyłam się, mieszkając ze świniami, szeryfie, to tego, że większość zwierząt mogłaby żyć szczęśliwie razem z ludźmi, gdyby tylko mogła im zaufać.

Kapitan Black zaczął się od nich oddalać, wielki i tragiczny. Droga lśniła się od deszczu i krwi. Luke wiedział, że istnieje tylko jeden sposób zakończenia tej jatki i jest to sposób szybki.

— Chcę mieć tutaj wszystkich funkcjonariuszy! — zawołał. Z całą będącą do dyspozycji siłą ognia!

Po asfalcie zastukały obcasy butów. Policjanci dogonili i otoczyli Kapitana, który zatrzymał się ponownie. Nad ich głowami krążył z rykiem silnika helikopter.

Luke podszedł wraz z Lily do Kapitana. Dziewczyna chciała zbliżyć się jeszcze bardziej, ale Luke przytrzymał ją za ramię.

— Wiem, że pani go rozumie. I wierzę, że on również potrafi panią zrozumieć. Ale wyrządził dzisiaj wiele szkód, zabił kilka osób. Nie chcę, żeby coś złego stało się i pani.

Lily po raz ostatni przemówiła do Kapitana — wydając z siebie wysoki, zawodzący krzyk, od którego Luke'owi włosy zjeżyły się na karku; podnosił się coraz wyżej i wyżej, a potem umilkł.

Kapitan Black nie odpowiedział. Stał po prostu i czekał, dysząc ciężko przez zatkany krwią nos.

— Co pani mu powiedziała? — zapytał Luke.

Oczy dziewczyny były pełne łez.

— Powiedziałam mu, że jest teraz bezpieczny i że go kocham. Luke dał krok do tyłu i podniósł w górę rękę.

— Na mój znak, ognia — zawołał, a potem odwrócił się do Lily, która kiwnęła głową i wymówiła bezgłośnie słowo „dziękuję”.

Garth odwrócił się plecami i przeżegnał, żeby uczcić pamięć Raoula Lacouture.

Trzydziestu oficerów otworzyło ogień. Kapitan Black opadł powoli na kolana, ale oni strzelali nadal, aż dym zaczął walić knurowi z otwartego pyska.

— Dosyć! Dosyć! — krzyknął wreszcie Luke i policjanci cofnęli się, zostawiając leżące na boku zwłoki.

Nathan podszedł do Luke'a.

— Wie pan, jak to się wszystko zaczęło? — zapytał Nathan. Szeryf wyjął chusteczkę, otarł nią twarz, a potem wydmuchał nos. — Zaczęło się od wyświadczenia uprzejmości —

dokończył Nathan.

Luke spojrział na niego, a potem poklepał po plecach.

— Tak zaczyna się większość kłopotów — stwierdził.

Ulewa zaczęła stopniowo słabnąć. Furgonetka stała dymiąc przy krawężniku. Kapitan Black leżał porozdzierany pociskami i cichy na środku jezdni, ze sztywnymi nogami i zasnutymi mgłą oczyma. Z Zielonego Janka nie zostało nic poza fruwającymi na wietrze liśćmi. Luke wyjął z kieszeni monetę z napisem „Życie w Śmierci” i rzucił ją między liście.

— Spłacone co do centa — powiedział cicho, a potem ruszył w stronę swego samochodu, a w ślad za nim zastępcy, kamerzyści i depczący im po piętach dziennikarze.

Rick Clark dogonił go i przez chwilę szli ramię przy ramieniu.

— Więc jednak się opłaciło? — powiedział. — Wertowanie tych czeskich bajek?

— Nie wiem, o czym mówisz, Rick — odparł Luke. — Mieliśmy tutaj wypadek drogowy. Mieliśmy wściekłego knura; i to wszystko.

— Ja widziałem co innego. Podobnie jak wielu ludzi. Luke zatrzymał się i przyjrzał mu się od stóp do głów.

— Nie, Rick — oznajmił uspokajającym tonem. — Niczego nie widzieliśmy.

Wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Rick Clark przyjrzał mu się przez zalaną deszczem szybę i podniósł w udawanym geście rezygnacji obie ręce. Luke zapalił silnik.

Wiedział, że jest już po wszystkim.

Carl Drimmer zadzwonił tego samego wieczoru do Williama Olsena.

— Czy słuchaliście najnowszych wiadomości? — zapytał.

— Tak i nie mogę powiedzieć, żeby było mi przykro — odpowie działa Nina Olsen, która odbierała wszystkie telefony.

— Nie chciałbym mówić źle o niedawno zmarłych, ale senator mógł wybrać sobie o wiele mniej kontrowersyjną sprawę, a i tal miałby szansę dostać się do Białego Domu.

— Masz jakieś interesujące pomysły? - zapytała Nina.

— Ja? Tysiące. Większość pomysłów Bryana to były moje pomysły.

Zapadła chwila ciszy. William karmił właśnie kruka kawałkiem wieprzowego łożyska, które dziób ptaka rozciągał w wąskie nieapetyczne wstęgi

— W takim razie wpadnij — stwierdziła Nina. — Może uda nam się czegoś wspólnie dokonać: tobie, Williamowi i mnie. Zwłaszcza tobie i mnie.

Iris leżała w szpitalnym łóżku, obserwując światła krążącego nad Cedar Rapids samolotu. Deszcz ustał i noc była dość jasna.

Czuła się dziwnie odświeżona, tak jakby skończyły się wszystkie jej zmartwienia.

Musiała teraz dbać wyłącznie o znajdujące się w jej łonie dziecko.

POSŁOWIE

Wszystkie opisane w tej książce zabiegi medyczne i ksenogenetyczne albo miały już miejsce w rzeczywistości, albo można je przeprowadzić. Specjalne podziękowania za uprzejmość i wyrozumiałość składam dyrektorom i personelowi Instytutu Badań Genetycznych Spellmana w Amanie, w stanie Iowa. Chciałbym również podziękować pracownikom biura szeryfa Linn County, policji Cedar Rapids, „Cedar Rapids Gazette”, centrum medycznemu Mercy oraz Muzeum i Bibliotece Czeskiej i Słowackiej.

W stenogramach Kongresu odnotowano, że piętnaście dni później ustawa Zapf-Cady'ego została odrzucona na posiedzeniu Izby Reprezentantów przeważającą większością głosów już po pierwszym czytaniu.